

Mistrzowska intryga. Każdy może być zabójcą...

# JOY FIELDING

Zabójcze  
piękno



Świat Książki

# JOY FIELDING

## Zabójcze piękno

**W małym miasteczku na Florydzie z pozoru nic się nie dzieje. Życie mieszkańców wypełnione jest rutyną, upływa w cieniu prowincjonalnych skandali, plotek i zdrad. Pewnego dnia tym spokojnym miejscem wstrząsa wiadomość o odnalezieniu na bagnach zwłok najpopularniejszej uczennicy w szkole, pięknej Liany Martin. Są też inne ofiary. Wszystkie to ładne, młode kobiety. Zabójca każe im gorzko płacić za urodę...**

## Podziękowania

Jak zawsze składam podziękowania Larry'emu Mir-kinowi i Beverley Slopen za rady, wsparcie i przyjaźń. Dziękuję również mojej rodzinie i przyjaciołom oraz wszystkim osobom z William Morris Agency, a także z Atria Books w USA i z Doubleday w Kanadzie za wszystko, co przyczyniło się do sukcesu tej książki. Corinne Assayag dziękuję za bardzo profesjonalne opracowanie mojej strony internetowej, a wszystkim zagranicznym wydawcom i tłumaczom za mistrzowską pracę przy reprodukcji moich powieści. Przede wszystkim jednak, korzystając z okazji, pragnę podziękować Owenowi Lasterowi, który jako mój agent i przyjaciel stał przy mnie murem od ponad dwudziestu lat. Ten wspaniały artysta w swej dziedzinie, dusza człowiek i prawdziwy dżentelmen odchodzi na emeryturę po czterdziestu pięciu latach pracy w branży. I chociaż wiem, że zostawia mnie w dobrych rękach, będę bardzo odczuwać jego brak. Mam nadzieję, iż ten niepowtarzalny człowiek będzie nadal ze mnie dumny. Owenie, dziękuję. Kocham Cię i życzę Ci wszystkiego najlepszego.

Dziewczyna się wybudza.

Porusza się, rzęsy pokryte tuszem trzepoczą zmysłowo, duże niebieskie oczy otwierają się, zamykają i znowu otwierają, tym razem na dłużej, mimochodem rejestrując obcość otoczenia. Dopiero po paru sekundach uświadamia sobie, że jest w nieznanym miejscu i że nie pamięta, jak się tu znalazła. W jednej chwili dociera do niej świadomość zagrożenia i z siłą ogromnej, zdradzieckiej fali wciska w pryczę - która przezornie została tu wcześniej wstawiona - choć dziewczyna za wszelką cenę stara się z niej wstać. Tę część lubię najbardziej. Wolę ją nawet od tego, co nastąpi później. Nigdy nie rajcowałam mnie widok krwi i wnętrzości. Te filmy, którymi dzisiaj epatuje telewizja: popularne, pełne zakręconych ekspertek od medycyny sądowej w obcisłych spodniach i w stanikach push-upach w ogóle do mnie nie przemawiają. Absolutnie nie ruszają mnie zwłoki nieszczęsnych ofiar wysyłanych na tamten świat na wszelkie wymyślnie okrutne sposoby, które na zimnych stalowych stołach w supernowoczesnych kostnicach oczekują na otwarcie i beznamiętną inwazję paluchów w gumowych rękawiczkach. Mnie to nie kręci, nawet jeśli fantomy wyglądają realistycznie, a lateksowe biusty sprawiają wrażenie bardziej naturalnych od

wszechobecnych implantów, heroicznie podtrzymywanych przez biustonosze push-upy. Przemoc jako taka nigdy mnie nie pociągała. Od samego zdarzenia zdecydowanie wolę to, co do niego prowadzi. Podobnie jak wolę nie do końca doskonały zarys naturalnych piersi od idealnie krągłych - i idealnie ohydnych - monstrualnych biustów, tak dzisiaj powszechnych. I to nie tylko w telewizji. Można je zobaczyć wszędzie. Nawet tu, na środku Alligator Alley, w samym sercu południowo-środkowej części Florydy. W miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Chyba to Alfred Hitchcock najlepiej podsumował różnicę pomiędzy szokiem i napięciem. Szok - mówił - jest błyskawicznym wstrząsem dla zmysłów, trwającym zaledwie sekundę, napięcie bardziej przypomina ich powolne drażnienie. Mogę dodać od siebie, że to coś w rodzaju różnicy pomiędzy wydłużoną grą wstępną a przedwczesną ejakulacją, i myślę, iż stary Alfred przyznałby mi rację z chichotem. Zawsze wolał napięcie od szoku - efekt był wówczas większy, zdecydowanie bardziej satysfakcjonujący. Zgadzam się z nim pod tym względem, chociaż podobnie jak Hitch nie mam nic przeciwko sporadycznym wstrząsom w trakcie. Musi być ciekawie. I ta dziewczyna wkrótce się o tym przekona. Właśnie siada i nerwowo zaciskając pięści po bokach, rozgląda się po słabo oświetlonym wnętrzu. Odgaduję ze zdziwionego wyrazu ładnej twarzy - jest naprawdę „zabójczo piękna”, jak by to ujął mój dziadek - że stara się zachować spokój, zorientować w sytuacji, zrozumieć, co się właściwie stało, jednocześnie kurczowo trzymając się nadziei, że to tylko sen. Bo przecież to nie może dziać się naprawdę. Niemożliwe, aby na jawie siedziała na skraju pryczy w miejscu, które wygląda na jakąś piwnicę, o ile w ogóle na Florydzie trafiają się podpiwniczone domy. Przecież z zasady ich

tu nie ma, jako że prawie cały stan leży na podmokłych terenach. Niedługo wpadnie w panikę. Gdy tylko do niej dotrze, że to nie sen, lecz przerażająca -szczerze mówiąc -rzeczywistość i że naprawdę siedzi uwięziona w jakiejś norze, oświetlonej jedną lampką strategicznie umieszczoną na występie, wysoko nad głową, tak że nie ma szansy jej dosięgnąć, nawet jeśli postawiłaby łóżko na sztorc i jakimś cudem się po nim wdrapała. Ostatnia dziewczyna próbowała tak zrobić i runęła na klepisko, ze szlochem ściskając pęknięty nadgarstek.

Właśnie wtedy zaczęła się drzeć jak opętana. Bawiło mnie to - przez jakiś czas.

Dziewczyna dostrzega drzwi, lecz w przeciwieństwie do poprzedniczki nie podchodzi do nich. Siedzi i przygryzając dolną wargę, rzuca tylko wokół przerażone spojrzenia. Oddycha głośno, biust wyraźnie faluje, a serce wali, jakby chciało się wyrwać na wolność spod dużych, ciężkich piersi (na jej korzyść przemawia fakt, że przynajmniej są naturalne), zupełnie jak u tych podekscytowanych uczestników teleturnieju „Podaj prawdziwą cenę”. Czy ma wybrać drzwi numer jeden, dwa, czy trzy? Tu jednak są tylko jedne, a więc czy powinna je otworzyć, a jeśli to zrobi, co za nimi znajdzie? Damę czy tygrysa? Ratunek czy zagładę? Czuję, jak usta krzywią mi się w uśmiechu. Prawdę mówiąc, niczego tam nie znajdzie. Przynajmniej na razie. Dopóki nie zdecyduję inaczej.

Dziewczyna dźwiga się z łóżka, bo ciekawość każe jej iść, popycha ku drzwiom, mimo że niepokojący szept w uszach ostrzega, iż to właśnie ciekawość zabiła kota. Czyżby wierzyła w bajania starych babek o dziewięciu życiach tego zwierzątka? Sądzi, że kupa zgrzybiałych, bezużytecznych wieźm jest w stanie ją uratować? Wyciąga trzęsącą się rękę do klamki.

- Hej?! - woła cicho, głosem drżącym jak jej palce. -Hej! Jest tam kto?! - powtarza, tym razem donośniej.

Korci mnie, żeby odpowiedzieć, ale wiem, że to kiepski pomysł. Przede wszystkim zorientowałyby się, że ją obserwuję. Jeszcze to do niej nie dotarło, lecz może za minutę czy dwie, gdy sobie ten fakt uzmysłowi, jej oczy zaczną jak oszalałe bezowocnie omiatać pomieszczenie. Nie ma problemu. Na pewno mnie nie dostrzeże. Mały otwór, wydłubany przeze mnie w ścianie, jest za wysoko, aby odkryła moją obecność, szczególnie przy takim kiepskim oświetleniu. Ponadto mój głos nie tylko poinformowałby ją o tym, że tu jestem i z grubsza, gdzie, lecz mógłby także pomóc mi zidentyfikować, co dałoby jej niepotrzebną przewagę w zbliżającym się pojedynku na inteligencję. Nie, ujawnię się we właściwym momencie. Nie ma sensu przyspieszać gry. Jeszcze nie nadszedł odpowiedni czas. A przecież się mówi, że najważniejsze jest jego wycucie.

- Hej?! Słyszysz mnie ktoś?!

Jej głos, teraz bardziej natarczywy, traci dziewczęce brzmienie, staje się ostry, niemal wrogi. To jedno z tych ciekawych zjawisk, charakterystycznych dla kobiecego głosu - jakże szybko potrafi z serdecznego zmieniać się w szorstki, z kojącego w raniący; jak bezwstydnym bywa w swej chęci mówienia wszystkiego bez ogródek, jak zuchwale ciska oskarżenia w zaskoczony powietrze. Subtelny flet zagłuszają skrzekliwe dudy; zespół kameralistów zdeptuje maszerująca orkiestra.

- Hej?!

Dziewczyna łapie za klamkę i próbuje otworzyć drzwi. Ani drgną. Jej ruchy stają się teraz niezgrabne, mniej wyważone, bardziej rozpaczliwe. Szarpie za klamkę, potem popycha drzwi, napiera na nie barkiem, powtarzając kilkakrotnie cały proces, zanim w końcu zrezygnuje i wybuchnie płaczem. To następna rzecz, jaką już wiem o kobietach - zawsze płaczą. Pod tym względem nigdy cię nie rozczarują, zawsze na to można liczyć.

- Gdzie jestem?! O co tu chodzi?!

Dziewczyna wali pięściami w drzwi w narastającej złości. Jest rozgniewana i jednocześnie przestraszona. Może nie wiedzieć, gdzie jest, ale na pewno zdaje sobie sprawę, że nie znalazła się tu z własnej woli. Jej umysł gwałtownie wypełniają przerażające obrazy: świeże nagłówki w gazetach o zaginionych dziewczynach, wiadomości telewizyjne, w których pokazują ciała wyciągane z płytkich grobów, katalogi z kolekcjami noży i różnych narzędzi do tortur, urywki filmów, gdzie bezbronne kobiety są gwałcone i duszone, zanim wylądują w bagnach pokrytych szlamem.

- Ratunku! - zaczyna krzyczeć. - Niech mi ktoś pomoże!

Myślę, że gdy tak skamle, a zawrośnienie roznosi się w zatęchłym powietrzu, dobrze wie, że te błagania są bezsensowne, bo nikt jej nie słyszy. Nikt oprócz mnie.

Nagle zadziera głowę i jej wzrok, niczym snop światła latarki, kieruje się prosto na mnie, więc odskakuję od ściany i zataczam się, niemal się potykając o własne nogi. Gdy zmieniam pozycję, wyrównuję oddech i odzyskuję równowagę, ona już krąży po małym pomieszczeniu i rzucając spojrzenia we wszystkie strony, obmacuje dłońmi nagie, betonowe ściany w poszukiwaniu jakichkolwiek słabych miejsc.

- Gdzie ja jestem?! Czy ktoś mnie słyszy?! Dlaczego mnie tu trzymacie?!

- wykrzykuje, jak gdyby podnosząca na duchu odpowiedź zależała od poprawnie zadanego pytania. W końcu rezygnuje, opada na pryczę i znowu płacze. Gdy podnosi głowę - i po raz drugi patrzy prosto na mnie - jej duże niebieskie oczy są zasnute łzami i mają brzydkie czerwone obwódki. A może to tylko wytwór mojej wyobraźni. Pobożne życzenie. Siada na łóżku i robi kilka głębokich wdechów. Wyraźnie stara się uspokoić, gdy ogarnia myślami swe położenie. Przesuwa wzrokiem po ubraniu - po bladożółtym podkoszulku z tytułem singla Ludacrissa MOVE,



BITCH, w krzykliwym kolorze limonki, biegnącym w poprzek napiętego materiału; po nisko wyciętych džinsach przylegających do smukłych ud. Te same ciuchy miała na sobie... kiedy? Wczoraj? Poprzedniego wieczoru? Dziś rano? Jak długo tu jest?

Przezesuje palcami długie, różowoblond włosy i drapie się po kostce prawej nogi, zanim oprze się plecami o ścianę. Jakiś szalencie porwał ją i trzyma jako zakładniczkę. Spekuluje, może już kombinując, jak po ucieczce opowiedzieć całą historię, aby zabrzmiała maksymalnie efektownie. Może zadzwonią do niej z magazynu „People”. A może nawet z Hollywood. Kto ją zagra? Dziewczyna od Spidermana czy ta laska, której pełno teraz we wszystkich tabloidach. Lindsay Lohan? Tak się nazywa? A może Tara Reid? Cameron Diaz też byłaby niezła, chociaż jest o dychę starsza. To nie ma znaczenia. Wszystkie się nadają. Wszystkie są zabójczo piękne.

Podobnie jak ja. Zabójczo piękna w zupełnie innym stylu.

Twarz dziewczyny ciemnieje. Znowu powraca rzeczywistość. Co tu robię? - zastanawia się. Jak się tu dostałam? Czemu nic nie pamiętam? Prawdopodobnie przypomina sobie, że poszła do szkoły, chociaż wątpię, czy zapamiętała cokolwiek z lekcji. Była zbyt zajęta gapieniem się w okno. Za bardzo pochłonięta flirtem z neandertalczykiem z ostatniej ławki. Zanadto skupiona na uprzykrzaniu życia nauczycielom. Do przesady nastawiona na wygłaszanie ciętych uwag, sarkastycznych komentarzy i mędrkowanie. Niewątpliwie pamięta dźwięk dzwonka po lekcjach, który uwolnił ją z więzienia ostatniej klasy. Prawdopodobnie pamięta też, że wybiegła na boisko i paliła papierosa, którego wycygała od kogoś, kto się akurat nawinał. Może pamiętać, jak koleżance z klasy wyrwała z ręki puszkę coli i wypła ją duszkiem bez podziękowania czy słowa przeprosin. Możliwe, że pamięta nawet, jak póź-

niej - po kilku kolejnych papierosach i paru uszczypliwych komentarzach - kieruje się w stronę domu. Obserwuję, jak się ogląda, skręcając w swą cichą ulicę. Dostrzegam przechylenie głowy, gdy słyszy swe imię niesione z lekkim wiatrem. Ktoś ją woła. Dziewczyna pochyła się, siedząc na pryczy, i rozchyła usta. To wspomnienie istnieje, musi je tylko przywołać. Ono igra z jej zmysłami, drażni jak ostatnia linijka liter na tablicy u okulisty; widzi je, ale są zamazane, więc pomimo wysiłku nie może ich odczytać. Ma je na końcu języka niczym egzotyczną przyprawę; czuje smak, lecz nie potrafi go zidentyfikować. To wspomnienie unosi się tuż przy jej nozdrzach delikatną mgiełką mamiącego zapachu i rozlewa po wnętrzu ust jak drogie czerwone wino. Gdyby tylko mogła nadać wspomnieniu głos! Gdyby tylko sobie przypomniała!

Na pewno pamięta, że przystanęła i rozglądając się, nasłuchiwała wołania w szumie ciepłego lekkiego wiatru, a potem podeszła do rzędu przerośniętych krzaków na skraju zapuszczonego trawnika przed domem sąsiadów. Krzewy wabiły ją, szelest liści zdawał się zapraszać. A później pustka.

Dziewczyna opuszcza ramiona w geście rezygnacji. Nie pamięta, co się potem stało. Krzewy zasłaniają widok, bronią dostępu. Musiała stracić przytomność. Może odurzono ją narkotykiem, a może uderzono w głowę? Co za różnica? Nieważne, co zaszło, liczy się, co będzie. Widzę, że dochodzi do wniosku, iż nieistotne, jak się tu znalazła. Najważniejsze, jak się uwolnić.

Tłumię śmiech. Niech się nacieszy złudzeniem - nieważne, jak bardzo kruchym i bezpodstawnym - że zdoła uciec. Niech spekuluje i planuje, wymyśla strategie i rozwiązania. Przecież to część zabawy.

Zaczynam odczuwać głód. Ona zapewne też zgłodniała, ale jest zbyt przestraszona, żeby to do niej dotarło. Za godzinę lub dwie głód ją dopadnie. Apetyt to zdumiewa-

jąca sprawa. Pojawia się bez względu na okoliczności. Pamiętam, jak umarł mój wuj Al. To wydarzyło się wiele lat temu i moje wspomnienie, podobnie jak pamięć dziewczyny, jest nieco mgliste. Uczciwie mówiąc, nawet nie mam pewności, co go zabiło: rak czy zawał. Na pewno jakaś pospolita choroba. Nigdy tak naprawdę nie byliśmy sobie bliscy, więc nie mogę powiedzieć, aby specjalnie obeszła mnie jego śmierć. Natomiast utkwiała mi w pamięci zapłakana ciotka i krąg przyjaciół składających kondolencje, którzy na jednym oddechu wychwalali zalety wujka i zapewniali, jak bardzo im przykro, że zmarł, a już na drugim prawili ciotce komplementy za upieczone ciastka: „Czy mogłabyś dać przepis?” oraz „Musisz coś zjeść. Ważne, abyś miała siłę. Al by sobie tego życzył”. I już po chwili ciotka zajęła się jedzeniem, a potem się śmiała. Taka jest siła ciastek.

Nie mam ciastek dla tej dziewczyny, ale za parę godzin, kiedy sobie podjem, może przyniosę jej kanapkę. Jeszcze nie wiem. Naturalnie dobry gospodarz zapewniłby gościom poczęstunek. Ale przecież nikt nigdy nie mówił, że dobry ze mnie gospodarz. Nie zasługuję na pięć gwiazdek. Natomiast zakwaterowanie wcale nie jest najgorsze: nie wylądowała w grobowcu albo w jakiejś norze pełnej węży i szczurów. Nie została wepchnięta do pozbawionej powietrza pakamery ani przykuta łańcuchem do pała na szczycie kopca czerwonych mrówek. Nie ma rąk skrępowanych na plecach ani knebla w ustach. Może swobodnie poruszać się po pokoju. Jeśli jej trochę za ciepło, niech się cieszy, że to kwiecień, a nie lipiec, że jest stosunkowo chłodno, jak na tę porę roku, i że mamy wieczór, a nie środek dnia. Gdyby można było wybierać, każdy człowiek przy zdrowych zmysłach wolałby mieć klimatyzację, lecz jak się nie ma tego, co się lubi, to się lubi, co się ma. W moim przypadku jest to stara rudera na skraju zapuszczonego pola w środku Alligator Alley, w południowo-środkowej części Florydy.

Tam, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Czasami utknięcie w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc, bywa nieszczęściem błogosławionym w skutkach, choć znam przynajmniej dwie dziewczyny, które by się ze mną nie zgodziły.

Ten dom wpadł mi w oko jakieś pięć lat temu. Ludzie, którzy go zbudowali, dawno się stąd wynieśli, a termity, pleśń i suchy mursz zrobiły swoje. O ile mi wiadomo, nikt dotąd nie zgłaszał pretensji do ziemi ani nie próbował zburzyć rudery. Rozbiórka jest bardzo droga, a jeszcze więcej kosztuje wzniesienie czegoś nowego w tym samym miejscu.

Bardzo wątpię, czy na tym polu chciałoby urosnąć coś godnego uwagi, więc po co cokolwiek tu siał? Tak czy owak dom przypadkiem przyciągnął moją uwagę pewnego ranka podczas spaceru w celu uporządkowania myśli. Nurtowały mnie pewne problemy domowe i wszystko zdawało mi się walić na głowę, więc najlepiej się było usunąć. Od urodzenia jestem raczej typem samotnika. Nie lubię konfrontacji, nie przepadam za dzieleniem się uczuciami. Zresztą nigdy nikogo szczególnie nie obchodziło to, co czuję.

Było, minęło. Nie ma sensu teraz tego rozpamiętywać ani żyć przeszłością. Żyj terażniejszością - oto moje motto. Albo umrzyj za terażniejszość. Bo i tak może być. Umrzyj za terażniejszość. Podoba mi się to sformułowanie.

No dobra, wracam do tamtego dnia sprzed pięciu lat. Idę sobie. Upał. To chyba lato, bo jest naprawdę wilgotno. Komary brzęczące nad głową zaczynają mi grać na nerwach i wtedy natrafiam na to stare, zaniedbane pole. A właściwie raczej mokradło. Zapewne w wysokiej trawie ukrywa się co najmniej kilka węży i aligatorów, ale nie należę do ludzi, którzy boją się gadów. Robią na mnie wrażenie, lecz wiem, że jeśli uszanuje się ich prawo do terenu, zazwyczaj uszanują twoje. Niemniej przychodząc tutaj, zachowuję ostrożność. Mam wydeptaną ścieżkę i staram się jej trzymać, szczególnie w nocy.

Oczywiście na wszelki wypadek noszę przy sobie pistolet i kilka ostrych noży. Zawsze trzeba być gotowym na niespodzianki. Ktoś powinien był uświadomić to tej dziewczynie.

Główna część domu nie jest zbyt przestronna - składa się z kilku małych pomieszczeń, oczywiście pustych. Trzeba było przytargać tu łóżko, co wymagało sporo zachodu, ale teraz nie będę się wdawać w szczegóły. Wystarczy, że powiem, iż udało mi się bez niczyjej pomocy, czyli tak jak zazwyczaj. Jest tu malutka kuchenka, lecz wszystkie urządzenia zostały wymontowane, a z kranów nie leci woda. Podobnie jak w łazience i w obrzydliwej ubikacji, gdzie niegdyś biała muszla pękła dokładnie na pół. Na pewno nie zachęca do siadania. Dziewczyna została przezornie zaopatrzona w plastikowe wiaderko na wypadek, gdyby musiała sobie ulżyć. Stoi w kącie na lewo od drzwi. Kopnęła je wcześniej, gdy miotała się po pokoju, i teraz leży przewrócone w drugim końcu pomieszczenia. Może jeszcze się nie domyśliła, do czego służy.

Pierwsza dziewczyna postanowiła je ignorować. Po prostu podciągała spódnicę i kuciała nad podłogą. Nie musiała zbyt mocno jej zadzierać. Była szokująco krótka, mogłaby spokojnie uchodzić za pasek i myślę, że tak właśnie miała wyglądać - zupełnie jak z dzielnicy czerwonych latarni. Oczywiście nie nosiła majtek, co było obrzydliwe. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie różniła się niczym od zwierząt, ale nie ja. Na pewno nie. Dlaczego? Bo to przynosiłoby ujmę zwierzętom. Nazwanie tej dziewczyny świnią stanowiłoby zniewagę dla świń. I stąd mój wybór. Poparty przeświadczeniem, że nikt za nią nie będzie tęsknić. Nikt nie będzie jej oplakiwać ani nie przyjdzie jej szukać.

Miała zaledwie osiemnaście lat, a w jej oczach już było to znaczące spojrzenie, które sprawiało, że wyglądała na starszą. Z ust nie znikał ironiczny grymas i nawet kiedy się śmiała, jej uśmiech przypominał szydarczy

uśmieszek, Wnętrze chudych ramion znaczyły ślady po igłach. Miała charakterystyczną fryzurę - mocno skręcone, zmechacone, platynowe włosy z czarnym odrostem. Kiedy mówiła, niemal czuło się zapach nikotyny w oddechu.

Na imię miała Candy - cukierek - nawet nosiła bransoletkę z talizmanami w kształcie cukierków. Chyba można uznać, że jej przypadek był dla mnie sprawdzianem. Należę do osób, które niczego nie robią połowicznie - wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. Kiedy już wiem, co chcę działać, mam świadomość, że podstawą musi być staranny plan. W przeciwieństwie do wielu osobników, o których się czyta, nie chcę, żeby mnie złapano. Kiedy wykonam swój plan, zamierzam się wycofać i wieść spokojne, a może nawet i szczęśliwe życie. Nie mogę więc popełnić żadnego błędu. I dlatego właśnie Candy.

Znajomość zawarliśmy w Burger Kingu. Kręciła się przed barem, stąd propozycja, że zafunduję jej hamburgera, na co przystała z ochotą. Rozmawialiśmy, mimo że nie miała zbyt wiele do powiedzenia, a gdy moje pytania stały się zbyt osobiste, zupełnie się zacięła. No i w porządku. W pełni ją rozumiem. Też nie przepadam za takim nagabywaniem. Ale wyjawiała parę istotnych szczegółów: Gdy miała czternaście lat, uciekła z domu i od tego czasu mieszka na ulicy. Poznała jakiegoś faceta, przez którego uzależniła się od narkotyków, a przez narkotyki zaczęła uprawiać prostytutkę. Po jakimś czasie rozstała się z tamtym gościem i została sama. Prawie cały ostatni rok przenosiła się z miejsca na miejsce, czasem budząc się w jakimś szpitalu albo w areszcie. Wszystkie miejsca wyglądają mniej więcej tak samo - oznajmiła. Ciekawe, czy tak samo myślała, kiedy obudziła się tutaj, w piwnicy tego zapomnianego, starego domu.

Właśnie, czy była już mowa o tym, że ten pokój znajduje się w piwnicy? Nie? Jaki wstyd! To właśnie czyni

owe miejsce szczególnym - dodaje całej sprawie pikanterii - jeśli wolicie tak to ująć. Jak już zostało wspomniane, domy na Florydzie przeważnie nie są podpiwniczone. A to dlatego, że wznosi się je na grząskim gruncie i któregoś ranka można się obudzić po uszy w błocie. Bywa, że całe budynki zostają wessane - i wcale nie mówię tu o wiekowych, słabszych konstrukcjach. Tu niedaleko jest nowe osiedle, moim skromnym zdaniem - nie, żeby ktoś o nie pytał - za czyjąś złą radą prawie w całości zbudowane na wysypisku. Pewnego dnia jeden z domów po prostu zniknął. Budowlańcy nie musieli daleko szukać. Stali na jego dachu. I dobrze im tak. Nie można działać wbrew naturze.

Gdyby przyszło mi się dzisiaj budować, należałoby odszukać gościa, który zaprojektował ten dom. To prawda, że chałupa widziała lepsze czasy, ale ten, kto ją wznosił, musiał być geniuszem. Zbudował pod ziemią cały labirynt małych pomieszczeń, przeznaczonych zapewne do przechowywania zapasów. Mnie co innego chodzi po głowie.

Candy nie była zachwycona, kiedy się zorientowała, że nie znajduje się w jednej z tych cel w aresztach, do jakich przywykła. Kiedy w końcu mnie zobaczyła i dotarła do niej powaga jej położenia, starała się wykorzystać wszystkie znane sobie triki. Powiedziała, że jeśli chodzi mi o seks, nie ma mowy, aby doszło do czegokolwiek na tym starym, brudnym łóżku.

Zrobi, co tylko zechcę, ale nie tu. Myśl o seksie z nią była taka odrażająca, że aż brała mnie ochota, żeby z miejsca ją zabić, ale gra jeszcze się nie skończyła. Czekają ją kilka niespodzianek. Na koniec zginęła od jednego strzału w głowę, a zwłoki wylądowały w bagnie kilka mil stąd. Jeśli ktoś je znajdzie - w co wątpię, bo przecież minęły już cztery miesiące - żaden ślad nie doprowadzi do mnie i nie uda się ustalić, kiedy dokładnie zmarła, w jakim momencie jej serce przestało bić. Nawet gdyby odnaleziono ją w całości, zaraz po fakcie, sytuacja byłaby taka sama.

Dzięki tym wszystkim telewizyjnym ekspertom od medycyny sądowej wiem dostatecznie dużo o DNA, żeby się pilnować i nie zostawić żadnych śladów. Podobnie jak Candy nie zostawiła nikogo, kto by po niej płakał. Ale ta zabójczo piękna dziewczyna o ogromnych niebieskich oczach i z dużym naturalnym biustem - to zupełnie inna sprawa.

Nie dość, że mnóstwo ludzi zacznie jej szukać - a może nawet już jej poszukuje - ona sama też będzie stanowić wyzwanie. Candy była za bardzo ograniczona, żeby zapewnić zabawę. Ta dziewczyna jest silniejsza, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, a więc trzeba się będzie bardziej wysilić; jak to mówią - działać szybciej, myśleć intensywniej i celniej uderzać. Znowu spogląda w tę stronę, jakby wiedziała, że tu jestem, jakby słyszała chrobot mego pióra. A więc skończę na razie i pójdę coś przekąsić. Wrócę później, aby przejść do drugiego etapu mego planu.

Może pozwolę jej pożyć do rana. A może nie. Trzeba pamiętać o ryzyku. Nadmierna pewność siebie nie popłaca.

Jak to mówią: zostańcie państwo ze mną. Jeszcze tu wrócę.

2

- No, dobrze. Wyjmijcie dzienniki.

Sandy Crosbie stała oparta o katedrę i patrzyła, jak jej dwudziestu trzech uczniów z ostatniej klasy (powinno być dwudziestu pięciu, lecz Peter Arlington i Liana Martin byli nieobecni) z ociąganiem wyławia spomiędzy podręczników bruliony i kładzie je na pulpicie, w różnym stopniu demonstrując brak zainteresowania oraz niechęć. Znużone, szklane oczy powoli zwracały się z powrotem ku niej. Wszyscy siedzieli rozparci niedbale na krzesłach. Nogi w dżinsach trzymali wyciągnięte swobodnie pod ławkami. Bezwiedne stukanie



ołówków nakładało się na siebie, tworząc sekwencje nierozpoznawalnej melodii. Wszyscy, nie wyłączając Sandy Crosbie, woleliby być gdzie indziej.

Niby czemu nie? Kto przy zdrowych zmysłach ma ochotę siedzieć w dusznym kontenerze, kiedy można baraszkować na słońcu. (Czy któryś z jej dwudziestu trzech uczniów -dwudziestu pięciu, dodając nieobecnych Petera Arlingtona i Lianę Martin - wie przynajmniej, co znaczy słowo: baraszkować? A może, jak wieść gminna niesie, mający się ku sobie Peter Arlington i Liana Martin właśnie baraszkują?). Spojrzenie Sandy powędrowało ponad pięcioma rzędami niechętnych uczniów ku dużym oknom kontenera. Na zewnątrz był piękny kwietniowy dzień, chociaż znacznie chłodniejszy niż zazwyczaj o tej porze roku. Przynajmniej tak wszyscy jej mówili. „Powinnaś tu być w kwietniu ubiegłego roku -powtarzali. - Jest przynajmniej o pięć stopni mniej niż zazwyczaj”.

Sandy nie miała nic przeciwko niższym temperaturom. Właściwie nawet je wołała. Przypominały jej północną część stanu Nowy Jork, gdzie się urodziła i dorastała. Wszyscy, a szczególnie Ian, zawsze narzekali na ostre zimy w Rochester, lecz Sandy należała do tych rzadko spotykanych osobników, których szczerze cieszył śnieg i siarczysty mróz. Lubiła chodzić opatulona. To jej dawało poczucie bezpieczeństwa.

Do diabła, co ona robi w Torrance, gdzie przeciętna roczna temperatura przy wysokiej wilgotności powietrza wynosi trzydzieści stopni Celsjusza?

Wyjazd na Florydę ubiegłego lata nie był jej pomysłem, tylko Iana. Przez prawie dwa lata namawiał ją do przeprowadzki z dużego miasta na północy do pipidówki na południu. „To wpłynie korzystnie na moją praktykę, na dzieci, na nasze małżeństwo - obiecywał, przymi-lał się i powtarzał aż do znudzenia. - Rozejrzałem się trochę, bez kłopotu znajdziesz pracę w szkole. No? Gdzie jest twój pęd do przygody? Przynajmniej spró-

bujmy. Góra dwa lata. Obiecuję, że dłużej nie zostaniemy, jeśli ci się nie będzie podobać". Tak mówił. A myślał: Zakochałem się jak szalony w kobiecie, którą poznałem na internetowym czacie, i bez wahania sprzedam praktykę, wywożę ciebie i dzieci w obce miejsce, przeniosę się do tej dziury na Florydzie, żeby ciągnąć ten romans. Jeśli nie wypali, damy dyla.

No i dał. Dokładnie przed siedmioma tygodniami - wyliczyła w myślach Sandy i żeby się nie rozplakać, skupiła wzrok na wiszącym w głębi klasy plakacie propagującym czytelnictwo. Co prawda miała wątpliwości, czy to był jego pierwszy romans, bo w ciągu tych wszystkich wspólnych lat kilkakrotnie żywiła takie, niepoparte dowodami podejrzenia. Jednak wiadomość, że odchodzi, spadła na nią jak grom z jasnego nieba.

Właściwie sądziła, że nalegania na wyjazd z Rochester były spowodowane chęcią ucieczki od jakiejś wypalanej miłości. Nigdy nie przeszło jej przez myśl, że to może być pęd ku nowej przygodzie. Patrzyła więc oniemiała, jak pakuje swą starą walizkę oraz nową lekarską torbę - tę, którą mu dała w prezencie z okazji otwarcia nowego gabinetu - i przeprowadza się do dużego mieszkania z jedną sypialnią na drugim końcu miasta, dziwnym trafem w pobliżu domu Kerri Franklin, klona Barbie i wielkiej miłośniczki Internetu. Jediną przeszkodą, aby wprowadził się do tej wielkoustej rozwódki z nastroszoną fryzurą, była jej matka, która go w tym uprzedziła, bo rozgościła się tam na dobre po rozpadzie trzeciego małżeństwa Kerri i ani myślała się wynieść. Według lokalnych plotek to właśnie dzięki pieniądzom Rose Cruikshank biust Kerri urósł ostatnio -można powiedzieć: porażająco - nie mogła więc matki tak po prostu wystawić za drzwi. Przecież tego roku w kwietniu temperatury były niższe o pięć stopni.

Dodatkowy problem stanowiła córka Kerri, Delilah. Sandy zerknęła na pierwszą ławkę w trzecim rzędzie, gdzie siedziała ta nastolatka o pretensjonalnym imie-

niu, która - jak na ironię losu - wylądowała w pierwszym semestrze akurat na jej zajęciach z angielskiego. Teraz ze wzrokiem wbitym w podłogę gryzła nerwowo końcówkę czarnego długopisu, najwyraźniej mając nadzieję, że nie zostanie wywołana do odczytania na głos ostatnich zapisków.

Ponieważ Torrance liczyło zaledwie cztery tysiące mieszkańców (według informacji na drogowskazu przy rogatkach było ich cztery tysiące stu sześćdziesięciu), a większość ludzi mieszkała na - jak się tu mówiło - przedmieściach, natomiast według Sandy na bagnach, w miasteczku znajdowała się tylko jedna szkoła średnia. Do Torrance High chodziło prawie czterystu nastolatków, a fluktuacja kadry nauczycielskiej okazała się prawie tak wysoka jak absencja uczniów na lekcjach, nic więc dziwnego, że Sandy tak łatwo dostała pracę. Parterowy budynek szkolny był przestronną konstrukcją z drewna i szkła, gdzie nowoczesność i tradycja mieszały się całkiem atrakcyjnie i nie bez wyobraźni. Według pierwotnych założeń miał pomieścić trzystu uczniów, ale z powodu demograficznego bumu w okolicy zaadaptowano na klasy cztery kontenery ustawione na parkingu. Sandy, jako nowej nauczycielce, przypadło ostatnie z tych miniwiezień i tam właśnie wykładała literaturę angielską oraz zasady pisania znużonym synom i córkom szacownych obywateli Torrence. Wśród nich była Delilah, córka Kerri Franklin. Wybór imienia należało uznać za raczej niefortunny, bo w przeciwieństwie do biblijnej syreny osiemnastoletnia córka Kerri Franklin, chociaż dość ładna, była -jak się to delikatnie określa - korpulentna. Gdy Sandy miała lepszy nastrój, uważała, że Delilah najprawdopodobniej musiała wdać się w ojca, pierwszego męża Kerri, który zniknął z jej życia, gdy córka miała dwa lata; przy gorszym samopoczuciu dochodziła do wniosku, że dziewczyna wygląda jak jej matka, zanim dzięki chirurgii plastycznej przemieniła się w małomiasteczkową,

florydzką wersję Pameli Anderson. Natomiast w przypiływie podłego humoru lubiła sobie wyobrazać, jak w jednej chwili znika efekt wszystkich operacji plastycznych Kerri Franklin: odpada maleńki nosek, implanty policzków oraz piersi spływają i ulegają implo-zji, wydatne usta się zapadają, gładkie czoło pokrywają zmarszczki, a kilogramy botoksu w organizmie uwalniają toksyny, przez co skóra rywalki więdnie, traci kolor i staje się szorstka jak tarka. Sandy westchnęła głośniejsz, niż zamierzała. Ten dźwięk przyciągnął uwagę Grega Watta, krnąbrnego osiłka, którego przesadziła z ostatniej ławki do przodu podczas ostatniej próby zachowania przynajmniej pozorów kontroli nad swą niesubordynowaną trzódką. Greg, wysoki i przystojny, z krótko ostrzyżonymi blond włosami, patrzył na nią tępo małymi, ciemnymi oczami, jakby lada chwila miał zaatakować. Gdyby był zwierzęciem - pomyślała Sandy - to na pewno pitbullem.

A ona byłaby biednym, małym pudelkiem, którego rozerwałby na strzępy - dodała w myślach, zakładając za prawe ucho pasmo brązowych kręconych włosów sięgających podbródka. Nie wiadomo czemu poczuła się bezbronna.

- Coś nie tak, pani Crosbie? - zapytał.

- Wszystko w porządku, Greg - zapewniła go.

- Cieszę się, pani Crosbie.

Czy jej się zdawało, czy rzeczywiście przesadnie zaakcentował słowo „pani”? Oczywiście w Torrance było tajemnicą poliszynela, że mąż właśnie odszedł od niej po prawie dwudziestu

latach małżeństwa i dla kogo ją zostawił. Sandy bardzo szybko odkryła, że niewiele sekretów można utrzymać w takim małym miasteczku.

Równie szybko się zorientowała, że mimo to wszyscy tutaj zdają się mieć jakieś tajemnice.

- No dobrze. Kto chce przeczytać swoje ostatnie zapiski? - spytała, przygotowując się wewnątrz na drętwą ciszę, która nastąpi. - Są ochotnicy?

Czemu mnie to nie dziwi? - wymruczała pod nosem, kiedy nikt nie podniósł ręki. Powiodła wzrokiem wzdłuż pierwszych dwóch rzędów, zatrzymując go na przedostatniej ławce w drugim z nich, gdzie siedział Victor Drummond. Chłopak był ubrany na czarno, a jego naturalnie śniadą twarz pokrywała warstwa białego pudru. Jasnoniebieskie oczy miał obwiedzione czarną konturówką, a wypukłe usta pomalowane jaskrawo-czerwoną szminką jak u Marylina Mansona.

-Victorze? - zaczęła, siląc się na pogodny ton. -Może ty?

- Na pewno pani psor to wytrzyma? - zapytał chłopak z ironicznym uśmiechem. Obejrzał się na podobnie odzianą diwę w ostatniej ławce. Dziewczyna o imieniu Nancy, z wyskubaną lewą brwią, w której tkwiły trzy miniaturowe agrafki, pokazała język.

Sandy się skrzywiła. Nie mogła patrzeć na metalowy ćwiek wystający ze środka języka Nancy. Wyglądał, jakby sprawiał ból. Czy ona nie boi się infekcji? A jej rodzice? Sandy stłumiła kolejne westchnienie. Uważała, iż ma szczęście, że jej dzieci nie oszpecają się kolczykami ani tatuażem.

Przynajmniej na razie.

- Zaryzykuję - oznajmiła Victorowi. - Nie wątpię, że poczyniłeś jakieś ciekawe obserwacje, którymi chętnie podzielisz się z klasą.

Jeśli zamierza powystrzelać uczniów, lepiej poznać wcześniej ostrzegawcze sygnały -przekonywała się w myślach, wracając za biurko i siadając na krześle. Zastanawiała się, kiedy wreszcie minie ta cała moda na gotyk. Nie za długo już trwa? Napatrzyła się na to w Rochester i chociaż wiedziała, że w tym wszystkim jest mało treści, a więcej mody na bunt, trochę ją ten styl niepokoił. Niemniej jednak lubiła Victora. W przeciwieństwie do większości uczniów miał bujną wyobraźnię i zazwyczaj mogła liczyć, że jego wypracowania, często wypełnione dziwnymi, egzotycznymi obrazami, okażą się nie

tyle prowokujące - jak zapewne sądził - ile przynajmniej w miarę ciekawe.

- Mam wstać? - Victor uniósł się parę cali.

- Niekoniecznie.

Natychmiast opuścił chudy tyłek na krzesło. Zrobił pauzę, odchrząknął i znowu zawiesił głos.

- Jest pełnia - zaczął czytać monotonnym głosem. - Leżę w łóżku i nasłuchuję wycia wilków.

- Na Florydzie nie ma wilków, dupku! - zawołał Joey Balfour z głębi sali. Dziewiętnastoletni Joey był kapitanem szkolnej drużyny futbolowej i powtarzał ostatnią klasę. Stereotyp pyszałka: masywny, umięśniony, bezmózgi i bardzo z siebie zadowolony. Reszta uczniów gruchnęła śmiechem. Przez klasę przeleciał papierowy samolocik.

- Dupku - powtórzył cicho Victor, na tyle jednak jadowicie, żeby przyciągnąć uwagę kolegów. - Mówiłem metaforycznie.

Joey zaśmiał się, uniósł łapska na wysokość wielkiej twarzy, jakby się chciał zasłonić.

- Ha! Nie skumałem. On mówił me-ta-fo-rycznie.

- Duże słowo jak na takiego cherlawego faceta - zauważył ponuro Greg Watt z nieprzyjemnym uśmiechem.

- Czy ktoś chciałby powiedzieć klasie, co ono oznacza? - interweniowała Sandy, usiłując zażegnać zbliżającą się konfrontację.

W tym roku szkolnym całą lekcję poświęciła metaforom. Miło byłoby się przekonać, że ktoś jej rzeczywiście słuchał. Delilah podniosła rękę.

No proszę - pomyślała Sandy. Nie dość, że codziennie od samego rana to przerośnięte przypomnienie o zdradzie męża gapi mi się w twarz, to w dodatku teraz, ni z gruszki, ni z pietruszki, zapragnęło się wykazać. Czy ona nie wie, że za każdym razem, gdy otwiera usta, czu-

ję się, jakby wbijała mi nóż w serce? Mówiąc metaforycznie - dodała w myślach i potrząsnęła głową, uwalniając włosy, które dopiero co założyła za ucho. Jednocześnie skonstatowała, że to było porównanie.

- Proszę bardzo, Dee - zachęciła dziewczynę.

- Dee? - podchwycił Greg z niedowierzaniem. -Dee?! Jeśli pani chce zdrobnić jej imię, może należałoby nazwać ją „Deli”? Jak Delikatesy. No, tak będzie lepiej. Wiadomo, że potrafi pochłonać wszystko za jednym zamachem.

Klasa ponownie ryknęła śmiechem. Ale Delilah, w przeciwieństwie do Victora, nie znalazła szybkiej riposty, nie zdołała się odciąć.

- Dosyć! - ostrzegła Sandy.

- Niech pani to powie Deli! - ryknął Joey Balfour z głębi sali. Po klasie ponownie przeszła fala śmiechu.

- A może lepiej „Wielkiej D” - ciągnął Greg. - No, wie pani, jak w tej piosence...

- Powiedziałam: dość!

Delilah spuściła głowę, przez co ujawnił się drugi podbródek, i Sandy natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Biedna dziewczyna ma dość problemów i bez zdrobnienia, które okazało się gorsze od pełnego imienia. Co ona narobiła? Ta nastolatka nie odpowiada za to, że jej matka uwiodła męża Sandy podczas intymnych czatów w Internecie. To nie jej wina, że niezadowolony z życia łan nie potrafił zagrzać miejsca i będąc przysłowiową małą rybką w dużym stawie, zapragnął zostać dużą rybą w małym stawie. Powiedzmy: wielką rybą - poprawiła się. W sadzawce.

Żabą - skorygowała jeszcze raz. W bagnie.

- No dobrze. Dość już tego. Chyba że wszyscy chcecie zostać po lekcjach. W klasie natychmiast zapadła cisza. Nie potrzeba zręcznych ripost, kiedy ma się władzę.

- Delilah? - zachęciła dziewczynę.

- Może być. Podoba mi się „Dee” - odezwała się cicho Delilah głosem małej dziewczynki, czym zawsze zaskakiwała Sandy. Ten głos wydawał się o całe lata - nie mówiąc już o kilogramach - odległy od właścicielki.
  - No więc... Dee. Powiedz nam, co to metafora.
  - To symbol - zaczęła Delilah. - Porównanie. Kiedy używa się jakiegoś słowa czy zwrotu, nadając mu nowe znaczenie.
  - Kurde, o czym ona mówi? - zapytał Greg.
  - To znaczy, że Victor naprawdę nie leżał w łóżku, słuchając wycia wilków - wyjaśnił Brian Hensen, nie podnosząc głowy znad ławki. Brian był anemicznym synem szkolnej pielęgniarki i miał z natury taką bladą cerę jak Victor po nałożeniu na twarz połowy pudełka pudru.
  - No to o co mu chodziło, mądralo?
  - Słuchał odgłosów nocy - wyjaśnił Brian rzeczowo - które sygnalizują zagrożenie. - Podniósł oczy na Sandy. - Zapowiadają śmierć.
  - Ooch! - zdziwił się Victor.
  - Nieźle - pochwalił Greg.
- Przez kilka sekund panowała cisza.
- Dziękuję, Brianie. - Sandy zdobyła się na szept, walcząc z chęcią uściskania zarówno Victora, jak i Briana.
- Może jednak udało jej się coś osiągnąć. Może te miesiące nie były jedną wielką stratą czasu, jak przy wielu okazjach lamentowała. Może ktoś się naprawdę czegoś nauczył.
- Victorze, proszę, czytaj dalej.
- Chłopak ponownie odchrząknął i dla lepszego efektu na parę sekund zawiesił głos.
- Oczywiście wiem, że nie ma wilków na Florydzie -przeczytał z wyraźną drwiną w głosie, rzucając spojrzenie Joeyowi. - Lecz to nie przeszkadza mi ich widzieć oczyma wyobraźni, gromadzących się za drzwiami mego pokoju. Zastanawiam się, czy będą tam później. Czy będą czekać na mnie, kiedy wymknę się



z ciepłego łóżka w chłodną czeluść nocy? Czy podążą za mną do lasu, gdy zacznę zrzucać z siebie skórę jak ten cienki wąż, który pełźnie po moich bosych stopach w świetle księżyca?

- Do jakiego lasu, czopie?

- Joey... - upomniała go Sandy.

- Tak, wiem. To kolejna metafora.

- Znajduję zaciszny kawałek wilgotnej ziemi - czytał dalej Victor bez namawiania. - Wyciągam zza paska kuchenny nóż. Przeciągam ząbkowanym ostrzem po wewnętrznej stronie przedramienia i patrzę, jak spieniona krew wypływa z rany niczym lawa z wulkanu. Zbliżam usta, smakuję swoje grzechy, piję swe nieczyste pragnienia.

- Jesteś świrem - podsumował Joey.

Tym razem Sandy, nie oceniając wartości literackiej tego, co przed chwilą usłyszała, była skłonna zgodzić się z oceną Joeya.

- Dobrze, Victorze, chyba nam już wystarczy. Podziwiam talent, z jakim potrafisz wyrażać swoje fantazje, ale miałeś opisać to, co naprawdę robiłeś poprzedniego wieczoru.

W odpowiedzi Victor wyciągnął lewą rękę i podwinął rękaw czarnej koszuli, demonstrując długą, poszarpaną szramę po wewnętrznej stronie przedramienia.

- Nieźle - stwierdziła Nancy.

- Ja chrzanię! - sapnął Greg.

- Chyba powinna obejrzeć to pielęgniarka - poradziła Sandy, zamykając oczy.

- Po co? Nic mi nie jest - zaśmiał się Victor.

- No, nie wiem. - Nie zamierzała ustąpić. - Proszę, pójdz do pani Hensen. W tej chwili. Odnotowała w myślach, żeby po lekcjach skontaktować się z rodzicami Victora i uczulić ich na nocne wyczyny syna. Czy możliwe, że powie im coś, czego jeszcze nie wiedzą?

Pilnuj własnego nosa - zabrzmiało jej w uszach gderanie Iana. Zawsze powtarzał, że za bardzo angażuje się w życie swych uczniów. Zajmij się własnymi problemami - mawiał. Tylko kiedy tak mówił, nie wiedziała jeszcze, że ma problemy.

- Zakręcony pedzio - mruknął Greg, gdy Victor otworzył drzwi kontenera i zeskoczył z trzech stopni na chodnik.

- Greg! - ostrzegła go Sandy i podnosząc się energicznie zza biurka, omal nie wyróciła krzesła. - Wystarczy! - Wróciła na poprzednie miejsce przed katedrą. - Skoro czujesz tak wielką potrzebę wypowiedzenia się, posłuchajmy, co napisałeś.

- Uhm, to dość osobiste, pani psor. Nie chciałbym wprawić pani w zażenowanie.

- Nie szkodzi. Nie tak łatwo mnie zażenować. Greg zerknął znacząco w stronę Delilah.

- Chyba nie.

Oczy wszystkich uczniów, z wyjątkiem Delilah, przybrały równie ironiczny wyraz i tylko z ust kilku dziewcząt wyrwało się westchnienie.

- Greg, czy mogę zobaczyć twój dziennik? - Ton głosu Sandy był daleki od prośby. Chłopak podał go z ociąganiem. Otworzyła brulion, prześlizgując się wzrokiem po poliniowanych, głównie pustych stronach. Przekartkowała go do końca i ku swemu zdziwieniu na ostatniej stronie odkryła zaskakująco dobre, komiksowe rysunki osób, które natychmiast rozpoznała. Był tam Lenny Fromm, przesadnie wyluzowany dyrektor Torrance High, w pozycji niemal horyzontalnej, z jasnymi włosami, opadającymi na twarz o sennych rysach. A także nauczyciel przedmiotów ścisłych Avery Peterson, rówieśnik Sandy, który w wieku trzydziestu ośmiu lat wyglądał na znacznie starszego, bo zdążył prawie całkiem wyłysieć. Greg przedstawił go jako ogrom-

na kulę do gry w kręgle na cienkich, pająkowatych nóżkach. Był też Gordon Lipsman, nauczyciel dramatu, z twarzą w kształcie pudełka, z wielkim, bulwiastym nosem i lekko zezującymi oczyma.

Zauważyła w tej galerii i swoją karykaturę. Pochlebiło jej to, lecz i zbulwersowało. Od razu rozpoznała siebie po niesfornych lokach, przesadnie spiczastym podbródku i wyraźnie zaznaczonym pieprzyku nad pełną, górną wargą. Patykowatą sylwetkę zakrywało długie gieżło, chude ręce o kościstych palcach wymachiwały nad głową. Czy oni tak mnie widzą -zastanawiała się, wodząc spojrzeniem po zaciekawionych twarzach uczniów. Jako chudą, znerwicowaną jędzę? Czy tak mnie widział Ian?

Spojrzała na sąsiednią stronę, gdzie znerwicowana jędza walczyła z piersiastą Amazonką w butach na wysokich obcasach i z rozwianymi blond włosami, w której bez trudu rozpoznała Kerri Franklin. W tle stała monstrialnych rozmiarów dziewczyna. Łzy kapały z jej wytrzeszczonych oczu, gdy próbowała wepchnąć do rozdziawionych ust całego kurczaka. Na kolejnym rysunku triumfująca Amazonka w ręce uniesionej ponad szopą jasnych włosów trzymała mężczyznę z gigantyczną erekcją i jednocześnie wbijała się obcasami w bezkształtne ciało rzeczonyj jędzy u swych stóp, a monstrialna dziewczyna sięgała po kolejnego, tym razem żywego kurczaka, który rozpaczliwie skrzeczał.

Sandy zamknęła brulion i bez komentarza oddała go Gregowi. Serce biło jej jak oszalałe. Najważniejsze to zachować spokój, mimo że krzyk wzbierał w gardle.

- Tanyu. - Skupiła uwagę na jednej z najładniejszych dziewcząt w Torrance High, powstrzymując ten krzyk i łzy, które cisnęły jej się do oczu. - Czy możemy usłyszeć, co napisałaś? - Zdobyła się na uśmiech, szczęśliwa, że udało jej się zapanować nad głosem.

Tanya McGovern wstała. Wraz z Ginger Perchak, która siedziała dwie ławki dalej po lewej stronie, i nieobec-

na Lianą Martin, zajmującą zazwyczaj miejsce tuż za nią, tworzyły najpopularniejszą paczkę w szkole. Chłopcy walczyli o ich względy. Pozostałe dziewczęta małpowały ich fryzury, ubrania i sposób bycia. Nawet Megan, siedemnastoletnia córka Sandy, zazwyczaj taka rozsądna, ostatnio znalazła się pod ich wpływem. W domu ciągle słyszała: a Tanya to, a Ginger tamto. Sandy zadrżała, spekulując, ile czasu zostało do chwili, gdy Megan poprosi o podkoszulek z napisem MOVE BITCH, taki sam, w jakim Liana przyszła wczoraj do szkoły. Gdzie są jej rodzice - zastanawiała się nie po raz pierwszy.

- Jakoś nie mogłam się zabrać do uzupełnienia dziennika, pani Crosbie. Sandy skinieniem głowy zaakceptowała swą porażkę.

- Dobrze, Tanyu. Siadaj.

Dziewczyna skwapliwie wypełniła polecenie.

- No tak. Wygląda na to, że będziecie mieli pracowity wieczór - oznajmiła Sandy. - Oprócz dwóch nowych wpisów w dziennikach, które zbiorę jutro na początku lekcji, czeka was sprawdzian z pierwszego rozdziału Cry, the Beloved Country. Za nieobecność na jutrzejszych zajęciach lub brak zadania domowego stawiam ocenę niedostateczną.

W stronę jej biurka potoczyła się kaskada ponurych pomruków.

- A jeśli ktoś zachoruje? - usłyszała jękliwy głos w głębi klasy.

- Lepiej nie.

- A jeżeli będzie mieć zwolnienie od doktora Crosbiego? - spytał Joey Balfour. I tym razem też kilka głośnych oddechów przedarło się przez śmiech wywołany pytaniem.

Na szczęście rozległ się dzwonek. Uczniowie błyskawicznie zerwali się z ławek i popędzili do drzwi. Sandy pozostała na miejscu, modląc się, aby nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa, dopóki ostatni z uczniów nie opuści klasy.

- Tanyu - wydusiła z siebie, gdy dziewczyna przebiegała obok.
  - Tak, pani Crosbie?
  - Czy mogłabyś powiedzieć Lianie o zadaniu domowym?
  - Jasne, pani Crosbie.
  - Ach, Greg - dodała Sandy, łapiąc go przy wyjściu. - Mogę z tobą chwilę porozmawiać? Chłopak powoli cofnął się od drzwi.
  - To na razie, stary! - rzucił mu na odchodnym Joey Balfour. - Proszę go potraktować łagodnie. - Mrugnął porozumiewawczo do Sandy.
  - Przepraszam za te rysunki - zaczął Greg. - Naturalnie nie miała ich pani widzieć.
  - Zastanów się więc, czy następnym razem lepiej nie zostawić ich w domu.
  - Tak jest, pani profesor.
  - Pomyśl również nad złożeniem papierów do collegeu artystycznego po ukończeniu szkoły -kontynuowała Sandy. - Masz talent. Prawdziwy talent. Powinieneś go rozwijać.
  - Pani Crosbie, moja rodzina zajmuje się uprawą warzyw - odparł Greg, rumieniąc się pod wpływem komplementu. - Nie sądzę, aby tata był zachwycony, że jego syn zarabia na życie rysowaniem komiksów - dokończył rzeczowo.
  - No cóż, warto to przemyśleć.
  - Średni z nas myśliciele - skwitował chłopak, puszczając oko. Ruszył ku drzwiom. -Greg...?
- Ponownie przystanął i wykonał półobrót na zdartych obcasach brunatnych glanów.
- Nie dokuczaj Delilah, dobrze?
- Przez jego przystojną twarz przebiegł szelmowski uśmiech. Drzwi kontenera się rozwarły i Greg Watt zniknął w blasku oślepiającego porannego słońca.

Szeryf usiadł za wielkim dębowym biurkiem w swoim małym pokoju i odchylił się na oparcie niewygodnego, skórzanego fotela w kolorze myśliwskiej zieleni. Fotel był niewygodny z dwóch powodów. Po pierwsze, delikatna konstrukcja włoskiego projektu, wybrana przez żonę zapewne po jednym kieliszku wina za dużo do lunchu, okazała się niekompatybilna ze słuszną, amerykańską budową szeryfa. (Miał sześć stóp i pięć cali wzrostu, a ważył ponad dwieście funtów. Co prawda zwykł się przechwalać, że na owe dwieście funtów składają się same mięśnie, ale tak mógł o sobie powiedzieć, gdy był o trzy lata młodszy i o trzydzieści funtów lżejszy). Po drugie, pomimo nowego systemu klimatyzacji w budynku, dzięki któremu temperatura w jego biurze wynosiła około zera, jakimś cudem skóra na oparciu zawsze kleiła mu się do pleców. Za każdym razem, gdy zmieniał pozycję, koszula odrywała się od fotela jak plaster i na nieskazitelnej dotąd, beżowej bawełnie zostawały zagniecenia. W rezultacie John zawsze wyglądał nieco niechlujnie. Jego żona Pauline narzekała, że ludzie niechybnie złożą to na karb jej braku wprawy w prasowaniu. „Pomyślą, że wyleguję się w łóżku przez cały dzień, pijąc i oglądając telewizję” - żaliła się któregoś razu. Być może te narzekania brzmiałyby zabawnie, gdyby nie fakt, że była niebezpiecznie blisko prawdy. O ile wiedział, właśnie wylegiwanie się w łóżku, popijanie i oglądanie telewizji stanowiły obecnie główne zajęcia jego żony po prawie szesnastu latach małżeństwa.

John zapatrzył się w duże okno na zachodniej ścianie biura, spekulując, o ile jeszcze może odwlec powrót do domu. Prawie wszyscy już wyszli. Zostało parę osób, bo po zapadnięciu zmroku w Torrance niewiele się działo; czasem tylko dochodziło do wypadku na drodze czy drobnej bójki. Zbliżała się szósta i jeśli posiedzi tu jeszcze z godzinę, być może frustracje dnia zrekompensuje

mu widok wspaniałego zachodu słońca. A John uwielbiał zachody słońca. Nie tylko dlatego, że widok migotliwych pomarańczowych, różowych oraz żółtych smug na turkusowo-niebieskim niebie chwycił za serce, ale również ze względu na to, iż cały ten proces był tak cudownie schludny. Czterdziestopięcioletni John Weber spędził większą część ostatnich dwudziestu lat na porządkowaniu bałaganu innych ludzi, więc nauczył się bardzo cenić wszystko, co schludne i czyste.

Jeśli wróci z biura po zachodzie słońca, będzie musiał znosić dobrze mu znane wyrzuty Pauline, że nigdy nie ma go w domu, że wiecznie pracuje. Czy nie ma ochoty trochę z nią pobyc? Poświęcić odrobinę czasu córce? Odpowiedź na pierwsze pytanie była prosta: Nie, nie chciał z nią być. Odpowiedź na drugie również brzmiała: nie, lecz nie tak łatwo przyszłoby mu jej udzielić jak na poprzednie. Choć niechętnie, John Weber musiał przyznać, że niezbyt obchodziły go zarówno żona, jak i jedyna córka. Można zrozumieć niechęć do kobiety, którą się poślubiło tylko dlatego, że było się zbyt nawalonym i bezmyślnym, aby ocenić konsekwencje braku prezerwatywy. Całkiem inną sprawą jest jednak awersja do własnego dziecka. Ich córka Amber, nazwana tak ze względu na kolor wina, które pili tamtej nocy, kiedy została poczęta, miała teraz szesnaście lat i prawie sześć stóp wzrostu. Mogłaby nawet uchodzić za ładną, gdyby nie była taka cholernie chuda; nie po prostu zwyczajnie chuda, ale jak szkielet z gnatami sterczącymi na wszystkie strony. Ten widok budził w nim agresję. W efekcie starał się na nią nie patrzeć. Ostatnio unikał nawet przelotnych spojrzeń w stronę córki, ograniczając się do sytuacji przymusowych. Bardzo przy tym uważał, żeby przypadkiem się nie wzdrygnąć, bo raz się nie opanował, a ona dostrzegła wyraz przerażenia w jego oczach i uciekła z płaczem z pokoju. Incydent wydarzył się wiele miesięcy temu, a jego nadal męczyły wyrzuty sumienia. W końcu to on był wszystkiemu winien.

Pokłócił się z Pauline, bo zapomniała wezwać hydraulika do ciekącego kranu nad umywalką w łazience i przez cholerne ciurlikanie przez pół nocy nie mógł zmrużyć oka. Obiecała, że załatwi tę sprawę z samego rana, i oczywiście nie ruszyła palcem. Oznaczało to, że musiał znieść kolejną noc chińskich tortur, a potem sam dzwonić do hydraulika, kiedy powinien zajmować się pracą. Nadal więc był wkurzony - niech to diabli, nawet dziś, po ośmiu miesiącach, jest wkurzony! - gdy w kuchni zobaczył Amber. Wyciągała z lodówki ostatni kawałek placka z brzoskwiniami - ten kawałek, który odłożył dla siebie. Zrobił głupią uwagę, że jeśli nie będzie uważać, skończy jak córka Kerri Franklin (przygarnął kocioł garnkowi). Wtedy placek wylądował w śmieciach, a Amber zaczęła zrzucać kilogramy, jakby to były muchy. Teraz ważyła może ze sto dwadzieścia pięć funtów (przy wzroście sześciu stóp sto dwadzieścia pięć funtów!). I to wszystko przez niego! Był beznadziejnym rodzicem. Fatalnym mężem i jeszcze gorszym ojcem. Jak w tej sytuacji mógł wracać na łono rodziny, gdy za każdym razem, kiedy wchodził w drzwi ich zapuszczonego, parterowego domu, ogarniało go poczucie winy i wpadał prosto w otwarte ramiona rozpaczki? Próbował porozmawiać z Pauline o ich córce, ale zlekceważyła jego obawy. Pas de probleme - prychnęła, zgodnie ze swym denerwującym zwyczajem wplatając do rozmowy francuski zwrot. Teraz jest moda na bycie chudym. Jednym tchem wymieniła nazwiska całej plejady aktorek z telewizji, o których w życiu nie słyszał, po czym wskazała na okładki magazynów mody, rozrzuconych na łóżku niczym kwadraty we wzorze kołdry. Na wszystkich widniały zdjęcia bezkształtnych młodych kobiet, z nieproporcjonalnie dużymi głowami w stosunku do szkieletowych sylwetek. Zastanawiał się, gdzie się podziały cycki i tyłki.



Oczywiście, jeśli się szukało tyłka, zawsze była jeszcze Kerri Franklin. Potrząsnął głową, żeby odpędzić obraz tamtej wiercącej się pod nim zmysłowej kobiety i zagłuszyć dźwięk swego imienia, wyrywający się z nieprzyzwoicie pełnych warg. Wstrzelili się z tym romansem pomiędzy jej drugie a trzecie małżeństwo. Wszystko trwało zaledwie kilka miesięcy, a potem nastąpił jeszcze krótki wybuch namiętności po odejściu męża numer trzy. Po korekcie oczu, lecz przed ostatnim wszczepieniem implantów, no i zdecydowanie przed pojawieniem się na scenie lana Crosbiego. John zastanawiał się, czy dojdzie między nimi do kolejnego nawrotu gorących uczuć, kiedy szanowny doktor odzyska rozum i wróci do żony. Spekulował, co się czuje, mając piersi z silikonu i usta powiększone kolagenem. Dziwił się, czemu kobiety decydują się na takie straszne rzeczy, dlaczego tak chętnie, wręcz skwapliwie zmieniają się w chodzące bohaterki komiksów.

Szkielety i komiksy - podsumował w myślach, kiedy zadzwonił telefon. Przechylił się ponad biurkiem i podniósł słuchawkę.

- Weber - rzucił, zamiast „halo”.

- O świetnie! - Usłyszał głos żony. - Jesteś tam jeszcze. Uśmiechnął się. Wreszcie co do jednego jesteśmy zgodni - pomyślał.

- A co chodzi?

- Zastanawiałam się, co chciałbyś zjeść na kolację. Natychmiast dopadło go poczucie winy; za złe myśli o żonie, za romans z Kerri Franklin, za szukanie pretekstów, aby nie wracać do domu.

- Nie wiem. Może...

- Pomyślałam, że mógłbyś po drodze przywieźć coś z McDonalda. Przez całe popołudnie pokazują w telewizji reklamę mcchicken sandwich. Narobili mi apetytu.

John potarł krawędź nosa, podrapał się po wysokim czole i głośno wypuścił powietrze z płuc.

- Trudno powiedzieć, o której dotrę do domu - zaczął, z ulgą patrząc, jak na parking wjeżdża biały, naj-

nowszy model cadillaca. Wysiedli z niego Howard i Judy Martinowie z bardzo poważnymi minami. Wyraźnie coś się stało. Na pewno będzie musiał zostać i dowiedzieć się, o co chodzi.

- Wygląda na to, że czeka mnie trochę roboty... Połączenie zostało przerwane.

- Dziękuję za zrozumienie - powiedział John do głuchej słuchawki i jednocześnie skinieniem ręki zaprosił Martinów do biura.

- Howard... Judy - powitał ich, podnosząc się i wskazując dwa brązowe fotele z wysokimi oparciami przed biurkiem. - Jakiś problem?

Siadając z powrotem, zreflektował się, że pytanie było nie na miejscu.

Widział usztywnioną sylwetkę Howarda, Judy nerwowo skręcającą chusteczkę w palcach o wymanicurowanych paznokciach i strach czający się w ich jednakowo błękitnych oczach. W szkole średniej stanowili najbardziej urodziwą parę i dwukrotnie zostali wybrani na króla i królową balu; tego osiągnięcia jak dotąd nikt nie powtórzył. Potem Judy wygrała wiele innych lokalnych konkursów piękności, otrzymując tytuł Najpiękniejszej w Broward County, Królowej Cytrusów oraz drugiej wicemiss Florydy. Później wyszła za Howarda, a jej brązowe, zaczesane do góry włosy do dziś wyglądały tak, jakby czekały na koronę. Nawet z przesadnym makijażem - usiłował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział ją nieumalowaną - była piękną kobietą.

Howard, wysoki, szczupły i w młodzieńczy sposób przystojny, wziął żonę za rękę i mocno uścisnął jej drżące palce.

- Chodzi o Lianę. Nigdzie jej nie ma.

- Nie ma? Od kiedy?

- Od wczoraj.

- Od wczoraj?

- Najwyraźniej nie wróciła ze szkoły do domu. -Najwyraźniej? - podchwycił John, sądząc, że się przesłyszał. Judy i Martin byli troskliwymi rodzicami.

Skoro jedno z ich dzieci nie wróciło poprzedniego dnia ze szkoły, dlaczego tak długo zwlekali ze zgłoszeniem?

- Byliśmy w Tampie - wyjaśniła cicho Judy, jakby czytając w jego myślach. - Howard miał tam sprawę do załatwienia, a Meredith brała udział w konkursie piękności junierek. Pomyśleliśmy, że można połączyć... - Głos odmówił jej posłuszeństwa. Wbiła wzrok w okno ponad głową Johna.

- Zadzwoniliśmy wczoraj wieczorem do domu - włączył się Howard - ale chłopcy słowem nie wspomnieli, że Liana nie ma w domu. Pewnie uznali, że była ze swoim chłopakiem, i nie chcieli narobić jej kłopotów.

- Wróciliśmy dzisiaj około drugiej - dodała Judy. - Pomyśleliśmy, że wszyscy są w szkole. Ale kiedy Liana nie zjawiała się do piątej, zaczęłam się niepokoić. Spytałam chłopców, czy siostra mówiła, że będzie w domu później, i wtedy oni wyznali, iż wczoraj nie wróciła ze szkoły.

Natychmiast zadzwoniłam do Petera. Powiedział, że też jej nie widział.

- Do Petera? - John chwycił za pióro i zapisał coś w notatniku. To zaczynało wyglądać poważniej, niż z początku sądził, chociaż był przekonany, że wszystko wyjaśni się pomyślnie w stosunkowo krótkim czasie.

- Petera Arlingtona. Chodzą ze sobą od mniej więcej dwóch miesięcy.

- Cały czas się kłóca - dopowiedział Howard, kręcąc głową. - Co rusz zrywają ze sobą, potem się schodzą i znowu rozstają.

- Wiesz, jak to jest z tą szczenięcą miłością - dodała Judy zdławionym głosem.

John skinął głową, chociaż - prawdę mówiąc - nie wiedział. Nigdy tak naprawdę nie był zakochany.

- Peter powiedział, że ostatni raz widział Lianę wczoraj w szkole. Chyba znów się pokłócili, bo nie rozmawiali ze sobą, i dlatego do niej wieczorem nie zadzwonił. A ponieważ trochę źle się czuł, nie poszedł dzisiaj do szkoły.

John zmrużył powieki, usiłując przypomnieć sobie Petera Arlingtona. Nie od razu skojarzył nazwisko.

- Uwierzyliście mu?

- Co masz na myśli?

John z zazdrością odnotował, że Howardowi nie przerzedziły się włosy, jedynie posiwiały odrobinę na skroniach. Zestarzeje się z wdziękiem i z godnością - pomyślał, wychylając się w fotelu i czując przy tym, jak nadmiar ciała w okolicy pasa bezczelnie napiera na krawędź biurka.

- Ten dzieciak, Peter, wierzycie mu?

- Nie zastanawiałem się nad tym - wyznał Howard. - Zwyczajnie założyłem, że mówi prawdę.

- Dlaczego? - spytała Judy. - Sądzisz, że kłamie?

- Nie wiem. - John wrzucił nazwisko Petera Arlingtona w komputer na biurku i odetchnął z ulgą, gdy ekran pozostał pusty - No, dobrze, nie ma go w systemie.

- Co to oznacza?

- Nigdy nie był zatrzymany, nie siedział w areszcie.

- Och nie. Liana nigdy nie zadawałaby się z kimś takim - zapewniła Judy.

- No dobrze. Ustalmy fakty - powiedział John. - Czy po telefonie do Petera dzwoniście jeszcze do kogoś?

- Naturalnie. Obdzwoniłam wszystkie koleżanki Liany

- Czyli?

- Tanyę McGovern i Ginger Perchak. To jej przyjaciółki. Od nich zaczęłam.

John zanotował znane nazwiska. W zeszłym roku Tanya grała jedną z dwóch siostr Amber w szkolnym przedstawieniu Skrzypka na dachu. A Liana Martin grała drugą.

- A potem jeszcze zadzwoniłam do Maggie Mackenzie i Ellen Smythe. Skontaktowałam się nawet z Victorem Drummondem.

- Z Victorem Drummondem? - podchwycił ze zdziwieniem jej mąż. - Na miłość boską, po co dzwoniłaś do tego świra?

- No wiesz, w Skrzyпку na dachu grali kochanków, a potem jeszcze, na początku roku, pracowali wspólnie nad jakimś projektem dla profesora Petersona. Liana twierdziła, że Victor jest całkiem normalny i sympatyczny, gdy się go bliżej pozna, więc odniosłam wrażenie, że jakby go polubiła...

- Polubiła? O czym ty mówisz?

- ...no, to pomyślałam, że spróbuję...

- Nie była z nim - podsumował cicho John.

Judy przecząco potrząsnęła głową. Fryzura ani drgnęła.

- Nikt jej nie widział od zeszłego popołudnia. Tanya twierdzi, że wielokrotnie dzwoniła do niej na komórkę i zostawiła sporo wiadomości, ale Liana się nie odezwała.

- A wy sprawdziliście jej komórkę? - zapytał John, mimo że z góry znał odpowiedź.

- Ostatni raz dzwoniliśmy do niej z samochodu w drodze do ciebie - potwierdził Howard. - Nie odbiera.

- Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię. - Judy przygryzła drżącą dolną wargę. Oczy jej się zaszklily. Łzy niebezpiecznie zawisły na dolnych powiekach.

- Czy wcześniej zrobiła coś podobnego?

- Nigdy - zaprzeczyła stanowczo Judy.

- Nie twierdzimy, że jest ideałem - dodał Howard. - Bywa uparta i krnąbrna, ma niewyparzoną buzię, kiedy się wścieknie, ale ogólnie to dobry dzieciak.

- Czy przychodzi wam do głowy jakiś powód, dla którego mogłaby uciec z domu?

- Uciec? - zdziwiła się Judy. - Od czego?

- Mielicie w domu jakieś problemy?

- Jakiego rodzaju?

John nie znosił, kiedy ludzie odpowiadali pytaniem na jego pytania.

- Może coś ją wyprowadziło z równowagi? Albo rozgniewało? Może wyznaczyliście godzinę powrotów do domu? - podsunął, zanim zdążyli zapytać, co ma na myśli.

- Nie miała wyznaczonej godziny. Nic nie wytrąciło jej z równowagi ani nie zdenerwowało. Nie było żadnych problemów.
- Czy bywała niespokojna, jakby trochę przygnębiona?
- Niespokojna? Przygnębiona? - powtórzyła Judy.
- No, sama mówiłaś, że pokłóciła się ze swoim chłopakiem...
- Ciągłe się kłócili - zbagatelizował Howard. - Dla nich to gra wstępna.
- Do czego zmierzasz? - Judy zwróciła się do Johna, marszcząc z przygnębienia swe zawsze gładkie czoło. - Myślisz, że mogła coś sobie zrobić?
- Dzieciaki w tym wieku są bardzo wrażliwe - odparł John, myśląc o Amber. - Jeśli coś przeżywała...
- Niczego nie przeżywała - uciał Howard.
- Powiedziałyby wam, gdyby tak było?
- Mnie by powiedziała - stwierdziła Judy. - Chybaby mi powiedziała - poprawiła się, już nie tak pewnie.
- Czy istnieje możliwość, że jest w ciąży? - zapytał cicho John, licząc, że łagodnym tonem zrównoważy potencjalną eksplozję po drugiej stronie biurka. Wiedział z doświadczenia, że rodzice, nawet ci o najbardziej liberalnych poglądach, niechętnie dopuszczali do siebie myśl o erotycznym życiu własnych dzieci.
- Skurwysyn! - Padło całkiem wyraźnie, chociaż Howard Martin zaklął pod nosem, zakrywając usta.
- Brała tabletki - wyjawiała Judy po paru sekundach.
- Co?! - zapytał jej mąż.
- Ma osiemnaście lat - przypomniała mu Judy. A potem dodała z naciskiem: - Liana nie była niespokojna. Ani przygnębiona. Nie zaszła też w ciążę. I na pewno nie targnęłyby się na życie.
- No i nie zniknęłyby ot, tak sobie, nie informując nas.
- Zajrzeliście do jej komputera? - chciał wiedzieć John.

- Do komputera?

- Sami wiecie, ile te dzieciaki spędzają czasu, serfu-jąc po Internecie.

Może poznała jakiegoś faceta na czacie. - Po raz drugi tego popołudnia John złapał się na myśleniu o Kerri Franklin. Czyż nie poznała doktora Crosbiego właśnie w ten sposób? Tak przynajmniej plotkowano.

Któregoś dnia Amber po powrocie ze szkoły podekscytowana wyrzuciła z siebie, że mąż pani od angielskiego zostawił ją dla matki Delilah Franklin i nigdy byście nie uwierzyli, jak się poznali!

- Nie pomyślałem, żeby sprawdzić jej komputer - powiedział Howard. - Nawet nie znam hasła. A ty? - zwrócił się do żony.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Może chłopcy będą wiedzieć.

Howard natychmiast wyciągnął komórkę z kieszeni beżowej wiatrówki. Wstukał serię cyfr i czekał.

- Noah, znasz hasło siostry? - zapytał bez wstępów. - Tak, oczywiście, że do komputera - rzucił niecierpliwie. - Nie zabije cię - zapewnił. - Aleja mogę to zrobić, jeśli mi go zaraz nie podasz... Dobra. Dzięki. Jak rozumiem, nie odezwała się? - Zatrzasnął klapkę miniaturowego telefonu i wrzucił go do kieszeni.

- Jej hasło to Jell-0 i nic tam nie ma.

- Potrzebuję jej adresu e-mailowego.

Howard ponownie spojrział pytająco na żonę. Wyrecytowała go bezbarwnym głosem, który zdawał się dochodzić z innego pokoju.

- Jutro z samego rana każę się tym zająć jednemu z moich chłopaków.

- Czy nie można podjąć jakichś kroków już dzisiaj?

- Hmm, niedługo zacznie się ściemniać, ale wyślę patrol, niech się rozejrzą. - John dostrzegł cień rozczarowania w oczach Judy. - No i sam trochę powęszę - dodał pospiesznie, usiłując odegnać wizję zachodu, na który czekał. Rozumiał, że większość ludzi, zwłaszcza w takich miejscach jak Torrance, lubi czuć, że ma do

czynienia z kimś odpowiedzialnym. Odpowiedzialność za co? - zadumał się, pocierając górną wargę. Kiedy ostatnio czuł się za cokolwiek odpowiedzialny?

- Czy ona ma jakiś ulubiony bar? Miejsce spotkań?

- Merchant Mail - powiedziała Judy. - Ale już jest zamknięty.

-1 bywa u Chestera - dodał Howard, wymieniając nazwę baru i jednocześnie kęgielni, gdzie lubiły gromadzić się okoliczne nastolatki.

- Zjrzę tam. - John nigdy nie lubił tego miejsca. Bar prowadził Cal Hamilton, były ochroniarz z South Beach, którego żona wiecznie chodziła posiniaczona. - Czy brakuje jakichś jej rzeczy?

- Wszystkie ubrania są w szafie - zapewniła Judy. -Kompakty, kosmetyki i cała reszta leży na swoim miejscu. Nie ma tylko przyborów szkolnych i torebki, bo te widocznie zabrała ze sobą. Nie podejrzewasz chyba, że doszło do czegoś strasznego, co? - dokończyła na jednym oddechu, nie mogąc dłużej powstrzymać nurtującego ich oboje pytania. Niczym ponura wrona krążąca nad głową czekało tylko na okazję, aby zanurkować na podolek.

John zastanawiał się, jak odpowiedzieć na takie pytanie.

- Nie wiem - odparł, wybierając szczerą. - Mam nadzieję, że nie.

Zdecydowanie nie ma podstaw, żeby podejrzewać, iż stało się coś złego. Poza tym, że od ponad dwudziestu czterech godzin nie daje znaku życia - dopowiedział w myślach.

Odgadywał z ich poszarzałych twarzy, że pomyśleli o tym samym. W rzeczywistości większość zaginionych nastolatków to uciekinierzy z domu. W końcu odnajdują się, niezbyt skrzeszeni, a czasem nawet obrażeni i zawsze zdumieni, że swym zniknięciem wywołali tyle zamieszania. Tym razem chyba jednak było inaczej. To wszystko, co powiedzieli mu Martinowie, nie dawało podstaw do zakła-



dania, że Liana uciekła z domu. Była lubianą, dobrze funkcjonującą w środowisku nastolatka z mnóstwem przyjaciół i niewielką liczbą powodów do zmartwień. Oczywiście rodzice często ostatni dowiadywali się o prawdziwych problemach swych pociech, a więc poleci kilku funkcjonariuszom przeprowadzić prywatne rozmowy z przyjaciółmi Liany, no i osobiście zajrzy do Chestera przed powrotem do domu. Pauline nie będzie zadowolona. Jeśli dopisze mu szczęście, może zdaży zasnąć, zanim on się wśliznie do łóżka.

- Macie jakieś nowe zdjęcie córki? - zapytał. Judy sięgnęła do czerwonej skórzanej torebki.

- Mam to. Od początku go nie lubiła. Twierdzi, że ma na nim za duży nos, ale mnie się podoba, bo wygląda na nim na taką szczęśliwą.

Wysunęła z czerwonej ramki małą kolorową fotografię i podała ją ponad biurkiem. John uśmiechnął się do zdjęcia ładnej dziewczyny z blond włosami o lekko rudawym odcieniu. Ani matce, ani córce niczego nie brakuje - pomyślał. Nos Liany wydawał się większy niż w rzeczywistości, lecz jej uśmiech był promienny i szczery. Naprawdę wyglądała na szczęśliwą. Miał nadzieję, że w tej chwili też się gdzieś tak uśmiecha. Kiedy jednak chował zdjęcie do kieszeni, naszała go ponura refleksja, że to raczej płonna nadzieja.

- Wezmę je do Chestera. Może zajrzę też w parę innych miejsc, pokażę tu i tam, sprawdzę, czy ktoś ją widział. Jeśli nie wróci do rana, wydrukujemy ulotki i rozwiesimy po mieście.

- Czy powinniśmy zawiadomić media? - spytał Howard.

- W tej chwili nie jest to konieczne. - John omal się nie uśmiechnął. W Torrance nie było żadnych prawdziwych mediów, poza dwutygodniowym informatorem, w którym głównie podawano ceny produktów spożywczych, umieszczano reklamy oraz nekrologi.

Większość okolicznych mieszkańców prenumerowała „Sun-Senti-

nel" z Fort Lauderdale albo „Miami Herald". Jeżeli Liana nie pojawi się do końca tygodnia, zawiadomi obie gazety, a także szeryfów w obu miastach. Gdyby to okazało się konieczne, skontaktuje się też z FBI.

- Myślisz, że mogła zostać porwana? - zapytała Judy, kolejny raz czytając mu w myślach.

- Hmm, minęła doba, a nie dostaliście żadnego sygnału od porywacza - stwierdził John. - Sądzę, że do tej pory już by się odezwał.

- A jeśli nie chodzi mu o pieniądze... - zastanawiała się na głos Judy. - A jeśli jakiś szaleniec porwał moją córkę, jeśli...

- Judy, na miłość boską - przerwał jej mąż.

- Starajmy się myśleć pozytywnie - poradził John, chociaż niewiele pomogłoby to Lianie, gdyby rzeczywiście porwał ją jakiś szaleniec. Odnotował w pamięci, aby zapytać wszystkich przesłuchiwanym, czy w ostatnim czasie nie zauważyli w okolicy jakichś obcych, i że powinien uczulić na to swoich podwładnych. - Na razie - odezwał się, obchodząc biurko - wracajcie do domu i spróbujcie zachować spokój. Zadzwoń do was, kiedy się trochę rozejrzę. Tu macie mój numer telefonu. Dzwońcie natychmiast, jeśli cokolwiek przyjdzie wam na myśl. Obojętnie, o której godzinie.

- A jeśli jest ranna? Jeżeli leży gdzieś na poboczu?

- Rano zorganizujemy grupę poszukiwawczą - obiecał John. Wiedział jednak, że gdyby rzeczywiście tak było, długo przy miejscowej drodze by nie poleżała. Nie na darmo nazywano ją Alligator Alley.

Odprowadził Judy i Howarda do drzwi biura, obiecując zadzwonić, gdy się tylko trochę rozejrzy

- Znajdziemy ją - przyrzekł, gdy kolejny niepokojący obraz stanął mu przed oczami. Przypomniał sobie kobietę, która mniej więcej miesiąc temu siedziała zapłakana w jego biurze i nerwowo splatając dłonie na podołku, opowiadała bardzo podobną historię. Zlekceważył jej obawy - kobieta mieszkała w pobliskim Hendry County,

a więc zasadniczo poza jego rewirem. Poza tym - jak wyznała - jej córka, narkomanka, niejednokrotnie uciekała z domu, żeby zdobyć pieniądze na swój nałóg. Niezbyt się przejął tamtym zaginięciem, lecz gdy teraz patrzył na zrozpaczonych rodziców Liany, zaczął się zastanawiać czy przypadkiem obie sprawy się jakoś nie łączą.

Oglądasz za dużo telewizji - strofował się, usiłując usunąć z myśli obraz własnej córki, Amber, jej chudego ciała leżącego w nienaturalnej pozycji w przydrożnym rowie, z karkiem skrzyżowanym łapami jakiegoś szaleńca.

Potem energicznym krokiem opuścił biuro.

4

Torrance nie miało typowo miejskiej zabudowy; stanowiło raczej skupisko odizolowanych ulic, które mnożyły się i powstawały przez lata, oraz rozrzuconych farm, sadów i moczarów. Miasto liczyło cztery tysiące mieszkańców, głównie białych chrześcijan, będących na różnym poziomie socjoekonomicznym - od nieprzyzwoicie bogatych po beznadziejnie ubogich. Leżało tuż za skrzyżowaniem autostrady numer 27 z pasem ziemi 1-27, znanym jako Alligator Alley, godzinę jazdy samochodem na zachód od Fort Lauderdale. W samym centrum znajdowały się cztery banki, poczta, apteka, kilka restauracji, sklep ze sprzętem łowieckim i wędkarskim, lombard, salon odzieży damskiej, agencja ubezpieczeniowa oraz firma prawnicza. W witrynie tej ostatniej wypisany odręcznie srebrną, matową farbą slogan reklamował pełną gamę usług prawniczych zespołu złożonego z ojca, syna oraz ich mocno wykorzystywanego asystenta: ZAWSZE DO USŁUG, OD POZWÓW PO UGODY. Reszta miasta okalała centrum na podobieństwo kręgów na wodzie. W pobliżu wyrosła galeria handlowa Merchant Mail, z supermarketem, kinem, studium tatuażu i butikami -głównie z odzieżą z dzinsu. Nieco dalej znajdował się McDonald, Arby oraz KFC. A także bar U Chestera.

Bar należał do tych charakterystycznych miejsc dla wszystkich małych amerykańskich miasteczek. Drewniany budynek w odcieniu spokojnej szarości z białymi wykończeniami, odległy mniej więcej o milę od głównego pasażu, nie wyróżniał się niczym szczególnym. W dużym ciemnym wnętrzu panował zgiełk, wzmacniany przez pogłos od wysokiego, belkowanego sufitu i ciemnych drewnianych podłóg, a także z powodu nieustannego hałasu, który dochodził z zaplecza, gdzie grano w bilard.

Kelnerki w skąpych różowych szortach i w prowokacyjnych białych podkoszulkach z jaskraworóżowym napisem U CHESTERA, biegnącym w poprzek biustu, lawirowały z tacami z piwem i z przylepionym uśmiechem pomiędzy dużym barem oświetlonym neonówkami, boksami z polerowanego drewna oraz stolikami w pomieszczeniu z bilardem na tyłach.

W barze, którego nazwa pochodziła od nazwiska właściciela, sprytnego siedemdziesięciolatka o siwej czuprynie, smażące najlepsze hamburgery w mieście, zawsze było pełno. Można by pomyśleć, że wszyscy wpadają do Chestera, chociaż on sam w miarę upływu lat coraz chętniej trzymał się na uboczu i wołał siedzieć w kuchni, powierzając prowadzenie przybytku Calowi Hamiltonowi. Opinie na temat Cala Hamiltona wśród lokalnej społeczności były bardzo podzielone.

Niektórzy, głównie mężczyźni, widzieli w nim nadętego nudziarza; inni, przeważnie kobiety, uważali go za pewnego siebie i pociągającego. Ta druga grupa najwyraźniej nie dostrzegała sińców na ramionach i twarzy jego ładnej żony, bo przecież zawsze znajdują się kobiety, które pociągają tak zwani niegrzeczni chłopcy. Zamiast widzieć w nich często niebezpiecznych brutali są przekonane, że potrafiłyby zmienić niegrzecznego chłopca w przyzwoitego mężczyznę.

John Weber pchnął ciężkie dwuskrzydłowe drzwi wejściowe i mrużąc oczy, rozglądał się po ciemnym lo-

kalu w poszukiwaniu znajomych twarzy. W Torrance mieszkała cała galeria ludzkich typów. Co dla jednych stanowiło kwintesencję raj, dla innych było piekłem. Dzięki temu miasteczko nie różniło się od innych, dużych czy małych miast w Ameryce. A może i na świecie -skonstatował Weber.

Piekło to inni ludzie - przypomniał sobie słowa żony, chociaż nie potrafił odtworzyć okoliczności, w jakich je wypowiedziała. Popęłił błąd, posługując się tą sentencją w trakcie nerwowej wymiany zdań z nauczycielem dramatu Amber, Gordonem Lipsmanem, podczas wywiadówki jesienią. Gość pokiwał protekcyjnie dużą głową i odpowiedział, że jest tres zdumiony, iż miejscowy szeryf potrafi cytować Sartre'a. I zaraz wygłosił ponad półgodzinny wykład na temat filozofii egzystencjalnej. Na szczęście zagadnął go inny ojciec, bo John zaczął poważnie rozważać konsekwencje ulokowania kuli pomiędzy zezowatymi oczami tego nadętego dupka.

- Szukasz kogoś, szeryfie, czy mam wskazać stolik?

John odwrócił się w stronę, skąd dochodził znajomy głos, i odruchowo zacisnął pięści, widząc beczelnie przystojną twarz Cala Hamiltona. Na widok tego typu twarzy: o śniadej cerze, z nieobecnymi, twardymi jak kamyki oczami, zdecydowanie kontrastującymi z miękko falującymi jasnymi włosami, z małym, zadartym nosem, z pełnymi, okrągłymi policzkami, z wygiętymi w ironicznym grymasie ustami, które kryły komplet zdumiewająco drobnych zębów podobnych do ziaren kukurydzy -zawsze swędziały go pięści, mimo że potężne mięśnie wypychające rękawy czarnego podkoszulka Cala ostrzegały, że lepiej zachować spokój i przyjacielską postawę. Chodziły pogłoski, że Cal w czasach, gdy był bramkarzem w nocnym klubie w Miami, wysłał do szpitala niejednego faceta, chociaż nigdy nie trafił za to do aresztu ani nie ciążyły na nim żadne zarzuty. Przynajmniej John się żadnych nie doszperał.

- Chciałbym wiedzieć, czy przypadkiem nie widziałeś ostatnio Liany Martin? - zapytał John.

- Liana Martin... - Cal zmrużył oczy na dźwięk nazwiska.

John wyjął z kieszeni zdjęcie. Odkrył, że ciekawa może być obserwacją wysiłku, jaki pewnym ludziom sprawia myślenie. Niektórzy, tak jak Cal Hamilton, przymykają powieki. Inni marszczą brwi i ściągają usta, jakby ssali cytrynę. Czasami pukają palcem w czubek nosa. A niekiedy robią to wszystko naraz albo po kolei.

- Podobno bar U Chestera to jedno z jej ulubionych miejsc.

- Czyżby? W takim razie popatrzmy. - Cal wziął zdjęcie, poszedł z nim do dużego baru i oglądał pod czerwonymi i złotymi światłami neonówek. -

No jasne. Poznaje ją. Ciągłe przychodzi tu z przyjaciółmi.

- Kiedy ostatnio ją widziałeś?

Cal potrząsnął głową. Pukiel jasnych włosów opadł mu na szerokie czoło.

- Chyba w weekend.

- Mógłbyś być bardziej precyzyjny?

- Prawdopodobnie w sobotę - uściślił Cal, znowu mrużąc oczy. - O co chodzi? Ma jakieś kłopoty?

John wychwycił nutkę pełnego nadziei oczekiwania w głosie Cala, jakby myśl o młodej dziewczynie, która ma kłopoty, budziła w nim najniższe instynkty. Postanowił uchylić rąbka tajemnicy.

- Nikt jej nie widział od wczorajszego popołudnia. Cal obojętnie wzruszył ramionami.

- Wiadomo, smarkacze - stwierdził ironicznym tonem, zwracając zdjęcie Johnowi. - Pewnie się bzyka ze swoim chłopakiem.

- Jej chłopak nie wie, gdzie jest.

Cal przyciągnął podbródek do szyi i wzniosł oczy, co John wziął za oznakę sceptycyzmu.

- Cóż, za bardzo bym się tym nie przejmował. Myślę, że wróci za kilka dni. Wspomnisz moje słowa.

John omal się nie roześmiał. Czy ludzie jeszcze mówią takie rzeczy, jak: wspomnisz moje słowa?

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Sprawdziłeś, szeryfie, jej znajomków?

John westchnął mimo woli. Zarówno on, jak i kilku jego zastępców spędzili ostatnie dwie godziny na rozmowach z większością przyjaciół Liany. We wszystkich domach, które odwiedził, dostawał takie same odpowiedzi na swoje pytania. Nikt nie widział dziewczyny od poprzedniego popołudnia. Nikt nie miał pojęcia, gdzie może być.

Wszyscy byli zmartwieni. To niepodobne do Liany, żeby zniknęła, nie mówiąc o tym nikomu słowa - twierdzili zgodnie.

- Mogę cię czymś poczęstować, szeryfie? - zaproponował Cal. - Zdaje mi się, że zimne piwo dobrze ci zrobi.

W pierwszej chwili chciał odmówić, ale zmienił zdanie. Cal miał rację.

Dobre, zimne piwko to dokładnie to, czego potrzebował, no i praktycznie był po służbie. Formalnie skończył pracę w chwili wyjścia z biura, a wszystko, co robił później - całe to jeżdżenie po domach w rozrzuconych dzielnicach mieszkalnych i w bocznych uliczkach oraz rozmowy z przyjaciółmi i z sąsiadami Liany - odbyło się kosztem jego czasu wolnego. Wcześniej zadzwonił do domu, lecz Pauline nie podniosła słuchawki (zaleta wyświetlacza numerów), a kiedy wreszcie udało mu się uchwycić Amber na komórkę, usłyszał, że mama ogląda film w telewizji i wydała jasne instrukcje, żeby jej nie przeszkadzać. Zapytał córkę, czy jadła kolację, a ona odparła, że nie jest głodna. Postanowił kupić do domu kilka hamburgerów na wypadek, gdyby udało mu się namówić Amber na wspólny posiłek, choć w głębi duszy wiedział, że to stracona sprawa. Do diabła, pewnie dlatego tak przytył w ostatnich latach. Im córka mniej jadła, tym więcej sam pochłaniał, jakby opychał się za nich dwoje. Im bardziej córce zapadały się policzki, tym bardziej sam

się zaokrąglął na twarzy; im bardziej spłaszczał się jej brzuch, tym bardziej jego się uwydatniał. Jeśli Amber wkrótce nie zacznie jeść, on niedługo pęknie.

- Wezmę budweisera light - zwrócił się do Cala. -I zapakuj mi kilka hamburgerów. Najlepiej cheesburgery z bekonem – uściślił.

- Przysiądź. - Cal machnięciem ręki wskazał mu dopiero co zwolniony boks po lewej stronie baru. - Budweiser light dla szeryfa! - rzucił do rudowłosej kelnerki, która kołysząc biodrami, przechodziła w pobliżu.

-Przekażę twoje zamówienie Chesterowi.

John wsunął zdjęcie Liany do kieszeni koszuli, odprowadzając wzrokiem Cala, który dumnym krokiem zmierzał do kuchni z kciukami zatkniętymi za kieszenie czarnych dżinsów. Coś w wystudiowanym, niedbałym chodzie (jakby wiedział, że jest obserwowany) źle szeryfa do niego usposobiło. Cal wraz z żoną przeprowadzili się do Torrance dwa lata temu, co -nawiasem mówiąc - wydawało się dość niezwykle, bo żadne z nich nie miało tu krewnych i oboje byli bez pracy. Czemu para młodych ludzi miałyby osiąść w tak hermetycznej społeczności jak Torrance? Chyba że przed czymś uciekali albo się przed kimś ukrywali. John przez chwilę rozważał możliwość, iż zostali objęci programem ochrony świadków, lecz w końcu uznał ją za nieprawdopodobną. Tacy ludzie zazwyczaj starali się nie rzucać w oczy. Co prawda żonę Cala, Fionę, rzadko widywało się na mieście inaczej niż przyklejoną do boku męża, ale on sam zdecydowanie nie należał do nieśmiałych. Źródłem większości pogłosek krążących wokół szalonej przeszłości Cala Hamiltona był sam Cal Hamilton. Oczywiście, o ile nie zmyślał.

- Cześć, szeryfie! - zagruchał głosik, a palce z długimi, jaskrawoczerwonymi paznokciami postawiły przed nim na stole szklanicę schłodzonego piwa. - Widać, że miałeś dziś ciężki dzień.



John natychmiast wyciągnął z kieszeni na piersi zdjęcie Liany Martin i podał je kelnerce o nienaturalnie rudych włosach.

- Widziałaś ostatnio tę dziewczynę? - spytał.

Kelnerka nachyliła się, żeby lepiej się przyjrzeć. Piersiami z umyślnie wyeksponowanym rowkiem musnęła go po policzku. Uczucie napięcia poniżej paska spodni tak go zaskoczyło, że omal nie przewrócił szklanki.

- Uważaj na piwo, skarbie - powiedziała kelnerka, a John skrzywił się z niesmakiem na tę poufałą uwagę z ust dziewczyny, która mogłaby być jego córką. - Taak, widziałam ją. Dobrych parę dni temu. O co chodzi? Coś jej się stało?

- Zniknęła - wyjaśnił John tak samo, jak trochę wcześniej jej szefowi. - Mogę cię o coś prosić? Pokaż to zdjęcie koleżankom, spytaj, czy ktoś jej nie widział.

- Jasne. - Kelnerka wzięła zdjęcie i zniknęła w ciżbie.

Kilka minut później zobaczył, jak podsuwa fotografię barmanowi, a młody człowiek przecząco kręci głową.

- Nie będzie łatwo - wymruczał w szklankę. Jak mu obiecano, piwo było dobre i zimne. Oto człowiek dotrzymujący słowa - pomyślał, obserwując Cal, który podrywał przy barze ładną młodą kobietę. Jego ręka prowokacyjnie zatrzymała się na jej wypiętych pośladkach, mimo że ślubna obrączka połyskiwała na odpowiednim palcu lewej ręki. John zauważył, że kobieta nie próbuje odsunąć jego dłoni. Co prawda nigdy nie uważał się za człowieka pruderyjnego i zdecydowanie nie był wzorem wierności, ale nie podobała mu się swoboda, z jaką Cal afiszował się ze swymi awansami. Zdrada to jedna sprawa, a czymś innym jest obnoszenie się z wyskokami i demonstracyjne okazywanie niewierności.

John pociągnął długi łyk piwa. Nigdy nie rozumiał kobiet. Charakter jego matki składał się z

samych sprzeczności; w jednej chwili cicha i stonowana, w dru-

giej wpadała w szal. Dzisiaj zdiagnozowałby ją jako „osobę afektywnie dwubiegunową”, lecz gdy dorastał, mówiło się o niej „wariatka”. Jedno jest pewne: ojciec szybko stracił cierpliwość do tych zmiennych nastrojów oraz nieprzewidywalnych zachowań. Całkowicie poświęcił się pracy, a kiedy krótko po czterdziestce umarła na raka piersi, wszyscy orzekli, że to nieszczęście błogosławione w skutkach. Natomiast Johnowi brakowało jej poczucia humoru i ciętego dowcipu. Ojciec ożenił się po raz drugi w niespełna rok po śmierci pierwszej żony, tym razem z kobietą zupełnie pozbawioną poczucia humoru (przynajmniej John absolutnie go nie dostrzegał). Natomiast ojciec wyraźnie był z nią szczęśliwy. Jeszcze jedna tajemnica, jaką niesie życie. Szeryf duszkiem wychylił pół szklanki piwa. Widać, że mężczyzna też do końca nie rozumiał. Może wybrał sobie zły zawód.

- Nikt jej nie widział - oznajmiła kelnerka, wracając do stolika po mniej więcej dziesięciu minutach. - Zapytałam nawet kilku klientów - dodała, kręcąc przy tym głową, jakby chciała powiedzieć: „Nic z tego”.
- Dzięki! - John wysączył resztkę piwa i odstawił pustą szklankę kelnerce na tacę. Ta szybko zastąpiła ją pełną.
- Na koszt firmy - poinformowała, zanim zdążył zaprotestować.

A co tam - pomyślał. Czemu nie? Dwa piwa oznaczały, że będzie musiał posiedzieć tu trochę dłużej, zanim wsiądzie za kierownicę radiowozu. Spojrzał na zegarek. Było już po dziewiątej. Posiedzi nad piwem jeszcze przynajmniej z pół godziny, a potem ponownie zadzwoni do Martinów, bo kontaktował się z nimi wcześniej, żeby zdać relację z rozmów z przyjaciółmi Liany, a później pojedzie do domu. Przy odrobinie szczęścia Pauline będzie już spała. Myśl, że musiałby wdać się z nią w jałową rozmowę albo - co gorsza - kochać się, działała depresyjnie.

Przytknął do ust drugą szklanę. Kiedy myśl o kochaniu się zaczęła wprawiać go w przygnębienie? Kiedy seks przestał odprężać i stał się pańszczyzną, kolejnym obowiązkiem? Nie zawsze tak było. Wcale nie tak dawno sama myśl o seksie pomagała mu przetrwać dzień. I nieistotne, że nie kochał żony - właściwie nigdy jej nie kochał - że nigdy nikogo naprawdę nie kochał. Nigdy nie mylił pożądania z miłością. Ale przez długi czas seks z Pauline go zaspokajał. Kiedy przestał mu wystarczać? Był jeszcze stosunkowo młody. Ta kelnerka tutaj udowodniła, że nadal łatwo i nawet wbrew chęci potrafił się podniecić. Na czym więc polegał jego problem? Czemu tak trudno było o erekcję, gdy w grę wchodziła jego żona?

Wiedział, że nie może przypisać całej winy Pauline. Kiedy wyczuła, że błądzi myślami gdzie indziej i słabnie jego zainteresowanie, robiła, co tylko można, żeby uatrakcyjnić współżycie. Kupowała seksowną bieliznę, obstawiała łóżko i wannę perfumowanymi świecami, proponowała, by wypróbowali nowe pozycje, wspomniała nawet, żeby przyniósł do domu kajdanki. Na początku działało, a potem przestało. Na pewno Pauline przejmowała się tym, co się stało z ich intymnym życiem, ale przynajmniej umiała zachować pozory. Żałował, że nie potrafi udawać podniecenia i orgazmu, lecz mężczyźnie przychodzi to trudniej niż kobiecie. Fantazje na niewiele się zdadzą, nie można zmusić zwiędłego penisa do akcji. Pauline było łatwiej. Przecież ona tylko sobie leżała.

- Przepraszam! Szeryf Weber?

Zimna szklanka omal nie wysunęła mu się z ręki.

- Przepraszam, nie chciałam pana przestraszyć. Odwrócił się w stronę, skąd dochodził dziecinny głos, i zobaczył córkę Kerri Franklin, Delilah, wpatrzoną w niego z powagą wielkimi jak spodki, piwnymi oczami. Wykręcił się jeszcze bardziej, żeby sprawdzić, czy stoi za nią matka. Nie stała.

- Delilah - odezwał się, podnosząc się z miejsca. - Co słyhać?
- W porządku. - Wspięła się na palce, rozglądając się po ciemnej sali. - Nie widział pan przypadkiem mojej matki?
- Twojej matki? Nie. A co się stało? Jest tutaj? -John, wciągając brzuch, spojrzał w stronę pomieszczenia z bilardem.
- Nie. I w tym problem. Nie wiem, gdzie jest. Wyszła pod wieczór kupić babci Rose lekarstwo na serce i jeszcze nie wróciła do domu. Babcia zaczęła się denerwować, więc powiedziałam, że pójde jej poszukać. Pan jej nie widział?
- W głowie Johna odezwał się dzwonek alarmowy. Najpierw uciekinierka z Hendry County, potem Liana Martin, a teraz Kerri Franklin?
- Nie - powiedział do siebie w duchu, obdarzając Delilah najbardziej uspokajającym z uśmiechów. Dziewczyna z Hendry County to zwykła uciekinierka. Zapewne tak samo jest z Lianą Martin. A Kerri Franklin była z matką w tak dobrych układach jak nigdy, natomiast dolegliwości sercowe starszej pani nie zmieniały się od lat. Kerri zapewne wpadła w aptecę na jakichś znajomych i nie spiesząc się do domu, wstąpiła na kawę. Kawa przeciągnęła się do kolacji, może potem poszli do kina. Znajdzie się w swoim czasie. Podobnie jak Liana Martin i tamta dziewczyna. Jak jej było na imię?
- Candy - zadźwięczał mu w uszach głos jej matki, gdy wyjęła zdjęcie drobnej dziewczyny o spłoszonych, ciemnych oczach. - Tak naprawdę ma na imię Harlene. Harlene Abbot. Ale nie cierpi tego imienia. Wymyśliła sobie Candy. Powiedziała, że lepiej do niej pasuje. Tak, wiem, szeryfie Weber, nieraz przedtem znikła, i wiem też o narkotykach i o mężczyznach, ale tym razem jest inaczej. Wiem, że to co innego.
- Dlaczego tym razem jest inaczej?

- Bo obojętnie, gdzie znika i jak długo jej nie ma, zawsze dzwoni do mnie w urodziny. A tym razem nie zadzwoniła. Mam urodziny pierwszego marca, przez cały dzień siedziałam w domu i czekałam, lecz się nie odezwała.

- PaniAbbot...

- Szeryfie, coś jej się stało. I nikt nie chce mi pomóc...

- Szeryfie Weber?

- Tak? Och, przepraszam. - John powrócił do terażniejszości. Delilah Franklin wpatrywała się w niego wyczekująco.

- Słyszałam, że pan wypytywał o Lianę Martin.

- Widziałaś ją?

Delilah energicznie pokręciła głową.

- Nie widziałam jej od wczoraj. Myśli pan, że coś jej się stało?

- Mam nadzieję, że nie. Dobrze ją znasz?

- Hmm, od początku chodzimy do jednej klasy, ale raczej się nie przyjaźnimy. Wie pan, jak to jest. Liana jest bardzo lubiana. I całkiem miła. Nie taka jak niektóre dziewczyny. Dobrze mnie traktuje. Lubię ją -podsumowała Delilah, podkreślając te słowa skinieniem głowy.

- Czy kiedykolwiek wspominała ci o jakichś kłopotach w domu lub o problemach ze swoim chłopakiem?

- Och, nic takiego by mi nie powiedziała. O takie sprawy musiałby pan zapytać Ginger albo Tanyę.

Już to zrobiłem - mruknął w myślach, uznając, że najwyższy czas zbierać się do domu.

- Szeryfie? - odezwała się ponownie Delilah swym osobliwie dziecinnym głosem, patrząc na niego z wyraźnym niepokojem. - Pan chyba nie myśli, że mamie przytrafiło się coś złego, prawda?

- Myślę, że twoja mama najpewniej jest już w domu i zamartwia się o ciebie na śmierć -odparł John, dopijając piwo i kładąc na stole napiwek dla kelnerki. -Chodź. Podrzucić cię do domu?

- Fajnie by było. Dzięki. To kawał drogi. Szczególnie po ciemku. -  
Delilah uśmiechnęła się nieśmiało.

John Weber wziął ją pod łokieć i prowadził do drzwi.

- Ojej! - sapnęła, zatrzymując się gwałtownie i odwracając, wyraźnie zaczerwieniona mimo ciemności.

- Co jest?

- To profesor Peterson.

- Profesor Peterson?

- Mój nauczyciel przedmiotów ścisłych. - Ruchem głowy wskazała na mężczyznę siedzącego w narożnym boksie.

Władczym gestem obejmował dziewczynę, która musiała być od niego o kilka dziesiątków lat młodsza. Wyraźnie wyglądała na rozdrażnioną.

- Z kim jest?

Delilah pokręciła głową.

- Nigdy jej przedtem nie widziałam, ale chodzą różne słuchy.

- Jakie słuchy?

- Że on lubi znacznie młodsze kobiety - wyszeptała konspiracyjnie, kiedy wyszli na zewnątrz. Byli niemal przed domem Delilah, gdy przypomniał sobie o hamburgerach. Żołądek głośnym burczeniem zmanifestował niezadowolenie, kiedy patrzył, jak Delilah otwiera drzwi skromnego piętrowego domu, a potem odwraca się i przeczącym ruchem głowy pokazuje, że matka jeszcze nie wróciła.

- Niedobry znak - stwierdził, odbijając od krawężnika i kierując się w stronę domu.

5

Delilah patrzyła na odjeżdżający samochód szeryfa z mieszaniną wdzięczności i żalu. Wdzięczności, bo nie musiała pieszo pokonać piętnastu przecznic z baru U Chestera do domu

- i tak zdążył ją zmęczyć długi spacer w tamtą stronę - i żalu, ponieważ szeryf odjechał.

Zawsze go lubiła. W przeciwieństwie do mnóstwa ludzi w Torrance okazywał jej wyłącznie sympatię i zawsze z przyjemnością z nim rozmawiała. Gdy zadawał pytanie, patrzył prosto w twarz, słuchał z uwagą, kiedy odpowiadała, i nigdy jej nie mówił, że byłaby całkiem ładną dziewczyną, gdyby zrzuciła kilka funtów. Prawdopodobnie dlatego, że sam sporo przytył, odkąd przestał się widywać z matką - pomyślała, zamykając za sobą frontowe drzwi i zastanawiając się, gdzie też ona może być.

Oficjalnie nic nie wiedziała o ich romansie. Kerri -jak matka kazała się nazywać, twierdząc, że dzięki temu czuje się młodsza, choć Delilah domyślała się, iż raczej było jej wstyd, że urodziła takie nieudane dziecko - nigdy otwarcie nie przyznała się do romansu z żonatym policjantem, mimo że stanowił w Torrance tajemnicę poliszyneła. Czasami tylko rzucała mało subtelne aluzje - a to, że lubi mundurowych, a to, że na razie nie musi przejmować się mandatami - i na tym poprzestawała. Gdy szeryf Weber zjawiał się u nich w domu, twierdziła, że przyszedł urzędowo. Delilah nigdy nie kwestionowała jej wyjaśnień, nawet kiedy dzieciaki w szkole w niezbyt zawoalowany sposób komentowały ich romans, a babcia ostentacyjnie ogłosiła, że nie widzi sensu w wyrzucaniu pieniędzy na operacje plastyczne córki, skoro ta głupia dziewczyna marnuje ich efekt na żonatyh mężczyzn. Gdy wreszcie Kerri doszła do wniosku, że atrakcyjny wygląd jest ważniejszy od dobrego samopoczucia, romans z Johnem Weberem gwałtownie się zakończył. Krótco potem wyjechała do Miami, żeby powiększyć swe i tak już „odęte jak po uządleniu” usta. Delilah pogubiła się w liczbie operacji plastycznych, którym matka poddała się przez lata. Czasem, kiedy nie mogła zasnąć, liczyła je - to była taka jej własna, unowocześniona wersja zabawy w rachowanie baranów. Oprócz regularnych zastrzyków z botoksu i restylane zapamiętała korektę nosa, podciągnięcie brwi, liposukcję brzucha, a potem ud, kilka zabiegów usuwania zmarsz-

czek wokół oczu, dwukrotne powiększenie biustu (po pierwszym razie okazał się za mały) oraz lifting twarzy. Lifting był najgorszy, bo kiedy matka wróciła z kliniki, wyglądała, jakby przejechała ją ciężarówka. Na szczęście sińce wokół oczu oraz na dosłownie każdym centymetrze opuchniętej twarzy przybladły w ciągu kilku tygodni, a opuchlizna znikła i Kerri znowu wyglądała mniej więcej normalnie - cokolwiek to znaczyło, bo pojęcia „normalnie” i „Kerri Franklin” tworzyły oksymoron. Czy to naprawdę właściwe słowo? Delilah odnotowała w myślach, żeby zapytać o to profesor Crosbie. Polubiła ją. Nie tylko dlatego, że była dobrą nauczycielką i miłą osobą, ale również dlatego, że wyglądała tak, jak powinny wyglądać matki. To smutne, lecz Delilah ledwo pamiętała, jak naprawdę kiedyś wyglądała jej matka. Ta w naturalny sposób piękna, młoda kobieta, z dumą trzymająca w ramionach noworodka na zdjęciu w rodzinnym albumie, była dla niej kimś zupełnie obcym.

Podczas gdy Delilah lubiła przeglądać stare rodzinne albumy, zarówno matka, jak i babka tego nie znosiły. Z przyjemnością oglądała plażowe zdjęcie babci dumnie rozpartej na leżaku niczym na tronie, z pulchnymi kolanami na wysokości podbródka. Bawił ją widok dziadka paradującego dla żartu w słomkowym kapeluszu babci czy Kerri i jej dwóch sióstr skaczących przez wysokie fale.

Dziadek już nie żył, podobnie jak najstarsza siostra matki, Lorraine. Druga siostra, Ruthie, dziesięć lat temu przeniosła się do Kalifornii i rzadko się z nimi kontaktowała. Zostały więc tylko we trójkę: Delilah, matka i babka. Nieświęta trójca - jak żartem mawiała Kerri. A właśnie, gdzie ona jest?

- Kerri, to ty? - Doszedł ją z salonu głos babki.

- Nie, babciu. To ja.

- Och!

W głosie babki zabrzmiał nieskrywany zawód. Szczerze mówiąc, nigdy nie starała się ukryć rozczarowania



jedyną wnuczką. Delilah weszła do zagraconego salonu. Trudno powiedzieć, czemu sprawiał takie wrażenie. Nie było tu porzrzuconych książek czy gazet, bo ani babka, ani matka nie czytały niczego poza czasopismami z modą, i właściwie panował porządek. Jednak przytłaczał tu nadmiar przedmiotów. Wszędzie siedziały lalki w koronkowych strojach: na szczycie oparcia skórzanej sofy, na fotelu z brązowej skóry, na telewizorze i na małych stolikach po obu bokach sofy. Na środku pokoju, na ławie ze szklanym blatem, obok najnowszego wydania „yogue” leżał niewielki stos czasopism „In Shape”. W jednym rogu stała przeszklona mahoniowa serwantka, a obok wysoki zegar, nieczynny od lat. W serwantce była wystawka z naczyń z przezroczystego różowego i zielonego szkła z lat trzydziestych i cała kolekcja starych porcelanowych figurek babki, które ta nazywała antykami, a matka rupieciami. Zwierzyła się Delilah, że powyrzuca „cały ten kram” - jak zwykła mawiać - gdy tylko babka Rosę odejdzie.

Kerri zawsze używała określenia: „odejść”, nie „umrzeć”. Mówiła także „kopnąć w kalendarz” i „wyciągnąć nogi”, ale nigdy w obecności babki, według której takie lekceważące sformułowania były świętokradztwem. Delilah wiedziała, że matka znosi humory i fochy babki, bo ma nadzieję odziedziczyć jej pieniądze. Dobra - pomyślała dziewczyna. Niech będzie: „odejść”. Może nawet by się roześmiała, gdyby babcia Rose, siedząc tam, nie miała takiej miny, jakby właśnie wdepnęła w gniazdo śpiących węży. Czy to jest metafora? Porównanie? A może jedno i drugie. O to także musi zapytać profesor Crosbie.

- Jak się czujesz, babciu? - odezwała się Delilah, ostrożnie podchodząc. Babka siedziała na brzeжку środkowej poduszki sofy, ledwo sięgając podłogi spuchniętymi stopami w zdeptanych, różowych papciach, a duże, jakby męskie dłonie trzymała splecione na podołku. Rudawokasztanowe wło-

sy z siwym odrostem aż prosiły się o farbę. Twarz miała okrągłą o grubych rysach, oczy zimne i surowe. Czy babcie nie powinny być łagodne i dobre? Czy nie powinny witać wnuków z otwartymi ramionami i ze świeżo upieczonymi ciasteczkami?

- A jak myślisz., jak się mogę czuć? - usłyszała w odpowiedzi. - Zamartwiam się na śmierć.

- Mama lada chwila wróci - odparła Delilah, chociaż wcale nie była tego taka pewna. Właściwie, gdzie się ona podziewa? Czemu nie zatelefonowała? - Nie dzwoniła?

- Gdyby to zrobiła, czybym się martwiła?

- Chyba nie. - Delilah westchnęła głęboko, usiłując ukryć irytację. Starła się usprawiedliwiać powarkiwa-nie babki niepokojem o matkę, lecz szczerze mówiąc, był to typowy dla niej sposób komunikowania się. Nie dziwota, że Kerri chętnie znikła z domu. Nic dziwnego, że nie spieszyło jej się z powrotem. Trudno się dziwić, że w domu spędzała mnóstwo czasu przy komputerze, przedkładając ciszę internetowych czatów ponad ludzki jazgot. Jeśli ktoś warknie na ciebie w Internecie, można go po prostu wyłączyć.

- Wydawało mi się, że słyszałam, jak podjechał samochód.

- To był szeryf Weber. Podwiózł mnie z Chestera.

- To niedobrze - zrzędziła Rose. - Przydałoby ci się więcej ruchu. Delilah zmusiła się do uśmiechu i skierowała do kuchni.

- Przynieść ci coś, babciu? Colę? Sok? - spytała. Rose zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. I ty też nie powinnaś tego pić. Masz pojęcie, ile cukru jest w szklance coli? Mówią, że z sokiem pomarańczowym wcale nie jest lepiej. Wiedziałaś o tym?

- Tak, chyba już mi to mówiłaś.

Przynajmniej z pięćset razy - dodała w myślach, wchodząc do małej kuchni i wyjmując z głębi lodówki puszkę coli.

- Pij wodę - doradziła babka, jakby zaglądając jej zza pleców. - Powiadają, że należy wypijać co najmniej osiem szklanek wody dziennie. Wiedziałaś o tym?
  - To okropnie dużo - stwierdziła Delilah, podważając metalową zawleczkę na puszcze. Strumień gazu z bąbelkami coli połaskotał ją w nos. Podniosła puszkę do ust i z zadowoleniem pociągnęła spory łyk.
  - Głupia dziewczyna - wymamrotała Rose na tyle głośno, by zostać usłyszaną.
  - Na pewno na nic nie masz ochoty? Chyba zostało trochę lodów.
  - Boże, nie. Mówią, że po dziewiętnastej nie powinno się już nic jeść.
  - Kto mówi? - Delilah wróciła do salonu i ściskając puszkę coli z ponurą determinacją, klapnęła na brązowy skórzany fotel. Rozległ się syk powietrza, jakby mebel westchnął pod jej ciężarem.
  - Wszyscy - oznajmiła Rose stanowczo. - To powszechna wiedza. I uważaj z tą colą. Jeżeli wylejesz...
  - Nie wyleję.
  - ...będziesz musiała posprzątać - dokończyła babka, jakby nie słyszała jej słów. Obie zamilkły na kilka sekund.
  - A jak się ma szeryf Weber?
  - Dobrze.
  - Co on robił u Chestera?
  - Pił piwo.
  - Zapewne był bez żony.
- Delilah przytaknęła skinieniem głowy.
- Przyszedł służbowo.
  - Służbowo? - Babka uniosła cienką brew.
  - Liana Martin zaginęła. -Co?
  - Liana Martin. Dziewczyna z mojej klasy. Zaginęła.
  - Córka Judy Martin?
  - Chyba.

- Piękna kobieta. Kiedyś została miss Ameryki, wiesz?
  - Chyba nie miss Ameryki...
  - Jak to: zaginęła? - przerwała jej babka.
  - Nie wróciła na noc do domu i nikt jej nie widział od wczorajszego popołudnia. Minęło kilka sekund, zanim do Rose dotarła waga tych słów.
  - A co o tym myśli szeryf?
  - Nic nie wie.
  - Pewnie uciekła z domu - zbagatelizowała Rose, chociaż jej głos wcale nie zabrzmiał przekonująco. - Po co mi o tym powiedziałaś? - zapytała po chwili z pretensją. - Nie widzisz, że i bez tego się martwię?
  - Nie przejmuj się, babciu. Jestem pewna, że Liana się odnajdzie.
  - Na miłość boską, ja się nią nie przejmuję. Martwię się o twoją matkę. Jeśli jakiś szaleniec...
  - Chwila, babciu Rose. Czy ktoś tu mówił o szaleńcu?
  - Mam złe przeczucia.
  - Zaczynasz mnie przerażać.
  - A co cię może przerażać? Nawet szaleniec miałby tyle oleju w głowie, żeby się na ciebie nie rzucać.
- Momentalnie oczy Delilah wypełniły się łzami. A więc była taka odrażająca, że nawet szaleniec by jej nie dotknął. Przytknęła puszkę z colą do ust i nie odjęła jej, dopóki nie wysączyła ostatniej kropli. Do tego czasu łzy zdążyły wyschnąć. Wstała z fotela.
- Babciu, chcesz, żebym włączyła telewizor?
  - Nie. Nigdy nie ma w tym pudle niczego do oglądania. Może powinnaś wyjść na zewnątrz. Rozejrzeć się trochę.
  - Babciu, jestem zmęczona. Poza tym mama prawdopodobnie jest z doktorem Crosbie.
  - Nie. Dzisiaj są u niego dzieci. Chyba nie myślisz, że miała jakiś wypadek. Wiesz, że twoja matka nie należy do najlepszych kierowców.

- Myślę, że ktoś by zadzwonił. - Gdzie jest matka? Dlaczego nie zadzwoniła? - Babciu, a może byś się położyła? Jest późno i...
- ... i twojej matki nie ma w domu. A młoda dziewczyna zaginęła. I jak ja niby mam zasnąć, dopóki nie wiem, czy jest cała i zdrowa?
- Rozchorujesz się - ostrzegła ją Delilah, chociaż w ogóle w to nie wierzyła. Babka była jak żywioł. Niezniszczalna. Przetrwałyby Armagedon. Babka Rose i karaluchy. Dobra nazwa dla rockowej kapeli.
- Jeśli chcesz, możesz szykować się do spania - odezwała się babka. - Nie musisz dotrzymywać mi towarzystwa.
- Nie chcę zostawić cię samej.
- Nie ma sprawy. Przywykłam.

Delilah wzniosła oczy do sufitu, podeszła do kanapy i nachyliła się, żeby pocałować babkę w suche, zwiotczone czoło. Czy jej się zdawało, czy babka wzdrygnęła się pod dotykiem ust?

- Szeryf Weber prosił, żeby do niego zadzwonić, gdyby mama nie wróciła do północy - powiedziała i wyszła z pokoju.

- Do północy? - powtórzyła Rose takim tonem, jakby to było jakieś przekleństwo. - Do północy?

Gniewnie powtórzona słowo dogoniło Delilah na schodach i odbiło się od blad różowych ścian jej sypialni. Usiadła ciężko na wąskim łóżku, a pikowana, różowa kapa wzdęła się wokół jej obfitych bioder. Na podłodze leżał różowy dywan, w oknie wychodzącym na ulicę wisiały zasłonki w biało-różową kratkę, różowy abażur ocieniał białą, delikatną lampę stojącą na białej komódce, ręcznie pomalowanej w różowe kwiatki. Sztampowy pokój małej dziewczynki, pomyślała Delilah. Nie przeoczono żadnego stereotypowego chwytu. Nieważne, że jego mieszkanka już dawno wyrosła z lilipuciego łóżka i nie bawi się pluszakami ustawionymi

rzędem na półkach na książki. Liczyło się marzenie o kobiecej doskonałości - ideał. Tylko że Delilah bardzo dużo do niego brakowało. Już jako dziecko nie pasowała do tego pokoju. Co prawda po urodzeniu ważyła zaledwie sześć funtów, a potem była przeciętnym maluchem, lecz po drugim rozwodzie matki zaczęła przybierać na wadze i regularnie tyjąc, po ostatnich świętach Bożego Narodzenia doszła do stu sześćdziesięciu trzech funtów, co przy wzroście nieco ponad pięciu stóp i pięciu cali trudno było uznać za nadwagę - raczej kwalifikowało się jako otyłość.

Zerknęła ku oknu, trafiając spojrzeniem na komputer na biurku. Koledzy z klasy regularnie wypisywali o niej okropne rzeczy na swoich stronach internetowych. Przezywali ją, wymyślali wulgarne i sprośne uwagi o jej seksualności. Najgorszy był Joey Balfour. I Greg Watt. A pomyśleć, że kiedyś wydawał się sympatyczny. Gdy któregoś dnia przyszła do szkoły w nowej bluzce, naprawdę powiedział jej, że ładnie wygląda. Przez to jedno zdanie przez wiele tygodni chodziła wniebowzięta. Bez końca powtarzała w myślach ten komplement: Ładnie wyglądasz, ładnie wyglądasz - do chwili, kiedy słowa w końcu wypaczyły się i zlały jak na płycie CD, którą odtwarza się zbyt wiele razy. W dodatku tamte słowa dawno już zastąpiły inne, nowe.

Matka zawsze jej powtarza, że ma taką ładną twarz. Ma rację - stwierdziła Delilah, podnosząc się z łóżka i oglądając z uwagą swe delikatne rysy w wysokim, wolno stojącym lustrze obok szafy. „Musisz tylko zrzucić trzydzieści funtów” - zabrzmiał jej w uszach szept matki. Trzydzieści funtów. Trzydzieści funtów - powtórzyła, przedrzeźniając sposób mówienia babki. Wiedziała, że nawet trzydzieści funtów nie zadowoliliby babci Rose. Mogłaby się wyrzec coli i skończyć z jedzeniem po dziewiętnastej. Może zrzuciłaby trzydzieści, a nawet czterdzieści funtów, ale dla babki to

ciągle byłoby za mało. Przyszły jej na myśl magazyny mody, które matka pochłaniała z taką gorliwością, z jaką niektórzy ludzie czytają Biblię, oraz wypełniające ich lśniące strony wychudzone dziewczyny o zapadniętych oczach i odętych ustach. Wszystkie wyglądały jednakowo. Nie można ich było rozróżnić. Czy tego babka chciała?

Ja tego chcę - przyznała Delilah ze smutkiem. Chcę wyglądać jak inni. Być jak inni. Stać się niewidzialna. Niemal się roześmiała. O dziwo, przecież tak właśnie było. Z powodu tuszy nikt jej nie dostrzegał.

Gdyby tylko miała kogoś, z kim mogłaby pogadać. Przyjaciółkę. Albo siostrę. Zawsze pragnęła mieć siostrę, pomimo opowieści mamy o jej własnym dzieciństwie i o ciągłym współzawodnictwie wśród rodzeństwa o aprobatę ich matki, jakby babcia Rose była mistrzynią w antagonizowaniu sióstr. „Ciesz się, że jesteś jedynaczką” - powtarzała Kerri.

Gdzie ona jest? Wyszła do apteki około wpół do piątej, a już się zbliża dziesiąta. Może babcia Rose miała rację. Może doszło do wypadku. Może powinna zacząć wydzwaniać po okolicznych szpitalach. Może powinna wyjść i się rozejrzeć.

Rozległ się dzwonek telefonu.

- Możesz odebrać?! - zawołała z dołu babka. Delilah zbiegła po schodach i dopadła do słuchawki

na czwartym sygnale, mając nadzieję, że ten ktoś się nie rozłączył. Na litość boską, babka siedzi w pokoju obok

1 nie jest sparaliżowana - pomyślała, przykładając słuchawkę do ucha i modląc się, aby usłyszeć głos matki.

- Halo?

- Delilah - odezwał się bezbarwny głos.

Od razu odgadła, do kogo należał. Budził taki sam lęk jak osoba rozmówcy.

- Pan Hamilton - powiedziała.

Czyżby matka trafiła do Chestera, kiedy ona stamtąd wyszła? Czy teraz tam była? Czy coś się stało?

- Widziałem cię u nas - zaczął Cal Hamilton - ale wyszłaś, zanim zdążyłem z tobą pogadać.

- Delilah, kto to? - Babka stanęła w drzwiach. - Matka? Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

- Pan Hamilton - wyszeptała. - Czy coś się stało, panie Hamilton? Czy moja mama...

- Pomyślałem, że mogłabyś zajrzeć do nas w sobotę po południu i przez parę godzin dotrzymać towarzystwa mojej żonie - wszedł jej w słowo, jakby w ogóle nie słuchał, co mówi. - Muszę pojechać w jedno miejsce, a wiesz, jak bardzo Fiona nie lubi być sama.

- Oczywiście - przytaknęła, choć nie miała o tym pojęcia.

Podczas jej poprzednich wizyt w domu Hamiltonów Fiona wypowiedziała do niej może ze dwa słowa. To przypominało pilnowanie dziecka i ogólnie było zdecydowanie nieprzyjemne. Odmówiłaby, gdyby pan Hamilton nie wciskał jej dwudziestu dolarów za godzinę.

- Chce, żebym poszła do nich w sobotę... - zaczęła, odkładając słuchawkę, ale zobaczyła tylko plecy babki.

Usłyszały pisk hamulców samochodu na podjeździe. Delilah przymknęła powieki i odmówiła w duchu dziękczynną modlitwę.

- Cześć! - zawołała Kerri od drzwi. - Wszyscy w domu?!

Delilah odetchnęła z ulgą. Matka wróciła. Nic się nie stało. Nie miała wypadku. Nie porwał jej żaden szaleniec. I nieważne, że zniknęła na sześć godzin, że nie powiedziała nikomu, dokąd idzie, ani nawet nie zadzwoniła, żeby uprzedzić, iż nie wróci na kolację. Najważniejsze, że była już w domu.

-Gdzieś ty się podziewała, do jasnej cholery?! -wrzasnęła babka, wmaszerowując do salonu. -Zamartwiałyśmy się na śmierć!

- Nie przesadzaj - zbyła ją Kerri zniecierpliwionym machnięciem ręki z paznokciami w jaskrawoczerwo-



nym kolorze. Miała na sobie obcisłe rybaczki w czerwono-białą kratę, biały sweterek bez pleców z cienkiej wełenki, pod którym wyraźnie odznaczały się sutki. Długie platynowoblond włosy opadały na ramiona swobodnymi lokami. Czerwone paznokcie u nóg wystawały spomiędzy pasków czerwonych sandałów na jedenastocen-tymetrowych, cienkich obcasach.

- Uprzedzałam, że to może trochę potrwać. - Zamachała dużą, brązową torbą, w jakie pakują zakupy. - Nie wściekaj się na mnie. Przyniosłam prezenty.

- Gdzie byłeś? - zapytała Delilah.

- W domu towarowym Bloomingdale - wymruczała Kerri uwodzicielsko, sięgając w głąb torby.

W Bloomingdale - powtórzyła Delilah bezgłośnie. Najbliższy Bloomingdale był w Fort Lauderdale.

- Pojechałeś do Lauderdale?

- Chciałam kupić mojej dziewczynce jakiś ładny ciuszek. - Wyciągnęła śliczny sweterek z niebieskiej bawełny i przyłożyła do bujnego biustu. Delilah pomyślała, że w życiu nie widziała piękniejszego swetra.

- Jest cudowny. - Chwyciła go zachłannie i studiowała firmową metkę.

- Nie sądzę, abyś pamiętała o moich tabletkach na serce - odezwała się Rose.

- Oczywiście, że pamiętałam o twoich tabletkach. - Kerri szperała przez chwilę w czerwonej skórzanej torebce, po czym rzuciła matce plastikowy pojemniczek z lekarstwem.

- Dobrze, że nie były mi natychmiast potrzebne.

- Proszę bardzo - powiedziała Kerri.

Delilah sprawdziła rozmiar sweterka i poczuła, jak rozczarowanie boleśnie ukłuło ją w serce.

- Może być za mały - wyszeptała, zła na siebie za jękliwy ton.

- To emka.

- Ale ja noszę elkę.

- W takim razie - uśmiechnęła się matka - będziesz mieć motywację, żeby schudnąć parę funtów. - Wyciągnęła rękę po sweter. - Na razie ja go trochę ponoszę. A w ogóle, co słyhać? Czy coś mi umknęło?
- Liana Martin zniknęła - poinformowała ją Delilah, patrząc, jak Kerri wrzuca sweterek z powrotem do torby.
- Co to znaczy: zniknęła?
- Szeryf Weber twierdzi, że nikt jej nie widział od wczorajszego popołudnia.
- Kiedy rozmawiałaś z szeryfem?
- Wieczorem. Babcia Rose tak się martwiła, że kazała mi iść ciebie szukać.
- Naprawdę, mam - obruszyła się Kerri. - Przecież mówiłam, że to może potrwać.
- Nie wspomniałaś słowem, że jedziesz do Fort Lauderdale.
- To była spontaniczna decyzja. Poza tym jestem już dużą dziewczynką. Nie muszę się wечно opowiadać.
- Nie podobają mi się twoje spodnie - zrewanżowała się Rose.
- Powinnam zadzwonić do szeryfa Webera - wtrąciła Delilah. - Powiadomić go, że jesteś już w domu.
- Czemu ci się nie podobają?
- Wyglądasz w nich jak hippiska - odparła Rose.
- Naprawdę?
- A mnie się podobają - przyszła w sukurs matce Delilah.
- Akurat się znasz - rzuciła Rose.
- A co tam słyhać u szeryfa Webera? - spytała Kerri. - Rzeczywiście martwił się o mnie?
- Na tyle, że kazał mi zadzwonić, gdybyś nie wróciła do domu przed północą. Chyba się martwił z powodu Liany.
- Liany?
- Liany Martin - przypomniała jej Delilah.
- Córka Judy Martin - uzupełniła Rose. - To jest dopiero piękna kobieta!

- Tak uważasz? - zaciekawiła się Kerri. - Według mnie zawsze była dość pospolita. A ty co myślisz, kotku?
- Myślę, że jesteś od niej ładniejsza - powiedziała córka.
- Dziękuję ci, mój aniele. Widzisz, mamó? Delilah uważa, że jestem ładniejsza od Judy Martin.
- Czy wyskoczył ci pryszcz na brodzie? - zapytała Rose.
- Co? Gdzie? - Kerri podbiegła do małego lustra w holu. - O czym ty mówisz? Nic nie widzę. Delilah pokręciła głową i weszła do kuchni. I tak już będzie przez cały wieczór - pomyślała, podnosząc słuchawkę. Zadzwoiła do szeryfa, powiedziała, że matka wróciła, i przeprosiła, że niepotrzebnie go niepokoiła.
- Jest coś nowego w sprawie Liany? - zapytała.
- Nic - odparł.
- Nic - powtórzyła, słysząc odgłosy sprzeczki dochodzące z sąsiedniego pokoju. Wsłuchiwała się w nie na moment, a potem sięgnęła po łyżkę z szuflady, przystawiła do lodówki białe wiklinowe krzesło, wyjęła z zamrażalnika pojemnik z lodami i wyjadła do końca to, co w nim zostało.

6

## Z DZIENNIKA ZABÓJCY

Pamięć to zdumiewająca sprawa. Wspomnienia nas kształtują, stanowią tło codziennego życia, tworzą kontekst dla działań oraz dają racjonalne przesłanki do czasem problematycznych decyzji. To, kim jesteśmy dzisiaj, splata się nierozzerwalnie z pamięcią o tym, kim byliśmy wczoraj i jeszcze wcześniej w skomplikowanym wzorze gobelinu, jakim jest życie, gdzie wątki stanowią ważne wydarzenia z przeszłości, dotkliwie niedawne rozczarowania i pierwsza miłość. Albo nienawiść. Wyciągnij jeden wątek, a zobaczysz, jak całość się rozpada. Kto co zrobił i komu, w jakich potrawach gustujemy, ja-

kie różnorodne umiejętności posiadaliśmy, a jakich nie udało się zdobyć, jakie filmy lubimy, przy jakiej muzyce tańczymy, które gwiazdy filmowe cenimy, a których polityków - nie. Jeżeli nie pamiętamy tych, zdawałoby się, banalnych szczegółów, to kim właściwie jesteśmy? Nasze wspomnienia nas definiują. Bez nich nie mamy tożsamości. Jesteśmy nikim. Te żałosne stworzenia, które przeżyły własne wspomnienia i wyją, siedząc teraz w pustych szpitalnych korytarzach, krzyczą nie z powodu bólu niszczących organów, lecz na skutek cierpienia, jakim jest utrata wiedzy, kim są; ich uszy starają się wyłowić z własnego krzyku dźwięk znanego głosu.

Nie chcę, żeby tak się stało ze mną. Jeśli kiedyś zapadnę na alzheimera lub na jakąś inną równie okropną chorobę, mam nadzieję, że ktoś przyłoży mi broń do skroni i zastrzeli. Nie wątpię, że Liana Martin z chęcią wyświadczyłaby mi tę przysługę, ale, niestety, nie będzie miała okazji.

Zapewne słyszeliście, jak ludzie ciągle powtarzają, aby żyć dzisiejszym dniem. Uważam, że to dobra rada. Pamiętaj o wczorajszym dniu, lecz żyj dzisiejszym. Tak jest, to moje nowe motto. Należało to powiedzieć Lianie Martin. Żyj dniem dzisiejszym, Liano, bo co się stało, już się nie odstanie, i nigdy nie wiadomo, co się potem zdarzy. No nie, to nie do końca prawda. Bo ja wiem. Wiem, co się potem wydarzy.

Mówi się też, że należy tak przeżywać dzień, jakby miał być ostatnim. Jeszcze jedna dobra

rada, choć nie sądzę, aby Liana Martin ją doceniła.

Ciekawe, jakie wspomnienia przywoływała ostatniego wieczoru. Czy były radosne, czy smutne? Czy ją choć trochę pocieszyły?

Osobiście mam wiele nieprzyjemnych wspomnień. Na przykład w wieku pięciu lat o mało nie spotkała mnie śmierć w basenie sąsiadów. Były urodziny Robby'ego

Warrena, moja matka była zajęta i nie mogła tam ze mną pójść, więc zaprowadziła mnie ciotka, która wiecznie kręciła się w pobliżu. Nadal ją widzę, jak flirtuje z ojcem Robby'ego, opychając się tartinkami na brzegu basenu. Lubicie tartinki? Bo ja tak. Kurczę, one są z prawdziwym masłem. Dlatego tak smakują.

Ale do rzeczy: Było naprawdę gorąco i w basenie chlupała się kupa dzieciaków, straszliwie hałasując. A dorośli plotkowali i popijali, i nie wydaje mi się, że lemoniadę, chociaż ciotka tak właśnie z uporem utrzymywała. Twierdziła, że na pewno nie mogę pamiętać wydarzeń z tamtego popołudnia. Mówiła, że dzieci w tym wieku nie zapamiętują wszystkiego, szczególnie tak drobiazgowo. Nie chciało mi się jej przekonywać. Miała swoją prawdę. A ja mam swoją. W końcu to ona musiała żyć ze swoją prawdą.

Była taką krętaczką. Upierała się, że ani na chwilę nie spuszczała mnie z oka w wodzie. Twierdziła, że odwróciła głowę zaledwie na ułamek sekundy, a kiedy ponownie spojrzała na basen, już mnie nie było, więc uznała, że korzystam z toalety. Tak właśnie zawsze nazywała łazienkę. Uważała, że to brzmi bardziej dystyngowanie. Można ją było doprowadzić do szału, mówiąc: „Idę do ubikacji”. Do dziś widzę, jak ją skręca. Oczywiście, moje działanie było celowe.

No więc ciotka twierdziła, że poszła do domu mnie szukać. Ja jednak uważam, że weszła tam za ojcem Robby'ego Warrena. No i - oczywiście przypadkiem - tam się na niego natknęła i, jakby to była moja wina, podczas tych poszukiwań zamieniła z nim kilka słów, no i może rzeczywiście zmarudziła kilka sekund, ale na pewno nie dłużej, choć według słów innych ludzi wyłowiono mnie z wody po dobrej minucie. Trudno powiedzieć.

Prawda jest taka, że nie pamiętam dokładnie, ile to mogło trwać. Kojarzę jedynie, że któryś z dzieciaków mnie popycha, a ja tracę równowagę i nurkuję pod wo-

dę. Pamiętam smak chloru w ustach i szlamowatą ciepłą wodę wlewającą się w nozdrza. Pamiętam, jak włosy odlepiają się od głowy i pływają wokół niczym wodorosty. I to wszystko.

A potem nagle słyszę głosy, płacz i krzyki. Czyjeś pięści biją mnie po klatce piersiowej, ktoś odchyła mi głowę, na siłę rozwiera szczęki, zaciska nos, wdmuchuje w usta powietrze. Pamiętam, że się krztuszę i wypluwam wodę na czyjeś kolana. Przypominam sobie histeryczny płacz ciotki. Tak się zanosila, że poważnie myślano, czy nie zawieźć jej do szpitala. Wtedy ojciec Robby'ego Warrena spróbował ją uspokoić - zniknął z nią w domu na dobre dziesięć minut. W końcu doszła do siebie na tyle, żeby zabrać mnie do domu. A potem nagadała matce, że to wszystko moja wina. Matka stanęła po jej stronie i łajała mnie, potrząsając za ramiona aż do zawrotów głowy. Krzyczała, że trzeba było bardziej uważać. Wcale nie chodziło jej o mój wypadek, tylko o zepsute przyjęcie urodzinowe Robby'ego Warrena, bo prawdopodobnie więcej nas tam nie zaproszą. I co zrobimy w lecie, kiedy nadejdą prawdziwe upały i nie będzie się gdzie ochłodzić?

W rzeczywistości Warrenowie wyprowadzili się tamtego lata i w domu zamieszkali inni ludzie. Byli starzy, nie pływali, więc kazali zlikwidować basen. A potem wybrukowali całe podwórze, wyrwali trawę i całą resztę, bo stary pan Jakes powiedział, że nie ma siły na okrągło pielić chwastów. Stąd propozycja - nie tyle moja, ile matki - że się tym zajmę, lecz pan Jakes oświadczył, że żona jest uczulona na trawę, więc lepiej będzie położyć bruk. Starszy pan budził moją sympatię. Był potężny, burkliwy i zazwyczaj czymś wkurzony. Ale przynajmniej miało się pewność, na czym się stoi. Żadnego udawania, żadnych bzdur. Jak często można to o kimś powiedzieć?

Kiedy umarł, poszliśmy złożyć kondolencje pani Jakes. Matka kupiła w sklepie spożywczym placek z masłem orzechowym i udawała, że sama go upiekła. Nie-

potrzebnie się wysilała. Okazało się, że pani Jakes ma również alergię na masło orzechowe i nie może go jeść ani nawet trzymać w domu. No to przynieśliśmy ciasto z powrotem i sami całe zjedliśmy. Matka orzekła, iż to niemożliwe, aby pani Jakes była na tyle rzeczy uczulona; po prostu zadziera nosa, uważając się za lepszą od nas. Nigdy więcej z nią nie rozmawialiśmy. Kilka miesięcy później dzieci wywiozły ją do domu starców w Hallandale, a dom kupiła inna rodzina. Ludzie ci zerwali bruk i zrobili nowy basen, ale nigdy nas do siebie nie zaprosili.

Nie umiem pływać. Dobrze pływać. Woda zawsze napawała mnie lękiem. Do dziś przeraża. Działa tak podstępnie.

Chyba pod tym względem przypominam wodę.

Inne nieprzyjemne wspomnienie: coroczne wakacje w Pompano Beach z matką, dziadkami i oczywiście z ciotką. Zawsze były dla mnie torturą, głównie przez ciotkę, która zdawała się robić wszystko, żeby zmienić moje życie w piekło. Nic dziwnego, że jej mąż nie dożył czterdziestki. Prawdopodobnie był wdzięczny temu, co go zabiło. Jediną ucieczką od tej sekutnicy stanowiła śmierć.

Po wypadku w basenie ciotka zdecydowała, że koniecznie muszę nauczyć się pływać. Powtarzała wszystkim, którzy chcieli jej słuchać - a bardzo lubiła publiczne występy - że nie chciałyby widzieć, jak unoszę się na wodzie twarzą w dół w basenie motelowym albo jak groźny prąd powrotny wciąga mnie w głąb oceanu. Pragnęłyby jedynie odpoczywać i cieszyć się wakacjami -powtarzała aż do znudzenia. A więc gdy tylko dotarliśmy do motelu, załatwiła u ratownika, z którym na moich oczach się obściskowała, lekcje pływania. Próbował. Muszę mu to oddać. I w końcu udało mu się sprawić, że utrzymuję się na wodzie przez ponad trzy sekundy, a co do stylu - pływam wyłącznie pieskiem. Ratownik przekonywał, iż nigdy nie nauczę się pływać poprawnie bez

zanurzania głowy, lecz po stanowczej odmowie usłyszał ode mnie, że nie zależy mi na poprawnym pływaniu.

To nie powstrzymało ciotki, która nigdy się nie nauczyła, kiedy należy odpuścić. Po prostu nie potrafiła zostawić mnie w spokoju. Nie umiała zrozumieć, że ktoś ma - na przykład - ochotę poczytać. Albo trochę porysować. Nie - ona, jak ktoś, kto z uporem maniaka zdiera strup, zanim zagoi się skaleczenie, ciągle się mnie czepiała, bez przerwy organizując długie wycieczki jachtem i wypadki na łowienie ryb na pełnym morzu, które zawsze przyprawiły mnie o morską chorobę. Jak na kogoś, kto twierdził, że omal nie umarł ze strachu po tamtym incydencie w basenie, zdumiewająco ochoczo pilnowała, aby trzymać mnie blisko wody. Któregoś roku wymyśliła, że wszyscy zaczniemy jeździć na nartach wodnych. Przekonywała mnie, że to łatwiejsze od jazdy na rowerze, która też sprawiała mi problemy. Nie wiem, czy moja zgoda była wynikiem chwilowej utraty zdolności do logicznego myślenia, czy dyplomatycznym posunięciem dla świętego spokoju. A może kusilo mnie, żeby spróbować, bo inne dzieciaki zdawały się sunąć po wodzie bez najmniejszego wysiłku. Czasem nawet odrywały jedną rękę od linki i z głową radośnie odrzuconą do tyłu machały do tych z zazdrością obserwujących ich z brzegu.

A więc w starannie zamocowanej kamizelce ratunkowej gramolę się na narty i czekam na start motorówki. „Trzymaj się!” - do dziś dźwięczy mi w uszach okrzyk ciotki, kiedy usiłuję się wyprostować. Ledwo udaje mi się podnieść z przysiadu, gdy impet pędzącej motorówki bolesnym szarpnięciem wyrywa mi linę z ręki, a ja, rozpaczliwie przebierając palcami w powietrzu, ląduję w słonej wodzie. Kamizelka boleśnie wrzyna mi się w podbródek, a narty jak korek wypływają na powierzchnię. - Ty wielki dzieciuchu! - powiedziała ze śmiechem ciotka, wciągając mnie na pokład. Śmiała się jeszcze przez całą powrotną drogę do motelu.



I tak mniej więcej było każdego roku. Nigdy nie zrezygnowała. „Gdzie jesteś, cykorze?! -wołała, szukając mnie pod wielkimi niebieskimi i czerwonymi parasolami rozstawionymi na plaży. - Chodź, tchórze. Teraz twoja kolej. Pokaż, co potrafisz". Doszło do tego, że rodzinne wakacje przerażały mnie bardziej od wizyty u dentysty.

Wspólne wyjazdy ustały dopiero po śmierci ciotki. Buu!

Nie będę się teraz o tym rozpisywać. Nie mam czasu. I tak sporo go poszło na te wspominki,

a tyle zostało do zrobienia. Cały harmonogram się rozsypał i muszę coś wymyślić, zanim się

rozwidni. Nawet teraz mam małe pole manewru. Nie mogę ryzykować, że ktoś się zorientuje,

iż mnie nie ma. Wiadomość o zniknięciu Liany Martin przemknęła przez Torrance jak wąż

przez trawę. Wszyscy są porządnie wystraszeni.

Będzie jeszcze gorzej, gdy odkryją ciało.

Czy była już mowa o tym, że Liana nie żyje?

I że cały mój plan legł w gruzach?

„Legł w gruzach" - czyż to nie cudowne określenie?

Pierwotny plan przewidywał, że wrócę w nocy, zabawię się, wykończę ją, a potem zakopię na mokradłach parę mil stąd. Ale wiecie, jak to bywa z najbardziej perfekcyjnymi planami. Idiota nazwiskiem Ray Sutter wypił o kilka piw za dużo i wpakował się samochodem w rów na poboczu drogi, tuż obok miejsca, gdzie spoczywa Candy, więc zjawiała się pomoc drogowa, żeby go wyciągnąć, no i zebrali się gapie. (W takim mieście jak Torrance to już jakaś rozrywka). Dobrze, że nikt mnie nie zauważył. Ale przecież nigdy się mnie nie zauważa. Dobrze też, że zwłoki Candy zostały starannie zakopane. „Jeśli już coś robisz, rób to porządnie" - mawiała ciotka. Z drugiej strony w tym wypadku wszystkich głównie interesował stary, poobijany czerwony Chevrolet stojący po koła w błocie. Lepiej było stamtąd zniknąć i wrócić dopiero wtedy, gdy pomoc drogowa zrobiła

swoje i wszyscy się rozeszli. Jeszcze słyszę echo słów żony Raya Suttera, gdy w ciemnościach wydziera się na niego, bez końca powtarzając: „A nie mówiłam!”. W tym przypadku jestem po jej stronie. Uważam, że ludzie, którzy jeżdżą po pijanemu, przynoszą wstyd i stanowią zagrożenie. Według mnie powinno się ich rozstrzeliwać. W każdym razie grób Candy pozostał nienaruszony. Dziewczyna dalej spoczywa w pokoju. A może raczej należy powiedzieć: w kawałkach? Niewątpliwie już dawno dobrały się do niej robaki i różne inne stworzenia.

Tak czy owak nie dane mi było wrócić do domu prawie do czwartej nad ranem. Liana zapadła w pełen majaków sen, co zepsuło mi trochę zabawę. Wydaje mi się, że na mój widok z początku odczuła ulgę. Otworzyła szeroko oczy. Jej usta ułożyły się na kształt słabego uśmiechu. Przecież nie ma przed sobą jakiegoś szpetnego potwora toczącego ślinę, w brudnych, poplamionych krwią łachmanach. (Czyżby rodzice Liany Martin nigdy nie czytali jej bajki o wilku w owczej skórze?). Nie, wyglądam schludnie i przyzwoicie, mówię łagodnie, żeby ją uspokoić, i zapewniam, że jeśli będzie ze mną współpracować, może znajdzie się wyjście z tego trudnego położenia.

Oczywiście ona nie miała nic w ustach od trzydziestu sześciu godzin (ku pamięci - muszę kupić kilka butelek wody i schować w pokoju na wypadek nieprzewidzianych okoliczności), była słaba i zrozpaczona, i dlatego skłonna przystać na wszelkie moje propozycje, licząc, że w ten sposób uratuje życie. Nadal brała pod uwagę taką możliwość (ludzki mózg zdaje się mieć nieograniczoną zdolność do tworzenia iluzji).

Wierzmy w to, w co chcemy, bez względu na dowody, i Liana Martin rozpaczliwie wierzyła, że ujdzie z życiem. No więc daję jej trochę wody i pół kanapki, którą trzymam w lodówce, a ona to wszystko pochłania (pamiętacie moje spostrzeżenia o fenomenie ludzkiego apetytu?). Potem siedzimy i rozmawiamy. O różnych

rzeczach. Opowiada mi o swoich rodzicach, o tym, że jej tata jest grubą rybą w Bank of America, a mama została kiedyś miss w konkursie piękności, ale zrezygnowała z korony i wyszła za mąż. I że ma dwóch młodszych braci oraz siostrę Meredith, która - chociaż zaledwie sześciolatka - już się zrobiła nieznośna, bo wszyscy wokół się zachwycają, że jest taka śliczna, a matka ciąga ją po całym stanie i zgłasza do konkursów piękności. I właśnie jej rodzice wyjechali z siostrą na konkurs do Tamy i może nawet nie wiedzą o jej zniknięciu. I wtedy uderza w płacz.

Była już mowa o tym, że dziewczyny zawsze płaczą.

Oczy tak jej napuchły, że ledwo je widać. I zrobiły się czerwone, bo je tarła. Szkoda, bo oczy są chyba największym atutem Liany. A tusz rozmazany na policzkach nie dodaje uroku. Już wyglądała jak posiniaczona i pod-puchnięta, a przecież nikt jej nawet nie dotknął. No to pytam, dlaczego nie używa wodoodpornego tuszu, a ona patrzy na mnie, jakby mi odbiło. Chce wiedzieć, jaki to dzień. Ile czasu tu siedzi.

Wyjaśniam, że jest środa rano, a siedzi tu od popołudnia w poniedziałek. Mówię, że chcę jedynie pobyc z nią trochę sam na sam, a potem pozwolę odejść, gdy efektywnie wykorzystamy czas.

Czy różni eksperci nie przekonują wiecznie, by wykorzystywać czas efektywnie?

- Opowiedz mi o sobie - zachęcam, siadając obok na pryczy - takie rzeczy, jakich nikomu dotąd nie mówiłaś.

Z początku się waha, lecz powoli zaczyna się rozkręcać. Wyjawia, że dręczą ją takie same niepokoje jak wszystkich, że nie dorównuje urodą matce i młodszej siostrze, że ma za duży nos i za obfite biodra i że zawsze się obawiała, iż nie sprosta oczekiwaniom.

- Jakim oczekiwaniom? - pytam, a ona wzrusza ramionami, jakby sama nie wiedziała. Opowiada o swoim chłopaku Peterze i o tym, że wszyscy wokół uważają ich za ładną parę, ale ona już go tak

bardzo nie lubi, bo bywa dla niej nieprzyjemny. I znowu wybucha płaczem. Pytam, czy kochała się z Peterem. A ona na to, że to nie moja sprawa. Taka odpowiedź mi się nie spodobała i musiała dostrzec moje niezadowolenie, bo natychmiast zmieniła zdanie i powiedziała, że tak, oczywiście, kochali się. Chcę wiedzieć, jakie rzeczy razem robili i czy kochali się ustami. Powiedziała, że ona czasem tak, ale Peter nigdy tego nie zrobił. Mówię jej, że to fatalnie. Prawdziwy mężczyzna użyłby ust. Pytam, czy Peter jest jej pierwszym facetem. Zaprzecza ruchem głowy. Zahaczam o pierwszy raz: z kim, jak, czy bolało i czy potem żałowała. Jest wyraźnie wstrząśnięta. Poznaje to po jej oczach, po nerwowo rzucanych spojrzeniach, jakby teraz, kiedy trochę podjadła, napiła się i odzyskała nieco siły, rozważała możliwość ucieczki, chociaż dokąd niby miałyby uciekać, tego nikt nie wie. Niemniej odpowiada na moje pytanie. Myślę, że się boi, co będzie, jeżeli przestaniemy rozmawiać, więc woli spełniać moje życzenia. Mówi, że straciła cnotę, gdy miała trzynaście lat, i tak, rzeczywiście bolało, ale tylko przez moment, i że nie, niczego nie żałowała. Chłopak był synem ich sąsiadów, nazywał się Erie Weir. Miał szesnaście lat i zaraz po szkole zaciągnął się do wojska. Bardzo szybko wysłali go do Afganistanu, gdzie zginął od kuli snajpera zaledwie tydzień przed planowanym powrotem do domu. Pytam, czy kiedykolwiek o nim myślała. Twierdzi, że nie, chociaż żal jej, że zginął. Chcę wiedzieć, z iloma facetami spała. Mówi, że z czterema. Próbuje też o coś mnie pytać, ale nie daję się wciągnąć. Podkreślam, że tu ja zadaję pytania. I wtedy się wścieka, zaczyna obrzucać mnie obelgami (nie pamiętam dokładnie, jakimi, bo staram się zamykać na wulgarne słowa). Stwierdzam wówczas, że nic nie zyskam, utrzymując ją dłużej przy życiu. Wyciągam pistolet. Wtedy całkowicie traci głowę. Boże, trudno na-

wet zrozumieć, co mówi, bo tak szybko wyrzuca z siebie słowa. Nagle przeistacza się w tamtą pierwszą dziewczynę, Candy, i obiecuje mi, co tylko zechcę.

- Chcesz, żebym zrobiła to ustami? - pyta pomiędzy innymi nieprzyzwoitymi rzeczami, o jakich tu nawet nie zamierzam wspominać. I wtedy dostaje w twarz kolbą pistoletu. Pada pod ciosem jak długa, a lewy policzek nabrzmiwa jak bania. Zdumiewające, jak szybko to cholerstwo napuchło. Teraz byście tego nie mogli zobaczyć, bo kula odłupała połowę czaszki, ale uwierzcie mi - to było niewiarygodne. Może to zabrzmie dziwnie w świetle tego, co się stało, lecz mam wrażenie, że Liana zaczynała mnie lubić -przynajmniej odrobinę. Z drugiej strony należy pamiętać o nieograniczonych możliwościach mózgu do tworzenia iluzji. Może to była tylko gra, próba ugłaskania mnie, żeby widząc w niej ludzką istotę, a nie przedmiot, z litości pozwolić jej odejść. Gdzieś napisano, że tak właśnie należy się zachowywać, gdyby przypadkiem zostało się zakładnikiem. Może Liana przeczytała ten sam artykuł. Najwyraźniej trudniej jest zabijać ludzi, gdy się w nich dostrzeże ludzkie istoty. Śmieszne, jak mało ludzi zasługuje na to miano. Ale już po ptakach. Czy nie tak się mówi? Czy to metafora? Ta przynajmniej miałaby sens. Znaczy tyle, że co się stało, już się nie odstanie. Liana nie żyje i znikła. Hmm, nie znikła, i w tym właśnie sęk. Żeby rozwiązać ten problem stosunkowo szybko, muszę wrócić, zanim się wszyscy pobudzą. Zazwyczaj rano o tej porze jestem jeszcze w łóżku, a ludzie zapamiętują odchylenia od typowych zachowań. Nie chcę, aby jakieś drobne uchybienie w planie nie dawało mi później spokoju. Tak więc ciało Liany jak najszybciej musi znaleźć się pod ziemią. Nie mogę ryzykować, zostawiając je tutaj. Nawet przy tych niższych temperaturach niedługo się zacznie rozkładać. Już niewidoczne czerwce żerują na

poszarpanej tkance; wolę nie myśleć, w jakim stanie będzie pod wieczór. W takim razie zawinę ją, zaniosę do bagażnika i poszukam odpowiedniego miejsca, gdzie można się jej pozbyć. Właśnie, MOVE BITCH.

Niewątpliwie odpowiednie czynniki za kilka godzin zaczną organizować ekipy poszukiwawcze. Może się zgłoszę. Spełnię obywatelski obowiązek. Może nawet przypadkiem odnajdę ciało. Eureka! Tutaj! Chyba coś mam.

Oczywiście nie mogę pozwolić, aby zbyt szybko ją znaleźli. Jaka byłaby z tego radość? Może gdzieś pod koniec tygodnia. Tak, żeby zepsuć wszystkim weekend. Jest na co czekać!

7

- Ciężki dzień?

Sandy stanęła w drzwiach ciasnego gabinetu Rity Hensen i przyglądała się, jak szkolna pielęgniarka opatruje krwawiący palec uczennicy z pierwszej klasy, którą ktoś niechcący, a może celowo popchnął na szafkę w szatni. Czternastoletnia pierwszoklasistka już górowała wzrostem nad czterdziestotrzyletnią kobietą, która w kłapkach na koturnach mierzyła zaledwie pięć stóp. Miała tak pogodną i skora do uśmiechu twarz, że człowiek, chcąc nie chcąc, też się do niej uśmiechał, nawet jeśli nie miał na to ochoty.

- Ciężki tydzień - poprawiła ją Sandy, gdy uczennica zsunęła się z kozetki i wyszła z gabinetu, rzucając w kierunku Rity ledwo słyszalne „dziękuję”.

- Jak to się mówi: „dzięki Bogu jest piątek”. - Rita Hensen wprowadziła Sandy do gabinetu wielkości szafy i zamknęła drzwi.

- Masz ochotę wybrać się później na drinka?

- Nie mogę.

- Na pewno? Wyglądasz, jakby przydała ci się transfuzja.

- Skoro o tym mowa, czy pokazał się u ciebie Victor Drummond?

- Hrabia Drakula? Nie. A miał przyjść?

Zaniepokojona Sandy pokręciła głową. Victor nie pojawił się w szkole od wtorku, kiedy wysłała go do Rity w związku z raną na przedramieniu.

Greg Watt także był nieobecny od

paru dni, za to wrócił Peter Arlington. No i Liana Martin dotąd się nie odnalazła. To szczególnie wzbudzało niepokój. Z tego, co Sandy o niej wiedziała - szczerze mówiąc, raczej niewiele, bo uczennica rzadko wносиła coś odkrywczego - dziewczyna nie była ani specjalnie odważna, ani na tyle przedsiębiorcza, żeby uciec z domu, nie mówiąc o tym nikomu słowem. Pomimo demonstracji brawury (MOVE BITCH) Sandy widziała w niej typową dziewczynę z prowincjonalnego miasteczka o mieszczańskich poglądach. Przez parę lat będzie odgrywać niezależną twardzielkę, po czym z wdziękiem podąży w ślady matki, wyjdzie młodo za mąż i będzie sprawnie reprodukować w zatrwającym tempie przyszłe królowe piękności. Jeśli nawet marzy o życiu poza Torrance, nie przyznaje się do tego. Przecież to tylko marzenia, a one są jak bańki mydlane - pękają w palącym porannym słońcu i znikają bez śladu. Jak Liana Martin. Gdzie ona jest? Co się z nią stało?

Szeryf Weber zorganizował ekipę poszukiwawczą i całe miasto przetrząsało bezskutecznie teren od środy rano. Sandy pomyślała, aby zgłosić się do ekipy na weekend, jeżeli Liana do tego czasu się nie odnajdzie. Czy możliwe, aby porwał ją jakiś szaleniec? Przez chwilę się zastanawiała nad pogłoskami krążącymi po mieście, po czym z powątpiewaniem pokręciła głową. Bardziej prawdopodobne, że uległa czarowi jakiegoś internetowego amanta i teraz wstydzi się wrócić do domu. Coraz dziwniejsze rzeczy zdarzają się na świecie - pomyślała z niesmakiem, widząc oczami wyobraźni własnego męża z Kerri Franklin.

- Co jest? - zapytała Rita.

- Właśnie przyszła mi na myśl Liana Martin - powiedziała Sandy. Nie do końca kłamstwo, lecz też nie cała prawda.

- Mam nadzieję, że jest cała i zdrowa. - Rita z roztargnieniem popatrzyła na wiszącą na ścianie tablicę do badania wzroku.

Sandy zastanawiało, jak znosi to matka Liany. Spróbowała postawić siebie na jej miejscu. Jak by się czuła, gdyby to Megan zaginęła?

Odsunęła od siebie tę myśl, potrząsając głową. Zbyt okropne, żeby się nad tym zastanawiać.

- Jak się Brian zachowuje na lekcjach? - Rita niespodziewanie zapytała o syna. - Jak go oceniasz?

Chociaż pielęgniarka usiłowała nadać głosowi obojętny ton, Sandy wyczuła w nim niepokój.

- W porządku. Któregoś dnia dyskutowaliśmy o metaforach i był bardzo dociekliwy.

- Mój syn dociekliwy?

Sandy przytaknęła skinieniem głowy.

- Sądzę, że ma sporo przemyśleń.

- O Boże!

- Masz jakiś problem z przemyśleniami?

- Wiesz, co on mi powiedział? - odpowiedziała pielęgniarka pytaniem.

Sandy nie była do końca pewna, czy chce usłyszeć, co mówił syn Rity.

- Co? - spytała jednak.

- Ostatnio nie najlepiej sypia. Zrywa się w środku nocy, snuje się po domu, wychodzi na dwór na papierosa. Usiłowałam go odwieść od palenia, ale... - Kobieta wzruszyła ramionami. - A któreś nocy nie odpuściłam i ubłagałam go, żeby powiedział, co go nurtuje, a on na to...

-Zamilkła i głęboko westchnęła. - Oznajmił, że według niego w powietrzu jest za mało tlenu. Sandy zapewne parsknęłaby śmiechem, gdyby nie łzy, które napłynęły do dużych, piwnych oczu Rity.



- Że w powietrzu jest za mało tlenu?

- On się przejmuję takim rzeczami - wyjaśniła Rita, unosząc bezradnie ręce i powracając spojrzeniem do tablicy do badania wzroku na ścianie w drugim końcu gabinetu. -Przestraszyłam się nie na żarty. Z powodu jego ojca. Wiesz...

Sandy wiedziała, że mąż pielęgniarki, również Brian, cierpiał przez wiele lat na depresję i w końcu trzy lata temu popełnił samobójstwo. Chodziły pogłoski, że to syn po powrocie ze szkoły odkrył zwłoki ojca zwisające z prysznica, ale Rita nigdy tego głośno nie potwierdziła.

- Na chłopców w tym wieku - ciągnęła - trzeba szczególnie uważać.

Sandy pokiwała głową, myśląc o własnym synu. Szesnastoletni Tim, odkąd sięgała pamięcią, był potwornie nieśmiały. Rzadko się uśmiechał, jeszcze rzadziej się śmiał, a najrzadziej nawiązywał przyjaźnie.

Klasyczny typ samotnika: wrażliwy, introwertyczny i o artystycznych skłonnościach. Wolał muzykę klasyczną od popu, teatr od kina i książki od koszykówki, co czyniło go naturalnym celem ataków osobników pokroju Grega Wat-ta i Joeya Balfoura. Na szczęście był synem nauczycielki, miał ładną, lubianą, a do tego bystrą i towarzyską siostrę, więc prześladowcy zostawiali go w spokoju. Na razie.

- Mówi się, że jeśli uda ci się doprowadzić ich do trzydziestki, mają duże szanse na przeżycie

- powiedziała Rita.

- Wszystko będzie dobrze - odrzekła Sandy, usiłując uspokoić zarówno siebie, jak i ją. Pochyliła się, wyciągnęła z pudełka chusteczkę higieniczną i delikatnie osuszyła oczy pielęgniarki.

- Właśnie, dość tego. Naprawdę pomyślałam, że mogłabyś mi potowarzyszyć wieczorem. Umówiłam się i trochę się denerwuję.

- Umówiłaś się?

- Na randkę w ciemno. Próbowalaś kiedyś?

- Tylko raz. Kiedy miałam piętnaście lat. Totalna klęska.
- No to teraz rozumiesz, dlaczego się denerwuję, więc dotrzymasz mi towarzystwa - orzekła Rita.
- Nie mogę.
- Niby dlaczego?
- Bo to twoja randka. Dziwnie by wyglądało.
- W takim razie zadzwonię do niego i zapytam, czy ma kolegę...
- Nie.
- Nie bądź taka...
- Przypominam ci, że jestem mężatką.
- Tylko formalnie.
- Minęło zaledwie kilka tygodni od wyprowadzki lana.
- Siedem - uściśliła Rita.
- Tak, siedem. - Sandy zaczynała żałować, że przystanęła przy gabinecie.
- Na razie nie było rozmowy o rozwodzie. Nawet nie jesteśmy w separacji.
- Co ty mówisz? Nadal nie skontaktowałaś się z adwokatem?
- Jeszcze nie.
- A co cię powstrzymuje? Dałam ci nazwisko tamtego gościa w Miami, który prowadził rozwód mojej kuzynki. Twierdzi, że był świetny.
- Kiedy to niby mam czas wybrać się do Miami?
- Znajdź go.
- Spróbuję.
- Kiedy?
- Jak będę miała czas - burknęła Sandy.
- Przepraszam - powiedziała skruszona Rita. - Chyba przekroczyłam granicę.
- Wiesz, doceniam twoją troskę...
- Ale chcesz, żebym pilnowała własnego nosa. Sandy uniosła ramiona.
- Jan przychodzi dziś wieczorem, żeby zabrać dzieci na kolację.
- Jeszcze jeden powód, żeby wyjść z domu.

- Nie mogę.

Kto wie, całkiem możliwe, że prawdziwym powodem wizyty lana nie jest tylko spotkanie z dziećmi. Może też i z nią chce się zobaczyć, może zniknięcie Liany Martin uświadomiło mu, jakim kompletnym idiotą był w ostatnich miesiącach, i zrozumiał, jak bardzo liczy się dla niego rodzina. Wykluczone, aby był szczęśliwy z tą nadmuchaną, żywą lalą. Przechodzi kryzys wieku średniego, który tak bagatelizował u innych. Chwilowo zatracił zdolność trzeźwego myślenia. Tak, równie trafna diagnoza jak każda inna - stwierdziła Sandy. A teraz odzyskał zdrowe zmysły i podpowiadają mu one - wszystkie pięć - że nie odchodzi się od żony ot tak, po prostu, po niemal dwudziestu latach małżeństwa, że nie zostawia się kobiety, którą się poślubiło, gdy miała zaledwie dziewiętnaście lat i w trakcie studiów urodziła mu dwoje dzieci, sama jeszcze prawie będąc dzieckiem, a potem poszła do pracy w szkole, żeby pomóc mu opłacać studia medyczne.

Nie opuszcza się takiej kobiety. Nie zamienia kobiety z krwi i kości na kobietę z sylikonu. Ale, niestety, on dokładnie właśnie to zrobił.

- Kto zaaranżował tę randkę w ciemno? - spytała, chcąc zmienić temat.

- Wolałabym nie mówić.

- A niby czemu?

- Bo się wściekniesz.

- Dlaczego miałabym się wściec?

- Ponieważ już nadużyłam twojej dobrej woli.

- No powiedz.

- Poznałam go przez Internet.

- No nie, tylko nie to!

- Mówiłam, że się wściekniesz.

- Nie jestem zła. Osłupiałam. Odjęło mi mowę.

- Naprawdę?

- Jak możesz umawiać się z mężczyzną poznanym na czacie? Szczególnie teraz, gdy zaginęła młoda dziewczyna.

- Nie poznałam go na czacie. Przysięgam. To namiar z internetowego biura matrymonialnego. Zgłosiłam się kilka tygodni temu.

- Co? Czemu?

- Bo minęły trzy lata od śmierci Briana. Bo jestem samotna. Bo mam czterdzieści trzy lata, równo pięć stóp wzrostu i ważę sto dwadzieścia funtów. Ponadto mieszkam w Torrance i przepałam się już ze wszystkimi mężczyznami godnymi uwagi oraz z paroma, którzy tej uwagi nie byli zbyt godni. Pomyślałam więc sobie, że byłoby miło spotkać człowieka, który nie rozmawia wyłącznie o traktorach czy grejpsfrutach. I zobacz, Sandy, odkąd się zgłosiłam, dostaję e-maile od mężczyzn z całego kraju, a niektórzy z nich wydają się całkiem do rzeczy.

- Skoro są do rzeczy, dlaczego szukają kobiety w sieci? Zapomnij, że o to pytałam -zastrzegła się Sandy, przypominając sobie, jak przystojnie łan wyglądał tamtego ranka, gdy oznajmił, że zostawia ją dla Kerri Franklin.

-Dobra, a więc facet, z którym się dzisiaj spotykasz...

- Nazywa się Jack Whittaker, ma pięćdziesiąt pięć lat, żona umarła na białaczkę w zeszłym roku, ma własną firmę, handluje jakimiś wihajstrami. Mieszka w Palm Beach i zatrzyma się w

Torrance po drodze do znajomych w Naples. zaproponował, żebyśmy się spotkali na drinka i zapoznali.

- A dlaczego chcesz, żebym ci towarzyszyła?

- No, z powodu Liany Martin. - Rita uśmiechnęła się swym najśłodszym z uśmiechów, pokazując dołeczki w policzkach. - A jeśli facet okaże się jakimś psycholem-zabójcą lub kimś w tym rodzaju?

Sandy parsknęła śmiechem. Przypadły sobie z Ritą do gustu od pierwszej chwili, gdy poznały się w pokoju nauczycielskim na początku roku szkolnego. Pielęgniarka bardzo szybko została najbliższą koleżanką Sandy w Torrance; to była jedyna dobra rzecz, jaka ją spotkała od wyjazdu z Rochester.

- Wymyśliłam sobie, że kiedy się zjawi, zastanie nas przy drinku. I jeśli wtedy uznam, że mi się podoba, dam ci jakiś znak, no wiesz - mrugnę albo kiwnę głową... -Rita zademonstrowała porozumiewawcze kiwnięcie i w przyływie bólu złapała się za kark. - Nie, to odpada. Pomyśli, że złapał mnie skurcz. Ale - ciągnęła, nie zważając na śmiech Sandy - mogłabym się podrapać po nosie, a ty byś się wtedy zmyła.

- Nie mogę.

- Możesz.

- Może innym razem.

- Co powiesz na przyszły tydzień? Spotykam się z facetem z Fort Lauderdale.

- Żartujesz!

- Mówiłam ci, że ten serwis fantastycznie funkcjonuje. A co powiesz na to? Gdyby miał kolegę...

- Może.

- Świetnie.

- Powiedziałam: może. - Sandy pokręciła głową trochę ze zdumienia, a trochę z podziwu. -Czy jasno się wyraziłam?

- To nowy świat, Goldie - wyrecytowała Rita. -Co?

- Cytat ze Skrzypka na dachu.

- Lecisz cytatami ze Skrzypka na dachu?

- Kółko dramatyczne wystawiło go w zeszłym roku. Było wspaniale. Nie uwierzyłabyś, jakie dobre głosy mają niektórzy z tych smarkaczy. Na przykład Hrabia Drakula. Grał krawca i wypadł świetnie.

Sandy usiłowała wyobrazić sobie Victora Drummonda jako biednego rosyjskiego krawca. O dziwo, przyszło jej to dość łatwo.

- Mogę skorzystać z twego telefonu?

Rita przeciągnęła staroświecki, czarny telefon ponad wysokim kontuarem, przy okazji omal nie strącając przewodem kilku pojemniczków z wacikami i szpatułkami.

- Nie do wiary, że nie masz komórki.
  - Nie cierpię tego cholerstwa.
  - Jednak powinnaś ją sobie sprawić. W razie jakiejś nagłej sytuacji.
  - Zawsze można mnie znaleźć.
  - A jeśli to ty się znajdziesz w potrzebie? Sandy zignorowała to pytanie.
  - Masz domowy numer Drummondów? - spytała. Rita podeszła do małego biurka wciśniętego w kąt pod oknem wychodzącym na boczną uliczkę. Wyciągnęła z górnej szuflady informator szkolny i szybko znalazła żądany numer.
  - Co zamierzasz im powiedzieć?
  - Przede wszystkim zapytam, czy wiedzą, że ich syn nie pokazał się w szkole od wtorku - powiedziała Sandy, wybierając numer. - I czy wiedzą, że ma na przedramieniu dość nieciekawie wyglądającą ranę. I że ktoś powinien się temu przyjrzeć.
  - Psychiatra?
  - Taka byłaby moja rada.
  - Która niewątpliwie zostanie przyjęta z entuzjazmem - podsumowała Rita.
- Po pięciu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka i nauczycielka nagrała krótką wiadomość z prośbą o niezwłoczny kontakt.
- Nigdy nikogo nie ma w domu dla tych dzieciaków. Nic dziwnego, że są zagubione.
  - Chcesz powiedzieć, że powinniśmy rzucić robotę i siedzieć w domu jako mamuski?
  - Nie wiem, co chcę powiedzieć. - Sandy wzruszyła ramionami.
  - Kerri Franklin jest taką mamuską. Sandy przewróciła oczami.
  - Najwyraźniej nie ma łatwych odpowiedzi - stwierdziła.
  - Na pewno nie namówię cię na wspólne wyjście?

- Czas na mnie. - Sandy podniosła się z krzesła, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. -Uważaj na siebie wieczorem.

- Tak jest.

- Mówię poważnie. Jeśli tylko poczujesz, że z tym facetem jest coś nie tak, natychmiast się zwiń.

- Dobrze, mamusiu. - Rita wetknęła kciuki w uszy i pomachała palcami. Sandy parsknęła śmiechem i zamknęła drzwi. Po chwili maszerowała szerokim głównym korytarzem, wdychając charakterystyczną dla wszystkich średnich szkół mieszaninę woni potu, brudnych skarpetek, słodkawej wody kolońskiej, płynu do płukania ust oraz środków dezynfekcyjnych. Na betonowych ścianach pomalowanych na mdły żółty kolor wisiały oprawione zdjęcia uczniów, którzy uczęszczali do szkoły w ciągu dwunastu lat jej istnienia. Były tam fotografie drużyny futbolowej, bejsbolowej oraz koszykarskiej oraz gabloty z ich trofeami. Nie omieszkało umieścić zdjęć członków krótko istniejącego kółka szachowego i jeszcze krócej funkcjonującego klubu dyskusyjnego oraz całej galerii fotosów ze sztuk wystawionych przez kółko dramatyczne. Sandy przebiegła je wzrokiem w poszukiwaniu zdjęcia Victora Drummonda, ale jedyne fotografie ze Skrzypka na dachu przedstawiały Tanyę McGovern, Amber Weber i Lianę Martin jako trzy córki na wydaniu mleczarza oraz Grega Watta w roli Tewiego, ich znękanego ojca. Skrzypek z piekła rodem - pomyślała, wracając spojrzeniem do zdjęcia Liany Martin. Gdzie ona jest? Co się z nią stało?

- I co o tym myślisz? - usłyszała głos za plecami. Drgnęła, zaskoczona. - Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Gordona Lipsmana, nauczyciela dramatu, który przyglądał się jej swymi niepokojąco zezującymi oczami, z uśmiechem od ucha do ucha na kwadratowej twarzy.

- Gordon, nie usłyszałam cię.
- Cichobiegi. - Wskazał oczami na buty. - Bardzo ciche. Zmusiła się do uśmiechu. Gordon Lipsman należał do ludzi, których pragnienie, żeby być lubianym, czyniło to zgoła niemożliwym. Był taką osobą, w przypadku której słowo stereotyp nabierało zdecydowanie negatywnego znaczenia. Mówiąc, silił się na brytyjski akcent, co bardziej drażniło, niż brzmiało autentycznie, bo powszechnie wiadano, że urodził się w Torrance. Miał czterdzieści lat, nigdy się nie ożenił i do niedawna mieszkał z owdowiałą matką oraz ponad tuzinem kotów w domu na peryferiach miasta. Matka zmarła w lutym, co go nieco rozbiło i doprowadziło do poślizgu w wystawieniu musicalu Kiss me, Kate.
- Jak widzę, podziwiasz nasz Hol Gwiazd.
- Jestem pod wrażeniem. - Sandy zaczęła bezgłośnie liczyć włosy z kociej sierści na marynarce z kory w biało-niebieskie pasy. Czy ta plama na rękawie to ketchup? -Nie miałam pojęcia, że Greg Watt potrafi śpiewać.
- On ma w zanadrzu wiele niespodzianek. Świetnie wypadł w roli Tewiego, chociaż jego ojcu nie bardzo przypadł do gustu pomysł, żeby syn marnował cenny czas na scenie, zamiast pracować w polu. Jasno dał do zrozumienia, iż nie życzy sobie, aby Greg brał udział w kolejnych takich wygłupach. Chociaż - zdaje się -inaczej to ujął.
- Wyobrażam sobie.
- Miałem nadzieję go przekonać. Nie wydaje ci się, że byłby świetnym Petruchiem?
- Nie wiedziałam, że kółko dramatyczne przygotowuje w tym roku przedstawienie.
- Ależ tak. Moja matka, niech spoczywa w pokoju, na pewno by sobie tego życzyła. A Kiss me, Kate należało do jej ulubionych musicali. - Łzy zakręciły mu się w oczach i znikły przy następnym oddechu. - Myślałem, żeby w głównej roli obsadzić twoją córkę. To taka ładna dziewczyna. Myślisz, że chciałaby spróbować?



- Chyba to ją powinieneś zapytać.
- Miałem nadzieję, że wstawisz się w mojej sprawie.
- Wspomnę o tym Megan - zgodziła się Sandy. -A Tim? - dodała po chwili.

Działalność w kółku teatralnym mogłaby pomóc mu wyjść ze skorupy - pomyślała. Lubi teatr, może rola w szkolnej sztuce dodałaby mu pewności siebie. Czemu wcześniej o tym nie pomyślała?

- Tim?

- Mój syn.

- Ach, tak. Tim. Cichy dzieciak. Niewiele się odzywa. Hmm, chyba nie nadaje się do roli Petruchia, szczególnie jeśli Megan zgodzi się zagrać Kate. Niezbyt dobry pomysł, aby brat i siostra grali kochanków. Nie mówię, że to niemożliwe. Ale jest sporo ról epizodycznych. Z chęcią zobaczę go na przesłuchaniu w poniedziałek. -Zdumiewająco masywne dłonie podniosły się nerwowo ku twarzy, łądując na czubku bulwiastego nosa.

Sandy przyszła na myśl karykatura Grega, który za pomocą paru prostych kresek uchwycił charakter tego człowieka.

- Czy to krew? - spytała niespodziewanie.

Twarz nauczyciela dramatu w jednej chwili poblądła.

- Krew? Gdzie?

- Na rękawie.

Gordon wpatrywał się przez chwilę w plamę na mankiecie, a potem powoli podniósł go do nosa i jak zwierzę obwąchiwał niepożądany zaciek.

- Sos do spaghetti - zawyrokował po chwili. Wyciągnął rękę, jakby chciał dać koleżance szansę weryfikacji swojej oceny.

- Czas na mnie. - Sandy odwróciła się i potykając się o własne nogi przy próbie ominięcia wyciągniętej ręki Gordona Lipsmana, poleciała prosto na niego. Zatoczyli się razem na ścianę w czymś w rodzaju nieskładnego tanga. - Przepraszam - powiedziała, gdy wreszcie udało jej się wyzwolić z jego niezdarnego uścisku. Odwró-

cila się, ukradkiem strzepując kilka kocich włosów, które przeniosły się z jego marynarki na różową bawełnianą bluzkę. Jakies dwadzieścia stóp od niej stał Joey Balfour z telefonem komórkowym w wyciągniętej ręce. Przez ułamek sekundy myślała, że ktoś zadzwonił do niej na jego numer i Joey podaje telefon przez uprzejmość. Dopiero gdy ze śmiechem puścił się biegiem po korytarzu, zrozumiała, co się naprawdę stało. Zanim dotarła do domu, jej zdjęcie w objęciach Gordona Lipsmana krążyło już w Internecie.

8

- Megan, Tim, ojciec przyszedł!

Dziewczyna powoli przeniosła spojrzenie na zamknięte na klucz drzwi sypialni, po czym z powrotem skupiła się na niepokojącym obrazie wypełniającym ekran monitora. Znajomy korytarz w szkole. Mężczyzna w marynarce z kory w biało-niebieskie pasy. Kobieta w tradycyjnej bluzce z różowej bawełny i w granatowej plisowanej spódnicy. On obejmuje ją w talii. Ona odgięta, z odrzuconą do tyłu głową. Na twarzy coś w rodzaju uśmiechu. Wyglądają, jakby tańczyli - uznała Megan, chociaż matka zapewniała ją, że absolutnie tak nie było. Uśmiechnęła się. Co prawda matka w ramionach kogoś innego niż ojciec, a szczególnie, w co trudno uwierzyć, w objęciach głupkowatego profesora Lipsmana, to dziwny widok, ale musi przyznać, że mama ładnie wygląda i cieszył ją ten śladowy uśmiech. Megan od wielu miesięcy nie widziała, aby twarz matki wyrażała cokolwiek innego poza przygnębieniem. Ale lepsze już nawet to niż nic. Często bowiem natrafiała jedynie na puste spojrzenie. Widząc te oczy wbite w jakiś nieistniejący punkt, Megan odgadywała, że matka wpatruje się w przeszłość, usiłując dociec, dlaczego sprawy potoczyły się tak fatalnie.

To nie twoja wina - pragnęła zapewnić ją w takich chwilach, ale nie robiła tego, bo gdzieś w głębi duszy czuła, że mogło być inaczej. Gdyby tylko ubierała się nieco atrakcyjniej albo spróbowała coś zrobić z tymi niesfornymi lokami. Gdyby tak zdecydowanie nie wyrażała swoich opinii, rzadziej wchodziła mężowi w słowo i częściej mu przytakiwała, może nie spędzałby tyle czasu, czatując w Internecie. Może nie natrafiłby na Kerri Franklin. Może nadal stanowiliby rodzinę.

Megan odchyliła się na oparcie fotela i wydeła usta, jakby wydmuchiwała wirtualne bańki. Mama wspomniała, że profesor Lipsman chce ją przesłuchać do roli Kate w szkolnym przedstawieniu Kiss me, Kate, i może nawet się zdecyduje. Szczególnie jeśli Greg Watt, którego uważała za naprawdę fajnego chłopaka, da się namówić na rolę Petruchia.

Niewątpliwie mama byłaby przerażona, gdyby się dowiedziała, że Megan uważa Grega za choć trochę atrakcyjnego, i uznałaby ją za nienormalną. Powiedziałyby, że dziewczynę w jej wieku powinny zajmować inne sprawy niż chłopcy jego pokroju.

I jakie argumenty Megan miałyby na swoją obronę? Że ona jedna przejrzała przez cyniczną maskę, że arogancka mina i zawadiacki chód to tylko pozory, że podoba jej się, jak kołysze ramionami, poruszając nimi w rytm wymierzonego, balansującego kroku, i sposób, w jaki dzinsy opinają się na smukłych udach i zwartych pośladkach? No jasne. Spotkałaby się z pełnym zrozumieniem.

Zwarte pośladki? Megan powtórzyła cicho te słowa, czując, że się rumieni. Kto w tym wieku tak mówi? Niemniej trudno jej przychodziło nawet w myślach użyć słowa „dupa”, a co dopiero wymówić je głośno. Pod tym względem jest nieodrodną córką swej matki - pomyślała z westchnieniem, dochodząc do wniosku, że gdyby mama nie była taką purytanką, nie miała bzika na punkcie dobrych manier i sposobu mówienia, może ojciec siedziałby teraz przed telewizorem z kanapką, za-

miast niecierpliwie przydeptywać z nogi na nogę przy drzwiach, żeby zabrać ją i brata na kolację. Megan odwróciła się do komputera i nacisnęła klawisz, patrząc, jak zdjęcie matki w ramionach Lipsmana momentalnie znika z ekranu. Gdyby tak łatwo można było usuwać problemy z życia - podsumowała, z niechęcią przywołując w myślach Lianę Martin. Gdzie ona jest? Co się z nią stało? Od czterech dni nikt jej nie widział.

Wróciła do głównego menu, uruchomiła komunikator, nacisnęła kilka klawiszy i sadowiąc się wygodnie w fotelu, postanowiła odsunąć od siebie wszelkie przykre spekulacje i zamiast tego wyobrazić sobie w silnych, muskularnych ramionach Grega. On nie pozwoliłby jej skrzywdzić - pomyślała, niemal czując, jak mieszają się ich ciepłe oddechy, a jego wargi zbliżają się prowokująco do jej ust. A pocałunek, który potem by nastąpił, byłby jednocześnie niecierpliwym i czułym, podobnie jak dłonie obejmujące twarz. Zupełnie jak w filmie -pomyślała, zastanawiając się, czy Greg kiedykolwiek marzył w taki sam sposób o niej. Wcale niewykluczone - uznała. Mimo że była od niego o rok młodsza, chodziła do klasy niżej i nigdy ze sobą naprawdę nie rozmawiali, poza zdawkowym: „Cześć! Jak się masz?”, widziała, jak na nią patrzył za każdym razem, gdy mijali się na korytarzach. A raz, zaledwie parę tygodni temu, przyłapała go w barku, gdy się w nią wpatrywał. Wtedy, wyraźnie speszony, momentalnie się odwrócił i rzucił kawałkiem ciasta w siedzącego naprzeciwko kumpla, Joeya Balfoura, który w rewanżu chlusnął mu w twarz kubek coli. Później rozpetęła się bójka i obaj obrzucali się jedzeniem. W rezultacie zarówno Joeya, jak i Grega zawieszono w prawach ucznia na dwa dni. Megan pokręciła głową, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Greg marnuje czas na takiego kretyna jak Joey Balfour. Wiedziała, że chociaż pozornie wydają się tacy sami, Greg różni się od głupkowatego Joeya - prostaka

i chama. Greg jest inny. W głębi duszy delikatny, inteligentny i wrażliwy. Nie mówiąc o tym, że jest sexy. Niech tam, pójdzie na to przesłuchanie do roli w najnowszym musicalu profesora Lipsmana; tak właśnie zrobi.

Spojrzała ponownie na monitor i po raz kolejny spochmurniała na widok wiadomości, która od wtorku bez przerwy pojawiała się w poczcie.

Uwaga, uwaga. Delilah rusza do akcji

Delilah krąży po korytarzach. Jest większa i lepsza niż kiedykolwiek przedtem. No, może nie lepsza. Ale zdecydowanie większa. I ma nowy wabik. Nie, nie chodzi o kolejną oponę w pasie, chociaż idziemy o zakład, że znowu przytyła. To ksywa. I wcale nie mamy na myśli Deli, mimo że ta akurat pasuje do niej jak ulał. Nie, tę ksywę zawdzięcza profesorze Crosbie (Naszej Ginger Rogers z Torrance!

Obejrzyjcie ją na przezabawnym zdjęciu razem z Głupkiem Lipsmanem) porzuconej żonie przystojnego drania dr. lana, który, jak wiecie z poprzednich e-maili,

obecnie składa domowe wizyty najbardziej seksownej mieszkance Torrence,

Kerri Franklin, która ma szczęście być matką Delilah.

To naprawdę gorąca mamuśka!!!

Ach, jakże chcielibyśmy dać nura w te jej miniszorty. A skoro mowa o „mini”, nowa ksywa

Delilah jest naprawdę mini. Ta jedna głoska - Dee, To wasza wielka D, panowie.

Pamiętacie tamtą starą piosenkę? Mój tata kiedyś bez przerwy ją nucił.

Tylko że teraz jest

nowy tekst. A leci tak - tu przygrywka na werblach!!!

(Psor Crosbie, czas wskoczyć w pantofelki do tańca)

Oh yes, wielka Deli,

Największa ze śmierdzieli,

Oh yes, wszyscy chłopacy,

Mają ciebie jak na tacy.

Oh yes, tyś wielka De.

Twój podwójny podbródek i dupa,

O yes, po nocach nam się śni.

O yes!

O Boże - szepnęła Megan. Nie dość, że ten okropny tekst ciągle pojawia się w poczcie, to jeszcze ktoś zrobił nowe dopiski:

Nasza Ginger Rogers z Torrance! Obejrzyjcie ją na przezabawnym zdjęciu razem z Głupkiem Lipsmanem oraz: Pani Crosbie, czas wskoczyć w pantofelki do tańca! Co z tą mamą? Dlaczego zawsze musi się znaleźć w centrum uwagi? Nie wystarczy, że uczy w jej szkole, przez co Megan nie ma ani prywatności, ani odrobiny własnej przestrzeni? Kiedy idzie do szkoły, znajduje tam matkę, wraca do domu i matka też tam jest. Jakby mało było tej ciągłej obecności, zawsze musi jeszcze wtykać nos w nie swoje sprawy. Czy ona nie rozumie, że wtrącając się tam, gdzie nie powinna, wystawia swoją rodzinę, swoją córkę na pośmiewisko? Czy dlatego ojciec ją zostawił? Nie mógł znieść, że ciągle nad nim wisi? Megan nadal pobrzmiewały w uszach wymyślenia matki, gdy po powrocie ze szkoły zobaczyła zdjęcie. Nie ma już prawa do prywatności! Wiecznie ktoś się czai z aparatem fotograficznym! Zawsze się znajdzie jakiś idiota, który z radością rozpowszechni zdjęcia! Wszędzie pełno chamstwa! A potem nastąpiła dobrze znana Megan tyrada: Jeżeli się nie dostosujesz do ciasnych, ogólnie przyjętych norm, nie przeżyjesz! Jeśli dziewczyna nie mieści się w dzinsach rozmiar trzydzieści cztery, nie ma długich prostych włosów, małego zadartego nosa i dużych okrągłych piersi, jest przegrana! Albo jeszcze gorzej - staje się obiektem drwin i złości jak Delilah Franklin. Jeżeli chłopak nie ma muskulatury i odróżnia się ubiorem jak Victor Drummond lub jest cichy i wrażliwy jak Brian Hensen, to widzą w nim dziwaka albo - co gorsza -

homoseksualistę. Od kiedy to standardy urody tak się zawęziły? Kiedy młodzi ludzie stali się tacy nietolerancyjni? Czemu wszyscy czują się w obowiązku wyglądać i mówić tak samo? Dlaczego wszyscy na siłę chcą zostać kimś innym? Czy źle się czują we własnej skórze? Megan odgarnęła długie, proste włosy z owalnej twarzy o idealnym zarysie. Rozumiała ból przyczajony w gniewie matki, wyławiała echo pytania, które naprawdę brzmiało: Jak twój ojciec mógł zostawić mnie dla kogoś takiego jak Kerri Franklin? I chociaż wiedziała, że uwagi matki są słuszne, czasem wołała, żeby się zamknęła. Szczerze żal jej było Delilah, która niczym sobie nie zasłużyła na takie grubiańskie traktowanie. Z drugiej strony nic też nie robiła, żeby poprawić swoją sytuację. Przecież mogłaby przejść na dietę, spróbować zrzucić kilka funtów, postarać się dopasować. Czy naprawdę była na to taka obojętna, jak się wydawało? Nagle Megan zaczęła się zastanawiać, co by było, gdyby - nie daj Boże - ojciec ożenił się z Kerri Franklin. Zostałyby z Delilah przyrodnimi siostrami. Czy można sobie wyobrazić większą ironię losu? Przez cały rok zabiegała o przyjaźnie i niedługo zostanie dopuszczona do paczki z Torrance High, zbliży się do Tanyi, Ginger oraz Liany - właśnie, gdzie ona jest? - i aż strach pomyśleć, na jakie kpiny by się naraziła, gdyby rzeczywiście znalazła się w jednej rodzinie z Delilah! Nie, to zbyt straszne, żeby w ogóle się nad tym zastanawiać! Podobnie jak nad tym, co się mogło przydarzyć Lianie. Po szkole krążyły najróżniejsze pogłoski: że uciekła, bo była w ciąży z Peterem, a on się nie chciał z nią ożenić; że umarła podczas spartaczony skrobanki; że wyjechała do jakiegoś starszego faceta, którego poznała przez Internet; że jakiś maniak seksualny zgwałcił ją i udusił, a potem pociął ciało na kawałki i porzucił na bagnach gdzieś na południu Florydy jak kromki starego chleba.

Megan zamknęła oczy i z roztargnieniem przewijając rolką obraz na monitorze, starała się wyprzeć z myśli widok pięknego ciała Liany Martin w roli karmy dla aligatorów Kiedy uniosła powieki, w miejscu wulgarnego e-maila zobaczyła inną wiadomość.

#### UZUPEŁNIONA LISTA PEDAŁÓW

Victor Drummond

Perry Falco

Jason O'Malley

Brian Hensen

Tommy Butterfield

Donny Slaven

Rick Leone -Ron

Williams Tim Crosbie.

- Boże - westchnęła ponownie na widok nazwiska brata na końcu listy. Z miejsca zrobiło jej się niedobrze. Czy Tim to widział? - Oczywiście, że tak. Cała szkoła to widziała - szepnęła. Ktoś zapukał do drzwi.

- Megan? - odezwała się matka. - Nie słyszałaś, jak cię wołałam? Ojciec czeka. Dziewczyna wyczuła, że matka zwleka z odejściem.

- Zaraz przyjdę.

- No to się pośpiesz - padło po krótkiej zwłoce.

- Dwie minuty. - Przecież rodzice mogą wytrwać przez chwilę sami bez wszczynania awantury.

Była pewna, że matka wpadłaby w szal na widok tej wiadomości, więc nie bawiąc się w zamykanie programów, wyłączyła komputer, co spotkało się z jego warkotliwym protestem. Sandy z góry by orzekła, że to sprawka Joeya i Grega, tak samo jak umieszczenie w sieci jej głupiego zdjęcia z panem Lipsmanem oraz tej ohydnej piosenki o Delilah. Czy to oni maczali w tym palce?



Hmm, Joey tak - zdecydowanie. Ale Greg - na pewno nie.

Odsunęła się z krzesłem od biurka, podniosła torbę z podłogi, zarzuciła ją na ramię i w bawełnianej sukience w biało-zielone paski otworzyła drzwi sypialni. Zanim zdążyła dojść do salonu, już usłyszała kłótnię rodziców.

- Dobrze wygląda - mówiła matka.

- Wygląda jak punk - twierdził ojciec. - Mówiłem ci, że zabieram ich na kolację do klubu golfowego. Wiesz, że tam obowiązują koszula i krawat.

- Niby skąd mam wiedzieć? Nigdy tam nie byłam. Cisza. Megan niemal widziała ściągnięte rysy matki

i ręce ojca zaciśnięte w pięści przy bokach. Klub golfowy stanowił szczególnie drażliwy temat, łan uznał, że warto ponieść spory koszt członkostwa ze względu na kontakty zawodowe, a matka się zgodziła. Ledwo zdążył wyschnąć atrament na czeku, gdy wyprowadził się z domu. Stał teraz na środku małego salonu o zarysie prostokąta, kiwając smutnie głową, jak przypadkowy świadek jakiegoś potwornego wypadku, który usiłuje się uporać z tym, co przed chwilą widział.

- Cześć, tato! - przywitała go. Podeszła z wahaniem, modląc się, by nie doszło do kolejnych scen.

- Kochanie! - Ojciec objął ją, a ona poczuła, jak mimo woli sztywnieje, a ramiona zwisają drętwo po bokach. Wiedziała, że matka ich obserwuje. Jeśli odda ojcu uścisk, czego bardzo pragnęła, Sandy potraktuje to jako zdradę, bo i bez tego czuła się dostatecznie zraniona. -Świetnie wyglądasz!

Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Ty też - pomyślała. Ojciec należał do tych wybrańców natury, którzy z wiekiem zdawali się zyskiwać na wyglądzie. Miał gęste ciemnoblonde włosy, niebieskie, żywe oczy i pociągające usta o łagodnym zarysie. Wszystkie kobiety widziały w nim atrakcyjnego mężczyznę. Nawet jej koleżanki uważały go za przystojniaka.

Hmm, Joey, tak - zdecydowanie. Ale Greg - na pewno nie.

Odsunęła się z krzesłem od biurka, podniosła torbę z podłogi, zarzuciła ją na ramię i w bawełnianej sukience w biało-zielone paski otworzyła drzwi sypialni. Zanim zdążyła dojść do salonu, już usłyszała kłótnię rodziców.

- Dobrze wygląda - mówiła matka.

- Wygląda jak punk - twierdził ojciec. - Mówiłem ci, że zabieram ich na kolację do klubu golfowego. Wiesz, że tam obowiązują koszula i krawat.

- Niby skąd mam wiedzieć? Nigdy tam nie byłam. Cisza. Megan niemal widziała ściągnięte rysy matki

i ręce ojca zaciśnięte w pięści przy bokach. Klub golfowy stanowił szczególnie drażliwy temat, łan uznał, że warto ponieść spory koszt członkostwa ze względu na kontakty zawodowe, a matka się zgodziła. Ledwo zdążył wyschnąć atrament na czeku, gdy wyprowadził się z domu. Stał teraz na środku małego salonu o zarysie prostokąta, kiwając smutnie głową, jak przypadkowy świadek jakiegoś potwornego wypadku, który usiłuje się uporać z tym, co przed chwilą widział.

- Cześć, tato! - przywitała go. Podeszła z wahaniem, modląc się, by nie doszło do kolejnych scen.

- Kochanie! - Ojciec objął ją, a ona poczuła, jak mimo woli sztywnieje, a ramiona zwisają drętwo po bokach. Wiedziała, że matka ich obserwuje. Jeśli odda ojcu uścisk, czego bardzo pragnęła, Sandy potraktuje to jako zdradę, bo i bez tego czuła się dostatecznie zraniona. -Świetnie wyglądasz!

Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Ty też - pomyślała. Ojciec należał do tych wybrańców natury, którzy z wiekiem zdawali się zyskiwać na wyglądzie. Miał gęste ciemnoblonde włosy, niebieskie, żywe oczy i pociągające usta o łagodnym zarysie. Wszystkie kobiety widziały w nim atrakcyjnego mężczyznę. Nawet jej koleżanki uważały go za przystojniaka.

-Jesteśmy gotowi do wyjścia? - spytała Megan. -Umieram z głodu. Nie była głodna, ale uznała, że dobrze będzie jak najszybciej wyjść.

- Nie, nie jesteśmy - odparł ojciec. - Twój brat musi się najpierw przebrać. Megan spojrzała w głąb pokoju, gdzie Tim siedział w niedbałej pozie na czerwonej pluszowej kanapie z nogami przewieszonymi ponad oparciem i stopami w adidasach machał w powietrzu jak w wodzie. Brat odziedziczył usta po matce, a oczy po ojcu, natomiast włosy stanowiły ciekawą kombinację: były ciemnoblonde jak u lana i kręciły się niesfornie jak loki Sandy. Miał na sobie białą koszulę z pomiętego materiału i workowate spodnie khaki. Wysoki i smukły, ciągle nie czuł się swobodnie we własnej skórze i nawet się nie domyślał, że zapowiada się na przystojnego młodzieńca, a tym samym nie był świadomy swych potencjalnych atutów.

- Może niebieska sportowa marynarka? - podsunęła Megan. - I krawat, który babcia przysłała na Gwiazdkę? - Przygryzła mocno dolną wargę i przymknęła oczy, lecz nie na tyle szybko, żeby nie dostrzec bolesnego grymasu, który przebiegł matce po twarzy. Sandy była bardzo rozczerowana, gdy z powodu „napiętego grafiku” lana nie zdołali pojechać na święta na północ.

(Napięty grafik, kurczę blade - pomstowała później).

- Krawaty są głupie - mruknął Tim.

- Są oznaką szacunku.

Megan wiedziała, co myśli brat. I kto tu mówi o szacunku? Zdawała sobie również sprawę, że nigdy nie powie tego głośno.

- Tim, pospiesz się - ponagliła go, zanim ktokolwiek zdążył z czymś wyskoczyć. - Jestem strasznie głodna.

Chłopak przesadnie powoli uniósł nogi znad oparcia i opuścił stopy na zimną podłogę z kafli. Ta podłoga to kolejny drażliwy temat - pomyślała Megan. Matka chciała zedrzeć brzydkie, białe kwadraty.

- Zawiązanie krawata trochę trwa - przypomniała mu Sandy.
- Nie, o ile robiłby to częściej.
- W takim razie należało zostać w Nowym Jorku -padła zjadliwa riposta.  
Megan wstrzymała oddech.
- Prawdę mówiąc, zastanawiam się nad powrotem do Rochester po zakończeniu roku szkolnego - dodała matka.  
Czyżby? Nie wspomniała o tym dotąd ani słowem.
- O czym ty mówisz? - spytał ojciec.
- Cóż, nic mnie tu nie trzyma.
- Czy to jakiś wybieg? Sądzi, że grożąc powrotem do Nowego Jorku, sprawi, że ojciec się otrząśnie?
- O czym ty mówisz? - powtórzył. - A dzieci?
- Wyjadą ze mną.
- Czy ja tego chcę? - pytała się w myślach Megan. Wracać do Rochester? Teraz, gdy z każdym dniem staje się coraz bardziej lubiana, kiedy lada dzień Greg umówi się z nią na randkę?
- A co z pracą? - Nie ustępował łąn. - Przecież masz umowę.
- Jestem pewna, że zrozumieją, biorąc pod uwagę okoliczności.
- Okoliczności - powtórzył łąn znaczącym tonem. -Jednym słowem, chcesz się na mnie odegrać.
- Tu nie chodzi o ciebie.
- Nie sądzisz, że to trochę egoistyczne podejście?
- Słucham? To ja zachowuję się egoistycznie?
- Tim, zapewne ponaglony sprzeczką rodziców, wparował do pokoju w marynarce na wpół narzuconej na ramiona i w wiszącym luźno krawacie.
- Dobra, jestem gotowy.
- Nigdzie nie zabierzesz moich dzieci! - oświadczył łąn, jakby Tim pozostawał niewidzialny.
- Myślę, że są na tyle dorosłe, aby same podjęły decyzję.

- Zawiazanie krawata troche trwa - przypomniała mu Sandy.
- Nie, o ile robilby to czesciej.
- W takim razie nalezalo zostac w Nowym Jorku -padła zjadliwa riposta. Megan wstrzymala oddech.
- Prawde mowiac, zastanawiam sie nad powrotem do Rochester po zakonczeniu roku szkolnego - dodala matka. Czyzby? Nie wspomniala o tym dotad ani slowem.
- O czym ty mowisz? - spytal ojciec.
- Cóż, nic mnie tu nie trzyma.
- Czy to jakis wybieg? Sądzi, że grożąc powrotem do Nowego Jorku, sprawi, że ojciec się otrząśnie?
- O czym ty mowisz? - powtorzył. - A dzieci?
- Wyjadą ze mną.
- Czy ja tego chce? - pytala sie w myslach Megan. Wracac do Rochester? Teraz, gdy z kazdym dniem staje sie coraz bardziej lubiana, kiedy lada dzien Greg umowi sie z nia na randke?
- A co z pracą? - Nie ustepowal Ian. - Przeciez masz umowe. -Jestem pewna, że zrozumieja, biorac pod uwage okolicznosci.
- Okolicznosci - powtorzył Ian znaczącym tonem. -Jednym slowem, chcesz sie na mnie odegrac.
- Tu nie chodzi o ciebie.
- Nie sadzisz, że to troche egoistyczne podejscie?
- Slucham? To ja zachowuje sie egoistycznie?
- Tim, zapewne ponaglony sprzeczką rodziców, wparowal do pokoju w marynarce na wpol narzuconej na ramiona i w wiszacym luzno krawacie.
- Dobra, jestem gotowy.
- Nigdzie nie zabierzesz moich dzieci! - oswiadczył Ian, jakby Tim pozostawal niewidzialny.
- Myśle, że są na tyle dorosle, aby same podjely decyzje.

Jaką decyzję? - zastanawiała się Megan. Czy rzeczywiście ma ochotę zaczynać od początku w nowej szkole, zostawić przyjaciół, Grega? W torbie zadzwoniła komórka. Sięgnęła do brezentowego worka i przyłożyła telefon do ucha. Usłyszała głos na drugim końcu linii i usiłując zrozumieć znaczenie słów, poczuła, że blednie.

- O co chodzi? - Matka natychmiast znalazła się przy niej.

Megan wpuściła komórkę do torby, wpatrując się w matkę przez łzy.

- To Ginger Perchak - wyszeptwała. - Znaleźli Lianę. Matka patrzyła na nią, nie odzywając się słowem, jakby z góry wiedziała, co za chwilę usłyszy. Dziewczyna opadła na najbliższe krzesło, zatrzymując wzrok na gęstniejącym mroku za oknem.

- Nie żyje - wykrztusiła.

9

Szeryf John Weber siedział w radiowozie przy wylocie cichej, bocznej ulicy, walcząc ze wzbierającym w nim gniewem. W ciągu prawie dwudziestu lat służby w obronie prawa widział mnóstwo okropnych rzeczy - zmiążdżone zwłoki ofiar wypadków drogowych, pokiereszowanych nożem pijanych awanturników, opuchnięte twarze pobitych żon - normalne zjawisko podczas finałów mistrzostw w futbolu. Widział poszkodowanych na polowaniu, ofiary napaści na tle seksualnym, a także zaniedbane i katowane dzieci. Widział targane torsjami nastolatki, żony wyplakujące oczy i spazmujące dzieci. Sądził, że widział już wszystko.

Liana, którą znał osobiście, a jej rodziców bardzo dobrze, dziewczyna na progu dorosłości, mająca przed sobą całe życie, wszystko, dla czego warto żyć (Boże, czy jest jeszcze jakiś banał, który by tu nie pasował?), leżała w prowizorycznym grobie jakieś pół mili od miejsca,

gdzie Ray Sutter parę dni wcześniej wypadł z drogi swoim samochodem, z połową czaszki odstrzeloną z bliskiej odległości. Na podstawie wyglądu szczątków nad-jedzonych przez zwierzęta i robactwo koroner przez wiele dni, a może i tygodni nie będzie w stanie ustalić, jakie jeszcze tortury mogła przejść. Do diabła, nie byłby nawet pewien, czy to ciało Liany Martin, gdyby Greg Watt nie rozpoznał koszulki z napisem MOVE BITCH. Greg był w ekipie poszukiwawczej, którą skrzyknął i poprowadził Cal Hamilton, i to on właśnie zameldował, że albo Greg, albo Joey Balfour pierwszy natrafił na podejrzenie wzruszoną ziemię. John odnotował w pamięci, że ma polecić swym zastępcom, aby później dokładniej przesłuchali całą trójkę oraz Raya Suttera. (Czy mógł mieć jakiś szczególny powód, że kilka dni wcześniej jechał akurat tą drogą?). Naturalnie podkoszulek był brudny i poplamiony krwią, a John nie potrafił zrozumieć, że taka dama jak Judy Martin pozwoliła córce nosić koszulkę z takim napisem, nie mówiąc już o chodzeniu w czymś takim do szkoły. Przyszła mu na myśl Amber. Rodzice mają bardzo ograniczoną kontrolę nad dziećmi, kiedy te osiągną pewien wiek - uzmysłowił sobie, z trudem powstrzymując łzy. Nie po raz pierwszy tego wieczoru musiał na siłę panować nad emocjami. Jeszcze większe wrażenie od widoku rozkładających się zwłok zrobiła na nim wykrzywiona bólem twarz Judy Martin na wieść o makabrycznej śmierci córki. John obejrzał się na elegancki parterowy dom Martinów z markizami w biało-czarne pasy i rzeźbionymi drzwiami. Widział siebie, jak tam podchodzi, jak drzwi się otwierają, kiedy sięga do dzwonka, i jak błysk nadziei w oczach Judy przechodzi w niepokój, a potem jeszcze szybciej w przerażenie, gdy dociera do niej sens wiadomości. John wątpił, aby udało mu się kiedykolwiek zapomnieć widok tej biednej kobiety, kiedy jakby pod wpływem ciosu osuwa się na pierś męża, po czym zgina

wpół niczym składane krzesło. Widział, jak uginają się pod nią nogi i pada na podłogę, a bezwładne ramiona męża nie są w stanie podtrzymać jej niewiele wającego ciała. Słyszał bezgłośny krzyk wypisany na wykrzywionych ustach. W parę sekund postarzała się wiele lat. O tyle, ile miała jej córka - pomyślał ze smutkiem, kręcąc głową. Minęła prawie godzina od odkrycia zwłok Liany. Musiał ściągnąć koronera odpowiedzialnego za hrabstwo Broward, przeprowadzić wszelkie niezbędne czynności, a potem odczekać, aż zabiorą zwłoki, zanim się udał do domu, przekonany, że tam już na pewno dotarła wiadomość. Widział, że gdy tylko wyjęto ciało Liany z płytkiego grobu, członkowie grupy poszukiwawczej natychmiast zaczęli szeptać w komórki. Jak się jednak okazało, nikt się nie kwapił do przekazania ponurej wiadomości Howardowi i Judy Martinom. To jemu zostawili ten wątpliwy zaszczyt. Musiał również poinformować Martinów, że chociaż na razie nie ma żadnych podejrzanych o spowodowanie śmierci ich córki, w związku z oficjalną zmianą kwalifikacji przypadku z zaginięcia na zabójstwo jego wydział będzie musiał na nowo zbadać każdy aspekt tej sprawy. A to oznacza przesłuchania zarówno wszystkich przyjaciół i znajomych Liany, jak i kolegów ze szkoły, nauczycieli (co Delilah mówiła o tym nauczycielu przedmiotów ścisłych i jego skłonnościach do młodych dziewczyn?), a także niektórych postronnych osób, takich jak Cal Hamilton czy Ray Sutter. John wiedział, że prawdopodobnie do końca tygodnia osobiście porozmawia z każdym z mieszkańców miasta. Opuścił ramiona. Już teraz odczuwał znużenie. Spojrzał na zegarek, myśląc, że najlepiej od razu się do tego zabrać. Od chwili odnalezienia ciała Liany burmistrz już dwukrotnie do niego dzwonił: pierwszy raz z prośbą, aby informować go na bieżąco, a drugi z wątpliwościami, czy nie powinni wezwać FBI. John uzmy-



słowił burmistrzowi, że o mieszkańcach Torrance wie o wiele więcej, niż jakikolwiek agent FBI zdoła wysondować, i prosił go o cierpliwość.

- Dam sobie radę - oświadczył burmistrzowi, po czym zdecydował, że pojedzie do domu i weźmie prysznic.

Nie mógł przecież chodzić po domach w przepocowanym i umazanym ziemią mundurze - tym samym, w którym wyciągał ciało Liany z grząskiej ziemi.

„Nie możesz w tym iść” - niemal słyszał ironiczne prychnięcie Pauline i przypomniał sobie, że mieli dziś wybrać się na kolację z Sarah i Frankiem Lawrence'ami. Niewątpliwie nawet Pauline jest w stanie zrozumieć, że okoliczności są raczej szczególne. A poza tym wcale nie miał apetytu. Już na samą myśl o jedzeniu dostawał mdłości.

Siedział w ciszy przez kilka minut, usiłując odsunąć myśli o zaginionej dziewczynie z sąsiedniego Hendry County. Czy to możliwe, że Candy Abbot też została gdzieś zakopana, a w południowo-środkowej części Florydy grasuje psychopata, polujący na młode dziewczyny, i że to dopiero początek? Ukrył twarz w dłoniach, odsuwając wszelkie spekulacje. Jest na to za stary - pomyślał - za stary i brak mu odpowiednich kwalifikacji. Prawda, ma młodych, bystrych i gorliwych zastępców, którzy będą pracować do upadłego, próbując złapać zabójcę Liany, ale ich doświadczenie w takich sprawach jest jeszcze mniejsze niż jego. Miał także na głowie młodego, ambitnego burmistrza, który zaglądał mu przez ramię i wyprzedzał każdy ruch. Do diabła, minęła dopiero godzina, a facet już się dziwi, dlaczego nie ma wyników. John wiedział, że w życiu - w przeciwieństwie do telewizji - niezależnie od wysiłków policji większość przestępstw zostaje wykryta, albo kiedy sprawca zgłosi się sam, albo - co bardziej prawdopodobne - przez czysty przypadek. John potrząsnął głową, jakby miało mu to pomóc pozbyć się wszelkich niechcianych myśli i obrazów, zanim wyruszy do domu.

Kiedy już się tam znajdzie, przede wszystkim powie swojej córce, jak bardzo ją kocha.

Dom był ciemny.

Kiedy wchodził przez frontowe drzwi, usłyszał ryk telewizora. Nic nowego. Zawsze chodził na cały regulator.

-Pauline?! - zawołał, naciskając kontakt przy drzwiach, żeby zapalić światło w tak zwanym wielkim pokoju, pełniącym jednocześnie funkcję salonu, jadalni oraz pokoju telewizyjnego. Poza sporą przestrzenią nie było w nim nic szczególnie „wielkiego”. Miał zarys prostokąta, a meble, chociaż, jak na gust Johna, drogie, były zbyt wzorzyste. Rzadko służył im jako jadalnia. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem rozsiedli się we trójkę na przyciężkim komplecie wypoczynkowym ze skóry w części, którą umownie wydzielili jako telewizyjną, żeby coś wspólnie pooglądać.

John spojrzał w stronę sypialni Amber we frontowej części domu. Drzwi były zamknięte i ani

żadne dźwięki, ani smuga światła nie wskazywały, że córka jest u siebie.

-Amber?! - zawołał z nadzieją, że siedzi w pokoju, zastanawiając się jednocześnie, czy

dotarła już do niej wiadomość o Lianie. - Amber?! Amber, jesteś tam?!

Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, wszedł do kuchni i postawił na blacie z szarego granitu

dużą torbę z McDonalda, którą złapał po drodze. W środku był big mac, kilka mcchickenów

oraz trzy duże porcje frytek, co - jak miał nadzieję - powinno osłodzić

Pauline konieczność

zmiany kolacyjnych planów. Dziewczyna za ladą włożyła zamówienie w podwójną

papierową torbę, następnie zapakowała całość w reklamówkę i zawiązała, a mimo to cały czas

dobywał się z niej charakterystyczny zapaszek. Eau de McDonald's -

pomyślał i może w

innych okolicznościach nawet by się uśmiechnął.

- Pauline?! - zawołał, tym razem głośniej, kierując się do ich sypialni na tyłach domu. Wątpił, aby go usły-

szala przy ryczącym telewizorze, i zastanawiał się, po co się w ogóle wysiła. Żona utrzymywała, że wskutek słuchania całymi latami w młodym wieku głośnej muzyki doszło u niej do znacznego uszkodzenia bębenków i nie słyszy telewizora, o ile dźwięk nie jest maksymalnie podkreślony. Ponieważ jednak we wszystkich innych sytuacjach słuch jej dopisywał, John w cichości ducha uważał, że zwyczajnie robi mu na złość. Kiedy czasem chciał się wcześniej położyć, a ona jeszcze oglądała któryś z ulubionych programów (jak się zorientował, wszystkie były ulubione), musiał przенosić się ze spaniem do małego gościnnego pokoju na froncie. Nie miał nic przeciwko temu, tylko że łóżko było tam wąskie, a nie podwójne i wygodne, jak w ich sypialni. Ale przynajmniej nie musiał go dzielić, a pokój gościnny był jednym z niewielu pomieszczeń pozbawionych telewizora. Odbiorniki stały we wszystkich sypialniach, a także w kuchni i w dużej łazience. To nie był jego pomysł. Nigdy nie przepadał za telewizją. Czasami Pauline oskarżała go o snobizm, ale powód był znacznie prostszy: nie potrafił się skupić na tym, co oglądał. Jako dziecko miał pewne problemy z koncentracją i nadal trudno mu było utrzymać dłużej uwagę na jednej rzeczy. Kłopotliwa przypadłość dla człowieka na jego stanowisku. Na szczęście umiejętność koncentracji nigdy nie została poddana poważnej próbie. Aż do dziś...

- Pauline? - Wszedł do sypialni, przesuając wzrokiem pomiędzy sylwetką pięknej, młodej kobiety z długimi, jasnymi włosami i bujnymi, jędrnymi piersiami, podrygującymi prowokująco na gigantycznym ekranie, a pustym, niezastanym łóżkiem. Nie zaskoczyło go, że łóżko nie jest zaścielone. Był zdumiony, że nie ma w nim Pauline. Czy to możliwe, że dowiedziała się o Lianie i domyśliła się, że zapewne będzie zajęty do późna, odwołała więc kolację i wyszła razem z Amber, zapominając wyłączyć telewizor? - Pauline? - powtórzył, podnosząc pilota z pościeli w zielono-żółty kwiatowy deseń i wyłączając cholerne pudło.

- Co ty wyprawiasz?! - Reakcja była natychmiastowa. - Nie wyłączaj!  
John zwrócił głowę w stronę holu.

- Pauline?!

- Ja to oglądam!

Pauline wynurzyła się z garderoby pomiędzy sypialnią i łazienką, zapinając po drodze złoty kolczyk w kształcie kółka. Długie do ramion, kasztanowe włosy upięła nad karkiem w kok i miała na sobie chyba nową, niebieską sukienkę. Przynajmniej wydawała mu się niebieska. Oprócz kłopotów z koncentracją cierpiał na daltonizm, więc równie dobrze mogłaby być czarna. A założył, że jest nowa, bo nie przypominał sobie, żeby ją wcześniej widział. Pauline zawsze twierdziła, że jak na szeryfa jest niepokojąco mało spostrzegawczy. Nie miał serca, a może brakowało mu odwagi powiedzieć jej, iż w sprawach zawodowych jest bardzo wnikliwy i rzutki i że pomimo niezdolności do koncentracji oraz daltonizmu jego brak spostrzegawczości ogranicza się w dużym stopniu wyłącznie do niej. Nie to, żeby była nieatrakcyjna. W wieku czterdziestu trzech lat nadal była wysoka i stosunkowo smukła, miała błyszczące oczy i uśmiech równie ujmujący, jak sporadyczny.

- Późno wróciłeś - stwierdziła, wyrywając mu pilota z ręki i włączając telewizor. - Wyskakuj z tych brudnych ciuchów i biegnij pod prysznic. Powiedziałam Sarah, że spotkamy się o wpół do ósmej, czyli za chwilę.

- Nie słyszałaś?

- O czym?

- O Lianie.

Pauline nie odpowiedziała, natychmiast skupiając uwagę na telewizji.

- Popatrz tylko na tę twarz - wskazała na ekran. - Usiłuje wmówić ludziom, że nic z nią nie robiła, ale kogo ona chce nabrać? Wszystkie kobiety po pięćdziesiątce, które nie mają zmarszczek, musiały robić lifting twarzy.

- Pauline - odezwał się głośniejszym głosem, niż zamierzał, na co zareagowała usztywnieniem ramion. - Znaleźliśmy ciało Liany.

- Tak, wiem. - Skierowała wzrok na podłogę z wykładziną w kolorze kości słoniowej. - Mon Dieu, nie zdjąłeś butów!

- Butów?

- Roznosisz błoto po całym dywanie.

- Wiesz o Lianie?

Ponowne usztywnienie ramion i - ledwo widoczne - karku.

- Sarah powiedziała mi przez telefon jakieś dwadzieścia minut temu.

- Co ty w takim razie robisz?

- Jak to: „co robię”? Szykuję się do wyjścia. - Pociągnęła nosem, wachając powietrze. - Czy czuję tu zapach z McDonalda?

John wyteżył głos, żeby się przebić przez jazgot w telewizorze.

- Kupiłem ci kilka mcchickenów.

Cała ta rozmowa zaczynała przybierać surrealistyczny charakter. Czuł się, jakby był nieświadomym uczestnikiem jednego z tych koszmarnych reality show, które jego żona tak ubóstwiała.

- Czemu miałabym chcieć mcchickeny, skoro idziemy na kolację z Sarah i Frankiem?

- Bo nie idziemy na kolację z Sarah i Frankiem! - wybuchnął, sprowokowany zaczepnym tonem żony. - Bo młoda dziewczyna została brutalnie zamordowana...

- Młoda dziewczyna, którą ledwo znaleźliśmy...

- Znaleźliśmy ją.

- Ledwo.

- Znamy jej rodziców.

- Którzy zawsze traktowali nas z góry. Niech ci się nie wydaje, że było inaczej.
- Howard i Judy Martinowie to...
- Cudowni ludzie. Wiem. Odpuść sobie. To skończone snoby i dostrzegają cię tylko wtedy, kiedy czegoś od ciebie chcą.
- Ich córka została zamordowana.
- Brutalnie. Tak, wiem. Powiedz: czy można zamordować inaczej?
- Na litość boską, Pauline! Czy czasem słuchasz tego, co mówisz?
- Nie rób tu ze mnie potwora - warknęła. - Nie zrobiłam nic złego. Przykro mi, że biedna dziewczyna nie żyje. Szczerze. Ale co mogę na to poradzić? Nie przywrócimy jej życia, odwołując kolację i rozczarowując naszych przyjaciół.
- Nie mogę. - John z niedowierzaniem pokręcił głową.
- Co to znaczy: nie możesz? Niby dlaczego? Co możesz dziś zdziałać?
- Nie wiem. Ale muszę spróbować.
- No to spróbuj po kolacji. Nie masz ludzi do takich rzeczy?
- Już są w terenie. Zastanów się, Pauline. Jak to będzie wyglądać: ja siedzę sobie w restauracji, a cała reszta pracuje przez okrągłą dobę.
- Od kiedy cię obchodzi, jak coś wygląda?
- Nie w tym rzecz.
- Sam zacząłeś - wytknęła mu.
- Mam Seana Wilsona na karku...
- Sean Wilson to dupek.
- To burmistrz, Pauline.
- Tak, mikry burmistrz perfekcjonista. Proszę cię, wiem. Mógłbyś go rozgnieść na miazgę gołymi rękami.
- Rzecz w tym, że nie mogę iść na kolację z Sarah i Frankiem - powtórzył.
- Rzecz w tym, że nie chcę iść na kolację z Sarah i Frankiem, nie chcę zrzucić tej

sprawy na moich zastępców. Zamordowano młodą dziewczynę i muszę spróbować złapać zabójcę.

- Och, na miłość boską! - prychnęła Pauline. - Prawdopodobnie zrobił to jej chłopak.

- Jej chłopak? - Czyżby żona wiedziała o czymś, czego on nie wie? - Czemu tak sądzisz? Pauline machnięciem dłoni wskazała na telewizor.

- Bo to zawsze jest chłopak. - Zamilkła i po raz pierwszy na moment straciła pewność siebie. -

A nie?

- Cóż, naturalnie bierzemy taką możliwość pod uwagę, ale...

- Ale co?

John nie odzywał się przez chwilę, zastanawiając się, ile jej powiedzieć.

- Myślę, że możemy mieć do czynienia z psychopata.

- Coo?!

- Na razie to tylko domniemanie, więc nie wolno ci nikomu o tym mówić.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest wybuch paniki.

- O czym ty mówisz? Jak to: psychopata?

- Zaginęła jeszcze jedna dziewczyna. -Co?! Kto taki?!

- Nastolatka z Hendry County. Nikt, kogo znamy.

- W każdym razie nie wiadomo, czyjej zniknięcie ma coś wspólnego z Lianą - podsunęła Pauline.

- To prawda.

- Znika mnóstwo dziewczyn.

- Zgadza się.

- Pewnie uciekła z domu.

- Być może.

- Dlaczego w ogóle łączysz te dwie sprawy? - zapytała lekko poirytowanym głosem.

- Intuicja - odpowiedział szczerze.

- Czy twoja intuicja nigdy cię nie zawiodła?

- Wielokrotnie.

- Jednak uważasz, że tym razem się nie mylisz - podsumowała, badawczo patrząc mu w oczy.

-Tak.

- Merde. - Pauline opadła na łóżko i strząsnęła z nóg pantofle z otwartym noskiem. - Myślisz, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą? - zapytała po chwili.

- Nie wiem.

- Sądzisz, że to ktoś, kogo znamy?

- Nie wiem.

- To co ty, w końcu, wiesz?

- Wiem, że dopóki nie znajdziemy zabójcy Liany, musimy być niezwykle czujni, szczególnie jeśli chodzi o Amber. Właśnie, gdzie ona jest?

- Jak to: gdzie jest? Nie ma jej tu?

John natychmiast wypadł z sypialni i pobiegł przez kuchnię i wielki pokój do sypialni córki we frontowej części domu. Pchnął drzwi otwartą dłonią. Chuda postać wyskoczyła z łóżka.

- Amber! Dzięki Bogu! - John w dwóch długich susach znalazł się przy córce i zamknął ją w ramionach.

- Nie słyszałaś, jak cię wołałem?

- Nie - odparła dziewczyna, wysuwając się z jego uścisku i zakładając za uszy pasma długich, brązowych włosów. - Położyłam się na chwilę i chyba przysnęłam. -Przeniosła spojrzenie z ojca na matkę. - O co chodzi?

- Myśleliśmy, że wyszłaś.

- No i co?

- Nie chcemy, abyś wychodziła dokądkolwiek, nie informując nas.

Przynajmniej na razie. I zdecydowanie nie możesz chodzić sama.

Amber wpatrywała się w ojca oczami, które wyglądały jak dwa kółka pokolorowane szmaragdowozieloną kredką.

- W związku z tym, co się stało z Lianą?

- Już wiesz? - spytała Pauline od drzwi.

- Było w Internecie.

John odwrócił głowę w stronę komputera na biurku.

- Co? Gdzie?

- W mojej poczcie.



- Kto ci przysłał taką wiadomość?
- Raczej kto nie przysłał - padła odpowiedź Amber.
- Pokaż - polecił ojciec.

Amber bez słowa podeszła do komputera. Miała na sobie luźne spodnie z bawełny i obszerną koszulę w kratę. Skoro rzeczywiście uważa, że wychudzona świetnie wygląda, po co się tak maskuje - zastanawiał się John, gdy córka otwierała pocztę.

Było tam trzynaście wiadomości, wszystkie, w zasadzie, takie same: Liana Martin nie żyje. Zabita strzałem w głowę. Okropność. OHYDA, OHYDA. Jeden anonimowy e-mail donosił, że ją zgwałcono i odcięto głowę. Inny, od Victora Drummonda, że ciało Liany tonęło we krwi.

- Bzdury - oznajmił córce, która zdążyła wrócić na łóżko.
- Tak myślałam - odparła Amber. - Ale zastrzelono ją, prawda? Dostała w głowę?
- Tak.
- Została zgwałcona?
- Jeszcze nie wiemy.
- I nie wiesz, kto to zrobił?
- Twój ojciec uważa, że to mogła być robota seryjnego zabójcy - odezwała się pani Weber.
- Pauline, na miłość boską! - warknął John. - Co ci mówiłem o...
- Seryjny zabójca? - Zielone oczy Amber zrobiły się jeszcze większe, przez co policzki wydały się bardziej zapadnięte.
- Jeszcze jedna dziewczyna zaginęła - kontynuowała Pauline, nie zważając na sprzeciw męża. -Co?
- Dość, na tym kończymy tę rozmowę! - uciał stanowczo John. - Nie wolno tego nikomu powtarzać. Zrozumiano? -Ale z góry wiedział, że sprawa jest beznadziejna. Już widział, jak Pauline plotkuje przez telefon z koleżankami. Przed oczami przesuwały mu się wiadomości, które Amber za chwilę roześle.

- Oczywiście - odparty zgodnym chórem Pauline i Amber. - Qui. Okay.
  - W tej chwili to tylko teoria. Nie ma sensu denerwować ludzi - tłumaczył.
  - Jednak dopóki nie złapiemy tego faceta, nie chcę, żebyś sama wychodziła. Czy to jasne?
  - A jeśli go nie złapiecie? - podchwyciła Amber. John bezradnie pokręcił głową. Na to pytanie nie miał odpowiedzi.
  - Po prostu zrób mi tę przysługę i zachowaj ostrożność, dobrze? Córka przytaknęła skinieniem głowy.
  - Jesteś albo w szkole, albo w domu. Rano cię odwiozę, a matka odbierze po lekcjach.
  - Co?! - wtrąciła Pauline.
  - W poniedziałek są przesłuchania do szkolnego przedstawienia - zaproponowała Amber. - Wystawiamy Kiss me, Kate i profesor Lipsman chce mnie przesłuchać do roli Bianki, siostry Kate.
  - No dobrze - zgodził się John, gdy Pauline dała mu znak głową. - Pod warunkiem, że nie zostaniesz sama. I zadzwonisz po przesłuchaniu, kiedy będziesz już mogła wracać do domu. Amber wzruszyła ramionami na zgodę.
  - I zjedz coś - John usłyszał własne słowa. - Ważysz tyle co nic. Gdyby ktoś na ciebie napadł, nie miałabyś szans.
- Wielkie zielone żrenice uniosły się ku sufitowi.
- Ojciec zrobił zakupy w McDonalddie - odezwała się Pauline, a John poczuł się dziwnie wdzięczny za jej wsparcie.
- Amber patrzyła na rodziców takim wzrokiem, jakby oboje nagle zrzucili ubrania i stali przed nią nadzy. Była wyraźnie zbulwersowana.
- Jest big mac, kilka kanapek z kurczakiem i frytki - dodał John, nie zważając na jej minę.
  - Żartujesz?

- Wyglądam, jakbym żartował?
- Nie jem mięsa. Dobrze o tym wiesz.
- W takim razie weź frytki.
- Nie jem smażonych rzeczy.
- Więc co ty jesz?! - zapytał podniesionym głosem.
- John - upomniała go Pauline.
- Mnóstwo rzeczy.
- A mianowicie? - natarł, wiedząc, że przyjął złą taktykę, lecz nie potrafił się powstrzymać. Rita Hensen, szkolna pielęgniarka, z którą się konsultował, gdy Amber niebezpiecznie straciła na wadze, powiedziała mu, że zaburzenia łaknienia są praktycznie nieuleczalne, o ile dziewczyna sama nie jest gotowa się leczyć, i nawet wtedy prawdopodobnie będzie się zmagać z tym problemem przez całe życie. Nie było sensu na nią wrzeszczeć. Społeczeństwo już zrobiło świetną robotę, każąc wierzyć młodym dziewczynom, że idealna kobieta wygląda jak chłopak przed okresem dojrzewania.

Natomiast na drugim końcu skali - pomyślał John - znajdują się kobiety typu Kerri Franklin. Te z kolei bardziej przypominają plastikowe lalki niż istoty ludzkie. Chociaż - musiał przyznać - miło było popatrzeć. Do diabła, co się z ludźmi porobiło?

Kiedy normalny wygląd przestał być dla kobiet realną alternatywą?

- Nie chcę dłużej prowadzić tej dyskusji - oświadczyła Amber. Położyła się i naciągnęła koc na głowę, dając do zrozumienia, że rozmowa skończona.

- Amber...

- John - interweniowała Pauline. - Daj spokój. - Łagodnie wypchnęła go z pokoju. Szeryf zrozumiał, że w mniemaniu córki jedyną rzeczą, którą potrafiła kontrolować, była własna waga. Świat okazał się wielkim i budzącym lęk miejscem, szczególnie dla dziewcząt wkraczających w dorosłość.

W świetle tego, co się stało z Lianą Martin, trudno się było z tym nie zgodzić.

- Słyszałam, że to pan znalazł ciało Liany - Delilah zwróciła się do Cala Hamiltona, kiedy wprowadził ją do ciemnego domu. Było słoneczne i ciepłe popołudnie (najcieplejsza sobota miesiąca, jak usłyszała przez radio podczas jazdy), lecz tu, w tym lodowatym, klimatyzowanym domu, równie dobrze mógłby być środek nocy. Przynajmniej tak jej się wydawało, zanim wzrok po paru sekundach oswoił się z raptowną zmianą. Naciągnęła mocniej luźną, białą koszulę, skrepowana nadmiarem ciała, które wylewało się z płytkich dzinsów. Nienawidziła tego bezkompromisowego kroju spodni, który niekorzystnie eksponował brzuch, tworząc na nim dodatkowe fałdy, i podkreślał to, czego i tak już było w nadmiarze. Czemu ktoś nie może zaprojektować ubrań odpowiednich dla zwykłych ludzi (według najnowszych badań ponad połowa populacji Stanów Zjednoczonych miała znaczną nadwagę), a nie tylko dla takich Amber Webster i Megan Crosbie? Kiedy większość kupujących stała się demograficznie niepożądana? Gdzie w tym wszystkim sens i logika? Czy teraz cokolwiek ma sens?

- Okropny widok - powiedział Cal, prowadząc Delilah do kuchni na tyłach tego sterylnie czystego, małego domu.

Dziewczyna zerknęła w głąb salonu, który przypominał grobowiec, a meble sprawiały wrażenie czujnych strażników pełniących wartę. Zastanawiało ją, czy ktoś naprawdę siadywał na - sprawiającej wrażenie niewygodnej - kanapie z prostym oparciem lub w głębokich fotelach z drewnianym obramowaniem, a podczas wcześniejszych wizyt wcale nie zdziwił jej widok folii na abażurach. Z początku się bała, że to niebezpieczne, bo plastik może się zająć od żarówki, lecz szybko doszła do wniosku, iż zapewne tych lamp nigdy się nie zapala, więc co za różnica? Matka twierdziła, że przez ten plastik aba-

żury mogą się powykrzywiać, lecz Delilah wątpiła, aby Cal Hamilton to zauważył. W domu było za ciemno.

W kuchni, tak samo jak we wszystkich pokojach, żaluzje były opuszczone, jednak światło sączyło się przez szczeliny pomiędzy kilkoma wykrzywionymi listewkami i promyki słońca jak laserowe wiązki padały na podłogę z kafli w kolorze musztardy.

- Jak to było? Natrafił pan na nią przypadkiem? -Delilah przestąpiła jeden promień i zatrzymała się przed następnymi dwoma, bo Cal znieruchomiał i gwałtownie się do niej odwrócił.

Potrząsnął szopą jasnych, falujących włosów, a z jego wiecznie wykrzywionych ust wyrwało się ironiczne prychnięcie. Najwyraźniej uznał to pytanie za idiotyczne.

- Kilku chłopaków zauważyło wzruszoną ziemię. Wyglądała podejrzanie, więc postanowiliśmy sprawdzić.

- I znalazł pan Lianę?

- Nie. Znaleźliśmy królową Śnieżkę. - W głosie Cala pobrzmiwały sarkazm i zniecierpliwienie.

Oczy Delilah natychmiast wypełniły się łzami. Postawiła płócienną torbę na okrągłym kuchennym stole i wlepiła oczy w podłogę, nagle wdzięczna za przygnębiający półmrok. O ile przywykła do złośliwości i drwin kolegów z klasy, a nawet znieczuliła się na nie, nadal nie radziła sobie z sarkazmem. Jak ostrze noża łatwo i skutecznie wbijał się w ciało pomiędzy żebrami i ranił prosto w serce - szczególnie kiedy posługiwali się nim dorośli. Co prawda Cal Hamilton niewiele dla niej znaczył, uważała go za prostaka i egoistę, niemniej chciała, żeby odnosił się do niej życzliwie. Kolejna rzecz bez większego sensu.

- Oczywiście, że to była Liana - odezwał się Cal już łagodniejszym tonem. - Ale nie wyglądała najlepiej. - Zawiesił głos i przechylił głowę. Jasny pukiel opadł mu uwodzicielsko na czoło. - Chcesz zapytać, jak wyglądała?

- Nie. - Delilah zdecydowanie pokręciła głową.

- I dobrze. Bo wyglądała okropnie.

Dziewczyna przełknęła ślinę, czując drapanie w zaschniętym gardle.

- Ktoś mówił, że nie miała głowy - wychrypiła przez ściśnięte gardło.

- Ktoś przesadził. Jak zwykle - uśmiechnął się Cal. - Brakowało zaledwie połowy. - Plasnął dłońmi o uda. - No, chętnie bym został i pogadał z tobą, ale muszę się zbierać.

- Jasne. Nie chciałam pana przetrzymywać.

- Masz piwo w lodówce i wódkę w barku w stołowym. - Mrugnął do niej na znak, że żartuje. - A gdyby ktoś dzwonił, nie odbieraj. Niech się nagra.

- Podeszedł do tylnego wyjścia za końcem kuchennego blatu. Prowadziło do wiaty na samochód przy lewej ścianie budynku.

- Czy pani Hamilton jest w domu? - spytała. Głupie pytanie - pomyślała.

Gdzie indziej mogłaby być?

- Śpi.

Dziewczyna zerknęła ukradkiem na zegarek. Była dopiero druga po południu i choć wiedziała, że dorośli często ucinają sobie drzemkę w ciągu dnia (babci Rose regularnie opadała głowa dokładnie za dwadzieścia czwarta, lecz Fiona Hamilton była znacznie młodsza, chyba nie miała nawet trzydziestki), wydało jej się dziwne, że bez przerwy śpi. Uprzytomniła sobie, że była tu dwukrotnie i za każdym razem Fiona spała. Zastanawiała się, czy ta kobieta na coś nie choruje, mając nadzieję, że nie jest to zaraźliwe. Mam dość własnych problemów - pomyślała egoistycznie, odczuwając jednocześnie wyrzuty sumienia.

- Miała ciężką noc - wyjaśnił Cal i znowu puścił oko.

Delilah wolala nie dochodzić znaczenia tego mrugnięcia, niemniej poczuła niespodziewane i zdecydowanie niepożądane napięcie między udami. Co z nią? Czyżby podniecały ją dwuznaczne przechwałki tego napakowanego sterydami kretyna?

- W każdym razie - mówił dalej Cal - wszystko tak samo jak ostatnim razem. Rozgość się. Nie włączaj za głośno telewizora...

- Przyniosłam książkę - przerwała mu, pokazując egzemplarz *Plącz*, ukochany kraju. Profesor Crosbie kazała klasie zapoznać się z pierwszą połową powieści do końca następnego tygodnia, lecz ona postanowiła przeczytać całość. Oczywiście, jeśli będzie mogła zapalić światło.

- ...korzystaj z własnej komórki, gdybyś chciała gdzieś dzwonić - kontynuował Cal, jakby się w ogóle nie odezwała - a jeśli żona się obudzi przed moim powrotem, dopilnuj, żeby nie wychodziła z domu.

- Panie Hamilton, czy żona dobrze się czuje? - wymknęło się Delilah, zanim zdążyła pomyśleć. Doszły ją pogłoski, że Fiona Hamilton bywa bita przez męża.

Cal rzucał nerwowe spojrzenia na boki, jakby prowadził wewnętrzną walkę, czy odpowiedzieć na jej pytanie, czy raczej cisnąć nią o ścianę.

- Nie - odparł w końcu. I po dłuższej przerwie dodał: - Właściwie nie jest chora, ale... Delilah wstrzymała oddech. Ale..? - zapytała bezgłośnie.

- Nie jest w pełni zdrowa - podjął przerwany wątek, jakby postanawiając jej zaufać. - Ma coś z głową. Nie bój się - dodał szybko. - Nie jest agresywna czy coś w tym rodzaju.

- Agresywna? - Słowo to samo wyrwało się z ust Delilah i odbiło od ścian kuchni jak metalowa kulka w bilardzie.

- Powiedziałem, że nie jest agresywna - podkreślił Cal, po czym się roześmiał. - Kurde, ona jest potulna jak baranek. Tylko zmaga się z tymi wszystkimi fobiami.

- Fobiami?

- Irracjonalne lęki - wyjaśnił Cal. - Przynajmniej tak mówi doktor od czubków.

- W każdym razie - mówił dalej Cal - wszystko tak samo jak ostatnim razem. Rozgość się. Nie włączaj za głośno telewizora...

- Przyniosłam książkę - przerwała mu, pokazując egzemplarz *Plącz*, ukochany kraju. Profesor Crosbie kazała klasie zapoznać się z pierwszą połową powieści do końca następnego tygodnia, lecz ona postanowiła przeczytać całość. Oczywiście, jeśli będzie mogła zapalić światło.

- ...korzystaj z własnej komórki, gdybyś chciała gdzieś dzwonić - kontynuował Cal, jakby się w ogóle nie odezwała - a jeśli żona się obudzi przed moim powrotem, dopilnuj, żeby nie wychodziła z domu.

- Panie Hamilton, czy żona dobrze się czuje? - wymknęło się Delilah, zanim zdążyła pomyśleć. Doszły ją pogłoski, że Fiona Hamilton bywa bita przez męża.

Cal rzucał nerwowe spojrzenia na boki, jakby prowadził wewnętrzną walkę, czy odpowiedzieć na jej pytanie, czy raczej cisnąć nią o ścianę.

- Nie - odparł w końcu. I po dłuższej przerwie dodał: - Właściwie nie jest chora, ale... Delilah wstrzymała oddech. Ale..? - zapytała bezgłośnie.

- Nie jest w pełni zdrowa - podjął przerwany wątek, jakby postanawiając jej zaufać. - Ma coś z głową. Nie bój się - dodał szybko. - Nie jest agresywna czy coś w tym rodzaju.

- Agresywna? - Słowo to samo wyrwało się z ust Delilah i odbiło od ścian kuchni jak metalowa kulka w bilardzie.

- Powiedziałem, że nie jest agresywna - podkreślił Cal, po czym się roześmiał. - Kurde, ona jest potulna jak baranek. Tylko zmaga się z tymi wszystkimi fobiami.

- Fobiami?

- Irracjonalne lęki - wyjaśnił Cal. - Przynajmniej tak mówi doktor od czubków.



- Chodzi do psychiatry? Gdzie? - Delilah wiedziała, że w Torrance nie ma specjalisty w tej dziedzinie, chociaż według niej niewątpliwie by się przydał.

- No pewnie, że nie tutaj - powiedział Cal, jakby czytając w jej myślach. - W Miami.

- Jakiego rodzaju fobie?

- Jakie tylko chcesz. - Mężczyzna z ubolewaniem pokręcił głową. Więcej pukli opadło mu na czoło. - Zobaczymy. Boi się wysokości, węży, tłumu. Ma klaustrofobię, agrofobię...

- Agorafobie - weszła mu w słowo Delilah i mocno ugryzła się w język. Chyba poprawianie go nie było najlepszym pomysłem - pomyślała, widząc, jak nieprzyjemny uśmiech wykrzywia mu usta, a opuszczone ręce zamykają się w pięści.

- No, jasne. Agorafobie - przytaknął. - Boi się wychodzić z domu.

- Konkretnie jest to lęk przed przebywaniem na rynku. Czytałam o tym w „Cosmopolitan”.

- O, rzeczywiście? - Odgarnął włosy z czoła. - Wiesz, ona się stara. I w tym właśnie problem. Biedactwo wbiło sobie do głowy, że musi wychodzić, i próbuje to robić beze mnie, a zaraz potem wpada w panikę i lata w kółko jak kurczak z odciętą głową. Ludzie ją znajdują, dzwonią do mnie i to ją upokarza. Musimy wszystko zaczynać od początku. Dlatego jest taka nieśmiała, źle się czuje wśród ludzi, mało się odzywa, a jak czasem otworzy usta, zdarza jej się mówić bez sensu. Jednakże - dodał głośno na tym samym oddechu, a słowo wybrzmiało w powietrzu jak wykrzyknik - naprawdę muszę już iść.

Spojrzał na zegarek. Delilah zauważyła, że nosi roleksa i zdziwiła się, że stać go na takie cacko. Zapewne podróbka. Ciekawe, ile z tego, co jej powiedział, było prawdą.

- Jestem trochę spóźniony. - Cal otworzył tylne drzwi, które prowadziły prosto do wiaty. - Wrócę za parę godzin. Pilnuj mojej dziewczyny.

- Proszę się o nic nie martwić - zapewniła go, patrząc, jak podchodzi do lśniącej, czerwonej corvetty, po czym nieruchomieje na parę sekund i wpatruje się w ogród sąsiedniego domu.

- Coś pan zapomniał? - zapytała, lecz nie raczył odpowiedzieć.

Wsiadł do samochodu i wyjechał na ulicę. Chciałabym mieć takie auto - rozmarzyła się Delilah i dostrzegając Megan opalającą się w skąpym bikini na sąsiednim podwórku, uzmysłowiła sobie, że w domu obok mieszkają Crosbie. A więc to na nią Cal Hamilton tak się zapatrzył - stwierdziła, kręcąc głową. Zamykając kuchenne drzwi, zastanawiała się, czy kiedykolwiek jakiś mężczyzna spojrzy w ten sposób na nią.

Musisz najpierw zgubić kilka funtów, skarbie - zadźwięczały jej w uszach wymawiane nosowo słowa matki, która pomimo lekcji dykcji nie potrafiła się wyzbyć tego beznadziejnego nawyku. Najwyraźniej struny głosowe, w przeciwieństwie do innych, bardziej podatnych części ciała, nie poddały się przeróbkom. Matka mogła do woli korygować usta, lecz dźwięki, które z nich wychodziły, uparcie brzmiały tak samo.

Otworzyła lodówkę i wzdrygnęła się na widok zawartości. Mleko, sok pomarańczowy, piwo i znowu piwo, kilka zielonych jabłek, przywiedły seler, bladozielony liść sałaty o zbrązowiałych brzegach i jeszcze kilka piw. Sprawdziła zamrażarkę i znalazła tam trzy kartony lodów Dove - wszystkie otwarte.

- Lepiej nie - szepnęła, dociskając drzwiczki, zanim ulegnie pokusie.

Postanowiła napić się wody. Babka radziła jej, żeby wypijała szklankę wody, gdy zgłodnieje, a wtedy oszuka apetyt i nie będzie się przejadać.

Zdeterminowana, podeszła do zlewu i naląła wody do szklanki.

Mimowolnie zatrzymała wzrok na szparze pomiędzy listewkami żaluzji w małym oknie wychodzącym prosto na ogród sąsiadów akurat w chwili, gdy Megan usiadła na leżaku i zaczęła smarować kremem do

opalania smukłe uda. Jaka ona ładna - pomyślała Delilah. Założę się, że nigdy nie musiała wybierać pomiędzy wodą a lodami Dove. Ale nie zazdrościła jej długich nóg i szczupłej talii. Megan odnosiła się do niej jeśli nie do końca z sympatią, to na pewno bez złośliwości, mimo że miała więcej powodów, aby jej dokuczać niż inne dzieciaki. To przecież przez matkę Delilah ojciec Megan wyprowadził się z domu.

Dziewczyna skończyła nakładać krem, po czym spojrzała na dom Hamiltonów, jakby wiedziała, że jest obserwowana. Delilah instynktownie podniosła dłoń i pomachała, lecz pozdrowienie pozostało bez odpowiedzi, bo Megan akurat obniżyła oparcie leżaka i położyła się, wystawiając ciało do słońca. Delilah popijała wodę drobnymi łyżkami, świadoma, że afront nie był zamierzony, bo koleżanka najprawdopodobniej nie dostrzegła jej za zasłoniętą żaluzją. Właściwie dlaczego jest zasłonięta? - zastanawiała się. Czemu w domu zawsze panuje półmrok? Czy Fiona Hamilton oprócz agorafobii cierpi również na lęk przed słońcem? Rozbawiona, odwróciła się od okna.

W wejściu do kuchni stała kobieta, raczej podobna do zjawy niż do żywej istoty; chude ręce zwisały bezwładnie wzdłuż boków, palce bosych stóp wystawały spod rąbka białej nocnej koszuli. Długie włosy w kolorze piasku opadały luźno za ramiona, przez co jej mizerna twarz wydawała się jeszcze szczuplejsza, a barwa dużych, zielononiebieskich oczu bardziej intensywna.

Delilah zachłysnęła się, zaskoczona tym niespodziewanym widokiem. Szklanka z wodą wysliznęła się z ręki i uderzyła o podłogę, rozbijając się w drobny mak.

- Och, nie! - krzyknęła kobieta, nie ruszając się z miejsca.

- To nic. Zaraz posprzątam. - Dziewczyna błyskawicznie uklękła w kałuży wody i macając dłonią kafelki, zaczęła zbierać odłamki szkła. - Przepraszam, nie słyszałam, jak pani weszła.

- Co ja zrobiłam?! Co ja zrobiłam?!

- Nic pani nie zrobiła - zapewniła ją szybko Deli-lah. - Trochę się przestraszyłam i tyle.

- Krwawisz!

Delilah spojrzała na dłoń. Rzeczywiście krew kapała z małej ranki na wskazującym palcu. Czy Fiona bała się również widoku krwi?

- To drobiazg. - Wytarła dłoń o dzinsy. - Widzi pani? Już dobrze. - Na palcu znowu pojawiła się krew.

- O Boże! O Boże!

- Pani Hamilton, to tylko małe skaleczenie. - Delilah podniosła się z podłogi, szybko wyrzuciła pozbierane odłamki do pojemnika pod zlewem i odkręcając kran, podstawiła palec pod strumień lodowatej wody. Piekł, lecz trzymała go pod wodą, bojąc się, że jeśli cofnie rękę, krew znowu zacznie kapać, a wtedy Fiona Hamilton zupełnie straci głowę.

Kobieta zerknęła za siebie i z powrotem przeniosła wzrok na Delilah. Nie odzywała się.

- Pani Hamilton, dobrze się pani czuje?

- Stuknąś szklankę.

- Tak. Bardzo przepraszam.

- O Boże! O Boże!

- Nic się nie stało. Oddam pani.

- Cał tak je lubi.

- Słucham?

- Te szklanki. Będzie się bardzo gniewał.

- Pani Hamilton, to zwykłe szklanki. Nie są drogie. Mamy takie same w domu. Można je kupić w Publix.

- O Boże! O Boże!

- Wie pani co, zrobimy tak: zadzwonię do mamy i poproszę, żeby zaraz ją odkupiła - zaproponowała Delilah, cofnęła dłoń spod kranu, zdjęła torbę ze stołu i wygrzebała z niej telefon. Szybko wstukała numer i przyłożyła komórkę do ucha.

- O Boże! Twoja torba. - Fiona wskazała na mały czerwony odcisk palca na środku płóciennego plecaka.

- To nic. Nie szkodzi. To stara torba. Nie ma sprawy... Halo? Babcia Rose? - Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów ucieszyła się, słysząc jej głos. - Jest mama? Możesz ją poprosić?

- Kerriiii! - Babka wydarła się prosto w słuchawkę. Delilah odsunęła telefon od ucha i przyglądała się rozdygotanej kobiecie w drzwiach. Zauważyła, że trzęsie się na całym ciele. Czy bardziej przeraził ją widok krwi, stłuczonego szkła, czy to, jak zareaguje jej mąż? Na litość boską, to przecież zwykła szklanka! Czy Fiona zawsze reaguje tak emocjonalnie?

- Nie odzywa się - powiedziała babka po kilku sekundach. - Nie wiem, gdzie jest.

- Mogłabyś jeszcze raz spróbować?

- Czemu? Masz coś ważnego?

- Jestem u Hamiltonów. Stłukłam szklankę. Fiona zaczęła cicho szlochać.

- Co takiego?

- Niechący.

- Naprawdę, Delilah. Jesteś jak słoń w składzie porcelany. Serdeczne dzięki - odparła w myślach, zastanawiając się, z którą z tych kobiet woli mieć do czynienia: z jędzą przy telefonie czy z wariatką w drzwiach.

- Posłuchaj, takich samych szklanek używamy w kuchni. Niech mama jak najszybciej pojedzie do Publix i ją odkupi.

- A czemu ty tam nie pójdziesz?

Delilah przez chwilę rozważała taką możliwość. Jasne, że mogłaby wyskoczyć na parę minut do sklepu. Fiona Hamilton była dorosłą kobietą, a nie małą dziewczynką. Niestety, ta dorosła kobieta stała, dygocząc, wyraźnie wstrząśnięta widokiem stłuczonej szklanki i skaleczenia na palcu; jak więc mogła zostawić ją samą?

- Nie mogę. Babciu Rose, proszę, zapytaj mamę, czy mogłaby to dla mnie zrobić. Cisza.

Dopiero po paru sekundach dotarło do niej, że babka się rozłączyła.

- Dziękuję, jestem ci ogromnie wdzięczna - powiedziała do sygnału w słuchawce. Wrzuciła telefon do torby i zmusiła się do uśmiechu. - Moja mama niedługo tu będzie.

Fiona skwapliwie pokiwała głową i potarła dłońmi nagie ramiona.

- Zimno? Ma pani ochotę na kawę? Mogę zaparzyć. To panią rozgrzeje. Kobieta odmówiła, kręcąc głową.

- Cał nie lubi, jak piję kawę - odrzekła.

Delilah zastanawiała się, czy kofeina w kawie może pobudzać u niej różne lęki.

- Nie lubi zapachu kawy w moim oddechu - wyjaśniła samorzutnie Fiona.

Delilah pokiwała ze zrozumieniem głową, chociaż w ogóle tego nie pojmowała. Owszem, słyszała, jak ludzie mówią o „oddechu kawiarsza”, lecz osobiście nie uważała tego zapachu za przykry. A poza tym Cała nie było w domu. Wróci dopiero za kilka godzin. Do tego czasu zapach zdążyłby zniknąć.

- W takim razie może herbaty? Fiona ponownie pokręciła głową.

- A lody Dove?

Pomimo półmroku Delilah dostrzegła radosny błysk w oczach Fiony.

- Lody Dove?

Dziewczyna zapraszającym gestem otworzyła zamrażarkę i wyjęła lodowy batonik z pudełka na wierzchu.

- O nie. To lody Cała - ostrzegła ją Fiona, a radość przygasła w zielonych oczach jak za pokręceniem wyłącznika.

- Na pewno nie miałby nic przeciwko...

- Nie, nie mogę.

- Ależ może pani. Właściwie obie zjemy lody. - Delilah wyciągnęła jeszcze jeden batonik z kartonu,

a pierwszy podała Fionie. - No, proszę. Powiem mu, że tak mi smakowały, że zjadłam aż dwa.

- Nie uwierzy.

Delilah omal nie parsknęła śmiechem.

- Żartuje pani. - Czy ta kobieta oprócz fobii cierpi na ślepotę? - No, proszę. Lody dobrze pani zrobią. - Zdarła opakowanie i odgryzła kawałek miękkiej, ciemnej, mlecznej czekolady. -Mmm, pycha! No, proszę. Niech pani spróbuje.

Fiona stała nieruchomo, wpatrując się w lodowy batonik w swych dłoniach.

- Wie pani co? Wpuśćmy tu trochę światła. - Delilah podeszła do okna, zanim kobieta zdążyła zaproponować. -Taki piękny dzień. Świeci słońce. Jest ciepło. - Podciągnęła żaluzję w oknie nad zlewem. - No. Znacznie lepiej.

Odwróciła się energicznie i w tej samej chwili uśmiech zamarł na jej ustach, bo w słońcu zobaczyła wyraźne zasinienia na ramionach i szyi Fiony.

- Mój Boże! Co się pani stało?!

Lodowy batonik wypadł Fionie z rąk, odbił się od palców bosych stóp i potoczył pod stół.

- O Boże! Nie powinnam tu być!

- O czym pani mówi? Pani tu mieszka.

- Powinnam zostać w łóżku.

- Czemu pani ma leżeć w łóżku? Pani Hamilton? Choruje pani?

- Nie powinnam z tobą rozmawiać.

- Dlaczego?

- On nie lubi, jak rozmawiam z obcymi.

-Pani Hamilton, nie jestem obca. Jestem... - Kim właściwie była?

Sąsiadką? Opiekunką do dzieci? Czego w ogóle się bała ta kobieta? - Jestem pani znajomą.

- Będzie zły, kiedy się dowie, że tu weszłam.

- Jak się tego dowie? Ja mu nie powiem.

- Dowie się.

- W jaki sposób? - Delilah omiotła kuchnię spojrzeniem w poszukiwaniu ukrytych kamer.

- Sama mu powiem. -Co?
  - Podczas inspekcji. Zapyta, a ja będę musiała mu o tym powiedzieć.
  - Wcale nie. Nie musi mu pani o niczym mówić. Co to znaczy: „podczas inspekcji”? O czym Fiona mówi?
- Posiniaczona kobieta patrzyła na Delilah, jakby ta przemawiała do niej w obcym języku.
- Pani Hamilton - zaczęła łagodnie Delilah, ruchem głowy wskazując się. - Czy to mąż pani zrobił?
  - Co? Oczywiście, że nie.
  - Jeśli to jego robota, wcale nie musi pani z nim być. Wezwiemy szeryfa. Może pani wsadzić męża do więzienia.
  - Nie. Nigdy nie mogłabym tego zrobić.
  - Ale...
- Usłyszały dzwonek przy frontowych drzwiach, a zaraz po nim głośne pukanie.
- O Boże! Już jest!
- Jak to możliwe? - przeszło przez myśl Delilah. Czyżby Cal Hamilton wrócił ukradkiem i zaparkował samochód na ulicy? Dlaczego?
- Będzie bardzo zły - zawodziła Fiona. - Nie przejdę inspekcji.
  - O czym pani mówi? Jakiej inspekcji? Pukanie stało się bardziej natarczywe.
  - O Boże! Boże!
  - Delilah! - Rozległo się wołanie przed domem.
  - To mama - oznajmiła dziewczyna, wypuszczając długo wstrzymywany oddech. Gdy mijała Fionę, poklepała ją po ramieniu, czując, jak kobieta kuli się pod dotykiem. Przebiegła szybko przez salon do frontowych drzwi, a gdy je otworzyła, zobaczyła na progu matkę ze szklanką w wyciągniętej ręce.
  - Wzięłam z naszej kuchni - powiedziała Kerri zamiast powitania. Miała na sobie najbardziej skąpe bia-



le szorty, jakie Delilah w życiu widziała, a obfity biust wylewał się z podkoszulka w biało-czarne pasy z dekoltem w szpic. - Co się tu, do diabła, dzieje?

- Nie wiem - wyszeptała córka, odbierając szklankę. - Ale dziwnie to wygląda. Usłyszała plaskanie stóp, a kiedy się odwróciła, zobaczyła, jak Fiona znika w korytarzu wiodącym do sypialni, i po chwili dobiegł ją odgłos zamykanych drzwi.

- Taak? W takim razie uważam, że nie powinnaś tu więcej przychodzić - stwierdziła matka. - Nie teraz, gdy spada na nas ta główniana historia.

- Jaka główniana historia? - Czy coś się stało? Wcześniej matka nie wydawała się zbyt przejęta.

- Jest kolejny przypadek.

- Jaki przypadek?

Matka głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Jeszcze jedna dziewczyna zaginęła.

11

## Z DZIENNIKA ZABÓJCY

To był ekscytujący weekend.

Gdy tylko pierwsze wiadomości o drugiej zaginionej dziewczynie rozeszły się po okolicy, rozpętało się piekło. W Torrance zawrzało, wszyscy snuli zwariowane teorie i prześcigali się w spekulacjach. Czy istnieje jakiś związek pomiędzy zaginięciem Liany Martin i tamtej dziewczyny? Czy to prawda, że jeszcze jedna nastolatka, uciekinierka z Hendry County, zaginęła przed Lianą? Czy to tylko kwestia czasu, kiedy rozkładające się ciała młodych kobiet zaczną się wyłaniać z ziemi na całej Alligator Alley niczym dziczki rozsiane przez wiatr? Czy na południu Florydy grasuje maniak? A jeśli tak, czy ten psychopata to jakiś obcy, czy ktoś, kogo wszyscy znają?

Wkrótce wszyscy mężczyźni, których miejsca pobytu w określonym czasie nie były w stanie potwierdzić trzy

osoby (z wyłączeniem członków najbliższej rodziny), zostali uznani za podejrzanych. Chyba wszyscy mieszkańcy płci męskiej pomiędzy siódmym a siedemdziesiątym rokiem życia byli wzywani przez szeryfa i jego zastępców na przesłuchanie. I nic.

John sprawiał wrażenie wyczerpanego. Wczoraj po południu spotkaliśmy się przelotnie, lecz nie zwrócił na mnie uwagi. Wychodził ze sklepu z bronią (najwyraźniej znacznie wzrósł na nią popyt) i prezentował się kiepsko. To zaskakujące w przypadku mężczyzny jego postury.

Wyglądał, jakby wytrzeszono z niego całe gówno, co akurat dla szeryfa nie byłoby takie złe -mógłby zgubić kilka funtów - ale zarazem poszarzał na twarzy. Marnie wygląda - przeszło mi przez myśl. Korciło mnie, żeby pomachać do niego, gdyby akurat spojrział w moją stronę. Ale nie popatrzył. Gapił się na prawą tylną oponę radiowozu, bo uciekło z niej trochę powietrza za sprawą gwoźdźca, który ktoś złośliwie w nią wbił. Prawie można było czytać w jego myślach: zwłoki, jeszcze jedna zaginiona dziewczyna i na dodatek to cholerstwo! Sięgnął po walkie-talkie z przedniego siedzenia. Coś tam mamrotał do mikrofonu i trząśł głową, a potem oparł się o drzwiczki radiowozu i czekał, aż przyjada mu pomoc. Pewnie w końcu ktoś się zjawił, ale szkoda mi było czasu, żeby zostać dłużej i sprawdzić.

Mam inne sprawy na głowie.

Interesujące są reakcje małego miasteczka, gdy dochodzi w nim do tragedii. Kiedy Liana Martin zaginęła, z początku tuziemcy szczerze się przejmowali i współczuli. O nastolatce i jej rodzinie słyszało się same superlatywy. Liana była śliczną, najstarszą córką pary należącej do elity Torrance. Martinowie to prawi obywatele i dobrzy, troskliwi rodzice.

Gdy wydobyto zwłoki ich dziecka, całe miasteczko było w żałobie.

A potem zaczęły się szeptki: Czy to prawda, że kiedy ją znaleźli, miała na sobie podkoszulek z

napisem MOVE

BITCH? Jakby się sama o to prosiła, nie? Wiecznie mieli z tą dziewczyną kłopoty. Matka nie dawała sobie z nią rady. Podobno spotykała się z jakimś starszym facetem z Miami. Słyszałam, że lubiła wyuzdany seks. Takie zachowanie nazywa się „obwinianiem ofiary” i według tego, co udało mi się przeczytać, stanowi częstą reakcję w przypadku tragedii. Najwyraźniej przypisywanie winy ofierze jest mechanizmem obronnym; ludzie w ten sposób dystansują się od nieszczęścia. Jeżeli ofiara wydaje się w jakikolwiek sposób ponosić winę za swój los, wtedy nie musimy się przejmować. Nie palimy, więc nie zachorujemy na raka. Jeśli nie włączymy się po nocach, nie grozi nam gwałt. Nigdy nie włożyłybyśmy koszulki z napisem MOVE BITCH, a więc to, co spotkało Lianę, nam się nie przytrafi. Nie sądzę, aby ludzie z premedytacją zachowywali się tak perfidnie. Myślę, że pragną poczucia bezpieczeństwa. Bo naturalnie go nie mają.

Nie przy tych wszystkich wariactwach, które się dzieją na świecie.

Naprawdę myślicie, że jakiś maniak grasuje na południu Florydy?

Sądzicie, że to ktoś obcy, czy też osoba, którą znamy?

Pomyślmy. Kogo znamy? Kto wydaje się podejrzany? W tej chwili czołowe miejsce na liście zajmuje Cal Hamilton.

Hmm, czemu nie? Cal mieszka tu stosunkowo krótko, jest postawny i silny, no i ma ten przebiegły uśmiech. Co takiego? Powiedziałeś:

„uśmiech zabójcy”? W dodatku jest łasy na kobitki, a już nie wspomnę o tej jego biednej -maltretowanej? - żonie, której się prawie nie widuje. Nie było go w mieście w sobotę po południu, kiedy ta dziewczyna zaginęła. A czy czasem to nie jego samochód mignął komuś blisko miejsca, gdzie po raz ostatni ją widziano? No i to właśnie on znalazł ciało Liany. Hmm, sam już nie wiem - sądząc z wyglądu, mógłby strzelić dziewczynie w głowę, nie uważasz?

A Joey Balfour? Razem z Calem Hamiltonem znaleźli Lianę. Podobno potknął się o podejrzanę wzniesienie. A może to był Greg Watt? Ach, nieistotne. Jeden wart drugiego. Dwóch głupkowatych osiłków, którzy od lat sprawiają kłopoty. Tak; to prawda, pochodzą z dobrych, ciężko pracujących rodzin, ale pamiętacie, jak wtedy zdewastowali tamte drogie, zagraniczne samochody w salonie? A czy to nie Joey kilka lat temu był zamieszany w coś w rodzaju gwałtu? Taak, wiem, chodziło o uwiedzenie nieletniej i wycofano zarzut, gdy dziewczyna wyjechała z miasta, niemniej...

A Avery Peterson? Co?! Nauczyciel przedmiotów ścisłych? Słyszałeś, że gustuje w młodych ciałach? Wielka mi rzecz, podobnie jak połowa Ameryki. Nie można za to powiesić faceta. Według mnie Gordon Lipsman to podejrzaný typ. Jest odrażający, mieszkał z matką i z tymi wszystkimi kotami. Nie wiesz, że koty to uczniowie diabła? Nie zapominaj też o Leonardzie Frommie, obecnie szacownym dyrektorem Torrance High. Kto w młodości był większym luzakiem na świecie i rwał panienki na deskę surfingową? Trochę dziwnie się zachowuje, odkąd żona mu związała z instruktorem jogi. A właśnie - z tego instruktora też był niezły świr.

Skoro mowa o świrach - co myślisz o Bńanie Hensenie? Coś mu się porobiło z głową po tym, jak w łazience znalazł wiszącego ojca. A Victor Drummond? Może te rojenia o wampirach już mu nie wystarczały? Wiesz, że Liana wykrwawiła się do cna. A ten jej chłopak, Peter Arlington? Podobno się kłócili. Czy ktoś w ogóle wierzy, że tamtego dnia był chory? Widział go ktoś u lekarza?

Skoro mowa o lekarzach, co myślisz o doktorze Crosbiem? Wyraźnie przechodzi kryzys wieku średniego. Żeby zostawić taką fajną żonę dla tej lalkowatej latawicy Kerri Franklin! Musi nie mieć wszystkich klepek! Zgodzisz się ze mną, że luźne klepki to już problem samego doktora. Ale jest u nas nowy, kurde, przyjechał tu z Nowego Jorku! Mam mówić dalej? I nie ma alibi na sobotnie popołudnie.

Twierdzi, że siedział w gabinecie i uzupełniał dokumentację. Kupujesz to?

A stary Calhoun, młody Fńckey, a ten Rodriguez w średnim wieku? A rzeźnik, piekarz, producent świeczników? A ten gość, tam, na rogu, czy ten facet przechodzący przez jezdnię?

To może być każdy z nich.

Tylko który?

Chyba nikt nie był wolny od podejrzeń i insynuacji. Ciekawie się obserwuje, jak plotki zaczynają żyć własnym życiem, tworzyć odrębną rzeczywistość. Jak wszystko zmierza w jednym kierunku i niespodziewanie kończy całkiem gdzie indziej. Zupełnie jak Liana Martin. Szła do domu, a wylądowała w grobie.

Tak więc zapewne cała ta panika i spekulacje nie były do końca bezpodstawne, gdy znikła kolejna dziewczyna. Z drugiej strony, gdybyście mnie zapytali - czego oczywiście nikt nie zrobił - było to wiele hałasu o nic. Zaginiona dziewczyna, Brenda Vinton, mieszka w Collier County, które leży dokładnie na zachód od Broward i jest uważane za najszybciej rozwijające się hrabstwo. Jego obszar wynosi 20 006 mil kwadratowych (dokładnie o 787 mil więcej niż Broward). Według najnowszego spisu ludności populacja wzrosła tam o 65 procent w ostatniej dekadzie. (Lubię być w takich sprawach na bieżąco). Collier słynie z cyprysów, a ponieważ dominują tam tereny podmokłe, najbardziej dynamicznie rozwijają się miejscowości położone wzdłuż zachodniego wybrzeża Zatoki Meksykańskiej. Collier zamieszkuje około dwóch tysięcy Indian z plemienia Seminoli, chociaż osobiście wątpię, aby można ich było spotkać w którymś z dużych miast, takich jak Naples, skąd pochodzi Brenda. Otóż Brenda jest właśnie tą ładną, szesnastoletnią dziewczyną, o której zniknięciu zaalarmowali rodzice, gdy w sobotnie popołudnie nie wróciła prosto do domu z lekcji gry na pianinie. Gdy zwłoka wyniosła pół godziny, mieszkańcy Naples byli roztrzęsieni, bo jakiś zboczeniec kręcił się po okolicy i obnażał przed dziećmi,

a inny (może nawet ten sam, tego nikt nie był pewien) w ubiegłym tygodniu próbował wciągnąć do samochodu dziesięcioletnią dziewczynkę, lecz spłoszył go jej krzyk. Poczciwi obywatele Naples słyszeli również o zabójstwie Liany Martin, kiedy więc Brenda nie zjawiała się w domu o wyznaczonej godzinie, wszystkich, co zrozumiało, ogarnęło przerażenie. Natychmiast zorganizowano ekipę poszukiwawczą, ktoś zawiadomił media i już po chwili całą południową Florydę ogarnęła panika. Wszyscy byli przekonani, że pojawił się kolejny seryjny morderca, a przecież kilku już się tu kręciło. I jak podejrzewam, to prawda.

Tylko że ja nie uważam się za seryjnego zabójcę. Absolutnie nie. Według mnie seryjnymi zabójcami zostają ludzie ze źle ulokowanym kompleksem Boga, którzy uderzają przypadkowo, gdy włóczą się po ulicach w poszukiwaniu ofiar, nieświadomie spełniających ich chore fantazje. To wyrzutki społeczeństwa, u których zboczone seksualne pragnienia i sadystyczne ciągoty mogą zostać zaspokojone jedynie poprzez akt zabijania. Nie przestaną tego robić, dopóki się ich nie złapie. To nie ja.

Przede wszystkim nie uderzam na oślep, choć - jak sądzę - niektórzy mogą tak uważać, szczególnie teraz, na początkowym etapie mej działalności. (Bo to jest działalność). I nie wybieram ofiar na chybił trafił. Mam starannie przemyślany plan, który realizuję z jeszcze większą starannością, a wszystkie moje ofiary zostały pieczołowicie wytypowane. Nawet Candy Abbot, która nie do końca pasowała do zamysłu, stanowiła część ogólnego zamierzenia. Była moim przypadkiem testowym, a jeśli wolicie - godną pożałowania, lecz konieczną ofiarą wojny. (Bo to jest wojna). Należało sprawdzić, czy mój plan da się zrealizować, czy zadziała chloroform i czy dom, w którym zamierzam przetrzymywać ofiary, spełnia moje oczekiwania jako więzienie. Oczywiście cały czas się uczę. Należy wprowadzić pewne modyfikacje -

muszę mieć zawsze pod ręką kilka butelek wody i poświęcić więcej uwagi sprawom związanym z nagłymi oraz nieprzewidywalnymi sytuacjami. Ale, ogólnie rzecz biorąc, doświadczenie z Candy Abbot dało pozytywny wynik, przynajmniej dla mnie. (Wątpię, czy ona by się ze mną zgodziła). Nie wspominał już o tym, że dzięki niej pojawiła się pewność, która pozwoliła mi przejść do realizacji następnego etapu mego planu. Wejście - i zejście - Liany Martin.

Denerwujący był czas tuż przed odnalezieniem jej zwłok. Szeryf rzucił do akcji wszystkich podkomendnych, a oni natychmiast skrzyknęli kilka ekip poszukiwawczych, z których żadna niczego nie znalazła. Zaczęto mówić o rozszerzeniu poszukiwań i może nawet ściągnięciu FBI. Ogarnął mnie strach, że wytropią moją tajną kryjówkę. Nie jest znowu taka tajna, no bo jak może nią być? Dom stoi na końcu rozległego pola, wyraźnie widoczny z drogi - jeśli się dobrze przyjrzeć. Niemniej mam świadomość, że ludzie nie rozglądają się zbyt dokładnie nawet wtedy, gdy czegoś szukają. Wydaje im się, że to robią, lecz w rzeczywistości wykonują pewne czynności: grzebią to tu, to tam i czekają, aż to coś samo się znajdzie. Natomiast zarówno to pole, jak i dom od lat pozostają zaniedbane i są dla ludzi zaledwie tłem. Zupełnie jak w filmach. Jednak ogarniał mnie niepokój. Jeśli szybko nie odnajdą ciała Liany, szeryf będzie musiał rozszerzyć obszar poszukiwań i może przypadkiem natknąć się na pole i dom, a wtedy nastąpiłby koniec gry. Przynajmniej na jakiś czas. Trzeba by było znowu zaczynać wszystko od początku, a wątpię, czy udałoby mi się znaleźć drugie tak idealne miejsce jak to. Nie wspomnę już, ile czasu zajęłaby sama przeprowadzka. Nie, zdecydowanie byłoby to niepożądane.

Tak więc kiedy skrzyknięto ekipy poszukiwawcze, moim obowiązkiem było dyskretne podsuniecie pewnych sugestii. W skład każdej z grup wchodziło po kilka

osób i wszystkie przekrzykiwały się nawzajem, rywalizując o pozycję przywódcy stada, i wskazywały to na to, to na tamto miejsce, od którego należy rozpocząć poszukiwania. Wkrótce trudno więc było odgadnąć, kto co proponował, i wtedy pojawiła się okazja, aby niepostrzeżenie skierować poszukiwaczy na pole, gdzie leżały zwłoki Liany. Kiedy się tam znaleźliśmy, bez większych problemów udało mi się podprowadzić grupę do właściwego miejsca, no i - patrzcie państwo - jest!

W porządku. Przyznaję. Ta część była zabawna. Widok ich czujnych min, kiedy odkryli podejrzaną wzniesienie, te wykrzywione strachem twarze, gdy wyłoniła się wiotka ręka, te zdławione okrzyki przerażenia, kiedy wydobyto ciało Liany. Boże, w jakim oplakany był stanie! Czas i zwierzęta zrobiły swoje. Żadna ilość najdroższego błyszczyku nie pomoże już tym - niegdyś ponętym - ustom. Naturalnie, dla niepoznaki należało odegrać szok i gniew. Zatykanie ust ręką, że niby zbiera się na wymioty. Szczerze mówiąc, omal nie sprowokował mnie odór wymiocin. Zdziwiałem, że już sam ten fetor wywołuje mdłości. Ale przeszły po wzięciu kilku głębokich oddechów, tak jak w dzieciństwie radziła mi matka.

Jak to ludzie mówią? Matka ma zawsze rację?

Co oni wiedzą? Co ktokolwiek wie?

Nawet nie mieli pojęcia, że jestem wśród nich.

Powiem wam, co ja wiem. Otóż wiem, że nie mam żadnego źle ulokowanego kompleksu Boga. W najmniejszym stopniu nie chcę Go odgrywać. Wielkie dzięki. I na pewno ani zabijanie, ani widok konających nie podnieca mnie seksualnie. Jak już wcześniej było wspomniane, satysfakcję sprawia mi budowanie napięcia, sama gra. (Bo to jest gra). I tu muszę wrócić do Brendy Vinton.

Brenda Vinton należy do tych ładnych w bezmyślny sposób dziewcząt, których obecnie wszędzie pełno. Długie włosy, mały, zadarty nos i oczy bez wyrazu. Daleko jej do piękności -takie przynajmniej można odnieść



wrażenie, widząc jej zdjęcia na ulotkach porozlepia-nych po całym stanie niemal natychmiast po zgłoszeniu zaginięcia. Być może nie jest fotogeniczna. Z niektórymi ludźmi tak bywa. Są piękni, ale aparat fotograficzny ich nie kocha. Na zdjęciach wydają się sztywni i bez uroku, pozbawieni osobowości i charakteru.

Z drugiej strony niektórych ludzi pomimo najszczerzej chęci trudno uznać za ładnych, a jednak doskonale wychodzą na zdjęciach. Widzisz takie fotografie i myślisz: niesamowita osoba. A potem ją spotykasz i nie znajdujesz w niej nic szczególnego. Tak właśnie bywa z najsłynniejszymi modelkami, z ich pięknymi twarzami, które widzisz na okładkach magazynów mody. Wydają się oszałamiająco piękne, lecz z tymi wysokimi kośćmi policzkowymi są w rzeczywistości jedynie dobrze opłacanym podłożem dla czyichś wizji, kanwą dla odpowiedniej kombinacji farby i profesjonalnego oświetlenia. Potrzebna jest obca ręka, żeby tchnąć w nie życie. Oczywiście niekiedy obca ręka przynosi śmierć. Zapytajcie Lianę Martin.

Ale teraz mówimy o Brendzie Vinton. Taki typ twarzy jak jej nie starzeje się zbyt korzystnie. Przynajmniej tak można sądzić po matce, którą pokazano na zwołanej przez nią samą absurdalnej konferencji prasowej. Ze łzami w oczach dziękowała na niej wszystkim ochotnikom za to, że zrezygnowali z weekendu, aby poszukiwać jej ukochanej córki. Twarz pani Vinton - okrągła i nieciekawa, o miękkich, wywiniętych wargach i małych, głęboko osadzonych oczach, które co chwila napępniały się łzami - wyrażała na przemian ulgę, gniew i zakłopotanie, a chwilami wszystkie te uczucia naraz. Od czasu do czasu oglądała się na byłego męża i jego nową żonę, dziewczynę, która mogłaby być jego córką (naprawdę powinien się wstydzić). Krzywiła się wówczas z niesmakiem, chociaż wątpię, aby robiła to świadomie. Ogarnął mnie śmiech. Ludzie tak łatwo się odkrywają. Zdradza ich najmniejszy gest.

Pani Vinton stoi na stopniach przed jakimś publicznym gmachem, prawdopodobnie ratuszem, z podartą chusteczką higieniczną w dłoni, dziękuje policji i ochotnikom, zerka na męża i jego młodą żonę, opowiada, jak bardzo jej przykro z powodu córki. Brenda czuje się taka skruszona - powtarza co chwila, dodając, że poszukają dla niej profesjonalnej pomocy. W końcu po raz ostatni ogląda się na męża, który wymuszonym uśmiechem z trudem maskuje kwaśną minę. Konferencja prasowa dobiega końca i pani Vinton znika z ekranu. Naturalnie przez cały ten czas nigdzie nie widać Brendy. Za bardzo się wstydzi - wyjaśnia matka.

Nie kupuję tego. Nie sędzę, aby mała Brenda choć trochę się wstydziła. Przecież zyskała to, na czym jej zależało, czyli - jak myślę - wyrwała się spod skrzydeł matki, która niewątpliwie po

odejściu męża stała się nadopiekuńcza, oraz zdobyła nieco uwagi zanedbującego ją ojca, zapewne bardzo ostatnio zaabsorbowanego nową żoną. Nie wspomnę już, że przez ponad dobę jej imię było na wszystkich ustach, twarz na każdym słupie telefonicznym oraz we wszystkich wiadomościach telewizyjnych i wszyscy wznosili modły w jej intencji. A gdzie przez ten czas podziewała się mała Brenda?

Zaszyła się gdzieś w pobliżu, w jakimś obskurnym motelu, i zapijając chipsy colą, oglądała w telewizji sprawozdania ze swego zaginięcia. Nie chciała zrobić nic złego - zapewniała policjantów, gdy pokojówka znalazła ją w łóżku, kiedy w niedzielne popołudnie poszła zmienić pościel. Nie planowała ucieczki. Nie zdawała sobie sprawy, ile zamieszania wywoła swym zniknięciem. Ten pomysł nagle przyszedł jej do głowy. Skończyła lekcję pianina i szła do domu uczyć się na poniedziałkowy sprawdzian. Trochę się martwiła, że nie przeczytała żadnej z zadanych lektur i bała się, że go obleje. Wtedy matka się wkurzy, no i nie puści jej na koncert The Killers do Fort Lauderdale w następny

weekend, chociaż wystąpiła się w kolejce po bilet pięć godzin i wydała całą kasę z ostatnich urodzin, żeby załapać się na jakieś przyzwoite miejsce. A w ogóle to wszystko jest do bani, nie cierpi być dzieckiem, nie znosi szkoły, a już szczególnie nienawidzi lekcji pianina w sobotnie poranki, kiedy wszyscy kumple jeszcze śpią. Właśnie wtedy wpadła na pomysł, żeby poleniuchować przez kilka godzin w jakimś motelu zamiast wracać prosto do domu i uczyć się do tego głupiego sprawdzianu. I tak właśnie zrobiła. A potem włączyła telewizor, zobaczyła swoje zdjęcie i usłyszała komunikat o zaginięciu. Nie wiedziała, co robić. Nie, skoro o to pytacie, nie przypuszczała, że matka tak się przejmie. Skąd miała wiedzieć, że tym kilkugodzinnym spóźnieniem wywoła takie zamieszanie i że całe miasto będzie jej szukać? Tak, oczywiście, słyszała o tamtej biednej dziewczynie z Torrance, która dała się zabić, ale, kurczę, to się stało w drugim końcu stanu i czemu ktoś miałby łączyć te dwie sprawy. Już przeprosiła, w porządku?

Nie, nie w porządku. I korci mnie, żeby złożyć Brendzie Vinton wizytę, pokazać jej, co się dzieje z przygłupimi panienkami, które kuszą los. Ale pewnie teraz matka pilnuje jej jak oka w głowie, więc ryzyko jest zbyt duże. Poza tym to kawał drogi i strata czasu, a i tak sporo go straciliśmy przez tę głupią dziewczynę. Z jej powodu odwleka się kolejny etap planu. Ludzie są teraz bardzo spięci. Zrobili się niezwykle czujni. Burmistrz wykopał topór wojenny. W okolicy węszy kilku reporterów z dużych miast. Gdziekolwiek idę, ludzie oglądają się przez ramię, zaglądają w okna nieznanych samochodów, odbierają dzieciaki ze szkoły.

Przyglądam się im, kiedy nie podejrzewają, że są obserwowani.

Pod słuchuję, gdy rozmawiają. Rozumiem, co czują. W końcu należę do tej społeczności. Albo tak im się wydaje.

Mam świadomość, że jakiegokolwiek działanie w tej chwili byłoby lekkomyślnością. Rozsądek nakazuje od-

czekać przynajmniej kilka tygodni, aż ludzie choć trochę stracą czujność, reporterzy powrócą do swych wielkomięjskich gazet, burmistrz przestanie się wymądrzać przed kamerami, a szeryf i jego zastępcy zajmą się swymi zwykłymi obowiązkami: wypisywaniem mandatów za przekroczenie szybkości i karaniem za hałasy w godzinach, kiedy obowiązuje cisza. Mam już wybraną kolejną dziewczynę, a więc nie ma pośpiechu, chociaż z drugiej strony lepiej byłoby się trzymać pierwotnego grafiku. Ale zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami należy być przygotowanym na niespodzianki, bo deus ex machina - niestety. Ale jest i jasna strona; dzięki temu przedłuży się oczekiwanie, które -jak już wiecie - stanowi ulubioną część mojego planu.

Może kiedy skończę z pocziwymi ludźmi w Torrance, przejadę się do Naples i złożę przelotną wizytę Brendzie Vinton. Zobaczymy. Mam mnóstwo czasu na podjęcie decyzji.

12

- No, dość, moi drodzy, nie mamy dużo czasu! - Profesor Lipsman zamachał rękami w powietrzu, jakby oganiał się przed rojem rozdrażnionych pszczół. Rozejrzał się po trzystumiejscowym audytorium i skinieniem dłoni przywołał około tuzina opornych kandydatów na aktorów, trzymających się na tyłach przepastnej sali, prosząc ich, aby podeszli bliżej i dołączyli do mniej więcej pięćdziesięciu uczniów zgromadzonych w pierwszych dwóch rzędach.

- Proszę o ciszę! - Zaklaskał i ponownie zamachał rękami, niecierpliwie przechadzając się po podium.

Megan obserwowała jego występ z fotela w drugim rzędzie lewego sektora. Słyszała, że profesor Lipsman marzył, żeby zostać aktorem, lecz według jego matki był to zawód niepoważny, więc nigdy nawet nie spróbował swoich sił. Gdy Megan patrzyła na jego przesadne gesty

i teatralne westchnienia, doszła do wniosku, że minął się z powołaniem. Szkoda - pomyślała niemal ze współczuciem; niemal, bo takiego kretyna jak on trudno było naprawdę żałować. To musi być okropne - stwierdziła - robić przez całe życie coś, co w najlepszym wypadku stanowiło alternatywę, i patrzeć, jak wielu innych, mniej utalentowanych, zajmuje miejsce, które mogłoby należeć do ciebie, gdyby starczyło ci odwagi, siły woli i determinacji na realizację marzeń. A także uporę, żeby przeciwstawić się matce - dodała, odgarniając długie brązowe włosy za ramiona gestem świadczącym o nowym postanowieniu. Jednocześnie odwróciła się w fotelu, bo właśnie grupa opornych uczniów z ostatniej klasy z ociąganiem schodziła przejściem ku podium. Grega Watta wśród nich nie było.

Rozczarowana, stłumiła westchnienie. Liczyła, że Greg stawi się na przesłuchanie, choć słyszała pogłoski, że ojciec mu zabronił, stwierdzając, że syn nie będzie marnował cennego czasu na takie pedalskie zajęcia. Przynajmniej wychwyciła taką informację z podsłuchanej rano w holu rozmowy Joeya Balfoura z chłopakami. Co jest z tymi rodzicami? Czy wszyscy są tacy beznadziejni i skoncentrowani na sobie? Och, tak, robią wielkie halo, zapewniają, że zależy im wyłącznie na szczęściu dzieci, lecz kiedy przychodzi co do czego, zawsze chcą postawić na swoim, a dzieciaki buntują się dopiero wtedy, gdy zostają przyparte do muru i wyraźnie widać, że tak naprawdę rodzicom zależy wyłącznie na sobie. Pani Lipsman nie chciała, żeby syn został aktorem, więc poświęcił talent i zrezygnował z ambicji, zgadzając się na rolę nauczyciela dramatu. Pan Watt krzywo patrzył na artystyczne zainteresowania Grega, żądając, aby syn poświęcił czas i energię rodzinnej firmie. A jej matka wymyśliła, że chce wracać do Rochester, radośnie zakładając, że córka i syn automatycznie zaakceptują jej życzenie. Trudno, w tym wypadku Megan nie za-

mierzą ustąpić. W weekend postanowiła, że nie wyjedzie z Florydy. I nieważne, że swego czasu wcale nie chciała tu przyjeżdżać, że brakuje jej przyjaciół z północy, no i że Liana Martin została zamordowana.

- Tu jest niebezpiecznie - argumentowała matka.

- Bezpieczniej niż w Nowym Jorku - odpaliła.

A potem zaginęła następna dziewczyna i matki omal nie trafił szlag.

Nawet nie zdążyli pochować Liany - pomstowała - a kolejna dziewczyna znikła bez śladu. Właściwie trzecia, jeśli wierzyć plotkom. A potem się okazało, że nikt nie porwał Brendy Vinton i cała ta rozpaczliwa tyrada matki o seryjnym zabójcy polującym na młode dziewczyny była jednym wielkim wymysłem. Jeśli wziąć pod uwagę statystyki, o wiele bardziej prawdopodobne jest to, że Lianę Martin zabił ktoś, kogo znała, niż psychopata kręcący się po Florydzie. I dlatego nie ma mowy o powrocie do Rochester - upierała się, nie ustępując nawet wtedy, gdy pojęła bezsens swych protestów. Była świadoma, może nawet bardziej niż matka, że prawdziwy powód wyjazdu z Torrance nie ma nic wspólnego z seryjnym zabójcą, natomiast bardzo dużo z niewiernym mężem. Czy można mieć o to do niej pretensje?

Megan skierowała spojrzenie na przejście. W czerwonym pluszowym fotelu przy końcu rzędu siedziała rozparta Delilah Franklin, czekając, aż profesor Lipsman rozpocznie przesłuchania. Wypełniała ona audytorium swą osobą jak niepożądana chmura; już sama jej obecność mogła popsuć zabawę. Dlaczego ona pokazuje się wszędzie tam, gdzie ja? -

zastanawiała się Megan, wiedząc, że jest niesprawiedliwa. Biedna dziewczyna miała prawo chodzić tam, gdzie jej się podobało. Przyszła tu, bo widać chciała zagrać w szkolnej sztuce.

Jednak, sądząc z odległości, w jakiej trzymali się od Delilah inni uczniowie (kilka miejsc po obu stronach jej fotela i parę w rzędzie za nią ziało pustką), przez nikogo nie była tu mile widziana. Szczerze mówiąc, Megan nie miała pojęcia, do jakiej roli by pasowała. Pro-

fesor Lipsman zapewne myślał tak samo i przypuszczalnie przydzielili jej niewdzięczne zadanie malowania dekoracji lub szycia kostiumów. Czy nie tym właśnie zajmowała się w zeszłym roku?

To głupi pomysł - pomyślała Megan, gdy nauczyciel zaczął rozdawać egzemplarze tekstu. Nie powinna tu przychodzić. Wcale nie chciała tu być. Nie ma ochoty grać w szkolnej sztuce, nawet gdyby przypadła jej główna rola.

Z początku wszystko wskazywało, że nie dojdzie do wystawienia musicalu. Po śmierci matki profesora Lipsmana odłożono próby, a po zabójstwie Liany dyrektor się zastanawiał, czy w ogóle spektaklu nie odwołać. Ale profesor Lipsman wystąpił z płomiennym przemówieniem o potrzebie zwycięstwa nadziei nad rozpaczą. Twierdził, że sztuka pomoże uczniom pokonać ból oraz strach, i tak dalej, i tak dalej, czyli w zakamuflowany sposób dał do zrozumienia, że życie toczy się utartym trybem.

- Niech Kiss me, Kate będzie naszym hołdem złożonym pamięci Liany - dyrektor ogłosił na koniec przez megafon, zachęcając wszystkich uczniów, aby w miarę swych możliwości wnieśli wkład w przedstawienie czy to w roli aktorów, czy też przy pracach pomocniczych.

- To lepsze dla uczniów od wizyt u psychologa. - Podśledzał ktoś słowa Lipsmana, chociaż pomoc terapeuty też oferowano.

Megan nie widziała związku pomiędzy pracą nad sztuką a pamięcią Liany. Wbrew zachętom matki nie skorzystała też z pomocy specjalnie ściągniętego psychologa. Nie miała ochoty rozmawiać z obcym człowiekiem o śmierci koleżanki. Nie czuła również potrzeby dyskusowania o morderstwie z nikim ze znajomych, a w szczególności z matką, która naciskała na nią, aby wyjawiała, co czuje, i pytała bez przerwy, jak to wszystko znosi. Megan dostawała od tego zawrotów głowy i zbierało jej się na krzyk.

- W każdej chwili możesz ze mną o tym porozmawiać - zaznaczyła matka.

Ona jednak zawsze czuła się lepiej, milcząc. W przeciwieństwie do innych dziewcząt w jej wieku wołała zachować własne myśli dla siebie. Jeśli nie zdradzasz się ze swymi uczuciami, nie musisz się ich później wypierać. Zdecydowanie preferowała anonimowość Internetu, gdzie można było się dzielić lękami, nie ujawniając głosu. Chyba wiele osób myślało podobnie.

Jakie to potworne! - pisał ktoś. - Czy może być coś gorszego od tego, co przytrafiło się Lianie?

Biedna dziewczyna - lamentował ktoś inny. - Biedactwo. Albo: Serce mi pęka. Dusza krwawi. To koniec świata. Oczywiście zdarzały się też zupełnie inne wypowiedzi. Była dziwką. Kogo to obchodzi?

Ma, na co zasłużyła.

Niewątpliwie odpowiednie władze śledziły tę korespondencję i będą w stanie dotrzeć do autorów wiadomości. Ale raczej niewiele im to da. Megan zakładała, że ktoś, kto był na tyle przebiegły, aby porwać ofiarę w biały dzień, dokonać zabójstwa, pozbyć się ciała, i dotąd nie dał się złapać, nie okaże się tak beznadziejnie głupi, żeby zostawić taki oczywisty trop. Szeryf Weber i jego zastępcy przesłuchali już całe miasto, a niektórych mieszkańców wzywali parokrotnie, lecz na razie nie mieli konkretów. Oczywiście, poza ciałem Liany, które obecnie przetrzymywał koroner. Mówiło się o pogrzebie lub przynajmniej o nabożeństwie żałobnym pod koniec tygodnia. Megan nie miała ochoty iść. Ale czy wypadało? Może będzie tam zabójca Liany - zastanawiała się. Czy skłoni głowę podczas modlitwy wraz z resztą żałobników i złoży szeptem kondolencje pogrążonej w rozpacz rodziny? Stanie w pobliżu grobu, gdy ciało Liany po raz drugi spocznie w zimnej ziemi? A może znajdzie się tuż przy Megan, dosłownie ocierając się o nią ramieniem?



Potrząsnęła głową, z całej mocy pragnąc odsunąć od siebie te niepokojące myśli. Obejrzała się w głąb audytorium z nadzieją, że Greg Watt wśliznął się niepostrzeżenie i może stoi tam z rękami wspartymi na biodrach i z ironicznym uśmiechem rozgląda się po sali. Jednak troje drzwi pozamykano, a Grega nigdzie nie było widać. Najwyraźniej wszyscy wyznaczeni do przesłuchania zdążyli się zebrać. Niechętnie przeniosła spojrzenie na podium. Biorąc pod uwagę wielkość zgromadzenia, było stosunkowo cicho. Wszyscy wydawali się jakby ogłuszeni. Ginger Perchak i Tanya McGovern, przytulone do siebie w pierwszym rzędzie, przerzucały kartki scenariuszy. Amber Weber siedziała w rzędzie za nimi i bezgłośnie powtarzała linijki dialogu. Kilka miejsc dalej, po jej lewej stronie, Brian Hensen z ręką wyciągniętą do profesora Lipsmana czekał na tekst. Nieco dalej siedział Peter Arlington z ramionami splecionymi na piersi i wzrokiem utkwionym w podłogę. Był też Victor Drummond ze swoją upiorną dziewczyną, z oczami jak u szopa pracza i z kolczykami w najdziwniejszych miejscach. Przyszli również inni uczniowie, znani Megan jedynie z widzenia. O dziwo, zjawił się nawet Joey Balfour, jasno stawiając sprawę, że interesują go wyłącznie aktorki, nawet takie ze szkoły średniej, bo są nadpobudliwe erotycznie i nie mają zahamowań, więc może mu się poszczęści. „W hołdzie pamięci Liany Martin” - oświadczył, wzbudzając tym mimowolną salwę śmiechu. Sądząc po spojrzeniach, jakie rzucały mu dziewczyny z pierwszej klasy, być może miał rację - pomyślała Megan, zastanawiając się jednocześnie, czy ona w podobny sposób patrzy na Grega Watta. Niespodziewanie egzemplarz sztuki wylądował na jej kolanach.

- Przejrzyj rolę Kate - gdzieś nad głową Megan zabrzmiał uroczyście modulowany głos profesora Lipsmana.

Otworzył tekst na odpowiedniej stronie, mimochodem muskając palcami jej rękę. Czym prędzej ją cofnęła i przesunęła wierzchem dłoni po džinsach, jakby chciała zetrzeć ślad po tym dotyku. Profesor Lipsman nadal stał nad nią. Gdy podniosła głowę, puścił do niej oko.

- Panie profesorze! - zawołała Delilah ze swego miejsca na skraju pierwszego rzędu. - Zapomniał pan o mnie!

Lipsman wyciągnął do niej rękę ze scenariuszem, nawet nie racząc się odwrócić.

- Przepraszam. - Jeszcze raz mrugnął do Megan, jakby dając do zrozumienia, że podziela jej niechęć, że jest jednym z nich.

Niespodziewanie poczuła przyływ współczucia dla Delilah, kiedy ta niezdarnie wydobyla się z fotela. Przemieniło się ono w ból, gdy dziewczyna potknęła się o stopę, która nagle wyrosła na jej drodze, i runęła jak długa na kolana kilku przerażonych uczniów.

- Kurde, co... ?

- Przepraszam - powiedziała prędko.

- Fajna jazda?

- Złaż ze mnie!

- Naprawdę bardzo przepraszam.

- Do zobaczenia przy następnym lądowaniu!

- Spadaj!

Delilah podniosła się z trudem, wygładzając na biodrach długą, czarną spódnice zebraną w gumkę. W niej każda inna dziewczyna wyglądałaby modnie. Na Delilah przypominała namiot.

- Widziałem Afrykę - wyskandował rytmicznie skrzek-liwym głosem Joey Balfour. - Widziałem pustyni połacie, widziałem wielkiej Di gacie. Zaraz, co ja gadam? Ona nie ma majtek!

- Fuj! - zawołał ktoś i wszyscy parsknęli śmiechem.

- Ohyda! - zawtórował inny.

Megan liczyła, że Lipsman położy kres tym drwinom, lecz on, jak gdyby nigdy nic, dalej rozdawał teksty.

- Nie dostałam egzemplarza - upomniała się potulnie Delilah swym głosem małej dziewczynki, gdy ostatnie scenariusze trafiły w ręce uczniów.

- Niestety, więcej nie mam, chyba ktoś będzie musiał się z tobą podzielić.

- Lipsman przesunął wzrokiem po rzędach w poszukiwaniu ochotników. Nikt nie podniósł ręki.

- Ja się z nią podzielę - odezwała się Megan po chwili, patrząc, jak twarz Delilah rozpromienia się z wdzięczności.

W tej samej chwili Ginger Perchak i Tanya McGovern zrobiły kwaśne miny. Co mnie napadło? - pytała się w myślach Megan, gdy Delilah niezdarnie człapała w jej kierunku. Będzie musiała się przesiąść, choć wcale nie miała ochoty. Poza tym Ginger i Tanya zapewne przestaną się do niej odzywać. Przede wszystkim od razu powinna przysiąść się do nich, zamiast siadać osobno, licząc, że zjawi się Greg.

To wszystko przez matkę - zdecydowała, przesuwając się, żeby zrobić miejsce Delilah. Zawsze wpajała im, że najważniejsza w życiu jest uprzejmość. Złota zasada: Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe.

Należałoby powiedzieć to osobnikowi, który zabił Lianę.

- Dzięki! - odezwała się Delilah i moszcząc się w fotelu obok, przycisnęła grube uda do nóg Megan, bo nie mieściły się w obrębie wąskiego siedzenia. - Panie profesorze, na którą rolę mam zwrócić uwagę?

- Patrz na chór - odparł Lipsman.

- Cały chór? - podchwycił Joey Balfour, wywołując kolejną salwę śmiechu. Megan też by się roześmiała, gdyby nie poczuła, jak Delilah sztywnieje.

- Bardzo proszę, dość tego! - uciął Lipsman w ramach spóźnionej reprimendy. - Czy ktoś zna tę sztukę?

Megan podniosła lewą rękę.

- Widziałam ją kilka lat temu na Broadwayu.

- Widziała ją na Broadwayu - powtórzył po niej Joey i Megan dostrzegła, że Ginger uśmiechnęła się ironicznie.

Co ze mną - skarciła się w myślach. Dlaczego nie potrafię trzymać ust na kłódkę?

- Nigdy nie byłam na Broadwayu - wyszeptała Defilali, uśmiechając się do Megan, jakby były serdecznymi przyjaciółkami.

Boże, pozwól mi stąd wyjść - modliła się Megan.

- Czy wiecie, że ten musical jest oparty na sztuce Szekspira? - sondował Lipsman. - Czy ktoś mi poda tytuł sztuki? Megan?

Potrząsnęła przecząco głową, chociaż знаła odpowiedź. Poskromienie złośnicy - wymówiła w myślach tytuł równocześnie z Lipsmanem. Potem profesor objaśniał intrygę i opisywał różnicę pomiędzy musicalem a tekstem Szekspira. Następnie zapowiedział, że poprosi wszystkich, żeby przeczytali urywek, i dokona selekcji, a pod koniec tygodnia sprawdzi, jak potrafią śpiewać.

- Ginger, może zaczniemy od ciebie. Rola Kate. - Dziewczyna podniosła się z fotela i weszła po stopniach na podium. - Brian, spróbujesz zagrać Petruchia?

- Myślałem, że to ma być moja rola - zagrzmiął głos w głębi audytorium. Wszyscy się obejrżeli z wyjątkiem Megan, która - nadal pochylona - z uporem wpatrywała się w tekst na kolanach. Nie musiała się odwracać, bo wiedziała, że to Greg. Gdyby na niego spojrzała, twarz z miejsca by ją zdradziła. Kilka razy odetchnęła głęboko, żeby uciszyć trzepoczące się serce.

- Dobrze się czujesz? - spytała Delilah zupełnie jak jej matka.

- Doskonale - wysyczała Megan. - Czemu niby miałabym się źle czuć?

- Bo tak poczerwieniałaś na twarzy. Czy ona zawsze musi się tak drzeć?

- Nic mi nie jest - powtórzyła w tej samej chwili, gdy Greg przeszedł obok i stanął przed pierwszym rzędem obok Tanyi.

- To miejsce jest wolne?

- Proszę - uśmiechnęła się Tanya, a Greg opadł na pusty teraz - fotel Ginger.

Megan udawała, że w ogóle jej to nie obeszło, gdy wyciągnął przed siebie długie, muskularne nogi. Pomyślała, że gdyby nie Delilah, a pośrednio gdyby nie matka z tą swoją głupią złotą zasadą, nigdy nie zaprosiłaby Delilah do dzielenia się tekstem i miejsce obok byłoby wolne, a Greg może wolałby usiąść obok niej.

Poczuła, że Delilah zbliża usta do jej ucha; ciepły oddech musnął policzek, tak jak kot muska futrem skórę, ocierając się o gołą nogę.

- Jest takim czopem - szepnęła Delilah. - Nie cierpię go, a ty?

- Nie. Czemu miałabym go nie cierpieć? - zapytała Megan odrobinę za głośno, a Greg odwrócił głowę i spojrzał na nią, jakby wiedział, że o nim mowa.

Poczuła, jak czerwienieją jej policzki, a na czoło występują kropelki potu.

- Dobrze się czujesz? - zainteresowała się ponownie Delilah.

Megan zamknęła oczy. Zabiję ją, jeśli jeszcze raz zapyta - pomyślała i skupiając całą uwagę na scenie, słuchała, jak Ginger i Brian mechanicznie czytają dialog, a potem odtwarzają go jeszcze raz po kilku wskazówkach Lipsmana.

- Dziękuję - odezwał się profesor, kiedy skończyli, pozwalając im wrócić na miejsca, z prośbą, by się nie oddalali. - Tanya i... - Rozglądał się po audytorium.

Tylko nie Greg - modliła się po cichu Megan, chociaż taki wybór wydawał się logiczny. Błagam, tylko nie Greg.

- ...Peter - zdecydował Lipsman. - Teraz was posłuchamy, dobrze? Aha, Greg! - zwrócił się do niego nie-

spodziewanie, a Megan wstrzymała oddech. - Za jakieś dziesięć minut poproszę ciebie z Megan. No i widzę, że nie masz tekstu, może więc przesiedlibyście się do tyłu i przejrzeni go razem, zanim was zawołam? Chłopak natychmiast zerwał się z miejsca.

- Idziesz? - rzucił do Megan, kiedy ją mijał, i ruszył przejściem, nie racząc się nawet obejrzeć. Niezdarnie przestąpiła nogi Delilah.

- Współczuję ci - usłyszała, kiedy pospiesznie podreptała za nim, a potem jeszcze: - Panie profesorze, znów nie mam tekstu!

Doganiając Grega, zwolniła kroku. Miała przed sobą jego plecy. Szła chwiejnie jak zamroczona, odnosząc wrażenie, że najłżejszy powiew mógłby zwalić ją z nóg. Jesteś głupia - mówiła sobie, dla równowagi przytrzymując się oparcia najbliższego fotela. Wcale nie jest taki fajny. Rany boskie, przyjrzyj się tylko. Wygląda jak napakowany, tępy osiłek. Pewnie bez mózgu. Ale to nie mózg ją interesował - zreflektowała się, wpatrzona w opięte dżinsy na pośladkach.

- Może być? - Greg wskazał na ostatni rząd i opadł na fotel, zanim zdążyła odpowiedzieć.

- Niech będzie - odparła mimo wszystko, siadając obok i otwierając tekst na odpowiedniej stronie. Jak dotąd nawet na siebie nie spojrzeli.

- Mogłabyś przysunąć tekst trochę bliżej? - zapytał. Przełożyła go do drugiej ręki.

- Chyba każe nam przeczytać ten kawałek.

- Taak?

- Wszyscy właśnie to czytają.

Greg pochylił się i studiował dialog. Po kilku sekundach poczuła, że jego zainteresowanie sztuką osłabło i teraz patrzył na nią. A właściwie się w nią wpatrywał. Cholera - pomyślała. Powinnam usiąść z drugiej strony.

Mam znacznie lepszy lewy profil. Cholera, cholera, cholera.

- Czyli jesteś Kate, tak? - zapytał uwodzicielskim tonem.

- Na to wygląda. - Ucieszyła się, że jej głos zabrzmiał tak spokojnie.  
- Hmm, na to wygląda - powtórzył tonem Davida Caruso z Kryminalnych zagadek Miami. -Przysłano po mnie, bym cię poskromił.

Poczuła, że oblewa się rumieńcem. Ale zamiast opuścić wzrok na kolana i udawać, że kartkuje tekst, kokieteryjnie przychyliła głowę i spojrzała mu prosto w piwne oczy.

- Naprawdę? - usłyszała własne słowa. - I myślisz, że ci się uda? Krótka przerwa. Błysk w piwnych oczach.

- Zawsze mi się udaje.

Kurczę, jak powinna mu odpowiedzieć - zastanawiała się. Recytowała kawałki dialogu ze scenariusza, z którym się jeszcze nie zapoznała. Ma wyznać, że jest w tych sprawach nowicjuską? Że nigdy nie wychodziły jej improwizacje? Że - a niech to - ciągle jest dziewicą? Że podobał jej się jeden chłopak w Rochester, ale przeprowadziła się na Florydę, zanim zdążyli się posunąć poza obściskiwanie na tylnym siedzeniu samochodu? Że Greg wydawał jej się niesamowicie atrakcyjny i że matka dostanie zawału na samą myśl, iż są parą, co w jej oczach czyniło go jeszcze bardziej pociągającym? Do licha, co jest z nią?!

- Masz czas w sobotę wieczorem? - zapytał.

- Co? - Czy dobrze usłyszała?

- Chcemy się spotkać w parę osób. Urządzić coś w rodzaju czuwania dla Liany.

- Czuwania?

- Tak jakby.

Czyżby ją zapraszał? Czy coś w rodzaju czuwania oznaczało randkę?

- Będę wolna.

- To fajnie. - Wyciągnął rękę i zamknął trzymany przez nią skrypt, a potem ujął jej dłoń i jakby z roztargnieniem zaczął skubać ustami opuszki palców.

Poczuła, jak dreszcz podobny do prądu przebiegł od dłoni do barku, i szybko cofnęła rękę.

- Nie chcesz poćwiczyć dialogu?

- Nieee - odparł, odchylając głowę na oparcie i przymykając oczy. - Mamy zwycięstwo w kieszeni.

13

- Tam, w głębi - instruowała Rita. - Za barem skreć w prawo przy reklamie Budweisera.

- Jesteś pewna, że nie chcesz się zwijać? - Sandy spojrzała na zegarek, wysuwając się z ciasnego boksu. - Najwyraźniej nas wystawili.

- O czym ty mówisz?

- Spóźniają się dziesięć minut. Nie przyjdą.

- Spóźniają się dopiero pięć minut. Będą. Przecież widziałaś, jak wygląda ruch na autostradzie 1-95 w sobotę wieczorem.

- Na 1-95 zawsze jest ruch. Powinni wziąć poprawkę. My to przewidziałyśmy.

- Widocznie nie są skautami. No, idź przypudrować nos. Jak wrócisz, już tu będą.

- A jeśli nie?

- Zamówimy drinki, posiedzimy z piętnaście minut i wrócimy do Torrance - zaproponowała Rita.

Sandy kiwnęła głową na zgodę.

- Zamów dla mnie martini z calvadosem.

Ruszyła do toalety, kierując się w głąb tego popularnego nad oceanem przybytku dla samotnych. Po drodze się zastanawiała, dlaczego te miejsca są wszędzie tak bardzo do siebie podobne. Nieważne, czy znajdowały się w Rochester, Torrance czy w Fort Lauderdale, w ruchliwym centrum miasta czy przy białej, piaszczystej plaży. Parafrazując Gertrudę Stein, bar zawsze był barem. Głośna muzyka, przyćmione światła, neonowe reklamy, alkohol oraz tłum samotnych kobiet i mężczyzn, udających, że samotność wcale im nie doskwiera. Ner-



wowi mężczyźni oszukujący nudne żony, znudzone żony spragnione odrobiny uwagi, rozwódki polujące na cudzych mężów, nastolatki, które udają, że osiągnęły wiek, kiedy wolno zamówić alkohol, oraz czterdziestolatki zachowujące się jak małolaty. Mężczyźni rozglądający się za okazją i kobiety szukające miłości. Jak leci to porzekadło? Mężczyźni udają zakochanych, żeby zaciągnąć kobietę do łóżka, kobiety udają ochotę na seks, aby zdobyć miłość. Sandy czuła się zbyt znużona, żeby dokładnie je zacytować. Zresztą co za różnica? Prawda jest taka, że niektórzy wrócą dziś do domu szczęśliwi, a inni - nie. A jeszcze inni w ogóle nie powinni z niego wychodzić. Na przykład ona. Co tutaj robi? Czyż na początku nie oznajmiła stanowczo, że nie pojedzie z Ritą do Fort Lauderdale? Czy się jasno nie wyraziła, że zdecydowanie nie ma ochoty poznawać jakiegoś faceta, obojętnie jak - według zapewnień Rity -sympatycznego, bo zna go jedynie z internetowego serwisu randkowego i dopiero dziś zobaczy na własne oczy? Jeśli okaże się jakimś łajdakiem, to bardzo prawdopodobne, że jego towarzysz też jest łajdakiem, a Sandy potrzebny był jeszcze jeden łajdak w życiu jak dziura w moście. Czy nie przekonywała, że według niej jazda do Lauderdale jest złym pomysłem (zgoda, to niedaleko), kiedy morderca chodzi na wolności, i że powinny zostać w domu i pilnować dzieci? Tyle że te dzieci wcale nie chciały być pilnowane. To dzieci wypchnęły je z domu. Nadmierna troska tylko wprawiała je w jeszcze większe zdenerwowanie - tak przynajmniej twierdziły. A dziś i tak były zajęte, bo skrzyknęły się na czuwanie dla Liany, gdzie rodzice byli zdecydowanie niemile widziani. Dzięki Bogu - pomyślała. Jak na jeden tydzień wystarczyło udręki związanej ze środowym nabożeństwem żałobnym, a z emocjonalnymi skutkami makabrycznej śmierci Liany musiała się zma-

gać zarówno w domu, jak i w szkole. Ujawniały się różnorodne emocje: gniew, rozpacz, frustracja. Bezradność maskowana nerwowością. Nerwowość przechodząca w upór. Upór manifestowany hałasem. Potwornie dużo hałasu.

Zgoda, to samolubne podejście, ale ma dość egzystencjalnych lęków nastolatków. Wystarczą jej własne. Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na ich pytania. Nie wiedziała, dlaczego takie historie się zdarzają i czy - kiedy? - znowu może dojść do czegoś podobnego. Niczego nie wiedziała, poza jednym: pragnęła odpocząć, uciec na chwilę od zgryzot i lęków, chociażby wypuszczając się nad Atlantyki. Przecież nie zamierzają z Ritą siedzieć tam całą noc. Wrócą do Torrance przed północą i - jak zapowiedziała Megan i Timowi - chce ich wtedy widzieć w domu. Nie ma więc powodu do niepokoju ani do wyrzutów sumienia. A jednak była niespokojna i czuła się winna jak diabli. Jeszcze o piątej zadzwoniła do Rity i oznajmiła, że nie jedzie do Fort Lauderdale. Wtedy niespodziewanie zatelefonował Ian i zaproponował, aby spotkali się w przyszłym tygodniu, bo chce porozmawiać. Założyła (kolejny raz - jak można być tak głupią?), że się opamiętał i pojął, jakim był idiotą (to ona jest idiotką!), i że chce rozmawiać o powrocie. Przebiegła w myślach dawno przećwiczoną odpowiedź (bardzo ją zranił, niełatwo będzie zacząć wszystko od nowa, jest kilka istotnych problemów, które muszą rozwiązać, może powinni skorzystać z pomocy psychologa), tymczasem on oznajmił, iż liczy, że rozwiodą się możliwie kulturalnie (czy ziemia nosi większą idiotkę?), a ona bez słowa odłożyła słuchawkę. Wtedy ponownie zadzwoniła do Rity i powiedziała, że zmieniła zdanie co do wieczoru. No i są teraz tutaj, w tym najnowszym, najmodniejszym barze w Fort Lauderdale, gdzie zapach piwa i whisky miesza się z zapachem morskiej wody i piasku. Nie dość, że są najstarszymi kobietami w całym lokalu (różnica wieku przynajmniej dziesięć

lat), to jeszcze przesadnie się wystroili. Kto dzisiaj chodzi do baru w jedwabnej koktajlowej sukience? - zastanawiała się Sandy, patrząc na te wszystkie kobiety na sali w obcisłych dżinsach biodrówkach z płaskimi, nagimi brzuchami. Oczywiście te wszystkie kobiety były przed trzydziestką, nigdy nie rodziły, nosiły rozmiar trzydzieści sześć, nie mówiąc już o pantoflach z otwartym noskiem na niebezpiecznie wysokich szpilkach oraz skąpych, prześwitujących bluzeczkach z szokująco głębokim dekoltem. Dla niej - myślała, zapinając górny guzik sukienki w biało-czerwony deseń - szokująca jest już sama myśl, że mogłaby się zdecydować na dekolt.

- No proszę, wyglądasz kapitalnie! - zawołała Rita, może nieco przesadnie entuzjastycznym tonem, gdy po nią zajechała. Sandy zbyła komplement machnięciem ręki. Być może prezentowała się w miarę korzystnie.

- Naprawdę świetnie wyglądasz - przekonywała ją Rita i Sandy miała nadzieję, że tak rzeczywiście jest.

- Tylko tak mówisz. Jestem zaniedbana, zwiotczała i za płaska.

- Oho, nie za dużo tych słów na „z”?

- Mam dorzucić jeszcze jedno? - spytała Sandy słodkim głosem.

Rita przyglądała brązowe, świeżo uczesane na pazia włosy i zatrzepotała rzęsami, jakby miała problem z utrzymaniem otwartych powiek pod ciężarem warstwy tuszu.

- Zbieramy się. Czekają na nas książęta z bajki. Przedstawienie czas zacząć - zakomenderowała.

No i zaczęły, tymczasem ani śladu zalotników. Czemu ją to dziwi? Sandy podeszła do baru w modnym Miss Molly's Ocean Bar and Grill i wyprostowała ramiona, zbliżając się do grupki mężczyzn mniej więcej w jej wieku. Może nie wyglądam tak źle - pomyślała. Na pewno nie kapitalnie, ale chyba w miarę korzystnie. Z uśmiechem minęła czterech mężczyzn okupujących

bar. Ledwo raczyli na nią spojrzeć. „Hmm, skoro już o tym mowa, czekam na kogoś -wymruczała pod nosem, otwierając drzwi do ciasnej toalety w kolorze czerwonego wina. -Książę z bajki powinien się zjawić lada chwila". Stała przed dużym lustrem w złoczonej ramie nad białą porcelanową umywalką, mile zaskoczona tym, co zobaczyła. Prawda, trudno ją wziąć za dwudziestolatkę i nie wygląda fantastycznie, jak twierdzi Rita, ale rzeczywiście nieźle się prezentuje. Więcej niż nieźle. „Wyglądasz cholernie dobrze" - powiedziała do swego odbicia, poprawiając kilka niesfornych loków i sięgając do torebki po pomadkę. Chichoty podpitych kobiet po drugiej stronie drzwi zapowiadały nieuchronne obłężenie toalety przez inne bywalczyńce klubu. Zanim Sandy zdążyła się odsunąć, przy lustrze wokół niej stłoczyły się trzy młode kobiety; wszystkie prawie po sześć stóp wzrostu, z prostymi, jasnymi włosami, w głęboko wyciętych podkoszulkach bez rękawów, w dżinsach i w butach na wysokich obcasach. Przez moment myślała, że to trojaczki. Dopiero po dokładniejszych (i zarazem dyskretnych) oględzinach dostrzegła, że dwie mają piwne oczy, a jedna chabro-woniebieskie i że ta z chabrowymi ma skórki przy paznokciach ogryzione do żywego mięsa, podczas gdy pozostałe - długie paznokcie z francuskim manikiurem. Oczywiście sztuczne. Jedna z dziewcząt nie pokazywała zębów w uśmiechu - prawdopodobnie dlatego, że nie były tak olśniewająco białe jak u koleżanek. Sandy zdecydowała, że właśnie ta najbardziej jej się podoba. Chabrowooka weszła do kabiny, a ciemnookie (czy o takich oczach śpiewał Van Morrison?) zaczęły kombinacje z włosami.

- Jak lepiej? - pytała jedna drugą. - Upięte czy rozpuszczone?
- Rozpuszczone. Ładny kolor pomadki.

Dopiero po chwili Sandy się zorientowała, że młoda kobieta zwróciła się do niej.

- Och, dziękuję.

- Jak się ten odcień nazywa?

Sandy sprawdziła denko metalicznej różowej oprawki.

- Brzoskwińowa namiętność.

- Aha. Fajny kolor. I pierścionek też ma pani bardzo ładny - pochwaliła, ruchem głowy wskazując na obrączkę wysadzaną brylantami na palcu lewej ręki.

Pierścionek był prezentem od lana na dziesiątą rocznicę ślubu. Zastąpił cienką złotą obrączkę, na jaką było ich stać, kiedy się pobierali.

- Dziękuję - powtórzyła Sandy, myśląc przy tym, że obrączka okazuje się trwalsza niż małżeństwo. Mam nadzieję, że rozstaniemy się możliwie kulturalnie - zabrzmiały jej w uszach słowa lana. - Chciałaby go pani?

- Zsunęła pierścionek z palca.

- Co?

- Mój pierścionek. Chce go pani? Dziewczyna się roześmiała.

- Jak to?

- Mąż chce rozwodu, kulturalnego rozwodu, więc wygląda na to, że nie będzie mi już potrzebny. - Wyciągnęła rękę z pierścionkiem. - Poważnie. Może go pani wziąć. Dziewczyna wyglądała na zdenerwowaną.

- Nie, nie. Nie mogę tego zrobić. - Zerknęła na koleżankę i obie obejrzały się na kabinę.

- Ma pani rację - powiedziała Sandy, wsuwając pierścionek na palec. - Przepraszam, nie chciałam wyjść na dziwaczkę.

- Och, nie. Wcale nie jest pani dziwaczką - skłamała dziewczyna.

- To naprawdę śliczny pierścionek - odezwała się druga. - Na pewno uda się go pani sprzedać na aukcji internetowej eBay.

- Właśnie. Czytałam, że jedna z dziewczyn w filmie Kawaler sprzedała swój pierścionek zaręczynowy na eBay, kiedy ten skurwiel ją rzucił.

- Naprawdę? - Sandy nie miała pojęcia, o czym ona mówi, lecz słowa: „skurwiel” i „rzucił” dźwięczały jej w uszach, kiedy wymknęła się z toalety. Doszedł ją chichot dziewczyn, zanim zdążyły zamknąć się za nią drzwi.

- O co w tym wszystkim chodziło? - spytała któraś z nich.

- O co w tym wszystkim chodziło? - Sandy powtórzyła po niej i rozejrzała się speszona, czy przypadkiem ktoś tego nie usłyszał. Nie, nikt na nią nie patrzył, nikt nie zauważył, że mówi do siebie, a jeśli nawet, to nikogo to nie obeszło. Ten cały wieczór to jedna wielka katastrofa. Nie ma wątpliwości, że zostały z Ritą wystawione do wiatru. Czas przełknąć gorycz porażki i zwijać się stąd. Wypije swoje martini z calvadosem i pojedą - postanowiła, lawirując w tłoku pomiędzy ludźmi, którzy przepychali się obok, jakby w ogóle nie istniała. Równie dobrze mogłabym być niewidzialna - pomyślała. Jak wytwór własnej wyobraźni. I właśnie wtedy ich dostrzegła.

Książęta z bajki. W średnim wieku i z bladą cerą. Jeden łysawy, drugi z tupecikiem. Właśnie ten w półperuce był umówiony z Ritą. Przynajmniej Sandy tak zakładała, bo wyglądał jak starsza wersja faceta ze zdjęcia w Internecie, które koleżanka jej pokazała. Właściwie mógłby być ojcem tamtego na zdjęciu. Miał na sobie ciemnozieloną koszulę polo ze wzorem w latające białe podstawki do piłek golfowych, a siedział z ramieniem przewieszonym przez oparcie bordowej skórzanej kanapy, wyciągając palce w stronę ramienia Rity. Opowiadał coś z ożywieniem, a jej towarzyszka się śmiała, jakby się setnie bawiła. Czyżby? O Boże - westchnęła Sandy. Nie jestem na to gotowa. Rita ją zauważyła i pomachała.

- Sandy! - zawołała na tyle donośnie, że kilkoro gości przy sąsiednich stolikach podniosło głowy znad drinków. - Już się martwiłam, że coś ci się stało!

Sandy podeszła do boks, a obaj panowie unieśli się nieco ze swych miejsc.

- To jest Ed - Rita przedstawiła mężczyznę siedzącego obok. Sandy rzuciło się w oczy, że jest niewiele wyższy od jej koleżanki. - A to Bob, przyjaciel Eda.

Bob odwrócił ku niej łysiejącą głowę i Sandy rzuciła się w oczy jego poważna i sympatyczna twarz. Oceniała go na mniej więcej pięćdziesiąt lat. Nie był przystojny, ale zdecydowanie mógł się podobać.

- Miło mi - powiedziała, wsuwając się na miejsce obok niego.

- A to, oczywiście, moja przyjaciółka Sandy - przedstawiła ją Rita. - Czy nie mówiłam, że jest boska?

Bob potwierdził jej słowa uśmiechem. Ten uśmiech świadczył, że jest mile zaskoczony.

- Rita mówi, że jesteś z Nowego Jorku - zwrócił się do niej Ed.

- Właściwie z Rochester.

- A ja pochodzę z New Jersey.

- Naprawdę? Jakim cudem wylądowałaś na Florydzie?

- Z pierwszą żoną przyjechałem tu na wakacje, z drugą spędziłem miesiąc miodowy, trzecią poznałem w Miami, przeniósłem tu praktykę... -

- Ed jest dentystą - wtrąciła Rita.

- To wszystko można przeczytać w moim ogłoszeniu - zaznaczył mężczyzna.

- Byłeś żonaty trzy razy? - spytała Sandy, sącząc martini.

Nie przypominała sobie, aby w opisie, który umieścił na stronie internetowego serwisu randkowego, wspomniał, że był kilkakrotnie żonaty.

- Właściwie cztery, ale kto by to liczył? Sandy odwróciła się do Boba.

- A ty?

- Jedno małżeństwo. Jeden rozwód.

- Tak jak ty - powiedziała Rita, jakby chciała podkreślić, że coś ich łączy

- Jeszcze się nie rozwiodłam - przypomniała jej Sandy.

- Nie uwierzycie, ale ona jeszcze nie skontaktowała się z adwokatem. Bob, przemów jej do rozumu. Bob jest prawnikiem.

- Specjalistą od rozwodów? - Sandy wypła kolejny łyk.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Prawo korporacyjne i handlowe. Ale mogę ci kogoś polecić, jeśli chcesz.

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

- Dałam jej już namiary na dobrego adwokata od rozwodów, Marshalla Hitchcocka z Miami. Znasz go?

- Raczej nie.

- Podobno jest naprawdę dobry.

- Możemy zmienić temat? - zaproponowała Sandy i pociągając tym razem większy łyk martini, poczuła, jak alkohol rozgrzewa jej gardło.

- Mówisz jak moja żona numer dwa - stwierdził Ed. - Wciąż powtarzała: „Możemy zmienić temat?”. „Możemy zmienić temat?” - przedrzeźniał byłą żonę. - Mówię wam. Rany, ale ta babka się wytapetowała! - Sandy obejrzała się i zobaczyła, że obok ich boks przechodzą młode kobiety, które spotkała w toalecie. Jedna z nich parsknęła śmiechem i Sandy nie mogła się oprzeć wrażeniu, że to właśnie z niej się śmieje. - Ten, kto robił jej zęby, znał się na robocie. Sandy jednym długim łykiem dopiła martini. Nagle poczuła, jak niepokój, niczym niewidzialna ręka, ściska jej żołądek. Nie może. Nie potrafi siedzieć w ciasnym boksie w zatłoczonej restauracji i, sącząc drinka, rozmawiać o niczym z dwoma nieznanymi mężczyznami, których wcale nie chciała poznać, chociaż Bob wydawał się całkiem sympatyczny. Spokojny, bezpre-



tensjonalny i chyba skromny. Autentycznie się zaczerwienił, kiedy Rita obwieściła, że jest prawnikiem, a może po prostu krępowała go ta sytuacja. Możliwe, iż tak jak ona wcale nie chciał tu być. Kto wie, może w innych okolicznościach warto byłoby go bliżej poznać. Ale nie teraz, gdy była zraniona i niepewna, kiedy na samą myśl o randce z mężczyzną żołądek podchodził do gardła, gdy myśl o ewentualnej zażyłości z kimś innym niż Ian (czy rzeczywiście kiedykolwiek łączyła ich prawdziwa zażyłość?) budziła strach niedający się z niczym porównać, nawet z możliwością istnienia seryjnego zabójcy. Musiała uciec od tych ludzi: od Rity z uroczą fryzurką na pazia, przesadnym makijażem oraz spojrzeniem zbyt jawnie wyrażającym nadzieję, od Eda z jego czterema żonami, fatalnym tupecikiem i gadką o tapecie, od Boba z miłą twarzą i skromnym sposobem bycia i od trojaczek. Musiała uciec z knajpy Miss Molly's Ocean Bar and Grill, z Fort Lauderdale, z Florydy. Musiała uciec... od siebie.

- Sandy? - usłyszała męski głos gdzieś nad głową. -To naprawdę ty? Odwróciła się i podniosła wzrok wprost na przystojnego, szpakowatego mężczyznę, patrzącego na nią z wyczekującym uśmiechem. Był wysoki i smukły, ubrany ze swobodną elegancją w ciemne spodnie z zakładkami przy pasku i w niebieską jedwabną koszulę. W oczach miał takie figlarne ogniki, które zawsze na nią cholernie działały. Raczej nie zdarza jej się zapominać takich interesujących twarzy - pomyślała, usiłując go gdzieś umiejscowić. Ale za żadne skarby nie mogła dopasować do niej imienia ani osadzić w jakimś znanym kontekście. W błyskawicznym tempie przebiegła myślami lata spędzone na nowojorskim uniwersytecie, a gdy te pobieżne poszukiwania nie przyniosły rezultatu, sięgnęła pamięcią do albumu swego rocznika z liceum, usiłując wypełnić znaczeniem pozbawio-

ne wyrazu oczy i nijakie twarze. Nadal nic. Czy możliwe, że to ktoś ze środowiska lana? Spotkała go na którymś z wielu kongresów medycznych, na jakich zdarzało jej się bywać przez te wszystkie lata? A może jest ojcem jakiegoś ucznia z Torrance albo jeszcze z Rochester? Nie, odpada. Zapamiętałaby taką twarz.

- Nie kojarzysz mnie, prawda? - stwierdził z rozbawieniem bez cienia pretensji, co uczyniło go jeszcze bardziej atrakcyjnym.

- Oczywiście, że cię kojarzę - skłamała, wspinając się na palce, gdy uściskał ją po przyjacielsku.

- Will Baker - szepnął jej do ucha.

- Will Baker - powtórzyła na głos, niechętnie wysuwając się z objęć, zapatrzona w piwne oczy ze złotymi cętkami. Nadal nie miała najmniejszego pojęcia, kim jest. - Jak się masz?

- O wiele lepiej, odkąd cię zobaczyłem - odparł, odwracając się do Rity i dwóch mężczyzn przy stoliku.

- Will Baker - przedstawił się, wyciągając rękę kolejno do Boba i Eda. - Sąsiad z dalekiego Rochester. Czy pozwolicie, że porwę ją na kilka minut? - I nie czekając na odpowiedź, wziął Sandy za rękę i delikatnie pociągnął do wyjścia.

Pozwoliła się poprowadzić. Gdy tylko wyszli na chłodne nocne powietrze, zapach pobliskiego oceanu wypełnił jej nozdrza. Piękna noc - pomyślała, patrząc na kołysane bryzą palmy na parkingu. Dokąd idą? Kim on jest? - pytała się w myślach, gdy niespodziewanie przystanęli przy czerwonym porsche.

- Nadal mnie nie kojarzysz?

Prześledziła w pamięci Harrison Street, gdzie dorastała. Po jednej stronie mieszkali Maitlandowie, po drugiej Dickinsonowie. Ci ostatni mieli syna, lecz był od niej co najmniej dziesięć lat starszy, a więc to nie on. Nie jest to też syn Careyów. Tamten był niski i krępy. Nawet gdyby się wyciągnął i pozbył dziecięcego tłuszczu, nie przeobraziłby się w kogoś o takim wyglądzie.

Poza tym ten tutaj nazywa się Baker, a nie Maitland czy Dickinson. Nie pamiętała, żeby jacyś Bakerowie mieszkali na Harrison Street ani też na Whitmore Avenue, gdzie się później przeprowadziła.

- Nigdy się nie spotkaliśmy, prawda? Złożył usta w szelmowskim uśmiechu. -Nie.

- Nie bardzo rozumiem.

- Wyglądałaś, jak ktoś potrzebujący pomocy.

- Słucham?

- Przyznam, że trochę podsłuchiwałem, i dlatego wiem, że masz na imię Sandy i jesteś z Rochester. Widziałem twoją minę, kiedy Mister Ed tokował, i pomyślałem sobie, że szkoda, aby taka ładna pani musiała słuchać tych bzdur, więc...

- Przyszedłeś mi na ratunek?

- Wybaczysz?

Uważa, że jestem ładna - pomyślała Sandy z wdzięcznością. Ten obłądny mężczyzna, który mógł wybrać każdą z kobiet na sali, łącznie z apetycznymi trojaczkami, przyszedł mi, tej odrzuconej przez lana, na ratunek.

- Co jeszcze podsłuchałeś?

- Że stanowisz atrakcyjny towar dla adwokata specjalizującego się w rozwodach.

- Proszę, powiedz, że nie jesteś jednym z nich.

- Nie jestem.

- Czym się zajmujesz, kiedy nie spieszysz na ratunek damom w opałach?

- Jestem maklerem, a ty nauczycielką.

- Nie wydaje mi się, abyśmy o tym rozmawiali.

- O ile dobrze pamiętam, wspomniano o tym, zanim wróciłaś do stolika.

- Czy podczas mojej nieobecności wspomniano jeszcze o czymś godnym uwagi?

- Uwierz mi. Do twego przyjścia przy tym stoliku nie działo się nic ciekawego.

Uśmiechnęła się. Nie tylko ją uratował, on z nią flirtował! A ona podjęła grę. Ona, która zaledwie kilka minut wcześniej miała odruch wymiotny na samą myśl o spotykaniu się z mężczyznami. Wystarczyło jedno zdradliwe martini z calvadosem i przystojna twarz. Chyba równie łatwo ulega urokowi efektownej powierzchowności jak jej -wkrótce były, po nie tak znowu kulturalnym rozwodzie - mąż.

Will poklepał bagażnik czerwonego porsche.

- Masz ochotę na przejażdżkę?

Jeśli śnię - pomyślała Sandy - to jest najlepszy sen, jaki przydarzył mi się od lat.

- Nie mogę zostawić mojego towarzystwa - doszły ją własne słowa.

- Ależ możesz.

Naprawdę? - spytała się w duchu. Czy rzeczywiście może wsiąść do samochodu nieznajomego mężczyzny? Ile razy matka ją przed tym przestrzegała? Ile razy sama przestrzegała własne dzieci - nawet jeśli samochód był błyszczącym, nowym, pomidorowoczerwonym porsche? Rany boskie, czy naprawdę zastanawiała się nad przejażdżką z poznanym w barze nieznajomym, gdy być może w okolicy grasował dewiant? Czy kiedykolwiek seryjny zabójca jeździł porsche? Chyba nie. Na przykład Ted Bundy jeździł volkswagenem garbusem, a czy nie czytała, że seryjni zabójcy najchętniej wybierają furgonetki? O Billu Bakerze wiedziała jedynie tyle, że tak się nazywa i że jest maklerem (o ile powiedział prawdę), i że to najprzystojniejszy facet, jakiego w życiu widziała. (Przyjmijcie to do wiadomości, doktorze Ianie Crosbie oraz ty, klonie lalki Barbie. Potrafię być równie płytka jak wy). Czy może to zrobić? Czy może? Może?

- Muszę uprzedzić moich znajomych.

- Czemu nie zadzwonisz do nich po drodze? Otworzył drzwiczki. Sandy obejrzała się na bar i wsiadła do samochodu.

John Weber przechadzał się nerwowo tam i z powrotem wzdłuż radiowozu. Samochód stał na jałowym biegu na podjeździe przed domem, rura wydechowa wypluwała obłoczki spalin podobne do kółek dymu z papierosa, zatruwając rześkie nocne powietrze. Rany boskie, co z tą Amber? Czy nie mówiła, że zaraz będzie? Sprawdził czas. Minęło dobre dziesięć minut, co ona tak długo tam robi?

- Daj jej spokój! - wrzasnęła Pauline z frontowych drzwi, gdy po raz pierwszy nacisnął klakson. - Jest prawie gotowa.

Ile czasu potrzeba, żeby się przygotować? Przecież nie idzie na prywatkę, tylko na czuwanie. Przynajmniej tak mówi. Podobno grupa dzieciaków chce się spotkać i po swojemu oplakiwać śmierć Liany (czy naprawdę upłynął już tydzień od znalezienia zwłok?). Będą śpiewy, gra na gitarze, wiersze i wspominki. To nieoficjalne i bardziej osobiste pożegnanie od nabożeństwa żałobnego, które w jej intencji rodzice zamówili na środę. John nie chciał, żeby Amber tam szła. Argumentował, że nie trzymała się szczególnie blisko z Lianą, chociaż rzeczywiście w ubiegłym roku grały razem w Skrzypku na dachu. Jednak zamordowana dziewczyna była prawie dwa lata starsza i dziewczęta obracały się w różnych kręgach koleżeńskich. Całkiem możliwe, że Lianę zabił właśnie ktoś z jej kręgu, kto prawdopodobnie będzie na czuwaniu. Zdecydowanie wołał, żeby Amber zrezygnowała z tego cholernego spotkania, które uważał za pomysł nie tylko przesadny, ale wręcz makabryczny. Lecz, jak zwykle, został przegłosowany dwa do jednego.

- W ten sposób młodzież chce się uporać z żalem po jej śmierci - dowodziła Pauline.

- To jedynie prowadzi do przedłużania stanu przygnębienia - oponował.

- Nic nie rozumiesz - padła automatyczna odpowiedź żony. Teraz to jej koronny argument prawie w każdej rozmowie. Nic nie rozumiesz. Może i miała rację. Może rzeczywiście nie rozumiał. Według niego należało rozwiązywać problemy w miarę sił i umiejętności, a potem o nich zapomnieć. Nie chciał dzień po dniu roztrząsać tego, co już wiedział, stawiać tych samych, ze sto razy zadanych pytań i formułować oczywistych spostrzeżeń. (Ale czy nie na tym właśnie jemu i zastępcom upłynął cały tydzień?) Wolał zdefiniować problem, poszukać rozwiązania i jak najszybciej mieć go z głowy. Od ognia się ucieka, nie obejmuje się płomieni.

Poza tym podejrzewał, że oprócz śpiewów przy gitarze, wierszy i wspomnień na czuwaniu nie obejdzie się bez alkoholu i narkotyków. Chryste, dobrze pamiętał czasy, kiedy sam był nastolatkiem. Wtedy miał w głowie wyłącznie picie piwa, popalanie trawy i sypianie z dziewczynami. A szczególnie to ostatnie. Był gotów brzdąkać, fałszując niemiłosiernie na rozstrojonej, starej gitarze czy recytować cklive wiersze, których nie lubił, i nie rozumiał, jeśli dzięki tym manifestacjom męskiej „wrażliwości” mógł wyłuskać jakąś małą Jennę lub Sue z ich obcisłych džinsów. Dzisiejsi chłopcy wcale się nie różnili od tamtych z jego pokolenia. Cholera, byli jeszcze gorsi!

Amber do nich nie pasuje. Przy jej wadze - czy raczej niedowadze - po jednym drinku może stracić zdrowy rozsądek i zachować się lekkomyślnie. Łatwo manipulować szesnastoletnimi dziewczętami, szczególnie gdy tak bardzo zależy im na akceptacji, że są gotowe się dla niej zagłodzić. John już widział, jak córka daje się namówić na mały łyk czyjegoś drinka lub sztachnięcie się cudzym skrzętem. Nie sądził, aby kiedykolwiek brała narkotyki, lecz z drugiej strony ile razy miał do czynienia z rodzicami, którzy naiwnie twierdzili, że ich dziecko na pewno nic nie bierze - Nigdy w życiu, nie-

możliwe! - a potem w parku łapał te ich pociechy na paleniu trawy lub na odlocie po ekstazie. Przynajmniej na razie jest dziewicą. Co do tego ma absolutną pewność - stwierdził, wsuwając rękę przez otwarte okno radiowozu i po raz drugi naciskając klakson. Przecież nie ma chłopaka, nigdy nie miała i bardzo go to cieszyło, choć Pauline nie podzielała radości męża.

- Dziewczyna w jej wieku powinna mieć chłopca -wyrzekła.

- Dziewczyna w jej wieku powinna się dobrze odżywiać - ripostował.

Nie po raz pierwszy rozważał hipotezę, że zabójca Liany weźmie udział w czuwaniu. Wiedział, iż mordercy często przychodzą na pogrzeby swych ofiar, bo daje im to poczucie władzy, a nawet w perwersyjny sposób podnieca seksualnie. Dlatego podczas nabożeństwa żałobnego przyglądał się uważnie uczestnikom, lecz przyszła taka masa ludzi, że część ich, nie mieszcząc się już w kościele, stała na ulicy. Chociaż nie wszystkie twarze kojarzył, żadna z nich nie wydawała mu się podejrzana. Musiał otwarcie przyznać, że pomimo najszczerzych wysiłków przez cały tydzień poszukiwania zabójcy Liany nie posunęły się nawet o krok. Sean Wilson telefonował do niego przynajmniej raz dziennie, a ostatnio zaczął wydzwaniać dwu-, a nawet i trzykrotnie w ciągu dnia. Tak bardzo zależało temu „mikremu burmistrzowi perfekcjonście” na rozwiązaniu sprawy i przywróceniu spokoju w „jego” mieście, że zaczął się wtrącać do śledztwa.

- Sean, co, według ciebie, mogę jeszcze zrobić? -natarł na burmistrza, gdy ten zastąpił mu drogę w drzwiach biura. Ktoś, kto przyglądał się z boku (John zauważył, że kilku funkcjonariuszy i cały personel pomocniczy zerkają dyskretnie w ich stronę podczas tej -momentami gorącej - wymiany zdań), mógł mieć kłopot z utrzymaniem powagi. Stanowili niemal komiczny kon-

trast. Sean Wilson był mniej więcej o dziesięć lat młodszy, o pięćdziesiąt funtów szczuplejszy i o dobrą stopę niższy od Johna Webera. Miał gęstą ciemną czuprynę, a John był łysawy. Sean prezentował się schludnie i elegancko w garniturze w kolorze oliwkowej zieleni, w przeciwieństwie do Johna w znoszonym, pomiętym mundurze. I choć głos wzburzonego burmistrza przy naturalnie głębokim barytonie szeryfa wydawał się jeszcze bardziej piskliwy, niemal dziewczęcy, to jego kąśliwe uwagi ciskane z szybkością kul z pistoletu pneumatycznego boleśnie raniły. John ze wszystkich sił starał się zachować spokój i trzymać ręce z daleka od chudej i gładkiej szyi Seana.

- Oczekuję, że rozwiążesz tę sprawę - oznajmił burmistrz, jakby John dotąd sam na to nie wpadł. - I przywrócisz spokój w moim mieście.

- Zależy mi dokładnie na tym samym.

- I jakie podejmujesz działania w tym kierunku?

John wbił palce w uda, żeby przypadkiem nie przyłożyć mu w głowę. I pomyśleć, że głosował na tego człowieka!

- No cóż - zaczął. - Przesłuchaliśmy, w wielu wypadkach nawet kilkakrotnie, rodzinę Liany i znajomych, jej byłych chłopców, kolegów z klasy, sąsiadów, nauczycieli, dyrektora szkoły, Cala Hamiltona, Petera Arlingtona...

- No właśnie, i co z nim?

- Co z nim? - powtórzył John.

- Chodzili ze sobą. Kłócili się. Według mnie to główny podejrzany.

- Ojciec Petera potwierdził, że tamtego popołudnia, gdy zniknęła Liana, odebrał go ze szkoły i pojechali razem do Miami na mecz, ale nie dotrwali do końca, bo Petera rozboleł żołądek. Jego matka mówi, że następnego dnia nie puściła go do szkoły i kilkakrotnie dzwoniła do domu, żeby sprawdzić, jak się czuje. Twierdzi, iż nawet przyjechała do domu w trakcie przerwy na lunch i Peter wtedy spał.



- Jak rozumiem, sprawdziłeś odcinki biletów i zapis rozmów telefonicznych?
  - Oczywiście. - John z oburzeniem pokręcił głową. Dzięki takim serialom, jak Prawo i porządek czy Kryminalne zagadki Miami, wszyscy nagle zrobili się ekspertami od policyjnych procedur.
  - A Greg Watt i Joey Balfour?
  - Twierdzą, że byli razem w czasie, kiedy zniknęła Liana.
  - Sprytnie. Potrafią to udowodnić?
  - My nie potrafimy tego podważyć.
  - A Cal Hamilton?
  - Twierdzi, że objeżdżał dostawców.
  - A tak było?
  - Jeszcze to sprawdzamy.
  - Może powinniśmy się skontaktować z FBI. - Burmistrz nie po raz pierwszy wyszedł z tą sugestią.
- Prawdę mówiąc, w ciągu ostatniego tygodnia John kilkakrotnie sam się nad tym zastanawiał, ale w końcu odrzucił ten pomysł jako zbyt pochopny.
- Uważam, że należy się jeszcze wstrzymać z wzywaniem federalnych.
- Burmistrz spuścił głowę, jakby bał się patrzeć Johnowi w oczy.
- Gdyby tak na chwilę odłożyć na bok dumę...
  - To nie ma nic wspólnego z dumą - przerwał mu John. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie - cisnęło mu się na usta.
  - Weź pod uwagę - ciągnął niewzruszony burmistrz - że nie jesteś już taki młody ani rzutki jak dawniej. Masz problemy w domu.
  - Problemy w... O czym ty mówisz?
- Czyżby całe miasto wiedziało o starciach z Pauline, kłopotach z Amber i o romansie z Kerri Franklin? Całkiem prawdopodobne - przyznał w duchu. W takim mieście jak Torrance wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą.

Czy ludzie uważają, że skoro nie potrafi uregulować domowych spraw, to nie sprawdza się również w pracy?

- Już tak długo to robisz - mówił burmistrz. - Może za długo.

- Niektórzy nazwaliby to cennym doświadczeniem.

- A inni zmęczeniem materiału. - Sean Wilson zawiesił głos, jakby liczył na jakąś ripostę, a ponieważ się nie doczekał, ciągnął dalej: - Poza tym nie miałeś do czynienia z przestępstwami tego kalibru. Seryjni zabójcy to nie twoja działka.

- Nie ma żadnych dowodów, że to seryjny zabójca - stwierdził stanowczo John. Co prawda zgłoszono zaginięcie dziewczyny z Hendry County i doszło do tamtego fałszywego alarmu w związku z Brendą Vinton, lecz w rzeczywistości tylko jedna kobieta nie żyła. Nie zamierza bagatelizować makabrycznego morderstwa Liany Martin, lecz jedno zabójstwo nie stanowi podstawy do wzywania agentów federalnych. Niemniej intuicja podpowiadała mu, iż mają jednak do czynienia z seryjnym zabójcą i kolejna zbrodnia jest tylko kwestią czasu.

Może nawet uderzy dzisiaj - pomyślał i wracając do rzeczywistości, wsunął rękę przez okno i nacisnął klakson z nadzieją, że jego ostry dźwięk zagłuszy wielkie wątpliwości mikrogo burmistrza co do jego kwalifikacji. Czy możliwe, że ten facet ma rację? Otworzyły się frontowe drzwi i w wejściu stanęła Pauline podparta pod boki.

- Co w ciebie wstąpiło? Mówiłam ci, że już idzie.

- Święto lasu.

Pauline pokręciła głową z politowaniem i cofnęła się do środka.

- Amber! - usłyszał, jak woła. - Ojciec czeka! Jakby córka tego nie wiedziała. Jakby nie sterczał

tu - spojrzał na zegarek - od prawie piętnastu minut. Jakby miał cały wieczór dla siebie.

Właściwie ma - olśniło go. Po co się wrywać? Według burmistrza jego działania i całe śledztwo prowadzą donikąd.

Niespodziewanie u boku matki wyrosła Amber. John patrzył na nią z niedowierzaniem. Wyglądała dokładnie tak samo jak przed piętnastoma minutami, kiedy poszła się przygotować. Te same dzinsy, ten sam bladoniebieski sweter, te same biało-czarne adidas. Czego się spodziewał? Że się ubierze w sukienkę? Że zrobi coś z włosami i nałoży makijaż? Że w jakiś cudowny sposób przytyje dziesięć funtów?

Kiedy zeszła z chodnika przed domem, zauważył, że jednak musnęła powieki błękitnym cieniem i wpięła we włosy spinkę ze strasów, a gdy znalazła się przy nim, poczuł delikatny cytrynowy zapach, zapewne perfum. Ten zapach nieprzyjemnie osiadł mu w gardle. Nigdy nie przepadał za perfumami. Wolał naturalny zapach kobiet i nie potrafił zrozumieć, czemu tak ochoczo go maskują.

- Jesteś pewna, że chcesz tam jechać? - zapytał, kiedy oboje wsiedli do radiowozu. - Możesz jeszcze zmienić zdanie.

- Czemu miałabym to zrobić? - Amber zapięła pas i wbiła wzrok w przednią szybę.

John wycofał samochód z podjazdu i skręcając na ulicę, pomachał do Pauline, ale ona tego nie widziała, bo zdążyła już zamknąć drzwi.

- W drodze do domu wypożycz jakiś film na DVD -poinstruowała go wcześniej. - Sam coś wybierz - dodała, chociaż z góry wiedział, że cokolwiek wybierze, i tak nie trafi. Już była zła, że nie chciał pójść do kina. - Ty w ogóle nie chcesz nigdzie wychodzić.

- Po prostu uważam, że powinniśmy być pod telefonem na wypadek, gdyby Amber zechciała, aby ją wcześniej odebrać.

- Nie zechce.

- Kto wie.

Nie zechce. Odgadywał to z gniewnie wysuniętego podbródka córki o zaskakująco mocnym zarysie. Była na niego zła, bo się uparł, że przyjedzie po nią o jedenastej, przez co wyjdzie w oczach kolegów na małe dziecko. Oznajmił jednak stanowczo, że jej nie puści, o ile nie przystanie na jego warunki. Teraz była na niego wściekła tak samo jak Pauline, ale czy w życiu Johna kiedykolwiek jakaś kobieta nie była na niego zła? Tamten czas z Kerri Franklin - doszedł do wniosku, dostrzegając Delilah idącą samotnie po drugiej stronie ulicy. Zatrąbił, podjeżdżając łukiem do krawężnika.

- Co robisz? - obruszyła się Amber. - Tato? Co ty wyprawiasz? Chyba nie masz zamiaru się zatrzymać?

- Pewnie też idzie na czuwanie. Możemy ją zabrać.

- Nie. Nie rób tego.

- Czemu?

- Bo nie - ucięła córka, ze złości przewracając oczami, kiedy zatrzymał radiowóz i nacisnął dźwignię automatycznie opuszczanej szyby po stronie pasażera. Gdy się przechylił, Amber wyraźnie wcisnęła się w fotel, wciągając przy tym zapadnięty brzuch i wstrzymując oddech, tak jak to robiła w dzieciństwie, kiedy nie udawało jej się postawić na swoim.

- Delilah! - zawołał na powitanie.

- Dobry wieczór, szeryfie! - odpowiedziała uprzejmie. - Cześć, Amber! Co słychać? Amber wypuściła powietrze z płuc.

- W porządku - burknęła, lub przynajmniej tak to zabrzmiało. I na tym zakończyła rozmowę.

- Może dokąś cię podwieźć?

- Idę do Pearson Park.

- Właśnie tam jedziemy. Wskakuj!

- Tato, nie! - wysyczała Amber.

- Jejku, dzięki! Trochę się zasapałam. - Delilah otworzyła tylne drzwi i wgramoliła się do środka. - Mama powiedziała, że może potrzebować samochodu,

a babcia uważa, że powinnam chodzić pieszo. Ale to taki kawał drogi - usprawiedliwiała się.

- Jak się czuje twoja babcia? - spytał John, chociaż naprawdę pragnął zapytać o Kerri. Czy tęskni za mną? Czy kiedykolwiek mnie wspomina?

- Całkiem nieźle jak na swój wiek i takie słabe serce.

- Twarda z niej sztuka - przytaknął szeryf.

Delilah się zaśmiała. John obserwował we wstecznym lusterku, jak ociera pot z fałdy podwójnego podbródka.

- Ach, Amber, moje gratulacje! John odwrócił głowę ku córce.

- Gratulacje? Z jakiej okazji?

- Dostała rolę Bianki w Kiss me, Kale.

- Naprawdę? Dlaczego nic mi nie mówiłaś?

- Powiedziałam mamie - odparła córka, jakby to wystarczało za wyjaśnienie.

- Ha, to cudownie! - stwierdził radośnie, usiłując ukryć, że poczuł się urażony. - Nieprawdaż?

- Nieźle. - Amber wzruszyła ramionami.

- Kapitalnie! - entuzjasmowała się Delilah. - Wiedziałam, że dostaniesz tę rolę, gdy tylko usłyszałam, jak czytasz. Byłaś najlepsza!

- Miło coś takiego słyszeć, prawda? - zwrócił się do córki, kiedy nie raczyła powiedzieć: „dziękuję”. Co z nią? Pozbyła się manier wraz z wagą? - Delilah, a ty? Też występujesz?

- Śpiewam w chórze - odparła pogodnie. - Nie pasowałam do żadnej z głównych ról. Będę też pomagać przy malowaniu dekoracji i robić różne inne rzeczy, tak jak w zeszłym roku. Było całkiem fajnie.

Po kilku kolejnych próbach podtrzymania rozmowy, na które Amber reagowała pojedynczymi słowami, Delilah osunęła się na oparcie, pozwalając zwyciężyć ciszy.

Gdy tylko wjechali do parku, Amber błyskawicznie odpięła pas, zamasyście otworzyła drzwi i wyszła z radiowozu.

- Masz tu być o jedenastej! - zawołał za nią John, gdy ruszyła w stronę grupki młodzieży pod pobliskim figowcem. -1 zadzwonił, gdybyś chciała wcześniej wrócić!

- Szeryfie Weber, dziękuję za podwiezienie - odezwała się Delilah.

- Nie ma za co. Chętnie odwiozę cię potem do domu.

- Dzięki, ale pewnie nie zostanę długo.

- Cóż, nie radzę samotnie wracać pieszo.

Delilah przechyliła się przez oparcie przedniego fotela i uśmiechnęła niemal z wdzięcznością.

- Nie sądzę, aby musiał się pan o mnie martwić, szeryfie.

Pat i Pataszon - podsumował John, patrząc, jak Delilah, człapiąc, zrównuje się z jego córką. Amber natychmiast przyspieszyła kroku, wyraźnie speszona, że rówieśnicy zobaczą je razem. Dlaczego akceptuje się tych chudych jak szkielety, a dobrze odżywionych nie -zastanawiał się John, widząc, że Amber wmieszała się w grupę młodzieży pod koroną figowca, a Delilah została na uboczu. Usłyszał, jak ktoś wyskandował: „O nie, to Wielka Di, chyba mi się to śni!", nie bardzo rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi. Zauważył, że na skraju rozległego parku zebrała się inna grupa i teraz obie zmierzały ku sobie. Zastanawiał się, gdzie się rozlokują i czy powinien dać młodym ludziom do zrozumienia, że ma ich na oku. Lepiej nie -zdecydował. Już wcześniej wyznaczył kilku policjantów, którzy mieli dyskretnie pilnować porządku i zawiadomić go, gdyby zauważyli coś podejrzanego.

Wkrótce się ściemni - myślał, patrząc na oddalającą się sylwetkę córki.

Miał nadzieję, że go posłucha i o jedenastej będzie tu na niego czekać.

Czemu nie ma tyle rozumu, żeby wrócić wcześniej, jak Delilah?

Jednocześnie nie był zachwycony pomysłem córki Kerri, żeby po ciemku iść pieszo do domu. Choć to mało prawdopodobne, aby stała się celem napaści, niemniej pozostaje bezbronna. Może po drodze do wypoży-

czalni wideo wpadnie do Kerri z ostrzeżeniem, że według niego córka nie powinna chodzić po nocy sama.

Wcale nie dlatego się tu znalazł - zreflektował się, gdy jakieś dziesięć minut później zajechał przed dom dawnej kochanki i wysiadł szybko z radiowozu, żeby przypadkiem się nie rozmyślić. Wiedział, że głupio postępuje, że Kerri już nie jest nim zainteresowana i pewnie w ogóle nie ma jej w domu. Przecież to sobota - jak zdążyła zaznaczyć Pauline - i Kerri niewątpliwie wyszła gdzieś z łańcem Crosbiem, a on utknie na pogaduszkach z jej koszmarną matką. Nie powinien tego robić - bił się z myślami, idąc ścieżką i pukając do drzwi.

- To on! - usłyszał, jak Rose woła gdzieś z głębi domu. Czyżby obserwowała go z okna salonu?

- No, w końcu! - powiedziała Kerri ze śmiechem, otwierając drzwi. Była w czarnych rybaczkach i w różowym sweterku z dekoltem w serek, dopasowanym odcieniem do jaskrawo różowej pomadki. Jasne włosy miała częściowo upięte, a częściowo puszczone luzem i szeryf nie wiedział, czy uczesała się tak celowo, czy też nie mogła się zdecydować co do fryzury. -

John!

- Kerri.

- Co takiego? Coś się stało Delilah?

- Nie, nic - zapewnił ją pośpiesznie.

- Oczywiście, że nic się jej nie stanie - odezwała się z kanapy w salonie matka Kerri, Rose. - Ona jest jak ten cholerny czołg. Mówiłam ci, że niepotrzebnie się o nią martwisz. Szeryfie, niech pan wejdzie i przysiadzie na chwilę.

- No, może na moment. - John wszedł do salonu i usiadł w fotelu naprzeciwko kanapy, gdzie ułożyła się Rose. Lalka w koronkowej krynolinie zsunęła się ze szczytu oparcia i spadła mu na ramię.

Podskoczył jak oparzony.

- Szeryf jakiś nerwowy - zauważyła Rose.

John zdjął lalkę z ramienia i posadził na stojącą przed nim ławę ze szklanym blatem.

- Nie, nic mi nie jest, Rose. A ty jak się czujesz?

- Jakoś się trzymam - odparta znużonym głosem, jakby akt „trzymania się” stanowił dla niej nadludzki wysiłek

Szeryf pomyślał, że dla jej otoczenia to bezustanne „trzymanie się” musi być jeszcze większym ciężarem, lecz zostawił tę uwagę dla siebie.

- Miło mi to słyszeć - powiedział.

- Co cię sprowadza?

John spojrział na Kerri, która nadal stała i patrzyła na niego wyczekująco.

- Spotkałem Delilah - zaczął, a słowa rozmijały mu się z myślami. Jest sobotni wieczór, a Kerri siedzi w domu. - Właściwie podwiozłem ją do parku. - A skoro w sobotni wieczór ona nie jest z Ianem Crosbiem, może drogi doktor wrócił do żony, a to by oznaczało, że Kerri znowu jest wolna. Zaproponowałem, że odbiorę ją o jedenastej razem z Amber, lecz ona stwierdziła, że chyba tak długo tam nie zostanie. - Moglibyśmy tak bez zobowiązań. Od czasu do czasu mały skok w bok, parę ciepłych słów z tych niesamowitych ust... - I chciałem cię ostrzec, że zabójca ciągle jest na wolności, więc lepiej, żebyście z Delilah nie chodziły same po nocy, dopóki nie złapiemy tego drania.

- To ładnie z twojej strony - odezwała się Kerri - że się o nas martwisz.

- A tak naprawdę, po co przyszedłeś? - chciała wiedzieć Rose.

- Nie rozumiem.

- Nie przyjechałeś tu, żeby nas ostrzec co do Delilah. Ta dziewczyna jest jak czołg - powtórzyła, wyraźnie napawając się tym porównaniem.

- Mamo, nie życzę sobie, żebyś w ten sposób mówiła.

- A właściwie dlaczego dotąd nie złapaliście tego faceta? - spytała Rose, ignorując uwagę córki. - Wiesz, jak to jest, mogą znaleźć kogoś innego na twoje miejsce. - Mrugnęła przy tym, jakby dając do zrozumienia, że nie ma na myśli wyłącznie pracy.



John starał się zachować spokój, lecz naszła go myśl, czy Rose przypadkiem nie rozmawiała z burmistrzem.

- Wpadłeś na jakiś trop? - zainteresowała się Kerri, przysiadając na oparciu kanapy.

- Właściwie nie - przyznał.

- Co myślisz o Calu Hamiltonie?

Powoli zaczynał mieć dość ludzi podsuwających mu podpowiedzi.

- A co powinienem myśleć? - pochwycił, bo zawodowa ciekawość przewyciężyła osobiste niepokoje.

- Jest jakiś dziwny. Musiałam pędzić do nich do domu, gdy Delilah pilnowała jego żony...

- Jak to: „pilnowała żony”?

- Nie lubi zostawiać jej samej. Twierdzi, że cierpi na wszelkie możliwe fobie, ale absolutnie w to nie wierzę. Według mnie tam się dzieje coś bardzo dziwnego.

- To znaczy?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że gdy Delilah niechcący upuściła u nich szklankę na podłogę, musiałam szybko przywieźć taką samą z własnej kuchni, bo...

- A nie mówiłam, że to czołg? - wtrąciła Rose.

- ...pani Hamilton była bliska hysterii. Delilah mówi, że ona wyraźnie boi się męża, i wcale by się nie zdziwiła, gdyby pod ich domem znaleziono kilka zakopanych zwłok. Powiedziałam jej, że nie życzę sobie, aby tam więcej chodziła, lecz ona twierdzi, że ktoś musi czuwać nad biedną panią Hamilton. John, mógłbyś coś z tym zrobić? - zwróciła się do szeryfa, a jego imię w jej ustach zabrzmiało niemal jak muzyka.

- Nic, dopóki pani Hamilton nie złoży skargi.

- Nie możesz wystawić nakazu rewizji?

- Na jakiej podstawie?

- A na takiej, że Cal prawdopodobnie zabił Lianę Martin.

- Obawiam się, że „prawdopodobnie” to trochę za mało.

Zadźwięczał dzwonek u frontowych drzwi.

Kerri zerwała się z miejsca i nieco chwiejnym krokiem podreptała do nich w pantoflach na trzycalowych koturnach.

- Dostawca pizzy! - John usłyszał czyjś głos.

- Strasznie długo! - wrzasnęła Rose. - Umieram z głodu!

- Mamo, zachowuj się! - upomniała ją Kerri, gdy Ian Crosbie wszedł do pokoju, trzymając oburącz duży karton z pizzą.

- Mam nadzieję, że pamiętałeś o podwójnym serze.

- Czy ja kiedykolwiek zapominam o twoim podwójnym serze? Rose zachichotała jak przysłowiowa pensjonarka.

- Ian, znasz szeryfa, prawda? - zapytała zalotnie, gdy John podniósł się z fotela.

- Naturalnie. - Ian wręczył Kerri pudełko, żeby podać dłoń Johnowi. - Coś się stało?

- Wpadłem po drodze zobaczyć, co słychać.

- John podwiózł Delilah na czuwanie - wyjaśniła Kerri.

- Pańskie dzieci też poszły? - szeryf zwrócił się do doktora.

- O ile mi wiadomo.

Co to za odpowiedź - oburzył się John. O ile mi wiadomo. Czemu tego nie wiesz na pewno? W końcu jesteś ich ojcem, do cholery! Ojciec powinien wiedzieć, gdzie są dzieci. Szczególnie teraz, gdy w okolicy kręci się zabójca.

- John, dzięki, że wpadłeś - powiedziała Kerri, odprowadzając go do drzwi.

- Trzymaj się! - rzucił jej na odchodnym.

W drodze do domu ustalił trzy rzeczy: po pierwsze -nigdy więcej spontanicznych wizyt u Kerri; po drugie -nie lubi doktora Iana Crosbiego; po trzecie - osobiście dokładniej przyjrzy się działaniom doktora od jego przyjazdu do Torrance.

- Co właściwie mama planuje na wieczór? - Tim zwrócił się do siostry, gdy zdążali do parku. Megan szła energicznym krokiem, koński ogon kołysał się jak wahadło.
- O co ci chodzi? - zniecierpliwiła się. - Przecież wiesz. Jedzie z Ritą do Fort Lauderdale. Nie możesz ruszać się trochę zwawiej?
- Nie, nie mogę. Boli mnie noga.
- Czemu cię boli?
- Nie wiem. Tak po prostu. Dlaczego tak lecisz? Megan zwolniła kroku. Co się dzieje z jej bratem?

Ubieranie się zajęło mu wieki. W końcu wyłonił się w zapinanej na guziki, bładoniebieskiej koszuli oraz w modnie podartych, wyblakłych dżinsach. Kolejne dziesięć minut spędził przed lustrem w holu, zmagając się z włosami - oglądał się na nią, jakby czekał na aprobatę - by na koniec wyglądać zupełnie tak samo jak na początku, bo pomimo szarpania i przyglądania uparte ciemnoblond loki za żadne skarby nie dały się wyprostować. Z początku przemknęło jej przez myśl, że na czuwaniu będzie ktoś, na kim chce zrobić wrażenie (prawdę mówiąc, była zdziwiona, że tak łatwo dał się namówić na wyjście), a teraz, dosłownie i w przenośni,

powłóczył nogami. Mieli prawie dwudziestominutowy poślizg, lecz może to nawet i dobrze. Już lepiej się spóźnić niż przyjść za wcześnie.

Przynajmniej nikt nie pomyśli, że jej zależy. Traktuj ich z góry, a wzbudzisz zainteresowanie. Czy nie tak właśnie poradziła jej kiedyś Liana? (Czy Liana traktowała ludzi z góry? Czy właśnie z tego powodu ktoś ją uśmiercił?). Niemniej była mocno spóźniona. Greg może sobie pójść albo - co gorsza - przykleić się do jakiejś dziewczyny.

Damsko-męskie gierki to delikatna sprawa, musi się jeszcze nauczyć, jak doprowadzić tę sztukę do perfekcji.

Jej matka nigdy się tego nie nauczyła - doszła do wniosku, stopniowo przyspieszając kroku do poprzedniego tempa. I kto tu mówi o braku zdolności do nauki? Czy taką wadę można odziedziczyć? Czy nieudolność matki na tym polu oznacza, że jej kontakty z płcią przeciwną były z góry skazane na klęskę? Że każdy związek z mężczyzną musiał się skończyć rozstaniem? Czy jej przeznaczeniem jest iść w ślady matki i potykać się o własne nogi na każdym zakręcie? „Po prostu należy być sobą” - tak przy każdej okazji radziła Sandy. No i proszę, do czego ten pogląd ją doprowadził. A nie stałoby się tak, gdyby nie jedna rzecz, którą Megan już zdążyła pojąć: że samo bycie sobą to trochę za mało.

- Dlaczego sądzisz, że mama ma jakieś szczególne plany?

- No bo - po pierwsze - się wystroiła.

Megan szybko zlustrowała własny ubiór: markowe dzinsy od byłej Spice Girl, Victorii Beckham, z niebieskimi koronami prowokacyjnie naszytymi na tylne kieszenie, i obcisły żółty sweterek, podkreślający, że właścicielka to APETYCZNA DZIEWCZYNA

- Mówisz o tej okropnej czerwono-białej kiecce z jedwabiu? Nosi ją od stu lat.

- Powiedziałaś jej, że ładnie wygląda.

- A co miałam powiedzieć? Że przypomina obrus?

- A mnie się podobała.

Megan wzruszyła ramionami. Sprawa gustu.

- I co jeszcze?

- Nie prawila nam kazań przed wyjściem.

- Chyba żartujesz? Kazała nam trzymać się razem i wrócić do domu przed północą.

- To nie tak znowu źle.

- No, chyba żartujesz? - powtórzyła. Czy jej brat ma dobrze w głowie?

Naprawdę myśli, że wiszenie u spódnicy siostry i powrót do domu przed północą w sobotni wieczór jest w porządku? Może w szkole mieli rację? Czy on jest homo? - I co jeszcze?

- Nie wiem. Wydawała mi się jakaś podenerwowana.
  - I co z tego? Zawsze jest podenerwowana.
  - Możliwe. Ja tylko... Nieważne.
  - Co takiego?
  - Myślisz, że mogła się z kimś umówić?
  - Na randkę? Nie mówisz serio.
  - A czemu nie?
  - Jeszcze się nawet nie rozwiodła.
  - Tata też nie jest po rozwodzie - przypomniał jej.
  - Prawda. Mógłbyś iść szybciej?
  - Po co ten pośpiech? Liana donikąd się nie wybiera. Megan stanęła jak wryta.
  - Coś ty powiedział?
  - Słyszałaś.
  - Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś. Podobno jesteś taki wrażliwy. Mama ciągle mnie upomina, żebym uważała, co do ciebie mówię, „bo jesteś taki cholernie wrażliwy”.
  - Nie aż tak.
  - Właśnie widzę. Jezu, jak mogłeś coś takiego powiedzieć?
  - To był żart.
  - Hmm, jakiś mało śmieszny.
- Tim uniósł ramiona i opuścił je przesadnym gestem. Gdyby się tylko tak nie garbił! -pomyślała Megan. Zawsze się trzyma tak, jakby za chwilę miał polecieć na twarz.
- Z kim mogłaby się umówić? - dociekała, gdy zbliżali się do Pearson Park. - Nie zna nikogo w Fort Lauderdale.
  - Może Rita ma tam znajomych.
- Ponownie stanęła jak wryta. Czy to możliwe? Czy matka naprawdę pojechała na randkę? A jeśli tak, dlaczego Tim ma lepszą intuicję od niej?
- Nie - oznajmiła na głos. - Powiedziałyby nam.
  - A ty jej powiedziałaś o Gregu Watcie? -Co?!

- O Watcie. Śmieszne nazwisko. Wiem, niemniej...
  - O czym ty mówisz?
  - Nie dociera, że mówię o Watcie?
  - Boże, zlituj się! Tim! To wcale nie jest zabawne. -Nie?
  - No i co z tym Watem?
  - Z kim? Z czym? Ach, z wata? - zapytał Tim i wybuchnął głośnym śmiechem. -Przepraszam, nie powstrzymałem się.
  - Tim, przysięgam...
  - Nie, nie, nie rób tego. Gregowi mogłoby się to nie spodobać.
  - Skąd się biorą takie rewelacje?
  - Kpisz sobie? Raczej gdzie ich nie ma.
- Megan poczuła, jak jej serce osuwa się do żołądka.
- Jest coś w sieci?
  - Wyświetliło się na monitorze, kiedy się ubierałem. Nie wierzyłem własnym oczom. To dlatego tak długo to trwało. Stąd się wzięły te wszystkie ukradkowe spojrzenia przed lustrem, gdy się czesał.
  - Gratulacje. Jesteś sławna - ciągnął Tim. - Podobno daliście niezły popis w audytorium. I nie mówię o scenie.
  - Nie wierzę własnym uszom.
  - Czyli to prawda. Rzeczywiście kombinujesz z tym napakowanym kretynem?
  - Nieprawda. A on wcale nie jest kretynem.
  - Jest największym z kretynów. Pewnie sam umieścił tę wiadomość w Internecie. Naprawdę pozwoliłaś mu ssać palce?
  - O cholera! - Megan dreptała w miejscu, rozdarta między chęcią pójścia do parku i pragnieniem ucieczki do domu. - Nie waż się pisać słowa mamie.
  - Co miałbym jej powiedzieć? Że błagałaś mnie, abym poszedł z tobą na czuwanie po jakiejś dziewczynie, której nie znośłem, po to, żeby się spotkać z jakimś czopem, którego z kolei ona nie znosi?

- Wcale cię nie błagałam, z nikim się nie spotykam, i czemu mówisz, że nie znosiłeś Liany? -Megan uczepiła się nowego wątku w ich rozmowie. - Od kiedy?

- Od zawsze. - Ponownie wzruszył ramionami.

- Dlaczego jej nie lubiłeś?

- Bo nie była sympatyczna.

- Dla mnie była miła.

- Tak? No to, uwierz mi, należałaś do mniejszości.

- Nie wierzę - upierała się Megan, wskazując na sporą grupę młodzieży po drugiej stronie ulicy. - Wszyscy kochali Lianę. Przyszli, żeby uczcić jej pamięć.

- Są tu, bo to jedyna rozrywka w mieście. Dokąd jeszcze mogliby pójść? Megan, to dla nich atrakcja. Będziemy śpiewać, tańczyć i palić skręty.

- Może tobie o to chodzi - skwitowała, nie bardzo wyobrażając sobie Tima robiącego którąkolwiek z tych rzeczy. Jednocześnie zaskoczyła ją myśl, że być może nie do końca zna młodszego brata. Bardzo się zmienił, odkąd ojciec się wyprowadził. - Ale ja na pewno nie po to tu przyszłam.

- Przyszłaś się spotkać z Gregiem Wattem.

- Wcale nie.

- Czyżby? To lepiej go o tym uprzedź. -Co?!

Megan odwróciła się gwałtownie. Greg szedł ku niej, przecinając ulicę.

Miał na sobie obszerną, pomarańczowo-czarną piłkarską bluzę, masywne ramiona poruszały się rytmicznie zgodnie z ruchem smukłych bioder. Na twarz wypełził mu pełen samozadowolenia, głupkowaty uśmiech. Czemu wydaje jej się tak cholernie przystojny?

- Oto moja Kate! - powiedział, zagarniając ją w ramiona. - Cześć, Świrku!

- zwrócił się do Tima, po czym bez najmniejszego wysiłku podniósł dziewczynę i przerzucił sobie przez ramię. - Pa, Świrku!

Megan zapiszczała po części ze strachu, a po części z radości, klepiąc chłopaka dłońmi po

plecach, a jej koński ogon niemal zamiatał po ziemi.

- Spotkamy się tu za kwadrans dwunasta! - zawołała do Tima, gdy Greg przechodził przez ulicę, zmierzając do parku. - Greg, postaw mnie! - zażądała, lecz jej głos nawet we własnych uszach nie zabrzmiał przekonująco.

- Cicho tam! - rzucił chłopak, po czym wrzasnął do tłumu: - Zrobić przejście dla Petruchia i jego kobiety!

Megan rozluźniła napięte mięśnie. Nie było sensu się sprzeciwiać. Jej protesty jedynie podsycaly jego świeże dramatyczne zacięcie. Poza tym chociaż chciała się na niego dąsać (naprawdę to on umieścił w Internecie tę historię?), te wygłupy bawiły ją i nawet podniecały. Nikt dotąd nie wziął jej na ręce i nie przerzucił przez ramię. Nikt nie nazwał swoją kobietą i nie paradował z nią na oczach tylu osób. Wszyscy na nich patrzyli. I chociaż takie zachowanie, zważywszy na okoliczności, nie do końca wydawało się stosowne, nikomu to raczej nie przeszkadzało. Przecież to nie stypa, tylko czuwanie. Nie przyszli opłakiwać Liany, tylko uczcić jej pamięć. Jednak czy powinna aż tak dobrze się bawić? Nie żyje dziewczyna, którą lubiła i podziwiała. Jak widać, nie wszyscy żywili podobne uczucia. Jej brat na pewno nie. Zastanawiała się, ile jeszcze było takich osób. Ilu z nich przyszło tu dziś wieczorem, żeby pośpiewać, potańczyć i się naćpać? Ilu zjawilo się tylko dlatego, że „to była jedyna rozrywka w mieście”?

Megan uniosła głowę i powiodła wzrokiem po luźnym kręgu uformowanym przez sześćdziesięcioro, a może siedemdziesięcioro młodych ludzi. Niektórzy z nich rozmawiali półgłosem, inni śmiali się głośno, często z papierosem przyklejonym do warg, jeszcze inni czekali, żeby zapalić świecę, część kiwała się w rytm melodii wybrząkiwanej na kilku gitarach, jakieś pary kołysały się w uścisku. Ze swej odwróconej perspektywy dostrzegła, jak upiorny Victor Drummond zaciąga się skrętem, którego po chwili wyjmuje mu z krwisto-



czerwonych ust jego równie upiorna przyjaciółka Nancy i po kilku długich sztachnięciach podaje dalej do Tanyi McGovern. Megan zastanawiała się, czy to mądrze z ich strony tak otwarcie palić trawę, skoro na własne oczy widziała policjantów patrolujących obrzeża parku. Tymczasem Victor już zwijał następnego skręta, błogo zobojętniały na zagrożenie ze strony tak zwanego długiego ramienia sprawiedliwości. Greg wykonał pełen obrót i teraz w zasięgu jej wzroku znalazł się Brian Hensen. Siedział sam, nieco z boku, i przyglądał się Delilah Franklin, która jakieś dwadzieścia stóp dalej usiłowała nawiązać rozmowę z Ginger Perchak. Tuż przy głównej alei stał Peter Arlington. Noskiem buta rył trawę i bezmyślnie patrzył gdzieś w przestrzeń, jakby bojąc się spojrzeć komukolwiek w oczy. Prawdopodobnie doszły go słuchy, że mówiło się za jego plecami, iż można udawać chorego, a ojcowie są skłonni skłamać dla synów. Megan niezbyt dobrze знаła Petera, lecz wiedziała, że był zakochany w Lianie, i nie wyobrażała sobie, aby mógł w jakikolwiek sposób ją skrzywdzić. Jak można komuś odstrzelić pół twarzy? Czy kiedykolwiek złapią zabójcę Liany? Megan kątem oka dostrzegła jakąś poruszającą się postać.

- Kto to? - spytała, zadzierając głowę, żeby mieć lepszy widok na rozłożystą palmę rosnącą nieco dalej po prawej stronie. - Czy to profesor Peterson? - Zastanowiło ją, co nauczyciel przedmiotów ścisłych robi w parku, czając się w cieniu. Szpiegował ich, żeby potem donieść o wszystkim dyrektorowi? Ale jej pytania zagłuszyły dźwięki gitary.

- Mówiłaś coś? - spytał Greg.

- Chyba widziałam profesora Petersona.

- Petersona? Gdzie? - Obrócił się w koło.

- Czekaaj. Postaw mnie na ziemi. Kręci mi się w głowie.

Greg ostrożnie opuścił ją na ziemię. W tej samej chwili drżący męski głos zaintonował balladę Erica Claptona Tears in Heaven.

- Nie widzę go.

Megan potrzebowała paru sekund, żeby odzyskać orientację i umiejscowić rozłożystą palmę.

- Zdaje się, że tam go zauważyłam.

- Nikogo nie widzę.

- Może to nie był on - powiedziała, gdy kilku chłopców wyłoniło się zza drzewa, poszturchując się i popychając nawzajem.

- Hej, Petruccio! - Joey Balfour zawołał niespodziewanie ze środka tłumu. - Zająłem ci miejsce, chłopie!

- Później do ciebie dobiję! - odkrzyknął Greg, biorąc Megan za rękę i wprowadzając ją ze zgromadzenia.

- Nie będziemy stąd słyszeć, co mówią - zaprotestowała słabo.

- Myślisz, że coś stracimy? - Zaprowadził ją do ławki w głębi parku, a potem wyciągnął skręta z kieszeni dżinsów i wyprostował, żeby zapalić.

- Myślisz, że to dobry pomysł? Tu wszędzie roi się od glin i jeśli to rzeczywiście był Peterson...

- Doniesie twojej matce?

- Albo ogłosi w Internecie - powiedziała z naciskiem. Greg schował skręta do kieszeni i oparł się o zielone drewniane listwy.

- Nie miałem z tym nic wspólnego.

- W takim razie kto?

- To mógł być każdy.

- Joey?

- Joey? Nieee. Stawiam na Ginger.

- Ginger? Dlaczego miałyby zrobić coś takiego?

- Widziałem, że nas obserwuje. Poza tym ty dostałaś rolę Kate, a nie ona.

- Przysięgasz, że to nie twoja robota? Uśmiechnął się.

- Przysięgam - powiedział bez wahania. - Dżentelmen nigdy nie opowiada o pocałunkach.

- Nie jesteś dżentelmenem - przypomniała, o dziwo, wierząc mu. - Poza tym nie całowaliśmy się.

- Taak. Miałem nadzieję, że można byłoby coś z tym dzisiaj zrobić. Przechylił się. Megan zorientowała się, że wstrzymuje oddech, kiedy przyciągnął ją do siebie i dotknął lekko ustami jej warg. Poczowała w nich mrowienie, które gorącą falą ogarnęło całe ciało. Odsunęła się.

- Naprawdę myślisz, że to Ginger napisała tamtą wiadomość? - spytała ledwo słyszalnym głosem i odwracając głowę, wbiła wzrok w czubki butów.

Ujął ją za podbródek i przybliżył do siebie jej twarz.

Megan zamknęła oczy i odchyliła głowę, a on zamiast wepchnąć jej język do gardła, jak się spodziewała (przecież był macho, a co tacy faceci wiedzą o finezji?), pokrył powieki dziewczyny delikatnymi pocałunkami. Kolejna fala dreszczy rozkosznie wstrząsnęła ciałem Megan. Jeśli mnie nie pocałuje - myślała gorączkowo (w usta, i to natychmiast), eksploduję. I właśnie całował ją, całował w usta, a ona i tak miała wrażenie, że rozpadnie się na kawałeczki. Zmagała się z chęcią, aby zarzucić mu ramiona na szyję i pociągnąć za sobą na ziemię. Kto by przypuszczał, że tak dobrze całuje - przemknęło jej przez myśl, gdy niechętnie oderwała się od niego po łyk powietrza.

- Chcesz się położyć?

- Co? Watt? - zabrzmiał jej w uszach głos brata. Raptownie rozejrzała się na boki.

- Co się stało?

- Mój brat; chyba słyszałam jego głos.

- Ja tam nic nie słyszałam. Megan zerwała się na równe nogi.

- Muszę go poszukać.

Greg podniósł się z ławki i przywarł torsem do jej pleców.

- Twój brat jest dużym chłopcem. Poradzi sobie.
- Tak, ale obiecałam mamie, że będziemy się trzymać razem.
- Zawsze jesteś małą córeczką swojej mamusi? Cholera. Co w tym wszystkim robi jej matka? Ma pozwolić jej wszystko zepsuć?
- Nie zawsze - powiedziała.

Odwróciła się, sięgając ustami do jego warg. Otoczył ją ramionami, powoli opuszczając na ziemię. Nie powinna na to pozwolić. Nie tutaj. Nie teraz. To wszystko działo się za szybko. Poplami trawą nowe džinsy od Victorii Beckham. To dzięki tej ostatniej myśli opamiętała się i podniosła z ziemi.

- Czekaj. Przestań.
- Co takiego?
- Nie powinniśmy.
- Czemu?
- Bo to nie tak. Nie tutaj. Nie teraz.
- W takim razie gdzie? - zapytał logicznie. - Kiedy?
- Nie, nic nie rozumiesz. To wszystko dzieje się za szybko. Postanowiła pominąć część o plamach na džinsach od Victorii Beckham.
- Zawsze byłem Szybki Bill - oznajmił, zbierając się z ziemi. - Chodź, Kate! W czym problem?
- Przede wszystkim mam na imię Megan, a nie Kate.
- Przecież wiem.
- Rzecz w tym, że mnie nie znasz - oświadczyła, spekulując, że jeśli nie przestanie mówić, może uda jej się zapomnieć dotyk jego ust i smak języka. - Może tobie to nie przeszkadza, ale dla mnie fakt, że ciebie nie znam, ma istotne znaczenie. - Wiedziała, że oddałaby wszystko za jeszcze jeden pocałunek.

Tymczasem Greg opadł na ławkę i oparł głowę na splecionych dłoniach.

- Co chcesz o mnie wiedzieć?

- Sama nie wiem - przyznała, siadając obok niego. Nie wybiegała myślą tak daleko naprzód. -Opowiedz mi coś o sobie.

- Nie ma o czym opowiadać. Jak to mówią: masz to, co widzisz.

- Nie sądzę. -Nie?

- Myślę, że jesteś o wiele bardziej skomplikowany. Pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Czy nikt ci nie mówił, że za dużo myślisz?

- Ojciec zwykł tak mówić do mamy.

- Taak? Jak rozumiem, już przestał. Przepraszam -zreflektował się, zanim zdążyła zareagować. - Palnąłem głupstwo.

- Nie szkodzi. To nie tajemnica, że moi rodzice się rozeszli.

- Lubię twoją mamę.

- Naprawdę?

-Taak. Daję jej się we znaki i w ogóle, ale... jest w porzo.

- W porzo?

- I dobrze uczy.

Megan poczuła, że rozpiera ją duma. Oczyma duszy zobaczyła matkę w czerwono-białej sukience. Zastanawiała się, co teraz może robić.

- A twoi rodzice? Znieruchomiał.

- Ojciec jest zwykłym farmerem. Niezły z niego skurczybyk. Uśmiechnął się, jakby właśnie obdarzył go największym komplementem.

- A twoja mama?

- Nie żyje. Zmarła dwa lata temu. Na raka.

- Przykro mi.

- Taak. Jak to mówią? Nieszczęścia chodzą po ludziach?

- Musi ci jej brakować.

- Teraz już nie tak bardzo... Wiesz, czego mi najbardziej brakuje? - zapytał i dokończył, nie czekając na zachętę. - Tego, jak śpiewała, gotując obiad. - Zaśmiał się.

- Dobrze śpiewała?

- Wszystko robiła dobrze.

- To pewnie po niej odziedzyczyłeś talent.

- Być może. - Teraz z kolei on podniósł się z ławki. - Chyba powinniśmy dołączyć do reszty.

- Możemy tu jeszcze chwilę posiedzieć - zaproponowała, nie mając ochoty stąd iść.

- Nie, powinniśmy pójść. Masz rację. To nie czas ani miejsce. Megan wstała, czekając, że weźmie ją za rękę, lecz on ani się nie obejrzał, ani nie zwolnił kroku.

16

Gdzie się podziała jego siostra - dumął Tim, prześlizgując się spojrzeniem po ciągle przemieszczającym się tłumie. Spojrzał na zegarek, przyciskając włącznik wyświetlacza cyfr, i zobaczył, że dochodzi jedenasta. Gdzie tym razem znikła?

Wyteżając wzrok w ciemnościach, przyglądał się niewyraźnym postaciom. Pomimo świetlnej aureoli z wysokich latarni na obwodzie parku i światła z ozdobnych lamp wzdłuż wewnętrznych alejek trudno było rozpoznać twarze tych, którzy jeszcze pozostali. Część młodzieży zaczęła się rozchodzić pół godziny wcześniej, zniecierpliwiona dwugodzinnym wysłuchiwaniami ballad - co prawda śpiewanych w dobrej wierze, choć wykonywanych fatalnie - oraz sympatycznych, lecz nudnawych opowieści. Natomiast reszta uczniów rozdzieliła się na małe grupki, przez co jeszcze trudniej było umiejscowić Megan.

Tak bardzo mu znowu na tym nie zależało. Jednak czy miał wybór? W końcu ktoś w tej rodzinie musiał zachowywać się odpowiedzialnie. Czy nie był teraz jedynym mężczyzną w domu? Czy to nie on powinien zadbać, aby życie toczyło się w miarę normalnie? Tylko co to właściwie znaczy: „normalnie”? Czy ktokolwiek to wie? On na pewno nie wiedział. Młode dziewczyny były mordowane, a ich zabójcy żyli dalej, ojcowie opuszczali domy i schodzili się lub wprowadzali (na razie jeszcze nie) do kobiet, o których nastoletni chłopcy miewali erotyczne sny. Tylko że jego ojciec dawno temu przestał być nastolatkiem - pomyślał smętnie i ostrym noskiem czarnego skózanego buta kopnął kamyczek, obserwując, jak się turla po suchej trawie. Czy facet w jego wieku nie powinien mieć więcej rozumu? A teraz z kolei matka wybrała się do Fort Lauderdale z najbliższą koleżanką, szkolną pielęgniarką, która wcale nie była ubrana jak szkolna pielęgniarka, kiedy po południu przyjechała do ich domu. Ile czasu upłynie, zanim usunie z pamięci jej obraz w przykrótkiej i przyciasnej sukience z przywiedłym biustem wylewającym się z dekoltu? Boże, co jej się roi? Co naprawdę widzą ludzie, kiedy patrzą w lustro? A może wcale nie patrzą?

„Miej oko na siostrę” - poleciła matka w drodze do drzwi, niewątpliwie w ten sam sposób instruując Megan. Dosłownie słyszał, jak szepce: „Miej oko na brata”, i jednocześnie się zastanawiał, co matka w tej chwili robi, czy dobrze się bawi, czy jest na randce i czy zachowuje się odpowiednio. Nie tak jak ojciec. Nie tak jak siostra.

Co tej Megan strzeliło do głowy, żeby się tak wygłupiać? I to akurat z Gregiem Watterem. Nie dość, że ta przerośnięta lodyga selera nosiła ją przerzuconą przez ramię niczym jakiś nic nieważący worek ziemniaków, to jeszcze migdalili się w trakcie czegoś, co miało być hołdem pamięci zmarłej koleżanki. Naprawdę sądziła, że

nikt tego nie widzi? To, że poszli z Gregiem na drugi koniec parku, wcale nie oznacza, że stali się niewidzialni. Namierzono by ich nawet po drugiej stronie księżycy. Czy ona nie ma wstydu? Ani poczucia przyzwoitości? Rozum jej odebrało czy co? Na szczęście potem coś się między nimi popsuło. Był za daleko, żeby dostrzec, co się wydarzyło, czy usłyszeć, o czym mówili, lecz najwyraźniej musiało do czegoś dojść, bo nagle przestali kleić się do siebie jak dwa przerośnięte pędy winorośli. Greg wrócił jedną ścieżką, a Megan drugą i przez cały wieczór nie widział ich więcej razem.

Teraz też nie są razem - zorientował się, czując zarazem ulgę i niepokój, bo zobaczył Grega i Joeya w grupie sportowców rozgrywających improwizowany mecz futbolowy. Chyba w ogóle ich nie obchodziło, że część uczniów nadal siedziała w kręgu, słuchając, jak Victor Drummond katuje stary przebój Beatlesów Strawberry Fields Forever. Może tam jest Megan? Chyba nie - stwierdził, usiłując namierzyć siostrę w mroku. Nie było jej pośród tych kołyszących się w rytm muzyki ani tamtych, poruszających ogarkami świec w dusznym, lepkiem powietrzu. Nie obchodzą jej truskawkowe pola - pomyślał Tim z wdzięcznością, bo sam nigdy nie przepadał za tą piosenką. Była bez sensu. Wszystko jest bez sensu.

Poczuł słodkawy zapach marihuany i wyteżając wzrok w ciemnościach, przyglądał się grupce młodzieży palącej skręta pod rozłożystą palmą. Z jakiegoś powodu policjanci dali im spokój, być może uznając, że naćpani są mniej skorzy do rozrób. A może byli na tyle tępi, żeby się nie zorientować, co się dzieje tuż pod ich nosem. Tim dostrzegł, że Ginger Perchak, Tanya McGovern



kilka innych dziewcząt cicho pochlipują, czekając w kolejce do krążącego skrzyta, i zastanawiał się, czy płaczą nad Lianą, czy nad sobą. Ciekawe, że nawet teraz, tydzień po odkryciu zwłok Liany, dziewczyny wybuchały płaczem przy każdej okazji, a czasem całkiem bez powodu. Wystarczyło niewłaściwe spojrzenie - a jakie jest „właściwe”? - i zalewały się łzami. Nikt ich za nic nie ganił, nikt nie znieważał. Nikt nie podawał w wątpliwość ich seksualnej orientacji. Czemu dziewczynom wolno okazywać emocje choćby w najbliższej sytuacji, a nawet tego się od nich oczekuje, a chłopcy mają panować nad sobą nawet w najbardziej dramatycznych okolicznościach? I gdzie tu sprawiedliwość?

- Wiesz, nie ma nic złego w płaczu - powiedziała mu matka po odejściu ojca, z oczami mokrymi od łez. Nieprawda! Nikt nie musiał mu niczego mówić, sam wiedział, słysząc, jak Megan pochlipuje w swoim pokoju. Ojciec stracił poczucie moralności i w rezultacie cały ich świat wywrócił się do góry nogami. Teraz on musi być czujny, wyczulony na zagrożenia i mieć nad wszystkim pieczę. Jeżeli nie będzie silny, jeśli choć na moment odwróci wzrok, jeśli pozwoli sobie na łzy, tak jak matka, kiedy sądzi, że nikt tego nie widzi, w jaki sposób na nowo odnajdzie drogę? Jak da radę wyprowadzić ich z ciemności?

Ponownie oświetlił cyfry zegarka, wiedząc, że sprawdzał czas zaledwie przed paroma minutami. Kurczę, gdzie jest Megan? Nie była z Gregiem ani z Ginger czy z Tanya, a robiło się późno i za godzinę musieli być w domu. Chyba nie oddaliła się sama. Nie byłaby taka głupia.

Niespodziewanie nocną ciszę wypełnił cudowny dźwięk. Jakaś dziewczyna śpiewała głosem dźwięcznym i czystym jak krystaliczny górski strumień Czy ocalisz mnie o poranku?, a jej głos brzmiał coraz pełniej i bardziej przejmująco z każdą smutną frazą. Czy ocalisz mnie o poranku?

Tim odwrócił się w stronę, skąd płynął ten głos.

Muszę odpocząć i ugasić pragnienie. Zanim przekroczę granicę, ty mi ją wskaż.

Tim wstrzymał oddech. To śpiewała Delilah Franklin.

Wokół zapanowało ogólne poruszenie. Wszyscy wyciągali szyje i zasłuchani, odwracali głowy. Rozległ się szmer pełnych niedowierzania szeptów.

- Kto to? - pytał ktoś półgłosem.

- Czy to naprawdę Delilah Franklin? - upewniał się ktoś inny.

- Śpiewa z playbacku - skwitował ktoś trzeci.

- Ja chrzanię! - zawołał Greg i wypuszczając piłkę z rąk, wepchnął się do kręgu. - Czy to

Wielka Di?

Delilah natychmiast zamilkła i spuściła głowę ze wzrokiem utkwionym w ziemię, jakby zatopiona w modlitwie.

- Co się dzieje? - chciał wiedzieć Joey Balfour, stając zadyszany przy Gregu. - Zupełnie jakby kwiczała maciora w rui.

- Zamknij się, Balfour! - warknął Greg.

- Słowo honoru, myślałem, że mordują kolejną dziewczynę.

- Jezu, powiedziałem, że masz się zamknąć!

- A ja ci mówię, pieprz się! - odpalił Joey.

- A ja mówię, że padło tu za dużo słów - interweniował Victor

Drummond. - Mieliśmy uczcić pamięć Liany, a nie zachowywać się jak banda złamasów.

- No, jesteś ekspertem od złamasów, prawda, cioto?

Wszyscy jak na komendę wstrzymali oddech. Tim zobaczył, jak Victor chwyta za gitarę i powoli podnosi się z ziemi. Przez chwilę miał wrażenie, że przyłoży Joeyowi w głowę, lecz tylko się odwrócił i ruszył przed siebie.

- Już po imprezie! - rzucił przez ramię.

- Wcale nie! - odkrzyknął Joey. - Nie słyszałeś przysłowia: „Opera trwa, dopóki śpiewa gruba primadonna”? Ups! Gruba śpiewała - poprawił się.

Wszyscy siedzący w kręgu odpowiedzieli śmiechem.

- Czyli możemy iść do domu - ciągnął dalej Joey. - Gruba skończyła śpiewać.

Tim czekał, że Greg ponownie każe mu się zamknąć, aby zachęcić Delilah do śpiewu. Jednym słowem mógł położyć kres drwinom. Ale on też się roześmiał i wzruszył potężnymi ramionami, jakby chciał powiedzieć: przykro mi, próbowałem, po czym wrócił do gry. Delilah siedziała jeszcze przez chwilę ze zwieszoną głową. Tim zastanawiał się, co może myśleć, kiedy powoli pozbierała się z ziemi i odeszła od grupy.

- Gruba już skończyła śpiewać! - krzyknął jakiś chłopak gdzieś z prawej strony Tima.

- Smutaska, co psuje zabawę! - zawołała za Delilah jedna z dziewcząt. I wtedy, na drugim końcu rozpraszającego się kręgu, ktoś zaczął skandować inną piosenkę. Szybko podchwyciło ją mnóstwo niezgranych głosów. Na każdej imprezie przyda się smutas. Dlatego cię zaprosiliśmy. Smutaska, smutaska.

Bezwzględny chór wypędził Delilah z parku na ulicę. Tim patrzył, jak biegnie przez drogę, znikając za rogiem, i mimo woli zrobiło mu się jej żal. A przecież córka kobiety odpowiedzialnej za rozpad jego rodziny powinna wzbudzać wyłącznie złość. Potrząsnął głową, jakby w ten sposób chciał pozbyć się źle ulokowanego współczucia. Nieważne, że Delilah śpiewa jak anioł. Istotne, że gruba i niezgrabna, jest łatwym celem do kpin. Przebywanie w jej pobliżu groziło tym samym. Nie, nie stać go na luksus współczucia.

- Kurczę! - odezwała się jakaś dziewczyna za jego plecami. - Kto by pomyślał, że ona potrafi tak śpiewać?

Odwrócił się i znalazł się twarzą w twarz z Amber Weber.

- No - przytaknął, nie będąc w stanie zdobyć się na nic więcej.

Dziewczyny zawsze go onieśmiały, a Amber Weber, jako córka szeryfa, nie była taką sobie zwykłą dziewczyną. Choć może trochę za chuda, przewyższała go wzrostem o dobre dwa cale i była ładna. Tim nie miał pojęcia, jak zagadać do naprawdę ładnych, na-

prawdę wysokich dziewczyn, których ojcowie byli szeryfami, więc powtórzył jedynie jeszcze raz: - No.

- I dlatego człowiekowi robi się jej żal - kontynuowała Amber, jakby czytając w jego myślach.

-No.

- Szkoda, że jest taka gruba. Byłaby z niej świetna Kate. Przepraszam - natychmiast się zreflektowała. -Wiem, że Megan doskonale wypadnie w tej roli. Naprawdę chcę razem z nią występować.

-No.

Czy ona go podrywa? Jak dotąd zdarzało jej się wypowiedzieć do niego nie więcej niż dwa słowa, mimo że przeważnie mieli razem zajęcia.

- Widziałaś ją?

- Twoją siostrę?

- No.

Amber rozejrzała się dokoła.

- Nie. Wcześniej ją widziałam... - Zamilkła, nie kończąc myśli. Tim dokończył za nią. Z Gregiem - dopowiedział w myślach.

- Dlaczego nie przyszedłeś na przesłuchanie do musicalu? Wzruszył ramionami.

- Szkoda. To fajna sprawa. Mógłbyś pogadać z profesorem Lipsmanem. Może jeszcze nie jest za późno. Mógłby cię dołączyć do chóru albo znaleźć coś innego.

- Raczej nie - odparł Tim

- Musicale to nie twoja działka?

Potrząsnął głową. Co ona sugeruje? Czy dlatego, że jego nazwisko znalazło się na tej głupiej liście pedałów, powinien być miłośnikiem musicali?

- Wiesz, która godzina?

Przecież ma zegarek - pomyślał Tom, sprawdzając czas. Popsuł się?

- Ale bajer - skomentowała, wskazując na oświetloną tarczę.

- Prawie jedenasta.

- Cholera. Muszę iść. Ojciec po mnie przyjeżdża. -Wskazała na przeciwległy koniec parku. -Chcesz się zabrać?

Tim z radością wróciłby do domu samochodem. Cały dzień bolała go noga, a teraz jeszcze nadweręzał ją przez pół nocy. Poza tym był zmęczony i zły na Megan. Właśnie, gdzie ona jest?

- Nie mogę. - Wydawało mu się, że dostrzegł cień rozczarowania w jej oczach. Czy to możliwe? - Chętnie cię tam odprowadzę - zaproponował i była to najdłuższa fraza, jaką wypowiedział tej nocy.

- Świetnie. No wiesz, trochę się denerwuję. -No.

Ruszyli spacerowym krokiem przez park, omijając uczniów, którzy nadal siedzieli w bezładnym kręgu, a właściwie w półkołu, robiąc uniki przed piłką przelatującą koło ich głów.

- Hej Świrku! - zawołał za nim Greg. - Odchodzisz tak bez pożegnania?

- Widziałeś moją siostrę? - zapytał Tim. Greg nie odpowiedział.

W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że chłopak go nie dosłyszał, lecz ironiczny grymas w kącikach ust podpowiadał, że nic nie zyska, powtarzając pytanie. Naszła go chęć, by pokazać Gregowi palec, lecz czym prędzej zrezygnował z tego pomysłu. Matka miała dość kłopotów, nie musiał przysparzać jej zmartwień, wracając do domu pogruchotany.

Podążył myślami do matki: co teraz robi, czy już jedzie do domu? Droga z Lauderdale zajmowała mniej więcej godzinę, a więc właśnie powinny z Ritą dojeżdżać do autostrady, jeśli planowały znaleźć się w domu przed północą.

- Sam jest świrem - wyszeptała Amber, dotykając jego łokcia.

Tim poczuł, jak od ramienia prosto do penisa przebiega go prąd.

Przystanął na moment,  
niezdolny zrobić kroku.

- Co się stało? - spytała Amber, znowu go dotykając. Jeśli nie przestanie - pomyślał Tim - zanim dotrą do chodnika, skończy jako paraplegik.

- Nic - odburknął.

- Masz coś z nogą?

- Zwichnąłem - zdołał wychrypieć.

- Taak? Jak to się stało?

- Potknąłem się - skłamał.

Przecież nie mógł jej powiedzieć, że ćwiczył ciosy kung-fu, które poprzedniego dnia widział w telewizji, i runął na podłogę jak długi, bo poplątały mu się nogi. Wszystko wyglądało tak prosto. Uznał, że sztuka walki może się przydać, gdyby musiał bronić matki czy siostry przed... czym? Kogo on chciał oszukać? Nie potrafił skoordynować ruchów własnych nóg. Jakim cudem miałby stanąć w czyjejkolwiek obronie?

- Musisz bardziej uważać - zatroskała się Amber.

- No.

Tym razem trzymała ręce przy sobie i resztę drogi przebyli w milczeniu. Tim omiatał wzrokiem okolicę w nadziei, że dostrzeże Megan. Radiowóz ojca Amber stał zaparkowany przy ulicy, a kiedy tam doszli, szeryf już czekał na zewnątrz.

- Cześć, tato! - odezwała się Amber, odrywając się od chłopaka. - To jest Tim. Tim Crosbie. Tim zauważył, jak oczy szeryfa zwężają się w szparki, kiedy wyciągał do niego rękę.

- Syn lana Crosbiego?

- Tak, proszę pana. - Silny uścisk dłoni potężnego mężczyzny miażdżył palce. Poczul, że drętwieje mu ręka.

- Mama Tima uczy angielskiego - poinformowała ojca Amber. - W przyszłym roku będę mieć z nią zajęcia.

Jeżeli jeszcze będziemy na Florydzie - dopowiedział w myślach chłopak.

- Tim, podrzucić cię do domu? - zapytał szeryf.

- Nie, proszę pana, dziękuję.

- Tim czeka na siostrę - wyjaśniła Amber. Ale szeryf już wsiadał do samochodu.

- A Delilah? - Dobiegło chłopaka jego pytanie.

- Już poszła. - Amber otworzyła drzwi po stronie pasażera i wspięła się na miejsce obok ojca, nie siląc się na dalsze wyjaśnienia. Kiedy radiowóz odbił od krawężnika, odwróciła się i pomachała.

Tim stał na chodniku, odprowadzając wzrokiem oddalający się samochód, dopóki nie wtopił się w horyzont, i dłonią zmiażdżoną przez szeryfa pocierał łokieć, którego dotykała jego córka. O co w tym wszystkim chodzi? Czy to nagle zainteresowanie nim Amber znaczyło, że zwróciła na niego szczególną uwagę, czy po prostu zależało jej na obstawie, na kimś, kto bezpiecznie i w jednym kawałku przeprowadzi ją przez park?

- Kto to wie? - powiedział, ruszając w powrotną drogę przez park. Do diabła, kto pojmie, co kobiecie chodzi po głowie? - przypomniał sobie zrzęдлиwe mruczenie ojca.

Prawie w połowie drogi przez park zobaczył samotną postać opartą o pień wysokiej palmy, wpatrzoną w krzewy po drugiej stronie pobliskiej ścieżki.

- Zobaczyłeś coś ciekawego? - zapytał, zbliżając się ostrożnie.

- Zależy, co kogo ciekawi - padła wyważona odpowiedź.

Tim wzruszył ramionami. Żałował, że spytał. Powinien mieć więcej rozumu. Brian Hensen był dziwakiem.

- Zdaje się, że nasze matki gdzieś się razem wybrały. Brian przechylił się ku niemu, nie zmieniając pozycji bioder i stóp. Tim pomyślał, że musi być trudno tak stać.

- Podobno.

- Czy twoja matka ma jakichś znajomych w Fort Lau-derdale? - Tim starał się nadać temu pytaniu możliwie obojętne brzmienie. Też oparł się o drzewo, licząc, że

uda mu się wyciągnąć jakieś informacje, po co właściwie jego matka się tam wybrała, i jednocześnie odciążyc trochę bolącą nogę.

- O ile wiem, nie. Dlaczego pytasz?

- Myślałem, że pojechały kogoś odwiedzić.

- Tak? Nic mi nie mówiła. - Brian wyprostował się, wracając do poprzedniej pozycji. Patrzył przed siebie, gdzieś w dal. - Myślę, że umówiły się z facetami - odezwał się po dłuższej pauzie.

Tim poczuł suchość w ustach.

- Czemu tak sądzisz?

- Czytam jej e-maile. Zarejestrowała się w jakimś internetowym serwisie randkowym.

Tima bardziej uderzyła forma tej informacji niż treść. Najbardziej jednak zszokował go fakt, że jego matka jest w jakiś sposób w to zamieszana.

Znowu spojrzął na zegarek, tym razem nie oświetlając tarczy.

- Przed północą powinny być w domu.

- Taak? Nie wstrzymuj oddechu.

Tim uzmysłowił sobie, że rzeczywiście go wstrzymał, i wypuścił powietrze z płuc na jednym przedłużonym boleśnie wydechu.

- Widziałeś moją siostrę? Brian potrząsnął głową.

- Nie. Od paru godzin.

Tim odepchnął się od pnia. Musiał poszukać Megan. Gdzie ona jest? I co matce strzeliło do głowy, żeby spotykać się z jakimiś facetami poznanymi przez Internet? Czy w ten sposób chce się odegrać na ojcu, czy to jej jakaś pokrecona idea zemsty? Trudno nadażyć za kobietami - podsumował. Może powinien zamieszkać z ojcem. Wtedy pewnie wszystko byłoby prostsze.

Tylko że ojcu wcale na nim nie zależało. Czy nie dał tego jasno do zrozumienia, wynosząc się z domu?

- Mama mi mówiła, że twój tato popełnił samobójstwo - wyrwało się Timowi, zanim pomyślał, że chyba nie powinien poruszać tego tematu.

Pomimo starań ich



matek nie zaprzyjaźnili się. Prawdopodobnie to była ich najdłuższa rozmowa.

- Zgadza się.

- Powiedziała, że to ty go znalazłeś.

- Tak było.

Tim nie potrafił poznać po jego głosie, czy jest zły. Mówił wszystko tym samym beznamiętnym tonem, a głos miał zaskakująco niski jak na kogoś o tak drobnej posturze. Właściwie dopiero teraz spostrzegł, że Brian wcale nie jest taki chudy, jak mu się wcześniej wydawało. Widział mocno zarysowane mięśnie pod obcisłym szarym podkoszulkiem. Cerę nadal miał nieziemsko bladą, przez co twarz sprawiała wrażenie niemal delikatnej, ale wyraźnie w ostatnich miesiącach nabrał masy. Zastanawiał się, czy Brian chodzi na siłownię, i był ciekaw, na czym ćwiczy, lecz zamiast tego zapytał:

- Jak to było? Znaczący: gdy go znalazłeś?

- Okropnie - odparł obojętnym tonem. - No wiesz, powiesił się, oczy miał wybałuszone, język wywalony z boku ust, o tak. - Odwrócił się przodem do Tima. Zwiesił głowę na bok, wyciągnął język i wytrzeszczył oczy, błyskając białkami w ciemnościach.

Tim odruchowo cofnął się o krok.

- Myślałem, żeby kiedyś spróbować - kontynuował Brian. - Oczywiście nie zamierzam się zabić. Tak dla chwilowego zamroczenia. Słyszałem, że niektórych to nieźle kręci.

Tim zaczął się wycofywać. Wystarczyła mu podnieta w postaci zwykłego dotknięcia ramienia przez Amber Weber.

- Będę się zbierać. Muszę znaleźć Megan - powiedział. W tej samej chwili potknął się bolącą nogą i upadł.

Brian wyciągnął rękę i pomógł mu się podnieść z ziemi.

- To było super - skomentował z kamienną miną.

Usłyszeli szelest w pobliskich krzakach i ujrzeli wyłaniającego się z nich mężczyznę, który zmierzał w ich kierunku. Światło z jednej z latarni kładło się cieniem na jego łysej głowie.

- Profesorze Peterson! - wykrztusił Tim. - Co pan tu robi?

- Po prostu czuwam nad tym, co się tu dzieje - wyjaśnił z przewrotnym uśmiechem. - Pilnuję, żeby za bardzo was nie poniosło. - Skinieniem głowy wskazał na ich ciągle jeszcze złączone dłonie.

Tim natychmiast wyrwał rękę.

- Przewróciłem się - wyjąkał. - Brian pomagał mi wstać. Teraz uśmiech Petersona sięgnął kącików oczu.

- Dobrej nocy, chłopcy! - rzucił na odchodnym i poszedł dalej ścieżką.

Tim usłyszał za plecami chichot Briana. Odwrócił się gwałtownie, omal nie padając po raz drugi.

- Ostrożnie - ostrzegł go Brian i ponownie zarechotał.

- I co cię tak bawi?

- Widziałeś jego minę?

- Wiesz, co on myślał, prawda?

- Kto by się przejmował tym, co on myśli?

- Cholera! - mruknął Tim. Czyżby te pogłoski były prawdziwe? Czy Brian jest gejem?

- Chcesz wiedzieć, co ja myślę?

- Nieszczególnie.

- Myślę, że powinieneś się rozejrzeć za siostrą - powiedział niezrażony tym Brian. I znowu parsknął śmiechem.

17

Sandy nie mogła pojąć, jak człowiek może tak głupio postąpić.

Szczególnie jeśli uchodzi za

osobę rozumną. Przynajmniej na tyle, że powierza się jej pieczę nad po-

datnymi na wpływy umysłami kilku setek uczniów, które powinna kształtować, rozwijać i doskonalić. Kim była, żeby kogokolwiek kształtować? Co jej strzeliło do głowy? Jak się wpakowała w taką kabałę? Szybko przebiegła w myślach istotne wydarzenia wieczoru. Rita odebrała ją sprzed domu, około wpół do dziewiątej zajechały na parking restauracji Miss Molly's Ocean Bar and Grill w Fort Lauderdale, o mniej więcej dziewiątej przybyli ich partnerzy, po kilkunastu minutach potwornie męczącej rozmowy w cudowny sposób zjawił się Will Baker i niespełna kwadrans później pędziła już autostradą w lśniącym czerwonym porsche, śmiejąc się i rzucając ukradkowe spojrzenia na tego rozbrajająco przystojnego i uroczego mężczyznę. Mogłaby pomyśleć, że to wszystko wydaje się zbyt piękne, żeby było prawdziwe, gdyby w ogóle wtedy myślała. Ludzie powiadają: Jeśli coś wydaje się zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, czy zazwyczaj takie jest? Dlaczego to porzekadło nie przyszło jej na myśl, zanim zgodziła się wsiąść do samochodu? Z jego komórki zadzwoniła do Rity, zawiadamiając, że już nie wróci, i poprosiła o przeproszenie w jej imieniu Eda i Boba. Na koniec obiecała, że rano się do niej odezwie.

- Przepraszam, ale chyba zasięg jest słaby - usłyszała spokojny głos Rity, widząc oczyma wyobraźni, jak się usprawiedliwia, odchodząc od stolika.
- Co to znaczy, że zadzwonisz rano?
- napadła na nią chwilę później. -Gdzie ty właściwie zniknąłeś?
- Jestem z Willem - wyjaśniła, a on uśmiechnął się, wyciągnął rękę i pogładził ją po dłoni. Potem ta ręka zbłądziła na jej udo i Sandy ogarnęły wątpliwości (których się czym prędzej pozbyła), czy tak do końca wie, co robi.
- Ha, nie mogę powiedzieć, że bym była zachwycona, ale trudno mieć do ciebie pretensje. Jest zabójczy.
- Zgadzam się.

- Czy on cię odwiezie do Torrance?
- Tak sądzę.
- Może lepiej się dowiedz.
- Nie przejmuj się. Zadzwoń rano.

Rozłączyła się, zanim Rita zdążyła cokolwiek dodać.

- I jak, wszystko w porządku? Twoja przyjaciółka nie jest zła, że zostawiłaś ją z tymi dwoma prymitywami?
  - Och, nie byli tacy źli. - Właściwie Bob wydał jej się całkiem sympatyczny i miała wyrzuty sumienia, że tak go zlekceważyła. Nie zasłużył na takie traktowanie. -A Rita jest superowa. Poradzi sobie. Rita jest superowa - powtórzyła w myślach. Od kiedy to wyraża się jak jej uczniowie? Co się z nią dzieje? Najpierw zostawia przyjaciółkę dla przystojnego nieznajomego, a teraz rzuca jakieś zupełnie obce jej słowa. Superowa! Porusza się po kruchym lodzie - pomyślała, zastanawiając się, czy zmierzają w jakimś określonym kierunku, czy jeżdżą po okolicy
  - Piękna noc - zauważyła, zamiast zadać to pytanie, i zagłębiła się w kubałkowym fotelu z jasnobrazowej skóry. - Piękny samochód.
  - Piękna noc. Piękny samochód. Piękna dziewczyna -podsumował Will ze swobodnym uśmiechem.
- Ona też się uśmiechnęła. Ile czasu minęło, odkąd ktoś nazwał ją dziewczyną? Gdyby wcześniej Ed albo Bob użyli tego słowa, na pewno by się najeżyła, lecz w ustach Willa zabrzmiało podniecająco. Odchyliła głowę na zagłówek, delektując się swą lekkomyślnością. Zawsze była taką grzeczną dziewczynką, sztywno trzymającą się zasad. I dokąd ją to doprowadziło? Do Torrance. Zdecydowanie potrzebowała odmiany.
- A więc pochodzisz z Florydy? - spytała, żałując, że nie zdobyła się na coś bardziej oryginalnego.
  - Czy ktokolwiek stąd pochodzi? - odpowiedział pytaniem.
  - Właściwie wszyscy mieszkańcy Torrance właśnie tam się urodzili.

- Torrance?
  - Miasteczko, w którym mieszkam - wyjaśniła. - Godzinę drogi stąd na zachód.
  - Czy to nie tam w zeszłym tygodniu zamordowano dziewczynę? Drugi skurcz żołądka, oznaka niepokoju.
  - Tak. Słyszałeś o tym?
  - Czytałem w gazetach. Znaleźli tego faceta?
  - Jeszcze nie. Will milczał.
  - A więc skąd jesteś? - Sandy ponowiła pytanie.
  - Z Chicago.
  - Miałeś dość długich zim?
  - Miałem dość wojowania z moją byłą. Uznałem, że będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli się stamtąd wyniosę.
- Sandy kolejny raz ogarnęły wątpliwości. To niemądre - skarciła się. No to co, że jest rozwiedziony? Czego się spodziewała? Że jest bez przeszłości, bez wad? A poza tym ona wkrótce też zostanie byłą żoną. Była żona, wkrótce była żona, na co właściwie liczy? Była, była, była, była - powtarzała w myślach, wsłuchując się w twarde brzmienie tego słowa.
- Masz dzieci? - wyrwało się jej.
  - Dwóch chłopców. Siedem i dziewięć lat. Prawdopodobnie jest młodszy od niej - wywnioskowała, czując kolejny skurcz pod żebrami.
  - A ty? - spytał Will.
  - Syna i córkę. Megan ma siedemnaście lat, a Tim szesnaście - dodała niechętnie, spekulując, o ile może być od niej młodszy. Pięć lat? Dziesięć? I co to właściwie oznacza? Że woli starsze kobiety? Że nie przykłada wagi do wieku? Że bez okularów jest ślepy jak kret?
  - Naprawdę? Musiałaś bardzo młodo urodzić dzieci.
  - Tak, miałam dziesięć lat - powiedziała Sandy.
  - Panna młoda małolata? - zaśmiał się Will.
  - Coś w tym stylu.

- I co się stało?
- Wyrośliśmy. Will pokiwał głową.
- Taak. Zdarza się najlepszym z nas.
- Najwyraźniej.
- Co on robi?
- Jest lekarzem.
- W takim razie to dobrze dla ciebie.
- Tak? W jakim sensie?
- Możesz go nieźle oskubać.

Sandy dojrzała nieznacznym, gniewnym grymas w szerokim uśmiechu Willa. Następny skurcz.

- Nie zamierzam tego robić.
- Na początku wszystkie tak mówią. A potem zmieniają zdanie.
- Wszystkie?
- Pomagałaś mu w czasie studiów?
- Tak. Ale potem on mnie finansował w college'u nauczycielskim.
- Jednak wcześniej to ty go utrzymywałaś.

Sandy usłyszała własne westchnienie. Odwróciła głowę do szyby i patrzyła na mijaną okolicę. Rząd wysokich apartamentowców zasłaniał ocean. Pomyślała o Ricie, zastanawiając się, jak sobie radzi z Bobem i Edem. Jest jej winna przeprosiny. Może kupi jakiś kwiat w doniczce albo bombonierkę. Na myśl o czekoladkach zaburczało jej w żołądku. Speszona, skrzyżowała ręce na brzuchu.

- Jak rozumiem, rozwód nie był twoim pomysłem - odezwał się Will. Czy to aż takie oczywiste?
- Nie. Nie był. Dotknął jej dłoni.
- Co nie znaczy, że nie był dobrym pomysłem. Uśmiechnęła się, czując, jak opuszcza ją napięcie.
- Dokąd jedziemy? - spytała, gdy skręcił w lewo na następnym rozwidleniu.

- Pomyślałem, że warto by coś przekazać.

Dobry pomysł - stwierdziła, bo żołądek znowu dał znać o sobie.

Sportowy samochód błyskawicznie nabrał szybkości. W ciągu paru minut zostawili za sobą ocean.

- W tej okolicy raczej nie widać zbyt wielu restauracji - stwierdziła Sandy, przyglądając się cichym ulicom mieszkaniowym.

- Kto mówi o restauracji? - Skręcił w prawo, następnie w lewo i wjechał na parking niewyróżniającego się niczym szczególnym dziewiętnastopiętrowego budynku. Ustawił samochód w luce oznaczonej numerem 602 i zgasił silnik.

- Jesteśmy na miejscu.

- Czyli gdzie?

- Nie ma jak w domu.

Wyskoczył z samochodu, obszedł go energicznym krokiem i otworzył jej drzwi. Sandy wahała się.

- Will...

- Coś nie tak?

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

- To znaczy: co?

- To. - Czy musi wyłożyć kawę na ławę? -To? Jednak musi.

- Żebyśmy poszli do twego mieszkania.

- Boisz się windy? Roześmiała się.

- Nie, tylko pomyślałam...

- Co pomyślałaś? - Znowu się uśmiechał. Zdecydowanie dobrze się bawił.

- Myślałaś, że będziemy tak jeździć w kółko przez całą noc?

Sandy zdała sobie sprawę, że nie wybiegała myślami aż tak daleko do przodu, że właściwie w ogóle nie myślała.

- Nie chcę tylko, abyś mnie źle zrozumiał.

- To znaczy, jak?

- Sam wiesz.

To było niemądre. Zachowywała się jak nastolatka.

- Myślisz, że chcę cię zwabić do swego mieszkania, żeby zaciągnąć do łóżka?

- Nie, to nie tak.

Oczywiście, że tak. Po co mężczyzna zaprasza kobietę do siebie? Może dzieliło ją dwadzieścia lat od okresu randkowania, lecz obojętnie jak bardzo w ciągu tych lat zmienił się świat, pewne rzeczy nigdy nie ulegały zmianie, a ta była jedną z nich.

- W takim razie dobrze. Chwila prawdy - mówił Will. -Od śniadania nie miałem nic w ustach, cały dzień harowałem jak wół, a kiedy w drodze do domu zajechałem do Miss Molly's, żeby wrzucić coś na ruszt, podsłuchałem niechcący waszą rozmowę. Zobaczyłem twoją nieszczęśliwą minę, uznałem, że trzeba cię stamtąd wyciągnąć, a teraz jestem taki głodny, że za chwilę zemdleję. Nie mogę jechać dłużej z pustym żołądkiem, a tak się akurat składa, że w lodówce mam reszkę kurczaka, którego przypadkiem sobie upiekłem. Czy wspominałem, że jestem świetnym kucharzem?

Sandy zaprzeczyła ruchem głowy.

- No właśnie, jestem świetnym kucharzem. No, Sandy, co z tobą?

Zaufałaś mi na tyle, żeby wsiąść do samochodu. To czego się teraz boisz?

- Nie boję się.

- Myślisz, że jestem niebezpieczny?

- Co? Nie.

- W takim razie w czym problem?

Na czym polega jej problem - zastanawiała się. Jej ciało lgnęło do niego, lecz nogi odmawiały posłuszeństwa.

- Posłuchaj, coś ci powiem. Wejdziemy na górę na dwie minuty.

Sprawdzę pocztę, złapię kawałek kurczaka i odwiozę cię do Torrance.

Zgoda? Co ty na to? Uczciwiej już chyba nie da się postawić sprawy, praw-



da? Jeśli mi nie ufasz, możesz nawet poczekać w samochodzie.

Poczuła, jak pod wpływem uśmiechu odprężają się zaciśnięte usta. Jest niemądra - pomyślała. Will Baker to mężczyzna z klasą. A ona jest dorosłą kobietą, a nie jakąś bezbronną małolatą. A więc przestań się zachowywać jak smarkula - skarciła się w duchu, wysiadając z samochodu.

- Może ja też się skuszę na tego kurczaka.

- Wierzyłem, że dasz się przekonać.

Weszli do biało-złotego westybulu z lustrami na ścianach i z marmurową recepcją, w której urzędował starszawy strażnik.

- Witam, panie Baker! - pozdrowił ich i pomachał ręką, gdy go mijali.

Sandy poczuła, jak opuszcza ją resztką napięcia. Nie miała się czego bać. Strażnik znał Willa i widział jej twarz. Była całkowicie bezpieczna.

- Panie Samuels! - Will zwrócił się do strażnika, kierując Sandy do rzędu wind w głębi westybulu. - Co nowego?

- Wszystko po staremu. Słyszał pan o pani Allen spod 1412?

- Nie. A co się stało?

- Wylew. W ten poniedziałek. - Pan Samuels usiłował przytknąć artretycznymi palcami. - Poszło, o tak.

- Bardzo mi przykro. A jak się trzyma pan Allen?

- Ha, proszę pana! Przed drzwiami już stoi rząd qui-chy. Proszę mi wierzyć, da sobie radę. Will śmiał się jeszcze, gdy otworzyły się drzwi windy.

- Do zobaczenia, panie Samuels! - Nacisnął guzik piątego piętra.

- Faceci to mają dobrze, prawda? - podsumowała Sandy, gdy zasunęły się drzwi.

- Z czym?

- Z kobietami.

- Czemu tak sądzisz? - zaśmiał się.

- Biedna pani Allen spod 1412 umiera na wylew i zanim zdąży osunąć się na podłogę, kobiety rzucają się do piekarników, żeby przygotować panu Allenowi obiad.

- Sugerujesz, że nie powinien jeść? Sandy skitowała to pytanie uśmiechem.

- Chcę tylko powiedzieć, że coś takiego nie miałoby miejsca, gdyby to pan Allen dostał wylewu. Pani Allen sama ugotowałaby sobie obiad.

- Prawdziwi mężczyźni nie robią quichy - zażartował Will, gdy drzwi windy rozsunęły się na piątym piętrze. Cofnął się, żeby przepuścić Sandy.

- Za to, jak słyszałam, przyrządzają kiepskie kurczaki - zripostowała, idąc obok niego wąskim korytarzem z wykładziną w złotym kolorze.

- Przyrządzają pyszne kurczaki. - Will przekręcił klucz w drzwiach do apartamentu i Sandy weszła do małego holu z tapetą w brązowo-zielone pasy. - Tędy. - Poprowadził ją obok otwartej kuchni do salonu, gdzie całe umeblowanie stanowiły zielona skórzana kanapa i fotel do kompletu, na wpół pusta biblioteczka, niewielki stół ze szklanym blatem i dwa krzesła z wysokimi oparciami, wyściełane czarną skórą. Podłogę pokrywały duże beżowe kafle. Nie było dywanów ani obrazów na ścianach w kolorze złamanej bieli, nigdzie śladu fotografii czy bibelotów.

- Rozgość się. Zaraz wracam.

Podeszła do rzędu okien, które tworzyły całą wschodnią ścianę apartamentu, i spojrzała na inny wysoki budynek po przeciwnej stronie ulicy.

Witamy w dużym mieście - pomyślała, niespodziewanie wpadając w radosny nastrój. Zapomniała już, jak bardzo brakowało jej ciasnych przestrzeni w wysokich budynkach - stwierdziła z uśmiechem, słysząc, jak Will krząta się w kuchni.

- Pomóc ci?

- Nie trzeba.

- Jak długo tu mieszkasz?

- Około roku.

- Ładnie tu - pochwaliła, w myślach urządzając to mieszkanie na nowo: zastępując zieloną skórzaną kanapę czymś bardziej miękkim i zmieniając kolor ścian na cieplejszy, bardziej przytulny. Właściwie ten apartament niewiele się różnił od mieszkania, które zajmowali z łanem, zanim urodziła się Megan. Miało podobny rozkład i wielkość, tylko nie było tam tylu okien, a podłogi pokrywały tanie panele. Byli tam bardzo szczęśliwi - pomyślała. Oczywiście, wydawało się jej, że nadal są szczęśliwi, do chwili, kiedy oznajmił, że zostawia ją dla innej kobiety.

Kerri Franklin puściła do niej oko z odbicia w szybie. Sandy przymknęła powieki i uniosła je dopiero wtedy, gdy usłyszała za sobą jakiś szelest. Odwróciła się i zobaczyła Willa wchodzącego do pokoju z drinkami w dłoniach.

- Martini z calvadosem, zgadza się?

- O Boże, nie mogę.

- Ależ możesz. Minie parę minut, zanim kurczak się podgrzeje.

- Po co go podgrzewać? Na pewno na zimno też jest pyszny.

- Kto tu jest kucharzem? - przypomniał jej.

Sandy z kolei korciło przypomnieć mu, iż obiecał, że pobędą tu tylko chwilę, lecz się rozmyśliła. Nie chciała wyjść na niewdzięcznicę, skoro zadawał sobie tyle trudu, wyraźnie chcąc zrobić na niej wrażenie. Czy łan nie wytknął jej kiedyś, że nie potrafi się wyluzować i że zawsze pierwsza wychodzi z imprez, psując wszystkim zabawę?

- No proszę - zachęcał ją Will. - Wypij parę łyków i odpręż się. Ja

tymczasem sprawdzę pocztę w komputerze, a potem będziemy jeść.

Sandy kiwnęła głową na zgodę i żeby mu nie sprawić przykrości, upiła kilka łyčzków martini, patrząc, jak wychodzi z pokoju. Wypiła jeszcze jeden łyk, myśląc przy

tym, że jeśli kurczak będzie smakować równie dobrze jak alkohol, czeka ją prawdziwa uczta. Usiadła na kanapie i z miejsca poczuła, jak jedwabna sukienka lepi się do skórzanej tapicerki, więc kilkakrotnie na przemian zakładała nogę na nogę w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji. Wypiła kolejny łyk, tym razem czując, że smak jabłek zdecydowanie przeważa nad posmakiem wódki. Raczej trudno się tym upić - stwierdziła, pociągając następny łyk. Rozejrzała się za stolikiem, na którym mogłaby postawić szklanekę. Niczego takiego nie było, sączyła więc drinka coraz dłuższymi łykami do chwili, gdy się spostrzegła, że opróżniła szklanekę do połowy. No i co z tego? - stwierdziła, dopijając resztę. Przynajmniej nikt jej nie zarzuci, że nie potrafi się bawić.

- Sandy?! - zawołał Will z sąsiedniego pokoju. - Chodź tutaj. Musisz to zobaczyć. Postawiła pustą szklanekę na podłodze, a gdy podniosła się z kanapy, pokój zawirował wokół niej.

- Ha! - zdziwiła się i przytrzymała oparcia kanapy, czekając, aż ustąpią zawroty głowy.

- Sandy! - ponaglił ją.

- Gdzie jesteś?

- W sypialni. W holu skręć w prawo.

W sypialni - powtórzyła, po czym przez pomyłkę skrzyła w lewo, trafiając do kuchni. Sprawdzę tylko, co z kurczakiem - pomyślała i pochylając się nad piekarnikiem, otworzyła drzwiczki i pociągnęła nosem. Piekarnik był pusty.

Cofnęła się, a gwałtowny ruch wzbudził fale w nieruchomym dotąd powietrzu. Może źle zrozumiała - myślała gorączkowo, ze wszystkich sił starając się oprzytomnieć. Czy nie mówił, że odgrzewa kurczaka?

- Sandy! - ponowił wołanie. - Co z tobą?!

- Idę! - Ruszyła holem w kierunku sypialni, mimo że uporczywy głos nakazywał brać nogi za pas. - Chyba mówiłeś, że kurczak się grzeje - powiedziała, stając w drzwiach.

- Mówiłem, że podgrzanie kurczaka zajmie parę minut - poprawił ją. -  
Teraz rozgrzewam piekarnik.

- Aha. - Czy piekarnik wydawał się ciepły?

- Nikt ci jeszcze nie mówił, że jesteś bardzo podejrzliwa?

- Przepraszam. - Przeszła z nogi na nogę, walcząc z chęcią osunięcia się na podłogę.

- Dobrze się czujesz?

- Zdaje się, że alkohol poszedł mi do głowy.

- Wszystko wypijaś?

- Chyba błęd.

- Chcesz usiąść? - Spojrzał na wielkie łóżce, które zajmowało większość sypialni. Zauważyła granatową jedwabną pościel i zaprzeczyła ruchem głowy.

- Mówiłeś, że chcesz mi coś pokazać?

Will wskazał na komputer na wąskim biurku po drugiej stronie łóżka.

- Spójrz tylko na to.

Sandy podeszła do dużego monitora i wpatrując się w płaski ekran, coraz szerzej otwierała oczy.

- O Boże!

- Uwierzyłabyś, jakie rzeczy ludzie potrafią przysyłać? Sandy z otwartymi ustami patrzyła na zdjęcie pary; oboje byli nago, kobieta stała zgięta w pół, a mężczyzna od tyłu obejmował jej piersi, jednocześnie celując wzwiedzionym członkiem w wypiętą pupę.

- Fantastyczna dupa, co? - skomentował Will.

Nie była pewna, czy to dotyk rąk mężczyzny, które niespodziewanie zamknęły się na jej piersiach, czy też łatwość, z jaką wymówił słowo „dupa”, sprawiła, że błyskawicznie go odepchnęła i rzuciła się do drzwi sypialni.

- Co ty wyrabiasz? Gdzie uciekasz? - zapytał i złapał Sandy za rękę, po czym przycisnął jej otwartą dłoń do krocza.

Wyrwała ją, jakby dotknęła do gorącej kuchenki.

- Wychodzę!

- Nie bądź dziwna. Po co tu przyszłaś?
  - Myślałam, że zaprosiłeś mnie na kurczaka - wyjąkała, wiedząc, jak idiotycznie to musi brzmieć.
  - Daj spokój - prychnął, blokując drzwi. - Nikt nie jest taki naiwny.
  - Widocznie czasem ktoś taki się trafia. Posłuchaj, przykro mi, jeżeli sprawiłam niewłaściwe wrażenie. -Czy wypuści ją stąd?
  - Niewłaściwe wrażenie? Przez cały wieczór leciałaś na mnie!
  - Co?! Jak możesz tak mówić?!
  - Wsiadłaś do mego samochodu, tak?
  - Tak - przyznała, czując, oprócz zawrotów głowy, niepokojące sensacje w żołądku. - To nie było zbyt mądre. Przyznaję. A teraz chciałabym wrócić do domu.
  - Do Torrance?
  - Tak. Do Torrance.
  - Tam, gdzie zamordowano dziewczynę. - Tym razem to było stwierdzenie, a nie pytanie. Sandy zapało dech w piersiach.
  - Myślisz, że okazała się na tyle głupia, aby wsiąść z nieznajomym do samochodu?
  - O Boże! - Żołądek podszedł Sandy do gardła.
  - Myślisz, że liczyła wyłącznie na miłą kolację?
- Co on mówi? Że zamordował Lianę Martin i ją też zabije? Czy gdzieś na bagnach policja odkryje jej rozkładające się zwłoki z odstrzeloną połową głowy? Ta myśl dodała jej sił. Odepchnęła Willa i rzuciła się biegiem do drzwi wyjściowych. Miała go tuż za plecami.
- Chcesz wyjść? - Ponownie zastąpił jej drogę. - W porządku. Chcesz wyjść? To się wynoś! Sięgnął za siebie i otworzył drzwi. Rzuciła się do rzędu wind, ścigana jego słowami:
  - Jesteś żalosna! Chcesz wiedzieć, czemu ciebie wyrwałem? Bo sądziłem, że jesteś pewniakiem. Taka stara torba jak ty - powinnaś być mi wdzięczna!

Jak mogła być taka głupia - myślała gorączkowo, wchodząc do windy. Jak mogła wpakować się w coś takiego? Do Torrance jest przynajmniej godzina drogi. Nie zabrała komórki, nie ma skąd zadzwonić po taksówkę, która zapewne kosztuje tyle, ile ona zarabia na tydzień. Nie może ni stąd, ni zowąd zadzwonić do Rity i poprosić, żeby po nią przyjechała, szczególnie po tym, jak ją dziś wystawiła do wiatru. Była pijana, mdliło ją, przeraził dzieci swoim widokiem. Boże, błagam, niech już śpią, kiedy wrócę - modliła się. Niech mnie nie widzą w takim stanie. Spojrzała na zegarek, lecz cyfry skakały jej przed oczami, za żadne skarby nie chcąc się uspokoić.

- Ma rację - powiedziała, gdy drzwi windy otworzyły się w westybulu. - Jesteś żalosna.

- Mówiła pani coś? - zwrócił się do niej pan Samuels ze swego miejsca w recepcji.

- Zastanawiałam się, czy nie mógłby pan wezwać dla mnie taksówki - odparła i chwilę potem zwymiotowała na posadzkę z marmuru w złote cętki.

18

## Z DZIENNIKA ZABÓJCY

Jakoś kiepsko się czuję dzisiejszego ranka, więc zostaję w domu i odpoczywam. Nie wiem, co mi jest. Może to zmęczenie. A może dopadł mnie jakiś wirus. Podobno coś lata w powietrzu, co mnie wcale nie dziwi. Zawsze coś w nim lata. Aż strach bierze, gdy się pomyśli o tych wszystkich mikrobach i bakteriach, egzotycznych wirusach, dziwnych i zarazem śmiertelnych odmianach grypy, o tych wszystkich drobnoustrojach, które, przyczajone, tylko czekają na odpowiedni moment, żeby dać znać o sobie. Tak jak ja.

Nieczęsto choruję, więc tknęło mnie zaraz po wyjściu z łóżka, że coś ze mną nie tak. Nogi jak z waty i to dziwne wrażenie, że podłoga się pode mną ugina. Mdli mnie, kręci się w głowie i nie mam apetytu. Mięśnie przypominają sparciałą gumę, niezdolną do utrzymania ciężaru ciała. „Czuję się nieswojo” - zwykła mawiać moja ciotka, ilekroć chorowała, i wreszcie wiem, co miała na myśli. Jest niedziela i nie mam nic pilnego do załatwienia, więc spędzę to przedpołudnie na zwolnionych obrotach. Co tu dużo mówić, należy mi się odpoczynek. Czas podładować akumulatory, odzyskać siły. Mam jeszcze wiele do zrobienia. Może to wszystko przez wczorajszy wieczór. Przez te obchody w parku. Uroczystość z okazji śmierci, można by rzec. Muszę wyznać, że budziła dreszczyk emocji. Może stąd dziś te zawroty głowy. Może cierpię na poim-prezowego „kaca śmierci”. Jeśli tak, to mam nadzieję, że jest pierwszym z wielu.

Co robię, wylegając się w łóżku? Kombinuję, intryguję, snuję plany, wspominam i puszczam wodze najdzikszych fantazji? Hmm, dokładnie tak. Otóż robię te wszystkie rzeczy. Cechuje mnie kreatywność, nawet jeśli moje talenty rzadko bywają dostrzegane i nigdy nie zachęcano mnie do ich rozwijania. Ludzie mają skłonność do zaszufłakowywania. Myślą, że cię znają. Zadowala ich postrzeganie ciebie takim, jakim im się wydaje, że jesteś. Nie chcą, aby podważano lub zmieniano ich osąd. Nie życzą sobie wiedzieć więcej.

A tak naprawdę niczego nie wiedzą. Weźmy na przykład moją ciotkę. Uważała, że mnie zna. Bardzo się myliła.

Czy była już mowa o tym, że zginęła z mojej ręki?

Oj, brzydko, a jednak w ogóle nie odczuwam wstydu. Już nie.

Towarzyszył mi wiele lat. Zbyt wiele; teraz to widzę. Och nie, nie dlatego, że zginęła z mojej ręki. Absolutnie, nie. Zasłużyła na to, co ją spotkało. Uczucie wsty-



du, o którym mówię, doskwierało mi, kiedy żyła. Boże, jak ona mnie terroryzowała! Z jaką satysfakcją potrafiła wzbudzić poczucie winy! Jak potrafiła deptać moją godność! Należała do tych osób, które naprawdę zasługują na śmierć. I była moją pierwszą. Można by powiedzieć, że to zabójstwo mnie rozprawiczyło.

Mieliście okazję poznać już parę przeżyć związanych z ciotką. Było o tym, jak zabrała mnie na przyjęcie urodzinowe do sąsiadów, gdzie mnie omal nie utopiła, zrzucając później całą winę na mnie; o zrujnowanych wakacjach; o zmuszaniu mnie do nauki pływania; o wypadku na nartach wodnych; o jej drwinach; o skrzekliwym, hienowatym śmiechu. Ty wielkie bobo! Gdzie jesteś, tchórze? No dalej, cykorze!

Można by sądzić, że wszystko się zmieni, kiedy dorosnę, lecz jej potrzeba wtrącania się w nie swoje sprawy okazała się niedoceniona. Podobnie jak talent do jątrzenia i sączenia jadu w cudze umysły. W tym także mojej matki.

Wszystko zawsze było źle. Moje klęski rozdmuchiwano, sukcesy bagatelizowano. Wszelkie moje niepowodzenia spotykały się ze śmiechem. I kto się teraz śmieje? Ciekawe. Tyle razy odtwarzam w pamięci tamto popołudnie, że czasem bierze mnie strach, iż to wspomnienie się zatrze i pojawią się luki jak na zdartej płycie CD, i niechcący umknie mi jakiś istotny moment, być może drobiazg, lecz taki, którym należy się delektować. Nie chcę niczego utracić. Nie chcę zapomnieć najmniejszego szczegółu z wydarzeń tamtego dnia. Stąd postanowienie, żeby stworzyć trwały zapis. Jak by to ująć - wyryć to wspomnienie w kamieniu. Nagrobnym.

Zabójstwo ciotki, mimo że pierwsze, nadal sprawia mi największą satysfakcję. Co ludzie mówią o seksie i miłości? Że seks daje większą rozkosz, kiedy towarzy-

szy mu miłość? Czy to samo nie dotyczy morderstwa? Czy nienawiść ma taką samą moc jak miłość? Według mnie: tak. Właściwie myślę, że nienawiść jest silniejsza. Oczywiście zdecydowanie większą satysfakcję czerpię z zabójstwa Liany Martin niż Candy Abbot.

A następne zabójstwo będzie o niebo lepsze od uśmiercenia Liany Martin. Szczególnie jedno, którego już nie mogę się doczekać. Jej czas nadchodzi. Z każdym dniem jestem bliżej.

Ale wyprzedzam wydarzenia, a w planie był powrót do wspomnień. Niezbędna jest skrupulatność. Muszę dopilnować, aby niczego nie przeoczyć. Nic nie ma prawa rozpraszać mojej uwagi. Muszę wrócić pamięcią do tamtego parnego lipcowego dnia sprzed niemal trzech lat. To już tyle czasu minęło? Boże, niemożliwe! Jak brzmi to porzekadło? Szczęśliwi czasu nie liczą?

No dobrze. A więc było tak. Siedzę w domu z książką, ciesząc się z klimatyzacji i rozkoszując samotnością. I nagle zjawia się ona. Wali do drzwi i nalega, żeby ją wpuścić. Ignoruję ją, skupiając całą uwagę na książce. Po minucie robi się cicho, więc myślę sobie, że zrezygnowała.

Pamiętam ten przebiegły uśmiech, który zniknął mi z twarzy wraz z chrobotaniem obracanego w zamku klucza. Doszedł mnie odgłos otwieranych i zamykanych frontowych drzwi i zbliżające się kroki.

- Och, jesteś w domu! - mówi, wyraźnie zaskoczona moim widokiem.

Jej krótkie, ciemne włosy poskręcały się pod wpływem wilgoci, wycięcie pach letniej niebieskiej sukienki znaczą małe półksiężycy potu.

- Tak - przyznaję, kiwnąwszy głową.

- Czemu nie otwierasz, skoro pukam?

- Nie było słyhać.

- Niemożliwe.

- Jak weszłaś?

Macha mi kluczem przed nosem.

- Twoja matka uznała, że powinnam go mieć. Na wszelki wypadek.
- A jest?
- Co „jest”?
- Wszelki wypadek.
- Nie popisuj się swoją mądrością - ucina, używając zwrotu, który zawsze wydawał mi się nieco absurdalny. Jak można mówić komuś, żeby nie popisywał się mądrością? Oczywiście, o ile ta mądrość nie zakrawa na głupotę.
- Co tu robisz? - pytam.
- Twoja matka pożyczyła ode mnie czarne szpilki, potrzebuję ich na wieczór.
- Idziesz na randkę?
- No właśnie, idę.
- Biedny facet! - śmieję się.
- Że też akurat ty to mówisz! - prychna i chociaż trudno odgadnąć, co ma na myśli (szczerze mówiąc, do dziś tego nie wiem), prawdopodobnie chce mnie obrazić. - Co czytasz? - Wrywa mi książkę z rąk i niecierpliwie przerzuca parę stron. - Nie masz trochę za dużo lat na komiksy?
- To powieść w obrazkach.
- Nieco bardziej rozwinięta forma komiksu. Coś podobnego! W twoim wieku! Nie przychodzą ci do głowy ciekawsze pomysły na spędzanie wolnego czasu?
- Nie musisz się czasem szykować na randkę? Spogląda na zegarek. To jedna z tych podróbek Roleksa, na jakie trudno kogokolwiek nabrać. Jedno dotknięcie i już wiadomo, że falsyfikat. Według mnie nawet nie wygląda na prawdziwy. Coś jak sztuczne cycki. Takie właśnie jak jej.
- Mam jeszcze mnóstwo czasu.
- To dobrze. Bo coś mi się zdaje, że gdy mama wychodziła, miała na nogach twoje pantofle.
- Co?!

- Prawie się mogę założyć, że poszła w twoich szpilkach.  
To było kłamstwo. Rzadko zwracam uwagę na buty, w jakich chodzi czy nie chodzi moja matka. Zależało mi na tym, żeby ją wkurzyć, i ku mojej radości - udało się.

- Dokąd poszła? Kiedy wróci?  
- Nie mam pojęcia. Nie mówiła.  
- To drogie buty. Chyba nie chodzi w nich po zakupy do spożywczego! -  
pieni się. Wzruszam ramionami i wracam do czytania. Chwilę później  
ciotka biegnie schodami na górę do sypialni matki. Słyszę, jak nade mną  
otwierają się drzwi szafy i rzeczy wylatują na podłogę.  
- Znalazłam je! - oznajmia ze złością, wyrastając przy mnie i potrząsając  
butami tuż nad moją głową.  
- A więc powinnaś się cieszyć - mówię.  
- Skąd ci przyszło do głowy, że w nich poszła?  
- Bo tak mi się wydawało.  
- No i teraz jestem cała spocona i zdenerwowana -naskakuje na mnie,  
jakby to była moja wina.  
- Przynieść ci coś do picia? Colę, sok? Opada na kanapę.  
- Dietetyczną colę.  
Cała ona. Żadnego „proszę” czy „dziękuję”. Albo: „jeśli możesz”.  
Podnoszę się z fotela i idę do kuchni.  
- Wiesz, mówią, że dietetyczna cola jest szkodliwa! -wołam. - Podobno  
źle wpływa na fale mózgowe!  
- W takim razie nie masz się czym przejmować! - rewanżuje się i zanosz  
tym swoim okropnym, hienowatym śmiechem.  
I właśnie wtedy, dokładnie o drugiej dwadzieścia dwie według czasu na  
cyfrowym zegarze wbudowanym w kuchenkę, postanawiam ją zabić. W  
rzeczywistości myślę o tym od wielu miesięcy, może nawet lat. Planuję,  
jak by to zrobić, jeśli nadarzy się okazja, tak aby wysłać ją na tamten  
świat z minimum zamieszania i maksimum bólu. Przynajmniej dla niej.  
Chcę, żeby

cierpiała przed śmiercią tak, jak ja cierpię przez nią całe życie.

- Nie mamy dietetycznej coli - kłamię, przesuważąc puszkę w głąb lodówki. - A może gin z tonikiem?

W tym miejscu należy wspomnieć, że ona lubiła wypić.

- No, świetny pomysł - chwali, i to była chyba najmiłsza rzecz, jaką powiedziała do mnie w ciągu wielu lat.

- Pewnie - przytakuje, wyjmując tonik z lodówki oraz gin z szafki pod zlewem, i fachowo miesza drinka.

W domu zawsze jest mnóstwo lekarstw. Grzebię w kilku szufladach w kuchennych szafkach i natrafiam na starą fiolkę z przeciwbólowym percodanem, sprzedawanym wyłącznie na receptę, kruszę ostatnich sześć tabletek, po czym wsypuję wszystko do ginu z tonikiem. (A propos wpływu na fale mózgowie). Następnie wracam do salonu i podaję jej drinka.

- Co tak długo? - pyta. Znowu ani „dziękuję”, ani „to miło z twojej strony”.

- Proszę bardzo - mówię, patrząc, jak wychyla pół szklanki jednym haustem.

- Niezły - orzeka, pociągając kolejny łyk, a potem się odchyła na oparcie i milczy, jakby zadumana. Znowu popija, krzywi się i odstawia szklankę na podłogę.

- Coś nie tak?

- Jakiś gorzki.

- Czy nie taki właśnie powinien mieć smak?

- Pewnie za dużo toniku.

- Mogę dolać trochę ginu - proponuję skwapliwie. Spogląda na prawie pustą szklankę i zrywa się z kanapy.

- Nie, nie, wystarczy. Muszę się zbierać.

- Może zostaniesz jeszcze trochę? - zachęcam najuprzejmiej jak potrafię. - Ostatnio niezbyt często mamy okazję ze sobą rozmawiać.

- Chcesz porozmawiać? - Wydaje się zdziwiona, może nawet trochę jej to schlebia.

- Jak sobie teraz radzisz? - pytam.

- Jak sobie radzę? A cóż to za pytanie?

- No, jak ci się pracuje w banku? Prycha gardłowo i zaciska usta.

- Okropnie. Gdyby Al nie był takim idiotą w kwestiach finansowych, nie musiałabym go zastępować. No, ale lepiej już pójdę, muszę się jeszcze wypięknąć.

- I tak jesteś piękna - mówię, niemal się dławiąc tym komplementem. Uśmiecha się i przygląda poskręcane włosy.

- Och, dziękuję! To było miłe. - Pochyla się, żeby pocałować mnie w czoło i lekko się przy tym zatacza. -Oj! - mówi, dotykając skroni butami, które trzyma w ręce.

- Co się stało?

- Nagle zakręciło mi się w głowie.

- Może powinnaś usiąść?

- Nie, nie. Nic mi nie jest. - Robi kilka kroków w kierunku drzwi, potem przystaje, wyraźnie się chwiejąc.

- Może cię odwieźć? – proponuję.

- Bez przesady. Wszystko w porządku. Wstałam zbyt gwałtownie i tyle. - Sięga do klamki i ręka zawisa kilkanaście centymetrów dalej. Stoję tuż za nią.

- Dobrze. Posłuchaj. Mam się z kimś spotkać za pół godziny. - Kolejne kłamstwo. Z nikim się nie spotykam. -Zabiorę się z tobą i wyrzucisz mnie przed domem.

Ani się zgadza, ani protestuje, gdy sięgam poza nią do klamki i otwieram drzwi, a potem podprowadzam do ciemnozielonego buicka. Słowo daję, odtrąca moją rękę, gdy próbuję podtrzymać ją za łokieć, i nie zgadza się, żeby otworzyć jej drzwi.

- A ty co?

- Chcę ci pomóc.

- Najlepiej pomożesz, siedząc cicho.

Jazda do jej domu upływa nam w kompletnej ciszy. Jedynym dźwiękiem jest jej nierówny oddech. Nie od-

rywam oczu od ciotki i od jezdni. Towarzyszę jej między innymi dlatego, aby mieć pewność, że nie rozjedzie po drodze jakichś Bogu ducha winnych ludzi. To na jej śmierci mi zależy. I na niczyjej więcej.

Oczywiście tak było kiedyś. A teraz - jak to mówią - to inna sprawa. W każdym razie kiedy wjeżdżamy na podjazd przed jej piętrowym drewnianym domem z łuszczącą się białą farbą i z drzwiami w jaskrawoczerwonym kolorze, ledwo trzyma się na nogach i wydaje się niemal wdzięczna, kiedy proponuję, że zaprowadzę ją do środka.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - powtarza w kółko. A potem dorzuca z pretensją: - Ten gin musiał być jakiś trefny.

Przez frontowe drzwi wchodzi się prosto do salonu. Meble to samo nowoczesne badziewie, mnóstwo ostrych kątów i dziwacznych kształtów. Przeważa czerwień. Ciotka uwielbiała ten kolor.

- Myślę, że powinnaś się trochę położyć - podpowiadam, kiedy przechodzimy przez mikroskopijny aneks jadalny ku stromym schodom przy kuchni. Na górze są dwie małe sypialnie i łazienka. Zakładam, że znajdę tam to, czego potrzebuję. Jeśli nie, zawsze pozostaje mi kuchnia.

- Chwileczkę - mówię, gdy stajemy na szczycie schodów.

- Co? - W głosie i w oczach ta sama pretensja.

- To! - odpowiadam po prostu. I popycham ją z całej siły.

Wszystko dzieje się tak błyskawicznie, że obraz tamtej chwili stanowi wirującą plamę. Gdyby można było nacisnąć w mózgu taki spowalniający go guzik i napawać się widokiem ciotki, kiedy leci do tyłu i fika nogami, prawie sięgając nimi głowy, i z ramionami rozpostartymi jak skrzydła zjeżdża plecami po cienkim czerwonym chodniku rozłożonym na środku twardych drewnianych schodów, a jej ciało podskakuje na każ-

dym stopniu i obija się o ściany, dopóki nie wyląduje na dole z ramionami rozrzuconymi ponad głową i z nieprzyzwoicie rozsuniętymi nogami, tak że spod letniej niebieskiej sukienki widać jej białe majtki!

Jęczy półprzytomna, kiedy pochylam się nad nią. Krew leci z lewego ucha, gałki oczu poruszają się bezładnie. Nie wiadomo, czy za chwilę zemdleje, czy odzyska przytomność, więc muszę działać szybko. Prędko zdejmuję jej beżowe sandały i na jedną stopę nasuwam czarne czółenko na szpilce.

- Nie powinnaś nosić takich wysokich obcasów - ganię ją. - Nie wiesz, że to niebezpieczne? Drugim czółenkiem ciskam o ścianę i patrzę, jak zostawiając rysę na białej farbie, spada, odbijając się o schody, i zatrzymuje na piątym stopniu od dołu. Wtedy błyskawicznie wbiegam na górę i chowam sandały do szafy. Tu też znajduję to, czego szukam. Duży plastikowy worek.

Chroni czarne jedwabne spodnie, które zapewne dopiero odebrała z pralni i pewnie miała włożyć na dzisiejszą randkę. Bardzo ostrożnie zrywam worek z wieszaka, aby przypadkiem nie zostawić jakichś strzępków stanowiących ślady, i wracam z tym workiem do ciotki. Powieki ma zamknięte, kiedy unoszę jej głowę w ramionach i pedantycznie naciągam worek. Niespodziewanie otwiera szeroko oczy.

- Co ro...? - zdoła jeszcze wybełkotać, zanim worek szczelnie zakryje nos i usta. Osłabiona i ranna, nie ma przy mnie szans. Myślę, że i tak by umarła, ale nie mogę ryzykować, że dotrwa do chwili, gdy zjawi się jej znajomy, zawiezie do szpitala i być może ocali życie - przy okazji rujnując moje.

Przytrzymuję worek, czując, jak się wije. Patrzę, jak powoli ucieka z niej życie i z każdym oddechem chwytanym w męczarniach coraz szerzej otwiera oczy. Przynajmniej mam nadzieję, że cierpi. Chyba wyczuwam moment, kiedy przestaje bić jej serce, ale trwam tak



jeszcze z pięć minut. Dopiero wtedy ostrożnie ściągam worek i palcami zamykam powieki. Wiem, że wszyscy uznają, iż spadła ze schodów przez te czółenka na idiotycznie wysokich obcasach i zmarła na skutek obrażeń. Wszyscy wiedzą, że po południu lubiła wypić jednego czy dwa drinki. Nikt nie będzie doszukiwał się innych przyczyn. Po co napraszać się o kłopoty? Czy nie tak ludzie mówią?

I nie myślę się. Nikt niczego się nie doszukuje. Przyczyną zgonu jest nieszczęśliwy wypadek. Szeryf przez szacunek dla rodziny nie zarządza sekcji zwłok. Nie ma sensu jej kroić. To oczywiste, co się stało. Po co przedłużać wszystkim cierpienie? Oto zaleta życia w małym miasteczku. A także śmierci.

Pochowaliśmy ją obok mojego wuja. Wszyscy ją oplakiwali. Łącznie ze mną, naturalnie. Mnie też popłynęło kilka łez. I to tyle. Jedna mniej. Trzy lata później wyraźny postęp. Dwie dziewczyny nie żyją. W sumie o trzy sztuki mniej. I jeszcze ich przybędzie. Od razu się lepiej czuję.

19

Megan mdliło. I wcale nie dlatego, że coś zaległo jej w żołądku, bo nic nie jadła, wcale nie miała apetytu i poważnie myślała, żeby już nigdy w życiu nie wziąć czegokolwiek do ust; ani też dlatego, że przesadziła z piciem, ponieważ nic nie piła, alkohol jej nie smakował i nigdy nie miała ochoty się upić; ani też nie napaliła się trawy, bo zaciągnęła się skretem zaledwie kilka razy, a poza tym ogólnie wiadomo, że marihuana nie szkodzi na żołądek. Nie, miała mdłości, bo na wczorajszym czuwaniu zrobiła z siebie idiotkę przy Gregu Watcie na oczach połowy szkoły. A potem on - również na

oczach wszystkich - odwrócił się na pięcie i odszedł, a ona do dziś nie ma pojęcia, co powiedziała czy zrobiła nie tak. W jednej chwili rozmawiali całkiem sympatycznie o jego mamie, a w drugiej najzwyczajniej w świecie oddalił się bez słowa. A potem unikał jej przez resztę wieczoru. Albo przynajmniej przez następną godzinę, bo dłużej nie zniosła tego ignorowania, więc nikomu nic nie mówiąc, wyszła z imprezy bez Ti-ma, chociaż obiecała trzymać się go jak rzep psiego ogona. Wymknęła się więc z parku i wróciła do domu. Sama, po nocy, w ciemnościach, gdy zabójca jest na wolności, jak to matka jej wyrzucała (ile razy?). Tim zjawiał się pod drzwiami mniej więcej w tej samej chwili, gdy ona zajechała przed dom taksówką. A teraz jest uziemiona. Żadnych wyjść przez miesiąc poza szkołą i próbami, przy których matka się uparła, twierdząc, że jakoby nie wypada pozbawiać profesora Lipsmana odtwórczyni głównej roli. Raczej chodziło jej jednak o to, że Megan z radością by z nich zrezygnowała. Komórka została skonfiskowana, a komputer wyniesiony z pokoju. Zapewne należało uznać tę karę za szczęście w nieszczęściu, biorąc pod uwagę plotki prawdopodobnie krążące już na czacie po całej Ameryce, i to właśnie był powód jej sensacji żołądkowych - a także obawa, co powie matka, kiedy się dowie o Gregu.

Jednak, jak Megan zauważyła, matka raczej nie była skora do rozmów. I nie wyglądała najlepiej, kiedy pojawiła się w domu parę minut przed północą. Córka obserwowała ją, gdy wydostawała się powoli z taksówki, a potem szła wężykiem do drzwi, jakby omijała po drodze kawałki potłuczonego szkła. Ledwo Sandy zdążyła pomyśleć, jak poszło Ricie, gdy ku swemu przerażeniu zobaczyła Tima, który akurat wyłonił się zza narożnika.

- Mamo?! - zawołał. - Czy Megan jest w domu?!

- Co?! Jak to?! Nie wróciła z tobą?! - Trzaskały frontowe drzwi, histeria wisiała w powietrzu, gotowa wybuchnąć w każdej chwili. - Co to znaczy?! Nie wiesz,

gdzie jest?! Jak to: nie mogłeś jej znaleźć?! A w ogóle szukałeś?! Dobrze się rozejrzałeś?! Ale była głupia! Myślała, że gdy się pokaże, matka z radości, iż jest cała i zdrowa, i nie wpadła w łapy jakiegoś maniaka, wszystko jej wybaczy. Niestety, niczego nie wybaczyła.

Po wstępnej euforii, gorączkowych pocałunkach w policzki i zaborczych objęciach twarz Sandy spochmurniała.

- Co ci strzeliło do głowy, żeby pójść stamtąd, nie mówiąc nic bratu?! - naskoczyła na nią. - Mielicie się trzymać razem! Dlaczego nie posłuchałeś?! Gdzie cię poniosło?! Z kim byłeś?! Jak to: poszłaś do domu sama?! Nie wiesz, że w okolicy kręci się morderca? Nie potrafię uwierzyć, że mogłaś być taka głupia! Co masz na swoje usprawiedliwienie?! - I nie czekając na wyjaśnienia, oświadczyła: - Za karę masz zakaz wychodzenia z domu!

Oczywiście Megan próbowała ją przebłagać, lecz wszelkie zapewnienia o niewinności jedynie wzmacniały jej winę. Sandy, choć w nie najlepszej formie (nawet garść miętowych dropsów nie zabiła zapachu alkoholu w oddechu), okazała się na tyle spostrzegawcza, żeby zauważyć, iż córka coś ukrywa, i żadne prośby ani błagania nie wpłynęły na zmianę decyzji. W końcu Megan, zalewając się łzami, uciekła do swego pokoju.

Gdy jakieś piętnaście minut później Sandy zapukała do drzwi, córka była pewna, że się ugięła i przyszła ją przeprosić. Tymczasem matka odłączyła komputer oraz telefon i nawet wyjęła komórkę z torebki.

- Megan, bardzo mnie rozczarowałaś - usłyszała zamiast przeprosin.

Co oznaczało, że oczekuje, iż to córka ją przeprosi. Przeprosi i się wytłumaczy.

Jak mam się wytłumaczyć - dumiała Megan, oczyma wyobraźni widząc siebie w zaskakująco delikatnych ob-

jęciach Grega, jego palce bawiące się pasmami jej włosów, język drażniący wnętrze ust. Nadal czuła zapach piwa i papierosów w jego oddechu, słyszała nutę żalu w głosie, gdy opowiadał o matce. Miała wrażenie, że stali się sobie tacy bliscy. Czy rzeczywiście? A może za bardzo się do niego zbliżyła?

- Ale ze mnie idiotka! - jęknęła, padając na łóżko. Leżąc, wpatrywała się w wentylator, który powoli obracał się pod sufitem.

- W porządku, skarbie. Baw się dobrze. I uważaj na siebie - usłyszała, jak matka mówi do Tima, a potem rozległ się trzask otwieranych i zamykanych frontowych drzwi. Powinna zejść na dół i przeprosić - zdecydowała Megan. Mieć już to z głowy. Okazać skruchę i liczyć, że matka się ugnie i przynajmniej odda jej komórkę. Sandy zada kilka pytań o sprawy, do których nie powinna się wtrącać, a Megan przypochlebi się za pomocą paru zręcznie wplecionych kłamstw:

- Miałaś rację, mamo. Nie powinnam w ogóle iść na to czuwanie. Nie przewidziałam, że to będzie takie przygnębiające. Naturalnie, że należało zawiadomić Tima, ale akurat rozmawiał z chłopakami z klasy, a wiem, jak bardzo się martwisz, że nie ma kolegów. Nie chciałam mu przeszkadzać, sama wiesz, jak łatwo się peszy, a byłam pewna, że zechce odprowadzić mnie do domu i... Tak, zdaję sobie sprawę, że głupio postąpiłam, naprawdę bardzo mi przykro. Obiecuję, że nigdy więcej to się nie powtórzy. Wybaczysz mi?

Aha, a właściwie jak to się stało, że wczoraj wróciłaś do domu taksówką i czemu pachniałaś alkoholem, no i gdzie była Rita? Odpowiedz, zanim mi jeszcze coś zarekwirujesz. Dobra, może użyję innych słów - kalkulowała Megan, gdy zadzwonił telefon i dopiero po trzecim sygnale Sandy w końcu podniosła słuchawkę. Dziewczyna stała nieruchomo i nasłuchiwała.

- Cześć, Rita! - odezwała się matka, lecz sądząc po tonie, wcale nie ucieszył jej telefon od przyjaciółki. - Od rana zamierzałam do ciebie zadzwonić... Tak. W porządku. Przepraszam, że się martwiłaś.

Ha, a więc Rita z jakiegoś powodu niepokoiła się o matkę. O co chodzi?

- Zadzwoniłabym do ciebie wczoraj po powrocie do domu, ale było już późno i... Nie, niezupełnie tak, jak liczyłam. - Sandy zawiesiła głos, a

Megan dosłownie czuła, jak zerka ukradkiem za siebie i sprawdza, czy nikt tego nie słucha. - Okazało się, że wcale go nie znam - podjęła

przerwany wątek, zniżając głos, co jeszcze zaostrzyło ciekawość córki.

Drobnymi kroczkami weszła do holu. - Tak, wiem, co powiedziałam i co on powiedział, lecz wcale nie był moim byłym sąsiadem. Prawdę

mówiąc, nigdy go przedtem nie widziałam.

Kogo nie widziała. O czym matka mówi?

- Zgoda, to było lekkomyślne. Uwierz mi: sama to wiem. Całą noc miałam wyrzuty sumienia. Co matka takiego zrobiła?

- Wiem. Wiem. Co takiego wie?

- Wcale nie jesteś ciekawa - powiedziała matka do przyjaciółki. Ależ tak - odparła w myślach Megan. Obie jesteście ciekawe.

- No więc pojeździliśmy trochę po okolicy - ustąpiła. - Mówiłam ci, że miał porsche? Matka wybrała się na przejażdżkę z jakimś facetem z porsche?

- Tak, wiem, że to nic nie znaczy, lecz co mam powiedzieć? Jestem płytka i byłam pod wrażeniem.

Ja też jestem - pomyślała Megan, przesuwając się bliżej i usiłując wyobrazić sobie Sandy w czerwono-białej jedwabnej sukience w porsche.

- Potem stwierdził, że zgłodniał, więc myślałam, że pojedziemy do restauracji, ale on powiedział, że ma

w domu kurczaka... Wiem, że to stary numer, nie musisz mi tego uświadamiać, ale ja już od dawna ich nie ćwiczę. Był taki miły, sprawiał - sama nie wiem - takie niewinne wrażenie, że gdybym odmówiła, wyszłoby na to, że to ja mam problem.

Megan wypuściła długo wstrzymywany oddech. Wreszcie zrozumiała, o czym matka mówi.

- Tak, poszłam - ciągnęła Sandy. - I, nie, oczywiście, że nie było żadnego kurczaka. Przynajmniej ja go nie widziałam. Nie, nie, do niczego nie doszło. To znaczy próbował, a kiedy odmówiłam, zrobił się trochę nieprzyjemny, właściwie bardziej niż trochę. Zdaje się, że słowo „żałosna” było najłagodniejszym z epitetów.

Megan zachłysnęła się z wrażenia i czym prędzej przycisnęła dłonie do ust. Okropne - pomyślała. Matka wcale nie jest żałosna.

- Wyrzucił mnie z mieszkania, a potem w holu dostałam torsji... Tak, chyba można powiedzieć, że sprawiedliwości stało się zadość, lecz wtedy tak o tym nie myślałam. Czułam się fatalnie. Do domu wróciłam taksówką... Nie, gdzie tam, nie miałam zamiaru do ciebie dzwonić. Po tym, jak cię tak załatwiłam? W żadnym wypadku. Może jestem płytka i głupia, ale została mi odrobina przyzwoitości. Poza tym nie miałam najmniejszego pojęcia, gdzie jestem. A przy okazji: jak wam upłynął wieczór?

Zaraz, niech ja to sobie wszystko ułożę - myślała Megan. Matka zostawiła najlepszą koleżankę i odjechała w porsche z obcym facetem, potem narażała życie dla kawałka kurczaka, z wymiotowała w holu jakiegoś apartamentowca i na koniec wsiadła do taksówki z innym obcym mężczyzną? Jej matka? Czy to ta sama osoba, która prawiła morały z powodu samotnego powrotu z parku, gdy zabójca jest na wolności? Ta, która zabrała telefon i komputer oraz uziemiła na miesiąc? Czy to ta sama matka?

- Cieszę się, że się dobrze bawiłaś. Czy Bob był zły, kiedy nie wróciłam?

Bob? Kim jest Bob? Był tam jeszcze jakiś Bob?

- Chyba powinnam zadzwonić do niego i przeprosić. Masz jego numer?...  
Dobrze... Nie, absolutnie nie jestem zainteresowana żadnymi spotkaniami  
we czworo. Najwyraźniej jeszcze nie dojrzałam do randek. Właściwie  
powinnam mieć zakaz opuszczania domu.

A tymczasem to ja jestem uziemiona - podsumowała w myślach Megan.

- Taak, dobrze. Później pogadamy. Jeszcze raz przepraszam za wczoraj. -  
Sandy odłożyła słuchawkę. - Megan! - zawołała. - Myślę, że tu ci będzie  
wygodniej!

Córka przewróciła oczami - po części na znak klęski, a po części z  
podziwu.

- Kiedy się zorientowałaś, że tu jestem? - spytała, wchodząc do salonu i  
opadając na kanapę.

- Niedawno. Ile podsłuchałaś?

- Chyba wszystko.

Sandy pokiwała głową. Była w dzinsach i w różowym podkoszulku z  
dużym czerwonym obrysem serca na środku, a świeżo umyte, puszczone  
na żywioł włosy okalały twarz wilgotnymi lokami.

- W takim razie moje upokorzenie sięgnęło zenitu.

- Naprawdę powiedział, że jesteś żałosna?

- Między innymi.

- To jakiś cham.

- Okazał się chamem.

- Był przystojny?

- Bardzo.

- Jak tata?

Sandy zagłębiła się w fotelu.

- Inaczej - odparła po chwili. - Był młodszy.

- Oho! - zareagowała Megan, nie bardzo wiedząc, czy powinno ją to  
rozzłościć, czy napęlić podziwem. - W takim razie wszystko jasne.

- Czy to sarkazm?

- A jak myślisz?

- Myślę, że nie jestem w nastoju do wysłuchiwania sarkastycznych uwag.
- A ja myślę, że to nie w porządku, iż mnie karzesz, kiedy sama zachowałam się jeszcze gorzej.
- Prawda, że to nie wydaje się sprawiedliwe?
- Nie, nie wydaje się. Sandy wydobyła się z fotela.
- Taak, i na tym poprzestańmy. Chce mi się pić. Przynieść ci coś? - Skierowała się do kuchni. Megan ruszyła za nią. -Jak to?!
- Sandy pochyliła się przy otwartej lodówce.
- Co my tu mamy? Cola, piwo imbirowe oraz sok pomarańczowy.
- Co to znaczy: poprzestańmy?
- Chyba jasne.
- Chcesz powiedzieć, że nadal jestem uziemiona? -No.
- No? Od kiedy mówisz: „no”?
- Przepraszam, skarbie - powiedziała Sandy, nalewając sobie szklanek soku. - Ale wydawało mi się, że jasno postawiłam sprawę. Miałaś ściśle instrukcje, żeby trzymać się brata. A samotny powrót do domu w wiadomych okolicznościach był bardzo nierozsądny.
- Nie aż tak nierozsądny jak wsiadanie do samochodu obcego mężczyzny i wizyta u niego w domu - zaprotestowała Megan.
- Prawda.
- To dlaczego tylko ja muszę cierpieć?
- Uwierz mi. Nie ty jedna cierpisz.
- Tak, ale tylko ja jestem uziemiona.
- Taak, ale...
- Na tym poprzestańmy? - powtórzyła Megan. - Jesteś taką hipokrytką!
- Nie - zaprzeczyła łagodnie Sandy, nie dając się sprowokować. - Jestem twoją matką. Kocham cię ponad



wszystko na świecie i czy to ci się podoba, czy nie, muszę ustalać pewne zasady. Skierowała się z powrotem do salonu, popijając po drodze sok. Megan deptała jej po piętach.

- A jeśli ci powiem, że chcę zamieszkać z tatą? - Czy naprawdę tego chciała?

- A chcesz?

- Może.

W zmęczonych oczach matki pojawił się ból.

- W takim razie musisz to dokładnie przemyśleć.

- On nie kazałby mi za karę siedzieć w domu.

- Być może.

- Nie jest hipokrytą jak ty.

Matka nic na to nie odpowiedziała, tylko teraz bolesny wyraz oprócz oczu objął usta; ich kąciki wygięły się w dół.

- Ciekawe, co by tata powiedział, gdybym mu doniosła, co wczoraj zrobiłaś.

- Myślę, że by się nieźle ubawił.

- Uznałby, że jesteś żalosna - wytknęła złośliwie Megan. - Kerri tak samo by pomyślała. - Dziewczyna wyprostowała ramiona i zadarła podbródek.

- I ja też tak myślę. Szklanka z sokiem zachybotła w dłoni Sandy, gdy odstawiała ją na podłogę.

- Nic dziwnego, że cię zostawił - dodała córka, wściekła, że nie może jej sprowokować.

- Wystarczy, Megan. Myślę, że już dość powiedziałaś.

- A ja wcale tak nie myślę.

Matka pokiwała głową, patrząc jej prosto w oczy.

- W takim razie chyba czas, żebyś wytoczyła najcięższą artylerię. Oczy Megan w jednej chwili wypełniły się łzami.

- Cholera! Czy zawsze tak jest? - usłyszała własny szloch. - Nie może być lepiej? Prościej? Czy wszyscy faceci są świrami?

Ukryła w dłoniach twarz zalaną gniewnymi łzami, a Sandy zerwała się z fotela i wzięła ją w ramiona.

Dziewczyna przytuliła się do matki, wdychając zapach lawendy ze świeżo umytych, wilgotnych jeszcze włosów.

- Czasem bywa lepiej - powiedziała Sandy, całując ją w czoło. - A czasem gorzej. Nic nigdy łatwo nie przychodzi. Ale nie wszyscy faceci są świrusami.

- Tata jest.

- Nie.

- Właśnie że tak. Czemu go bronisz?

- Masz rację. Jest świrem. Dziewczyna roześmiała się przez łzy.

- Ale nie zawsze nim był - stwierdziła Sandy. Podprowadziła córkę z powrotem do kanapy, posadziła ją obok siebie i gładziła po głowie.

- Czy tata był twoim pierwszym chłopakiem? - zaryzykowała Megan. Ręka matki znieruchomiała.

- O Boże, chyba nie jestem gotowa na taką rozmowę. -Był? Sandy opadła na oparcie kanapy.

- Rozumiem, że nie chodzi ci o całowanie?

- Ma-mo - powiedziała Megan, rozdzielając słowo na dwie sylaby.

- Tak, był pierwszym mężczyzną, z którym się kochałam.

- Czyli jedynym?

- O Boże! Naprawdę jestem żałosna.

- Nie, nie jesteś. Jessica Simpson była dziewicą, gdy wychodziła za męża.

-Kto?

- Jessica Simpson. Wiesz, ta piosenkarka i aktorka. Daisy Duke z Diuków Hazardu.

-Co?

- Wyszła za Nicka Lacheya i była dziewicą do nocy poślubnej. -Aha.

- To znaczy: oni się już rozstali, ale jednak...

- Megan, czy ty zaczęłaś współżyć?

- Co?
- Czy wyszłaś z parku wcześniej dlatego, żeby być z jakimś chłopakiem?
- Nie. Chyba nie mówisz poważnie? Absolutnie nie. Matka odetchnęła z ulgą.
- To dobrze. Naturalnie, zdaję sobie sprawę, że któregoś dnia to się stanie. Seks jest wspaniałą sprawą, szczególnie kiedy dwoje ludzi naprawdę się kocha. Ale jesteś jeszcze taka młoda i masz dużo czasu przed sobą. Megan przewróciła oczami.
- O Boże, chyba nie jestem gotowa na taką rozmowę. Sandy parsknęła śmiechem. Jest taka ładna, kiedy się śmieje - pomyślała Megan.
- Naprawdę przepraszam - powiedziała skruszona. -Za te wszystkie okropne rzeczy, które ci powiedziałam. Byłam wściekła.
- Wiem.
- Kocham cię.
- Ja ciebie też kocham.
- Czy mogę dostać z powrotem mój telefon?
- Nie ma mowy.
- Tak też myślałam.
- Nie szkodziło spróbować - podsumowała Sandy i w tej samej chwili odezwał się dzwonek u drzwi. -Spodziewasz się kogoś? Córka zaprzeczyła ruchem głowy i wstała z kanapy.
- Pójdę zobaczyć. - Spojrzała przez wizjer. - Nie uwierzysz - skomentowała, otwierając drzwi i dziwiąc się jednocześnie, że na Florydzie otwierają się one na zewnątrz zamiast do środka. Przy odrobinie nieuwagi można pozbawić niespodziewanego gościa przytomności. Ojciec tłumaczył, że to ma jakiś związek z huraganami. Wtedy wydawało jej się to logiczne, ale nie pamiętała już, o co w tym wszystkim chodziło.
- Kto to? - chciała wiedzieć matka.
- Cześć, Megan! - odezwała się Delilah Franklin, wchodząc do ciasnego holu. - Dzień dobry, pani Crosbie! Przepraszam, że was nachodzę.



Delilah przez moment rozważała coś w myślach.

- W takim razie chyba do zobaczenia w szkole.

- Do zobaczenia w szkole - powtórzyła Sandy, gdy córka zamknęła drzwi.

20

- Czy mogę przekazać panu doktorowi, o co chodzi? - spytała młoda kobieta.

John Weber oparł swe słusne ciało o wysoką ladę stanowiska recepcjonistki, przesuwając spojrzeniem po rzędzie zamkniętych drzwi w dobrze oświetlonym wewnętrznym korytarzu.

- Proszę tylko powiedzieć, że szeryf chce zająć mu parę minut. Aha, i Becky - zwrócił się po imieniu do dziewczyny, którą znał, odkąd skończyła dwa lata, z puciołowatą, piegowatą twarzą, która niewiele się od tamtego czasu zmieniła - powiedz mu też, że trochę mi się spieszy.

Spojrzał w głąb pełnej poczekalni. Był poniedziałek, ósma trzydzieści rano, a już siedziało tam sześcioro pacjentów.

- Doktorze Crosbie - usłyszał, jak Becky szepce w in-tercom. - Szeryf Weber chce się z panem widzieć... Eee, nie wiem. Nie mówił. - Podniosła głowę i uśmiechnęła się nieśmiało. - Doktor Crosbie prosi, żeby pan przysiadł na chwilę. Przyjmie pana, jak tylko skończy badać pacjenta.

- Dziękuję. - John spojrzał na jedyne wolne miejsce w poczekalni o szarych ścianach, pomiędzy starszą kobietą, kiwającą się na krześle najwyraźniej z powodu nękającego ją bólu, i mężczyzną, który odkąd szeryf przekroczył próg recepcji, raz po raz wydmuchiwał nos. Być może po jakimś czasie i przy pewnym wysiłku zdołałby sobie przypomnieć ich nazwiska, bo znał tych dwoje z widzenia. Podobnie rzecz się miała z kobietą w średnim wieku oraz z innym mężczyzną, których na-

pięte, skrzywione twarze zasłaniały częściowo płachty rozpostartych magazynów. Jakiś czas temu, wcale nie tak dawno, John znał dosłownie wszystkich w mieście. Teraz przestał rozróżniać ludzi, twarze nakładały się na siebie. Uzmysłował sobie, że nie czuje się z nikim związany. Zastanawiał się, czy to zubożenie jest znakiem czasów, czy też raczej dowodem, że się starzeje i popadłszy w samozadowolenie, nie potrafi już porządnie wypełniać obowiązków. Podszedł do okna wychodzącego na ulicę, usiłując nie widzieć w przyciemnionej szybie ściągniętej z niezadowolenia twarzy burmistrza. Gabinet Iana Crosbiego znajdował się na pierwszym piętrze tego stosunkowo nowego, trzypiętrowego budynku na Church Street. Ulica zawdzięczała swą nazwę liczbie wybudowanych w okolicy kościołów. John usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz był w świątyni z innej okazji niż ślub czy pogrzeb. Nabożeństwo żałobne w intencji Liany Martin odbyło się tuż za rogiem. W zasadzie nie wziął w nim udziału. Była taka ciżba, że ludzie wylewali się na ulicę. Został na zewnątrz i z dogodnej pozycji po prawej stronie stopni przyglądał się tym, którzy przychodzili złożyć uszanowanie - lub napawać się widokiem. Nie zauważył nic niezwykłego. Jeżeli nawet zabójca Liany był wśród żałobników, niczym szczególnym się nie wyróżniał. O wiele większe zainteresowanie szeryfa wzbudzali ci, którzy się tam nie pojawili. Na przykład Ian Crosbie.

- Szeryf Weber? - zaczęła go drobna kobieta o wyblakłych blond włosach, zajmująca pobliskie krzesło. Odchylając się od perłowopopielatej ściany z białym szlaczkiem, wpatrywała się w niego jednym okiem spod spuchniętej i zaczerwienionej powieki.

- Pani Marshall - pozdrowił ją, klepiąc się w duchu po plecach, zadowolony, że wydobył nazwisko z pamięci.

- Jak tam zdrowie, szeryfie?

- W porządku, dziękuję.

- To dobrze. Nie chcielibyśmy, żeby nasz szeryf się rozchorował.
- Bardzo pani miła.
- Szczególnie teraz.
- Rozumiem.
- Liczymy na pana, szeryfie.

Nie musiała nic więcej dodawać. John wiedział, że ma na myśli schwytanie zabójcy Liany i przywrócenie w mieście dawnego spokoju.

- Robię, co w mojej mocy.
- Nie wątpię.
- Ma pan jakiś trop? - Sąsiadka pani Marshall wychyliła się na krześle w kobaltowym kolorze, zakładając za ucho kosmyk mysioburych włosów sięgających ramion.

Pomimo usilnych starań nie potrafił przywołać na pamięć jej nazwiska.

- Śledztwo jest w toku - zwrócił się do niej, co w istocie znaczyło: nie, żadnych śladów, i oboje o tym wiedzieli.

Mężczyzna, który bez przerwy wycierał nos, niespodziewanie kichnął. Wszyscy skwapliwie życzyli mu: „na zdrowie!”.

- Właściwie nie powinno się mówić „na zdrowie”, kiedy ktoś jest przeziębiony - stwierdził, po raz kolejny wydmuchując nos.
- Naprawdę? - zdziwiła się pani Marshall.
- Tak twierdzi moja matka.

- Nigdy o tym nie słyszałam - oznajmiła jego rozmówczyni, wracając do najnowszego wydania magazynu „Styl”.

John wiedział, że to najnowsze wydanie, bo jego żona miała takie samo w domu, a Pauline zawsze pierwsza pojawiała się w drogerii, gdy przychodziły świeże czasopisma. Uważała za swój obowiązek być na bieżąco z modą, a także wiedzieć, co słyhać u Jennifer, Brada, Angeliny oraz Paris i u tych sławnych, chudych jak szczapy Nicole i Lindsay; dlaczego jemu też utknęły w głowie te wszystkie imiona? Czyżby w powietrzu krą-

żył jakiś dziwny wirus i on złapał bakcyła wraz z całym narodem?

Celebrities - pomyślał i zakasłał, żeby zamaskować bulgocący w gardle śmiech. Ciekawe, czy dobry doktor ma na to jakąś radę.

- Dzięki, doktorze. Cześć, Becky! - zaszcebiotał znajomy głos i z gabinetu wyłoniła się Tanya McGovern. - Szeryf Weber! - powitała go z uśmiechem. - Co pan tu robi? Jak zdrowie?

- W porządku. Dziękuję, Tanyu. A ty, jak się czujesz?

- Ostatnio dość kiepsko sypiam.

- Całkiem zrozumiałe.

- Moja mama uznała, że powinnam brać tabletki na sen, i doktor wypisał mi receptę.

- Wszyscy będziemy lepiej sypiać, gdy ten szaleniec zostanie złapany - stwierdziła autorytatywnie pani Marshall.

- Pojawił się jakiś trop? - spytała Tanya.

- Śledztwo jest w toku - wyreczyła szeryfa sąsiadka pani Marshall, zanim zdążył otworzyć usta.

- John? - rozległ się męski głos za jego plecami. Nie: szeryfie Weber, jak wynikałoby z natury ich wzajemnych relacji lub też z braku takowych, lecz raczej ostentacyjne: John.

- Ian - zrewanżował się, odwracając się i uśmiechając mimo woli na widok nieznacznego grymasu, który przebiegł przez przystojną twarz doktora, Ian Crosbie pod rozpiętym białym fartuchem miał koszulę w niebiesko-czarną kratę i starannie wyprasowane czarne spodnie, podkreślające smukłość bioder.

- Jakiś problem? Coś ci dolega?

Dolega, a nie jesteś chory - odnotował w myślach John.

- Nie, nie. Nic mi nie dolega. Nic w tym rodzaju. Chyba muszę zadać ci kilka pytań. Doktor zrobił wyraźnie niezadowoloną minę.

- Czy moglibyśmy odłożyć to na później? Jak widzisz, jestem dziś bardzo zajęty.



- Obawiam się, że to nie może czekać. Kilkakrotnie próbowałem się z tobą skontaktować.

- Tak, przykro mi, ale...

- ...Byłeś zajęty. Rozumiem. Nie zabiorę ci dużo czasu, Ian Crosbie westchnął i uniósł ręce w górę, jakby chciał powiedzieć: cóż robić?

- Proszę mi wybaczyć - przeprosił pacjentów i wprowadził Johna do swego sanktuarium.

- Ładnie wyglądasz, Becky-John rzucił komplement recepcjonistce, podążając za doktorem wąskim korytarzem obok dwóch pomieszczeń, gdzie też czekali pacjenci, do trzeciego pokoju w głębi, służącego za gabinet, Ian Crosbie od razu zasiadł w masywnym fotelu z brązowej skóry za dębowym biurkiem, na którym panował wręcz przesadny porządek, i wskazał szeryfowi drugi, mniejszy fotel po przeciwnej stronie. Błąd - pomyślał John, postanawiając nie skorzystać z zaproszenia. Już na początku swej kariery zawodowej zorientował się, że patrząc z góry na przeciwnika, zyskuje nad nim psychologiczną przewagę. Kiedy dokładnie -zastanawiał się - zaczął myśleć o Ianie Crosbie jak o przeciwniku?

- Czym mogę służyć, szeryfie? - Doktor wyjął z kubka jeden z wielu długopisów i postukiwał nim o krawędź blatu.

A więc teraz szeryfie - skonstatował John.

- Muszę zapytać, co robiłeś tamtego popołudnia, gdy zaginęła Liana Martin. Długopis wypadł Ianowi z dłoni, odbił się od biurka, potoczył pomiędzy dwie oprawione fotografie dzieci, spadł na szarą wykładzinę i poturlał się po niej, znikając z widoku.

- Słucham?

- W poniedziałek, kwiecień...
- Wiem, jaki to był dzień.
- W takim razie zapewne potrafisz opisać tamto popołudnie.
- To jakiś żart? Już mnie o to pytano.
- Nie, doktorze Crosbie. Zapewniam, to nie żart. -John starał się zapanować nad uśmiechem, patrząc, jak kolor znika z opalonych policzków lana. Nie zachowałyby się profesjonalnie, okazując radość z wyraźnego zakłopotania doktora.
- Hmm... siedziałem tutaj. Mówiłem już jednemu z twoich zastępców.
- Tak, o ile się nie mylę, w zeszłym tygodniu rozmawiałeś z szeryfem Trentem - potwierdził John, wyciągając z kieszeni koszuli notes i przeglądając notatki. - Zanotował, że według twych słów tamtego popołudnia gabinet był zamknięty. John jeszcze bardziej się zmieszał.
- Rzeczywiście był zamknięty. Musiałem uzupełnić zaległą dokumentację. Co starasz się sugerować?
- Miałeś takie zaległości w papierkowej robocie, że zrezygnowałeś z przyjmowania pacjentów?
- Nie miałem żadnych zapisów na tamto popołudnie.
- Czyżby? - John przerzucił kilka kartek. - Według recepcjonistki, z którą parę dni temu rozmawiał inny z moich zastępców, kazałeś wtedy odwołać umówionych pacjentów z powodu jakiegoś rodzinnego kryzysu. -John polecił jednemu z oficerów przesłuchać Becky po tym, jak się natknął na lana u Kerri.
- Cóż, trudno to nazwać kryzysem. Moją żonę zdenerwowała jakaś sprawa dotycząca naszego syna...
- Twoją żonę? To znaczy Sandy Crosbie?
- Hmm, jesteśmy w separacji, naturalnie, ale...
- Ona nie przypomina sobie, żeby cokolwiek wyprowadziło ją z równowagi. - Co prawda nie rozmawiał z Sandy, lecz instynktownie wyczuwał, że może pozwolić sobie na błąd.
- Pewnie dlatego, że wiecznie chodzi podminowana. Proszę posłuchać, szeryfie, nie bardzo rozumiem, do czego to wszystko zmierza. Zaczynam się trochę czuć jak podejrzany.

- Ejże, łan, wyhamuj. Czy ktoś tu mówi, że jesteś podejrzany?
- W takim razie skąd to przepytywanie?
- Po prostu wykonuję swoją robotę. Spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. - John powiódł spojrzeniem po ścianach zastawionych książkami. - Masz spory ruch w gabinecie. A jednak tamtego popołudnia decydujesz się odwołać pacjentów i odsyłasz recepcjonistkę do domu. Dlaczego?
- Już mówiłem, musiałem uzupełnić zaległą dokumentację. John się uśmiechnął.
- Może przemyśl to sobie jeszcze raz - powiedział dobitnie. Chwila ciszy, a po niej potrząśnięcie głową na znak rezygnacji.
- No dobrze, posłuchaj. Między nami mężczyznami. Jestem pewien, że rozumiesz takie sprawy.
- Jakie sprawy?
- Znowu pauza. Lekkie zaciśnięcie ust.
- Byłem z kimś.
- Też mi niespodzianka - podsumował w myślach John.
- Z Kerri Franklin?
- Kolejna zwłoka. Ruch oczu ku górze. -Nie.
- A tego się nie spodziewał. John pokręcił głową - po części z gniewu, a po części z podziwu. Przyszedł tu zarzucić sieci, jednak nie liczył, że cokolwiek w nie złapie.
- Z Lianą Martin? - zapytał, niemal bojąc się usłyszeć odpowiedź.
- Z Lianą Martin? Nie! Boże, nie! Toż to był jeszcze dzieciak.
- Miała osiemnaście lat - przypomniał mu John.
- Nawet jej nie znałem.
- W takim razie z kim? - Szeryf pochylił się, żeby sięgnąć po długopis z kubka na biurku łana.
- Potrzebuję nazwiska.

- Słuchaj. To trochę żenująca sprawa.
  - Będzie bardziej niż żenująca, jeśli mi go nie podasz. Już mam świadka, który jest gotów przysiąc, że widział cię na ulicy, gdzie mieszkała Liana Martin, mniej więcej w tym czasie, kiedy zniknęła.
  - Co?! To idiotyczne!
  - Naprawdę?
  - Rany boskie, nie mam w ogóle pojęcia, gdzie ona mieszkała! W żadnym wypadku nie mogłem tam być!
  - Skoro nie wiesz, gdzie mieszkała, jak możesz mówić, że tam nie byłeś?
  - Bo byłem tutaj. - Crosbie zorientował się, że krzyczy, i czym prędzej zniżył głos. - Byłem tu.
  - I an, z kim byłeś? Z pacjentką?
  - Z pacjentką? Oczywiście, że nie. Myślisz, że jestem szalony? Sądzisz, że ryzykowałbym utratę licencji dla jakiejś dupy?
- Tym razem to John się wzdrygnął. Zawsze mierzyła go zbędna wulgarność, chociaż musiał przyznać, że sam też nie był bez winy.
- W takim razie: kto to?
  - Nikt, kogo znasz.
  - Potrzebuję nazwiska, żeby uwiarygodnić zeznanie.
- Znowu cisza, I an Crosbie przycisnął palce prawej ręki do skroni, jakby dopadła go najpotężniejsza z migren.
- I może tak jest - pomyślał John, w końcu decydując się usiąść i poczuć wygodnie. Rozparł się w fotelu i wyciągnął na ukos długie nogi.
- Jak się nazywa?
  - Marcy. Marcy Grenn. Słuchaj, musisz...? John zanotował nic niemówiące mu nazwisko.
  - Adres?
  - Mieszka w Boca. Jest mężatką - wyznał potulnie I an. - Mam tylko adres jej poczty internetowej.
- Coraz lepiej - pomyślał szeryf.
- Chcesz powiedzieć, że poznałeś ją przez Internet?

- Szeryfie, nie podoba mi się ten ton.
- Przepraszam, nie sądziłem, że mówię jakimś szczególnym tonem.
- Moje prywatne życie nie powinno cię w ogóle obchodzić.
- Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa, doktorze Crosbie.
- Z którym absolutnie nie mam nic wspólnego, nawet jeśli ktoś twierdzi, że widział mnie w tamto popołudnie na ulicy, gdzie mieszkała Liana Martin.

John udawał, że zapisuje coś w notesie. Tak naprawdę nikt nie zgłosił, że widział doktora na tamtej ulicy feralnego popołudnia. Rzucił to oskarżenie, żeby sprowokować Iana i zobaczyć, co z tego wyniknie. No i proszę. Doprowadziło go to do Boca Raton i mężatki nazwiskiem Marcy Grenn. Czasami - pomyślał, czując nagły przypływ energii - ta robota bywa nawet zabawna.

- Potrzebuję tego adresu poczty internetowej.

Ian Crosbie pospiesznie napisał coś na druczku recepty i podał go ponad biurkiem.

- Ufam, że zatrzymasz to dla siebie.
- Chyba trudno zakwalifikować tę informację jako poufną i wynikającą z relacji między lekarzem a pacjentem - odparł szeryf, chowając receptę do kieszeni wraz z notesem, po czym odłożył długopis na miejsce.
- Słuchaj, proszę cię jedynie, żebyś zachował dyskrecję - powiedział Ian. - Nie ma powodu, aby ktoś jeszcze o tym wiedział, prawda?
- Ian, miło mi się z tobą rozmawiało - odrzekł wymijająco John, podnosząc się z fotela. - Będziemy w kontakcie.

Opuścił gabinet, uprzejmym „do widzenia” pożegnał Becky oraz pacjentów w poczekalni, świadomy, że wkrótce całe miasto będzie szeptać o jego niespodziewanej wizycie u Iana Crosbiego. Skontaktuje się z tą Marcy Grenn w Boca - postanowił, wsiadając do radiowozu, mimo że był przekonany, iż doktor powiedział

prawdę. Nie ma sensu wspominać o tej kobiecie Kerri -uznał, odbijając od krawężnika i kierując się ku autostradzie. Wytknie mu jedynie, że jest zazdrosny i złośliwy i wcale nie powoduje nim szczerą troską, tylko zwykła zawiść. W końcu Kerri uwierzy w to, w co zechce. Tak zawsze jest z ludźmi.

- Panie Peterson? - John zaczął łyśawię nauczyciela fizyki, wsuwając się do boksu i zajmując miejsce po przeciwnej stronie stolika. - Mogę się przysiąść?

- Szeryf! - zareagował w odpowiedzi zapytany, patrząc ponad głowę Johna w kierunku toalet w głębi lokalu. Co prawda był poniedziałkowy wieczór, lecz w barze U Chestera panował tłok. Avery Peterson sączył gin z tonikiem. Nietknięta coca-cola stała na środku politurowanego stolika, plasterk cytryny balansował niebezpiecznie, zaczepiony o brzeg wysokiej szklanki.

- Właściwie jestem tu w towarzystwie. Poszła przypudrować nos. .

- W porządku. Ja tylko na chwilę. Jeśli pan pozwoli, chciałbym zadać kilka pytań.

- Myślałem, że w zeszłym tygodniu odpowiedziałem już na wszystkie pańskie pytania. -Avery Peterson wzruszył ramionami.

- Pojawiły się nowe. Panie Peterson...

- Avery - poprawił go nauczyciel.

John skinął głową. Nie miał ochoty fraternizować się z tym podstarzałym Romeo. Widział już towarzystwo, z którym przyszedł: młodą kobietę Ellie Frysinger, która zaledwie przed dwoma laty ukończyła Torrance High, a teraz pracowała w centrum handlowym, w stoisku z przecenioną odzieżą. Szeryf nie potrafił zrozumieć, co taka młoda, ładna dziewczyna widzi w nieciekawym, łyśającym rozpustniku. A jednak krążyły pogłoski, że po raczej burzliwym rozwodzie przed pięciu laty zdążył mieć do czynienia z zaskakującą liczbą młodych, chętnych kobiet.

- Podobno ma interes jak koń - powiedziała mu w zaufaniu Pauline któregoś wieczoru w trakcie kolacji w Kentucky Fried Chicken.

- To chyba należy do kategorii przesadzonych informacji - cierpko zauważył John, rzucając na talerz nietknięte udko kurczaka. Czy dla kobiet to aż takie ważne? - zastanawiał się wtedy tak samo jak teraz. Zawsze pragnął wierzyć, że kobiety są mniej powierzchowne od mężczyzn, lecz miał coraz więcej wątpliwości. Przynależność do słabej płci automatycznie nie czyni nikogo lepszym. Słabość niekoniecznie oznacza wrażliwość.

Teraz, patrząc na nauczyciela przedmiotów ścisłych - rany boskie, nauczyciela jego córki - za żadne skarby nie mógł się pozbyć myśli o koniach. A to była ostatnia rzecz, o jakiej miał ochotę myśleć po wyczerpującym dniu z jazdą tam i z powrotem do Boca, mimo że Marcy Grenn okazała się osobą zarówno miłą, jak i chętną do współpracy.

Potwierdziła słowa Iana i

nawet pokazała mu wiadomości, jakie wymienili na czacie parę tygodni wcześniej. Wyznała, że jej mąż wiecznie gdzieś jeździł w interesach i miała ochotę na chwilową odmianę. Z uśmiechem napomknęła, żeby nie zgubił jej mailowe-go adresu. I chociaż aluzja była kusząca, w drodze powrotnej doszedł do wniosku, że wystarczy, iż łączy go z Ianem Crosbiem jedna kobieta. Dwie to przesada.

Na autostradzie zdarzył się wypadek i ponad godzinę czekał w korku, a potem zdążył się jeszcze pokłócić bez powodu z Pauline, zanim wyszedł do Chestera, żeby ponownie przesłuchać Cala Hamiltona. Spontaniczna wizyta u Iana Crosbiego przyniosła morze informacji - co prawda zupełnie bezużytecznych, jeśli chodzi o Lianę Martin. Miał nadzieję, że uda mu się również pociągnąć za język Cala Hamiltona.

Niestety, gdy dotarł do Chestera, nie zastał go tam. Według słów barmana godzinę wcześniej

wybiegł z baru jak oparzony, nikomu nie mówiąc słowa, i do tej pory

nie wrócił. John czekał na niego nad piwem przy stoliku w głębi baru. Dochodziła dziewiąta. Pauline już dwukrotnie dzwoniła z pytaniem, kiedy wróci do domu. Właściwie już miał się zbierać, gdy zobaczył w drzwiach Avery'ego Petersona z Ellie Frysinger.

- Według naszych informacji widziano cię w Pearson Park w tamten wieczór poświęcony Lianie Martin.

Avery'emu Petersonowi nawet nie drgnęła powieka.

- Byłem tam - potwierdził.

- Mógłbyś wyjaśnić, czemu tam poszedłeś?

- Z ciekawości - oznajmił ze wzruszeniem ramion.

- Z ciekawości?

- Kto się pojawi, co będą robić, ot takie tam rzeczy.

- Wiedziałeś, że to miała być impreza wyłącznie dla młodzieży?

- Chciałem mieć oko na uczniów. Na wszelki wypadek, gdyby ich poniosło.

- Ktoś cię o to prosił?

- Rozmawialiśmy o tym wcześniej z Lennym.

- Mówisz o Lennym Frommie?

- Naszym szanownym pryncypale. Tak. O nim.

- A gdybym teraz do niego zadzwonił, potwierdziłby to?

Avery Peterson wyciągnął z kieszeni marynarki komórkę i podał ją ponad stołem.

- Proszę bardzo.

- Świadkowie donoszą, że chowałeś się po krzakach - oświadczył John, ignorując jego gest. Peterson wpuścił telefon do kieszeni.

- Staralem się zachowywać dyskretnie - uśmiechnął się.

- Co cię łączyło z Lianą Martin?

- Słucham?

- Avery, proszę, odpowiedz na pytanie.

- Była moją uczennicą.

- I nic więcej?

- To znaczy?



- Hmm, nie jest tajemnicą, że masz pociąg do młodych kobiet.
- Czy to zbrodnia?
- Nie, natomiast zbrodnią jest zabójstwo. Nauczyciel parsknął śmiechem.
- Powiedz mi, że się przesłyszałem.

Rozległ się stłumiony dźwięk policyjnej syreny. John się wzdrygnął.

- To będzie moja komórka - oznajmił, sięgając po telefon z tylnej kieszeni spodni. - Ta syrena to pomysł córki. - Nacisnął odpowiedni guzik i podniósł aparat do ucha.

- John! - usłyszał kobiecy głos, zanim zdążył powiedzieć: „halo”. -  
Przyjeżdżaj tu w tej chwili!

W tle słyszał odgłosy szamotaniny i krzyki.

- Kerri?

Nie doczekał się odpowiedzi, bo połączenie zostało przerwane.

21

- Do cholery, co ty sobie myślisz?! - warknął mężczyzna, dopadając do Kerri i błyskawicznym ruchem wyrywając jej telefon.

Ręka zapiekła od uderzenia jego palców, telefon wystrzelił w powietrze i uderzył o podłogę, a plastikowa oprawka rozpadła się, odsłaniając baterie. Potoczyły się po różowej wykładzinie i zatrzymały pod plisowaną falbaną białej kapy na szerokim łóżku.

- Zadzwoiłam do szeryfa Webera - powiedziała mu, osłaniając przy tym twarz na wypadek, gdyby znudzony wyżywaniem się na przedmiotach, zamierzał przenieść agresję na nią. Zbyt wiele czasu i pieniędzy zainwestowała w tę twarz, żeby teraz przez przypadek zrujnował ją jakiś kretyń, który się wścieka, bo nie może znaleźć żony. - Już tu jedzie.

- Widziałem szeryfa w akcji - prychnął ironicznie Cal Hamilton. - Możesz mi wierzyć, nie jest znowu taki szybki.

Może gdy chodzi o ciebie - pomyślała, a głośno stwierdziła:

- Naprawdę uważam, że lepiej, abyś stąd poszedł.

- Nie wyjdę bez tego, po co przyszedłem. - Splótł muskularne ramiona i stanął na szeroko rozstawionych nogach.

Owłosiony Pan Pedant - pomyślała Kerri, choć tym razem biały podkoszulek był przybrudzony i nawet z odległości kilku stóp czuła od mężczyzny alkohol.

- Już ci mówiłam, że jej tu nie ma.

- No to gdzie jest?

- Skąd, do diabła, mogę wiedzieć? - zniecierpliwiła się Kerri. - Nie zamieniłam nawet dwóch słów z tą kobietą!

- Ale twoja córka z nią rozmawiała.

- Też ci mówiła, że nie ma pojęcia, gdzie może być.

- Ta mała świnią łże, tak samo jak ty! - Cal odepchnął dzielące ich delikatne krzesło i podszedł bliżej.

Odruchowo cofnęła się o krok, zła na siebie, że pozwala się terroryzować we własnym domu. Trzech mężów tego próbowało. Trzem mężom wystawiła walizki za próg. Szkoda, że Delilah otworzyła drzwi! „To pan Hamilton” - nadal dźwięczał jej w uszach przestraszony, piskliwy głos córki, gdy zobaczyła nieproszonego gościa. I wtedy rozpętało się piekło. Pomiedzy Calem Hamiltonem, który zawsze wydawał jej się pociągający w brutalny sposób, i córką, wyglądającą szczególnie grubo w niekorzystnych przy jej tuszy obciętych džinsach, doszło do gwałtownej wymiany oskarżeń i zaprzeczeń. To w końcu zbudziło tego potwora Rose, która z kolei zaczęła wrzeszczeć z sypialni na górze, żeby się wszyscy w tej chwili zamknęli. Jeśli chodzi o terroryzm - pomyślała Kerri nie bez cienia podziwu - żaden mężczyzna nie mógł się równać z jej matką.

Delilah i Kerri pognały na piętro, a Cal demolował pokoje na dole, rozpychając na boki ciężkie meble, jakby nic nie ważyły. Przetrzęsął kuchnię oraz szafę w holu, po czym wbiegł na górę i wpadł do sypialni Kerri. Zdażyła jedynie wykrzyczeć tych parę słów do szeryfa, zanim -rozwścieczony - wyrwał jej z ręki telefon. Cała nadzieja, że John już jest w drodze. Przy odrobinie szczęścia zdaży, zanim Cal narobi naprawdę poważnych szkód.

Jej matka i córka zamknęły drzwi na klucz w sypialni Rose, lecz Cal mógłby je roztrzaskać kilkoma energicznymi kopniakami masywnym butem z czarnej skóry. Chyba że Delilah udało się ruszyć ciężką komodę, która stała przy ścianie obok łóżka matki, i zabarykadować drzwi. To było całkiem możliwe. Jej córkę trudno nazwać mimozą, wreszcie ta jej nadwaga do czegoś się przyda - pomyślała Kerri i natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Nie powinna w tak paskudny sposób myśleć o własnym dziecku. Ale w końcu trudno się dziwić. Przecież jest córką swojej matki.

- Kerri, pytam po raz ostatni - ostrzegł ją Cal. - Do kurwy nędzy, gdzie ona jest?

- Po raz ostatni ci mówię, kretynie - wycodziła Kerri. - Nie mam pieprzonego pojęcia.

I wtedy ją uderzył. Po ciosie otwartą dłonią w twarz padła jak długa na puchatą pikowaną kapę. Leżała bez ruchu. Powinna to przewidzieć - myślała. Poznała już wcześniej takie sytuacje: pełne napięcia konfrontacje z pijanymi mężczyznami, którzy nie wahali się użyć pięści jako argumentu. Pierwszy mąż tak dotkliwie ją pobił, kiedy była w ciąży z Delilah, że wylądowała w szpitalu z dwoma złamanymi żebrami i pękniętym nadgarstkiem. Pół roku po narodzinach córki, podczas kolejnej awantury, złamał jej nos.

Wtedy przeszła pierwszą operację plastyczną -uprzytomniła sobie, dotykając do twarzy, żeby sprawdzić, czy Cal przypadkiem jej nie uszkodził. Gdzie jest

John? I czemu córka nie spieszy na ratunek? Przecież musi słyszeć, co się tu dzieje. Przecież musi wiedzieć, że matka jest w opatach. Skoro udało jej się dopchnąć komodę do drzwi, potrafi ją również odsunąć.

W tej samej chwili dobiegł ją dziecinny głosik córki, nakazujący Calowi się cofnąć. Stwierdziła, że - o dziwo - usłyszał.

- Hej, dziewczyno! - usłyszała. - Nie zrób jakiegoś głupstwa. - A kiedy odwróciła głowę, by spojrzeć na drzwi, zobaczyła w nich Delilah z wyciągniętymi ramionami i pistoletem w drżących dłoniach.

- Ręce do góry! - nakazała Delilah i Cal potulnie spełnił polecenie. - Nic ci się nie stało? - Skierowała pytanie do matki.

Kerri uspokoiła ją przeczącym ruchem głowy.

- Szeryf Weber tu jedzie. - Skąd, na Boga, Delilah wzięła ten pistolet?

- Słuchajcie, powiedzcie mi tylko, gdzie jest moja żona, i zaraz się stąd zmywam - zaproponował Cal, jakby jego najście było jedynie niemile widzianą wizytą.

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie wiemy, gdzie jest? - odezwała się Kerri.

- Ona wie - upierał się Cal, nie odrywając wzroku od pistoletu w dłoni Delilah. - Była dziś tam. Sąsiadka ją widziała.

- O czym ty mówisz? - Kerri rzuciła spojrzenie na córkę.

- Byłam tam - potwierdziła dziewczyna. - Tak samo jak wczoraj. Zgodnie z umową. Pukałam do drzwi. Dzwoniłam. Nikt nie otworzył.

- Ty kłamliwa suko!

- Co jej zrobiłeś? - spytała Delilah ledwo słyszalnym szeptem.

- Co jej zrobiłem? - powtórzył Cal z niedowierzaniem, przestępując z nogi na nogę. - Nic jej nie zrobiłem, ty głupia krowo. Przynajmniej na razie.

- Nie ruszaj się - ostrzegła go. - Jeden krok i cię zastrzelę. - Kilka łez popłynęło z jej oczu i potoczyło się po policzkach.

Czy Delilah byłaby w stanie to zrobić? - zastanawiała się Kerri. Czy jej córka mogłaby kogoś zastrzelić?

Gwałtowny wybuch śmiechu Cala starczył za odpowiedź.

- Kogo ty chcesz nabrać, tłusta dupo?! Nikogo nie zastrzelisz. -

Przepchnął się obok Delilah i zbiegł po schodach, zanim roztrzęsiona dziewczyna odkryła, jak odbezpieczyć zamek. Rozległ się jeszcze trzask frontowych drzwi.

- O mój Boże! - jęknęła Kerri, słysząc, jak samochód Cala z piskiem opon wyjeżdża z podjazdu. - Oddaj to, zanim kogoś postrzelisz. - Wyjęła pistolet z drżących rąk córki. - Skąd go wzięłaś?

- Jest mój - odezwała się Rose, która niespodziewanie ukazała się w drzwiach, przytrzymując na piersi poły zielonego welurowego szlafroka.

- Oddawaj!

Jej matka miała broń? Do diabła, co tu jest grane?

- Jak długo masz ten pistolet?

- Należał do twojego ojca.

- Masz pozwolenie na broń?

- A czy ja wiem? - zniecierpliwiła się Rose.

Kerri upuściła pistolet na wyciągniętą dłoń matki. Co za wieczór!

Najpierw Ian odwołał spotkanie bez słowa wyjaśnienia, potem naszedł ich Cal Hamilton i zdemolował dom, córka odegrała Johna Dillingera, a teraz matka zachowuje się jak Ma Barker.

- Lepiej go schowaj, zanim przyjedzie szeryf.

- Co za różnica? - zbyła ją Rose. - Nie jest naładowany.

- Nie jest naładowany? - powtórzyła pytająco Delilah.

- Oczywiście, że nie. Nie bądź głupia!

- Po prostu schowaj gdzieś to cholerstwo, dobrze?! - Kerri odprowadziła wzrokiem matkę, która powłócząc

nogami, wróciła do sypialni. Niewiarygodne, że po tylu latach matka jeszcze potrafiła wprawić ją w zdumienie.

- Nic ci się nie stało? - zwróciła się do niej Delilah. - Nie zrobił ci krzywdy?

- Nie. Pod tym względem daleko mu do twego taty. - Kerri wyciągnęła ramiona. Delilah rzuciła się w nie, omal jej nie przewracając. - Dziękuję, kochanie. Byłaś bardzo dzielna. - Pocałowała córkę w czoło, czując na ustach smak potu, który z nerwów zrosił jej skórę. Ramiona dziewczyny oplatały ją, zaciskając się coraz bardziej z każdym oddechem. Szybko oswobodziła się z bolesnych objęć córki i poprawiła treskę, która wypięła się podczas szarpaniny.

- On ją zabił - wyszeptała Delilah. - Na pewno tak było.

- To nie ma najmniejszego sensu - zaprotestowała Kerri. - Po co niby przychodziłby tu i szukał jej, przewracając dom do góry nogami, gdyby ją zabił?

- Żeby zmylić trop.

- Dobry Boże! Ta twoja wybujała wyobraźnia! Myślisz, że zabił również Lianę Martin? - zażartowała Kerri. Ale śmiech zamarł jej na ustach na widok miny córki. - Chyba oglądasz za dużo telewizji - podsumowała.

- Poważnie myślisz, że Cal jest seryjnym zabójcą?

- Kto wie? A może zabił Lianę Martin, żeby to wyglądało na seryjnego zabójcę? Zadzwieczył dzwonek u drzwi.

- Przybył twój rycerz w srebrnej zbroi! - zawołała matka z holu.

- Schowałaś pistolet? - spytała Kerri, przechodząc obok jej sypialni.

- Jaki pistolet? - odpowiedziała pytaniem Rose z łóżka.

- Chyba muszę się napić - stwierdziła jej córka.

- Niczego nie przemilczałaś? - John zwrócił się do Kerri, gdy jakieś czterdzieści minut później odprowa-

dzała go do radiowozu. W ciągu owych czterdziestu minut parokrotnie odtwarzali wydarzenia wieczoru, przepytął również Rose i Delilah. Żadna z nich nie wspomniała słowem o pistolecie. Czy stąd właśnie to pytanie?

- Jestem pewna, że wszystko ci powiedziałyśmy. Pokiwał głową, lecz wyraz jego twarzy świadczył, że nie do końca jej wierzył.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Na pewno. - Pomimo ciemności Kerri czuła na sobie wzrok szeryfa, więc idąc teraz, jeszcze bardziej kręciła biodrami przy swym i tak już przesadnie rozkołysanym chodzie. Wiedziała, co czuł do niej John Weber. Napalał się na nią od szóstej klasy, kiedy jeszcze w ogóle nie miała bioder i na pewno zanim urosły jej piersi -pomyślała, prostując ramiona i wypinając dwukrotnie powiększany biust.

Już nawet nie potrafiła sobie przypomnieć, jak wyglądały jej naturalne piersi. Pamiętała jedynie dotkliwe uwagi matki na temat jej niedostatków. „Płaskie jak naleśniki - powtarzała bezustannie. - Lepiej znajdź sobie faceta, który lubi naleśniki". I te ciągłe przytyki oraz porównywanie do sióstr, które w dorosłym życiu doprowadziło do rozluźnienia kontaktów. „Ruthie ma takie śliczne piersi - często przypominała matka. - To po mnie. Niestety, ty i Lorraine wdałyście się w rodzinę ojca, lecz Lorraine ma przynajmniej zgrabne nogi". Kerri pogładziła się po niegdyś ciężkich udach. Mnóstwo ćwiczeń i drobna liposukcja nie najgorzej wyrównały pole walki, tyle że dawno już zniknęły główne konkurentki. Obie siostry wyrwały się spod kurateli matki. Ruthie dziesięć lat temu przeprowadziła się do Kalifornii i dzwoniła jedynie wtedy, gdy potrzebowała pieniędzy na kolejny odwyk. Lorraine wybrała łatwiejszy sposób i zmarła.

Kerri obejrzała się na dom i dostrzegła matkę obserwującą ją z okna sypialni. Ona tylko czeka, żebyśmy

wszystkie wyzionęły ducha, i wtedy, wreszcie szczęśliwa, sama dokona żywota - pomyślała.

- Przyślę tu kogoś - zaproponował John, kiedy doszli do radiowozu. - Niech ma oko na dom, dopóki nie zamknę Cała.

- Będę ci wdzięczna. - Kerri słuchała, jak John przez komórkę wyłuszcza prośbę swemu zastępcy. Zawsze okazywał jej sporo troski - pomyślała, kiedy szeryf chował telefon do kieszeni. Podobała mu się we wszelkich wcieleniach: płaska i biuściasta, z wąskimi ustami i ze wstrzykniętym kolagenem, z masywnymi biodrami i odchudzona. I zawsze był dobrym, zaskakująco sprawnym kochankiem. Szkoda, że się w życiu mijali; ona wychodziła kolejno za trzech nieudaczników, w tym dwóch o imieniu Denny, a on wziął sobie za żonę tę jędzę Pauline. I podczas gdy ona przepędziła wszystkich trzech mężów, wiedziała, że pozornie odważny John Weber nigdy się nie zdobędzie na odejście od żony.

Czemu w ogóle nachodzą ją takie myśli? Od dawna nie byli kochankami. Nie myślała o nim w taki sposób nawet w tamten wieczór, gdy zastał ją przy komputerze, zatopioną w dwuznacznej pogawędce z dobrze prosperującym, choć nieco rozczarowanym życiem doktorem z Nowego Jorku. Wkrótce wymienili zdjęcia i numery telefonów, a potem spotkali się w Miami na pierwszej randce. Podczas drugiego spotkania doktor wyznał (jak wcześniej się tego domyślała matka), że jest żonaty. Ale tym razem Rose, zamiast suszyć jej głowę za kolejny bezsensowny związek bez przyszłości z żonatym mężczyzną, niespodziewanie zaczęła udzielać rad, jak ma chwycić doktora w swe akrylowe pazury, żeby dobrać się do słabizny. „Zrób mu taką laskę, o jakiej mu się nawet nie śniło” - wygłosiła tekst, który zdecydowanie nie przystoi matce. Po następnym namiętym spotkaniu doktor wyjawiał, że zamierza się przeprowadzić do Torrance. Pięć miesięcy po uruchomieniu przez niego nowej praktyki Rose nakazała córce zakończyć romans. „Jeszcze



jedna laska i go rzucasz, do diaska" - wyskandowała, rymując z zimnym uśmiechem niczym Johnnie Cochran rekapitulujący wyrok ławie przysięgłych na procesie O.J. Simpsona. Jeśli rękawiczka nie pasuje... Wydatne wargi Kerri jeszcze raz dokonały cudu, po czym ze łzami w oczach, zgodnie z radą matki, powiedziała mu adieu. I czekała. Sześć tygodni później Ian Crosbie odszedł od żony i zostawił rodzinę. Rose zapewniała córkę, że oświadczyzny są tylko kwestią czasu.

- Nie spotykasz się dziś wieczorem z doktorem Cros-biem? - zapytał John, jakby częściowo czytając w jej myślach.

- Dzisiaj nie - odparła Kerri, mając wrażenie, że w zmęczonych oczach szeryfa dostrzegła coś, o czym on wiedział, a ona nie. - Wiesz, nie jesteśmy zrośnięci biodrami. - Właściwie, co Ian robi? Nie podał powodu, dlaczego odwołuje spotkanie, poza tym, że miał ciężki dzień i chce się wcześniej położyć spać. Nawet myślała, żeby mu złożyć

niezapowiedzianą wizytę, lecz sama też nie lubiła być zaskakiwana. Takie niespodzianki miewają opłakane skutki. -1 co teraz zamierzasz? - zwróciła się do Johna, składając swe coraz bardziej podłe samopoczucie na karb przejść z nieproszonym gościem.

- Myślę, że pojedę złożyć wizytę Calowi Hamiltonowi.

- Sądysz, że wrócił do domu?

- Znajdę go, gdziekolwiek jest. - John wzruszył ramionami.

- Jak myślisz, co się stało z jego żoną?

- Za wcześnie wyrokować.

- Uciekła od niego?

- Możliwe.

Kerri pokręciła głową, dając tym wyraz wzbierającemu w niej rozżaleniu. Odkąd to John Weber jest taki powściągliwy? Jedną z tych rzeczy, które najbardziej u niego lubiła, była jego nieskomplikowana natura.

- Czy możliwe, że Delilah ma co do niego rację? - zaryzykowała, nie chcąc, żeby jeszcze odjeżdżał.

- Czy uważam, że jest seryjnym zabójcą?

- A uważasz?

- Chyba będę musiał się tego dowiedzieć. - Otworzył drzwi radiowożu, usiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

- John...

Okno zjechało za naciśnięciem guzika.

- Policjant będzie tu lada chwila. Na pewno nie chcesz, żebym cię zawiózł do szpitala?

- Nie. Nic mi nie jest. Znam dobrego doktora. John wrzucił bieg.

- Wracaj do domu i zamknij drzwi na klucz - polecił. - Nie otwieraj nikomu, dopóki się do ciebie nie odezwę.

- A jeżeli go nie znajdziesz?

- Wracaj do domu - powtórzył, wskazując na okno sypialni na piętrze. - Chyba nie chcesz, żeby matka dostała palpacji.

Kerri westchnęła w sposób, który zdawał się mówić: „Nie bądź tego taki pewien”. John się uśmiechnął, a ją wzięła chęć, żeby wspiąć się na palce i go pocałować, lecz się rozmyśliła. Rose niewątpliwie obserwowała ich każdy gest, a ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było sprowokowanie jej do jadowitych uwag. Matka znacznie mniej się czepiała Kerri, odkąd ta zaczęła się spotykać z Ianem. To prawda, bardziej zatruwała teraz życie wnuczce, lecz Delilah w przeciwieństwie do niej potrafiła puszczać złośliwe uwagi mimo uszu. Poza tym może te bezlitosne przytyki sprowokują dziewczynę do pomyślenia o nadwadze, o włosach, o wszystkim - spekulowała Kerri, wracając do domu. Czy ona nie ma ochoty na randki? Nie

chce znaleźć chłopaka? Nie kusi jej seks? Kerri przebiegł dreszcz.

Ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebowała, była o myśl o córce uprawiającej seks.

- Co szeryf powiedział? - zwróciła się do niej Delilah, gdy tylko przestąpiła próg.

- Policjant będzie pilnował domu, dopóki John nie znajdzie Cala. - Kerri zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku. - Bądź tak dobra i przynieś krzesło z kuchni - nakazała córce, która szybko spełniła polecenie. Kerri podparła kłamkę oparciem. - Na wszelki wypadek - oświadczyła, chociaż wątpiła, aby takie mizerne zabezpieczenie ochroniło je przed rozsierzonym Calem.

- Lubię szeryfa Webera, a ty? - wyznała Delilah.

- Oczywiście, że go lubię.

- Za to jego córka jest koszmarna.

- Podobna do matki - podsumowała Kerri, wchodząc do salonu i podnosząc lalki pozrzućane na podłogę przez Cala.

- Ja zrobię porządek, a ty sobie posiedź. - Delilah szybko pozbierała lalki i posadziła na swoich miejscach. - Zadzwonisz do doktora Crosbiego?

Kerri opadła na kanapę i spojrzała na zegarek.

- Zrobiło się trochę późno. Nie chcę go zbudzić.

- Nie jest aż tak późno i na pewno chciałby wiedzieć, co zaszło.

- Sama nie wiem. Mówił, że się chce wcześniej położyć.

- Mamo, jak rany! Kocha cię, nie?!

Czy aby na pewno? - zastanowiła się Kerri.

- Uważam, że powinnaś zadzwonić. Powiedz mu, co się stało. - Delilah podała jej telefon. Kerri się wahała. Czego się obawia?

- Chyba nie zamierzasz tu stać i podsłuchiwać, co? - spytała.

- Och! No nie. Jasne, że nie. - Córka prędko wyszła do kuchni.

Kerri odetchnęła głęboko i wybrała numer lana. Oczywiście, że chciałby wiedzieć, co się stało. I na pewno tak się tym zdenerwuje, że wsiądzie do samochodu i natychmiast przyjedzie

- mówiła sobie, gdy długi sygnał wybrzmiał po raz pierwszy, drugi i trzeci, zanim nastąpiło połączenie.

Połączyłeś się z mieszkaniem Iana Crosbiego - usłyszała znajomą wiadomość nagrany na sekretarce. Nie mogę w tej chwili odebrać telefonu, lecz jeśli zostawisz nazwisko i numer oraz nagrzesz krótką wiadomość, na pewno oddzwonię.

Rozłączyła się przed sygnałem do nagrywania i odłożyła telefon na poduszkę obok, tłumacząc sobie, iż jeśli Ian nie odbiera telefonu, niekoniecznie to oznacza, że nie ma go w domu. Mógł się położyć, tak jak mówił. Więc skąd ten niepokój? Czemu dręczy ją niepewność?

- Kerri?! - zawołała Rose z góry. - Kerri, co się dzieje?!

Odgarnęła przedłużone, platynowe włosy z pozbawionej zmarszczek twarzy, potarła skorygowaną brew i zamknęła „zrobione” oczy, a z powiększonych piersi wyrwało się ciężkie westchnienie i uciekło spomiędzy odętych warg:

- Nie wiem.

22

John pędził od Kerri, przekraczając dozwoloną prędkość przynajmniej o dwadzieścia mil na godzinę. Nie bał się o pieszych. Od czasu, gdy znaleziono ciało Liany, nikt nie ryzykował spacerów po zmierzchu. Poza tym musiał znaleźć się w bezpiecznej odległości od Kerri, żeby nie posunąć się do czegoś głupiego. Już sam jej zapach go upajał, nie mówiąc o sposobie, w jaki pochylała się nad otwartą szybą w drzwiach radiowozu, eksponując piersi, jakby to były dwie doniczki z kwiatami ustawione na parapecie. Podsuwała mu je niczym fantazyjne kanapki na srebrnej tacy. Przez chwilę naprawdę miał wrażenie, że próbuje go uwieść, dopóki nie wspomniała tego dupka, doktora Crosbiego. Na sam dźwięk tego nazwiska krew w żyłach ścięła mu się w lodowatą wodę. Znam dobrego lekarza - powiedziała.

Kusiło go, żeby opowiedzieć jej wszystko, czego dowiedział się o doktorku, lecz po namyśle nacisnął gaz i odjechał w ciemną noc. Prywatne życie Kerri Franklin to nie jego sprawa. Do niego należy ściganie osób łamiących prawo, a dzisiejszy postępek Cala Hamiltona zdecydowanie wykraczał poza zachowanie naganne i nosił wszelkie znamiona przestępstwa. Nie wolno demolować kobiecie domu, terroryzować jej rodziny i stosować fizycznej przemocy, domagając się informacji, których nie zna, tylko dlatego, że żona wreszcie ocknęła się z otepienia i odzyskawszy rozum, wzięła nogi za pas. Bo najprawdopodobniej taki był powód zniknięcia Fiony Hamilton. Od domu Cala Hamiltona dzieliło go zaledwie parę minut. Modlił się, żeby go tam zastać, bo nie chciał zmuszać swoich zastępców do szukania go po okolicy przez pół nocy. Miał też nadzieję, że ochłonął na tyle, aby trzeźwo ocenić swoją sytuację, i podda się bez dalszych ekscesów. Noc w areście niewątpliwie będzie stanowić nauczkę. Niewykluczone, że Kerri, chociaż w tej chwili wściekła, nie złoży skargi, o ile Cal ją przeprosi i obieca, że coś takiego więcej się nie powtórzy. Chyba że podejrzenie Delilah okaże się słuszne i Cal Hamilton rzeczywiście zaszlachtował żonę, a także Lianę Martin i - kto wie - może również Candy Abbot - pomyślał John, czując, jak tępy ból głowy zaczyna się nasilać w okolicy oczu. A to by oznaczało, że facet jest albo niepoczytalnym seryjnym zabójcą, albo bezwzględnym, wyrachowanym mordercą. Jakoś żadne z tych określeń do niego nie pasowało. Zgoda, Cal to arogancki bubek, ale nie jest szalony ani też szczególnie bystry. I chociaż -według Johna -wściekły czy pijany, a co bardziej prawdopodobne, w pijackim amoku, byłby zdolny zabić żonę, to nie wydawał się na tyle przebiegły, żeby dla kamuflażu jakiś czas później pojawić się u Kerri, aby o nią wypytywać. Na-

wet gdyby brak skrupułów nie powstrzymał go od zabicia kilku młodych, niewinnych kobiet jedynie po to, żeby odwrócić od siebie podejrzenia po śmierci żony, to według Johna był za głupi, aby uknuć taki plan.

Działanie z premedytacją wymagało żywej inteligencji i bujnej wyobraźni. A tych przymiotów Calowi zdecydowanie brakowało. John od lat miał do czynienia z przestępcami. Co prawda nigdy przedtem nie prowadził śledztwa w związku z serią zabójstw, ale miał pewność co do dwóch rzeczy: po pierwsze, większość przestępców nie odznaczała się wybitną inteligencją, a po drugie, żaden z nich nie wierzył, że zostanie schwytany.

Wiedział też, iż wszyscy zwyrodnialcy zazwyczaj bardzo sprytnie ukrywali zboczenia przed społecznością, w której funkcjonowali. Ileż to sprawozdań przeczytał, ile przypadków prześledził, ile naoglądał się spraw w wiadomościach telewizyjnych, gdzie zdruzgotani znajomi oraz sąsiedzi nie mogli uwierzyć, że wśród nich żył psychopata. Był taki spokojny i skromny. Nigdy nie przyszłoby nam do głowy, że mógłby zrobić coś takiego. Cal Hamilton zdecydowanie nie był ani spokojny, ani skromny. Co więcej, sprawiał takie wrażenie, jakby coś ukrywał, i w rezultacie można go było podejrzewać o wszystko. I chociaż to znana prawda, że często mordercą okazuje się osoba budząca najwięcej podejrzeń, John nie wierzył, aby potwierdziła się w przypadku brutalnego zabójstwa Liany Martin. To byłoby zbyt proste, a Johnowi nic w życiu łatwo nie przychodziło. Chociaż przydałaby się miła odmiana - pomyślał, skręcając w Old Country Road i zatrzymując radiowóz przed parterowym domem Cala Hamiltona.

Zazwyczaj ciemny budynek mienił się teraz światłami jak przysłowiowa choinka. Pomimo wiecznie opuszczonych żaluzji widać było, że w środku palą się wszystkie lampy. Na

podjeździe stały dwa samochody, a kilka innych zaparkowano wzdłuż ulicy. John rozpoznał białą furgonetkę, którą Tanya McGovern odjechała po wizycie u lekarza, a także starego, niebieskiego pontiaca Joeya Balfoura oraz czerwonego chevroleta, którym Ray Sutter wpakował się do rowu blisko miejsca, gdzie później odkryli zwłoki Liany. Co oni wszyscy tu robili?

- Szeryfie! - usłyszał cichy kobiecy głos, kiedy szedł ścieżką.

W pierwszej chwili pomyślał, że to Fiona Hamilton wróciła do domu i widząc tę całą iluminację oraz dom pełen ludzi, ukryła się w krzakach, żeby poczekać, aż się wszyscy rozejdą. Kiedy się obejrzał, zobaczył, że to nie żona Cala zmierza ku niemu na palcach, lecz jego sąsiadka Sandy Crosbie.

- Co się dzieje? - spytała, zakładając za uszy włosy sięgające podbródka. Spod długiego szlafroka z różowej bawełny wystawała żółta piżama. - Znalazł pan Fionę?

John zaprzeczył ruchem głowy.

- Mogę wiedzieć, skąd pani wie, że zaginęła?

- Żartuje pan? Cał wpadł tutaj jak burza jakąś godzinę temu, pytając, czy ją widzieliśmy. Powiedziałam mu, że Delilah Franklin zajrzała do nas wczoraj i zadała dokładnie to samo pytanie, i wtedy gdzieś poleciał.

Oczywiście moje dzieciaki natychmiast weszły w Internet. Grupa ochotników już skrzykuje u niego ekipę poszukiwawczą. Wszyscy mówią o seryjnym zabójcy.

Jezu - westchnął w duchu John. Ekipa poszukiwawcza. W środku nocy.

- Proszę posłuchać. Zniknięcie Fiony wcale nie musi oznaczać jej śmierci. Są spore szanse, że postanowiła odejść.

- Naprawdę pan w to wierzy? Biedaczka jest taka zahukana.

Gdzieś w oddali zadzwonił telefon. Sandy odwróciła się w stronę, skąd dochodził dźwięk.

- Oj! To u mnie. Przez cały wieczór bez przerwy ktoś dzwoni. Wszyscy chcą wiedzieć, co się dzieje.

- Proszę mówić, że wszelkie spekulacje są przedwczesne i pozbawione podstaw. A teraz proszę mi wybaczyć... - John zostawił Sandy i podszedł do drzwi wejściowych domu Cala. Kilkakrotnie nacisnął przycisk dzwonka, a potem mocno zapukał.

- Do cholery, co się tu wyprawia? - warknął, gdy Greg Watt otworzył mu drzwi. Chłopak, od stóp do głowy w czerni, cofnął się pod ścianę, aby go przepuścić.

- Jest szeryf! - zameldował, nie odpowiadając na pytanie.

- Nareszcie! - odburknął Cal z salonu. - Chodź pan tu, szeryfie, i powiedz, jak zabierzemy się do szukania mojej żony.

- Nie będziemy jej szukać - odparł spokojnie John, mimo że na widok Grega Watta, Joeya Balfoura, Petera Arlingtona i Raya Suttera tworzących obronny krąg wokół Cala Hamiltona wzbierał w nim krzyk. Co tu robią ci wszyscy faceci? Wiedział, że byli stałymi gośćmi baru U Chestera oraz że Cal, Joey i Greg należeli do tamtej grupy poszukiwawczej, która odkryła zwłoki Liany. Może właśnie dlatego Hamilton skrzyknął ich do pomocy przy szukaniu żony, lecz zaraz... czy to Gordon Lipsman siedzi samotnie tam, w kącie?

- A pan co tu, do diabła, robi? - naskoczył na nauczyciela dramatu swej córki.

- Prowadziłem indywidualne próby szkolnego przedstawienia z Gregiem i Peterem, gdy zadzwonił Joey z wiadomością, że Fiona Hamilton zniknęła - wyjaśnił nauczyciel, prostując się, wyraźnie dotknięty. - Greg powiedział, że mają się tu spotkać, więc postanowiłem pójść z nimi. Na wypadek, gdyby przydała się pomoc.

- A ty? - John zwrócił się do Raya Suttera. - Przekonaj mnie, że znowu nie jechałeś po spożyciu.



Ray Sutter, czterdziestolatek z niechlujnym zarostem, popatrzył na niego spod obwisłych powiek. Miał pociągłą, zniszczoną twarz i rozczochrane brązowe włosy, które zawsze wyglądały tak, jakby dopiero wstał z łóżka lub zamierzał się do niego położyć.

- Dowiedziałem się o Fionie - tłumaczył nieco bełkotliwie, co obróciło wniwecz jego usilne starania, aby pokazać szeryfowi, jak bardzo te podejrzenia go obrażają. - Więc zajechałem, żeby zgłosić się do pomocy. John przeniósł spojrzenie na Petera Arlingtona.

- Zrozumiałe, że czuję się w obowiązku pomóc, jeśli zniknięcie pani Hamilton łączy się w jakikolwiek sposób z zabójstwem Liany - odezwał się, nie czekając na pytanie.

Wiódł ślepy kulawego - podsumował w myślach John, przywołując gestem ręki Cala Hamiltona.

- No dobrze. A ty pojedziesz ze mną na posterunek - oświadczył.

- Po co? Tu możemy rozmawiać.

- Jesteś aresztowany, Cal. - Co?!

- O czym pan mówi? - Joey Balfour odgarnął z czoła kosmyk przetłuszczonych, ciemnych włosów. John natychmiast zauważył małe rozcięcie nad lewym okiem i lekkie zasinienie przy ustach. - Aresztuje go pan, bo zniknęła żona? Pod jakim zarzutem?

Jeszcze parę dni temu bezczelne pytanie tego smarkatego punka mogłoby wyprowadzić Johna z równowagi. Ale dziś ta pełna tupetu postawa nastolatka jedynie bawiła, wydawała się wręcz komiczna.

- Napaść z użyciem przemocy fizycznej - warknął, patrząc, jak Joey cofa się o krok. - A właśnie, co się stało z twoją twarzą?

Joey uniósł rękę do podbródka.

- Wpadłem na drzwi - wyjaśnił kątem ust.

- Ta suka powiedziała, że ją napadłem? - postawił się Cal.

- Jaka suka? - podchwycił Gordon Lipsman, wyraźnie blednąc.

- Znalazł ją pan? - chciał wiedzieć Ray Sutter. John zignorował ich obu.

- Zaprzeczasz, że wtargnąłeś do domu Kerri Franklin i ją uderzyłeś? - zwrócił się do Cala.

- Rany, ledwo ją dotknąłem! A powiedziała, że ta jej walnięta córka groziła, iż mnie zastrzeli? Greg parsknął śmiechem.

John z niedowierzaniem pokręcił głową. Ten ubolewania godny wieczór stawał się surrealistyczny.

- Porozmawiamy o tym na posterunku, zgoda?

- Zgoda? Zgoda? - przedrzeźniał go Cal. - Oszalał pan, szeryfie? Moja żona zniknęła, a zabójca jest na wolności!

- Porozmawiamy na posterunku - powtórzył z naciskiem John.

- Nigdzie nie pojedę, dopóki się nie dowiem, co pan zamierza w sprawie mojej żony.

- Od jak dawna jej nie ma? - zapytał szeryf, starając się rozładować sytuację, zanim zabierze Cal'a do aresztu.

- Zadzwoiłem do niej z pracy. Nie odebrała. Wróciłem do domu. A jej nie było.

- Czyli mówisz, że była tu przed twoim wyjściem do pracy?

- Tak.

- Co oznacza, że nie ma jej zaledwie od kilku godzin. Może poszła do kina.

- Nie poszła.

- Wydajesz się okropnie pewny.

- Jestem pewny. - Wzburzony Cal Hamilton zaczął dreptać nerwowo po ograniczonej przestrzeni salonu. - Ona nienawidzi kina. Nie ma pieniędzy. Nie lubi tłumu.

- Może nie lubi też ciebie.

- Co pan sugeruje?

- Że musimy dokończyć tę rozmowę na posterunku.

- Nigdzie nie jadę.

- Nie masz wyboru. - John znacząco położył dłoń na kaburze pistoletu.

- Cholera! - zaklął Cal. - Kolejny pistolet.

- Szeryfie, da pan spokój - wtrącił Ray Sutter. - Gościu jest zdenerwowany. Niech go pan zrozumie.

John przypomniał sobie, jak bardzo Ray Sutter się denerwował tamtej nocy, gdy wjechał do rowu blisko miejsca, gdzie później natknęli się na zwłoki Liany. A teraz z kolei tu się przyplątał.

- Och, ja go dobrze rozumiem. Natomiast nie mam pojęcia, co wy tu jeszcze robicie. Mam ochotę was wszystkich przytknąć.

- Usiłujemy pomóc - odezwał się Gordon Lipsman.

- Jak leci ten sztopowy zwrot z show-biznesu? - zapytał uszczypliwie John. - Proszę do nas nie dzwonić, sami się odezwiemy?

Gordon Lipsman zrobił się blady jak ściana. Spuścił głowę i wbił wzrok w noski brązowych mokasynów.

- Słuchajcie, dziś niewiele można zrobić - tłumaczył szeryf. Niepotrzebne mu były kłopoty. Nie chciał wdawać się w awanturę z miejscowym pijakiem, paroma wyrostkami i mięczakowatym nauczycielem dramatu. A gdzie właściwie podziewa się jego wsparcie? W drodze zadzwonił po drugi radiowóz. Czemu tak długo go nie ma? - Ludzie, idźcie do domu. Wyśpijcie się porządnie. Jeżeli już chcecie coś zrobić, po drodze zajrzyjcie do centrum handlowego.

- Moja żona nie poszła do żadnego pieprzonego centrum. Mówię ci...

- A ja tobie mówię, że jesteś aresztowany. A teraz się odwróć i ręce na plecy - poinstruował go John, odpinając od paska kajdanki na znak, że mówi serio. Miał nadzieję, iż się bez tego obejdzie, jednak pewna demonstracja siły okazała się nieodzowna. - No, Cal. Nie utrudniaj sytuacji.

- Pieprz się! - zaklął Hamilton, odwracając się i wyciągając ramiona za siebie.

Dzięki Bogu - pomyślał John, zakładając kajdanki na grube przeguby Cala. Odnotował w pamięci, żeby sprawdzić, czy zadrapania na dłoniach powstały pod-

czas szarpaniny u Kerri, czy w jakichś bardziej ponurych okolicznościach.

- Czy to konieczne, szeryfie? - odezwał się Gordon Lipsman, w dalszym ciągu nie odrywając oczu od butów.

- Wracajcie do domu - powtórzył John, czekając, aż wszyscy wyjdą, zanim wyprowadził Cala na zewnątrz. Policyjny radiowóz zajechał dopiero wtedy, gdy ostatni samochód zniknął sprzed domu. Cholernie w porę - pomyślał John, podprowadzając aresztanta do krawężnika.

- Przeczytaj panu Hamiltonowi jego prawa i zabierz go na posterunek pod zarzutem czynnej napaści - powiedział do zastępcy.

- Pan nie jedzie? - zwrócił się do szeryfa Cal, gdy policjant wepchnął go na tylne siedzenie radiowozu.

- Myślę, że nam wszystkim przyda się trochę czasu, aby ochłonać i uspokoić nerwy - odparł John. - Zobaczymy się rano. Może do tego czasu pani Hamilton wróci do domu i wpłaci za ciebie kaucję.

- A jeśli nie?

- Oficjalnie uznamy ją za zaginioną i rozpoczniemy poszukiwania.

- Założę się, że nie byłby pan taki spokojny, gdyby to pańska żona zniknęła - podsumował Cal z tylnego siedzenia radiowozu, a szeryf może nawet by się uśmiechnął, gdyby Hamilton nie dokończył złowieszczo: - Albo córka.

- A co to ma znaczyć?

- Tylko tak sobie głośno myślę. - Aresztowany mężczyzna rozparł się na siedzeniu i zapatrzył w przednią szybę, nie wykazując ochoty do dalszej rozmowy.

- Przymknij go - polecił John policjantowi, podkreślając to głośnym puknięciem otwartą dłońią w dach samochodu.

- Masz prawo milczeć - usłyszał, jak mówi jego zastępca, wrzucając bieg.

- No, jasne, jasne - mruknął Cal lekceważąco.

John stał przez parę minut ze wzrokiem wbitym w chodnik, zastanawiając się, czy nie powinien pojechać na posterunek i przesłuchać Hamiltona. Wątpił jednak, czy dowiedziałby się dziś czegokolwiek, co miałyby jakieś znaczenie, więc uznał, iż prawdopodobnie rozsądniej będzie wrócić do domu i trochę się przespać. Jeżeli Fiona rzeczywiście zaginęła, czeka go ciężki dzień. Wieść o jej zniknięciu bardzo szybko dotrze do prasy i już wkrótce będzie mieć na karku reporterów z sąsiednich hrabstw, a burmistrz zacznie deptać mu po piętach, drwiąc z jego intuicji, oddania oraz umiejętności. Szeryf od prawie dwudziestu lat był na służbie, a takie dupki pokroju Seana Wilsona kwestionowały jego kompetencje. Może dlatego, iż sam w nie też nie bardzo wierzył. Doszedł teraz do wniosku, że jeśli rzeczywiście mają do czynienia z seryjnym zabójcą, a jemu uda się go złapać, nikt więcej nie będzie traktować go jak podstarzałego, otyłego szeryfa z zapyziałej południowej miejsciny. Czyż nie tak właśnie go postrzegano? Czy starczy mu siły, żeby odmienić ten wizerunek?

- Szeryfie?! - Kobiece wołanie zakłóciło nocną ciszę. Odwrócił się w stronę, skąd dochodził głos.

- Pani Crosbie?

- Proszę mi mówić Sandy. Usiłował zdobyć się na uśmiech.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Sandy?

- Wszystko w porządku?

- Na razie tak. Możliwe, że jutro poproszę cię o rozmowę.

- Oczywiście, jeśli tylko będę mogła jakoś pomóc. Szeryfie... - zaczęła, zanim zdążył się odwrócić.

-Tak?

- Ten telefon wcześniej...

- Tak?

- Był od Rity Hensen.

Szkolna pielęgniarka - skojarzył, oczyma duszy widząc tę drobną kobietę. To właśnie on trzy lata temu

zdjął sznur z szyi jej męża i wątpił, aby coś takiego jak widok ciała zwisającego z pręta prysznicza można było całkowicie wymazać z pamięci.

- Coś się stało?

- Hmm, sama nie wiem, czy powinnam o tym mówić...

- To znaczy: o czym?

- Nie chcę wpędzić Briana w kłopoty. To dobry chłopiec, bardzo wrażliwy. Jestem przekonana, że nic złego nie zrobił, ale przy tym wszystkim, co się teraz dzieje...

- Pani Crosbie... Sandy - poprawił się. - Co próbujesz mi powiedzieć?

- Rita dzwoniła. Jest bardzo zdenerwowana.

- Czy Brian coś zrobił?

To przypomina wyrywanie zęba - pomyślał. Tylko jest bardziej uciążliwe.

- No właśnie. Nie jest pewna. On jej nic nie powie.

- A dlaczego podejrzewa, że coś jest nie tak? Sandy ponownie się zawahała. A potem potok słów wylał się z niej jak woda ze szklanki.

- Hmm, od tamtego czuwania dla Liany bardzo zamknął się w sobie. Wyraźnie coś go nurtuje, ale nie chce o tym rozmawiać. Z początku Rita myślała, że ta cała historia obudziła wspomnienia związane ze śmiercią ojca. Zaczął źle sypiać. Nie kładzie się spać. Czasem wychodzi z domu w środku nocy.

- A co dzisiaj się stało? - spytał szeryf, domyślając się, że Rita zadzwoniła z jakiegoś bardziej konkretnego powodu.

- Brian wcześniej wyszedł z domu, nie opowiadając się, dokąd idzie. Nie było go ponad godzinę, a kiedy wrócił, skierował się prosto do łazienki. Rita słyszała, że bardzo długo leci woda, a gdy wreszcie stamtąd wyszedł, zobaczyła, że przeparał koszulę i...

-I...?

-I to ją zdziwiło, bo nigdy czegoś takiego nie robi, a potem zauważyła kilka czerwonych kropli na podłodze i poznała, że to krew.

- Jest tego pewna?
  - Oczywiście. Powiedziała, że jako pielęgniarzka wie, jak wygląda krew. Wspomniała też, że Brian ma siniaki na ramionach i podrapaną twarz.
  - Mógł się przewrócić. Wdać w bójkę. Wpaść na drzwi - spekulował John, przypominając sobie Joeya Balfoura. - Jest wiele sensownych wyjaśnień. Nie można pochopnie wyciągać wniosków. Mówiąc te słowa, zastanawiał się, czy to możliwe, aby Brian Hensen był zamieszany w zniknięcie Fiony Hamilton; że w jakiś sposób wywabił ją z domu i rzeczywiście zabił; że ten cichy, wrażliwy siedemnastolatek, którego ojciec trzy lata wcześniej popełnił samobójstwo, zamordował też Lianę Martin i Candy Abbot. Czy to możliwe?
  - To samo jej mówiłam - odezwała się Sandy. -Co?
  - Co ty powiedziałaś: że jest mnóstwo wyjaśnień i nie powinna wyciągać zbyt daleko idących wniosków.
  - A jak się Brian tłumaczył?
  - Wcale się nie tłumaczył. Gdy Rita go o to spytała, obrzucił ją stekiem epitetów i wybiegł z domu.
  - Domyśla się, dokąd mógł pójść? Sandy zaprzeczyła ruchem głowy.
  - Wziął samochód. A ona szaleje z niepokoju, bo prawdopodobnie mógł przedtem coś pić.
  - Cholera! - zaklął John. Ile razy tego wieczoru to przekleństwo padło z jego ust?
  - Nie wiedziałam, czy ci o tym mówić.
  - Słusznie postąpiłaś.
  - Nie chcę narobić Brianowi kłopotów.
  - Wygląda na to, że już je ma.
  - Co zamierzasz?
  - Poszukam go.
  - I co dalej?
- John pokręcił głową. Nienawidził tych rozmów kończących się pytaniem: I co dalej?

Prawie całą następną godzinę jeździł po bezładnej plątaninie ulic, jaką było Torrence. Tego, kto zaplanował to miasto, należałoby zastrzelić - pomyślał, wiedząc, że nigdy nie powstały żadne oficjalne plany i miasto jakby samo się tworzyło, biorąc początek od kilku rzadko rozrzuconych siedzib, po czym stopniowo się rozrastało, w miarę jak przybywało mieszkańców. Nikt nie pomyślał o nadaniu mu kształtu: po prostu „wylewało się” na wszystkie strony jak nadmiar ciała z uciskającego je elastycznego pasa. John wykonał kolejny, idealnie podzielony na trzy etapy zwrot na końcu jeszcze jednej ślepej ulicy, kręcąc głową, zakłopotany i jednocześnie zdziwiony własną nieudolnością. Przecież znał to miasto jak własną kieszeń. Ale zrobiło się późno, odczuwał znużenie, nie było ulicznych latarni, a oczy z trudem przywykały do ciemności przy bezgwiezdnym niebie. Jak można w tej sytuacji kogokolwiek odnaleźć?

Ironia losu - pomyślał. Zaczął ten wieczór od poszukiwania jednego człowieka, a kończy na uganianiu się za drugim. Tym pierwszym był Cal Hamilton, brutal i cham, kaban bez rozumu, a drugim inteligentny, cichy i wrażliwy Brian Hensen. Czy możliwy jest większy kontrast? I czy istotnie coś ich łączy? Czy syn szkolnej pielęgniarki mógł być w jakikolwiek sposób zamieszany w zniknięcie Fiony Hamilton, a może także w zabójstwo Liany Martin? Boże, miał nadzieję, że nie. Wystarczy cierpienia na jedną rodzinę.

Kolejny raz wrócił myślami do tamtego popołudnia sprzed trzech lat, kiedy odebrał telefon i usłyszał bezbarwny głos czternastoletniego chłopca, który wzywał go do skromnego domu na Cherry Drive.

- Szeryfie Weber - mówił pozbawiony intonacji głos -tu Brian Hensen. Proszę, niech pan przyjedzie. Mój tata nie żyje. Nie potrafię go odciąć.



Twarz seniora Briana Hensena pod względem kształtu i układu kości była uderzająco podobna do twarzy syna. Tylko rysy syn miał delikatniejsze w porównaniu z ostrymi rysami ojca, włosy jaśniejsze, cerę bledszą, a niebieskie oczy bardziej w odcieniu akwamarynu. Trudno byłoby uznać te twarze za przystojne (obaj mieli zbyt szerokie nosy, a podbródki za słabo zarysowane), lecz niewątpliwie można by je określić jako przyzwoite. Czegoś w nich jednak brakowało - być może zdecydowania, które zastąpiło rozkojarzenie, odziedziczone po ojcu przez syna.

Brian Hensen senior całe życie cierpiał na depresję, której poddał się ostatecznie trzy lata temu, tak jak inni poddają się śmiertelnej chorobie. Naturalnie znaleźli się zarozumialcy, którzy okrzyknęli go tchórzem, twierdząc, że wybrał łatwiejszy sposób. Ale to choroba umysłowa pozbawiła Briana Hensena wyboru. Czy ludzie tak łatwo ferowaliby wyroki w przypadku kogoś, kto zmarł na zapalenie płuc - zastanawiał się John - lub uciekł przed wykańczającym cierpieniem przy chorobie nowotworowej? Ból pozostaje bólem - myślał, wypatrując na pustych poboczach czarnej hondy civic Briana.

Martwił się o chłopaka od tamtej chwili, gdy zobaczył, jak przyciśnięty do martwego ojca, z chudymi ramionami oplecionymi wokół muskularnych ud, próbował unieść ciało, aby odciążyć przerwane kręgi szyjne. „Nie potrafiłem go odciąć” - powtarzał bez końca, a porzucone nożyczki leżały w pobliżu na podłodze z białych kafelków. Rzeczywiście, nawet John wraz z zastępcą z trudem przecięli skręcone w powrót prześcieradło, z którego senior Hensen zrobił pętlę, a jeszcze trudniej było odwinąć tę pętlę spomiędzy posiniałych fałd na szyi. Skóra nabrała już niebieskawego odcienia, wokół ust pojawiła się purpurowa obwódka. Jeśli on, obeznany z widokiem i zapachem śmierci, ciągle miał przed oczami Briana Hensena wiszącego

bezwładnie na pręcie prysznic, to jak ten widok musiał podziałać na wrażliwego, wchodzącego w wiek dojrzewania chłopca, który, nie do końca jeszcze ukształtowany i niepewny siebie, próbował zrozumieć, kim jest i czego chce od życia? Czy w ogóle pragnął żyć? Może wraz z innymi genami odziedziczył po ojcu skłonności samobójcze? John wiedział, że depresja bywa czasem przekazywana z pokolenia na pokolenie, podobnie jak długość nóg czy kolor oczu, a skłonności samobójcze mogą się przenosić na podobieństwo

wietrznej ospy. Bał się, iż Brian może się targnąć na własne życie.

Natomiast do głowy by mu nie przyszło, że mógłby kogoś zabić.

Szeryf skręcił w prawo, a światła reflektorów wychwyciły jakiś podejrzany kształt pod dużym bananowcem na skraju drogi. Natychmiast zatrzymał radiowóz, wyjął latarkę ze schowka i wyskoczył z samochodu.

W nocy powietrze się ochłodziło, ale pozostało ciężkie od wilgoci.

Bardzo szybko nozdrza wypełnił mu słodkawy zapach marihuany.

Wciągnął go głęboko, czując przy tym przyjemny dreszczyk. Minęło dwadzieścia lat, odkąd po raz ostatni zapalił skręta. To wspomnienie wzruszyło go i dodało otuchy, gdy szedł z luźno zwisającymi rękami. Tu broń nie będzie potrzebna - pomyślał, zbliżając się do młodego człowieka siedzącego w wysokiej trawie pod drzewem. Z doświadczenia wiedział, że ludzie odurzeni marihuaną są znacznie łagodniejsi i mniej skorzy do gwałtownych zachowań niż ich zamroczeni alkoholem odpowiednicy.

- Victor! - odezwał się, spoglądając z góry na młodego człowieka, którego trupio blada twarz pozostawała widoczna bez dodatkowego oświetlenia.

- Szeryf - zareagował Drummond, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, żeby ukryć to, co robi. Patrząc przed siebie, zaciągał się własnoręcznie zwiniętym skrętem.

- Victorze, co tu robisz? Naturalnie oprócz tego, co oczywiste.

Chłopak pokręcił głową w zwolnionym tempie.

- Wszystko, co robię, jest oczywiste - odpowiedział po chwili.
- Wiesz, że to niezgodne z prawem - ostrzegł go szeryf, czując się jak totalny hipokryta. Najchętniej dołączyłby do chłopaka.
- Nikomu nie robię krzywdy.
- Z wyjątkiem samego siebie. Victor parsknął śmiechem.
- No nie, szeryfie! Naprawdę pan w to wierzy?
- To niezgodne z prawem.
- I co, aresztuje mnie pan?

John powiódł snopem światła po pobliskim terenie, zanim skierował go z powrotem na drogę.

- Gdzie masz samochód?
- Nie mam.
- Przyszedłeś tu z domu pieszo?
- To nie tak znowu daleko.
- Kilka mil.
- Ruch - zauważył Victor z szelmowskim uśmieszkiem - dobrze robi na serce.
- Wcale nie, jeśli zjedzą cię aligatory. - Szeryf jeszcze raz omiótł światłem z latarki pobliski teren.
- Spokojnie, szeryfie. Obronię pana.

Victor zaciągnął się kolejny raz. John zastanawiał się, czy nie kazać mu zgasić skreta, z którego został tylko niedopałek między palcami na ostatnie sztachnięcie. Chłopak powoli wciągał dym, przytrzymując go w płucach do chwili, kiedy musiał wypuścić powietrze.

- Pierwszy gatunek - wychrypiał.
- Co tu robisz sam? - Weber powrócił do zasadniczego pytania.
- Nic - padła odpowiedź, jakiej się z góry spodziewał. - Siedzę sobie i myślę. - O czym?
- O różnych rzeczach.
- Rodzice wiedzą, gdzie jesteś?

Victor parsknął śmiechem.

John pokiwał ze zrozumieniem głową. Z tego, co wiedział o rodzicach Victora Drummonda, raczej wątpliwe, aby interesowało ich, co robi syn, pod warunkiem, że nie zawraca im głowy.

- Widziałeś dziś wieczorem Briana Hensena? Chłopak zaprzeczył potrząśnięciem głowy. Kruczoczarne włosy opadły na kredowobiałe czoło.

- Briana? Nie. Dlaczego pan pyta?

- A Fionę Hamilton?

- Kogo?

John westchnął. Ta rozmowa nie miała sensu.

- Dobra, słuchaj. Podrzucę cię do domu.

- Zagrzebiecie. - Victor podniósł się z ziemi, otrzepując z trawy dżinsy na chudych pośladkach. Poszedł za Johnem do samochodu i zajął miejsce obok kierowcy.

- Jeszcze nigdy nie jechałem policyjnym radiowozem.

- Trudno to nazwać wydarzeniem życia.

- Szkoda szpanu, szeryfie. - Chłopak odchylił się na oparcie i przymknął powieki. - Szkoda szpanu, szeryfie - powtórzył, chichocząc dyszkantem. - Czy to aliteracja?

- Nie mam bladego pojęcia.

- Chyba jutro będę musiał zapytać o to psorkę Cros-bie.

John zjechał z pobocza i zawrócił, obierając kierunek na rozłożysty, wielopoziomowy dom Victora w sąsiedztwie centrum handlowego.

Chodziły pogłoski, że Wayne Drummond zbił fortunę na operacjach giełdowych w czasie, gdy inni tracili wszystko do ostatniego centa.

Szeptano się o transakcjach z wykorzystaniem poufnych informacji, ale nigdy nie postawiono mu konkretnych zarzutów. Ponieważ takie sprawy nie wchodziły w zakres obowiązków Johna i zupełnie się na nich nie znał, nie bardzo się tym interesował. Ale nie przepadał za Wayne'em ani za jego nadętą żoną Wendy. Wayne i Wendy - powtórzył w myślach. Czy to aliteracja?

- Jak rozumiem, byłeś blisko z Lianą Martin? - zagadnął chłopaka, kiedy zbliżali się do domu. Victor otworzył oczy i nie poruszając głową, zerknął na szeryfa.

- Byliśmy przyjaciółmi, już to panu mówiłem.

- Nie wspomniałeś, że byliście bliskimi przyjaciółmi.

- Bo nie byliśmy.

- Słyszałem co innego.

- To źle pan słyszał.

- Nie podkochiwałeś się w niej?

- Podkochują się małolaty.

- Taak? A ja słyszałem, że ona się w tobie durzyła. Victor wyprostował się i odwrócił do Johna.

- Naprawdę?

- Jej matka tak uważa.

Przez usta Drummonda przemknął nieznaczny uśmiech.

- Jej matka się myli. Liana miała chłopaka.

- Co o nim myślisz?

- O Peterze? Niewiele. Jest podejrzany?

- Wszyscy są podejrzani.

- Czyżby? Słyszałem, że ma murowane alibi.

- A Brian Hensen? - rzucił od niechcienia szeryf, starając się odzyskać kontrolę nad rozmową.

- Jest w porządku. Czemu pan mnie o niego wypytuje? Minęli centrum handlowe. John miał wrażenie, że

w głębi dużego parkingu na zapleczu dostrzegł czarną hondę civic.

Natychmiast zatrzymał radiowóz. Victor mieszkał na sąsiedniej ulicy.

- Trafisz do domu? - zapytał chłopaka.

- Jasne, szeryfie. - Victor wyskoczył z samochodu, a potem pochylił się i zajrzał do środka, a jego blada twarz w ciemnościach wyglądała jak księżyc w pełni. -Dzięki za podwiezienie!

- Czas spać - pożegnał go John, patrząc, jak skręca w swoją ulicę, po czym zawrócił samochód i podjechał pod wejście do centrum. Cały teren jaskrawo oświetlały wysokie latarnie ustawione w równych odstępach wzdłuż granicy parkingu. Normalnie zastawiony był samochodami, bo centrum stanowiło miejsce towarzyskich spotkań całego miasteczka. Ale zamknięto je godzinę temu i samochody, które jeszcze pozostały, były zaparkowane po drugiej stronie, przed kinem. Wyjątek stanowił jeden stojący samotnie, który mignął Johnowi w świetle wysokiej latarni. Mało brakowało, a przeoczyłby to auto, bo jadąc, dostrzegł je kątem oka. Teraz znowu go nie widział. Czyżby to było złudzenie? Podjeżdżał powoli, gotów już zrezygnować, gdy znowu je dojrzał. Ponieważ wydawało się puste, John zatrzymał radiowóz w pewnej odległości, wysiadł i zbliżał się ostrożnie z ręką na kaburze. Tym razem nie czuł łagodzącego obyczajnie zapachu marihuany. Nikt nie siedział za kierownicą, żadna para nie obściskowała się na tylnym siedzeniu. Nie dostrzegł niczego, spoglądając przez przednią szybę. Dopiero gdy zbliżył twarz do przyciemnionej bocznej szyby, zobaczył ciało wyciągnięte na przednim siedzeniu.

- Słodki Jezu! - mruknął, szarpiąc za klamkę. Ciało zerwało się do siadu z przeraźliwym krzykiem. John też krzyknął i wyciągnął z kabury rewolwer, celując w okno.

- Nie! - zawył chłopak. - Stop! Niech pan nie strzela! Szeryf potrzebował kilku sekund na ochłonięcie i wyrównanie oddechu.

- Otwórz te pieprzone drzwi! - rozkazał, kiedy odzyskał głos.

- Niech pan nie strzela! - powtórzył chłopiec, przesuwając się na fotelu i zwalniając blokadę. John jednym szarpnięciem otworzył drzwi, wyciągnął chłopaka i okręcił go w koło.

- Co tu robiłeś? - naskoczył na Briana, chowając pistolet do kabury.

- Spałem? - zapytał chłopak, jakby nie był tego pewny, jakby nie był już niczego pewny. Łzy spływały mu po

policzkach i kapały z podbródka. Ostry zapach uryny świadczył, że zmoczył się w spodnie.

- Nie pasuje ci łóżko w domu?

Brian Hensen otarł łzy z twarzy i przyglądał bujną jasnoblonde czuprynę.

- Matka pana przysłała? - zapytał potulnie.

- Martwi się o ciebie - odparł John, uchylając się od konkretnej odpowiedzi.

- Wszystko jest w porządku. - Spojrzał na swoje spodnie. - Było w

porządku - poprawił się. - Zanim śmiertelnie mnie pan wystraszył.

- Ty też mnie przestraszyłeś. Myślałem, że nie żyjesz.

Gdy Brian odwrócił się twarzą do światła, John zobaczył wspomniane przez Sandy Crosbie rozcięcie na czole i siniec przy ustach.

- Co ci się stało? - Nic.

- Nie mów mi, że nic. To jasne, że wdałeś się w bójkę.

- Nieistotne.

- Z kim?

- Z nikim.

- Słuchaj, Brian, przestań mi wciskać kit. Nie jestem twoją matką, tylko cholernym szeryfem. I uwierz mi, okłamywanie stróża prawa to nie najlepszy pomysł. A teraz mów, co się stało, bo inaczej wsadzę twój chudy tyłek do aresztu.

- Na jakiej podstawie?

- A na tej, że mogę sobie na to pozwolić - uśmiechnął się John.

- Dlaczego pan się uśmiecha?

- Bo już widzę, co z tobą zrobię, jeśli nie zaczniesz mówić. - Zawiesił głos, dając mu czas do namysłu. - Twoja matka mówiła, że spierałeś krew z koszuli.

- Niech moja matka lepiej się zajmie własnymi problemami.

- Ty jesteś jej problemem.
  - Nie jestem dzieckiem.
  - Więc przestań się zachowywać jak smarkacz.
  - Skaleczyłem się. Poleciała krew. A mama kiedyś mówiła, że plamy z krwi nie zejdą, jeśli się ich natychmiast nie spierze.
  - Brian, czyja to była krew?
  - Co? - Wydawał się szczerze zaskoczony. - O czym pan mówi? Moja.
  - Jak się skaleczyłeś?
  - Wpadłem na gałąź.
  - No, a Joey Balfour zderzył się ze ścianą - powiedział John, nagle kojarząc fakty. - Pobiłeś się dziś z nim, prawda?
  - Joey jest dupkiem.
  - Zgoda, jest. Przedstaw sytuację - zażądał John.
  - To znaczy?
  - Gdzie doszło do bójki?
  - Koło Pearson Park.
  - Co tam robiłeś?
  - Siedziałem sobie.
  - Sam?
  - Gadałem z chłopakami.
  - Nazwiska?
  - Co za różnica? To ludzie z mojej szkoły.
  - Prosiłem o coś - przypomniał mu John. Brian się zawahał.
  - Perry Falco. Bardzo często mamy razem zajęcia. -I... ?
  - I? - powtórzył Brian.
  - Powiedziałeś, że rozmawiałeś z chłopakami.
  - Nie znam ich nazwisk.
  - Mówiłeś, że są z twojej szkoły.
  - Jest duża. Nie znam wszystkich.
- Szeryf wiedział, że Brian kłamie, tylko nie rozumiał, dlaczego.  
Postanowił spróbować z innej beczki, a potem wrócić do sedna sprawy.
- No więc gdy stałeś z Perrym Falco i paroma innymi chłopakami, przechodził obok Joey.



Brian przytaknął skinieniem głowy.

- Był sam? -Tak.
  - Nie z Gregiem Wattem?
  - Nie.
  - Z której strony nadszedł? Brian wzruszył ramionami.
  - A jakie to ma znaczenie?
  - No dobrze. I co się wtedy stało?
  - Zaczepił mnie.
  - Co to znaczy? Uderzył cię?
  - Zaczął mnie przezywać.
  - Jak? - John mniej więcej się domyślał. Widział wiadomości w komputerze córki. Słyszał szeptane plotki.
  - Nazwał mnie pedałem - potwierdził jego przypuszczenia Brian.
  - I jak jeszcze? - sondował, wąpiąc, aby to już było wszystko.
  - Nijak. Nazwał mnie pedałem, a ja go uderzyłem. Wtedy on doskoczył do mnie i skatował. Normalka.
  - A co robili Perry Falco i reszta, kiedy się to działo?
  - Nic.
  - Tak stali i patrzyli, kiedy on cię bił?
  - Uciekli. To była moja wina - dodał szybko. - Ja zacząłem. Nie mieli powodu się wcinać.
  - Czterech przeciwko jednemu. Coś mi się wydaje, że to Joey Balfour powinien oberwać.
  - Mogę już wracać do domu?
  - Brian, dlaczego mnie okłamujesz?
  - Nie okłamuję.
  - Byłeś tylko z Perrym, prawda? - spytał łagodnie John. - Byliście we dwójkę, gdy Joey zaskoczył was w parku.
- Brian westchnął głęboko i przeniósł wzrok na betonową ścianę centrum.
- Tylko rozmawialiśmy - powiedział cicho. - A Joey nam wmawiał, że widział, jak się całowaliśmy. Próbo-

wałem go przekonać, ale to nic nie dało. W końcu powiedział, iż się nie dziwi, że mój tata popełnił samobójstwo, bo wolał być martwy niż mieć syna pedała. -Brian znowu głęboko wciągnął powietrze w płuca, wsysając je jak wodę przez słomkę. I jeszcze raz głośno odetchnął, jakby nadal brakowało mu tlenu. - Wtedy go uderzyłem.

- A Perry uciekł?

- Nie mam o to do niego pretensji. Joey pobiłby go zaraz po mnie. John westchnął ciężko.

- Widziałeś dziś jeszcze kogoś?

- Na przykład kogo?

- Fionę Hamilton.

- Kogo?

- Mniejsza o to.

- Mogę już jechać?

- Jeśli obiecasz, że udasz się prosto do domu.

- Obiecuję.

- I nigdzie już nie wychodź.

Brian skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca.

- Nie powie pan nikomu, co? O mnie i o Perrym w parku? My naprawdę tylko rozmawialiśmy, ale...

- Nie martw się.

- Bo to zupełnie co innego, jak takie rzeczy mówi Joey - ciągnął dalej Brian. - I tak mu nikt nie wierzy.

- Nikomu nie powiem - zapewnił go John. - A teraz wracaj do domu.

Prześpij się. I trzymaj się z dala od parku.

Szeryf patrzył, jak Brian wsiada do samochodu i odjeżdża. Potem sam też wsiadł do radiowozu i pojechał do domu.

24

- No już! Proszę o ciszę! - Gordon Lipsman zwrócił się do zgromadzonej obsady Kiss me, Kate, trzepocząc

wzniesionymi w górę dłońmi i celując wskazującymi palcami w sufit.

Megan zastanowiło, czy sygnalizuje im jakieś konkretne miejsce, ale z drugiej strony nie była aż tak ciekawa, żeby spojrzeć w górę.

Prawdopodobnie należało to zaliczyć do jeszcze jednego z afektowanych gestów z całej gamy pretensjonalnych póz i zachowań Lipsmana.

Wypinał pierś, wydymał usta, wznosił dłonie do sufitu. Czasem wirował po scenie, zataczając coraz mniejsze kółka, a czasem, stojąc przed podium, kiwał się w tył i w przód jak olbrzymi, biały nietoperz, po czym opadał na któryś z foteli z teatralnym oddechem.

Jeszcze wczoraj Megan usiłowała odkryć znaczenie tego wirowania i kiwania się. Dziś jej to w ogóle nie obchodziło. Pragnęła jedynie doczekać się końca próby, żeby móc wrócić do domu.

- Czy ktoś widział Grega? - spytał Lipsman, wykonując obrót na obcasach, jakby chłopak właśnie wszedł i czał się za jego plecami.

- Nie ma go - odezwała się Delilah, potwierdzając to, co było oczywiste.

- Co to znaczy: „nie ma go”? - Lipsman spojrział na zegarek. Dochodziła czwarta. - Nie przyszedł dziś do szkoły?

- Chyba nie - potwierdził ktoś.

- Nie widziałem go - odezwał się ktoś inny.

- Dzwonił do mnie dziś rano - oznajmiła Tanya McGovern. - Powiedział, że ojciec potrzebuje go w domu. - Posłała uśmiech Megan. Bezcelny i pełen satysfakcji. Wyraźnie mówił: Wiem coś, czego ty nie wiesz.

Megan ziewnęła ostentacyjnie, jakby dając do zrozumienia, że niewiele ją obchodzi, gdzie jest Greg i co robi. Ale prawda wyglądała inaczej i jak przypuszczała, wszyscy byli tego świadomi. Poniedziałek okazał się dla niej fatalny. Pierwszy dzień w klasie po sobotnim czuwaniu ku pamięci Liany. Była na ustach wszystkich. Dochodziły ją szepty na korytarzach, czuła na sobie spoj-

rzenia w holu, widziała słabo skrywane, pełne dezaprobaty kiwanie głowami. Nie miała wątpliwości, że za tym wszystkim stoi Tanya McGovern i że wszyscy mówią, iż zrobiła z siebie idiotkę. Zdradziła pamięć przyjaciółki, zadając się z chłopakiem innej bliskiej koleżanki, chociaż wcześniej Tanya słowem nie wspomniała, iż interesuje się Gregiem, a on sam ją z góry przekreślił jako zbyt łatwą. Tak więc w jedną noc straciła wszystko: ewentualnego chłopaka, tak zwane przyjaciółki, reputację i szacunek dla samej siebie. A jednocześnie nadal nie miała pojęcia, dlaczego. Nie mogła zrozumieć, co się właściwie stało. W jednej chwili Greg całował ją namiętnie, a w drugiej odszedł. Tak fatalnie się całowała? Zniechęciła go jej nieudolność i oczywisty brak wprawy? Okazała się zbyt łatwa? Uznał, że szkoda na nią zachodu? Przecież wiedziała, że był nią zainteresowany. Dlaczego odeszła mu ochota, w dodatku tak gwałtownie?

Przez cały poniedziałek jej nie zauważał. Posunął się nawet do tego, że podczas wczorajszej czytanej próby usiadł na drugim końcu rzędu. Dzisiaj mieli próbować dużą wspólną scenę i miała nadzieję, że to oczyści atmosferę między nimi. Nie chciała konfrontacji, lecz liczyła, że sobie to i owo wyjaśnią. Przeprosiłaby go, o ile zaszłaby taka potrzeba, choć nie bardzo wiedziała, za co. Co takiego zrobiła? W porządku, może czuwanie nie było najlepszą okazją do inicjowania romansu, ale inne pary też się migdały i nikt nie miał o to pretensji. Wczoraj wieczorem akurat wyglądała przez okno sypialni, gdy na ich ulicę zajechał biały furgon Grega, i na ułamek sekundy serce zamarło w nadziei, że może chce się z nią zobaczyć. Ale zaraz z przednich drzwi wyłonił się profesor Lipsman, a z tyłu wysiadł Peter Arlington i cała trójka pognała ścieżką do domu Cala Hamiltona, po paru sekundach znikając w środku. Samochód Joeya Balfoura stał już wtedy na podjeździe tuż za sportowym wozem Cala, potem przyjechał jeszcze poobijany Chevrolet, a za

nim radiowóz szeryfa. Po jakimś czasie wszyscy się rozjechali. Greg wyszedł z domu i nawet nie obejrzał się za siebie, wsiadając do furgonu. Pomiędzy dwunastą a drugą w nocy usuwała Grega z myśli, a ponieważ efekt był mizerny, pomiędzy drugą a czwartą układała różne sprytne odzywki i wymyślała sposoby na odzyskanie uwagi chłopaka.

Wyobrażała sobie jego odpowiedzi, od ciepłych i przyjaznych aż po obojętne i wręcz wrogie. Usiłowała przewidzieć wszelkie możliwe scenariusze. Jednego tylko nie wzięła pod uwagę: że nic się nie zdarzy. Nie przeszło jej przez myśl, że nie zjawi się w szkole. Nawet umyła głowę i włożyła nowy, czarny sweterek z głębokim wycięciem. „Nie za duży dekolt jak na szkołę?” - spytała matka.

Jak rozumieć nieobecność Grega? Czy rzeczywiście ojciec potrzebował go w domu? A może zrezygnował z roli i nie chciał już jako Petruccio poskramiać krnąbrnej Kate? A niech to -pomyślała. Przecież głównie ze względu na niego zgłosiła się na przesłuchanie. A teraz tkwi w szkolnym audytorium z bandą smarkaczy, którzy traktują ją jak morowe powietrze. Tylko jedna Delilah Franklin odnosi się do niej życzliwie, co jeszcze bardziej pogarsza sprawę. Może matka miała rację. Może czas przeprowadzić się z powrotem do Rochester. Najwyraźniej nie przynależy do Torrance. Czy w ogóle gdziekolwiek należy? Profesor Lipsman przytknął wskazujący palec prawej ręki do garbka nosa i poprawił okulary bez oprawek do czytania.

- No trudno. Chyba będziemy musieli próbować bez niego. - Skinieniem dłoni przywołał na scenę Amber i paru innych uczniów. - Tanyu, w tym czasie spróbuj się z nim skontaktować. Może ojciec go puści na kilka godzin.

- Zadzwoń do niego na komórkę - zaproponowała Tanya, odchodząc w głąb audytorium z Ginger Percbak u boku.

Kilka tygodni temu byłabym razem z nimi - stwierdziła smętnie Megan.

- Myślisz, że ojciec ma mu za złe, że gra w tej sztuce? - Delilah wśliznęła się na fotel obok Megan.

- Skąd mam wiedzieć? - odburknęła, patrząc prosto przed siebie.

- Przepraszam, sądziłam, że wy...

- Co: my?

- No wiesz.

- Nie wiem. A poza tym my: nie.

- Przepraszam - powtórzyła, obsuwając się niżej, prawie do leżącej pozycji. Megan niemal słyszała, jak fotel jęknął pod jej ciężarem. - Wydawało mi się...

- Więc niech ci się nie wydaje.

- Przepraszam - powtórzyła jeszcze raz. - Słyszałaś o Brianie Hensenie i Perrym Falco?

- A co miałam słyszeć?

- Joey przydybał ich wczoraj wieczorem w parku, jak się obściskiwali. Megan słyszała plotki, widziała kilka pikantnych wiadomości.

- Joey to świr.

- Nie musisz mi tego mówić.

- Więc dlaczego akurat ty rozsiewasz takie złośliwe plotki?

Zanim zadała to pytanie, wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Przecież Delilah nie różniła się od innych ludzi. Jak wszyscy lubiła plotki i chociaż raz nie ona była ich celem. O wiele przyjemniej jest identyfikować się ze zwycięzcą niż z ofiarą.

- Przepraszam.

- Rany, przestań wreszcie przeproszać!

- Przepraszam - wymamrotała Delilah.

I właśnie wtedy, gdy Megan, mając po dziurki w nosie tych wszystkich „przepraszam”, gotowa była zbierać się do domu, Delilah zapytała:

- Jak myślisz, co się stało z Fioną Hamilton?

Całe miasto mówiło o jej zniknięciu.

- Nie mam pojęcia.
- Dobrze ją znałaś? Megan potrząsnęła głową.
- Wcale.
- Mieszkała obok ciebie.
- No i co z tego? Prawie jej nie widywałam.
- Myślisz, że dopadł ją zabójca Liany?

Megan pokręciła głową. Wczoraj wieczorem podobną rozmowę odbyła z matką, tylko że to ona zadawała takie pytania jak teraz Delilah.

- Według mnie prawdopodobnie uciekła - zacytowała słowa matki.
- Obyś miała rację! - westchnęła Delilah.

Był wtorek, dochodziła czwarta po południu, a Fiona Hamilton nadal nie wracała. Mówiło się o wezwaniu FBI. Zaplanowano na jutro zorganizowane poszukiwania.

- Nie udało mi się z nim skontaktować - oznajmiła niespodziewanie Tanya, idąc przejściem między fotelami z Ginger drepczącą z tyłu jak piesek. - Nie odbiera komórki. - Obie dziewczyny usiadły w pobliżu Megan. - Nagrałam mu wiadomość.

Lipsman westchnął i zacmokał.

- Chór, proszę na scenę!

Delilah momentalnie zerwała się z miejsca.

- Boże, spójrz na tę krowę! - szepnęła Tanya na tyle głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli, gdy Delilah pokonywała kilka stopni na scenę.
- Raczej słonicę - zawtórowała jej Ginger.

Obie przeniosły wyzywające spojrzenie na Megan, jakby czekając, że też coś dołoży, aby w ten sposób zademonstrować, iż jest po ich stronie.

Czuła, że wystarczy parę złościwości, aby wkraść się w ich łaski, że Tanya daje jej szansę na powrót do ich grona. Mam okazję -myślała - żeby wszystko wyprostować. Zrekompensować im, że to ona, a nie Tanya czy Ginger, dostała rolę

Kate. Że trzyma się z Gregiem. Jakie to proste. Wystarczy wybrać jakieś odpowiednio nieciekawe zwierzę, powiedzieć coś w rodzaju: „Wygląda jak maciora!”. Zdecydowanie nie ma żadnych zobowiązań wobec Delilah tylko dlatego, że była dla niej miła. Albo że obie, tak samo odrzucone, kiedyś mogą zostać przyrodnimi siostrami. Już otwierała usta, żeby zakwiczeć, gdy w uszach zabrzmiała jej rada matki: „Jeśli nie możesz powiedzieć o kimś czegoś miłego, najlepiej nic nie mów”. A zaraz potem jeszcze jedna z jej życiowych mądrości: „Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe”. Megan zamknęła usta, Tanya i Ginger odwróciły się zawiedzione, a szansa na poprawę stosunków prysła równie szybko, jak się pojawiła. Megan podniosła się z fotela i szybkim krokiem ruszyła na koniec audytorium.

- Frajerka - usłyszała Tanyę.

- Megan, nie odchodź daleko! - zawołał za nią Lipsman, gdy wymknęła się z audytorium, kierując się do najbliższego wyjścia.

- Koniec próby? - usłyszała głos gdzieś za sobą.

Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, do kogo należy. Przystanąła i zanim odpowiedziała, policzyła w myślach do dziesięciu.

- Nie, dopiero się rozpoczęła.

- W takim razie dokąd się wybierasz? - zapytał Greg.

Megan nadal stała odwrócona do niego plecami. Bała się, że jeśli się obejrzy, popłacze się z radości, że przyszedł i że się do niej odzywa.

- Profesor Lipsman ćwiczy z chórem. Pomyślałam, że wyjdę na chwilę na powietrze.

- Dobry pomysł - powiedział Greg, zrównując się z nią.

Megan skupiła całą uwagę na miarowym oddychaniu. Usiłowała przypomnieć sobie to wszystko, co ułożyła w nocy, tamte błyskotliwe uwagi i riposty, lecz miała w głowie totalną pustkę. Postanowiła więc nic nie mówić i pozwolić Gregowi przejąć inicjatywę. Spojrza-



ła na niego dopiero wtedy, gdy wyszli na zewnątrz, i to wyłącznie dlatego, że wysunął się przed nią. Pomimo słońca, które świeciło jej prosto w oczy, dostrzegła podrapaną twarz i podbite oko w purpurowej obwódce z opuchniętą, opuszczoną powieką. Gdy się uśmiechnął, rozcięta warga niebezpiecznie pociągnęła kącik ust w bok.

- Boże, co ci się stało? - Połowa uczniów chodzi posiniaczona. Co się z nimi dzieje?

- Drobną różnicą zdań między ojcem i mną.

- O co poszło?

- Nie jest zachwycony moim wyborem zajęć pozalekcyjnych.

- Uderzył cię, bo nie chce, żebyś grał w szkolnym przedstawieniu?

- Musicale nie otwierają listy jego priorytetów.

- I dlatego cię pobił?

- Próbował.

- Wygląda na to, że mu się udało. Byłeś u lekarza? Greg lekceważącym wzruszeniem ramion zbagatelizował powagę obrażeń.

- Nic mi nie będzie.

Megan z całej siły starała się utrzymać ręce przy sobie. Pragnęła pogłodzić go po obolałych miejscach, pokryć delikatnymi pocałunkami policzek.

- Nie do wiary, że tak cię potraktował.

- Nie pierwszy raz.

- Mówiłeś o tym komuś?

- Mówię tobie.

Dziwnie jej pochlebiało to wyznanie, chociaż pojawiła się wątpliwość, co by było, gdyby akurat nie natknął się na nią. Czy wtedy zwierzyłyby się Tanyi?

- Miałam na myśli kogoś w rodzaju szeryfa.

- Nie uważasz, że szeryf i bez tego ma pełne ręce roboty?

- A może zadzwonię do ojca? Na pewno przyjąłby cię poza kolejką.
  - A może byśmy tak usiedli i chwilę porozmawiali? To najlepsze lekarstwo, jakiego mi trzeba.
- Greg ujął ją pod łokieć i poprowadził pod wysoką palmę, która rosła na spłachetku trawnika w odległości jakichś trzydziestu jardów od szkoły. Usiedli na wilgotnej ziemi, a chłopak cały czas trzymał ją za ramię.
- O czym chcesz rozmawiać? - indagowała z nutą czujności w głosie. A tak naprawdę miała ochotę zapytać wprost: „Do diabła, co jest? Skąd ta nagła potrzeba rozmowy? Dlaczego zostawiłeś mnie w parku?”.
  - Sam nie wiem - wyznał z uśmiechem.
  - Widziałam cię wczoraj wieczorem. -Tak?
  - U pana Hamiltona. Pokiwał głową.
  - Przeraza to zniknięcie jego żony.
- Megan nie miała ochoty rozmawiać o Fionie.
- Co ty i Peter robiliście z Lipsmanem?
  - Ćwiczyliśmy piosenkę u niego w domu.
  - Naprawdę? Jak tam jest?
  - Trochę dziwnie. Mieszka w tym starym dużym domu, który dzielił z matką, nadal trzyma mnóstwo jej rzeczy, nie mówiąc już o tysiącach kotów.
  - Tysiącach?!
  - No, może dziesięciu - uśmiechnął się Greg i jednocześnie skrzywił z bólu.
  - Boli, kiedy się uśmiechasz?
  - Staruszek potrafi nieźle przyłożyć.
  - Szkoda, że nie chcesz, aby mój ojciec cię obejrzał.
  - Mam lepszy pomysł.
  - To znaczy?
  - Mogłabyś mnie pocałować i zaraz przestanie boleć. Wstrzymała oddech.
  - Moja mama tak robiła, kiedy byłem mały - dodał zmieszany.
- Megan nie zareagowała. Co to za gierki? Ukartował to razem z Tanya?  
Pocałuj ją, porzuć, nie odzywaj się do

niej przez cztery dni, a potem sprawdź, czy będzie na tyle głupia, żeby znowu się dać pocałować. No i czy chwilę wcześniej, zanim zostawił ją w parku samą, nie rozmawiali właśnie o jego matce?

- Co jest grane?! - usłyszała swój uniesiony głos.

- O co ci chodzi?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi - rzuciła, nie mogąc już powstrzymać potoku słów, nagle cisnących się na usta. - Nie odezwałeś się słowem od czuwania, a teraz zjawiasz się ni z tego, ni z owego słodki i ujmujący. Słodki i ujmujący - powtórzyła w myślach. Słodki i ujmujący? Skąd wytrzasnęła ten przestarzały zwrot?

- Słodki i ujmujący? - powtórzył za nią, uśmiechając się mimo bólu.

- Zostawiłeś mnie w parku i poczułam się jak kompletna idiotka.

- Wiem - przyznał po chwili.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Nie wiem.

- Co to znaczy: nie wiesz? W jednej chwili wszystko jest cacy, a w drugiej się do mnie nie odzywasz?

- Bo jestem debilem. Chyba mój tata ma rację.

- O nie! - Megan potrząsnęła głową. - Tak łatwo się nie wymigasz.

Po tych słowach zapanowała długa cisza i Megan już się zdawało, że wszystko zepsuła, a Greg za chwilę wstanie i odejdzie. Jak ma wtedy postąpić? Pobiec za nim? A może uznać, że dobrze się stało, i pozwolić mu odejść?

- Wystraszyłaś mnie - wyznał nieoczekiwanie.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie.

- Jak cię wystraszyłam? Co takiego zrobiłam?

- Raczej czego nie zrobiłaś.

- A czego nie zrobiłam?

- Nie potraktowałaś mnie jak bezmózgiego palanta, który nie odróżnia własnej dupy od dziury w ziemi.

- Bo nie jesteś taki.
  - I właśnie o to chodzi.
  - Nie nadążam.
  - Dokładnie tego się boję.
  - Czyli?
  - Że nie nadążę za tobą i cię utracę. Megan kręciło się w głowie.
  - O czym ty mówisz? Przecież to ty odszedłeś.
  - Atak wyprzedzający. Tak to się chyba nazywa.
  - Bałeś się, że cię zostawię, i dlatego wolałeś odejść pierwszy? Czy to właśnie starasz się mi powiedzieć?
  - Głupie, nie?
  - Szczyt tchórzostwa. Nawet nie dałeś mi szansy.
  - Uważaj się za szczęściarę.
  - Czemu?
  - Bo zamierzałem cię przelecieć.
  - Co?! - Nikt dotąd o tym z nią nie rozmawiał. Poczula się dorosła.
  - Słyszałaś. Planowałem to od tamtego popołudnia w audytorium. Uznałem, że czas cię przelecieć.
- Megan chciała się poczuć urażona, lecz tak naprawdę te słowa jej pochlebiały. I podniecały.
- Więc co cię powstrzymało? - spytała.
  - Ty. To, jak mnie odstawiłaś, mówiąc, że powinniśmy zwolnić i lepiej się poznać. A potem tak jakoś sprawiłaś, że zacząłem mówić o matce i takich różnych pierdołach, o których z nikim nie rozmawiam. Zmusiłaś mnie do myślenia. - Błysnął zębami w uśmiechu. - A ja nie lubię myśleć. Nie mam takiego zwyczaju.
- Megan też się uśmiechnęła, lecz szybko zacisnęła usta, robiąc obrażoną minę.
- I wtedy wystartowałaś do Tanyi.
  - Do Tanyi? W życiu! Tylko się kolegujemy. Bogu dzięki - pomyślała.
  - Czy ona jest tego świadoma? - spytała.
  - Tak. Zatruiła ci życie, bo jest zła, że dostałaś rolę Kate.

Co dalej? - zastanawiała się Megan, przysuwając się bliżej do Grega.

- Naprawdę chciałeś mnie przelecieć?

- Wierz mi. Taki miałem plan.

- A jak dokładnie miałeś zamiar to zrobić?

Usta Grega wygięły się w szelmowskim uśmiechu, grożąc otwarciem się rany na dolnej wardze.

- Na początek zamierzałem dotknąć cię tutaj. - Powiódł opuszkami palców po jej szyi. Megan poczuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

- A potem miałem pocałować kącik ust, o tak. - Pochylił się nad nią i delikatnie dotknął wargami jej ust.

Teraz mrowienie zawróciło ku piersiom.

- A później tu - kontynuował, całując najpierw jedną powiekę, a potem drugą. - I tu - dodał, sunąc wargami ku ustom i tym razem całując bardziej zdecydowanie.

- Ostrożnie - upomniała go, wyczuwając zgrubienie przy rozcięciu na wardze. - Skaleczenie.

- Już mi lepiej.

Megan słyszała swój urywany oddech.

- A co potem zamierzałeś?

Greg odchylił się, rysując palcem na jej skórze linię od podbródka po koniec dekoltu sweterka.

- Zajrzeć głęboko w te duże, ufne oczy i zaproponować, żebyśmy się stamtąd zmyli.

- Myślisz, że bym poszła?

- Sama mi powiedz.

- Megan! - usłyszała wołanie. - Co tam robisz? Podskoczyła na dźwięk głosu matki. Obejrzała się

niechętnie i zobaczyła, że idzie ku nim, przecinając chodnik przed kontenerem, więc czym prędzej zerwała się na równe nogi.

- Dobry wieczór, profesor Crosbie! - pozdrowił ją Greg, prostując się i otrzepując żdźbła trawy z dzinsów. - Tak późno w pracy?

- Musiałam przygotować parę rzeczy na jutro. A wy?
- Ćwiczyliśmy dialog - oznajmiła Megan.
- Ze sztuki - dodał Greg.
- Co się stało z twoją twarzą? - Sandy zwróciła się do chłopaka.
- Nic takiego - odparł zdawkowo.
- Powinniśmy wracać do auli - stwierdziła Megan. Matka powiodła po nich spojrzeniem.
- To chyba dobry pomysł.

25

Muszą mnie uważać za kompletną idiotkę - pomyślała Sandy, patrząc, jak Megan z Gregiem znikają za ciężkimi drzwiami bocznego wejścia do szkoły. Ćwiczyliśmy dialog. Ze sztuki.

Dialog, możliwe - zgodziła się w duchu. Ale ze sztuki, jasna d... pupa! Greg Watt! Rany boskie, co jej córka sobie myśli?! O ile w ogóle myśli - co jest raczej problematyczne. Co prawda Sandy nie ma prawa kwestionować zdrowego rozsądku córki ani też wątpliwego gustu, jeśli chodzi o rodzaj męski, skoro jej własne niedawne zachowanie było zdecydowanie podejrzane. Pomyślała o kompromitacji przy Willu Bakerze, cierpiąc na wspomnienie tamtego okropnego wieczoru. Chryste Panie, wsiadła do samochodu nieznajomego mężczyzny! Poszła do jego mieszkania! Niefrasobliwość Megan usprawiedliwia przynajmniej jej wiek - ma siedemnaście lat. Wiadomo, że nastolatki robią głupstwa, bo kiedy też w życiu niosącym tyle komplikacji można sobie pozwolić na taki luksus? Nie mówiąc już o tym, że brutalna śmierć przyjaciółki zachwiała podświadomą wiarę Megan w jej nieśmiertelność. Naturalne, że musi to jakoś odreagować.

Ale ona, Sandy, zbliża się do czterdziestki, co kwalifikuje ją jako kobietę w średnim wieku. (Boże jedyny, jest kobietą w średnim wieku!). A to oznacza, że nie może się zasłaniać brakiem doświadczenia czy młodzieńczą naiwnością. To ostatnie już nie dodaje jej uroku. A biorąc pod uwagę jej własne doświadczenia w sferze relacji damsko-męskich, jak może udzielać jakichkolwiek rad? A więc to chyba nie najlepszy moment na kolejną rozmowę

matki z córką. Megan ją zapewniła, że nie zaczęła współżyć. Musi trzymać język za zębami i wystrzegać się komentarzy, dopóki córka nie zapyta jej o zdanie, i nawet wtedy powinna zachować dla siebie opinię na temat Grega. Wiedziała, że nic bardziej nie zaostrzy apetytu zbuntowanej nastolatki niż dezaprobata matki.

W końcu nie jest aż tak negatywnie nastawiona do Grega. Fakt, trudno go uznać za intelektualistę, ale też nie jest głupi. Pod maską agresywnego twardziela ukrywa się wrażliwa natura o dużej wyobraźni, obdarzona twórczym talentem. Poza tym inteligencja wcale nie musi iść w parze z przyzwoitością i mieszanie tych dwóch pojęć jest błędem, łanowi na pewno nie można odmówić inteligencji. I, proszę bardzo, jak na tym wyszła? Sandy odczekała jeszcze parę minut, zanim weszła do głównego budynku. Mijając zamknięte drzwi audytorium, zastanawiała się, jak długo trwa flirt jej córki z Gregiem Wattem i czy jej wczesny powrót z parku w wieczór czuwania łączy się jakoś z jego osobą. Wspomnienie Liany przywołało myśl o jej śmierci, a ta z kolei - refleksje na temat Grega. Oboje należeli do tego samego kręgu przyjaciół. Wszyscy widywali ich razem. W dodatku Greg był w tej grupie poszukiwawczej, która natrafiła na ciało Liany. Poza tym wczoraj wieczorem po tajemniczym zniknięciu Fiony przyjechał do domu Cala Hamiltona. Na pewno ma tyle siły, aby w obu przypadkach pokonać niczego niepodejrze-

wającą kobietę, nawet gdyby stawiała opór. A właśnie: skąd się wzięły te sińce i zadrapania na twarzy? Sandy stanęła jak wryta. O czym ona myśli? Naprawdę wierzy, że Greg jest zdolny do popełnienia zabójstwa?

- To chore - mruknęła. - Jesteś śmieszna.

- Moja matka zwykła powtarzać, że kiedy ma ochotę porozmawiać z kimś na poziomie, mówi sama do siebie - usłyszała głos za plecami.

Odwróciła się powoli.

- Pan Fromm! - przywitała tyczkowatego dyrektora szkoły.

Dobiegał pięćdziesiątki, miał dobrze ponad sześć stóp wzrostu, a chodząc, przerzucał ciężar ciała na palce, przez co zawsze wyglądał tak, jakby lada chwila miał się przewrócić. Według Sandy była to prawdopodobnie pamiątka po młodych latach spędzonych na surfowaniu po różnych oceanach w poszukiwaniu idealnych fal. Bujna, wypłowiała od słońca czupryna dodatkowo podkreślała ten wizerunek zagorzałego maniaka surfingu, podobnie jak hawajskie koszule w typie tej w kwieciste wzory we wściekłych odcieniach czerwieni i pomarań-czu, którą akurat miał na sobie. Sandy nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała go w marynarce i pod krawatem.

- Jak się pan ma?

- Świetnie. A pani?

- Nieźle. Dziękuję.

- Nieźle? - powtórzył, nadając temu słowu zupełnie inny wyraz. -

Rozumiem, że ostatnio nie było pani łatwo.

- Cóż, nikt z nas nie może uznać tego okresu za najłatwiejszy.

- Szczerza prawda. Okropna sprawa - dodał, rozglądając się na boki, jakby w obawie, że może go zrzucić z deski jakaś niespodziewana fala. - W każdym razie gdyby pani czegoś potrzebowała...

- Dziękuję. - Sandy dostrzegła przelotny wyraz paniki w sennych, szarych oczach pryncypała, jakby nagle



zdał sobie sprawę, że może poważnie potraktować jego ofertę.

- No dobrze, a zatem, cóż... - powiedział jeszcze, oddalając się, jakby niesiony prądem. Sandy podjęła na nowo wędrówkę korytarzem, kierując się do gabinetu Rity. Chciała zapytać o Briana, bo nie pojawił się rano na lekcji angielskiego. Ale kiedy tam dotarła, znalazła zamknięte drzwi, a w gabinecie nie paliło się światło. Rita musiała już pójść do domu. Nie rozmawiały ze sobą przez cały dzień - pomyślała -dziwna sprawa, szczególnie biorąc pod uwagę jej wczorajszy dramatyczny telefon. Może czuje się zakłopotana. A może się domyśliła, że to ona zawiadomiła szeryfa, i teraz jest na nią zła. A może jeszcze się dąsa za sobotni wieczór. Sandy postanowiła, że później do niej zadzwoni, a może nawet zajrzy po drodze do domu.

Ruszyła z powrotem korytarzem, zerkając na mijane audytorium. Była niemal przy wyjściu, gdy usłyszała odgłos otwieranych drzwi i zbliżający się tupot nóg. Spojrzała za siebie i zobaczyła Delilah Franklin, biegnącą ku niej z zaskakującą gracją.

- Dobry wieczór, profesor Crosbie!

- Delilah! - odezwała się Sandy, gdy dziewczyna ją dogoniła. - Coś się stało?

- Nie. Profesor Lipsman właśnie zauważył, że zostawił w domu jakie ważne nuty, których na gwałt potrzebuje, no to się zgłosiłam, że je przyniosę. - Pomachała kluczem do jego domu.

- Mieszka gdzieś blisko?

- Kawałek stąd, przy Admirals Road.

- Admirals Road? - Sandy bezskutecznie usiłowała umiejscowić tę ulicę. - To musi być chyba dość daleko.

- No, dosyć.

- Przyjechałaś samochodem? Delilah pokręciła głową.

- To auto mamy, dzisiaj go potrzebuje.

Sandy uważała, żeby nie okazać skrępowania na wzmiankę o matce Delilah. Coraz lepiej mi to wychodzi - pomyślała, czując śmiech czający się w kąciку ust.

- Poza tym moja babcia twierdzi, że potrzeba mi dużo ruchu.

- Jeśli chcesz, mogę cię podwieźć - zaproponowała Sandy, zastanawiając się, co też strzeliło jej do głowy. Uprzejmość to jedna sprawa. Zupełnie inną jest głupota. Zgoda, jako nauczycielka Delilah była - do pewnego stopnia - zobowiązana okazać troskę. Ale czy naprawdę musi nadkładać drogi z uprzejmości dla córki kobiety, która ukradła jej męża? Czyżby liczyła na to, że do łana dotrze wiadomość o jej wspaniałomyślnym geście, zobaczy żonę w nowym, lepszym świetle i postanowi wrócić? A może zwyczajnie nie miała ochoty znaleźć się już w pustym domu?

W sensie dosłownym dom nie jest pusty. Będzie tam Tim. Ale prawdopodobnie siedzi zamknięty w swoim pokoju z komputerem i z grami wideo, a więc stanowi dla niej kiepskie towarzystwo. A Megan po powrocie z próby zapewne będzie jej unikać, nie wykazując chęci do rozmowy, szczególnie jeśli mogłaby zboczyć na Grega Watta. Sandy przypuszczała, że nawet Rita nie byłaby zachwycona, gdyby wpadła do niej bez zapowiedzi. Tak więc chociaż na kilka minut obroni się przed samotnością, służąc Delilah za szofera.

- Cudownie! - ucieszyła się dziewczyna. - Na pewno nie pokrzyżuję pani planów?

Sandy wzruszyła ramionami, zmierzając do białej toyoty camry na parkingu dla nauczycieli.

- Och, jaki ładny samochód! - pochwaliła Delilah, naciągając pas w poprzek piersi.

- Robi się trochę wiekowy - powiedziała Sandy. Gdy łan odchodził, zabrał srebrnego jaguara. Nie protestowała. Cholerne pudło więcej przebywało w warsztacie niż na drodze. - Ale jeździ bez zarzutu. To dobry samo-

chód - dokończyła, myśląc, że mogłaby użyć tych samych słów w odniesieniu do siebie.

- Bardzo wygodny.

- Cała ja - mruknęła Sandy, wyjeżdżając z parkingu na ulicę.

- Słucham?

- Czy ja - poprawiła się szybko - wiem, jak tam dojechać?

- Za narożnikiem trzeba skręcić w prawo - powiedziała dziewczyna. - A potem prosto aż do Citrus Grove. I wtedy znowu w prawo.

Sandy jechała zgodnie z instrukcjami, a gdy znalazły się na biegnącej w kierunku zachodnim New School Road, nie zatrzymując samochodu, wygrzebała z torebki duże słoneczne okulary. Pomimo godziny szczytu ruch na drodze był niewielki.

- Gorąco dzisiaj - zauważyła, widząc w pogodzie bezpieczny temat.

- Ociepliło się - zgodziła się Delilah. - Ja tam wolę, jak jest chłodniej.

- Taak? Ja też. - Nawet nie spoglądając w bok, widziała, jak na okrągłej twarzy Delilah wykwita szeroki uśmiech, jakby obdarzyła ją

największym z komplementów. - Ładnie dziś wyglądasz - rzuciła, obserwując, jak ten uśmiech rozciąga się od ucha do ucha. Nie do końca prawda, ale też nie całkiem kłamstwo. Tak naprawdę Delilah wyglądała przyzwoicie. Ni mniej, ni więcej. Miała na sobie białą, koszulową bluzkę i luźne džinsy, a starannie uczesane włosy podtrzymywały po bokach spinki. Była bez makijażu, miała ładną cerę i błyszczące oczy.

- Mogę pani coś powiedzieć? - zapytała dziewczyna i przeszła do sedna, zanim Sandy zdążyła otworzyć usta. - Jestem na diecie. - Przewróciła oczami, jakby zażenowana tym wyznaniem. - Mama kupiła mi taki naprawdę ładny sweterek, ale jest trochę za mały i postanowiłam schudnąć, żeby się w niego zmieścić.

- Godne pochwały. Tylko nie przesadź. Podobno nie powinno się tracić więcej niż dwa funty tygodniowo.
- Naprawdę? To nie tak dużo.
- Nie. Ale powoli się zbiera. Przy dwóch funtach na tydzień w niecały rok masz o sto mniej. Oczywiście ty nie musisz aż tyle zgubić.
- Myślałam, żeby zrzucić jakieś dwadzieścia pięć. Proszę jechać prosto - dodała, widząc, że Sandy zawahała się na światłach.
- To aż za dużo.
- Dwa funty na tydzień. A więc potrzebuję tylko trzech miesięcy.
- Dokładnie. I masz o wiele większe szanse utrzymać wagę, jeśli będziesz chudnąć powoli.
- Pani nigdy nie miała problemów z wagą, prawda?
- Nie - przyznała Sandy. - Jednak nigdy nie satysfakcjonował mnie mój wygląd. Jako nastolatka byłam straszliwie chuda i zawsze chciałam mieć większe piersi.
- Och, zawsze można je kupić. - Delilah powiedziała to tak oczywistym tonem, że Sandy parsknęła śmiechem. - Zdaje się, że następna przecznica to Citrus Grove.
- A co mamy dalej? - spytała Sandy, woląc się upewnić, czy nie jedzie za szybko.
- Po mniej więcej pół mili trzeba skręcić w lewo.
- Kawał drogi jak na spacer.
- Babcia mówi, że powinnam dużo chodzić.
- Widzę, że nieźle znasz okolicę.
- Mieszkam tu od urodzenia - przypomniała jej dziewczyna.
- Lubisz to miejsce?
- Jest w porządku. Ale kiedyś chciałabym się przeprowadzić do Kalifornii.
- Taak? A co takiego jest w Kalifornii?
- Gwiazdy filmowe - wyjaśniła Delilah z dziewczęcym chichotem.

- Lubisz chodzić do kina?

- Tak. Kiedyś często chodziłyśmy z mamą. Ale teraz już nie. Proszę skręcić w lewo. Sandy zacisnęła ręce mocniej na kierownicy, zjeżdżając z głównej drogi. Zapewne Kerri nie ma teraz czasu, żeby zabrać córkę do kina - myślała, jadąc wzdłuż szpaleru drzewek pomarańczowych, które rosły po obu stronach szutrowej drogi. Ciekawe, że miasto potrafi tak nagle się skończyć, przechodząc w sieć wiejskich gościńców.

- A teraz trzeba skręcić w lewo i zaraz w prawo. To chyba dom profesora Lipsmana. -Wskazała zgrabny, nieduży budynek na środku wypielegnowanego trawnika, oddalony o przynajmniej dwieście jardów od najbliższego sąsiada.

- W życiu byś tu pieszo nie doszła - stwierdziła Sandy, wjeżdżając na wąski podjazd.

- To dalej, niż myślałam - przytaknęła Delilah. -Pewnie wróciłabym stopem.

- To nie byłby najlepszy pomysł. Nie należy wsiadać do samochodów nieznajomych ludzi. -Sandy ugryzła się w język. Jakim prawem wygłaszała takie uwagi?

- Och, znam prawie wszystkich ludzi w mieście. Poza tym - skierowała spojrzenie w dół, na siebie - nie sędzę, abym miała powody do obaw. No to lepiej polecę już po te nuty.

- Wiesz, gdzie ich szukać?

- Profesor Lipsman powiedział, że prawie na pewno zostawił je w głównym holu. - Delilah przestępowała z nogi na nogę.

- Mam pójść z tobą?

- A chciałaby pani? - zapytała natychmiast.

Sandy otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. Podeszły razem do piętrowego domu obłożonego białym sidingiem, z wyblakłymi, niegdyś czarnymi okiennicami. W zamkniętym oknie na parterze siedział na parapecie przed firanką duży szary kot.

- Wygląda sympatycznie - zauważyła Delilah bez przekonania.
  - Zapewne tak samo jak za czasów, gdy pan Lipsman mieszkał tu razem z matką.
  - Słyszałam, że zakopali ją za domem.
  - Co? Kogo? Matkę? Delilah kiwnęła głową.
  - Podobno chciała być pochowana pod swoim ulubionym drzewkiem cytrynowym w ogrodzie.
  - Nie sądzę, aby wolno było grzebać ludzi w ogrodach. Nawet na Florydzie - dokończyła Sandy pod nosem.
  - Takie przynajmniej chodzą słuchy.
- Gdy zbliżyły się do frontowych drzwi, wzrok Sandy zawędrował za dom. Czy to możliwe? -zastanawiała się.
- Nie wierzę - powiedziała, gdy dziewczyna wsunęła klucz do zamka i otworzyła drzwi. Błyskawicznie otoczyło je kilka kotów, a jeden spasiony czarno-biały kocur zaczął się ocierać o gołe łydki Sandy.
  - Ojej! Niech im pani nie pozwoli wyjść na dwór - zapiszczała Delilah. Sandy nogą zagnała koty z powrotem do holu, żałując, że ma spódnicę, a nie spodnie, a dziewczyna zamknęła drzwi. Natychmiast ich nozdrza wypełnił zapach stęchlizny i pudełek ze żwirkiem dla kotów.
  - Profesor Lipsman nie uznaje klimatyzacji - wyjaśniła Delilah. - Uważa, że to najbardziej szkodliwa rzecz dla płuc zaraz po papierosach.
  - W przeciwieństwie do wdychania kociej sierści przez całą noc.
  - Psor Lipsman jest trochę dziwny. Ale to miły człowiek - dodała szybko Delilah.
  - Jest dziwny - zgodziła się Sandy.
  - Nie widzę nigdzie tych nut. A pani? Nauczycielka rozejrzała się po holu. Drobiniki kurzu wirowały w smudze światła z małego owalnego okna w bocznej ścianie. Zobaczyła jedynie rudego kota wylegującego się na starym, wyściełanym krześle w stylu królowej Anny i drugiego, pręgowanego, który ostrzył pazury o nogi zabytkowego stolika przy kanapie. Na stoliku,

oprawiona w srebrną ramkę, stała fotografia kobiety o surowych rysach, z siwymi, gładko zaczesanymi włosami zebranymi w kok i w czarnej sukni z wysokim kołnierzykiem.

- To musi być jego matka - wyszeptała Delilah.
- Radość aż ją rozpiesza. Delilah zachichotała.
- Jak pani myśli, gdzie profesor Lipsman mógł zostawić partyturę?
- Może sprawdzić w kuchni. Ja się rozejrzę w salonie - zaproponowała Sandy i dziewczyna zniknęła w kuchni.

Koty podążyły za Sandy do salonu, gdzie natrafiła na kolejne kocury. Oprócz tego na parapecie, dwa siedziały na ciemnozielonej pluszowej kanapie, a jeden na stojącym obok masywnym fotelu z brokatowym obiciem w kolorze złota. Resztę przestrzeni zajmował fortepian z zamkniętym wiekiem, na którym stała cała galeria zdjęć Gordona z matką, sięgających aż do czasów jego dzieciństwa. Nawet w słabym wieczornym świetle sączącym się przez gęste koronkowe firany widziała, jak mało przez te wszystkie lata zmieniła mu się twarz. Już w dzieciństwie wyglądała dojrzała. Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa z jego matką. Rysy tej, za młodu ładnej, a może nawet pięknej kobiety twardniały z wiekiem, uśmiech tracił spontaniczność, a oczy blask. Na jednym ze zdjęć z wcześniejszego okresu stała w swobodnej pozie, ubrana w szykowną, niebieską suknię, obejmując ramieniem inną, równie ładną dziewczynę, prawdopodobnie siostrę. Obie nastolatki uśmiechały się, patrząc prosto w obiektyw w taki sposób, jakby lada chwila miały parsknąć niepohamowanym śmiechem. Zaraz obok stało inne zdjęcie, na którym te same młode kobiety tańczą ze sobą na jakimś przyjęciu.

Sandy przesuwała spojrzeniem po kolejnych fotografiach. Gordon z matką jako niemowlę, Gordon uczący się chodzić, stojący pomiędzy matką a ciotką, zdjęcia samej matki z kotami. Gdzieś w okresach pomiędzy zdjęciami jej uśmiech przygasał i w końcu całkiem znikł. Były też inne fotografie. Niepozowane zdjęcia uczniów z Torrance High: Ginger Perchak i Tanya McGovern pogrążone w cichej rozmowie, Victor Drummond zapatrzony gdzieś w dal, Greg Watt śmiejący się z czegoś, co mówi Joey Balfour, Liana Martin biegnąca w radosnych podskokach przez scenę. Zapewne wszystkie zostały zrobione podczas zeszłorocznych prób do Skrzypka na dachu - domyśliła się Sandy i nagle poczuła się nieswojo.

- Delilah?! - zawołała, chcąc jak najszybciej stąd wyjść. - Delilah? Żadnej reakcji.

Szybkim krokiem wyszła z salonu i skierowała się do kuchni na końcu wąskiego korytarza. Dziewczyna stała przy oknie, wpatrując się w ogród za domem.

- Delilah? - powtórzyła. - Co jest?

Głos dziewczyny, gdy wreszcie go wydobyła, zdawał się dochodzić z innego pomieszczenia.

- Jak pani myśli, które to?

Sandy ominęła pudełko ze żwirkiem dla kotów i stanęła obok niej.

Patrzyła na pusty ogród Gordona Lipsmana.

- O czym mówisz?

- Naliczyłam cztery drzewka cytrynowe. Myślę, że to będzie tamto ostatnie, najbardziej rozrośnięte. A jak pani sądzi?

Dopiero po paru sekundach dotarło do Sandy, o czym ona mówi.

- Delilah, głowę daję, że pani Lipsman nie została pochowana w ogrodzie - powiedziała stanowczo, chociaż wcale nie była tego taka pewna. - A teraz poszukajmy tych nut i zbierajmy się stąd.

- Och, już je znalazłam. - Dziewczyna odwróciła się, podnosząc rękę z plikiem arkuszy. - Leżały na kuchennej szafce.

- Świetnie. Wychodzimy. Natychmiast.



Dopiero po jakichś dziesięciu minutach Sandy zorientowała się, że podążają w złym kierunku. Po pokonaniu ostatniego zakrętu nisko o tej porze słońce zaświeciło jej prosto w oczy, a więc jechały na zachód, zamiast kierować się na wschód.

- Chyba należało tam skręcić w lewo - odezwała się prawie w tej samej chwili Delilah. - A nie w prawo.

- Zdawało mi się, że powiedziałaś: „w prawo”.

- Nie, powiedziałam: „w lewo, a potem w prawo”. Chyba...

Sandy szybko zawróciła, kierując się do ostatniego skrzyżowania, łan zawsze mówił, że ma kiepską orientację i zostawiona sama sobie, nie wyjechałaby nawet z papierowej torby na zakupy. A wizyta w domu Gordona wytrąciła ją z równowagi. Szczególnie tamto zdjęcie Liany Martin, takiej tryskającej energią i pełnej życia.

- Trudno. Poddaję się - powiedziała po kilku minutach, widząc w okolicy wyłącznie gaje pomarańczowe. Zjechała na pobocze. Jak okiem sięgnąć ani jednego samochodu.

- Do diabła, gdzie my właściwie jesteśmy?

- Chyba na najbliższym skrzyżowaniu powinniśmy skręcić w lewo - spekulowała Delilah.

- Jesteś pewna?

- Nie.

- No, świetnie.

- Może poczekamy na jakiś samochód.

- Widziałaś jakiś w ciągu ostatnich pięciu minut? - spytała Sandy z irytacją w głosie. - Myślałam, że znasz drogę.

- Przepraszam, pani Crosbie. Wszystko pokręciłam.

- Nie, to ja przepraszam - powiedziała szybko Sandy, widząc, że dziewczynie drży dolna warga. - To nie twoja wina. Ja jestem kierowcą. - Westchnęła głośno. - A więc myślisz, że powinnam skrócić w lewo?

- Nie mam pewności.

- Nie szkodzi spróbować. - Skręciła w lewo i jechała wzdłuż kolejnych gajów owocowych. Kiedy zastanawiała się nad następnym skretem, poczuła nagle uścisk ręki Delilah na przedramieniu.

- Niech się pani zatrzyma - wyszeptała.

- Czemu? Już wiesz, gdzie jesteśmy? - Sandy gwałtownie zahamowała. - Co jest? - spytała na widok wyrazu twarzy dziewczyny. Biała jak ściana, szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w przednią szybę. - Delilah, co się stało?

- Chyba coś zobaczyłam. Sandy zatoczyła koło oczami.

- Co zobaczyłaś?

- Wyglądało na rękę. - Co?!

- Wyglądało jak ludzka ręka! - krzyknęła dziewczyna. - O Boże! To wyglądało na rękę! - Odwróciła się do nauczycielki z oczami pełnymi łez.

- Już dobrze, opanuj się - uspokajała ją Sandy, chociaż jej własne serce biło, jakby chciało wyskoczyć z piersi. - Gdzie to widziałaś?

- Tam z tyłu. Jakies pięćdziesiąt stóp za nami. Nauczycielka wrzuciła wsteczny bieg i powoli przejechała pięćdziesiąt stóp.

- Jeszcze trochę - poprosiła Delilah przez zaciśnięte zęby. - Tam! - Machnęła gwałtownie ręką w prawo, omal nie uderzając palcami o szybę. Krzyknęła głośno i zaciskając powieki, zwinęła się wpół. - Czy to zwłoki? - zapytała, gdy Sandy zatrzymała samochód i otworzyła drzwi.

- Nie, niech pani tam nie idzie!

Sandy w milczeniu obchodziła tył samochodu, podejrzliwie przypatrując się wysokiej trawie przy drodze

i bojąc się tego, co może zobaczyć. Z początku nie dostrzegła nic niezwykłego. Trawa, ziemia, kilka porozrzucanych, nadjeżdżonych pomarańczy, muchy. Roje much. I wtedy coś błysnęło w słońcu. Obrączka - zorientowała się, widząc teraz palec i rozpoznając ludzką dłoń. Przycisnęła rękę do ust, aby nie krzyknąć, i pobiegła chwiejnie do samochodu.

- Masz komórkę?! Błagam, powiedz, że ją wzięłaś! Delilah błyskawicznie podała telefon.

- Co to? Co pani widziała? Sandy wybrała 911.

- Obok drogi leżą zwłoki kobiety - poinformowała oficera dyżurnego, a policzki dziewczyny pobrały jak płótno. - Nie. Nie mam pojęcia, gdzie jestem. Gdzieś za Citrus Grove. Obiecała, że nie ruszy się z miejsca, dopóki nie przyjedzie policja. Położyła telefon na kolanach i przygarnęła do siebie roztrzęsioną Delilah.

- Czy to pani Hamilton?

- Nie wiem. - Sandy czekała na przyjazd szeryfa z rozsłochaną córką Kerri w ramionach i zastanawiała się, co gorsze: odkrycie, że to zwłoki Fiony Hamilton, czy też stwierdzenie, iż ciało należy do innej kobiety.

26

- Zechcesz mi wyjaśnić, co tu robiłaś? - zapytał John Weber, gdy kordon policji zaczął otaczać teren.

Usiłował przy tym odsunąć natrętą myśl, że kobieta, z którą rozmawia, tuli w ramionach córkę innej kobiety, dla której zostawił ją mąż. Ten obrazek szokował go niemal na równi z widokiem zwłok, które razem znalazły w wysokiej trawie. Zapewne to zwłoki Fiony Hamilton, ale to jeszcze musi potwierdzić jej mąż. Tak jak w przypadku Liany Martin z twarzy denatki zostały szczątki.

Niemniej kolor włosów się zgadzał, a ciało zachowało się w stosunkowo dobrym stanie. Identyfikacja nie powinna sprawić większych trudności.

- Przepraszam - odezwała się Sandy. - Co mówiłeś? John pochylił się nad jej fotelem, opierając lewe ramię o otwarte drzwi.

- Spytałem, co robiłyście na tym pustkowiu.

Sandy siedziała za kierownicą z twarzą wilgotną od łez. Patrzyła tępo przez przednią szybę z głową Delilah przyklejoną do boku.

- Byliśmy w domu Gordona Lipsmana.

- Co tam robiłyście?

- Pan Lipsman zapomniał zabrać partyturę - wyjaśniła dziewczyna, odrywając się od Sandy, lecz nadal zaciskając w dłoni rąbek jej niebieskiej spódnicy. - Zgłosiłam się, że je przyniosę. Pani Crosbie powiedziała, że to za daleko, aby iść na piechotę... - Głos jej się załamał, gdy spojrzała przez boczną szybę na policjantów krzątających się wokół ciała. - Co oni robią?

- Zbierają dowody - wyjaśnił szeryf, choć w głębi duszy wątpił, aby było co zbierać.

- To pani Hamilton?

- Nie wiemy.

- Boże! - jęknęła Delilah, jakby rozumiejąc znaczenie tej odpowiedzi.

- A więc profesor Lipsman poprosił cię, żebyś przyniosła mu nuty, a pani Crosbie zaoferowała się cię podwieźć. Czy tak?

- Powiedziała, że to za daleko, aby iść na piechotę -powtórzyła Delilah.

- Odbiłyście spory kawałek od domu Lipsmana - zauważył.

- Źle skręciłyśmy - powiedziała dziewczyna.

- Zgubiłyśmy się - odezwała się równocześnie Sandy. Najwyraźniej obie są w szoku -wywnioskował John, postanawiając odłożyć resztę pytań na później.

- W takim razie poproszę Trenta, żeby odwiózł was do domu. - Skinął na jednego z policjantów. - Potem przyprowadzę twój samochód.

- A co z nutami dla pana Lipsmana? - zapytała Delilah z niepokojem w głosie. John zauważył, że ścisła w prawej ręce pomięte arkusze.

- No dobrze. - Pochylił się i wyjął nuty z zaciśniętej dłoni. - Dopilnuję, żeby do niego dotarły.

- Wiedziałaś, że Gordon Lipsman trzyma w domu fotografię Liany Martin? - spytała Sandy, gdy wyprowadzał ją z samochodu.

- Nie - odparł.

Jaką fotografię? - zastanawiał się, postanawiając później osobiście to sprawdzić.

- Dasz sobie radę? - zapytał.

Skinęła głową, chociaż wcale nie wyglądała na przekonaną.

- To dobrze. Posłuchaj, później do ciebie zajrzę. A na razie proszę cię: nikomu o tym ani słowa. Przynajmniej dopóki nie skontaktuję się z Calem Hamiltonem.

Cal wyszedł rano z aresztu po wpłaceniu kaucji przez swego szefa, starego Chestera Calhouna. Miał zakaz opuszczania miasta oraz oficjalny nakaz trzymania się z dala od Kerri Franklin i jej rodziny.

- Myślisz, że on to zrobił?

- Myślę, że należy zidentyfikować zwłoki, zanim zaczniemy zadawać pytania - zamknął temat John.

Chwilę później patrzył, jak Trent usadza obie kobiety na tylnym siedzeniu radiowozu i odjeżdża.

- I co tu mamy? - zwrócił się do oficera, który stał pochylony nad zwłokami, osłaniając dłonią usta i nos.

Młody zastępca podskoczył jak oparzony. - Wygląda na strzał w głowę.

Tak jak w przypadku Liany Martin.

- Jakież znaki szczególne na ciele?

- Mały tatuaż na kostce u lewej nogi. Coś jakby napis: Własność... Więcej nie udało mi się rozszyfrować.

Johna zastanowiło, czy Fiona Hamilton mogła mieć tatuaż. W jej przypadku wydawało się to mało prawdopodobne, a coś takiego jak Własność brzmiało dość upiornie. Ciekawe, czy Candy Abbot miała tatuaż. Ale ta dziewczyna została uznana za zaginioną przed kilkoma miesiącami, więc jeśli to ona, to albo do niedawna przetrzymano ją gdzieś żywą, albo przechowywano ciało w zamrażarce. Obie te wersje wydawały się możliwe, lecz jednocześnie mało przekonujące.

- Jest jeszcze coś?

- Nie, szefie. Ani śladu łusek czy zbłąkanych kul. Czyli zabito ją gdzie indziej - podsumował John -

a potem podrzucono ciało na to miejsce, żeby ktoś przypadkiem się na nie natknął. Tym

razem zabójca nawet nie próbował zakopać zwłok, więc albo ktoś go spłoszył, albo nabrał

pewności siebie, albo też chciał, żeby szybko zostały wykryte. A jeśli to ostatnie

domniemanie jest prawdziwe, rodzi się kolejne pytanie: Dlaczego?

Godzinę później John przyprowadził pod dom samochód Sandy, a za nim przyjechał drugi

policjant i zaparkował radiowóz na podjeździe przed domem Cala za jego jaskrawoczerwoną

corvetta.

Sandy wyszła na próg.

- Chyba jest u siebie - powiedziała zamiast „dobry wieczór”, zerkając na sąsiedni dom. - Od dwudziestu minut ryczy muzyka.

Szeryf skinieniem ręki przywołał drugiego policjanta.

- Siedź w domu i trzymaj się z daleka od okien - poinstruował Sandy.

- Spodziewasz się kłopotów?
- Oby nie!
- Mamo? - Syn Sandy wynurzył się z wnętrza domu i stanął za nią. - Co się dzieje?
- Właśnie przyprowaździłem samochód mamy - wyjaśnił mu John.
- Odholowali cię? - zapytał z niedowierzaniem.
- Nie całkiem - odparła Sandy.
- Później mama ci to wyjaśni. A teraz, wybaczcie...

Idąc do Cala na skróty przez frontowy trawnik, usłyszał jeszcze, jak kobieta zamyka za nim drzwi, bo w miarę jak się zbliżał do domu, muzyka stawała się coraz głośniejsza. I'm sorry, Mama - zawodził Eminem. Zawodzi: to bardzo trafne określenie - stwierdził, mocno pukając do drzwi. Naprawdę trudno to nazwać śpiewem. Musiał jednak z niechęcią przyznać, że darzy Eminema podziwem za niewątpliwy talent. Ten punk wykombinował, jak przemienić swój gniew w coś, co: po pierwsze, jest pożyteczne, a po drugie, przynosi ładny dochód. Czy nie byłoby miło, gdyby wszyscy tak postępowali? Szkoda, że wściekłość tak rzadko przekłada się na artystyczną kreację - westchnął, czując, jak wzbiera w nim złość, gdy ponownie zastukał do drzwi, tym razem o wiele mocniej.

- Cal?! Calu Hamiltonie, tu szeryf! Otwieraj!
- Wyważyć drzwi? - zaproponował zastępca.
- O ile masz ochotę do końca świata być włóczony po sądach. - John ostrzegł nadgorliwego młodzika z krótko ostrzyżonymi włosami i miękkimi, szerokimi ustami. - To kurtuazyjna wizyta, pamiętasz? Mamy poprosić faceta o pomoc w identyfikacji zwłok, które prawdopodobnie należą do jego żony. Nie przyszliśmy go aresztować.

Na razie - dodał w myślach, zanim zapukał po raz trzeci. Muzyka przeszła w ciche dudnienie.

- Zaaraaz! - usłyszeli. - Jezuu, co się dzieje! Zanim Cal stanął w drzwiach z głupawym uśmiechem na twarzy, ubrany jedynie w czarne, dopasowane dżinsy, John zdążył się domyślić, że musi być naćpany.
- Oooch, szeryf Weber, jak miło znowu pana widzieć! Czemu zawdzięczam ten honor?
- Włóż buty - polecił John. - I koszulę. Musisz pojechać z nami.

- Znowu mnie aresztujecie? Cokolwiek to jest, to nie moja robota. Cały dzień siedziałem w domu i słuchałem muzyki, pilnując własnego nosa.

- Nie jesteś aresztowany.

- Świetnie! - Cal zatrzasnął szeryfowi drzwi przed nosem.

John zaczął walić w nie pięścią, bo Eminem znowu ryknął na cały głos. Zastanawiał się już, czy nie wrócić tu później, gdy nagle kocia muzyka zamilkła i drzwi ponownie się otworzyły.

- Wiesz pan co, ja mam dzwonek - powiedział Cal, patrząc na Johna szklanymi, pozbawionymi wyrazu oczami. - O tu! - wskazał palcem. - Wystarczy nacisnąć. -Zademonstrował. Gongi odegrały melodyjkę You are my sunshine. - Sprytne, nie?

- Musisz pojechać z nami - oznajmił John.

- Niby czemu?

- Znaleźliśmy zwłoki - powiedział szeryf, celowo nie siląc się na delikatność. - To może być Fiona.

Reakcja osiłka była gwałtowna i jednocześnie zaskakująca. Zatoczył się w głąb korytarza jak po silnym ciosie.

- Co?!

- Czy twoja żona miała jakieś tatuaże? - zapytał John, podążając za nim. Natychmiast wyczuł mdławy zapach haszyszu. Wszędzie wałały się puste butelki po piwie.

- Mały, na kostce u nogi - odpowiedział Cal po dłuższej pauzie. - Czemu o to pytasz?

- Potrafisz go opisać?

- Jasne, że tak. Znam każdy centymetr ciała mojej kobiety. To napis: Własność Cala Hamiltona.

John spuścił głowę i ciężko westchnął.

- Musisz ją zidentyfikować.

- Twierdzisz, że to ona?

- Ofiara, którą znaleźliśmy, ma na kostce podobny tatuaż do tego, jaki opisałeś.

- Co znaczy: podobny?



- Cóż, musisz potwierdzić jej tożsamość - powtórzył szeryf.

- Nie rozumiem. Znasz moją żonę. Wiedziałybyś, że to ona. Co chcesz powiedzieć? - Cal cofał się tyłem w głąb pokoju do chwili, gdy nogami oparł się o krzesło i opadł na nie. - Mówisz, że ona nie ma twarzy? Że jakiś świr odstrzelił ją jak Lianie Martin?

- Gdybyś mógł dać nam parę włosów żony, na przykład ze szczotki...

- Nie! - Hamilton zerwał się z krzesła i trząśł głową, jakby to miało mu pomóc rozjaśnić myśli. - Chcę ją zobaczyć. Chcę ją zobaczyć!

John odczekał, aż Cal naciągnie podkoszulek i wsunie stopy w czarne adidas, ustawione przy drzwiach.

- Zabiorę cię do niej - oznajmił.

- Już wam mówiłem, że była cała i zdrowa jeszcze wczoraj rano, gdy wychodziłem do pracy. Cal siedział w ciasnym pomieszczeniu bez okna, przeznaczonym do przesłuchiwania podejrzanych. Całe wyposażenie stanowił prostokątny dębowy stół oraz dwa małe krzesła po jego obu stronach. Podobne dwa krzesła stały pod nagą ścianą. Klimatyzacja utrzymywała temperaturę nieco powyżej zera. Według Johna w im gorszych warunkach trzymało się podejrzanych, tym szybciej byli skłonni zeznawać. Cal zaczął się pocić niemal natychmiast, gdy go tam wprowadzono.

Górną połowę ściany naprzeciw zamkniętych drzwi stanowiło weneckie lustro. John wiedział, że obserwuje go stojący po drugiej stronie Richard Stahl, szeryf na całe Broward County. Wezwał go burmistrz, gdy tylko dotarła do niego wiadomość o Fionie Hamilton, i przysłał do Torrance z poleceniem objęcia nadzoru nad śledztwem.

Jeszcze tydzień temu John potraktowałby takie polecenie burmistrza, nie mówiąc już o niespodziewanym

nalocie zwierzchnika, jako zagrożenie dla swojej pozycji. O dziwo, dzisiaj ta wizytacja napawała go optymizmem. O ile nigdy nie miał zbyt wiele cierpliwości dla burmistrza, którego uważał za pompatycznego bubka z kompleksem Napoleona, o tyle szeryfa Broward Coun-ty darzył sympatią i szacunkiem. Poza tym John nigdy nie wierzył w działanie typu: „na złość babci odmrozę sobie uszy”. Jeżeli Richard Stahl miał jakieś sugestie, które pomogłyby rozwiązać tę sprawę, gotów był ich wysłuchać.

W normalnych okolicznościach wolałby chociaż o parę godzin odwlec przesłuchiwanie człowieka, który dopiero co zidentyfikował zwłoki żony. Ale Cal Hamilton nie był przeciętnym obywatelem. To raptus w gorącej wodzie kapany, który miał już na koncie areszt za czynną napaść na kobietę i zapewne niejednokrotnie pobił żonę. Co prawda wydawał się naprawdę szczerze wstrząśnięty widokiem martwej Fióny, lecz bardzo szybko odzyskał panowanie nad sobą.

- Czy ktoś jeszcze ją widział? - zapytał John.

- O ile mi wiadomo: nie.

- Doszło między wami do kłótni?

- Wszyscy się kłócą.

- Nie wszyscy posuwają się do rękoczynów.

- Oskarża mnie pan o coś?

- Cal, na ciele Fiony są liczne zasinienia. Stare sińce. Jestem pewien, że lekarz sądowy podczas autopsji znajdzie mnóstwo blizn, a może nawet kilka śladów po złamaniach.

- Dobra, może przyłożyłem jej kilka razy. Niech mi pan wierzy, nie pozostawała dłużna.

- Chcesz powiedzieć, że to ona podnosiła na ciebie rękę?

- Mówię, że nie była znowu taka święta. Czasem musiałem się przed nią bronić.

- Jesteś od niej cięższy o dobre osiemdziesiąt funtów - podkreślił szeryf.

Cal zbył tę uwagę ironicznym parsknięciem.

- Potrafiła się nieźle wściec, jak ją coś wkurzyło.

- A co ją wkurzało, Cal?

- Takie tam zwykłe sprawy. Uważała, że się bzykam z innymi. No, że ją zdradzam.

- A tak było?

- To nie miało znaczenia. - Hamilton spojrział na świetlówki we wgłębieniu sufitu. - O co chodzi, szeryfie? Chce pan powiedzieć, że niby nigdy nie oszukał pan żony?

John starał się zachować kamienną twarz.

- Chcę powiedzieć, że tylko śmierdzący tchórz podnosi rękę na kobietę.

Kolejne prychnięcie.

- Ej, szeryfie, może mnie pan nazywać, jak chce. Śmierdzącym tchórzem, damskim bokserem, babiarem, ale to wcale nie znaczy, że zabiłem żonę. Ja kochałem tę kobietę.

- Niewątpliwie w szczególny sposób okazywałeś uczucie.

- Każdy okazuje po swojemu.

- Cal, co naprawdę zaszło? - zapytał John, zmieniając taktykę. - Miała dość maltretowania? Powiedziała, że chce odejść? Zagroziła, że cię rzuci?

- Nigdzie się nie wybierała.

- Oczywiście, że nie, jeśli mogłeś jej w tym przeszkodzić.

- Nie musiałem jej w niczym przeszkadzać.

- Nie, ty ją po prostu powstrzymałeś.

- Jedno jest cholernie pewne: ja jej nie zabiłem -oświadczył Cal.

- Masz broń, prawda?

- Taak. I co z tego? Konstytucja gwarantuje mi prawo do posiadania broni.

- Jest zarejestrowana?

- Oczywiście. Przestrzegam prawa.

- Co to jest?

- Magnum czterdzieści cztery.
- Potężny rewolwer.
- Na tyle, żeby odstrzelić człowiekowi głowę - dopowiedział Cal, parafrazując kwestię Clinta Eastwooda z filmu Brudny Harry i patrząc przy tym Johnowi prosto w oczy. - Niech mi pan uwierzy, szeryfie, gdyby do Fiony strzelono z czterdziestkiczwórki, z jej twarzy nic by nie zostało.
- To dość cyniczna wypowiedź jak na kogoś, kto dopiero stracił żonę.
- Spodziewa się pan łez?
- Cal, gdzie trzymasz rewolwer?
- W nocnej szafce przy łóżku.
- Pozwolisz, że rzucę na niego okiem?
- Jestem pewien, że kiedy tu rozmawiamy, już wystawiają nakaz rewizji - powiedział Hamilton, wruszając ramionami. - Pan wie, że to strata czasu. Pan dobrze wie, że ma do czynienia z seryjnym zabójcą.
- A skąd masz taką pewność?
- Cóż, nie trzeba być geniuszem, żeby to skapować. Już zabił dwie kobiety. A może i więcej. John wychylił się na krześle, oparł łokcie na biurku i splótł palce.
- Dlaczego uważasz, że jest ich więcej?
- Powiedziałem: może być więcej. Pan ma do czynienia ze świrem, szeryfie. Naprawdę pan uważa, że on poprzestanie na dwóch?
- Dlaczego uważasz, że Lianę Martin i twoją żonę zabił ten sam człowiek?
- No, nie wiem. Znikają dwie kobiety; kilka dni później zostają znalezione z odstrzeloną połową twarzy. Może pan myśleć, że jestem walnięty, ale mi to nie wygląda na zbieg okoliczności.
- Mnie też nie. A może to zabójstwo wzorowane na poprzednim?
- Może.
- Zawsze uważałem takie naśladownictwo za żalos-

ne - stwierdził John, licząc, że sprowokuje tym mężczyznę po drugiej stronie stołu. - Według mnie świadczy o braku wyobraźni.

- Szeryfie, daj pan spokój z tymi bzdetami. Obaj wiemy, że pan mnie podejrzewa o zabicie żony. Czyli naprawdę pytanie brzmi: Czy postarałem się, żeby to wyglądało na robotę tego samego faceta, który wykończył Lianę Martin, czy też zabiłem je obie?

- A więc?

- Ani jedno, ani drugie, ty tępaku!

John poczuł, jak tężeją mu mięśnie. Opuścił ramiona wzdłuż boków i zacisnął dłonie w pięści. Intuicja podpowiadała mu, że po drugiej stronie lustra Richard Stahl zrobił dokładnie to samo.

- Szlag by to trafił! Po zniknięciu Fiony wychodziłem z siebie - ciągnął Cal. - Próbowałem się dowiedzieć, co się z nią stało. Kurde, trafiłem do aresztu! Musiałbym być skończonym idiotą...

- Albo wielkim spryciarzem - wtrącił John.

- Wysoko mnie cenisz, szeryfie. Chcesz powiedzieć, że ukartowałem to wszystko?

- Niewykluczone.

- W takim razie albo ponosi mnie wyobraźnia, albo nie mam jej wcale - dokończył Cal ze śmiechem. - Niech się pan lepiej zdecyduje.

- Byłoby o wiele prościej, gdybyś powiedział mi, co zaszło.

- Mam za pana odwalić robotę?

- Chcę, żebyś zaczął mówić prawdę.

- Tak? Prawda jest taka, że moja żona nie żyje. A druga prawda, że gdybyś, człowieku, nie był taki cholernie pewny, że ona uciekła, i już wczoraj, tak jak chciałem, rozpoczął poszukiwania, zamiast mnie nękać i wsadzać do paki, to może udałoby się nam ją odnaleźć, zanim skończyła na polu z odstrzeloną połową twarzy. Oto cała prawda, szeryfie. A teraz albo mnie zamknij, albo puść do domu.

John podniósł się z krzesła, odwrócił do weneckiego lustra i zapatrzył na niewidoczne twarze ludzi, którzy z pewnością go obserwowali. Ciekawe, czy mają podobne odczucia - przemknęło mu przez myśl.

- Aresztować go - polecił.

Znaleźli rewolwer w nocnej szafce przy łóżku, dokładnie tak, jak powiedział Cal.

- Nie wygląda na to, żeby ostatnio był używany - ocenił zastępca szeryfa Trent, zbliżając broń do długiego, haczykowatego nosa.

- Fiona Hamilton nie zginęła od strzału z czterdziestkaczwórki - przypomniał mu John, rozglądając się po sypialni. Ani Liana Martin - dokończył w myślach, zwracając jednocześnie uwagę na bladoniebieski kolor nagich ścian i zdumiewająco małe mosiężne łóżko, którego rozmiar go zaskoczył, ponieważ męczyzna postury Cala potrzebował więcej miejsca, żeby się wygodnie wyciągnąć. Stał mu przed oczami mały tatuaż na kostce Fiony: Własność Cala Hamiltona. Małżeńskie łoże narzucałoby większą fizyczną bliskość, miałyby wtedy Fionę u boku. Łóżko nie było zasłane; poszarzałe prześcieradła leżały skłębione w nogach, niebieski pled, odrzucony niedbale, zwisał nad podłogą. Cal miał rację co do jednej rzeczy: czterdziestkaczwórka uczyniłaby większe spustoszenie.

- Rozglądaj się dalej. Kto powiedział, że nie znajdziemy innej broni?

Pod ścianą przy łóżku stała wiklinowa szyfoniera, a w jej górnej szufladzie leżały dosłownie dziesiątki stringów, seksownych biustonoszy push-upów, rajstop bez kroku, jedwabnych body, welurowych gorsetów, a także przeróżnych akcesoriów z sex shopu. John machinalnie wyjął z szuflady długopis i w tej samej chwili się zorientował, że to miniaturowy wibrator, upuścił go więc czym prędzej, jakby gadżet poparzył mu palce. Niech żyje wielofunkcyjność

- mruknął pod nosem na

widok zawartości następnej szuflady. Leżały tam białe bawełniane majteczki i zwykłe biustonosze z bawełny. Porównał rozmiar z wielkością frywolnej bielizny w pierwszej szufladzie - ten sam. Jeden zestaw na dzień, drugi na noc - podsumował, starając się wyobrazić sobie Fionę w obu rodzajach bielizny.

- Ha, mnóstwo tutaj tego - powiedział Trent, demonstrując kajdanki, zanim wrzucił je do plastikowego worka.

Szeryf otworzył szafę, przegarnął ubrania na białych plastikowych wieszakach, lecz nie natrafił na nic godnego uwagi. Spędzili w tym domu ponad godzinę, a poszukiwania przyniosły marny rezultat. Owszem, znaleźli rewolwer, dokładnie tam, gdzie - jak Cal opisał - powinien leżeć, lecz prawie na pewno nie była to broń, z której padł zabójczy strzał. No tak, mieli kajdanki i mnóstwo innych zabawek z sex shopu, ale to wszystko można kupić w pierwszym lepszym Wal-Mart - jak się przekonał podczas niedawnego wypadu do supermarketu. Fiona zdecydowanie nie sprawiała wrażenia kobiety, którą interesowałyby długopisy-wibratory i majtki bez kroku, więc co on właściwie wiedział? Szczególnie o kobietach. Jak dobrze znamy innych ludzi?

- Hej, John! - zawołał z korytarza jeden z zastępców. - Chyba coś mamy. - Młody człowiek stanął w drzwiach, policzki płonęły mu z podniecenia, czekoladowobrązowe oczy błyszczały pod wpływem napięcia.

- Co masz?

- Znalazłem to głęboko wepchnięte w szufladzie w kuchni. Zdaje się, że ktoś kolekcjonował trofea. - W lewej ręce trzymał bransoletkę z breloczkami. - To tandeta. Wisiorki przypominają cukierki. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie.

Johna przeszły ciarki. Candy Abbot, cukierek - pomyślał. Z trudem wymówił słowa:

- Co jeszcze masz?

Zastępca wyciągnął prawą rękę i pokazał delikatny złoty naszyjnik zwinięty we wnętrzu dłoni w rękawiczce. - A to na pewno coś znaczy. John wpatrywał się w naszyjnik. Jego centralny element stanowiło imię ułożone ze złotych liter: LIANA.

27

## Z DZIENNIKA ZABÓJCY

Od pewnego czasu próbuję wymyślać jakieś ciekawe nazwy dla sklepów. No wiecie, coś, co przyciągałoby kupujących, sprawiało, że chętnie otwieraliby portfele, a tym samym wspierali gospodarkę. Albo przynajmniej bawiłoby ludzi, więc śmiech rozjaśniałby ich skądinąd ponure dni. Bo weźmy na przykład coś takiego: W drodze do pracy widzisz jakiś zabawny obrazek - słodkiego psiaka albo faceta, który potyka się o dziurę w chodniku, no i kiedy później o tym pomyślisz, musisz się uśmiechnąć. O, właśnie takie rzeczy chodzą mi po głowie. Sprawić, aby ludzie się uśmiechali. Zachodzę któregoś dnia do centrum handlowego, rozglądam się i widzę, iż nie dość, że nie ma tam na czym zawiesić oka, to jeszcze nazwy sklepów są nudne i bez polotu. I myślę sobie, czemu nie możemy wykazać więcej wyobraźni? Więcej inteligencji. Weźmy na przykład takiego Szekspira. Delektował się grą słów. Na pewno wpadłby na coś błyskotliwego i zabawnego. Gdyby tak nazwać sklep ze sprzętem muzycznym „Wiele Hałasu o Nic”. Sklep jubilerski „Romeo i Bizuteria”; kasę oszczędnościowo-pożyczkową „Wszystko Dobrze, gdy się Dobrze Oddaje”, a sklep z akcesoriami ślubnymi „Komedia Omyłek”. Big Maca można by przemianować na „Big Makbeta”, a punkt krawiecki na



„Miara za Miara”. No dobra, trochę to naciągane. Ale łapiecie, o co chodzi?

Wcale nie trzeba zapożyczać nazw od Szekspira, pod warunkiem, że byłyby pomysłowe i bard ze Stratfordu mógłby je pochwalić. I tak proponuję „Hautura” dla salonu piękności dla psów; „Special-Ty” dla sklepów z T-shirtami oraz „Stracone Zachody Miłości” dla biur, gdzie

bezrobotni odbierają zasiłek. Oczywiście ta ostania nazwa to znowu tytuł z Szekspira.

Śmieszne, jak wszystko w końcu powraca do słodkiego Williama.

Ciekawe, co on by zrobił z

Poskromieniem złościcy.

Już wiem. Co powiecie na Kiss me, Kate?

Okay, wrobienie Cala Hamiltona stanowiło świetną zabawę.

Rekompensata za coś, co się zdarzyło wcześniej i co -uwierzcie mi - wcale nie było takie zabawne, jak się można było tego spodziewać. Czy to nie dziwne, że nic nigdy nie idzie zgodnie z planem? Masz w głowie pełen obraz. Myślisz, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Że każdy szczegół został przemyślany. Już prawie delektujesz się tym, co się wydarzy - bo znasz już to z przeszłości - lecz chyba należy założyć, że życie zawsze szykuje niespodzianki.

Może lepiej będzie powiedzieć, że śmierć zawsze szykuje niespodzianki.

W każdym razie lepiej będzie - jak to ludzie mówią -zacząć od początku.

Znowu ludzie. Oni

zawsze coś mówią. Nie potrafią trzymać języka za zębami, co zdawało się stanowić problem

Fiony Hamilton. Boże, kto by przypuszczał, że ta kobiecina ma tyle do powiedzenia? Zawsze

robiła wrażenie cichej i zahukanej. Ale kiedy się otworzyła, to ho, ho!

Jakby całymi latami

czekała, żeby opowiedzieć swoją historię, jakby słowa płynęły z niej potokiem. Nie było

sposobu, aby ją powstrzymać. Nie, to nie do końca prawda.

Udało mi się ją powstrzymać.

Dobra, ale skupmy się na tym, co istotne. Fiony Hamilton nie było w moich planach. Ani na radarze. Ta kobieta w ogóle mnie nie interesowała. Mam swoją listę. Jej na niej nie było, uwierzcie mi.

Czemu ludzie mówią: „uwierz mi”? Nie macie wrażenia, że tym, którzy to powtarzają, wcale nie należy wierzyć? Czemu w ogóle powinno się komukolwiek wierzyć? Czy ludzie nie mówią, że na zaufanie trzeba sobie zapracować? Naturalnie mówią też takie rzeczy, jak: „wierzyć w intuicję” i „w Boga wierzymy”. Mam lepszą propozycję: „nie wierz nikomu”.

Uwierzcie mi, warto to zapamiętać.

Hej, właśnie przyszło mi do głowy, że imiona Liana i Fiona składają się z pięciu liter, a ostatnia sylaba to „na”. W dodatku oba są dwusylabowe, a drugą literą jest „i”. Co wy na to? Nie twierdzę, że stąd wybór Fiony, ale muszę przyznać, że gdy się nad tym zastanowić, odpowiada mi ta symetria. Żona Cala była tym, co - zdaje się - ludzie nazywają przynętą. Miała zmylić trop. Tak, biedna, mała Fiona Hamilton stała się środkiem do osiągnięcia celu,

sposobem na zabicie czasu i urozmaiceniem w oczekiwaniu na właściwy moment. Kto z nas nie uważa, że Cala Hamiltona powinna spotkać zasłużona kara? Według mnie wszystkim w Torrance dobrze zrobi odrobina wytchnienia. Chodzi o to, że kiedy ludzie pomyślą, iż zabójca siedzi zamknięty za kratkami, odczują ulgę i stracą czujność. Odprężeni, zrobią się nieostrożni, a nawet głupi. A tacy stanowią łatwy cel. Czy była już mowa o tym, że mam wybrany nowy cel? Ale wracam do Fiony.

Zgodnie z moimi przewidywaniami nie była szczególnie zabawna. Ani też nie stanowiła wyzwania. Szczerze mówiąc, rozczarowała mnie. Za łatwo poszło. Nie była osobą, którą można by nazwać wojowniczą, nawet gdy w grę wchodzi walka o życie. Chyba charakter złamało jej poniżanie całymi latami. - Cal mnie przysyła - mówię.

Wcale nie wydaje się szczególnie zaskoczona moim widokiem. Stoi z twarzą pozbawioną wyrazu, jakby nie do końca pewna, kim jestem. A może już dawno temu nauczyła się nie zadawać zbyt wielu pytań. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że parę minut później wynoszę ją, nieprzytomną, z domu kuchennym wyjściem. Nikt mnie nie widzi. To duża zaleta wiaty na samochód.

(Ciekawe, kiedy w pracowni biologiczno-chemicznej Torrance High zauważą, że zapasy chloroformu zostały - jak się to mówi - uszczuplone? Zapewne dopiero w przyszłym roku szkolnym, gdy będą preparować głupie żaby, lecz wtedy mnie już nie będzie potrzebny). W każdym razie, gdy przyjeżdżamy na miejsce, wszystko jest przygotowane. Oczywiście ona nadal śpi, więc moje wysiłki częściowo poszły na marne, lecz nie mam jej tego za złe. I muszę przyznać, że nieprzytomna całkiem ładnie wygląda. Tak spokojnie. Twarz ma gładką, pozbawioną zmarszczek, a świeżo umyte włosy przyjemnie pachną brzoskwiniami czy morelami. Ma na sobie krótką koszulę nocną z cienkiego, niebieskiego materiału (koszula nocna w środku dnia, rany boskie!) i jak się dobrze przyjrzeć, prześwitują przez nią sutki. Piersi ma prawdziwe i większe, niż mi się wcześniej wydawało.

Układam ją na łóżku i nawet narzucam koc na ramiona, bo pamiętam z jakiegoś artykułu, że należy się przykryć, kładąc się na drzemkę, żeby nie złapać przeziębienia. Na to nie mogę pozwolić. Żałosna, mała Fiona nie może się przeziębnić na śmierć. A więc okrywam ją, potem sprawdzam, czy plastikowe wiaderko obok łóżka jest czyste. Zostawiam nawet rolkę papieru toaletowego, żeby nie było wątpliwości, do czego służy to wiadro. Ustawiam też kilka butelek z wodą (również plastikowych) w nogach łóżka na wypadek, gdyby po przebudzeniu chciało jej się pić. Następnie wycofuję się do swego pokoju na górze i czekam, aż się obudzi, żeby zobaczyć reakcję. Rany, jakie rozczaro-

wanie! Żadnej reakcji. Zero. Nul. Nada. Nic. Nie do wiary. Otwiera oczy i siada, jakby przez całe życie budziła się w tym miejscu. Nawet nie raczy się rozejrzeć. Tkwi na łóżku nieco przygarbiona, palce bosych stóp nie sięgają podłogi, jakby siedziała na brzegu basenu ze zwieszonymi nogami. A potem po mniej więcej dwudziestu minutach (dwudziestu minutach!) podnosi oczy i zaczyna się rozglądać. Powoli, jakby miała czas do końca świata, odwraca głowę to w tę, to w tamtą stronę, patrzy na prawo, na lewo, spogląda na sufit i z powrotem na swoje stopy. Widzi wiadro i butelki z wodą. Nie reaguje. Po prostu siedzi i chłonie wzrokiem otoczenie. A potem zamiast zerwać się na równe nogi, krzyczeć i biegać w koło jak mała mysz złapana w pułapkę, którą zresztą jest, co ona robi? Kładzie się i zamyka oczy. Zasypia! Dacie wiarę?!

Z początku myślę, że to jakiś wybieg, szczywany plan, że jest sprytniejsza, niż mi się wydawało. No bo kto, budząc się w obcym miejscu, nie wpada w panikę lub przynajmniej nie

zaczyna krążyć dokoła, sprawdzać drzwi, wzywać pomocy? Kto najzwyczajniej w świecie zamyka oczy i potulnie akceptuje los? Powiem wam kto - Fiona Hamilton. A ja siedzę w swojej kryjówce i patrzę. Nie uwierzycie, ale gdy z powrotem zasnęła, mam ochotę głośno krzyczeć. Jak długo to będzie trwać? Co mam robić? Siedzę więc i czekam, aż się ponownie obudzi. Po jakimś czasie zaczynam się niepokoić. Może dawka chloroformu była za duża? Może nie żyje? Umarła, zanim nadszedł jej czas?

I wtedy, po trzydziestu minutach (po półgodzinie, aż nie do wiary!), unosi powieki i siada. Tym razem wstaje. Podchodzi do drzwi (już się podniecam) i wiecie co? Staje przed nimi. Ale nawet nie próbuje ich otworzyć. Wpatruje się w nie przez chwilę, a potem wraca do łóżka i siada. To naprawdę dziwne. Nie wierzę własnym oczom.

W końcu otwiera jedną z butelek, wypija kilka długich łyków, po czym korzysta z wiaderka. Używa papieru toaletowego. Rozgląda się za czymś, gdzie mogłaby go wyrzucić, a ponieważ niczego nie znajduje (informacja do zapamiętania: muszę kupić mały plastikowy pojemnik na śmieci), rzuca papier do kąta. Potem siada i czeka. Czy wie, na co? Jak się później okaże, na swego ukochanego męża. Myśli, że to wszystko jego robota - możecie w to uwierzyć? Jak gdyby Calowi Hamiltonowi starczyło wyobraźni, żeby coś takiego zorganizować. Ale tak przynajmniej mi powie. Wyzna, że myślała, iż go czymś uraziła i że to jego nowy sposób jej ukarania. Ale wyprzedzam bieg wypadków.

Kiedy ku memu rozczarowaniu staje się oczywiste, że nie uczyni żadnego ruchu w tej grze, przyznaję, że zaczyna ogarniać mnie panika. Mam mało czasu i muszę uważać, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Tym razem kuszę los bardziej niż poprzednio, narażam się na niepotrzebne ryzyko i boję się przeszarżować. Wiem, że w przeciwieństwie do Fiony jej walnięty małżonek wcale nie ma cierpliwości. Gdy tylko się zorientuje, że znikła, zacznie przetrząsać miasto. Kto by jednak przypuszczał, że zacznie napadać ludzi w ich własnych domach. To coś na kształt premii.

Stwierdzam, że równie dobrze mogę wrócić do domu i dać Fionie parę godzin, żeby zgłodniała. Może wtedy wpadnie w rozpacz. Mnie już się chce jeść. Wychodzę więc i wracam po jakimś czasie. Niespodzianka! Fiona śpi! Nie do wiary! Ta kobieta naprawdę mnie zdumiewa. Co z nią jest?

Naturalnie muszę zmienić plany. Nie ma sensu kurczowo trzymać się scenariusza, który jest z góry skazany na fiasko. Rezygnuję z następnego etapu (mojej popisowej części) i od razu zmierzam do finału. Schodzę na dół i otwieram drzwi kluczem.

Jestem w środku.

Jeśli nawet mnie słyszy, nie daje tego poznać po sobie. Nawet nie drgnie, kiedy siadam na łóżku na wysokości jej nóg. Po prostu leży pogrążona we śnie. Patrzę, jak oddycha, i zastanawiam się, czy coś jej się śni, a jeśli tak, to co.

Ja zawsze mam jakieś sny, chociaż znajdują się ludzie, którzy będą ci wmawiać, że nigdy nic im się nie śni. Są w błędzie. Wszyscy śnią, tylko niektórzy nie pamiętają snów. A to wcale nie znaczy, że ich nie mają. Badania jasno wykazały, że są fazy snu głębokiego, kiedy praktycznie jesteśmy nieprzytomni, oraz okresy, gdy do głosu dochodzi podświadomość i przemawia do nas pod postacią różnych symboli, których często nie rozumiemy, a jeszcze częściej nie pamiętamy. Ta faza nazywa się REM. To, że nie pamiętamy naszych snów, wcale nie oznacza, że są nieistotne. Poza uwolnieniem umysłu od stresów nagromadzonych w ciągu dnia usiłują coś nam powiedzieć. Pomagają rozwiązywać problemy. Dlatego niektórym ludziom ciągle śni się to samo. Te tak zwane powracające sny ludzie miewają tak długo, dopóki nie rozgryzą ich znaczenia i nie uporają się z problemem.

Skoro mowa o snach, jakiś czas temu nękał mnie jeden, naprawdę dziwny. Bardzo denerwujący. Stoję na wielkiej scenie i przemawiam do pełnej widowni. Treści nie pamiętam, ale bardzo gładko mi idzie. Co chwila publiczność reaguje entuzjastycznymi brawami, a kiedy reflektor omiata widownię, widzę uśmiechnięte twarze. Ale nagle zamiast aplauzu słyszę śmiech. Ludzie zaczynają wytykać mnie palcami. Spoglądam po sobie i widzę, że nie mam ubrania. Świecę gołym tyłkiem. Spada na mnie grad papierków po cukierkach oraz twardych, pożutych kawałków gumy. Młodzież podnosi w górę komórki i robi mi zdjęcia. Żadne moje słowa nie są w stanie ich powstrzymać. Odczuwam potworne poniżenie.

I właśnie wtedy się budzę. Zanim zdążę się zrehabilitować. Zanim mam czas wziąć odwet. Lubię myśleć, że na tym się opiera prawdziwe życie. Na zadośćuczynieniu i zemście. I jeśli jest wybór, wolę to drugie. Daje większą satysfakcję. Siedzę przy Fionie dobre dziesięć minut, zanim wreszcie się budzi.

- Cześć! - mówi, patrząc na mnie.

- Cześć! - odpowiadam, otaczając ją ramieniem. Przytula twarz do mojego policzka i trwamy tak przez

kilka minut, aż się zaczynam obawiać, że znowu zaśnie. Uderza mnie myśl, że być może cierpi na narkolepsję, taką chorobę, przy której ludzie zasypiają w trakcie tego, co akurat robią, i to nie ze zmęczenia, ale dlatego, że niektóre druciki w ich mózgu się nie stykają. Muszę przyznać, że coś mi w tym wszystkim nie gra. Pytam, czy jest głodna, a ona kręci głową. Pytam, czy się boi, a ona mówi, że nie. Chcę wiedzieć, czemu się nie boi, a ona mnie pyta, kiedy przyjdzie Cal. Mówię, że nie przyjdzie, że nie ma pojęcia, gdzie ona jest. Wpatruje się we mnie przez pół minuty. Wyraźnie widać moment, kiedy wszystko do niej dociera i rozumie już, co się dzieje. Właśnie wtedy pyta, czy mam na sumieniu Lianę Martin. Mówię, że tak. I wiecie, co ona wtedy robi? Nie uwierzycie! Uśmiecha się i znowu kładzie głowę na moim ramieniu.

Powiem wam, że to ostatnia rzecz, jakiej się można było spodziewać, i naprawdę ogarnia mnie panika. Jak podczas pobytu w zatłoczonym supermarkecie, gdy tłum przy kasie wypycha cię na przód kolejki, tyle że kasjerką jest anioł śmierci, a ty wykrzykujesz: Teraz moja kolej! Teraz ja!

- Nie boisz się? - pytam.

Zaprzecza ruchem głowy. Pasma jej włosów muskają mi kącik ust. Czuję zapach moreli.

- Jak to możliwe?

Znowu kręci głową, jakby nie umiała znaleźć odpowiedzi.

- Opowiedz mi o sobie - zachęcam. Nagle nachodzi mnie ochota, żeby lepiej ją poznać.

- Nie ma co opowiadać.

- Na pewno jest. Gdzie masz rodzinę? Matkę, ojca?

- Oboje umarli. -Jak?

- Na raka. Najpierw matka, a ojciec kilka lat po niej.

- Masz rodzeństwo?

- Brata. Pięć lat go nie widziałam.

- Jak to?

- Mieszka we Fresno - mówi, jakby to wszystko wyjaśniało.

Fresno zawsze wydawało mi się idiotyczną nazwą dla miasta i mówię jej to. Chichocze i zgadza się ze mną.

- Pochodzisz z Fresno? - pytam. Przytakuje.

- Tam poznałaś Cal'a? Ponownie przytakuje.

Mam wrażenie, że będę bez końca zadawać pytania, że wydobyć z niej cokolwiek zacznie przypominać wyrywanie zębów, lecz ona znowu mnie zaskakuje, bo w jednej chwili na moich oczach z niemowy zmienia się w gadułę.

- Poznałam Cal'a sześć lat temu, kiedy zachorował mój ojciec. Pracował wówczas w szpitalu jako sanitariusz. Uważałam, że jest bardzo przystojny. Chyba muszę wydawać się bardzo płytka - usprawiedliwiała się, jakby ona jedna na całym świecie zakochała się w kimś z powodu wyglądu, jakby nie tak właśnie funkcjonował świat. - Gapiłam się na niego, kiedy przynosił ojcu obiad. Któregoś dnia zaczął mnie i zapytał, czy nie wpadłabym do niego, kiedy skończy zmianę. Zaczęliśmy ze sobą chodzić. Po śmierci ojca wprowadził się do nas. Ale pokłócił się z bratem i Randy kazał mu się wynosić. No to poszłam razem z nim. Wynajęliśmy mieszkanie w suterenie, lecz Cal wdał się w awanturę z właścicielem i stamtąd też musieliśmy się wynieść.



- Widać Cal dużo się awanturuje - zauważam.
- Jest porywczy. Lubi, żeby wszystko było tak, jak on chce. Nie znosi wykrętów.
- Kiedy przenieśliście się na Florydę?
- Kilka lat temu. Cal powiedział, że jest tu dużo możliwości.
- A co ty na to? Wzrusza ramionami.
- Mnie było obojętne, gdzie zamieszkam.
- Nie żał ci było zostawić przyjaciół?
- Właściwie ich nie miałam - mówi ze smutkiem. -Dawniej spotykałam się z kilkoma koleżankami z pracy. Byłam recepcjonistką w salonie fryzjerskim, ale potem się zwolniłam. No i przestałam się z nimi widywać.
- Czemu zrezygnowałaś z pracy?
- Cal nie chciał, żebym pracowała. Mój ojciec był taki sam. Nie pozwalał mamie pracować. Mówił, że jej obowiązkiem jest dbać o niego.
- Czy to prawda, że Cal cię bił?
- Tylko gdy zasłużyłam - zastrzega się szybko Fiona.
- Czyli kiedy?
- Jeżeli go nie słuchałam, coś źle zrobiłam albo byłam dla niego niedobra.
- To znaczy? Rumieni się.
- No wiesz.
- Masz na myśli seks?
- Czasem robiłam coś nie tak. Bywało, że sprawiał mi ból, i wtedy płakałam. Nie lubił tego. Mówił, że to psuje nastrój.
- Do czego cię zmuszał?
- Czasami brał mnie od tyłu - mówi takim beznamiętnym głosem, jakby czytała listę zakupów. - Albo wiązał i wkładał różne rzeczy. Czasem bił mnie pasem. Czasami gryzł. Z trudem panuję nad obrzydzeniem.
- To bydlak.

- Zaslugiwałam na to. Powinnam się bardziej starać.  
- Co jeszcze mogłaś zrobić?  
- Nie zawsze dobrze wypadałam podczas inspekcji. -Co?  
- Codziennie robiliśmy inspekcję.  
- Nie rozumiem.  
- Cal mówił, że tylko w ten sposób może być pewien.  
- Czego?  
- Że jestem mu wierna.  
- O czym ty mówisz? Jaką inspekcję?  
- Kazał mi się rozbierać do naga i kłaść na łóżku. -Łzy poniżenia toczą się po policzkach Fiony. - Potem zaglądał mi za uszy, do ust. - Bierze głęboki oddech. -Między nogi. Wiecie co, powiem wam, zbierało mi się na wymioty. Te chore pomysły. Ciekawe, skąd przychodzą ludziom takie rzeczy do głowy. Tak, wiem, pewnie sam był molestowany w dzieciństwie. Bo tak to działa, prawda? Robi to, co uważa za naturalne. Ale takich ludzi należy powstrzymać. Stanowią prawdziwe zagrożenie, są niebezpieczni dla społeczeństwa i takie tam różne bzdety. Cal zasługuje na to, żeby zgnić w więzieniu.  
Satysfakcję sprawia mi myśl, że mam w tym swój udział.  
Ale uczciwie mówiąc, nie tylko Cal budzi moją odrazę. Jego żona napawa mnie równym obrzydzeniem. Żeby tak się poddać, ulegać perwersyjnym żądaniom, po prostu leżeć i pozwalać się oglądać jak kawał mięsa!  
Ohyda! Myślę, że musiała wyczytać odrazę z wyrazu moich oczu.  
- Zastrzelisz mnie? - pyta z tym swoim nieśmiałym i smutnym uśmiechem. I dodaje: - Nie przejmuj się. To nic. - Jakby dawała mi pozwolenie, na miłość boską! Jakby rozumiała. Jakby się zgadzała. A przecież nie o to mi w tym wszystkim chodzi. Jestem blisko zmiany decyzji, skoro mowa o zepsutym nastroju. Ale co mi pozostaje? Nie mogę jej wypuścić.

Muszę ją zastrzelić, chociaż jedyną radość czerpię ze świadomości, że mam coś w zanadrzu dla Cala. W jego domu leżą już sprytnie ukryte drobiazgi należące do Candy i Liany. Wiem, że wystawienie nakazu rewizji jest tylko kwestią czasu, i wtedy szeryf je odnajdzie. A ja pozbędę się ciała.

A teraz Cal Hamilton siedzi w stanowym areszcie pod zarzutem zabójstwa dwóch kobiet oraz jako główny podejrzany w związku ze zniknięciem trzeciej. Oczywiście bardzo głośno protestuje, twierdząc, że jest niewinny, że w życiu nie słyszał o żadnej Candy Abbot, że został wrobiony w zabójstwo Liany i że kochał swoją żonę. Jak się domyślicie, tę historię opisują wszystkie gazety, było o tym trochę nawet w CNN, ale nikt mu nie wierzy. Prawie można współczuć facetowi. Tylko że nikt mu nie współczuje. A już na pewno nie ja. Nie, cieszę się, że Cal jeszcze z miesiąc posiedzi w areszcie. Dzięki temu miasto odetchnie, ludzie pozbędą się strachu, w którym żyli przez ostatnie tygodnie, skończą się te brednie o wezwaniu FBI. Nie, szefie. Nie ma takiej potrzeby.

Bezwzględny zabójca siedzi za kratkami. Nasz szeryf jest bohaterem. Tak więc mam teraz czas na przegrupowanie, na staranne zaplanowanie następnego ruchu. Kończy się rok szkolny. Za mniej więcej sześć tygodni zacznie się lato. Wszyscy tęsknie wyczekują lepszej pogody, wakacji, wolności. Torrance High żyje zbliżającym się przedstawieniem. Premiera musicalu za cztery tygodnie, a grają go przez trzy wieczory. Obsada złożona z młodych zdolnych, a ja zamierzam wybrać z całej atrakcyjnej gromadki swą następną odtwórczynię głównej roli. Właściwie ona już dostała tę rolę. No właśnie, kiss mi, Kate.

Miesiąc później Sandy siedziała w przyciemnionym szkolnym audytorium pomiędzy zdenerwowaną Ritą Hensen a drzemiącym Lennym Frommem i czekała w napięciu na rozpoczęcie spektaklu. Dokładnie za nią zajął miejsce Avery Peterson, który przyszedł tu w pojedynkę, a dwa rzędy za nim mąż Sandy, Ian, który nie pojawił się sam. Obok, dosłownie przyklejona do niego, trzymając go pod rękę w zawłaszczający sposób, tkwiła Kerri Franklin, olśniewająca w swym soczystoróżowym kombinezonie, z masywnym naszyjnikiem z kolorowych paciorków, którego koniec ginał w głębokim dekolcie w szpic-

- Cycki i cekiny - podsumowała Rita, gdy Kerri sprężystym krokiem szła głównym przejściem w towarzystwie swej matki od głowy po stopy spowitej w żałobną czerń. Rose -wyraźnie niezadowolona - odkąd rozsiadła się w fotelu, ani na moment nie przestała zrzędzić.

- Na litość boską, ona jest tylko w chórze - mruzczała półgłosem. - Nie rozumiem, po co mnie tu zaciągnęłaś.

- Nie przyszłyśmy dla Delilah - przypomniała jej Kerri głosem, który dotarł do kilku rzędów.

- Córka lana gra główną rolę, pomyśleliśmy, że to dobra okazja, abyś ją zobaczyła. Według Sandy to ostatnie zdanie zostało wypowiedziane z afektacją i z przesadnym akcentem na słowie „pomyśleliśmy”.

Najwyraźniej ta informacja była przeznaczona w takim samym stopniu dla niej, co dla Rose.

- Dziwka! - syknęła Rita, najwyraźniej zgadzając się z niemą oceną Sandy. - Błagam, powiedz, że w końcu skontaktowałaś się z tym prawnikiem, o którym ci mówiłam. Sandy przecząco pokręciła głową.

- Jeszcze się do tego nie zabrałam.

- Co to znaczy: nie zabrałaś się?

- Mam zamiar to zrobić.

- To co cię wstrzymuje?

- On nie jest... - Sandy urwała, nie będąc w stanie wydobyć z siebie tego słowa. Ponieważ Ian poprosił o bilety na premierę, Sandy zdecydowała, że będzie rozsądniej i niewątpliwie bezpieczniej, jeśli obejrzy któreś z dwóch pozostałych przedstawień. Ustalono więc, że Ianowi przypada czwartek, Timowi piątek, a Sandy pójdzie w sobotę. W ten sposób podczas wszystkich przedstawień na widowni znajdzie się ktoś z rodziny Megan i wszyscy będą zadowoleni.

No jasne.

To był jeden z tych pomysłów, które wypalają jedynie w teorii. Niestety, jak w wielu wypadkach i tym razem nie wszystko poszło zgodnie z planem. W czwartek wieczorem, na godzinę przed podniesieniem kurtyny, Rose Cruikshank zaczęła narzekać na bóle w klatce piersiowej i Ian z Kerri musieli ją zawieźć do szpitala w Fort Lauderdale, gdzie ją zbadano i odesłano do domu. Oczywiście dziś ma się lepiej - pomyślała Sandy. Wyraźnie czuła się zobowiązana i zdeterminowana sprawić, aby wszyscy wokół cierpieli.

- Bóg świadkiem, że dość się nasłuchaliśmy tego okropnego miauczenia w domu - gderła.

- Mamo, przestań - protestowała słabo Kerri. - Deli-lah ma śliczny głos i dobrze o tym wiesz.

- To dlaczego zawsze śpiewa w chórze? Czemu nie gra którejsz z głównych ról? Zaczepne pytanie, po którym nastąpiło jeszcze głośnie prychnięcie, nie doczekało się reakcji, chociaż wszyscy w zasięgu słuchu udzielili na nie bezgłośnie odpowiedzi. Mówiąc wprost, Delilah nie jest odpowiednim materiałem na odtwórczynię głównych ról. I nie tusza stanowi tu główny problem - doszła do wniosku Sandy. To coś innego. Dziewczyna jest zbyt prostolinijna, brakuje jej tupetu. Jak przerośnięty szczeniak stara się wszystkich zadowolić. Może mieć najpiękniejszy głos

na świecie, ale i tak nigdy nie zostanie gwiazdą. W najlepszym wypadku przypadnie jej epizodyczna rola otyłej facecjonistki. Ten świat należy do dziewczyn pokroju Megan: trochę wyniosłych, długonogich piękności, o twarzach zdających się zdradzać głębie, której być może w ogóle nie ma, i z zaledwie przyjemnymi głosami. Ale to one zawsze grają główną rolę - zarówno na scenie, jak i w życiu. Być może to niesprawiedliwe, ale co jest sprawiedliwe?

Czy to sprawiedliwe, że mąż zostawił ją dla biuściastej cizi, że przyprowadził tę tlenioną blond lalę na przedstawienie do szkoły (na miłość boską - do szkoły, w której ona uczyła), gdzie publiczność w dużej mierze stanowili jej koledzy oraz uczniowie i wszyscy byli świadkami jej poniżenia? Czemu łan z ostatniego występu ich córki uczynił okazję do własnego, szokującego publicznego debiutu z Kerri Franklin? Wszyscy wiedzieli, że są razem. Po co ta ostentacja?

- Spójrz za siebie i dokładnie się przyjrzyj - odezwała się Rita. - A potem mi uczciwie powiedz, czy naprawdę chcesz, żeby wrócił.

Sandy obejrzała się powoli, omiatając spojrzeniem audytorium, jakby się za kimś rozglądała. Dostrzegła McGovernów i Perchaków, Arlingtonów oraz Falców. Zauważyła Johna Webera z żoną Pauline. A w trzecim rzędzie za sobą zobaczyła rozpartego w fotelu łana, który z głupkowatym uśmiechem na przystojnej twarzy słuchał czegoś, co szeptała mu do ucha przechylona ku niemu Kerri. Widziała, jak się roześmiał i jak wyciągnął rękę, kładąc ją matce Delilah na kolanie. A potem podniósł wzrok i natrafiając na spojrzenie Sandy, pomachał do niej drugą, wolną ręką i nieznacznie skłonił głowę.

Dobry Boże, on naprawdę do niej pomachał! Jakby była tylko przygodną znajomą czy

pacjentką, na którą się natknął poza gabinetem. Nie miał nawet tyle przy-

zwoitości, żeby zdjąć dłoń z kolana Kerri. To rzeczywiście kawał chu... drania -podsumowała w myślach.

- No i co? - spytała Rita, jakby czytając w jej myślach.

Sandy przymknęła oczy i nie odzywając się słowem, przeżywała głębię swego poniżenia. Poza tym odpowiedź na pytanie Rity brzmiałaby: tak. Nadal chciała, żeby wrócił.

- Kiedy oni wreszcie rozpoczną?! - niespodziewanie zadudnił głos Rose. - W czym problem? Sandy spojrzała na zegarek. Prawie dziesięć po ósmej. Pomyślała, że może rzeczywiście pojawił się jakiś problem, a potem przypomniała sobie słowa Megan, iż Lipsman lubi rozpoczynać przedstawienie z kilkuminutowym opóźnieniem, bo tak się robi na Broadwayu. Córka zdradziła jej również, że podczas spektaklu można zobaczyć szacownego reżysera, jak przemierza tam i z powrotem korytarz za audytorium, oczywiście pod warunkiem, że akurat nie puszcza pawia w pobliskiej toalecie. Sandy najchętniej dołączyłaby do niego. Niespodziewanie w tylnych rzędach rozległy się gwizdy. Joey Balfour - odgadła, nawet się nie oglądając.

- Zamknij się, Balfour, bo wpakuję cię do aresztu! -warknął szeryf, nagrodzony natychmiast spontanicznym aplauzem publiczności. Oklaski nie ustały, dopóki Weber nie podniósł się z miejsca i ukłonem nie podziękował za owacje, gdy w tym samym czasie Pauline pławiła się w jego chwale. W końcu to jej mąż uwolnił od lęków całą lokalną społeczność, wsadzając za kratki bezwzględnego zabójcę.

Tymczasem mój mąż - pomyślała Sandy - dostarcza atrakcji całej lokalnej społeczności, sypiając z sylikonową lalą.

- No, poszły konie po betonie! - powiedział Lenny Fromm, nagle otrząsając się z drzemki i zrywając na równe nogi. Cała sala natychmiast zrobiła to samo. Je-

dynie Rose Cruikshank i Ian Crosbie twardo tkwili w swoich fotelach. Kiedy po przedstawieniu rozblęły światła, Sandy wreszcie mogła się wyprostować, pozbyć ucisku w żołądku i z ulgą odetchnąć.

- Uff. To było niesamowite!

- Świetne! - zawtórowała jej Rita. - A Megan była cudowna!

- Brian również - powiedziała Sandy, kątem oka obserwując, jak Ian pomaga Rose Cruikshank podnieść się z fotela.

- Taak. Był niezły, prawda?

- Obie powinnyście być dumne - odezwał się Lenny Fromm, zanim wmieszał się w tłum, żeby przyjmować gratulacje. Przespał większą część drugiego aktu.

- Tak się bałam, że zrezygnuje w ostatniej chwili - zwierzyła się Rita. - Albo że zje go trema czy nagle dopadnie obsesja i stwierdzi, że w audytorium jest za mało powietrza.

- Już dobrze - uspokajała ją Sandy. - Już po wszystkim.

- Och tak. To naprawdę koniec. O Boże, jak ja się bałam!

- Bałaś się? - Sandy też się trochę denerwowała o Megan, ale żeby się aż bać?

- Nie mówię o sztuce.

- Nie rozumiem.

Rita potrząsnęła głową, jakby chciała powiedzieć: „nie tutaj”.

- Wpadniemy na chwilę do mojego gabinetu, zanim pójdziemy gratulować dzieciakom?

- Jasne. Coś się stało? - Obie kobiety ruszyły przejściem, przeciskając się przez tłum. Ian i Kerri już prowadzili Rose do szatni. Jest nadzieja, że zanim wróci, oboje zdążą pogratulować Megan.

- Co się dzieje? - Sandy ponowiła pytanie, gdy Rita otworzyła drzwi i obie weszły do środka.



Pielęgniarka pstryknęła wyłącznikiem górnego światła, przekręciła klucz w zamku i uderzyła w płacz.

- Rito, co ci jest?

- Jestem taka głupia!

- Wcale nie jesteś głupia.

Rita wyszarpnęła chusteczkę z pojemnika i wydmuchała nos, a potem delikatnie osuszyła mocno wytuszo-wane oczy.

- Na pewno zauważyłaś, że ostatnio byłam taka trochę szorstka - stwierdziła.

Sandy zrobiła minę, która znaczyła: „nie, wcale nie byłaś”, a Rita zrewanżowała się miną, mówiącą: „ależ tak, byłam i dobrze o tym wiesz”.

- No, może trochę - zgodziła się Sandy. - Uznałam, że jesteś na mnie zła...

- Nie byłam zła na ciebie. Byłam wściekła na siebie. - Zamilkła, podniosła dłonie do ust i zaraz je opuściła, jednocześnie zniżając głos: - Myślałam, że on to zrobił. - Słowa zadźwięczały w powietrzu jak kamyki bijące o szybę.

- Myślałaś, że kto i co zrobił?

- Brian. - Głos Rity zniżył się niemal do szeptu. - Myślałam, że ma coś wspólnego ze zniknięciem Fiony Hamilton. O Boże, dręczy mnie takie poczucie winy. Naprawdę byłam skłonna uwierzyć, że mój syn mógł zabić Lianę Martin.

- Co?! - powtórzyła Sandy, chociaż Bogiem a prawdą przez chwilę myślała podobnie.

- Jestem podła.

- Nie jesteś.

- Jaka matka może pomyśleć, że jej dziecko jest zdolne do popełnienia morderstwa?

- Nie martwiłaś się bez powodu - przypomniała jej Sandy, wracając myślami to tamtego wieczoru, gdy Rita zaalarmowała ją telefonem. - Dziwnie się zachowywał. Znalazłaś krew na koszuli.

- Tak, wiem, miałam prawo się martwić. Nawet kiedy szeryf doniósł mi o bójce Briana z Joeyem Balfourem, nie byłam do końca przekonana. Jeszcze gdy znaleźli tamte rzeczy w domu Cala i aresztowali go za zabójstwo, gdzieś w głębi duszy miałam...

- To był trudny czas dla nas wszystkich.

- Kiedy zmarł ojciec Briana... - zaczęła Rita i zamilkła. - Gdy popełnił samobójstwo - poprawiła się gorzkim tonem - i Brian znalazł go wiszącego...

-Rito...

Znowu łzy popłynęły strumieniem.

- Samolubny skurwysyn! Skoro chciał się powiesić, czemu nie wybrał jakiegoś dużego drzewa gdzieś na środku bagien? Musiał to zrobić w naszej łazience? Akurat tam, gdzie może wejść nasz syn i się na niego natknąć?

- Nie myślał racjonalnie.

- On w ogóle nie myślał, cholernik przeklęty!

- Musiał przeżywać straszne męczarnie.

- Pieprzę to wszystko! - uniosła się Rita. - Pieprzę jego męki! A nasz syn? To on wszedł do łazienki i znalazł go wiszącego z wywalonym językiem i z twarzą w zdecydowanie niekorzystnym odcieniu niebieskiego. Nic dziwnego, że biedactwo ciągle się boi, że zabraknie mu tlenu! - Padła w wyciągnięte ramiona Sandy. - On dzisiaj powinien być tutaj! Powinien tu być ze względu na swego syna!

Stały na środku ciasnego gabinetu. Sandy trzymała w ramionach drobną, rozszlochaną Ritę. Po chwili łkanie ustało, matka Briana wyprostowała się, uniosła głowę i uśmiechnęła się do Sandy.

-Już dobrze. Koszmar wreszcie się skończył. Cal siedzi w areszcie. Nie będzie więcej zabójstw. A mój syn, mój cudny, szalony chłopak, był dziś świetny na scenie.

- To prawda.

- No to co, jeśli jest pokręcony? Najważniejsze, że nie ma nic wspólnego z tymi zabójstwami. No nie?

Sandy jeszcze raz uściskała przyjaciółkę.

- Nastolatki mają prawo być pokręcone. Taka ich uroda.

- Czy my kiedyś w końcu wydorosłejemy? - spytała Rita, kiedy wracały korytarzem. Sandy pokręciła głową.

- Wątpię.

- Byłeś fantastyczny! - zawołała entuzjastycznie Rita, przepychając się przez tłum gratulujących w długim, wąskim korytarzu, żeby wyściskać syna. Brian pozwolił się objąć i wycałować.

- Dzięki.

- Czyż to nie słodkie? - skomentował stojący w pobliżu Joey Balfour.

- Brian, byłeś świetny - pochwaliła go Sandy, rzucając ostrzegawcze spojrzenie Joeyowi. -Moje gratulacje!

- Dziękuję. - Chłopak wytarł policzki po pocałunkach matki i spojrzał w stronę Perry'ego Falco, który przyglądał mu się z końca korytarza. Po krótkim wahaniu przywołał go machnięciem dłoni.

- Mamo, chcę ci kogoś przedstawić.

Sandy przeprosiła ich i udała się na poszukiwanie córki. Wszędzie pełno było dumnych rodziców i ludzi spieszących z gratulacjami. Członkowie aktorskiej trupy, w większości nadal w kostiumach i z pełnym makijażem, biegali pomiędzy czterema małymi przebieralniami, przyjmowali kolejne gratulacje i napawali się sukcesem. Sandy rozglądała się za Gordonem Lipsmanem, żeby powinszować mu dobrej roboty. Nie doceniała go - pomyślała. Może i był nadęty oraz pretensjonalny, lecz niewątpliwie miał talent. Zasłużył, żeby poklepać go po ramieniu, a nawet uściskać. Nie obcho-

dzilo jej, ile potem ich wspólnych zdjęć będzie krążyć w Internecie.

- Czy ktoś widział profesora Lipsmana? - zapytała.

- Chyba poszedł do domu - odezwał się Victor Drummond, wynurzając się z najbliższej przebieralni. - Mówił, że nie najlepiej się czuje.

Sandy ledwo poznała Victora bez białego pudru na twarzy. Zupełnie inaczej wyglądał. Wszyscy wyglądamy inaczej bez naszych masek – pomyślała.

- Byłeś świetny! - pochwaliła go szczerze, czując się ogromnie dumna ze wszystkich swoich uczniów.

Uklonił się nieśmiało.

- Megan jest w przebieralni, tej przedostatniej na końcu korytarza.

- Dziękuję.

Przedarcie się przez zapchany ludźmi korytarz zajęło jej całą minutę. Po drodze wymieniła zachwyty z Johnem i Pauline Weberami, a także z rodzicami Tanyi McGovern i Ginger Perchak. Wszyscy zgodnie twierdzili, że ich latorośle wykonały kawał dobrej roboty. Wszyscy z wyjątkiem ojca Grega Watta, którego nieobecność została ogólnie odnotowana.

- Greg! - Zajrzała do środkowej przebieralni, gdzie siedział samotnie i usuwał makijaż specjalnym kremem. Spojrzał w lustro na odbicie Sandy w otwartych drzwiach. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że świetnie dziś grałeś. Możesz być z siebie dumny.

Uśmiechnął się.

- Przepraszam za ten pocałunek z pani córką - powiedział z szelmowskim uśmiechem. - Profesor Lipsman mi kazał.

- O tak. Widziałam, z jaką niechęcią się do tego zabrałeś. Nagle przy Sandy wyrósł Joey Balfour.

- Greg, ty pedale! - wrzasnęła przez otwarte drzwi. Już miała zareagować, ale zrezygnowała.

- Greg, gratuluję! - powiedziała jedynie i przeciskając się obok Joeya, wycofała się na korytarz.

- No, to gdzie jest balanga? - doszło ją jeszcze pytanie Joeya, lecz nie dosłyszała odpowiedzi Grega.

Dotarła do drzwi ostatniej przebieralni i zobaczyła, że jest tam równie tłoczno jak na korytarzu. Zaczepnęła powietrza, modląc się, żeby nie natknąć się na lana.

- Mamo?

Odwróciła się w stronę głosu.

- Tim! Co tu robisz?

Wskazał na Amber, która zdążyła zmienić kostium na sweter i dżinsy, ale nadal miała sceniczny makijaż. Ten makijaż musi ważyć więcej niż ona - pomyślała Sandy, gdy Tim bezwiednie przestępował z nogi na nogę.

- Amber zaprosiła mnie na prywatkę dla obsady - powiedział ze spuszczoną głową, przez co słowa popłynęły w powietrze z wysokości mniej więcej klatki piersiowej.

- Och, to miło - odparła, usiłując ukryć zaskoczenie. - Gdzie jest ta prywatka? Tim uniósł ramiona.

- U kogoś w domu.

- No dobrze. - Sandy przyjęła to do wiadomości, a nutkę sarkazmu w jej głosie zagłuszył gwar w przebieralni.

- Poczekam na ciebie na zewnątrz. - Tim zwrócił się do Amber, a ona uśmiechnęła się w odpowiedzi i kokieteryjnie pomachała palcami.

Dobry Boże - westchnęła w duchu Sandy.

- Do zobaczenia, mamo!

- Nie wracaj zbyt późno! - Zwalczyła chęć przykazania mu, aby miał baczenie na siostrę.

- Cześć, mamo! - zawołała córka, przepychając się do niej przez tłum.

- Megan! - Objęła ją i mocno przytuliła. - Byłaś niesamowita!

- Ostrożnie! Wybrudzisz się makijażem.

- Nieważne. Jestem z ciebie taka dumna!

- Świetnie wypadło, nie?

- Doskonale - przyznała Sandy. - Byłam zdumiona. To znaczy wiedziałam, że będzie dobrze, ale nie sądziłam, że aż tak.

- Czy Greg nie był fantastyczny?

- Był - zgodziła się Sandy.

- Szkoda, że jego ojciec nie przyszedł go zobaczyć. Jest takim... dziwakiem.

- Podobno robicie imprezę dla obsady.

- Taak. To było ostatnie przedstawienie, no i w ogóle...

- A gdzie?

Megan wzruszyła ramionami.

- U kogoś w domu.

- Świetnie.

- Mamo, nie martw się. Cal Hamilton siedzi za kratkami.

- Tu nie chodzi o Cala Hamiltona - powiedziała dobitnie Sandy. Nadąsana córka odwróciła wzrok.

- Tak łatwo jest się zapomnieć pod wpływem chwili - ciągnęła cicho Sandy.

- Nie zapomnę się - oznajmiła dziewczyna.

- Obiecujesz?

- Hej, Megan! Dobrze się dziś spisałaś! - zawołał ktoś przez drzwi.

- Dzięki! - Uśmiech powrócił na twarz. - Przestań się zamartwiać - powiedziała do matki. - Jestem dużą dziewczynką. Dam sobie radę. Sandy pokiwała głową, pogłaskała córkę po długich, pięknych włosach.

- Wiem, że sobie poradzisz - powiedziała.

- Mamo?! - zawołała Megan, gdy matka zdążyła się odwrócić. - Naprawdę ładnie dziś wyglądasz.

Sandy poświęciła pół godziny na prostowanie włosów prostownicą córki, lecz gdy tylko wyszła na wilgotne powietrze, na powrót zaczęły się skręcać w pierś-

cionki i loczki. Podczas uścisków z Megan i Timem starty się resztki nowej pomadki w odcieniu dojrzałej brzoskwini.

- Dziękuję, skarbie.

- Mamuś...

Sandy czekała na dalszy ciąg.

- Nie wrócę późno.

Wyszła uśmiechnięta z przebieralni i ruszyła korytarzem. Ma dwoje udanych dzieciaków -myślała - utalentowaną i bystrą córkę oraz uroczonego, wrażliwego syna. Oboje są na progu dorosłości. Oboje czeka świetna przyszłość. Ma z czego być dumna. Znajomy głos wyrwał ją z zadumy.

- To nie w porządku! - Delilah wypadła jak burza z przebieralni na końcu holu. - Profesor Crosbie, niech im pani powie, że to nie w porządku! - zawołała, podbiegając do Sandy. Niechętnie przystanęła i odwróciła się.

- Delilah, co nie jest w porządku? - Teraz w zasięgu wzroku miała zbliżającą się Kerri.

- Babcia nie czuje się dobrze, więc kazali mi ją odwieźć do domu i dopilnować, żeby się położyła.

- Delilah, to naprawdę nikogo nie obchodzi - strofowała ją Kerri.

- Idę na prywatkę - upierała się dziewczyna.

- Odwozisz babcię do domu.

- Czemu ty nie możesz jej zawieźć?

- Bo mamy z łanem inne plany. - Kerri wyraźnie skierowała te słowa do Sandy. - A teraz przestań się ze mną targować. Jak ułożysz babcię, możesz iść na prywatkę.

- Kapitalnie. - Delilah nie ruszyła się z miejsca.

- Im szybciej zdejmiesz kostium i odwieziesz babcię do domu - przemogła się Sandy - tym prędzej znajdziesz się na prywatce. - Podniosła wzrok i zobaczyła, że Ian się do niej uśmiecha.  
- Wyglądasz świetnie - powiedział, bezgłośnie poruszając wargami. Zanim Sandy zdążyła przetrwać ten komplement, oboje z Kerri wyszli z holu.

29

- Idziemy całą gromadą opić sukces w barze U Che-stera - mówiła Rita, kiedy szły razem w stronę parkingu dla nauczycieli. - Wchodzisz w to? Sandy pokręciła głową.  
- Chyba nie.  
- Oj, chodź!  
- Jestem trochę zmęczona.  
- Nie jesteś. Wkurzyłaś się, bo Ian...  
- Wcale nie - zniecierpliwiła się, a niespodziewany komplement męża dźwięczał jej w uszach jak ulubiona piosenka. Co to miało znaczyć? Czy w ogóle cokolwiek znaczyło? - Posłuchaj, powiedzmy, że nie jestem w nastroju, okay?  
Rita uniosła ręce w górę na znak, że się poddaje.  
- W porządku. Nie ma sprawy. Wiesz, gdzie nas znaleźć, gdybyś przypadkiem zmieniła zdanie.  
- Bawcie się dobrze. - Sandy patrzyła, jak przyjaciółka wsiada do samochodu. Dookoła niej ludzie rozmawiali i śmiali się, trzaskały drzwiczki aut, warczały uruchamiane silniki.  
- Dobranoc! - zawołał ktoś i Sandy obejrzała się w stronę, skąd padło pozdrowienie. Ale ten ktoś zdążył już zniknąć, a kiedy się odwróciła, samochód Rity wyjeżdżał z parkingu. Skręcając w ulicę, przyjaciółka dała sygnał klaksonem, a Sandy pomachała.  
- Wiesz, gdzie nas szukać! - zawołała jeszcze Rita przez otwarte okno.  
- Wiem, gdzie was szukać - cicho powtórzyła Sandy, a jej słowa poniosły się echem w nagle nieruchomym wieczornym powietrzu. - Nareszcie sama - powiedziała do siebie, kierując się do auta. Zdziwiła się, że jej sa-



mochód nie jest jedynym na parkingu, lecz z miejsca skojarzyła, do kogo należy stary czarny mercury. Przecież Victor Drummond mówił, że Lipsmana już nie ma, że nie czuł się dobrze. Co tu robi jego auto?

- Gordon?! - zawołała, zbliżając się powoli do samochodu i rozglądając czujnie na boki. -Gordon?!

Cisza. Gdzieś z oddali dobiegł pisk opon i śmiechy młodzieży. Miała nadzieję, że wszyscy będą jechać ostrożnie oraz zachowają rozsądek, i jednocześnie wzniosła podziękowanie ku rozgwieżdżonemu niebu za to, że Cal Hamilton siedzi za kratkami i że skończył się wreszcie koszmar Torrance. Jedno zmartwienie mniej -pomyślała z wdzięcznością. Pewnie ktoś zaofiarował się odwiedzić Lipsmana do domu - uznała, gdy dochodząc do samochodu, zajrzała do wnętrza. Logiczne. Nie powinien prowadzić, skoro się źle poczuł. Szkoda - pomyślała. Tyle pracy włożył w to wszystko i nie nacieszył się sukcesem. Wszystkim od czasu do czasu należy się odrobina podziwu i uznania - podsumowała.

- Sandy? - dobiegł ją tak cichy szept, że nie była pewna, czy przypadkiem nie jest wytworem jej wyobraźni, dopóki nie usłyszała go ponownie. - Sandy?

Gwałtownie zwróciła głowę tam, skąd dochodził. Chyba z rzędu krzewów ognistoczerwonych hibiskusów rosnących po drugiej stronie parkingu.

- Kto tam jest? - zapytała, zbliżając się ostrożnie.

- Pomóż mi - ponaglił ją głos, niosąc się ku niej drżącą falą w spokojnym powietrzu. Rozejrzała się po pustym teraz parkingu.

- Cholera! - mruknęła pod nosem, pełna strachu i wahania, czy nie lepiej wziąć nogi za pas. To właśnie ten moment - przebiegło jej przez myśl. Jedna z takich chwil w filmach, gdy głupia bohaterka pcha się tam, gdzie nie powinna, wszyscy widzowie krzyczą: „nie idź!", a ona i tak idzie, wyciągając szyję, aż w końcu jakiś wariat w kominiarce odcina jej maczetą głowę. Nie idź, nie idź -

słyszała skandowanie niewidzialnej publiczności, gdy dochodziła do krzewów i rozgarniała karminowe kwiaty.

- Sandy! - usłyszała.

- Lipsman! - zawołała na widok nauczyciela dramatu wyciągniętego na ziemi.

- Proszę, pomóż mi. - Usiłował wyciągnąć rękę, lecz tylko zamachał nią bezwładnie, przy czym omal nie uderzył jej w twarz.

- Gordon, na miłość boską! Co tu robisz?! - Sandy chwyciła profesora za rękę i usiłowała podciągnąć z ziemi, lecz jego spocone palce co chwila wymykały jej się z dłoni, a on z powrotem lądował na plecach. Wreszcie się podniósł i stał, balansując na palcach. Jak linoskoczek, który łapie równowagę, wyrzucił ręce na boki, po czym zatoczył się na Sandy. Gdy poleciał na nią, wparta obcasami w chodnik utrzymała się w pionie wyłącznie dzięki sile woli.

- Przepraszam cię za to - powiedział, prostując krawat w czerwono-złote paski.

- Co z tobą?

- Nie czuję się najlepiej. - Uchwycił się pędów hibiskusa, żeby nie stracić równowagi. - Postanowiłem się na chwilę położyć. A potem nie mogłem wstać. - Czknął. Powietrze natychmiast wypełnił ostry odór whisky.

- Jesteś pijany! - Sandy usiłowała się wycofać poza zasięg przykrego zapachu, który zdążył otoczyć ją ze wszystkich stron.

- Mówisz jak moja matka.

- Dobry Boże! - Ponownie rozejrzała się po pustym parkingu z nadzieją, że może ktoś jeszcze się pojawił, z góry wiedząc, że nie ma na co liczyć. - Ostrożnie! - ostrzegła go, gdy przydreptał chwiejnie i oparł rękę na jej ramieniu, ciężką niczym lwia łapa.

- Widziałas Kote? - zapytał.

Nie od razu się zorientowała, że ma na myśli sztukę, a nie konkretną osobę.

- Tak. Świetne przedstawienie.

- Uważam, że zwałało z nóg. Po prostu zwałało z nóg! - orzekł z kiepskim brytyjskim akcentem. - Nie?

Ty sam jesteś zwalony z nóg - pomyślała, zachowując jednak tę refleksję dla siebie.

- Myślisz, że możesz się utrzymać o własnych siłach? - spytała, pragnąc, aby jak najszybciej zabrał rękę, zanim ona wyląduje pod jego ciężarem na kolanach.

- Och tak. Naturalnie. - Cofnął dłoń. Kiwał się w tył i w przód jak metronom. - Twoja córka była rewelacyjna.

- Tak, była świetna.

- Nie świetna - poprawił ją Gordon. - Rewelacyjna!

- No, rewelacyjna. - Sandy spojrzała bezradnie w kierunku wylotu pustej ulicy. - Gordon, co my z tobą zrobimy? - Czemu zawsze pakuje się w kłopoty? Dlaczego po prostu nie pojechała z Ritą i z całą paczką do Chestera? Czemu musi martwić się teraz o pijanego nauczyciela dramatu?

- Nie było łatwo - zakomunikował Gordon. - Te dzieciaki mają talent, ale są leniwe. Nie chce im się pracować. Zależy im wyłącznie na gwiazdorstwie. Wszyscy chcą być gwiazdami.

- Jak my cię odstawimy do domu?

Gordon wydawał się lekko zaniepokojony. Ale tak potwornie zezował, że nie była tego do końca pewna.

- Mam samochód. - Machnął ręką w szeroko pojętym kierunku, omal się przy tym nie przewracając.

- No jasne. Akurat możesz się za kierownicą. Chodź! - Wzięła go pod ramię i prowadziła jak ślepcę. - Chyba będę musiała cię zawieźć.

- Naprawdę? To okropnie uprzejmie z twojej strony. A mam wybór? - spytała się w duchu, prowadząc go powoli do samochodu i pomagając usiąść na przednim fotelu.

- Szczerze mówiąc, nie czuję się dobrze - powiedział takim tonem, jakby powierzał jej jakąś głęboką, mroczną tajemnicę.

- Błagam, tylko mi nie mów, że będziesz wymiotował.
- Mam nadzieję, że nie. Matka by się wściekła. - Zarechotał piskliwie dyszkantem, rozpylając przy okazji niewidoczne drobinki whisky. - No oczywiście, matka nie żyje. - Zaśmiał się ponownie.

O Boże - westchnęła Sandy, siadając za kierownicą i przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Jeśli poczujesz, że zbiera ci się na wymioty, daj jakoś znać, żebym zjechała na pobocze.

- Matka zawsze kazała mi głęboko oddychać.

- Dobry pomysł.

- Powtarzała, żebym wycierał buty i uważał na dobre maniery.

- Powinno się wycierać buty i uważać na maniery -zgodziła się Sandy, wyjeżdżając z parkingu i starając się sobie przypomnieć trasę do domu Lipsmana.

Proszę skrócić za rogiem. Potem prosto do Citrus Grove -dzwoniły jej w uszach instrukcje

Delilah.

- I jak tam? - spytała minutę później, widząc zwieszoną głowę profesora.

- Oddycham głęboko - zameldował niezgodnie z prawdą.

Błagam, oby tylko nie puścił mi pawia w samochodzie - myślała, skręcając za róg. Dojechali bez żadnych incydentów do Citrus Grove i znowu skręciła w prawo. O ile dobrze zapamiętała, po mniej więcej ośmiuset metrach powinna skręcić w lewo.

- Dokąd jedziemy? - zapytał niespodziewanie Gordon, prostując się energicznie i rozglądając dookoła pomimo ciemności.

- Odwożę cię do domu - przypomniała mu Sandy.

- Mogłabyś mnie zabrać do siebie - zasugerował, pokazując zęby w uśmiechu, który bardziej działał na nerwy, niż ujmował.

- Nie, nie mogłabym.

- Czemu nie? Nie lubisz mnie, Sandy?

Uznała, że najlepiej będzie od razu uciąć tę rozmowę.

- Gordon, dobrze jadę? - Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła (poza przekomarzaniem się z facetem, który niemal budził w niej odrazę), było ponowne błędzenie po płataninie dróg. Stała jej przed oczami tamta jazda z Delilah i zadrżała na wspomnienie ponurego odkrycia na poboczu.

- Zimno ci? - zainteresował się.

- Co? Nie. Jest w sam raz. Dobrze jadę?

- Nie wiem. Nie wygląda to znajomo.

- Gordon, skup się!

- Skupiam się. - Zatrzymał mocno zezujące oczy na jej prawym profilu. - Wiesz, jesteś piękną kobietą.

- Skręcam w lewo, tak?

- W lewo, w prawo. Co?

- Boże, Gordon, musisz uważać. Teraz mam skręcić w lewo. Tak?

-Tak.

- No dobra. W porządku.

- Ale byłoby szybciej, gdybyś skręciła w prawo. -Co?

- Tam jest skrót.

- Tak? Jesteś pewny?

- Naturalnie, że jestem pewny.

Niepojęte, on najwyraźniej się poczuł obrażony - pomyślała Sandy.

- Dobra, czy w takim razie jesteś w stanie mnie pokierować?

- Tak, moja droga - potwierdził z tym swoim głupawym uśmiechem. - Tym się właśnie zajmuję. Kieruję i reżyseruję. - Po raz trzeci tego wieczoru zachichotał piskliwie. - Tak w ogóle zastanawiam się nad wyreżyserowaniem opery rockowej Rent. Co o tym myślisz?

- Bardzo ambitny plan - odparła w roztargnieniu. Całą uwagę skupiła na nieznanej drodze przed sobą.

- Nie ma nic złego w odrobinie ambicji. - Głos Gordona zabrzmiał lodowato.

- Jasne, że nie. - Dokąd oni jadą? Powinna się trzymać zapamiętanej trasy. A jeśli wskazał jej złą drogę i przez pół nocy będą kręcić się w kółko? Przede wszystkim czemu zaproponowała, że odwiezie go do domu? Dlaczego nie zasugerowała, aby przespał się do rana w swoim samochodzie? Czemu w Torrance nie było taksówek? Dlaczego wzdłuż drogi nie stało więcej latarni? Co będzie, jeśli samochód się zepsuje albo złapie gumę? Czemu nie zabrała ze sobą komórki, żeby zadzwonić po pomoc w razie jakiejś przykrej niespodzianki? Gdzie ona ma głowę?
- Widziałaś?
  - Co takiego? - Czyżby przeoczyła skręt w Admirals Road?
  - Rent.
  - Och. Tak, tak. Widziałam.
  - Na Broadwayu?
  - Tak.
  - Z oryginalną obsadą?
  - Chyba. Tak.
  - Mam album z pierwszą obsadą.
  - Dobrze.
  - To nie to samo, co oglądanie musicalu.
  - Raczej nie.
  - Chciałem go zobaczyć - wyznał ponuro. - Ale matka stwierdziła, że nie będzie jechać taki kawał drogi, żeby obejrzeć skundloną wersję Cyganerii. Tak właśnie go nazwała. Skundloną wersja. - Potrząsnął głową. - Kurczę. Nie powinna tego robić.
  - Oddychaj głęboko - upomniała go Sandy.
  - Tak, mam.
  - Mam dalej jechać prosto?
  - Prosto i uczciwie.
  - Gordon...
  - Poza tym nie mogliśmy zostawić kotów.
  - Co?
  - Jak można wyjechać i zostawić koty?

- Mogłeś pojechać bez niej - wyrwało się Sandy i zaraz tego pożałowała. Czy naprawdę miała ochotę ciągnąć tę rozmowę?
- O nie. Absolutnie nie mogłem tego zrobić.
- Byłeś dobrym synem.
- Ba, a miałem inne wyjście? Nie było nikogo innego, kto by się nią zajął.
- Żadnej rodziny? - Przyszły jej na myśl zdjęcia, które widziała u Gordona w domu: dwie ładne młode panny wyraźnie w dobrej komitywie.
- Miała siostrę, ale dawno umarła. Wypadek samochodowy. A właśnie: ile masz na liczniku? Sandy się zorientowała, że jedzie za szybko, i zwolniła do dozwolonych trzydziestu mil na godzinę.
- A ty? - spytała. - Nie miałeś rodzeństwa?
- Nie. Jestem jedynakiem. W pewnym sensie - dodał z nieprzyjemnym półśmiechem.
- Ach tak. - Aty?
- Mam brata w Kalifornii.
- Działa w branży filmowej. Sandy roześmiała się mimo woli.
- Nie. Pracuje w jakiejś wielkiej korporacji internetowej.
- Naprawdę? A jego siostra nie ma nawet telefonu komórkowego? Dziwne. Sandy poczuła coś na kształt niepokoju.
- Skąd wiesz, że nie mam komórki?
- Och, wiem o tobie bardzo dużo, pani Crosbie.
- Na przykład?
- Że jesteś piękna. Sandy głośno sapnęła.
- Skąd wiesz, że nie mam komórki?
- Wiem, że twój mąż odszedł do matki Delilah.
- Skąd wiesz, że nie mam komórki? Parsknął śmiechem.

- Przepraszam, czy mogłabyś powtórzyć pytanie?

- Gordon...

- Tak, tak, tak. Skąd wiem, że nie masz komórki? -Zawiesił głos dla lepszego efektu. - Zdaje się, że Delilah wspomniała o tym przelotnie, kiedy raczyła obsadę opowieścią o tym, jak natknęłyście się na zwłoki pani Hamilton tamtego popołudnia, gdy posłałem ją po partyturę. Zresztą to niezdarne dziewczuszyisko kompletnie ją zniszczyło. Skręć tu w prawo.

- Jesteś pewien?

- Bardzo pewien - potwierdził, nagle całkiem trzeźwy i opanowany.

Gdy raczyła opowieścią - powtórzyła w myślach Sandy, skręcając w prawo. Czy można to ująć bardziej pretensjonalnie? Czy możliwe, aby ta droga była jeszcze bardziej monotonna od tej, z której zjechali?

Wyteżając wzrok, wpatrywała się w pole po prawej stronie. Nie ma nawet drzewek pomarańczowych - pomyślała akurat w chwili, gdy w oddali, na końcu pola, ukazała się stara, porzucona zagroda. Nie pamiętała, aby przedtem ją tu widziała, a i tym razem też by zapewne przeoczyła to domostwo, gdyby nie gwiazdy, które tworzyły coś na kształt aureoli nad zapadniętym dachem.

- Co to za miejsce? - zapytała, spoglądając ponad głową Gordona.

To, co nastąpiło, stało się tak błyskawicznie, że zaskoczyło ją zupełnie nieprzygotowaną. W jednej sekundzie patrzyła za okno, a w drugiej na lubieżną twarz, zezujące oczy i bulwiasty nos Gordona Lipsmana, gdy jego miękkie wargi przylgnęły do jej ust. Uderzyła potylicą w boczną szybę, straciła kontrolę nad kierownicą i samochodem zarzuciło na lewo. Instynktownie nacisnęła hamulec. Auto, wykonując półobrót, zjechało z drogi i zatrzymało się na poboczu.

- Do cholery, co ty wyprawiasz! - wrzasnęła, bijąc Gordona po barkach i usiłując wyrwać się spod mięsistych warg.



- Auu! - jęknął, odpychając jej ręce, cały czas z ustami na jej ustach, jakby skleił ich super glue.
- Rany boskie, Gordon, odsuń się!
- Już w porządku.
- Nic nie jest w porządku! Zwariowałaś? - W końcu udało jej się odepchnąć go na długość ramienia. Opadł na boczną szybę i sapał głośno. Potem kilka razy gwałtownie zaczerpnął powietrza i przez jeden upiorny moment miała wrażenie, że zaraz na nią zwymiotuje. Tymczasem on zawołał:
- Kiss me, Kate! - i ponownie rzucił się na nią. Może i byłoby to zabawne, gdyby nie budziło obrzydzenia.
- Chryste! - wybełkotała, ledwo unikając kontaktu z lepкими ustami. - Uspokój się! W tej chwili przestań!
- Gdy z uporem maniaka ponawiał próby sięgnięcia do jej ust, trzasnęła go z całej siły w twarz. To ostudziło jego zapał.
- Co się stało? - zapytał, starając się skupić rozbiegane oczy.
- Ty mi powiedz.
- Skąd mam wiedzieć - uniósł się. - W jednej chwili skarżysz się, jaka jesteś samotna...
- Wcale nie mówiłam, że jestem samotna. Ty tak o mnie powiedziałaś.
- Opowiadasz o rozwodzie, o rodzinie...
- Nic takiego nie mówiłam.
- A nie wspomniałaś o bracie w Kalifornii?
- Na miłość boską, to była zwykła towarzyska rozmowa.
- Zaproponowałaś odwiezienie do domu.
- Bo chciałam być miła.
- Bo jesteś zainteresowana.
- Ty idioto, wcale nie jestem zainteresowana!
- Widziałem, jak na mnie patrzysz.
- Co?! - Jeszcze chwila, a zwariuje! - O czym ty mówisz?!

- Wysyłasz niejednoznaczne sygnały.
- Ja wysyłam niejednoznaczne sygnały?!
- Trudno cię rozgryźć.

Usiłowała doszukać się sensu w jego zarzutach. Czyżby w jakiś sposób wprowadziła go w błąd, sprawiła swoim zachowaniem, że tak opacznie ją zrozumiął? Czy naprawdę usiłowała przemawiać do rozumu facetowi, który jeszcze przed chwilą leżał jak kłoda w krzakach hibiskusa?

- W takim razie posłuchaj. Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą...
- Jest.

- Jeśli rzeczywiście uważasz, że cię w jakikolwiek sposób sprowokowałam, to bardzo mi przykro.

Czy naprawdę tłumaczy się przed nim tak jak miesiąc temu przed Willem Bakerem? Tamten w zasadzie miał prawo mieć do niej pretensje, lecz Lipsman? Czy rzeczywiście jej zachowanie było niejednoznaczne?

- Możemy już ruszać? - rzucił Gordon.

Sandy bez słowa uruchomiła silnik i zjechała na drogę.

- Na następnym skrzyżowaniu skręć w lewo - poinstruował ją chłodno.

Włączyła kierunkowskaz, żeby zasygnalizować zamiar skrętu, chociaż na drodze nie było ani jednego samochodu. Spojrzała we wsteczne lusterko; stara zagroda z zapadniętym dachem znikła w ciemnościach nocy.

30

- Cześć wszystkim, Joey przyszedł! - wrzasnął Joey Balfour, przekrzykując głośną muzykę z najnowszego odtwarzacza surround system. Ze skrzynką piwa nad głową, dumnie wmaszerował przez drzwi.
- Ogłaszam oficjalne rozpoczęcie balangi!

Megan słuchała przedłużających się braw, którym towarzyszyły pohukiwania i gwizdy na cześć Joeya, tu i ówdzie zakłócone paroma niechętnymi pomrukami i okrzykami dezaprobaty.

- Cała dzielnica nasza! - wyskandował ktoś.

- Dupek! - mruknął ktoś inny.

Impreza odbywała się w domu Lonny'ego Reynoldsa. Co prawda Lonny grał tylko małą rolę w Kiss me Kate, ale za to miał duży dom, a co najważniejsze - jego rodzice wyjechali na weekend. Na tę okazję wyniesiono z salonu wszystkie meble, a cała obsada Kate uroczyście przyrzekła Lonny'emu, że w niedzielę wszystko zostanie przywrócone do pierwotnego stanu, tak aby rodzice niczego się nie domyślili.

- Z drogi, pedały! - rozkazał Joey ze śmiechem, lawirując między tańczącymi na środku zatłoczonego salonu. Przepchnął się przez grupkę chłopaków dyskutujących z ożywieniem o meczu koszykówki, którego wieczorem nie mieli jak obejrzeć w telewizji, a w drodze do kuchni znajdującej się na tyłach domu mrugnął porozumiewawczo do Grega. Megan poczuła się nieswojo. To mrugnięcie świadczyło o sekretach i tajnych porozumieniach. Zerknęła na Grega, który jedną rękę trzymał niedbale zarzuconą na jej barki, a w drugiej ścisnął za szyjkę prawie opróżnioną butelkę piwa. To było jego czwarte piwo, a przebywali tu niecałą godzinę. Odgadywała po coraz bardziej ciężącym jej ramieniu, że zdążył się nieźle zaprawić.

- O co mu chodziło?

- Co: o co chodziło?

- Z tym mrugnięciem. Greg parsknął śmiechem.

- Jakim mrugnięciem?

- Joey puścił do ciebie oko.

Greg pokręcił głową i pociągnął łyk z butelki.

- Nie zauważyłem.

Megan omal się nie wyrwało: Jak mogłeś nie zauważyć? Przecież wyraźnie mrugnął do ciebie. Jednak w porę się powstrzymała, bo tak właśnie mówiła jej matka do ojca. Ograniczyła się jedynie do stwierdzenia:

- Wolałabym, żeby on nie mówił takich rzeczy.
- Wolałabyś, żeby kto nie mówił jakich rzeczy?
- Joey. Wyzywa wszystkich od pedałów.

Zbył tę uwagę machnięciem ręki z butelką. Cienki strumyczek piwa wyleciał łukiem w powietrze i kilka kropli wielkości monet rozprysło się na podłodze, niebezpiecznie blisko jej nowych kozaczków z rudego zamszu.

- On się tylko tak wygłupia. To nic nie znaczy.
- W takim razie po co tak mówi?

W odpowiedzi Greg pochylił się i pocałował ją. Rozdrażnienie zniknęło pod dotknięciem jego warg. Poczowała smak piwa na języku chłopaka. Zastanowiło ją, czy można w ten sposób się upić, tak jak można naćpać się dymem wdmuchiwanym z ust do ust. To może człowieka zabić - zdążyła jeszcze pomyśleć, zanim pocałował ją ponownie; tym razem mocniej i dłużej.

- Sypialnie są na górze - rzucił Victor Drummond, przechodząc obok i ciągnąc za sobą woń marihuany.

Megan szybko wysunęła się z objęć i spuściwszy głowę, wpatrywała się w podłogę z beżowego marmuru.

- O co ci znowu chodzi? - zaśmiał się Greg. W tym znowu czaiła się pretensja.
- O nic.
- Czy ktoś ci już mówił, żebyś za bardzo nie brała do serca tego, co inni gadają? To pytanie dotknęło ją jak dźgnięcie nożem pod żebro.
- Nie przejmuję się tym, co inni mówią - zaprotestowała, rozglądając się dyskretnie, czy nikt nie podsłuchuje ich rozmowy.
- Nie? -Nie.

- Naprawdę? No to chodź ze mną na górę.

Odszedł od dziewczyny, postawił pustą butelkę na pobliskim stoliku i wyciągnął do niej rękę. Joey Balfour natychmiast wcisnął mu w dłoń nowe piwo.

- Uwierz mi. Zimne piwko jest lepsze od seksu -oświadczył.

- Tylko jeśli uprawiasz go sam z sobą, pedale - skwitował ze śmiechem Greg. - No, przestań -powiedział do Megan, widząc, że się nachmurzyła. Wypił długi łyk piwa i podsunął jej butelkę.

- Masz. Łyknij sobie. Może to cię trochę wyluzuje.

- Nie, dzięki. Nie lubię piwa.

- Czy w ogóle jest coś, co ona lubi? - zapytał drwiąco Joey.

Megan poczuła, jak pieką ją policzki, a powietrze gęstnieje. Czujna cisza zastąpiła ryczącą muzykę. Wirujące ciała odwróciły się do niej, zastygając w oczekiwaniu. Zaciekawione oczy wpatrywały się w nią, czekając, co zrobi.

Przynajmniej tak się jej zdawało, bo w rzeczywistości muzyka nadal grała, tancerze podrygiwali i tylko kilka osób im się przyglądało.

Wszyscy, poza nią, zdawali się dobrze bawić, tylko ona jedna, sztywniaczka, nie potrafiła się wyluzować, rzucić w wir zabawy. Przecież to balanga! Impreza dla obsady! I jest gwiazdą przedstawienia. Wszystkie dziewczyny jej zazdroszczą. Bo nie dość, że dostała główną rolę, Kate - którą zagrała fantastycznie (przynajmniej wszyscy tak mówili), to jeszcze partnerował jej seksowny facet, na którego miały ochotę wszystkie dziewczyny. A on miał ochotę na nią.

Tylko że robił się niecierpliwy. Wyczuwała to. Dziś mieli ostatni spektakl. Gra, która toczyła się między nimi, przeżyła się. Kate i Petruchio opuścili budynek. Zostali tylko Greg i Megan. Jak długo Megan może kazać czekać Gregowi? Dlaczego ma kazać mu czekać? - to py-

tanie dźwięczało jej w głowie w rytmie dudniącej muzyki. Bo jej matka nie była gotowa? Tak łatwo jest się zapomnieć pod wpływem chwili - powiedziała Sandy. Nie zapomnę się. Obiecujesz?

Zdecydowanym gestem wyjęła Gregowi z ręki butelkę i wypła duszkiem połowę zawartości. Niczego matce nie obiecywała.

- Ho! Patrzcie tylko! - zawołał Joey. - Ta dziewczyna to rutyniara! Przestań się zamartwiać. Jestem dużą dziewczynką. Dam sobie radę. Megan walczyła z wymiotnym odruchem, gdy wokół niej rozległy się spontaniczne oklaski. Wkrótce rozkołysane sylwetki zaczęły się oddalać, ciekawe oczy odwracać i mącić, zatracone w upartym rytmie basowej gitary. Obejrzała się i natrafiła spojrzeniem na brata, który -wyraźnie zaniepokojony - obserwował ją z kąta, więc specjalnie pociągnęła z butelki jeszcze jeden spory łyk. Piwo chlupnęło i pociekło po brodzie. Greg natychmiast zlizwał krople z jej szyi.

- Hej, Meg - odezwał się Tim, podchodząc. Amber szła tuż za nim z palcami zatkniętymi za tylne kieszenie jego dżinsów. - Uważaj z tym. Okay?

- A jeśli ona nie ma ochoty uważać, pedale? - zaczepił go Joey.

- Spadaj! - odciął się Tim.

Oczy Megan zrobiły się okrągłe z przerażenia. Jej brat naprawdę powiedział Joeyowi Balfourowi, żeby „spadał”?!

Joey zatoczył się, łapiąc za serce, jakby trafiony kulą.

- Słucham? Co ty powiedziałaś, pedale?

- Powiedział, że wszyscy idą tańczyć! - interweniowała Amber, pociągając Tima na środek pokoju, gdzie szybko wmieszali się w tłum tańczących.

- Stary, to córka szeryfa. - Greg przypomniał Joeyowi, który wyglądał tak, jakby za chwilę miał roznieść cały pokój. - Chyba nie chcesz, żeby zadzwoniła po tatusia, co? Ostrzeżenie Grega powoli dotarło do Joeya. Zwrócił mętne oczy na Megan.

- Twój braciszek jest pyskaty.

- On się tylko tak wygłupia - powiedziała, celowo cytując wcześniejsze powiedzenie Grega. - To nic nie znaczy.

Greg się uśmiechnął.

- A ty czego się głupio uśmiechasz? - naskoczył na niego Joey, wyraźnie szukając zaczepki.

- Wyluzuj, stary! - uspokajał go Greg. - Wpadasz w paranoję.

- Taak? Zaczynacie mi grać na nerwach. Ty i ta twoja księżniczka. Drzwi frontowe się otworzyły i do domu wkroczyła Delilah Franklin.

- Kurde, co tak cuchnie? - zapytał Joey, zbliżając się do niej rozkołysanym krokiem. - Cześć, Deli! Zapomniałaś użyć papieru toaletowego?

Zignorowała go tak samo, jak ją ignorowano.

- Cześć wszystkim! - rzuciła, lecz tylko Brian Hensen i Perry Falco odpowiedzieli uśmiechem, który w najlepszym razie można określić jako „nikły”.

Megan patrzyła z rezygnacją, jak Delilah idzie przez pokój. Co z tą dziewczyną? Czy celowo wystawia się na poniżenie? Po co przyszła? Nie pojmuję, że nie jest mile widziana? Miała dość kontaktów z nią podczas codziennych prób, czemu jeszcze i tutaj ma znosić jej obecność? Bądź mila - zadźwięczały jej w uszach słowa matki.

- Myślałam, że pojechałaś z babcią do domu - zwróciła się do Delilah, wiedzioną poczuciem winy.

- Odwiozłam ją. Kazała mi siedzieć przy sobie, dopóki nie zaśnie. Ilekroć próbowałam się wymknąć, otwierała jedno oko i z powrotem mnie przywoływała.

- Babciu, babciu, czemu masz takie duże uszy? - zapał Joey, stając przy nich.
- Joey... - upomniała go Megan.
- Nie szkodzi. Ona naprawdę ma duże uszy - powiedziała Delilah z niepewnym chichotem.
- Co jej jest? - zainteresował się Greg.
- Ma zastoinową niewydolność serca - wyrecytowała diagnozę.
- Co to takiego?
- Jej serce nie wydała zastoinowo - uśmiechnęła się, a Megan z Gregiem parsknęli śmiechem.
- Hej! - zawołał Joey. - Deli walnęła coś śmiesznego!
- Dzięki, że zapytałeś. - Delilah powiedziała do pleców Grega, bo, skrępowany, zdążył się już odwrócić.
- Śmierdzi tu, jakby jeszcze coś walnęła - kontynuował Joey, wachlując ręką przed nosem, niby odganiając nieprzyjemny zapach. - Wnusiu, wnusiu, jaką ty masz wielką dupę! - Klepnął Delilah w pośladki.
- Auu! - pisnęła, usiłując uniknąć drugiego klapsa, gdy z całej siły trzepnął ją po dzinsach. Megan wzdrygnęła się, bo wręcz poczuła pieczenie po palcach Joeya.
- Chyba pękł mi nadgarstek! - wyglupiał się chłopak, zwijając się w pół i łapiąc za przegub dłoni.
- Lepiej umyj ręce! - zachichotała Ginger, przechodząc obok z Tanya. Oczy Delilah się zaszklily. Podniosła je na sufit, jakby w ten sposób chciała powstrzymać łzy.
- Dobra, dość tego - interweniował Greg.
- Stary, co z tobą? - zrewanżował się Joey. - Księżniczka już wzięła cię pod pantofel?
- Jesteś popaprany.
- Taak? Lepiej być popaprańcem niż pantoflarzem.
- Dajcie spokój - odezwał się ktoś. - To jest balanga, pamiętacie?
- Należy pamiętać, z kim się trzyma - natychmiast odpalił Joey.



- Zmywam się stąd - oznajmił Greg. Wziął Megan za rękę, kierując się do drzwi.

- Dokąd idziemy? - spytała.

- Zobaczysz.

Milczała przez całą drogę do wyjścia. Zastanawiała się, jak ma postąpić. Z jednej strony otwierała się szansa, by pobyć z nim sam na sam. Z drugiej - on też miał teraz okazję zostać sam na sam z nią. I o ile ta pierwsza możliwość bardzo ją nęciła, nie miała pewności, czy jest gotowa na drugą. Greg bywał naprawdę uroczy. Ale potrafił się także zachować jak... świr. W ciągu ostatnich dziesięciu minut pokazał się z obu stron. Poczowała, jak Greg pociągnął ją za ramię, i obejrzała się na salon, usiłując zlokalizować brata wśród tańczących. Mogłaby przynajmniej dać mu znać, że wychodzi - pomyślała, mając w pamięci incydent z wieczoru dla uczczenia pamięci Liany. Wiedziała jednak, że popatrzyłby na nią wzrokiem matki i nalegał, aby została, co zepsułoby humor zarówno jej, jak i jemu, no i oboje mieliby zrujnowany wieczór. Później zadzwoni do niego z komórki - postanowiła, decydując się wyjść z Gregiem.

Tymczasem Greg, zamiast wyprowadzić ją na dwór, skierował się ku schodom na piętro. Wstrzymując oddech, podążyła za nim na górę i szła korytarzem, mijając po drodze pokój telewizyjny wyłożony boazerią, łazienkę z błękitnego marmuru i jeszcze jeden pokój po prawej stronie, gdzie spod zamkniętych drzwi wydobywał się wyraźny zapach marihuany.

- Może nie powinniśmy tu być - wyszeptała przez ściśnięte gardło.

- Ćśśś.

Dotarli do przestronnego pokoju z ogromnym łóżem pod baldachimem na środku.

- Greg, nie myślę...

- Masz rację. Nie myśl. - Wciągnął ją do środka i zamknął drzwi.

- Co ty robisz?

- To. - Wziął ją w ramiona i pocałował. Poczowała, jak miękną jej nogi w kolanach. A potem usłyszała metaliczne kliknięcie i domyśliła się, że przekręcił zamek w drzwiach. - Greg, nie...

- Co „nie”? - Pociągnął ją w stronę łóżka.

- Myślę, że nie powinniśmy tu być.

- Czemu nie?

- Bo to cudzy dom. - Megan rozejrzała się, mimochodem chłonąc szczegóły; kremowe ściany, zawieszzone rodzinnymi fotografiami, ustawione rzędem na wysokiej, ręcznie malowanej komodzie puchary z turniejów golfowych i polowań, mnóstwo poduszek w beżowo-złote pasy rozrzuconych na mięsistej, kremowej kapie, elegancki baldachim z atłasu, a pod oknem wychodzącym na ogród dwa beżowe fotele przy okrągłym stoliku.

- Nigdy nie słyszałaś starego powiedzenia: „Czuj się jak u siebie w domu”?

- Nie sądzę, aby oni akurat to mieli na myśli - odparła Megan, gdy pociągnął ją za sobą na łóżko. Twardy materac pod mięsistą kapą wydał dźwięk podobny do cykania świerszczy.

- Jacy „oni”? - spytał Greg, całując jej szyję. Niechcący trąciła ręką jedną z poduszek. Czy zostały

poukładane w jakiś szczególny sposób? - zastanawiała się, starając się nie wpaść w panikę. Czy ktoś zauważy, że inaczej leżą?

- Może lepiej tam się przesiądziemy? - Ruchem podbródka wskazała dwa fotele pod oknem. Wykorzystał okazję i pokrył linię szczęki delikatnymi muśnięciami warg.

- Może lepiej tyle nie mów - powiedział cicho.

I zaczynając od kącika ust, całował ją dokładnie tak, jak powiedział tamtego popołudnia na szkolnym podwórku pod drzewem, gdy opisywał, jak ją uwiedzie. I rzeczywiście teraz to robił - uwodził ją. Jeżeli więc nie będzie czujna, jeśli nie będzie bardzo czuj-

na, on dopnie swego. I tak, jak część jej istoty, co tu mówić, spora część, tego chciała, to inna część, malutka, niemniej bardzo ważna, bo związana obietnicą z matką, że nie ulegnie chwili (och, nie, niczego matce nie przyrzekała, to matka nadal kontrolowała tę część i najwyraźniej nie zamierzała odpuścić bez walki), ta część podpowiadała, żeby tego nie robiła. Czas nie był odpowiedni i na pierwszy raz na pewno trafiają się lepsze miejsca niż sypialnia rodziców Lonny'ego Reynoldsa z kremową kapą, którą łatwo poplamić, i z mnóstwem obcych, uśmiechniętych twarzy patrzących na nią z oprawionych fotografii na ścianach. Nie mówiąc już o spojrzeniach, jakie ją powitają, gdy po wszystkim zejda z Gregiem na prywatkę. Wystarczy, że widziano, jak wchodziła z nim na górę. Niewątpliwie wszyscy domyśla się, co robili. Może nawet w tej chwili stoją pod drzwiami i podglądają przez dziurkę od klucza? Tak łatwo jest się zapomnieć pod wpływem chwili. Nie zapomnę się. Obiecujesz?

Dłoń Grega wśliznęła się pod bluzkę.

O Boże! Czy cokolwiek sprawiało jej kiedyś większą przyjemność? Musi go powstrzymać. Rozproszyc go. Sama też musi skupić uwagę na czymś innym. Pomyśleć o czymś przykrym, o czymś, co znieczuli ją na ten cudowny dotyk palców płasających na koronce stanika.

- Myślisz, że oni mają termity? - zadała pierwsze pytanie, jakie przyszło jej na myśl. Ręka zastygła na jej piersi. -Co?

- Zastanawiam się, czy mają tu termity.

- O czym ty mówisz?

- Ciekawe, bo ciocia i wujek mieli dom bardzo podobny do tego - ale to było jeszcze w Rochester - i zaległy im się termity. Okropność. Trzeba było okadzać cały dom. Wszyscy musieli się wynieść. Pamiętam, bo

wprowadzili się do nas na tydzień i dzieliłam pokój z kuzynką, a Sasha była strasznym flejtuchem i w ogóle mi to nie odpowiadało.

- Megan...

- Jakieś dziesięć lat temu, kiedy rozkwitał przemysł komputerowy, przeprowadzili się do Kalifornii. Mój wujek jest geniuszem w tych sprawach. To znaczy brat mojej mamy.

- Megan... - Ręka Grega namacała zapięcie z przodu biustonosza i sekundę później palce rozsunęły koronkę, pieszcząc nagie ciało.

- Przykryto tamten dom czymś w rodzaju wielkiego, niebieskiego namiotu. Nie, to raczej wyglądało jak ogromna płachta niebieskiego celofanu, a może bardziej jak taka gruba folia, którą na zimę zabezpiecza się baseny, przynajmniej na północy. Tutaj nie trzeba nakrywać basenów, bo nigdy nie ma mrozu. O Boże! - westchnęła, gdy jego palce okrężyły brodawkę prawej piersi. Niesamowite doznanie. - No więc - usiłowała snuć opowieść pomiędzy coraz bardziej natarczywymi pocałunkami. - Pozbyli się termitów, lecz ciotka straciła serce do tego domu. Mówiła, że co prawda wie, iż ich nie ma, ale nocami słyszy chrobotanie, i tak ją to denerwowało, że się wyprowadzili. Ale nie do Kalifornii. Nie od razu.

- Ćśśś - uciszał ją Greg, gdy ręka usunęła się z piersi. Nie - prosiła w myślach. Zostań. Wracaj. Wracaj. Ale nie wróciła. Teraz opadła na jej udo. Przesunęła

się po nim ku górze i wśliznęła między nogi.

- Nie. Przestań! Nie chcę...

- Ćśśś.

To jego ostatnie „ćśśś” załatwiło sprawę. Jest różnica pomiędzy ignorowaniem głosu we własnej głowie a ignorowaniem jej głosu przez niego, szczególnie gdy jasno i wyraźnie mówi mu, żeby przestał.

Odepchnęła jego rękę, zerwała się na równe nogi i zasunęła zamek przy dżinsach.

- Przestań mnie uciszać! Nie chcę być cicho!
- Do diabła, czego ty właściwie chcesz? - Chwycił za poduszkę i wściekły cisnął nią w stronę Megan.

Patrzyła, jak poduszka przelatuje koło jej głowy i spada na dywan w kolorze kości słoniowej.

- Chcę zejść na dół! Chcę tańczyć! Dobrze się bawić!
- Sądziłem, że się dobrze bawimy. Wydawało mi się, że mnie lubisz.
- Greg, lubię cię. Nawet bardzo cię lubię. Ale jestem...
- ...zwykłą podpuszczalską.

Tymi słowami jakby wymierzył jej policzek. Dosłownie czuła, że się robi czerwony.

- Nie jestem... Nieprawda!
- W takim razie jesteś nawet lepszą aktorką, niż myślałem.

Megan wzięła głęboki oddech, przyglądała włosy, poprawiła sweter i sprawdziła zamek przy dzinsach. On wcale nie myślał tego wszystkiego, co mówił - tłumaczyła sobie. Wkurzył się, jest zły i trochę podпиты.

Później ją przeprosi. Wybaczy mu. Zbliża się lato, będą mieli czas lepiej się poznać. Pozwoli zbliżyć się do siebie.

- Idę na dół.
- No to idź! Na co czekasz?
- A ty nie zejdziesz?

Greg dalej siedział na łóżku, nawet nie racząc na nią spojrzeć.

- Przyślij tu następną w kolejce.

Serce podeszło jej do gardła. Brało ją na wymioty. Bolało całe ciało. Tak właśnie musi się czuć Delilah każdego dnia - pomyślała, tłumiąc słowa protestu cisnące jej się na usta w drodze do drzwi. Przekreśliła zamek, a metaliczny odgłos raził jak trzask kurka pistoletu przystawionego do skroni. Wybiegła z sypialni.

Biegiem pokonała schody i nie oglądając się za siebie, wypadła na dwór.

Zdawało jej się, że

ktos mówi: „Megan? Stało się coś? Zaczekaj!”. Ale nie przystanęła.

Biegła dalej. Pustą ulicę wypełniały odgłosy prywatki i ścigały ją jeszcze przez dwie przecznice, aż wreszcie przestała je słyszeć.

Dopiero gdy przystanęła, żeby zaczerpnąć powietrza i otrzeć łzy, zorientowała się, że ktoś zatrzymał się za nią.

- Megan - doszedł ją głos i więcej już nic nie usłyszała.

31

- Sandy! Tutaj!

Wyteżając wzrok, usiłowała namierzyć w mdłym oświetleniu pubu U Chestera miejsce, z którego dobiegł głos Rity. W końcu dostrzegła ją przy dużym, okrągłym stole niedaleko końca baru, pomiędzy jakby nachmurzonym Johnem Weberem i wyraźnie zawianą Pauline.

- Nie wierzyłam, że przyjdiesz - powitała ją Rita, a wymuszony uśmiech świadczył o uldze na widok przyjaciółki.

Sandy opadła na jedno z trzech wolnych krzeseł, udając, że nie dostrzega napięcia pomiędzy szeryfem i jego żoną. Naliczyła przynajmniej z tuzin szklanek, których większość stała przed Pauline.

- Nie wszystkie są moje - zastrzegła się ta ostatnia, podążając za spojrzeniem Sandy. Jedną ręką zamachała nerwowo nad stolikiem, w drugiej ścisnęła szklankę z ginem i tonikiem.

- Byli tu Avery i Lenny. Avery poszedł mniej więcej pół godziny temu - zdawała relację Rita.

- A z Lennym rozminęłaś się o jakieś pięć minut.

- Nie szkodzi. - Sandy uznała, że jak na jeden wieczór wystarczy jej obcowania z ciałem pedagogicznym z Torrance High. Skinęła na kelnerkę.

- Martini z calvadosem! - rzuciła. - Poproszę.

- Na pewno? - spytała Rita. - Pamiętasz, co było ostatnim razem, jak piłaś martini z calvadosem?

- Uwierz mi. To pikuś w porównaniu z tym, co dziś przeżyłam.

- A co takiego? - Rita przechyliła się ku niej, opierając na łokciach. Pauline zaczęła wodzić wskazującym palcem prawej ręki po krawędzi szklanki.

- Czy ja chcę to usłyszeć? - zapytał John.

Wyraz jego twarzy mówił, że jak na jednego, nie do końca trzeźwego, ale też nie całkiem wstawionego mężczyznę towarzystwo trzech w różnym stopniu przygnębionych kobiet to trochę za wiele. Szczególnie poza służbą.

- Chyba nie - odpowiedziała Sandy.

Podniósł się z krzesła. Szybkim krokiem przeszedł do sali bilardowej i wdał się w rozmowę z kilkoma mężczyznami przy najbliższym stole.

Sandy podchwyciła, jak jeden z nich mówi coś o kiepskim wyniku dzisiejszego meczu baseballu. Męskie rozmowy - podsumowała - proste i bezosobowe. Przeniosła wzrok na obie kobiety przy stole. Ich oczy mówiły, że oczekują czegoś dokładnie przeciwnego. Damskie rozmowy - zawsze skomplikowane i osobiste. Sandy streściła im wydarzenia wieczoru.

- Żartujesz! - zawołała Rita, gdy skończyła. - Gordon?!

- Profesor Lipsman? - zawtórowała jej Pauline. - Nauczyciel dramatu Amber?

- Naprawdę rzucił się na ciebie?

- No, usiłował. Zupełnie stracił głowę. - Strzepnęła niewidoczną kocią sierść z beżowego sweterka.

- Właśnie tak samo piszą w tabloidach - wtrąciła Pauline ze śmiechem. - Ona straciła głowę dla niego. On dla niej. Oboje stracili głowę.

Sandy wpatrywała się w żonę szeryfa. O czym ona mówi?

- I jeszcze się powtarza: romansują - ciągnęła Pauline. - W przypadku sławnych osób. Zauważyłaś? Ty jesteś filologiem. Co to dokładnie znaczy?

- Gdzie to było? - dopytywała się Rita, nie zwracając uwagi na Pauline i dając Sandy znaki oczami, żeby zrobiła to samo.

- Nie wiem dokładnie. Gdzieś pomiędzy Citrus Grove a Admiral Road. Na wysokości tej opuszczonej, starej farmy na końcu dużego pola. Ohyda!

Pauline, mrużąc oczy, usiłowała pozbierać myśli.

- Chyba mówisz o domu starego Kimble'a. Rany boskie! Co ty robiłaś taki szmat drogi za miastem?!

- Odgrywałam dobrą samarytanke.

- Dobrą i głupią - poprawiła ją Rita. - Kiedy ty wreszcie zmądrzejesz?

- Czy ja wysyłam jakieś niejednoznaczne sygnały? -ni stąd, ni zowąd zapytała Sandy.

- Co masz na myśli?

- Czy zachowuję się dwuznacznie?

- O czym ona mówi? - chciała wiedzieć Pauline. Sandy nie potrafiła opanować śmiechu.

- No to chyba mam odpowiedź na moje pytanie.

Co za noc - pomyślała, gdy kelnerka postawiła przed nią martini, a Pauline poprosiła o następny gin z tonikiem.

- Dla niej już wystarczy! - zawołał John z drugiego pomieszczenia, najwyraźniej trzymając rękę na pulsie.

- Nie słuchaj go - powiedziała Pauline do kelnerki bez poruszania ustami, tak że słowa popłynęły spomiędzy przymkniętych warg. - Kiedyś dom państwa Kimble był imponujący -kontynuowała, jakby te dwa zdania tworzyły logiczny ciąg. - Bardzo nowoczesny. Miał piwnicę i wszystko, co trzeba. A teraz wygląda upiornie. Coś jak Bates Motel. No wiecie, z tego filmu Psychoza. Taak, to był świetny film. Aż trudno uwierzyć, że profesor Lipsman mógł się posunąć do czegoś takiego - mówiła na jednym oddechu. - Co mu strzeliło do głowy?

Sandy z trudem nadążała za jej chaotycznym słowotokiem.

- Był pijany - oznajmiła z naciskiem. - Nie zawsze jasno myślimy, kiedy się ululamy.

- Nie mieści mi się w głowie, że odwiozłaś tego durnia do domu - powiedziała z niedowierzaniem Rita.



- Chyba nie mogłam go zostawić przed Bates Motel, co?
- A czemu by nie?
- No, nie wiem. Po prostu nie mogłam.
- O cholera! - jęknęła Rita, otwierając szeroko oczy.
- Myślisz, że odebrał to jako zachętę? - dochodziła Sandy, nie przejmując się zde gustowaną miną Rity. - O co chodzi? - zainteresowała się, podążając spojrzeniem za wzrokiem przyjaciółki.
- Nie oglądaj się! - syknęła Rita.

Sandy odwróciła się na krześle, spoglądając w stronę wejścia. W drzwiach stał jej mąż, a obok niego Kerri Franklin.

- O Boże! Błagam, powiedz mi, że mam zwidy.
- Mówiłam ci, żebyś się nie oglądała. Pauline wykonała półobrót na krześle.
- No proszę, patrzcie, kogo tu mamy.
- Zauważyli nas? - Sandy osunęła się niżej, wciskając głowę w ramiona jak żółw, który chowa się w skorupę.
- Jeszcze nie - odparła Rita.
- Co robią?
- Siadają w boksie na froncie.
- Ze wszystkich spelunek z ginem na świecie - skomentowała Pauline, usiłując naśladować Humphreya Bogarta - musieli wybrać akurat tę.
- Nie do wiary! - odezwała się Sandy. - Co teraz robią?
- Siedzą.

Sandy wysunęła głowę z ochronnej skorupy, żeby zerknąć w tamtą stronę, Ian i Kerri siedzieli naprzeciw siebie z dłońmi splecionymi na stole. Czym prędzej odwróciła wzrok.

- Nie powiedziałaś, że trzymają się za ręce!
- Nie uznałam tego szczegółu za istotny.
- Zauważyłyście, że nie daje się już dzieciom na imię Humphrey? - ni z tego, ni z owego zwróciła się do nich Pauline, jakby była w środku rozmowy na zupełnie inny

temat. - Podobnie jak Gertrudę, Ethel czy Homer. Teraz jest moda na Tiffany, Ashley i Tylera. Chociaż Richard Gere nazwał swojego dzieciaka Homer. No, ale on jest sławny. A sławni ludzie albo romansują, albo dają dzieciom na imię Homer.

Sandy po raz kolejny popatrzyła z niedowierzaniem na żonę szeryfa. Skąd się to u niej bierze?

- Czy John już ją widział? - spytała Pauline.

- Kogo?

- Suzy Slut! - Słowa padły z siłą armatnich kul; były jak krótkie eksplozje dźwięku, które mogą wszystkim w pobliżu uszkodzić bębenki. - Ona sypiała z moim mężem, wiesz? - oznajmiła głosem z każdą sylabą przybierającym na sile. - Zanim zaczęła sypiać z twoim. Co?! - Sandy nie dowierzała własnym uszom.

- Skoro mowa o mężach - zaczęła Rita, zerkając kątem oka na boki. - Obawiam się, że przyciągnęłyśmy uwagę kilku z nich.

- To trwało całe lata. Schodzili się i rozchodzili, i tak bez końca - opowiadała Pauline, nie zważając na zbliżającego się Johna. -

Oczywiście, ten dureń myśli, że o niczym nie wiem. Prawda, kochanie?

- No, Pauline - uciął zdecydowanym tonem. - Wystarczy tych głupstw jak na jeden wieczór. Czas do domu.

- Chcesz wracać do domu? Teraz? Kiedy wreszcie się robi ciekawie?

John powiódł wzrokiem po frontowej części zatłoczonego baru i wyraźnie się wzdrygnął, gdy napotkał spojrzenie Kerri Franklin.

- W porządku. Nic się nie dzieje - rzucił w stronę sąsiednich stolików, uciekając oczami w bok. - Zajmijcie się swoimi sprawami. Pani trochę za dużo wypila. - Usiłował pochwycić żonę za łokieć.

- Pani wciskano za dużo kitu - zripostowała, cofając ramię. - Zbyt wiele lat mydlono oczy.

- Pauline...

- John - odwzajemniła się, rozciągając słowo jak gumę.

- Robisz z siebie widowisko.
- Raczej z ciebie robię widowisko, przecież tu o ciebie chodzi.
- Lepiej wyjdźmy stąd, zanim powiesz coś, czego będziesz potem żałować
- Au contraire - oznajmiła Pauline, prostując ramiona i wygładzając niepewnymi palcami przód kremowej, jedwabnej bluzki. - Żałuję tylko, że wcześniej tego wszystkiego nie powiedziałam. - Nieco chwiejnie podniosła się z krzesła i dla równowagi przytrzymała blat stolika. - Na przykład... - Znieruchomiała, rozglądając się po sali, jakby go szukała. - Bardzo żałuję, że nie powiedziałam słowa o tobie i o tej lubieżnej, lateksowej lali, którą bzykałeś przez te wszystkie lata. Sandy omal się nie uśmiechnęła. Lubieżna, lateksowa lala - powtórzyła w myślach. Idealny przykład na aliterację. Wypiła łyk martini, zastanawiając się przy tym, co pojawiło się wcześniej: skłonność Pauline do alkoholu czy zdrady Johna.
- Pauline, czy masz mi coś do powiedzenia? - spytała Kerri, nagle wyrastając przy ich stoliku. Sandy szybko wychyliła następny łyk.
- Cycki i cekiny - mruknęła Rita pod nosem.
- Cycki, cekiny oraz lubieżna, lateksowa lala - recytowała Sandy w myślach, niemal zaczynając się dobrze bawić. I wtedy w zasięgu jej wzroku pojawił się Ian.
- O co chodzi? - zwrócił się do szeryfa.
- O nic, czym warto sobie zaprzątać głowę - zbył go John, któremu wreszcie udało się odciągnąć Pauline od stolika.
- Takiej figury nie ma się od sprzątania - fuknęła Pauline w stronę Kerri, najwyraźniej myśląc „zaprzątanie” ze „sprzątaniem”. - To wszystko dzięki karcie kredytowej.
- Jednym słowem: bezcenne - szepnęła Rita, a Sandy mimo woli się uśmiechnęła.
- Coś zabawnego? - zapytał Ian.
- Sandy spuściła oczy. Teraz przydałoby się trzęsienie ziemi - myślała. Coś, co rozwaliloby tę drewnianą podłogę, żebyśmy wszyscy mogli się pod nią zapaść.

- Jak rozumiem, wiesz o romansie swojej dziewczyny z moim mężem? - Pauline zwróciła się do Iana.
- Nie obchodzi mnie, co było przede mną.
- A za tobą? - podchwyciła żona szeryfa.
- Szurnięta jędza - mruknęła Kerri.
- Może i jędza - powiedziała pani Weber. - Ale na pewno nie szurnięta.
- Dość już, Pauline - wtrącił się John. - Naprawdę stawiasz mnie w kłopotliwej sytuacji.
- Och, biedactwo!
- Idziemy do domu.
- Idź do diabła!
- Najpierw zabiorę cię do domu. Pauline ponownie udało się wyrwać ramię.
- Spójrzcie na niego! - prychnęła pogardliwie. - Nasz bohater. Wiem, co myślicie. Myślicie: biedny facet, pakuje za kratki takich zabójców jak Cal, a nie radzi sobie z własną żoną. Wiedziałaś o jego romansie z Kerri Franklin? - zaatakowała jednego z grupki mężczyzn, którzy stali oparci o najbliższy stół bilardowy. - A może też z nią spałeś?
- Pauline, pozwolisz, że cię odwiozę do domu? - wtrąciła się Sandy, podnosząc się od stolika.
- A ty coś taka potulna? - Pauline naskoczyła na Sandy, teraz na niej wyładowując gniew. - Mój mąż przynajmniej się starał zachowywać w miarę dyskretnie.
- Szeryfie! - Ian błagalnym tonem zwrócił się do Johna.
- Czemu nie wystąpiłaś o rozwód? - punktowała ją pani Weber. - Na co czekasz?
- Ta kobieta dobrze mówi - szepnęła Rita kącikiem ust.
- Już dość! - John chwycił Pauline za ramię i nie cackając się z nią, przeprowadził przez bar. Przy drzwiach

wparła się obcasami w podłogę i błyskawicznie odwróciła do sali. -  
Lepiej ci będzie bez niego! - krzyknęła jeszcze do Sandy, zanim mąż  
zdażył wyciągnąć ją na dwór. Przez kilka sekund nikt się nie poruszył.  
Potem Rita się pochyliła i podniosła torebkę z podłogi.

- Nie wiem jak wy, ale ja mam dość atrakcji jak na jeden wieczór. Kerri  
przytaknęła, kiwając głową.

- Chyba powinnam sprawdzić, jak się czuje matka - powiedziała w  
przestrzeń. Ian sięgnął do kieszeni czarnych spodni i podał jej kluczyki do  
jaguara.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostanę jeszcze i dopiję piwo -  
powiedział, patrząc przy tym na Sandy. - Może sprawdź w tym czasie, co  
słyszą u matki, i podjedź po mnie, powiedzmy... - spojrział na zegarek -  
za pół godziny.

Kerri się wahała.

- Za pół godziny - powtórzył z naciskiem.

Skinęła głową i unosząc się na palce, tak że szpilki jej pantofli z paskiem  
nad piętą znalazły się nad podłogą, cmoknęła lana w kącik ust,  
demonstrując tym gestem prawo własności.

- Miło mi było znowu cię widzieć - rzuciła do żony kochanka.

- Dwukrotnie w ciągu jednego wieczoru - potwierdziła Sandy. - Trzeba  
mieć dużo szczęścia.

- Idziesz? - zwróciła się do niej Rita, gdy Kerri, kołysząc biodrami, szła  
przez restaurację, odprowadzana spojrzeniami wbitymi w jej pupę.

Ian musnął ramieniem ramię Sandy.

- Zostań - poprosił.

Spojrzała mu w oczy. Dobry Boże, o co chodzi?

- O co chodzi? - spytała.

- Idziesz? - ponagliła ją Rita.

- Zostanę jeszcze chwilę i dokończę drinka.

Przyjaciółka powiodła wzrokiem od Iana do Sandy i z powrotem.

- Jesteś pewna? - spytała.

- Jest pewna - odpowiedział za nią Ian.

- Zadzwoń do ciebie jutro - obiecała Sandy, przechylając się, żeby cmoknąć ją w policzek.

- Żadnych niejednoznacznych sygnałów. - Rita wyszeptała jej do ucha. Kiedy poszła, Ian skinął na kelnerkę.

- Może pani przynieść moje piwo z boksu na froncie? - poprosił, gdy Sandy ze swoim martini szła za nim do małego stolika w stosunkowo cichym kącie restauracji. - Zjesz coś? - zwrócił się do niej, siadając przy stole, obojętny na zaciekawione spojrzenia pary zajmującej miejsce w pobliżu. Jutro całe miasto będzie wiedzieć o ekscesach Pauline i o tym, że Sandy mile spędzała czas przy drinku z mężem, z którym jest w separacji. Czy mile spędzała czas to trafne określenie? - zastanawiała się Sandy, nie do końca pewna, co właściwie czuje.

- Nie, dzięki. Nie jestem głodna.

- Wydawało mi się, że zawsze lubiłaś przekąsić coś późnym wieczorem. Sandy, czując niepożądane ukłucie bólu po tej wzmiance dotyczącej ich wspólnego życia, starała się zachować kamienną twarz.

- Już nie. Podobno nie należy niczego jeść po dziesiątej wieczorem. Czy rzeczywiście się tak mówi? - przemknęło jej przez głowę

- Niczego? - podchwycił prowokująco.

Starła się nie doszukiwać żadnych seksualnych podtekstów w tym pytaniu - czyżby próbował z nią flirtować? - i siedziała ze spojrzeniem utkwionym w stoliku.

- Tylko mi nie mów, że się boisz utyć.

Czemu rozmawiają o jej wadze? Po co to całe aluzyjne przekomarzanie?

Czyżby dawał do zrozumienia, że

chce wrócić? Sprawdza grunt, zanim zakomunikuje wiadomość Kerri?

- Świetnie wyglądasz.

- Dziękuję. - Odchyliła się na oparcie krzesła i spojrzała mu prosto w oczy. Wpatrywał się w nią w taki sposób, jakby oczekiwał, że zrewanżuje mu się podobnym komplementem.

- Ty też - spełniła jego nieme życzenie i ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć więcej. Bo musiała przyznać, że wyglądał lepiej niż świetnie. Szczerze mówiąc, nigdy tak dobrze nie wyglądał.

- Zauważyłem twój samochód na parkingu - wyjął. - Wiedziałem, że tu jesteś. - Kelnerka przyniosła piwo. Ian podniósł szklanicę i stuknął nią o kieliszek Sandy. - Za co pijemy? -zapytał tak, jakby ten toast był jej pomysłem.

Nie bardzo wiedziała, co myśleć o tym ostatnim wyznaniu.

- Za Megan - zaproponowała, uznając, że mąż zacznie mówić jaśniej, gdy będzie do tego gotowy. Zawsze tak było.

- Była dzisiaj niesamowita, prawda?

- O tak.

- Nie miałem pojęcia, że potrafi tańczyć i śpiewać.

- Ostatnio często mnie zaskakuje.

- To znaczy?

Sandy wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, ile teraz Megan mówi ojcu o sobie, i nie chciała zawieść jej zaufania, opowiadając o pewnych sprawach za nią. Gdyby Megan chciała, żeby ojciec wiedział cokolwiek o Gregu Watcie, sama by mu o nim powiedziała. Niemniej dziwnie się czuła, nie mogąc z mężem szczerze rozmawiać o dzieciach. Co więcej, dziwnie się czuła, w ogóle z nim rozmawiając.

- Zmienia się w piękną, młodą kobietę - zauważył Ian.

- Tak, to prawda.
  - Z każdym dniem coraz bardziej przypomina swoją mamę.
- Dobra, o co tu chodzi? - po raz kolejny zastanawiała się Sandy. Dwa komplementy w dwóch kolejnych minutach. O dwa więcej niż w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, a może nawet w ciągu dwóch ostatnich lat. Musi zapytać - postanowiła, już otwierając usta. W ostatniej chwili zmieniła jednak zamiar i ponownie stukając się z nim kieliszkiem, powiedziała:
- Za naszego syna.
  - Za Tima - zawtórował jej. - Coś mi się zdaje, że podoba się córce szeryfa.
  - To świadczy o jej dobrym guście.
- Teraz łąn przytknął szklanekę do jej kieliszka.
- Za nowe otwarcia.
  - Za nowe otwarcia - zgodziła się z nim. Niespodziewanie przechylił się ponad stołem i pocałował ją.
- Cofnęła się.
- Co ty wyprawiasz?
  - Przez cały wieczór miałem na to ochotę. Odkąd zobaczyłem cię w audytorium. Nachylił się i ponownie ją pocałował.
- Tym razem poczuła, że bezwiednie rozchyliła wargi, a usta same zareagowały na zabiegi jego języka. Czy naprawdę oddała pocałunek? Cofnęła się powoli, niechętnie. A on spojrzał na nią i się uśmiechnął.
- Powinniśmy porozmawiać o rozwodzie - powiedział.
- Omam nie parsknęła śmiechem. Wolam jednak odczekać, pozwolić mu dokończyć myśl. Może powie: Nie chcę rozwodu. Przemyślałem wszystko, chcę wrócić. Tymczasem on milczał i tylko uśmiechał się do niej ponad stołem.
- Co? - zdołała w końcu wykrztusić.
  - Powinniśmy porozmawiać o rozwodzie - powtórzył, jakby za pierwszym razem nie dosłyszała.
  - To znaczy?



- Wiem, że nie konsultowałaś się jeszcze z prawnikiem, pomyślałem więc, że jeśli ci to odpowiada, możesz skontaktować się z moim. Sporządził już odpowiednią umowę i uważam, że jest bardzo uczciwa. Wystarczy ją tylko podpisać.

Sandy odchyliła się na krześle.

- Jakiś ty wspaniałomyślny!

- Uznałem, że to nam wszystkim ułatwi sprawy - oświadczył, absolutnie nie dostrzegając sarkazmu w jej głosie. - Nie mówiąc już o tym, że tak jest taniej.

- To jakiś żart? - Czy ktoś ich nagrywa? Są w Ukrytej kamerze?

- Wyglądasz na zaskoczoną - stwierdził, odgrywając zdziwienie.

- Przed chwilą mnie pocałowałaś.

- I to było słodkie. Mam nadzieję na szybką powtórkę.

- Przed czy po rozwodzie?

- I przed, i po.

- Słucham?

- Czemu nie mielibyśmy się rozstać w przyjaznej atmosferze i pozostać przyjaciółmi? Przyjaźń z obopólną korzyścią - dodał z przebiegłym uśmiechem, sięgając ponad stołem, żeby pogłodzić ją po rękę. - Czy nie tak się teraz mówi?

Pauline pewnie miałyby na to gotową odpowiedź - pomyślała Sandy, cofając rękę na kolana i przyrzekając sobie, że do końca życia nie tknie martini z calvadosem. Wyraźnie źle działało na jej fale mózgowe.

- Czyli mamy jasność - podsumowała. - Chcesz rozwodu i jednocześnie zakładasz, że od czasu do czasu się ze mną prześpisz. Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

- A czemu nie? Rozwiedzione małżeństwa wiecznie tak robią.

- Och, nie wiedziałam.

- Nadal czujemy do siebie pociąg. I zawsze było nam razem dobrze - przypomniał jej.

- A Kerri? - Teraz z kolei ona mu przypomniała. - Jak bardzo wam jest dobrze razem? Pochylił się nad stolikiem, rzucił ukradkowe spojrzenie na front restauracji.

- Szczerze mówiąc - uśmiechnął się - z Kerri jest trochę jak na batucie. Sandy patrzyła na męża oniemiała ze zdumienia.

- Jak możesz? - spytała, gdy wreszcie odzyskała głos.

- Co: jak ja mogę?

- Jak to możliwe, że bez odrobiny wstydu czy zażenowania mówisz coś tak głupiego, że aż się nie mieści w głowie?

Tym razem Ian wyglądał na zaskoczonego.

- Czyżbyś teraz oburzała się w imieniu Kerri? Tak mam to rozumieć?

Czy tak? - zastanawiała się. A może wreszcie dotarło do niej, jakim aroganckim bubkiem jest jej mąż.

- Ale z ciebie bufon! - wymówiła z niedowierzaniem, a słowa same wymknęły się z ust, zanim zdążyła się zorientować.

- Nie ma potrzeby obrzucać się wyzwiskami.

-Au contraire - skontrowała, zapożyczając od Pauline jej wcześniejsze wyrażenie. - Nie chcę, żeby ktokolwiek mi zarzucił, że wysyłam niejednoznaczne sygnały. - Uniosła kieliszek z martini. - Za nowe otwarcia - zaproponowała. Wypiła łyk, a resztą chlusnęła Ianowi w twarz. Zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło. Przez ułamek sekundy sprawiał takie wrażenie, jakby zamierzał odpłacić jej pięknym za nadobne: oblać piwem, wyszarpać za włosy, cisnąć nią o podłogę. Ale tylko przez chwilę machał bezładnie rękami, a alkohol spływał mu z czubka nosa i kapał na czarną koszulę.

- Jesteś szalona! - rzucił, zanim wypadł z restauracji. Sandy w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

- Po prostu chciałam się jasno wyrazić.

Megan coś się śniło.

Sen urywał się i powracał niewyraźnymi, chaotycznymi obrazami, które nie układały się w spójną całość. W jednej minucie biegła gdzieś poboczem szosy, w drugiej wpadała głową w dół do ogromnego leja, który powstał podczas niedawnej burzy, gdy porywisty wiatr powyrywał z korzeniami wszystkie wiekowe baniany w okolicy. Jedno takie drzewo leżało na ziemi, a rachityczne korzenie zwisały spod pnia niczym pęk poprzerrywanych arterii. Megan próbowała się ich złapać, wpadając w wielką jamę, lecz impet był zbyt duży, a korzenie za słabe, żeby utrzymać jej ciężar, i wylądowała w miękkiej, wilgotnej ziemi, która ją całą wessała. Gdzieś ponad głową usłyszała kroki i śmiechy. „Gdzie jest Kate?” - spytał ktoś i od razu rozpoznała głos matki. „Jest u profesora Lipsmana” - padła odpowiedź.

Rudo-biały pręgowany kot wskoczył jej na kolana. „Nie, wcale mnie tam nie ma” - próbowała krzyknąć, lecz lepki piach wypełnił jej usta i przykleił się do zębów jak kit. „Tu jestem, dokładnie pod waszymi stopami”.

A potem szła przez dział perfumeryjny domu towarowego Bloomingdale i ekspedientki, których część miała na sobie śnieżnobiałe kitle narzucone na eleganckie czarne kostiumy, spryskiwały ją najróżniejszymi perfumami. Szyja zwilgotniała od pachnącej mgły, a oczy zaszyły łzami. Ktoś podetknął jej pod nos szczególnie nieprzyjemnie pachnącą próbkę, a ona się wzdrygnęła pod wpływem intensywnej woni. „Nie, dziękuję - powiedziała do uśmiechniętej kobiety z identyfikatorem: Fiona Hamilton. - Ten zapach mi nie odpowiada”. Wtedy wyrósł przy niej Greg i zlizął z szyi perfumy, jakby były mlekiem, a on jednym z kotów profesora Lipsmana. Ginger i Tanya tańczyły wokół niej, a Liana, siedząc w kącie i ssąc cukierek, obserwowała tę scenę. „Co tu robisz? - spytała ją. - Myślałam, że umarłaś”.

„Nie umarłam - zaprzeczyła Liana. - Ja tylko zrobiłam lifting twarzy”.  
„Świetnie wyglądasz” - komplementowała ją, akurat gdy obok przechodziły spacerowym krokiem Delilah Franklin z matką.

„Co tu robisz? - zwróciła się do niej Delilah z pretensją w głosie. - Powinnaś już leżeć w łóżku”.

Sen kończy się raptownie jak film, gdy zrywa się taśma.

Megan otwiera oczy i podciąga się na łokciu, powoli przyswajając sobie szczegóły otoczenia. Dopiero po kilku sekundach dociera do niej, że nie leży w łóżku w swoim pokoju, we własnym domu, tylko na wąskiej pryczy w słabo oświetlonym, zupełnie nieznanym pomieszczeniu bez mebli i obrazów na surowych ścianach i bez dywanu na betonowej posadzce. Cienki, niebieski koc zwisa jej z ramion. Daleko, poza jej zasięgiem, stoi na występie jedna lampa, a może latarnia. W pomieszczeniu pachnie stęchlizną, zupełnie tak samo jak w niewykończonej piwnicy w domu dziadków w Rochester, który sprzedali, zanim przenieśli się do mieszkania na siedemnastym piętrze apartamentowca z widokiem na jezioro Ontario. Gdzie ona jest? Spogląda na siebie. Ma na sobie czarny sweterek i niebieskie dżinsy; ten sam sweterek i te same dżinsy, a także te same zamszowe kozaczki, w które, jak pamięta, wystroiła się na prywatkę dla obsady. Kiedy to było? Dziś wieczorem? Wczoraj? Ogarnia ją panika, serce zaczyna tłuc się w piersi. Zachowaj spokój - podpowiada cichy, wewnętrzny głos. Zapewne nadal śnisz. Wszystko, co widzisz: pokój, prycza, koc, latarnia, a nawet zapach, który czujesz, to tylko jakieś pogmatwane symbole, niemożliwe do poskładania w logiczną całość, i pewnie po przebudzeniu nawet ich nie będziesz pamiętać. Błagam, niech ten sen jak najszybciej się skończy - modli się Megan, zamykając powieki, żeby nie widzieć

przykrego otoczenia, lecz zapach stęchlizny nadal wisi w powietrzu.

- Nie podoba mi się ten sen - mówi na głos, za wszelką cenę starając się obudzić, bo ma nadzieję, że siła głosu odpędzi senne majaki. Opada na pryczę zrezygnowana, kiedy to nie skutkuje. Naciąga zmechaony koc na ramiona i zwija się pod nim w kłębek.

Ma wrażenie, że leży tak całą wieczność, choć zapewne mija zaledwie kilka minut. Nie ma zegarka - odkrywa, macając lewy nadgarstek, tam gdzie powinien być. Dostała go w prezencie od rodziców na szesnaste urodziny. Płaski, złoty zegarek z kopertą w kształcie serca. „Zupełnie jak twoja buzia” - powiedziała mama. Gdzie jest mama?

- To nic takiego - pociesza się kojącym tonem matki, jakim zawsze przemawia do niej, gdy się źle czuje. - To nic, skarbie. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz, rano poczujesz się lepiej. Czy rzeczywiście? A może już jest ranek?

Gdzie ona jest? Która godzina?

Nie pamięta, aby zdejmowała zegarek, lecz zaraz uzmysławia sobie, że to sen, a więc nie można polegać na pamięci. W snach pamięć nie istnieje. Nie ma też w nich sekwencji wydarzeń. Gdzieś o tym czytała. W snach człowiek przemieszcza się z jednego miejsca na drugie bez żadnego „i”, „jeśli” czy „ale”, odtwarzając wydarzenia dnia na wiele pozornie pozbawionych sensu sposobów, łącząc głosy i twarze, które na jawie nie mają ze sobą nic wspólnego, mieszając bez żadnego powodu czy wytłumaczenia zwykle sprawy z niesamowitymi, rzeczywistość z fantazją, a ludzi żyjących z umarłymi. Czasami sny są miłe i relaksujące. Częściej, przynajmniej w jej przypadku, bywa odwrotnie. Na ogół śniły jej się koszmary, a po wyprowadzce ojca jeszcze ich przybyło. To kolejny zły sen - przekonuje samą siebie.

Tylko że ten nie przypomina żadnego z nękających ją wcześniej koszmarów.

Ponownie otwiera oczy i siada na pryczy. Cienki koc zsuwa się z ramion. Pokój wygląda dokładnie tak samo jak przedtem. Te same nagie ściany, ta sama goła betonowa posadzka, ten sam zaduch. Dopiero teraz dostrzega w nogach łóżka plastikowe wiaderko, a obok niego pomiętą rolkę papieru toaletowego. To obrzydliwe - myśli i wybucha głośnym śmiechem w nadziei, że ostry dźwięk tym razem przerwie jej mękę. Ale odbija się on jedynie od gołych ścian i powraca, tocząc się do jej stóp jak porzucona gumowa piłka. W kącie stoją dwie plastikowe butelki z wodą. Wcześniej też tu były, czy to coś nowego? Megan zastanawia się, czy tam nie podejść - dokucza jej pragnienie - lecz to oznaczałoby zgodę na aktywną rolę w tym koszmarze, a ona nie chce go przedłużać. Nie rusza się więc z miejsca i siedząc oparta plecami o twardą ścianę, usiłuje zignorować narastające napięcie rozlewające się w żyłach, nerwowy skurcz zagnieżdżony w żołądku i tę potworną, przechodzącą ludzkie pojęcie konstatację, że to nie sen i że się nie obudzi. Świadomość, że nie śpi, spada na nią nagle z oddechem, który boli jak cios zadany nożem w serce. To nie sen. Ona nie śpi. Jest w pełni świadoma i nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. Wie tylko, że nigdy tu przedtem nie była.

- Hej?! - woła. - Halo?! Jest tam kto?! I wtedy jej wzrok pada na drzwi.

- Rany boskie! - mruczy gniewnie i zrywa się z pryczy. Ale jest głupia! Żeby bez powodu doprowadzić się do takiego stanu! Przecież tu są drzwi. Jak mogła ich wcześniej nie zauważyć?! Stoi przed nimi, wystarczy je otworzyć.

Niestety, nie otwierają się. Nawet nie drgną, chociaż ciągnie za nie i szarpie, a potem wali pięściami i kopie, niszcząc nowe zamszowe kozaczki.

- Co jest, do diabła?! - woła.

Krople potu spływają po czole. Dopiero teraz czuje, jak jest gorąco. Powietrze stoi nieruchomo w pozbawionym okien pokoju.

- Otwórz drzwi! - krzyczy. - Hej, ty tam! Natychmiast otwórz te cholerne drzwi! Gdzie ona jest?

- Gdzie ja jestem?! - pyta podniesionym głosem, przemierzając pomieszczenie od ściany do ściany.

Myśl - nakazuje sobie.

- Myśl! - woła, rytmicznie uderzając pięściami o boki. - Odtwórz ostatnią zapamiętaną sytuację!

Była na scenie. Śpiewała i tańczyła. Pamięta owację. Greg z dumą ściska jej rękę, gdy po raz ostatni się razem kłaniają. Greg - uderza ją myśl. No jasne!

- Greg?! - woła. - Greg, jesteś tam?! Wypuść mnie. To wcale nie jest zabawne! Cisza.

- Greg! Posłuchaj, ten wygłup trwa za długo. Nie jesteś Petruchem ani ja twoją głupią Kate. Nie życzę sobie siedzieć zamknięta. Natychmiast mnie wypuść!

To na pewno pomysł Joeya - stwierdza i pragnąc ugasić pragnienie, otwiera w końcu jedną z butelek. Kawał w stylu Balfoura. Chore poczucie humoru. Poskromienie złościcy. Megan przykłada butelkę do ust i pije z odchylną głową, wodząc oczami po suficie. Czuje, jak woda spływa wzdłuż przełyku i zmienia się w bryłkę lodu w żołądku. Czy ktoś ją podgląda?

- Jest tam kto? - pyta szeptem. - Jest tam kto?! - powtarza, tym razem głośniej. Wodzi czujnym wzrokiem po ścianach, szukając otworów lub ukrytych kamer. Ale w półmroku trudno cokolwiek dostrzec, a ściany są za wysokie, żeby zbadać wszystkie szczeliny i szpary. Może postawić łóżko na sztorc, użyć go jako drabiny i zdjąć latarnię, lecz co to jej da? Straci tylko sporo energii, która później może się przydać.

Przydać się? Do czego?

- Greg! Joey! Otwierajcie! Niech was diabli! To wcale nie jest zabawne! Odwraca się gwałtownie. Co to za dźwięk? Czyżby usłyszała śmiech, a może ponosi ją wyobraźnia? Nieruchomieje i nasłuchuje, lecz jedynym odgłosem jest jej własny rwący się oddech. Dobrze. Musisz się opanować - tłumaczy sobie. Nie dasz im tej satysfakcji. To banda walniętych szczeniaków robi głupi dowcip, chce mi dać nauczkę. Zapewne Tanya i Ginger maczały w tym palce, chcą się odegrać, bo zwinęłam im sprzed nosa rolę Kate. Joey też niewątpliwie ma w tym swój udział. Ale Greg? Czy możliwe, że on też jest w to zamieszany? „To nasz ostatni wieczór” - powiedział, gdy opadła kurtyna. „Ćśśś” - rzekł później. Kiedy to było? Kiedy kazał jej być cicho?

Na prywatce dla obsady - przypomina sobie i nagle sceny przybierają realny kształt: salon w domu Lonny'ego Reynoldsa, muzyka, tańce, alkohol. Utarczka z Joeyem. Wyprawa na piętro z Gregiem. Sypialnia rodziców Lonny'ego z wielkim łóżem i satynowymi poduszkami. Wargi Grega na jej ustach, smak piwa na czubku języka, jego dłonie na obnażonych piersiach. Ona plecie coś trzy po trzy. On ją ucisza. Potem podchodzi do drzwi. Otwiera je przy akompaniamencie trzasku zamka. Greg zostaje sam. Tak jak ona w tej chwili.

Czy to jego pomysł na wyrównanie rachunków?

Tak, był zły. Bez dwóch zdań. Najwyraźniej miał wielkie plany na tę noc, naszą noc - jak powiedział (czy to ciągle ta sama noc?), a ona pokrzyżowała mu szyki. Nawet więcej - wszystko popsukała. Rany, paplała bez sensu o termitach u ciotki! Nic dziwnego, że ją uciszał. Usiłowała dać mu do zrozumienia, że jeszcze nie jest gotowa. Tymczasem on nazwał ją podpuszczalską i kazał przysłać następną w kolejce.



Uciekła z pokoju, z domu, z dzielnicy. Ale co potem? Co się wydarzyło? Biegła przez kolejne ulice. Przez chwilę miała nadzieję, że Greg pospieszy za nią, położy dłoń na jej ramieniu i poprosi, żeby się zatrzymała, poczekała, zwolniła. Słyszała, jak mówi: Przepraszam, wcale tak nie myślałem.

Rzeczywiście ktoś ją dogonił, wyszeptał jej imię, a kiedy się obejrzała, szczęśliwa, że jednak

za nią pobiegł i nie musi już dłużej uciekać, wtedy...

Właśnie, co wtedy?

Wtedy...

Nic, pustka.

Jakieś zamglone wspomnienie, a może to tylko gra wyobraźni? Ktoś przycisnął jej coś do twarzy, gryzące wyziewy wypełniły nozdrza i wszystko okryła ciemność. Czy to naprawdę się zdarzyło? Gdzie ona jest?

Megan siada ciężko na pryczy. Jeszcze jeden mały łyk wody i odstawia butelkę na posadzkę. Jeśli wypije za dużo, będzie musiała skorzystać z toalety - pęcherz już dawał o sobie znać

lecz obojętnie, jak bardzo będzie dokuczać jej ból pęcherza czy żołądka, za żadne skarby nie załatwi się do tego idiotycznego wiaderka.

Absolutnie nie da im, kimkolwiek byli, tej satysfakcji. Nieważne, czy to robota Tanyi, Joeya, Ginger czy Grega (błagam, oby tylko Greg nie maczał w tym palców!). A więc lepiej zrezygnować z wody i oszczędzać gardło, bo im więcej będzie mówić, tym bardziej będzie ją suszyć, a im więcej wypije... Nie, dość tego. Za chwilę zwariuje. I to przez kogo?

Przez bandę popaprzanych kretynów, którzy chcą się zabawić jej kosztem!

Dzięki Bogu zatrzymano zabójcę Liany. Na szczęście Cal Hamilton czeka w areszcie na proces. Inaczej naprawdę wpadłaby w obłąd.

Dobilyby ją najróżniejsze potworne myśli. Wyobrażałaby sobie sadystycznych seryj-

nych zabójców. Albo siebie zgwałconą, torturowaną i zmasakrowaną. Z połową twarzy strzaskaną jednym pociskiem. Własne zwłoki leżące tygodniami na bagnach, pogryzione przez węże, aligatory i robactwo. Albo matkę, którą wzywają, żeby zidentyfikowała jej szczątki.

Gdy stanęła jej przed oczami udręczona twarz matki, czym prędzej otarła łzy, które same potoczyły się po policzkach. Nie zobacz, jak płacę - postanowiła. Chrzań się, Joey! Niech piekło pochłonie Ginger i Tanyę! Niech cię diabli wezmą, Greg! Ciebie przede wszystkim! Tak łatwo jest się zapomnieć pod wpływem chwili - usłyszała słowa matki. Nie zapomnę się. Obiecujesz?

I to się właśnie stało. Zapomniała się, pogubiła. Wszystkie chwile są podobne do siebie, gdy nie wiadomo, która godzina. Może gdyby nie powiedziała: „nie”, zapomniała się pod wpływem chwili, nie byłoby jej teraz tutaj. A więc pośrednio to wszystko wina matki. Niech cię diabli, mamó! Gdzie jesteś?

Co mama teraz robi? - zastanowiła się. Może śpi? Czy w ogóle wie, że córka zaginęła? Może zdenerwowana czeka na nią i obmyśla, jak ją ukarać za powrót po umówionej godzinie? Czy już jest spóźniona? Czy mama jej szuka? A może w tej chwili chodzi po ulicach, alarmuje sąsiadów i zdążyła wyciągnąć szeryfa z łóżka? Czy odnajdą ją, zanim będzie za późno? Na co za późno?

Cal Hamilton siedzi w areszcie. Nie ma się czym przejmować. Chyba że... Czy istnieje możliwość, że się stamtąd wydostał?

Ta przerażająca myśl spycha Megan z pryczy na środek izby. Czy to możliwe, że uciekł z

aresztu albo wyszedł za kaucją? Ma reputację uwodziciela. Może jakaś

naiwna kobieta uwierzyła w te bajdy, że został wrobiony, i złożyła za niego kaucję? A może znalazła się w rękach naśladowcy? Jakiś inny świr, który słyszał, co Cal zrobił z żoną, z Lianą i z tamtą biedaczką Candy - czy jak jej tam było - widział, jak uciekła z prywatki i wykorzystał okazję? Jakimś cudem uprowadził ją przez nikogo niezauważony? A może jednak ktoś go widział?

- Nie, nikt go nie widział - mówi na głos - bo nikogo takiego nie ma.

Liczy, że to wypowiedziane z uporem stwierdzenie położy kres idiotycznym spekulacjom.

Pomysł, że w takim krótkim odstępie czasu kolejny seryjny zabójca pojawił się w Torrance,

jest tak absurdalny i naciągany, że nie można go traktować poważnie.

Rzeczywistość jest o wiele bardziej przyziemna. To Joey Balfour wpadł na ten głupi pomysł i

jakoś przekonał do niego Grega, a może nawet całą obsadę Kiss me, Kate.

Prawdopodobnie

wszyscy siedzą tu gdzieś przyczajeni i patrzą, jak się miota, bawiąc się setnie jej kosztem.

Kurczę, zapewne jest w piwnicy domu Lon-ny'ego Reynoldsa! No jasne!

Tak jest. Chociaż

nie pamięta, żeby ten dom miał piwnicę. Większość domów na Florydzie nie jest podpiwniczona.

Czy nadal jest na Florydzie?

- No nie, to głupie. Teraz to już przesadziłaś.

Naturalnie, że jest na Florydzie. Bo gdzie niby miałyby być? Myśli, że jakiś handlarz żywym towarem wywiózł ją do innego stanu i

przetrzymuje w melinie? Widziała w telewizji dokument o porywanych

dziewczynach, które całymi latami zmusza się do prostytucji, zanim

zostaną uwolnione lub - co bardziej prawdopodobne - zabite przez

alfonsa. Ale tamte zazwyczaj pochodzą z biednych środowisk w słabo rozwiniętych krajach; to nie są rozpieszczone amerykańskie nastolatki.

Zdaje się, że w Stanach handlarzy żywym towarem interesują głównie

dzieci. Jest zdecydowanie za stara do dziecię-

cej pornografii. Jednak trafiała na mnóstwo obrzydliwych stron, zanim rodzice zablokowali je w Internecie; stron pełnych zdjęć dziewczyn w jej wieku - kneblowanych, biczowanych, dżganych paralizatorem do poganiania bydła. Najwyraźniej w Internecie można znaleźć wszystkie możliwe zboczenia i okrucieństwa, łącznie z filmami, w których naprawdę zabija się ludzi. Czyżby właśnie trafiła jej się nowa główna rola?

- O Boże, Boże!

Nie bądź głupia. Uspokój się. Widzisz, co narobiłaś? Sama się napędzasz. Tu nie chodzi o żadne porno ani o handel żywym towarem. To bandę rozwydrzonych smarkaczy poniosło bardziej niż zwykle. Chcą ci utrzcęć nosa. Są zawistni, małostkowi i źli, bo się wyróżniasz. Chcą sprawdzić, jaka naprawdę jesteś. Urządzili coś w rodzaju „otręsin”, poddają cię próbie przed przyjęciem do swego grona.

Nie chce mieć więcej z nimi do czynienia. Gdy tylko stąd wyjdzie i znajdzie się w domu, oznajmi matce, że jest gotowa wracać do Rochester. A jeśli to sen - ciągle jeszcze ma nadzieję, że śni - w takim razie niesie wyraźne przesłanie: należy pożegnać Torrance, za długo się tu zasiedziały, czas związać manatki i brać nogi za pas.

- Niech ten sen się wreszcie skończy - szepce błagalnie.

Wraca na pryczę. Siada i kolejny raz zamyka oczy. Myśl o przyjemnych rzeczach - nakazuje sobie. O tamtym bikini w butik w South Beach; czarnym z małymi niebieskimi kokardkami. Mama stwierdziła, że jest za drogie, lecz Megan słyszała, jak szepnęła do sprzedawczynie, aby je odłożyła - później po nie wróci. Pewnie dostanie je pierwszego lipca na urodziny. Pierwszy lipca jest ważnym dniem w Kanadzie, mniej więcej jak czwarty lipca w Stanach. Podoba jej się Kanada - stwierdza, poddając się luźnemu strumieniowi myśli. Co prawda niewiele widziała. Była jedynie w Toronto, lecz zakochała się w tym

mieście, bo jest piękne i tyle rzeczy tam można robić -ma CN Tower, Science Center i całą dzielnicę teatrów -a wszystko tak blisko Rochester, bo zaraz na przeciwległym brzegu jeziora. W zeszłym roku popłynęli tam promem w sobotni poranek, po południu zwiedzili wystawę dinozaurów w Royal Ontario Museum, potem poszli na obiad do restauracji Sotto Sotto, gdzie często zaglądają różne sławne osoby, no i akurat przy jednym ze stolików siedzieli Kiefer Sutherland i Ethan Hawke. Kiefer wyglądał fajniej niż Ethan, który wydawał się za chudy i jakby niedomyty. Na koniec obejrżeli gościnną produkcję Nędzników i następnego dnia wrócili promem do domu. Wspomina to jako cudowny wypad. Naturalnie, wszystko to się działo, zanim ojciec poznał Kerri Franklin przez Internet i zanim namówił Sandy do przeprowadzki na Florydę. Gdyby dane jej było w tej chwili wsiąść na prom! Gdyby udało jej się stąd wyjść! Właściwie gdzie ona jest? Burczenie w brzuchu sprowokowało do spekulacji, ile czasu mogło upłynąć, odkąd miała coś w ustach. - Hej, jestem głodna! - zawołała. - Najwyższy czas skończyć te wygłupy! Nikt nie odpowiedział. Wbrew woli i stanowczemu postanowieniu rozplakała się z głową przytuloną do pryczy.

33

- Na litość boską, przestań płakać! - warknął John, usiłując zachować resztki panowania nad sobą.

W końcu to on był pokrzywdzony, a nie jego żona. To nie on się zalał (aż się prosi dokończyć; „w trupa”) i wpadł w histerię. Nie on wystawił ich oboje na pośmiewisko, wyjawiając na środku najbardziej uczęszczanej restauracji wstydlivy rodzinny sekret (no dobra, niech będzie:

jego sekret), o ile w ogóle można mówić tu o sekrecie, skoro to była tajemnica poliszynela. Nie on puścił pawia w samochodzie, a potem jeszcze raz, już w domu. Kurde, czy nie posprzątał po niej?! Czy nie trzymał języka za zębami, nie dając się sprowokować, gdy wyzywała go od skurwysynów, cudzołożników i opasłych świń? Czy nie powstrzymał się od przyłożenia z buta w telewizor, kiedy zataczając się, weszła do sypialni i włączyła go na cały regulator? Jasny gwint, stanowi wzór opanowania - stwierdził, chodząc tam i z powrotem wzdłuż łóżka.

- Psiakrew, czego beczysz?! - wrzasnął, przekrzykując dźwięk telewizora.

- Płaczę dlatego, że tak mnie traktujesz! - odkrzyknęła równie głośno. Siedziała na łóżku oparta o zagłówek, z jedną nogą wyciągniętą przed siebie, a drugą spuszczoną na podłogę, w rozchełstanej, pogniecionej bluzce. Kasztanowe, zawsze zadbane włosy wisiały w strąkach, a tusz spływał na policzki razem ze łzami.

- Że jak cię traktuję?!

- Wszyscy wiedzą o twoim romansie z Kerri Franklin.

- Jeśli przypadkiem ktoś o tym nie słyszał, to teraz na pewno już wie.

Rozpiął granatową, sportową marynarkę, którą trzymał na specjalne okazje. Wieczór rozpoczął się naprawdę fantastycznie. Ta spontaniczna owacja, jaką zgotowano mu w audytorium, świetna gra córki w przedstawieniu i na koniec zaimprovizowany wypad do Chestera dla uczczenia jej sukcesu. Wszystko dobrze szło, dopóki Pauline nie wypijała jednego drinka za dużo i przytyki, które rzucała pod jego adresem przez cały wieczór, nie nabrały ostrości, a aluzje nie stały się bardziej niż oczywiste. Avery Peterson oraz Lenny Fromm wyczuli pismo nosem i taktownie się zmyli. Rita usiłowała powstrzymać eskalację wrogości bezsensowną paplaniną. W końcu Pauline popadła w pijacki smutek. Pojawienie się Sandy Crosbie dało

mu wymarzony pretekst, żeby odejść od stolika. Zagrał nawet w snookera i już gratulował sobie opanowania, gdy... masz babo placek! Piece de résistance - jak powiedziałyby Pauline; wejście Kerri Franklin z doktorkiem wywołało eksplozję. Czy ta sprawa kiedykolwiek przyschnie?

- Posłuchaj, nie wiem, czemu akurat teraz o tym rozmawiamy. To stara historia. Wydarzyła się wieki temu.

- W ogóle nie powinna się wydarzyć - odpaliła Pauline. John pokiwał głową. Co innego mu pozostało?

- Nie traktuj mnie jak idiotki, wmawiając, że to się więcej nie powtórzy. Jak tylko doktor ją rzuci, przyjdzie wypłakać się na twoim ramieniu...

- Nie rzuci jej. I nie przyjdzie się wypłakać.

- ...a ty polecisz za nią w podskokach.

- Czyżbyś przypadkiem nie zauważyła, że nie jestem już taki skoczny? - John był wyczerpany. Pragnął wreszcie znaleźć się w łóżku i zapaść w kamienny sen.

- Co? Jeszcze żarty się siebie trzymają? Uważasz, że to zabawne? Świnia jesteś, wiesz?!

- Zdaje się, że już wcześniej mi to mówiłaś.

- Taak? I co z tego? Jeszcze raz ci to powiem. - Pauline zaczęła wyciągać prześcieradło spod kapy, usiłując narzucić je na ramiona.

- Co ty wyprawiasz?

- Zimno mi.

- Weź prysznic.

- Spadaj!

John wyrzucił ręce w górę w geście oburzenia.

- Chcesz, żeby twoja córka zobaczyła cię w takim stanie? Pauline zbyła jego obawy machnięciem ręki.

- Amber nie ma w domu. Poszła na prywatkę dla obsady, gdybyś przypadkiem zapomniał: Spojrzał na zegarek. Nie zapomniał. Minęła północ.

- Będzie w domu za niecałą godzinę.

- Coś mi się wydaje, że wpadł jej w oko ten chłopak -zauważyła niespodziewanie Pauline, jakby parę sekund wcześniej nie skakali sobie do oczu.

- Jaki chłopak?

- Syn Sandy. Jak mu na imię? Tom? Tim? Timber?

- Jak zwykle ponosi cię wyobraźnia.

- A ty jak zwykle nic nie widzisz. - Parsknęła śmiechem. - To doprawdy ironia losu, kiedy się nad tym zastanowić. „Ironia losu” wydaje mi się trafnym określeniem. Muszę przy okazji zapytać Sandy.

- Co ty tam bredzisz?

- Nasza córka i syn Sandy. Jak w powieści, nie sądzisz? Jakby musiało do tego dojść. Mamy Sandy, żonę Iana, Ian jest kochankiem Kerri, Kerri była flama Johna, a John jest nic niewartym, niewiernym mężem Pauline. Co ty powiedziałaś? Że bredzę?

- Powiedziałem, iż według mnie powinnaś doprowadzić się do porządku, zanim Amber wróci do domu.

- Ona tu nie wejdzie. Nigdy nie wchodzi.

- Jesteś pijana.

- Czyżby? No nie! Czemu nikt mi tego nie powiedział?

- Wchodź pod prysznic.

- Spadaj.

- Posłuchaj - zaczął John. - Weźmiesz prysznic, czy to ci się podoba, czy nie.

- Taak? A kto mnie do tego zmusi? Ty?

- Jeśli będzie trzeba.

- A jak masz zamiar to zrobić? - podjudzała go. -Przerzucisz mnie przez ramię w stylu Kiss me, Kate?

- Raczej zaciągnę cię tam za włosy. - Doskoczył do łóżka.

Nie zamierzał użyć siły, chociaż niewiele brakowało, żeby posunął się do czegoś w tym „stylu”. Dostyc się naoglądał pozornie niewinnych rodzinnych kłótni z fatalnym finałem i nie miał zamiaru dołączyć do grona mężczyzn maltretujących żony. Mało ją skrzywdził, zdradzając?



- Chodź, Pauline. Nie komplikuj. - Chwycił ją za rękę, a ona odepchnęła jego ramię, lecz w końcu udało mu się przytrzymać ją za łokieć i ściągnąć z łóżka.

- Oglądam ten program! - protestowała na cały głos, kiedy ciągnął ją przez korytarz do łazienki.

- Dokończysz oglądać po kąpieli.

- Umknie mi najlepszy kawałek.

- Nic ci nie umknie. - Przystanął. Naprawdę kłócili się o jakiś durny, powtarzany w środku nocy program, który zapewne widziała już ze sto razy? - Marsz pod prysznic! - Trzymając ją mocno za ramię, otworzyłabinę i odkręcił oba kurki do oporu. - Rozbieraj się!

- Wypchaj się!

- Dobra. To się nie rozbieraj. - Ujął ją obiema rękami w pasie i postawił na środku kabiny, a letni strumień z prysznicza zmoczył włosy i spływając po czole, trafił prosto w otwarte usta. Jedwabna bluzka i lniane spodnie natychmiast nasiąkły wodą.

- Moje buty! - wrzasnęła, ściągając czółenka z beżowej skóry i ciskając nimi w jego głowę. Uchylił się przed lecącym obuwiem, lecz w tej samej chwili Pauline jakimś cudem udało się zacisnąć palce na srebrnej klamrze paska przy jego szarych spodniach. Zaskoczony szarpnięciem, stracił równowagę i runął na kolana na miodowe kafelki w kabinie, szarpiąc się z żoną pod strumieniem wody. Próbując wesprzeć się o ścianę, niechcący dotknął piersi Pauline i cofnął rękę jak oparzony. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby oskarżyła go o gwałt.

- Co jest? - naskoczyła na niego, wypluwając wodę kącikiem ust. - Przestraszyłeś się? Zapomniałeś już dotyku prawdziwych piersi? Bóg jeden wie, kiedy ostatnio moje cię interesowały. - Zaczęła zdejmować bluzkę; udało jej się ściągnąć z ramion mokry, lgnący do ciała materiał, trochę dłużej zajęło rozpięcie guzików przy mankietach. Potem błyskawicznie oswobodziła się z resztek ubrania: stanika, rajstop, fig i stanęła przed

nim nago. - Popatrz na mnie! - zażądała. - Tak wygląda prawdziwe kobiece ciało. John z niechęcią powiódł spojrzeniem po gołym ciele żony. Po dużych, ciężkich piersiach, nieco wypukłym brzuchu, kępcie ciemnobrązowych włosów w spojeniu ud i nadal zgrabnych nogach. Podniecił się - stwierdził nie bez paniki. Rany, czy mu odbiło? Pauline nie umknęło jego podniecenie. Błyskawicznie ściągnęła mu spodnie do kostek i pieściła go ustami pod kaskadą z prysznicą. Podniósł żonę i jedną ręką przytrzymując się ściany, wszedł w nią, a po chwili objęli się razem o krany, zataczali na kafelki i szkło. Woda zalewała mu oczy, nos i usta; nic nie widział, nie słyszał i ledwo oddychał. Pierzchnęło wspomnienie wieczoru - wzajemnych oskarżeń i wstydu - znikło zmęczenie. Czuł jedynie zderzenia ich ciał, i to było przyjemne uczucie. Boże, zapomniał już, jakie to przyjemne. Cholernie przyjemne. Niespodziewanie ręka ześliznęła mu się ze ściany, stopy zaplątały w skotłowane spodnie i oboje runęli na posadzkę. Jednak nie oderwali się od siebie, a Johnowi przypomniała się historia o kopulujących psach, które właściciel rozłączył, oblewając kubłem wody. Rozbawiony, parsknął śmiechem, bo ich z Pauline nie ostudził nawet przelewający się brodzik.

- Czy często...? - zaczęła, gdy wreszcie zakręcili wodę i siedzieli zdyszani na kafelkach w kabinie.

Wziął ją w ramiona i pocałował, zaskakując ją tym gestem i jednocześnie sprawiając radość. Cisnęło mu się na usta słowo „przepraszam”, lecz nie był pewien, za co właściwie chciał się pokajać. Za kiepskie wywiązywanie się z roli męża? Za wielokrotne zdrady z Kerri Franklin? Za to, że nie kochał jej tak, jak tego pragnęła? Czy przeprosiny cokolwiek by załatwiły?

- Przepraszam - usłyszał w tej samej chwili głos Pauline. - Nie byłam dla ciebie dobrą żoną, prawda?

- Nie dałem ci zbyt wielu okazji.

Po chwili westchnęła ciężko, kręcąc głową.

- I co teraz?

- Wytrzymaj się, położymy się i złapiemy trochę snu.

- Jest parę spraw, o których trzeba porozmawiać.

- Zgoda. Ale nie dzisiaj.

- Może powinniśmy skorzystać z rad doktora Phila -podsunęła.

- Kto to jest doktor Phil?

W głębi domu trzasnęły drzwi.

- Mamo?! Tato?! Nie śpicie jeszcze?!

John spojrział na zegarek, jedyną rzecz, jaką miał na sobie. Na szczęście jest wodoodporny -pomyślał, podnosząc się z kafelków i wychodząc z kabiny. Zdążył owinać ręcznik wokół bioder, gdy córka wpadła jak burza do łazienki.

- Tato, czy... - Amber strzeliła oczami od ojca do matki i zatrzymała wzrok na Johnie. - Ups!

- Cześć, kochanie! - odezwała się Pauline takim tonem, jakby wcale nie siedziała naga w brodziku wśród nasiąkniętych wodą części garderoby. - Dobrze się bawiłaś? Dziewczyna otworzyła usta, lecz nie popłynęły z nich żadne słowa.

- Coś się stało? - spytał John. Czy. ta noc mogła go jeszcze czymś zaskoczyć? Amber niepewnie wodziła spojrzeniem pomiędzy sufitem a podłogą.

- Nie możemy znaleźć Megan.

- Megan Crosbie? - podchwyciła Pauline, wychodząc z kabiny i owijając się w biały frotowy szlafrok.

- Tak. Siostry Tima.

- Co to znaczy: nie możecie jej znaleźć? - chciał wiedzieć John.

- Wyszła z prywatki parę godzin temu i od tamtej pory nikt jej nie widział.

- Pewnie wróciła do domu. Rozmawialiście z jej matką?

- Tim zadzwonił do niej jakieś pół godziny temu. Nie chciał jej martwić, więc zapytał, czy mogą z siostrą zostać jeszcze trochę, i ona się zgodziła. Czyli Megan nie ma w domu.

- Może jest ze swoim chłopakiem - podsunęła Pauline.

- Wszyscy tak z początku myśleli - przyznała Amber. - Ostatnio trzymała się blisko z Gregiem.

- Gregiem Watterem? - upewnił się John, a dziewczyna przytaknęła skinieniem głowy.

- Proszę, proszę - skomentowała Pauline.

- Ale podobno się pokłócili i wtedy ona wyszła.

- Czy ktoś widział, jak wychodziła?

- Delilah mówiła, że Megan przebiegła obok niej, a kiedy ją zawołała, nawet nie przystanąła. Greg wyszedł kilka minut po niej.

- No właśnie. Pewnie ją dogonił, a teraz, oględnie mówiąc, się godzą. Sprawa zamknięta - podsumował John w myślach, czując, jak wszystkie mięśnie w jego ciele marzą, żeby wyciągnąć się w łóżku. Był pewien, że w tej chwili Greg z Megan są - jeśli nie w łóżku, to w czymś w miarę do niego zbliżonym - najprawdopodobniej na tylnym siedzeniu furgonetki chłopaka. Amber niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Nie. Właśnie od niego wracamy. Był w domu. Bez Megan. Bardzo się przejął, kiedy usłyszał, że nie wiemy, gdzie jest. Powiedział, że pójdzie jej szukać.

Tylko tego mi jeszcze potrzeba - pomyślał John.

- Dobrze, już dobrze. To, że nie była z Gregiem, wcale nie oznacza, że coś jej się stało. - Alarmowy dzwonek odezwał się w głowie. Udawał, że go nie słyszy. - Czy ktoś jeszcze wcześniej wyszedł z prywatki?

- Victor Drummond, nikt więcej nie przychodzi mi na myśl. Wiem o nim, bo widziałam, jak się wymknął przed bójką.

- Jaka bójką?

- Doszło do bójk? - zawtórowała Pauline. - Nic ci się nie stało? Nie oberwałaś przypadkiem, co?
- Nic mi nie jest. Wszyscy są cali i zdrowi. Z wyjątkiem Joeya.
- Joeya Balfoura?
- No. Brian nieźle mu przyłożył.
- Brian?! - zdziwiła się Pauline. - Chyba nie mówisz o Brianie Hensenie?
- Powinniście go zobaczyć. Jakby coś w niego wstąpiło. To było niesamowite! - Amber zrobiła duże oczy z zachwytem.
- Zaraz. Trochę się pogubiłem - przerwał im John. -Zacznijmy jeszcze raz od początku. -Jesteś na imprezie dla obsady...
- W domu Lonny'ego Reynoldsa - dopowiedziała Amber.
- Jego rodzice wyjechali? - wtrąciła się Pauline. John dał jej znak spojrzeniem, żeby pozwoliła jemu zająć się tą sprawą, i Pauline posłusznie zamilkła.
- No dobrze, a więc jest prywatka i dochodzi do szarpaniny...
- Nie od razu - uściśliła córka. - Najpierw wszystko grało. Ludzie tańczyli i świetnie się bawili. Było naprawdę fajnie.
- Czy zjawili się tam jacyś obcy?
- Może nie znałam kilku osób. Mnóstwo nas tam było. Wszędzie pełno: w salonie, w kuchni, w syp... - Urwała w pół słowa. - Trudno się było połapać. Dlatego nikt nie zauważył, że nie ma Megan.
- No tak, a więc bawicie się i tańczycie...
- Właśnie. I wtedy Joey jak zwykle wyskoczył z tymi swoimi chamskimi wygłupami i zaczął wyzywać wszystkich od pedałów i różnych takich. No i Brian rzucił się na niego. Perry Falco ruszył mu na pomoc i zanim się obejrzelśmy, doszło do ogólnej kotłowaniny. Okazało się, że Joey wcale nie jest taki lubiany, jak sądził.
- Nic mu się nie stało? - zapytała Pauline.

- Chyba najbardziej ucierpiała jego duma.
  - Gdzie on teraz jest?
  - Nie mam pojęcia. Zmył się. A reszta nas została, żeby trochę posprzątać, bo Lonny szalał ze strachu, co będzie, jak rodzice wrócą i zobaczą ten cały bałagan. No i właśnie wtedy Tim się zorientował, że nie ma Megan.
  - A Delilah jest jedyną osobą, która widziała, jak wychodziła?
  - Bardzo się przejęła, powtarzała w kółko, że powinna pójść za nią. To ona podrzuciła mnie z Timem do Grega.
  - A gdzie jest teraz?
  - Miała odwiedzić Tima do domu, no, a potem chciała jeszcze zajrzeć do babci, zanim zacznie szukać Megan.
- John z irytacją pokręcił głową. Boże, chroń mnie przed tymi domorosłymi detektywami -pomyślał. Niemniej był wdzięczny Delilah, że odwiozła jego córkę do domu.
- To naprawdę miła dziewczyna - powiedziała Amber, jakby czytając w jego myślach. John prosto z łazienki skierował się do szafy i zaczął szukać w szufladach świeżych bokserek.
  - Co robisz? - spytała Pauline, stając za nim.
  - Nie mogę pozwolić, żeby banda smarkaczy latała po dworze, wyręczając mnie. - Wciągnął džinsy i nałożył białą dresową bluzę.
  - Mogę pójść z tobą? - zapytała Amber, podążając za nim do drzwi.
  - W żadnym wypadku.
- Zadzwoił telefon. John poczekał, aż Pauline go odbierze.
- To Sandy Crosbie - oznajmiła, podchodząc z bezprzewodową słuchawką.
  - Rozmawiałeś z Amber? - Usłyszał szloch Sandy, zanim zdążył przyłożyć słuchawkę do ucha. - Mówiła ci, że Megan zniknęła?

- Nie wiemy, czy zniknęła - starał się ją uspokoić. Ile razy w ostatnich miesiącach prowadził takie rozmowy? Najpierw z matką Candy Abbot, potem z Martinami i na koniec z Calem Hamiltonem. Przebiegł go dreszcz. Trzy różne rozmowy. Dwa ciała. Cal Hamilton został aresztowany i siedzi pod kluczem, czekając na proces. A więc nie ma powodu do niepokoju. Megan pokłóciła się ze swoim chłopakiem i pewnie kogoś poderwała, żeby się odegrać. Wróci rano zawstydzona i pełna skruchy, jak ta mała Vinton z Collier County. - Czy możliwe, że Megan jest u ojca?

- Przed chwilą do niego dzwoniłam. Odłożył słuchawkę, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

- Ummm. Daj mi jego numer. Sam z nim porozmawiam. - John głośno powtarzał cyfry, gdy Pauline pobiegła po papier i ołówek.

- Idę jej szukać - oznajmiła Sandy.

- Proszę cię, nie rób tego - przekonywał ją, wiedząc, że i tak go nie posłucha. - Pozwól mi przynajmniej porozmawiać najpierw z doktorem Crosbiem.

- Oddzwonisz?

- Jak tylko się z nim skontaktuję. - Rozłączył się. - Cholerny świat! - zaklął na cały głos. - Te kobiety! Czemu nie można zwyczajnie posiedzieć w domu i (spojrzał na córkę)... coś zjeść! - wrzasnął.

Amber odpowiedziała wyzywającym spojrzeniem.

- Zadzwonisz do doktora Crosbiego?

Odetchnął głęboko, chcąc się opanować, a Pauline wybrała numer komórki lana.

- O co chodzi, szeryfie? - usłyszał zamiast „halo”. Najwyraźniej doktorek sprawił sobie opcję z wyświetlaczem numeru rozmówcy. - Nie bardzo mam czas na pogawędki.

John nie musiał pytać lana, gdzie jest.

- Czy to karetka? - Doszedł go głos Kerri.

- Coś się stało? - zainteresował się John.

- Matka Kerri miała zawał - poinformował go lan i zniżając głos do szeptu, dodał: - Śmiertelny.

Johna kompletnie zaskoczyła ta wiadomość. Co jeszcze mogło się wydarzyć tej nocy?

- Proszę przekazać Kerri wyrazy współczucia - powiedział, czując, jak stojąca za nim Pauline natychmiast sztywnieje. - Czy przypadkiem nie ma tam Megan?

- Megan? Nie. Poszła na prywatkę. Proszę mi wybaczyć, szeryfie, muszę kończyć. Połączenie zostało przerwane. John natychmiast oddzwonił do Sandy.

- Nie ma jej u ojca - oznajmił. - Podjadę po ciebie za pięć minut. Razem jej poszukamy. I Sandy... - dodał z głębokim przekonaniem - ...znajdziemy ją. Przyrzekam.

34

Megan zbudziło stłumione zawodzenie. Ten niesamowity głos zdawał się dobywać z jej snu. Czy ocalisz mnie o poranku? - Liana Martin śpiewała przy płonąącym ognisku, a skupione wokół niej koleżanki bezgłośnie powtarzały słowa.

*Pustka błaga o wypełnienie.*

*Muszę znowu stłumić pragnienie.*

I wtedy przyszedł Joey Balfour ze skrzynką piwa. Wszyscy zaczęli pić i głośno rozmawiać, a piękne słowa piosenki:

*Daj mi szansę stać się kimś innym,*

*To przecież takie proste*

*utoneły w ogólnym hałasie.*

*Rachunek niewyrównany*

*I wciąż liżę me rany.*

Delikatny głos Liany zadrżał i nabierając głębi, przeszedł z sopranu w alt.

- *Czy ocalisz mnie o poranku? Czy ocalisz mnie o poranku?* - po czym zatracił czyste brzmienie, słowa zlały się



w jeden ciąg, zagubiły się rytm i harmonia. Śpiew przeszedł w lament, w przeciągłe, żalosne zawodzenie.

*Och, skarbie, odwagi.*

*Nie rób nic, co sprawi,*

*Że poczujesz, iż jesteś gdzie indziej niż tu...*

Megan otworzyła oczy i usiadła. Tym razem nie doznała wstrząsu ani nie czuła zaskoczenia, tylko rezygnację na widok teraz już znanego otoczenia. Nie była nigdzie indziej niż tu. Nic się nie zmieniło od chwili, kiedy zapadła w drzemkę. Była w tej samej obskurnej klitce, to samo ohydne plastikowe wiaderko stało przy tej samej wąskiej i niewygodnej pryczy, a całość oświetlało to samo mdłe, pełgające światło. Nie miała pojęcia, jak długo spała - kilka minut czy parę godzin - nie potrafiła ocenić, czy tym razem sen trwał dłużej niż poprzednio, i nie wiedziała, jaka jest pora dnia.

*Czy ocalisz mnie o poranku?*

- Czy ocalisz mnie? - powtórzyła, wsłuchana w piosenkę, która dźwięczała jej w głowie. Tylko że to nie był śpiew i wcale nie dźwięczał w jej głowie.

W takim razie: co?

Podniosła się chwiejnie na miękkich nogach. Ktoś zawodzi - dotarło do niej wraz z raptownym przyływem adrenaliny. Ktoś za drzwiami. Serce szaleńczo tłukło się o żebra, tamując oddech, szum rozpędzonej krwi zagłuszał myśli.

A ona musi trzeźwo myśleć, bo miotając się bez sensu, działając impulsywnie i nierozważnie, jedynie narazi się na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Uwięziona w tym okropnym, klaustrofobicznym miejscu od kilku minut, godzin, a może i dni, nie miała już wątpliwości, że to nie jest głupi kawał, a temu, kto ją tu zamknął, nie chodzi o zwykłą nauczkę. Ktoś naprawdę chciał ją skrzywdzić. Możliwe, że to ten sam człowiek, który zabił Lianę, Candy i Fionę. Nieważne, czy to Cal Hamilton, jego naśladowca czy jeszcze ktoś inny. Najważniejsze, żeby zachowała zimną krew i oby nie spotkał jej los tamtych kobiet.

Zawodzenie przybrało na sile. Tam naprawdę ktoś był.

Megan wyciągnęła rękę i zacisnęła drżące palce na klamce, rozpaczliwie świadoma, że wszystkie wcześniejsze próby otwarcia drzwi kończyły się fiaskiem. Tym razem jednak było inaczej. Drzwi ustąpiły.

- O Boże - szepnęła, wstrzymując oddech i zaciskając powieki z obawy przed tym, co może zobaczyć.

- Megan? - usłyszała wystraszony głos. Otworzyła oczy.

Na podłodze leżała skulona dziewczyna, z jedną ręką wplątana w zmierzwione włosy, a z drugą przy otwartych ustach. Na jej twarzy odbijał się lęk zmieszany ze zdziwieniem.

- Delilah!

Córka Kerri dźwignęła się z podłogi i omiotła rozbieganymi oczami ciasne pomieszczenie.

- Co to jest? Gdzie jesteśmy? Megan rzuciła jej się w ramiona.

- Boże! Jak się cieszę, że cię widzę! Nawet nie masz pojęcia!

- Gdzie jesteśmy? - powtórzyła Delilah.

Teraz obie przez chwilę rozglądały się wokół siebie i jak Megan zauważyła, to pomieszczenie wyglądało mniej więcej tak samo jak tamto, w którym siedziała zamknięta, z tą tylko różnicą, że tu brakowało sprzętów. Nie było pryczy, wiaderka ani butelek z wodą. Podeszła do drzwi za plecami Delilah i z całej siły szarpnęła za klamkę.

- Zamknięte?

Megan przytaknęła kiwnięciem głową.

- Czemu? Kurde, gdzie jesteśmy? - zapytała Delilah po raz trzeci.

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy, jak długo tu siedzę i jak tu trafiłam. Nic nie wiem. - Łzy, które za wszelką cenę usiłowała powstrzymać, popłynęły strumieniem po policzkach.

Koleżanka otoczyła ramionami jej drżące barki.

- Cicho. Nie płacz. Coś wymyślimy.

- Pamiętasz cokolwiek?

Delilah potrząsnęła głową, jakby to mogło jej pomóc pozbierać myśli.

Otworzyła usta i zawahała się, usiłując wydobyć jakiś obraz z zakamarków pamięci.

- Sama nie wiem. Wszystko jest takie jakby za mgłą.

- Wiem.

- Byłyśmy na prywatce...

- Tak. Też to pamiętam.

- Uciekłaś! - krzyknęła Delilah. - Wołałam cię, ale nie reagowałaś.

- Byłam wkurzona. Ścięłam się z Gregiem.

- Zrobiła się niezła zadyma. - Delilah z satysfakcją wymówiła ostatnie słowo. - Joey porządnie oberwał.

- Joey?

- I wtedy twój brat zaczął się dopytywać: „Gdzie jest Megan?”.

- O Boże! Na pewno się zamartwiają.

- Pomyśleliśmy, że jesteś z Gregiem. On też wcześniej wyszedł. No to pojechaliśmy do niego.

- Wyszedł wcześniej?

- Powiedział, że ciebie u niego nie ma, i wtedy podrzuciłam Amber i Tima do domu. Zamierzałam sprawdzić, jak się czuje babcia, ale na podjeździe przed domem stał samochód twojego ojca, więc uznałam, że nie będę przeszkadzać i lepiej pojeżdżę trochę po okolicy i rozejrzę się za tobą. -

Delilah zawiesiła głos, jakby szukała następnego fragmentu układanki.

-Pamiętam, że jechałam Citrus Grove, minęłam po drodze dom profesora Lipsmana, później to miejsce, gdzie znalazłyśmy zwłoki Fiony Hamilton, a potem musiałam gdzieś źle skręcić, bo nie wiadomo jak znalazłam się w pobliżu domu Kimble'ow. Wiesz, gdzie to jest?

Megan zaprzeczyła ruchem głowy.

- No jasne, że nie. To zupełnie pustkowie, dom stoi na końcu dużego, gołego pola. Wydało mi się, że w jednym

z okien zamigotało światło, co mnie trochę zdziwiło, bo od lat nikt tam nie mieszka. Wysiadłam z samochodu i szłam na przełaj przez pole. Pamiętam jeszcze, jak pomyślałam, że głupio robię. Już miałam zawrócić, gdy ktoś zawołał mnie po imieniu. - Delilah przerwała na moment. - Przynajmniej tak mi się zdawało. - Znowu zamilkła i skupiona, zmrużyła oczy - i dalej pustka. Więcej nie pamiętam.

- Czy według ciebie możemy być w domu Kimble'ów? - Megan podsumowała jej opowieść.

- Może - przyznała Delilah. - Podobno jest w nim piwnica. Czemu pytasz? Do czego zmierzasz?

- Sama nie wiem - odparła szczerze Megan. - Nie mam pojęcia, do czego zmierzam. - Znowu powracał tamten paniczny lęk. - Wiem tylko, że jestem zmęczona, głodna i przerażona.

- Myślisz, że to jakiś idiotyczny kawał? - Delilah snuła na głos przypuszczenia tak samo jak wcześniej Megan. - Myślisz, że stoi za tym Joey albo Greg?

- Mam taką nadzieję - wyznała Megan, chociaż wolała nie dopuszczać do siebie myśli, że Greg byłby zdolny do takiej podłości.

- Kto poza nimi mógłby wpaść na taki chory pomysł? - spytała Delilah.

- Może ktoś, kogo w ogóle nie znamy.

- Co to znaczy?

- Może to ten sam człowiek, który zabił Lianę.

- Co? Co ty mówisz? - Delilah zaczęła krążyć po klatce jak tygrys po klatce w zoo. - Lianę zabił Cal Hamilton - tak samo jak swoją żonę i prawdopodobnie tamtą dziewczynę.

- A jeśli to nie on?

- On. Bez dwóch zdań. Przecież znaleźli u niego w domu wisiołek Liany - przypomniała Delilah. - I bransoletkę tamtej dziewczyny.

- Ktoś mógł je podrzucić.

Twarz Delilah zrobiła się kredowobiała ze strachu.

- To nie ma sensu.

- Niby czemu?

- No bo nie.

- Jeżeli nie Cal jest mordercą, to osobnik, który to zrobił, nadal jest na wolności - dowodziła Megan. -I przyczajony czekał, aż wszyscy stracą czujność, żeby znowu zaatakować. Kto wie, może kręcił się gdzieś w okolicy i widząc, że idę sama, wykorzystał sytuację. W jakiś sposób ogłuszył mnie i przywiózł tutaj. A potem ty zaczęłaś węszyć, więc nie miał wyboru i ciebie też zamknął.

Delilah nie wyglądała na przekonaną.

- Raczej trudno byłoby mnie przetrząść przez ramię. Ten ktoś musiałby być bardzo silny. I zawzięty.

- To musi być ktoś znajomy - spekulowała Megan. -Zna nasze imiona.

- To Joey - upierała się Delilah, chociaż tym razem jej głos zabrzmiał znacznie mniej pewnie. -I to do spółki z Gregiem. We dwóch daliby radę mnie przenieść.

- Nie wierzę, że Greg mógłby coś takiego zrobić.

- Myślisz, że jesteśmy w szponach jakiegoś bezwzględnego mordercy?

- Boże jedyny!

- Spoko, nie daj się zwariować - mitygowała ją Delilah. - Pamiętaj, że jesteśmy we dwie. Jeśli to rzeczywiście jakiś walnięty psychopata, mamy nad nim przewagę.

- W takim razie czemu dał nam taką szansę? - zapytała cicho Megan, jakby bała się pojąć znaczenie własnych słów.

- Co masz na myśli?

- Bo to bez sensu. Po co otworzyłby te drzwi? Czemu miałby pozwolić nam się spotkać? Delilah, kręcąc głową na boki, z uwagą przyglądała się ścianom.

- Pewnie nas obserwuje. - Podbiegła do jednej z nich i przesunęła dłonią po chropawej powierzchni. - Podśłuchuje. Z oglądania nas razem czerpie jakąś perwer-

syjną przyjemność. Czemu? O co mu chodzi? Myślisz, że on chce, no wiesz, zobaczyć nas razem?

Megan wzdrygnęła się na tę myśl, po czym natychmiast stanęły jej przed oczami tamte przerażające opisy zmasakrowanej twarzy Liany i rozpłakała się. Delilah szybko wróciła do niej i zamknęła w dławiającym uścisku.

- Coś ci powiem - wyszeptała Megan do ucha. - Tylko nie przestawaj płakać i nie daj nic po sobie poznać. - Odczekała chwilę dla lepszego efektu. - Mam pistolet.

Megan instynktownie próbowała się od niej odsunąć, lecz koleżanka ją przytrzymała.

- Jest pod koszulą, w tylnej kieszeni dżinsów. Ten, kto mnie tu zamknął, najwyraźniej go nie namacał. - Pocałowała Megan w policzek. - No, cicho, nie płacz. Wszystko będzie dobrze - uspokajała ją teraz na głos, na wypadek, gdyby były podsłuchiwane.

- Ale...

- Mojej babki - wymówiła Delilah na jednym oddechu, który owionął policzek Megan. - Zostawmy teraz ten temat. - Odsunęła koleżankę na długość ramienia. - Już dobrze?

Oniemiała Megan jedynie skinęła głową. Delilah ma pistolet. Może jakoś uda im się wyjść z tego cało.

- Chodź, usiądziemy. Czujmy się jak w domu! - Córka Kerri rzuciła ironiczny okrzyk w kierunku ścian. Otoczyła współtowarzyszkę niedoli ramieniem i usiadły razem na posadzce, odwrócone twarzą do drzwi.

Megan głośno zaburczało w brzuchu.

- To nie do wiary, ale strasznie chce mi się jeść.

- To nie do wiary, a mnie wcale nie - zripostowała koleżanka. Megan zachichotała.

- To nie do wiary, rozśmieszyłaś mnie!

- Bywam całkiem zabawna, jeśli mnie lepiej poznać. Megan, zawstydzona, opuściła głowę.

- Szkoda, że tego nie zrobiłam.

- Żartujesz? Jesteś moją najlepszą koleżanką.
- Nie mów tak.
- Naprawdę.
- Nie byłam dla ciebie zbyt miła.
- Ależ tak. Byłaś miłsza niż inni.
- Głupio się czuję, gdy tak mówisz.
- Niepotrzebnie. Jak to leci? Było, minęło? Puśćmy to w niepamięć? Chyba tak powinniśmy zrobić i zacząć od nowa.
- Słusznie - zgodziła się Megan, a żołądek ponownie dał o sobie znać głośnym burczeniem. Klepnęła się pięścią po brzuchu. - Zamknij się, głupku!
- Co byś teraz zjadła, gdybyś mogła wybrać? - spytała Delilah. - No, powiedz! Co najbardziej lubisz?
- Nie musiała się długo zastanawiać.
- Zapiekanne sandwicze z indykiem.
- Żartujesz! Te rozłożone kanapki umazane sosem?
- Nie zapominaj o frytkach.
- Jak to możliwe, że jesz takie rzeczy i jesteś chuda jak patyk? Wystarczy, że spojrzę na jedzenie i już mam dziesięć funtów więcej.
- Należę do tego typu ludzi, którzy mogą jeść bez ograniczeń. Ale pewnego dnia to się może zmienić i zrobię się gruba jak...
- Ja? - zapytała Delilah, a pytanie zabrzmiało bardziej jak stwierdzenie.
- Nie, wcale nie. Nie jesteś...
- Ależ jestem. W porządku. To znaczy: wcale nie jest w porządku. Wiem, że powinnam schudnąć.
- No, może z pięć, dziesięć funtów - przyznała Megan. Postąpiłaby nieuprzejmie, okłamując ją w żywe oczy.
- Może ze dwadzieścia albo trzydzieści.
- Nie wszyscy muszą wyglądać jak Jennifer Aniston.
- Niestety, tak.
- A ty co lubisz najbardziej?
- Ja? - Wydawała się niemal zdziwiona, że Megan ją o to pyta. - Ja tam lubię prawie wszystko, a najbardziej

kotlety, takie średnio wysmażone z pieczonymi ziemniakami i dużą ilością kwaśnej śmietany, a do tego sałatka cesarska. Aha, a na deser lody polane gorącym karmelem.

- Uwielbiam deser lodowy z karmelem.

- Naprawdę? W takim razie mam pomysł - ucieszyła się Delilah. - Jak tylko stąd wyjdziemy, powinniśmy pójść razem na lody do Chestera.

- Jak tylko stąd wyjdziemy - przytaknęła Megan. - Pogadajmy jeszcze - poprosiła, broniąc się przed czającym się strachem. - Kto jest twoim ulubionym aktorem?

- Brad Pitt. - Delilah wzruszyła ramionami. - Tak samo jak wszystkich.

- A mnie się podoba Matt Damon.

- No. Też nieźle wygląda. Greg jest trochę do niego podobny.

- Tak myślisz?

- A nie?

Megan stanęła przed oczami twarz Grega z mocno zarysowaną szczęką, piwnymi oczami i z krótko ostrzyżonymi włosami.

- Może.

- Podoba ci się, nie?

- Podobał.

- O co się pokłóciliście? To znaczy: o ile wolno mi spytać. Megan nerwowym gestem odgarnęła włosy.

- O takie tam.

- Poszło o seks?

Megan ukradkiem rozejrzała się po piwnicy, bo może rzeczywiście ktoś je podsłuchiwał, a jeśli tak, czy to mógł być Greg?

- No - przyznała.

- Próbował na siłę?

- Nie, nie. Chciał... Ale ja...

- Nie byłaś gotowa? - Delilah dokończyła za nią.

- No.



- Poszłaś kiedyś na całość? Wiem, że to nie moja sprawa...
  - Jestem jeszcze dziewicą - wyznała Megan.
- A co tam - pomyślała. Po co w tej sytuacji bawić się w tajemnice?
- Ja też. Właściwie nikt nigdy nie próbował...
  - Jeszcze niejeden spróbuje.
  - Może jak schudnę.
  - Faceci są głupi - stwierdziła Megan.
  - Twój brat jest sympatyczny.
  - Tak. Bardzo kochany.
  - Co sądzisz o nim i Amber?
  - Fajnie razem wyglądają.
  - No. Też tak uważam. - Milczały przez chwilę. - Mogę cię jeszcze o coś zapytać? - przerwała ciszę Delilah.
  - Jasne.
  - Nie chcę cię zdenerwować. Megan omal nie parsknęła śmiechem.
  - Myślisz, że cokolwiek może mnie jeszcze bardziej zdenerwować?
  - Chodzi o moją mamę i twego tatę.
  - A dokładniej?
  - Co myślisz o tym, że są razem?
  - Nie jestem zachwycona. Bez żadnych osobistych wycieczek - zastrzegła się szybko.
  - Rozumiem. Szczerze lubię twoją mamę.
  - Ja też. - Megan splotła dłonie na podołku. Boże, błagam - modliła się w duchu. Spraw, żebym ją jeszcze ujrzała. Obiecuję, że będę najlepszą córką pod słońcem.
  - Ona jest, no wiesz, prawdziwą mamą. Kerri się stara, ale...

- Jak to możliwe, że zwracasz się do niej po imieniu?

- Tak woli. Chyba dzięki temu czuje się... - Delilah urwała w pół zdania i spojrzała na sufit. - Co to było?

- Znaczy: co?

Delilah pozbierała się z podłogi, a Megan natychmiast stanęła przy niej.

- Chyba coś słyszałam.

Obie zastygły w oczekiwaniu. Po chwili kompletnej ciszy doszedł je odgłos kroków. Nie mogło być mowy o pomyłce. Ktoś chodził nad ich głowami.

- O Boże! - jęknęła Megan, a Delilah w tej samej chwili sięgnęła do kieszeni po pistolet. -Ratunku! - krzyknęła Megan. - Niech nam ktoś pomoże!

Kilka sekund później usłyszały tupanie na schodach za drzwiami. Delilah skierowała w nie lufę pistoletu.

Kroki zbliżyły się i ucichły. Megan wstrzymała oddech na widok poruszonej klamki. Ktoś załomotał w drzwi pięścią, a potem kopnął je z całej siły. Zawiasy puściły z trzaskiem i drzwi runęły w głąb małego pomieszczenia.

Mężczyzna stojący w wejściu był wysoki i muskularny, miał krótką, jasną czuprynę i ciemne oczy, w których zaskoczenie mieszało się z niedowierzaniem.

- Greg! - zawołała Megan.

Tuż obok rozległ się huk wystrzału.

W ułamku sekundy chłopak osunął się na posadzkę.

- Greg! - Megan rzuciła się do niego z krzykiem. Otoczyła go ramionami, układając głowę na kolanach. Krew tryskała mu z rany w okolicy żołądka. Cera nabrała odcienia popiołu, źrenice uciekły w głąb czaszki.

- Znalazłem cię - wykrztusił, zanim stracił przytomność.

- Boże jedyny! Coś ty zrobiła?! - Megan podniosła wzrok na dziewczynę w drugim końcu piwnicy. - On przyszedł nas uratować.

- Wiem - oznajmiła beznamiętnie Delilah, celując z pistoletu dokładnie w głowę koleżanki. - I nie mogłyśmy na to pozwolić, prawda? Akurat teraz, gdy włożyłam w to wszystko tyle wysiłku i czasu.

Te słowa pozbawiły Megan oddechu. Z trudem chwytiała powietrze.

- Co? Co ty mówisz?

- Musiał się natknąć na mój samochód. Pewnie za słabo go ukryłam. Tak mi się do ciebie spieszyło.

- Nie rozumiem.

- No właśnie. Nigdy nie byłaś zbyt lotna. Czego właściwie nie rozumiesz, Megan?

- Ty to wszystko zrobiłaś?

- Wyobraź sobie. Taka sierota - przyznała Delilah z uśmiechem. - No cóż, może nie taka znowu sierota. Bo tak mówiłyście o mnie za plecami, prawda, Megan? A właśnie, czy wiesz, że Sierotka to tytuł musicalu Neila Simona sprzed wielu lat? Ja wiem takie rzeczy. Moja babka ma ogromną kolekcję starych płyt winylowych. To takie czarne, długogrające płyty, gdybyś przypadkiem nie wiedziała. Myślę, że możesz nie wiedzieć. Ja się znam na muzyce, o czym mogłabyś się przekonać, gdybyś poświęciła mi choć trochę uwagi. Było, minęło. Czy nie tak właśnie ustaliłyśmy? Właściwie profesor Lipsman mógłby pomyśleć o wystawieniu tego musicalu w przyszłym roku. Świetnie zagrałabyś Belle. To oczywiście główna rola. Jednak nie stawisz się na przesłuchanie.

- Ale dlaczego?

- Co: „dlaczego”? Czemu cię uprowadziłam, czy dlaczego porwałam tamte?

- Boże! - Megan kręciło się w głowie i wirowały jej cętki przed oczami, jakby za chwilę miała zemdleć.

- Ha, nie sądzę, abym ci była winna jakiegokolwiek wyjaśnienia, ale niech tam. W gruncie rzeczy jesteśmy rodziną, więc ci powiem. Candy stanowiła precedens, a Fiona coś w rodzaju tematu zastępczego. Natomiast Liana, hmm, to czysta przyjemność. Podobnie będzie z tobą. Greg? No cóż, Greg jest, jak się to mówi? Wypadkiem przy pracy. No i oczywiście zostaje jeszcze babka.

- Twoja babcia? - Czy Delilah kompletnie oszalała?

- Muszę ci wyznać, że dostarczyła mi najwięcej radości. Po części dlatego, że od dawna planowałam jej śmierć, a tymczasem zeszła przy pełnej improwizacji. Gdyby matka się nie uparła, żeby ją odwiedzić do domu,

może pożyłaby jeszcze kilka dni. A najlepsze w tym wszystkim jest to, że za przyczynę zgonu przyjęto zastoinową niewydolność serca. Podobnie było z ciotką Lorraine, gdzie wszyscy uznali, że zginęła, spadając ze schodów. Nikomu nie przyjdzie do głowy zrobić sekcji zwłok. Nie sprawdzą nawet jej tabletek, a gdyby nawet, zdążyłam podrzucić na miejsce te właściwe. Boże, powinnaś widzieć jej minę, gdy naciągnęłam jej na głowę plastikowy worek. Wyglądała na totalnie zaskoczoną. Mówię ci, moje serce tańczyło z radości. No, nie, coś ty taka zszokowana? Dobrze wiesz, że była prawdziwą jędzą. Możesz mi wierzyć, mało kto będzie po niej płakał. Więcej łez popłynie po tobie. Ciekawe, czy urzędzą kolejne czuwanie.

- Proszę...

- O co prosisz?

- Nie rób tego.

- Przykro mi. Raczej nie mam wyjścia. No wiesz, zwierzyłam ci się i teraz znasz wszystkie moje małe, paskudne sekrety. Można by pomyśleć, że jesteśmy przyjaciółkami.

- Jesteśmy przyjaciółkami.

- Aha! Akurat! Dopóki stąd nie wyjdiesz. Natychmiast poleciałabyś do Ginger i Tanyi, które, nawiasem mówiąc, są następne na liście. Jednak chyba będę musiała trochę odczekać. Nie chcę za bardzo wystraszyć ludzi.

- Wiesz, że nie ujdzie ci to na sucho.

- Czemu wszyscy zawsze tak mówią? Według statystyk wielu zabójców pozostaje na wolności. Weź, na przykład, mnie. Wyjdzie w praniu, jak się to mówi.

- Proszę cię - błagała Megan. - Nie chcę umrzeć.

- Nie? No jasne. A powiedz: jak często ludzie obrzucają cię wyzwiskami i umieszczają w Internecie świńskie piosenki o tobie? Jak często nabijają się z twojej nadwagi i wyśmiewają przed całą klasą? Ile razy pominięto cię przy rozdzielaniu ról w musicalach tylko dla-

tęgo, że ktoś jest ładniejszy i szczuplejszy, choć ma drewniane ucho? Wyjdzie w praniu i drewniane ucho -kontynuowała Delilah, jakby całość tworzyła logiczny ciąg. - Zabawne. Użyłam dwóch metafor. Twoja matka byłaby ze mnie dumna. Ciekawe, skąd biorą się takie zwroty.

Zastanawiasz się czasem nad tym?

- Czasami.

- Naprawdę? Mówisz serio czy tylko chcesz mi się przypodobać, żebym zobaczyła w tobie ludzką istotę i zawahała się, naciskając spust? Nie licz na to. Pociąganie za spust sprawia mi przyjemność, choć może nie tak wielką jak ta pogawędka z tobą.

Megan z rezygnacją pokręciła głową. Czy przedłużanie tej rozmowy miało jakikolwiek sens?

- A teraz odsuń się od Grega i usiądź tam jak grzeczna dziewczynka. - Dłoń z pistoletem wskazała ścianę.

W tej samej chwili usłyszały nad głową trzask wyważanych drzwi i nakładające się głosy ludzi biegnących po schodach.

- Greg?! Jesteś tam?! - wołał szeryf. - Greg?! Megan?!

- Megan?! - krzyczała jej matka.

- Mamo! - odrzyknęła rozpaczliwie. - Szeryfie! Tutaj!

Nagle w drzwiach wyrósł szeryf, a jego potężna sylwetka wypełniła cały otwór. Kiedy uniósł rewolwer i wycelował w Delilah, Megan przemknęło przez myśl, że w życiu nie widziała piękniejszego mężczyzny.

- Delilah, odrzuć pistolet - poinstruował ją szeryf, odbezpieczając broń. - Natychmiast.

- O mój Boże! - Zza pleców szeryfa doszedł Megan szloch matki.

- Rzuć broń! - powtórzył, ostrożnie wsuwając się do piwnicy.

Megan widziała, że Delilah zerka na nią i na szeryfa, jakby się namyślała. Widziała, jak wahanie i zaskoczenie w jej oczach znikają pod wpływem błyskawicznej decyzji. Wpatrywała się jeszcze w Delilah, gdy ta, kilka

sekund później, skierowała lufę pistoletu na siebie i pociągnęła za spust.

35

## Z DZIENNIKA ZABÓJCY

Okay, najwyraźniej przeżyłam.

Wychodzi na to, że wcale tak celnie nie strzelam. No, ale jak miałam precyzyjnie celować w tym zamieszaniu? Matka Megan wrzeszczała, szeryf groził mi bronią. A może po prostu stchórzyłam? Trudno powiedzieć. W każdym razie kula zaledwie drasnęła mi skroń i chociaż zalałam się krwią (rany głowy są najgorsze, jeśli chodzi o krwawienie), ani na chwilę nie straciłam przytomności. A tak bardzo chciałam. Nie musiałabym wysłuchiwać tych wkurzająco melodramatycznych okrzyków, które towarzyszyły spotkaniu matki z córką: „Moje kochane maleństwo! Mój aniołek!”. Nie przesadzajmy, Megan daleko do anioła. Możecie mi wierzyć. Z drugiej strony dlaczego mielibyście mi wierzyć? Nie okazałam się osobą w pełni godną zaufania, czyż nie?

Widzę, że rana po kuli to nie zabawa, nawet jeśli nie była śmiertelna. Prawdę mówiąc, sprawia cholerny ból. Od tamtej nocy w piwnicy domu Kimble'ów upłynęło prawie dziesięć miesięcy, a ja ciągle miewam bóle głowy i nawroty problemów ze wzrokiem. Przeszłam dwie operacje. Przed pierwszą musieli ogolić mi głowę i włosy dopiero zaczynają odrastać. Kręcą się bardziej niż przedtem, i to jest bardzo upierdliwe. W czasopismach z modą wciskają bez przerwy, że kędziory są „na topie”, ale na okładki trafiają dziewczyny z długimi, prostymi włosami - czasem rozdzielonymi przedziałkiem na środku, a czasem zaczesanymi na bok. Proste włosy wyglądają wytwornie. Sprawiają wrażenie ogólnego ładu i harmonii. Kręcone -sugerują rozwichrzony umysł,

jakby ich właściciel trwał w stanie porażenia prądem. Nie mówię już o tym, jak trudno je ułożyć, niezależnie od liczby stosowanych „środków do pielęgnacji”. Oprócz bólów głowy i okresów zakłóconego widzenia zdarzają mi się (ktoś mógłby powiedzieć, że ku wygodzie) chwilowe zaniki pamięci, dzięki czemu - jak sądzę -odzyskałam mój dziennik. Pomaga mi przypomnieć sobie niektóre fakty, osadzić wydarzenia w kontekście, uporządkować myśli i dać upust frustracjom. Stanowi też część składową mojej terapii. Doktor Mandy Biehn (lat czterdzieści, wysoka, smukła, włosy czarne do ramion, z przedziałkiem po prawej stronie) jest moim lekarzem prowadzącym tu, w szpitalu psychiatrycznym Mapie Downs Mental Health Center. (Zaoszczędziłam władzom stanowym wydatków, a ofiarom i ich rodzinom cierpień związanych z przewlekającym się procesem, przyznając się od razu do wszystkich zarzutów i wyrażając zgodę na odbycie kary w szpitalu). Według pani doktor Biehn prowadzenie dziennika to świetny pomysł. Wyjaśniłam jej, że to była idea Sandy Crosbie i że z początku się buntowałam, lecz ona wymogła na całej klasie pisanie dziennika w ramach lekcji z języka angielskiego. Jednak nigdy nie wywołała mnie do odczytania na głos zapisków. Ciekawe, co by się działo, gdyby to zrobiła. Naturalnie Kerri była przeciwna, żebym przyznała się do winy. Uważała, że mocnym argumentem na moją korzyść mogą być zaburzenia elektrolityczne, że przez mojego ojca muszę mieć jakiś błąd w kodzie genetycznym. Według niej trudne dzieciństwo oraz wrogie środowisko w Torrance High jedynie zaostrzyły objawy, a zachowanie uczniów w końcu doprowadziło do obłędu. Uważam takie spekulacje za bezowocne i pozbawione sensu, bo przypominają nieco próbę odnalezienia odpowiedzi na odwieczne pytanie o jajko i kurę. Czy to aż takie ważne, co było wcześniej?

Nie. W ostatecznym rozrachunku liczy się, kto zostaje.

Kerri chciała, żebym jako osoba niepoczytalna nie przyznała się do winy. Nigdy się na to nie zgodzę. Jak bym mogła? Byłam świadoma swoich czynów i wiedziałam, że źle postępuję, co stanowi prawną definicję poczytalności, jak zaznaczył mój adwokat Mitchell Young senior (ZAWSZE DO USŁUG, OD POZWÓW PO UGODY). Ten argument nie przemawiał do Kerri, która czułaby się nieco lepiej ze świadomością, że jej jedynaczka jest wariatką, a nie mordującą z zimną krwią zabójczynią. No cóż. Nie da się wszystkich zadowolić.

Poza tym wcale tak siebie nie postrzegam. Mam taką samą ciepłą krew jak każda dziewczyna. Dobrą wiadomością jest to, że schudłam.

Prawie dwadzieścia funtów, mimo że podstawowymi składnikami diety w tym miejscu są skrobia i węglowodany. Nie mam też takiego apetytu jak dawniej. Może kula uszkodziła część mózgu z ośrodkiem łaknienia. A może to wpływ podawanych mi leków. Jakakolwiek tego przyczyna, nie odczuwam głodu jak kiedyś i w rezultacie (tu się przykładają wielką wagę do rezultatów) jem mniej, no i o wiele rzadziej. W szpitalu psychiatrycznym Mapie Downs nie podaje się przekąsek, chyba że zaliczyć do nich rodzynki i świeże owoce, które według mnie nimi nie są. Przekąski to chipsy i pałeczki lukrecji. Wszystko, co słodkie i słone. Przynajmniej takie jest moje zdanie.

Nie mają tu również sali gimnastycznej. Wielka szkoda. Szczególnie dla kogoś tak nawykłego do fizycznej aktywności, jak ja. Pamiętacie te wszystkie spacerki, do których zmuszała mnie babka? Nie mówię już o targaniu zwłok. To wyrabia mięśnie. Żadna z tamtych dziewczyn pewnie nie ważyła więcej niż sto dwadzieścia funtów, ale bezwładne ciało staje się cięższe. Tak więc sama opracowałam program gimnastyczny. Składa się głównie z ćwiczeń rozciągających, kilku pompek, może z dziesięciu przysiadów oraz serii



brzuszków. Wykonuję to wszystko bardzo skrupulatnie przez pół godziny dziennie. Gimnastykuję się w moim pokoju, tylko brakuje mi tu przestrzeni. Jest bardzo maty. Ma wielkość mniej więcej połowy piwnicy w domu Kimble'ów. Mieści się tu w miarę szerokie łóżko i biała plastikowa komódka. Naturalnie żadnych ostrych krawędzi. Niczego, o co mogłabym się skaleczyć.

Wcale nie zamierzam się okaleczać. Nie teraz, gdy naprawdę zaczyna mi się podobać to, co widzę w lustrze - poza wcześniej wspomnianymi kręconymi włosami. Mam jednak nadzieję, że wyprostują się, kiedy bardziej urosną. Cholernie korzystnie teraz wyglądam, przynajmniej tak uważam. Kto wie, może kiedyś przylgnie do mnie jako przydomek tytuł artykułu z magazynu „People” - Zabójczo piękna - który ukazał się po moim aresztowaniu. Szczerze mówiąc, ten tytuł reporter ukradł z mojego dziennika. Ktoś z biura szeryfa przemycił do prasy najbardziej soczyste kawałki, które później wykorzystano w artykule. Nie mam o to pretensji, chociaż uważam, że przekaz był nieco tendencyjny. I jak na mój gust zbyt dużo miejsca zajęły zdjęcia Liany Martin i Megan Crosbie. „Początkująca gwiazda i

piosenkarka” - tak ją nazwali. Dacie wiarę? Bo ja nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Przecież ona skrzeczy jak ropucha, a co do skali... jak to kiedyś ktoś powiedział o Katharine Hepburn? Przekazuje emocje w skali od A do B?

Muszę jeszcze coś wyznać: właściwie podoba mi się tutaj. Jest czysto i wygodnie. Mam ładny widok za oknem. Panuje cisza. Niektórzy, mniej stabilni rezydenci (wolę to określenie od „pacjenci”) przejawiają przykrą skłonność do wrzasków i wygłupów, ale ogólnie są naprawdę całkiem mili, czego nie mogę powiedzieć o społeczności z Torrance High. A lekarze są sympatyczni i wyrozumiali. Nikt do niczego mnie nie zmusza. Wszyscy jedynie chcą mi pomóc wyzdrowieć. Próbują zrozumieć, co mnie pchnęło do takich czynów. Napraw-

dę chęć usłyszeć, co mam do powiedzenia. A co najlepsze - rzeczywiście słuchają. W szpitalu psychiatrycznym Mapie Downs traktują mnie bardzo poważnie. I to mi się podoba.

Dlatego staram się zachowywać uprzejmie i spełniam dosłownie wszelkie prośby. Wskazałam, gdzie znajdują ciało Candy Abbot, zgadzam się rozmawiać z każdą osobą, jaką do mnie przyślą. Wyjaśniam, jak potrafię najlepiej, co mnie pchnęło do takich potwornych czynów. Opowiadam o trudnym dzieciństwie; o ojcu brutalu, który zostawił nas, kiedy miałam zaledwie parę lat, o kolejnym nieudanym małżeństwie matki z równie agresywnym mężczyzną, o jej operacjach plastycznych, które zmieniły ją w zasadzie w obcą osobę, o licznych romansach matki, w tym także z Johnem Weberem i z Ianem Crosbiem, o nieustannych zniewagach i psychicznych torturach, jakie znosiłam - z rąk, z ust? - mojej drogiej, zmarłej cioteczki oraz babuni, tych dwóch przysłowiowych kropli zatrutej wody. (Przepraszam, ale nie mogłam się powstrzymać od użycia metafory. Pani Crosbie byłaby ze mnie dumna).

Opowiadam o codziennym nękanii mnie w szkole, o drwinach i upokorzeniach zarówno ze strony uczniów, jak i nauczycieli. Przecież wszyscy wiedzieli, co się dzieje, lecz nikt nawet nie próbował położyć temu kresu.

W pewnym sensie najwięcej mam do zarzucenia pani Crosbie, bo jest taką hipokrytką. Oczywiście, zachowywała się poprawnie i mówiła to, co należy - nawet podwiozła mnie taki kawał drogi do domu profesora Lipsmana tamtego popołudnia, gdy znalazłyśmy zwłoki Fiony.

(Nawiasem mówiąc, to wcale nie był przypadek. Nakierowałam ją na tamto miejsce, gdzie podrzuciłam biedną, martwą Fionę. Wiem, że to było ryzykowne posunięcie, a moja zuchwałość graniczyła z lekkomyślnością. Początkowo planowałam zostawić ciało na widoku i poczekać, aż ktoś - obojętnie kto - natknie się na

nie przypadkiem. Ale szkoda mi było przepuścić taką okazję). A wracając do profesor Crosbie: choć starała się ukryć prawdziwe uczucia, trudno było nie zauważyć, z jaką odrazą wywoływała mnie do odpowiedzi i jak się wzdrygała za każdym razem, gdy znalazłam się w pobliżu. To nie jest wyłącznie jej wina. Ani moja. Nie sędzę, aby tak reagowała, bo uważała mnie za osobę fizycznie odrażającą, chociaż mogło i tak być. Wszyscy obserwujemy spontaniczną, niemal automatyczną niechęć ludzi szczerzej obdarzonych przez los do tych, którym się mniej poszczęściło. Nie, myślę raczej, że jej negatywne nastawienie do mnie wynikało z faktu, że jestem córką Kerri Franklin i że przez moją matkę rozpadło się jej małżeństwo. Każde spojrzenie na mnie przypominało Sandy o tym i jednocześnie uświadamiało, iż jako żona poniosła klęskę. To ona się przyczyniła, co prawda nieumyślnie, do mego największego upokorzenia w ostatnim czasie. Któregoś dnia na lekcji nazwała mnie „Dee”, pozbawiając nawet imienia. „Dee” przeszło w „Deli”, a potem w jeszcze gorsze: w „Wielką D” przy okazji tamtej skrajnie obscenicznego piosenki, krążącej po całym Internecie. Czemu wzięłam sobie za cel jej córkę? Ciągłe ktoś o to pyta. Przecież kilkakrotnie stawała w mojej obronie i starała się pomóc, nawet kosztem własnej wstępującej popularności. Odpowiedź na to pytanie ciągle sprawia mi duży kłopot. Czy wybrałam Megan dlatego, że miała wszelkie cechy zabójczej piękności: świeżą urodę, kształtne piersi, wąską talię, naturalną grację i łatwość przyciągania uwagi? Czy też padło na nią, bo była córką (wnuczką, siostrzenicą), o jakiej moja matka (babka, ciotka) zawsze sekretnie marzyły? Nie czułyby się zakłopotane, przedstawiając ją znajomym czy pokazując jej zdjęcie. W końcu stanowi uosobienie ideału. Jest tym wszystkim, czym ja nie jestem. A gdyby Ian Crosbie ożenił się z moją matką, co w tamtym czasie wy-

dawało się całkiem prawdopodobne, to Kerri zyskałaby nowego męża, a ja automatycznie przyrodnią siostrę. Stałybyśmy się rodziną. Dochodziłoby do niekończących się porównań: moje wady byłyby wytykane, a niedostatki wyolbrzymiane i komentowane. Kerri oddaliłaby się ode mnie, unoszona na fali popularności swojej bardziej akceptowanej towarzysko, nowej córki. Czyjej życiowym celem nie jest dążność do zastępowania starego nowym? Straciłabym to, co jeszcze zostało z matki, którą kochałam i... rozczarowywałam od urodzenia. A myśl o graniu drugich skrzypiec do końca życia przy tym durnowatym beztalenciu była dla mnie nie do zniesienia.

Jedno muszę przyznać: zdumiała mnie reakcja Kerri na śmierć matki. Często wyobrażałam sobie, jak zamieszczamy w Internecie wiadomość o jej zgonie w formie ogłoszenia łączącego elementy zawiadomienia o narodzinach i o śmierci: Kerri i Delilah Franklin z radością donoszą o śmierci ich matki i babki. Nic z tego. Kerri była szczerze zrozpaczona - nawet wtedy, kiedy wierzyła, że do śmierci Rose doprowadził zwykły zawał. Może jej rozpacz miała coś wspólnego z poczuciem autentycznego osierocenia oraz z cichą konstatacją, że nawet tysiąc operacji plastycznych nie pomoże na zawsze utrzymać na dystans tak zwanego ponurego kosiarza. A może naprawdę kochała tę wstrętną staruchę. Nieważne, jakie były powody, fakt faktem, że śmierć Rose była dla Kerri ciężkim przeżyciem. A kiedy się dowiedziała, że maczałam w tym palce, i poznała prawdę o przypadkowej śmierci ciotki (bo oczywiście Megan natychmiast sprzedała wszystkim te rewelacje), omal nie dostała apopleksji.

Apopleksja - nie zachwyca was to słowo? Brzmienie dokładnie odzwierciedla jego sens. Chyba jest na to jakiś literacki termin, ale go nie znam. Pewnie mogłabym zapytać profesora Crosbie, lecz - jak przypuszczam - nie byłaby zachwycona moim listem i wątpię, czyby odpisa-

la. Z drugiej strony, kto wie? Mogłaby mnie zaskoczyć. Bóg świadkiem, że zdarzało się to jej w przeszłości. Tak czy owak apopleksja to nagłe wystąpienie objawów uszkodzenia mózgu powstałych w wyniku zaburzeń krążenia mózgowego. Sprawdziłam. A właśnie, sama omal nie dostałam apopleksji, kiedy usłyszałam kroki Grega nad głową tamtej nocy sprzed prawie dziesięciu miesięcy. A potem pojawiło się *Dynamie Duo* z *Torrance* w osobach szeryfa i pani *Crosbie*. Skoro mowa o niespodziankach, za dużo tego było jak na jeden raz. Spanikowałam. Dlatego przyłożyłam pistolet do głowy i pociągnęłam za spust. Nie wiedziałam, co robić. Właściwie cieszę się, że Greg przeżył, chociaż z początku jego życie wisiało na włosku. Ponad tydzień był w stanie krytycznym. Potem leżał jeszcze przez miesiąc w szpitalu i dochodził do siebie w domu do chwili, gdy nabrał na tyle sił, aby postawić się ojcu i poinformować go, że dostał pełne stypendium z jakiejś renomowanej akademii sztuk pięknych w Chicago. Profesor *Crosbie* pomogła mu wypełnić formularz aplikacyjny i najwyraźniej pilotowała całą sprawę. A nie mówiłam? Ta kobieta jest pełna niespodzianek. Greg wyjechał do Chicago w styczniu. Prawdziwie szczęśliwy Nowy Rok. Jednak nie zazdroszczę mu sukcesu. Tak szczerze mówiąc, zawsze miałam słabość do Grega, może nawet się trochę w nim podkochiwałam i szkoda, że to właśnie on musiał wdrzeć się do piwnicy tamtej nocy. Zdecydowanie wolałabym, żeby to był *Joey Ale* tak się nie stało i, niestety, nie miałam wyboru - musiałam do niego strzelić. (Co wcale nie znaczy, iż nie sprawiło mi to przyjemności, a przy okazji nasunęło refleksję, dlaczego wcześniej nie wpadłam na pomysł, żeby zająć się kilkoma innymi prześladowcami płci męskiej). Matka podała mi parę szczegółów. Najwyraźniej wcześniej tamtego wieczoru Greg natknął się na szeryfa z panią *Crosbie* i cała trójka przez dobrą godzinę go-

rączkowo poszukiwała Megan. Okazało się, że miałam rację. Greg zauważył mój samochód na poboczu i postanowił się rozejrzeć. Potem Dynamie Duo zobaczyło jego auto i nagle, patrzcie no - pełna chata! Szkoda, że jakiś aligator nie zatopił zębów przynajmniej w jednym z nich. W końcu to miejsce nawet na mapach Florydy nosi nazwę Alligator Alley.

Biedna Kerri. Kiedy się dowiedziała, co zrobiłam, wyszła z siebie. Uważam to za kolejne trafne określenie, bo idealnie oddaje, co się czuje, będąc bardzo zdenerwowanym. Fajnie jest wyobrazić sobie kogoś stojącego obok własnego ciała. Niesamowite. Przypomina oglądanie się w lustrze, z tą różnicą, że to odbicie -a nie osoba - jest prawdziwe. Z początku matka nie chciała się ze mną widzieć ani rozmawiać, ani mieć ze mną cokolwiek wspólnego. Jednak po paru tygodniach zmieniła zdanie. Może dlatego, że dzięki śmierci Rose stała się majątną kobietą, a może z powodu łączących nas więzów. Przecież obojętnie, co bym zrobiła, nadal byłam jej córką. A może dlatego, że Ian rzucił ją kilka dni po moim aresztowaniu i poza mną nie miała nikogo. Kerri zawsze źle znosiła samotność. Przykro mi, że Ian ją zostawił. Wcale tego nie chciałam. Ale też nie jestem zaskoczona. Nie należy ufać mężczyźnie, który zostawia jedną kobietę dla drugiej, bo prędzej czy później zapewne odszedłby również od mojej matki. Wcale nie jestem przekonana, czy rzeczywiście była z tego powodu aż taka nieszczęśliwa, pomimo opowieści o złamanym sercu. Myślę, że bardziej wstrząsnęła nią wizyta Ruthie, jej siostry, która po dziesięciu latach nagle zjechała z Kalifornii, żeby zażądać połowy spadku po Rose. Sądzę, że w głębi duszy Kerri żałuje, iż nie ma mnie w domu, bo mogłabym wziąć sprawy w swoje ręce, tak jak to się stało w przypadku jej drugiej siostry, Lorraine.

W każdym razie matka zagląda do mnie dwa razy w tygodniu, co nie jest dla niej łatwe, bo Mapie Downs

znajduje się w Fort Lauderdale. Odwiedziny łączy z wypadami do sklepów (Hurra! Teraz tamten ładny, niebieski sweterek, który kupiła mi w zeszłym roku, pasuje na mnie jak ulał!) oraz z wizytami w gabinecie chirurgii kosmetycznej. W ubiegłym tygodniu oznajmiła, że prawdopodobnie nie odwiedzi mnie przez kilka tygodni, co -jak zakładam - ma związek z kolejną operacją plastyczną. Ostatnio często krytykowała kształt swego nosa i nadal nie jest zadowolona z ust. Zrezygnowałam już z dalszych prób przemówienia jej do rozumu. Ludzie robią to, co uważają za słuszne.

Pytałam Kerri, czy poczciwi mieszkańcy Torrance bardzo uprzykrzają jej życie, i powiedziała, że nie. Co więcej, sporo z nich odnosi się do niej zdumiewająco życzliwie, prawdopodobnie uważając ją też za ofiarę. W końcu wymordowałam połowę jej rodziny. A w dodatku zostawił ją kochaś, który parę tygodni po złożeniu przez Sandy pozwu o rozwód przeniósł się do Palm Beach. Chodzą słuchy, że otworzył gabinet do spółki z dawnym kolegą ze studiów i ma już nową kobietę. Skoro mowa o Sandy: gdy tylko nabrała pewności, że Greg się wyliże, spakowała manatki i wróciła wraz z Megan i Timem do Rochester. Czasami się zastanawiam, czy Greg i Megan pozostaną w kontakcie i czy ich znajomość zakończy się happy endem, tak jak Petruchia i Kate. O ironio, niewiele brakowało, a skończyliby jak Romeo i Julia!

Co do pozostałych mieszkańców miasteczka, matka się stara, abym była na bieżąco z wszelkimi rewelacjami. Podobno Brian Hensen przyjechał z college'u na Święto Dziękczynienia ze swoim chłopakiem - studentem psychologii z Uniwersytetu w Miami - i obwieścił wszem wobec, że jest gejem. A więc Joey miał rację. Skoro jednak wyzywa się wszystkich od pedałów, czasem można trafić w dziesiątkę.

O dziwo, mieszkańcy takiego konserwatywnego miasteczka jak Torrance traktują go bardzo życzliwie, a tak-

że jego matkę i jej nowego partnera, prawnika o imieniu Bob, którego w ubiegłym roku poznała przez internetowy serwis randkowy. Żeby było śmieszniej, on wcale nie był przeznaczony dla niej, tylko dla profesor Crosbie!

Kerri wspomniała, że być może zgłosi się do tego samego serwisu, gdy tylko bardziej „poczuje się sobą”. Wątpię, aby jeszcze wiedziała, co to znaczy „być sobą”, chociaż czasami jej prawdziwe „ja” wyziera z tęczynek wylęknionych oczu. Jest prawie tak, jakby to ona była więźniarką, nie ja. Ciało stało się dla niej więzieniem. Może kiedyś oswobodzi się z niego, choć raczej w to wątpię. Społeczne oczekiwania nie przewidują warunkowego zwolnienia. Natomiast Joey oblał rok po raz kolejny i wyleciał ze szkoły, po czym zrobił dziecko jakiejś dziewczynie z Fort Myers i latem ma się żenić. Nie sądzę, aby mnie zaprosił na ślub. Przeprowadził się już do tego miasta i pracuje u ojca przyszłej żony. Zdaje się, że jej rodzina ma kilka hoteli w kurortach. Widzę już, jak Joey przystawia się do pokojówek i poszturčuje kelnerów.

Victor Drummond dostał się do Yale School of Drama, czyli trafił tam, gdzie zapewne najbardziej pasuje. Jeszcze trochę, a ujrzymy go w jakiejś sztuce na Broadwayu albo we własnym hollywoodzkim sitcomie.

Charakteryzować się będzie sam. A ja będę mogła opowiadać, że kiedyś go znałam.

U reszty niewiele się zmieniło. Ginger i Tanya są tak samo lubiane i odpychające jak dawniej.

Obie pracują w centrum handlowym. Peter Arlington ma nową dziewczynę o imieniu

Rebecca. Jest ładną podobną do Liany. Młodsza siostra Liany, Meredith, wygrała jakiś

ważny konkurs piękności dla nastolatek w Atlancie. Idzie w ślady matki.

Amber Weber, która zdecydowanie nie idzie w ślady matki, opuściła miesiąc w szkole, bo

leczyła się w tym czasie na anoreksję w klinice w Tampie. Podobno przy-



tyła około dziesięciu funtów, ale zrzuciła je w kilka miesięcy po powrocie do domu. Jeśli chodzi o nauczycieli z Torrance High, wszystko wygląda mniej więcej tak samo jak przed rokiem. Avery Peterson dalej wykłada przedmioty ścisłe i ma skłonność do kobiet młodszych od siebie o pokolenie. Gordon Lipsman ciągle tęskni za matką i opiekuje się jej kotami. Kerri nie ma pojęcia, jaki musical planuje wystawić w tym roku, szczególnie że ubyła mu większość gwiazdorskiej obsady. A nasz szacowny dyrektor Lenny Fromm pozostał u steru i nadal przeprowadza drogich surferów z Torrance High po zdradliwych wodach okresu dojrzewania.

No i jest jeszcze Cal Hamilton. Został w Torrance, prowadzi bar U Chestera i - jak się to mówi - przyciąga kobiety jak magnes. Pewnie dalej robi te swoje „inspekcje”. Nie brakuje ochotniczek mających nadzieję je przejść, by stać się Własnością... Mnóstwo przygłupów żyje na świecie, a Cal wyszedł na największego wała.

Jak łatwo udało mi się go zrobić! A przecież - podobnie jak zabójstwa Fiony - wcale tego nie planowałam. Ale ona była taka żałosna, a on świrnięty, że nie potrafiłam odpuścić. Podrzucenie fantów nie sprawiło mi najmniejszego problemu, chociaż żał mi było się rozstać z naszymi Liany. W przeciwieństwie do tandetnej bransoletki Candy z breloczkami, był ze szczerego złota. A wizyta u pani Crosbie z zapytaniem, czy ktoś nie widział Fiony, kiedy już ją zabrałam do domu Kimble'ow? Genialne posunięcie, jeśli wolno mi samą siebie chwalić.

W jaki pomysłowy sposób zdobywałam zaufanie każdej z tych dziewczyn, udając ofiarę równie przerażoną i zagubioną jak one, jak sprytnie wydobywałam z nich najintymniejsze sekrety, których w innych okolicznościach nigdy by mi nie powierzyły. A ten moment, kiedy dowiadywały się, że to mistyfikacja i że zostały wyprowadzone w pole, a ja wcale nie jestem nieszczęsną ofia-

ra, tylko prowokatorką lub raczej sprawczynią ich niedoli, że ich los jest w moich rękach, a te ręce obejmują kolbę pistoletu, którego lufa jest wycelowana w ich głowę. Nie będę tu opisywać euforycznej radości, jaką wówczas odczuwałam.

Jestem wdzięczna Calowi za chwile, które sprawiły mi największą satysfakcję w ubiegłym roku. Bo jak można kiedykolwiek zapomnieć tamtą scenę, kiedy włamał się do nas i przewrócił dom do góry nogami? Czy matkę, która każe nam wszystkim uciekać na górę? Mnie, gdy zamykam się z babką w sypialni i udaję, że przypadkiem znajduję pistolet, który faktycznie odkryłam, szperając w jej rzeczach krótko po tym, jak wprowadziła się do nas? Sama kupiłam naboje w Wal-Marcie. Jednak najlepszy ze wszystkich był tamten moment, gdy roztrzęsiona i drżąca, grozę Calowi pistoletem, a potem wybucham płaczem, bo brakuje mi odwagi, żeby pociągnąć za spust. Ha! Jak ja to zagrałam! Powinni mi dać Oscara. Już słyszę paparazzich. Jak się pani przygotowywała do tej roli? Och - szepnę i w odpowiedzi na ich zachwyty, gestem sugerującym zażenowanie, odgarnę do tyłu długie, proste włosy. - Przygotowywałam się do niej przez całe życie. Okazałam się lepszą aktorką, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Wszystkich wyprowadziłam w pole: matkę, babkę, ciotkę, nauczycieli, sąsiadów, przyjaciół. Ups! Rozpędziłam się. Nie mam żadnych przyjaciół. Nawet szeryfa wystrychnęłam na dudka, chociaż okazał się bardziej kompetentny, niż z początku myślałam. Tak jest, pierwsza muszę wyznać, że go nie doceniłam. Zresztą nie ja jedna. Myślę, że całe miasteczko uważało, iż jest skończony zawodowo. Może nawet on sam też tak o sobie myślał. Niemniej ciekawie było obserwować, jak nabiera pewności siebie w miarę postępu śledztwa i jak w naturalny sposób przejmuje kontrolę, by w dramatycznych okolicznościach doprowadzić sprawę do końca. Matka twierdzi, że podczas następnych wyborów ma wygraną w kieszeni w przeciwieństwie do mikrego burmistrza perfekcjonisty, którego nasze miasteczko uważa teraz za nadętego kurdupła. Tak, jeśli w tej historii jest miejsce dla bohatera, według mnie na pewno powinien nim zostać John Weber pomimo wszystkich swoich wad. I z satysfakcją myślę, że jest w tym sporo mojej zasługi.

W ten sposób znowu wracamy do mnie.

Nie wszystko poszło tak, jak planowałam. Absolutnie się nie spodziewałam, że zostanę złapana. I zdecydowanie nie przewidywałam, że będę siedzieć za kratkami do końca życia. Zresztą najprawdopodobniej do tego nie dojdzie. Jak się okazuje, nasz system penitencjarny w taki sposób nie działa.

Kiedy wylądowałam w szpitalu psychiatrycznym Mapie Downs, zakładałam, podobnie (czego jestem pewna) jak większość pocziwych obywateli Torrance, że spędzę tu resztę życia. Przecież dostałam dożywocie. Ale przy odrobinie szczęścia dożywocie wcale nie musi oznaczać pobytu w zakładzie do śmierci. Co parę lat moja sytuacja będzie analizowana. Jeżeli nie przerwę terapii, będę brać leki, współpracować z lekarzami i poprawnie się zachowywać, wyjdę na wolność znacznie szybciej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. W końcu mam dopiero osiemnaście lat.

Jak leci tamta stara piosenka? Tyle życia przede mną? Wsłuchajcie się w nią.